

W objęciach diabła

Coulter Catherine

Książka I z Diabeł



calibre 0.9.43



Catherine Coulter

W objęciach diabła

Rozdział 1

Lord Edward Lyndhurst, wicehrabia Delford, zaczerpnął haust morskigo powietrza i skierował gniadą klacz w stronę skalistego klifu. Dzień był wyjątkowo ciepły jak na koniec marca i blask popołudniowego słońca odbijał się w spokojnych falach, łagodnie zmierzających w kierunku brzegu.

Edward poprawił elegancką kamizelkę, w której ciągle czuł się nieswojo.

Po raz kolejny zatęsknił za swoim wygodnym szkarłatno-białym mundurem.

Domyślał się, że jego ordynans i służący, Grumman, odczuwał tę tęsknotę równie mocno, jeśli nie mocniej. Ten wybuchowy Irlandczyk o niewielkich gabarytach miał w zwyczaju ze swadą krytykować modne nowinki, którym hołdowali angielscy dżentelmeni.

- Jak panienka, milordzie, oto jak będziesz teraz wyglądał! - Grumman mruczał pod nosem, kiedy wyglądał fałdy jasnoniebieskiego lekkiego płaszcza Edwarda. - Nic tylko koronki, a do tego te pstrokate barwy. Istny fircyk w *R S*

zalotach!

Edward poprawił się w siodle, osłonił od słońca oczy i przebiegł wzrokiem wzdłuż linii brzegowej

w kierunku Hemphill Hall, bardzo starej kamiennej budowli, wyrastającej na skraju urwiska. Poczul silną falę emocji na myśl, że wkrótce ujrzy dom Broughamów, dom Cassie.

Z kieszeni kamizelki wyjął małą miniaturę Cassandry, namalowaną w jej piętnaste urodziny. Zapatrzył się w roześmianą twarz młodej dziewczyny. Jej buzia już wtedy zaczynała nabierać kobiecych rysów. Wysoko osadzone kości policzkowe odznaczały się delikatną, wytworną linią ponad solidnym, upartym podbródkiem, zaś żywe błękitne oczy zdradzały nieprzeciętną inteligencję.

Uśmiechnął się, patrząc na zaplecione wkoło głowy pszenicznazłote warkocze i przywołał obraz jej włosów opadających gęstymi falującymi kaskadami aż do pasa. Uważał ją za piękność jeszcze w czasach, kiedy miała osiem lat, a on sam był czternastoletnim chłopcem i poza nią nie cierpiał dziewczyn. Roztaczał

przed nią wizje najdzikszych przygód, obsadzając siebie w roli dzielnego żoł-

nierza, a ona słuchała w skupieniu, nie spuszczać z niego poważnego wzroku.

Edward potrząsnął głową, ponieważ te nieprzywoływane od lat wspomnienia wprawiły go w konsternację.

- Ale był z ciebie osioł - mruknął pod nosem.

Cassie jednak wtedy tak nie uważała. Wciąż miał w pamięci jej okoloną niesfornymi lokami buzię, kiedy spojrzała mu z powagą w oczy i dziecięcym głosem ślubowała:

- Musisz na mnie poczekać, Edwardzie. Niebawem będę dorosłą niewiastą i wtedy się pobierzemy. Razem z tobą dosiądę konia i będziemy razem przeżywać wszystkie te przygody.

Ponownie zatopił wzrok w miniaturze, zastanawiając się, czy Cassie nadal jest tą długonogą chudą dziewczyną. Przypomnił mu się list sprzed jakichś sześciu miesięcy, w którym wspominała o pewnych zdumiewających *R S*

zmianach w swym wyglądzie. Roześmiał się na myśl, że w ten oto sposób pró-

bowwała dać mu do zrozumienia, że staje się kobietą.

Nagle zmarszczył czoło, zamknął miniaturę i starannie włożył ją z powrotem do kieszeni. Zawrócił klacz ze ścieżki prowadzącej do Hemphill Hall i skręcił w zrytą koleinami drogę w dół do plaży. Dużo o Cassie myślał, odkąd dwa miesiące temu zmarł wuj Edgar. Edward poczuł się wówczas zobowiązany opuścić armię i wrócić do Anglii, by zająć się majątkiem. A mimo to po przyjeździe powiadomił ją tylko, że wróci później i cały ten czas spędził w Londynie. Wciąż zresztą bił się z myślami. Miała przecież zaledwie osiemna-

ście lat i z pewnością nie mogła się doczekać swojego debiutu towarzyskiego w Londynie. Od początku czuł, że nie ma prawa pozbawiać jej wrażeń, których każda panna o jej pozycji powinna doświadczyć. Z drugiej strony odczuwał

niekontrolowany przyływ zazdrości, kiedy wyobrażał sobie, że będą się do niej zalecać inni mężczyźni. Co robi, jeśli pewnego dnia Cassie zacznie patrzeć na niego jak na przyjaciela z dzieciństwa i nic więcej? Nie dalej jak dzień wcześniej przeklął swoje tchórzostwo i wrócił do Essex. A dziś wciąż się ocią-

gał, chociaż znajdował się niecałą milę od jej domu.

Na dole Edward zsiadł z konia i przywiązał go do solidnego krzaka, który usadowił się w skalnej szczelinie u podnóża klifu. Zaczął spacerować po plaży, tępym wzrokiem spoglądając na grzęznące w grubym piachu buty i oddając się dalszym rozmyśleniom. Z zadumy wyrwała go większa fala, która z hukiem rozbiła się o brzeg i ochlapała mu nogi. Poirytowany zrobił kilka kroków w tył, po czym stanął i zapatrzył się w morze. Pośród większych fal, zupełnie niespodziewanie, dostrzegł płynącą w stronę brzegu postać. Nagie ramiona poruszały się wdzięcznie i miarowo. Chociaż znajdował się w dużej odległości, musiałby być ślepy, żeby nie rozpoznać kobiecych kształtów wyłaniającej się z wody sylwetki. W milczeniu przyglądał się, jak stanęła na nogi i szła przez płytką *R S*

wodę do brzegu.

Nie widział jej twarzy, gdyż miała pochyloną głowę. Zresztą to nie twarz przykuwała jego uwagę. Miała na sobie cienką białą haleczkę, sięgającą po-

łowy uda, ale równie dobrze mogłaby być naga, bo mokra bielizna oblepiała jej ciało jak druga skóra. Jego wyćwiczone męskie oko zanotowało wszystkie jej linie i krągłości. Miała pełne i jędrne piersi, a nabrzmiałe od zimna sutki odznaczały się wyraźnie pod tkaniną. Powędrował wzrokiem w dół, po wąskiej talii i płaskim brzuchu, aż do niewielkiego trójkąta włosów, zmierzwionych lekko pod mokrym materiałem. Obróciła się trochę, ukazując mu zarys pełnych pośladków i długich smukłych nóg. Edward poczuł spazm pożądania i z wielkim trudem odwrócił wzrok. Próbował się uspokoić, tłumacząc sobie, że za du-

żo już czasu minęło, od kiedy ostatnio był z kobietą. Choć zaraz mu się przypomniało, że przed niecałym tygodniem pewna młoda pani nie skąpiła mu swych wdzięków przez dwie upojne noce i ze śmiechem uznał, że musi poszukać lepszego wytłumaczenia dla swojej ekscytacji.

Pewnie jest z pobliskiej wsi, pomyślał, i mimochodem zaczął iść w jej kierunku. Dziewczyna tymczasem schyliła się swobodnie, żeby wykręcić dół

koszulki i nagle promienie słońca rozświetliły jej umocowane na głowie warkocze, wydobywając ich pszeniczną barwę przetykaną złotymi refleksami.

Edward stanął jak wryty i tylko się na nią gapił. Jakby wyczuwając czyjąś obecność, dziewczyna zastygła i, osłaniając dłońmi oczy, podniosła na niego wzrok. Z gardła Edwarda wydobyło się jej imię.

Cassie znieruchomiała na dźwięk jego głosu i z niedowierzaniem wpatrywała się w wysoką szczupłą postać pędzącego ku niej dżentelmena.

- Edward!

Zerwała się z miejsca i rzuciła się mu na szyję. Przez śmiech i łzy mówi-

ła:

R S

- Edwardzie, to naprawdę ty! Oczom nie wierzę! Nareszcie wróciłeś! -

Objęła go z całych sił, by po chwili odsunąć go od siebie i spojrzeć mu w oczy.

- Cass - powiedział i delikatnie ujął w dłonie jej twarz. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie ich pierwsze spotkanie: myślał, że upłynie wśród niedopowiedzeń i kłopotliwego milczenia. Pochylił się do jej ust i po raz pierwszy zło-

żył na nich pocałunek.

Cassie często zastanawiała się, jakie to uczucie. Zdarzyło jej się nawet przyciskać usta do dłoni, żeby sprawdzić, czy to wywoła jakieś szczególne wrażenia. Ponieważ wówczas nie czuła nic prócz zażenowania taką dziecinadą, prawdziwe doświadczenie zwała ją z nóg. Jego usta stały się natarczywe, a język zaczął wędrować po jej wargach. Po chwili wahania rozchyliła usta i pozwoliła mu wedrzeć się do środka.

Edward poczuł, że jej ciało przebiegł dreszcz. Wprawiło go to w stan upojenia. Zaczął niecierpliwie przebiegać dłońmi po jej ciele, masując jej biodra i przyciskając do siebie brzuch. Dopiero ciche jęknięcie oznajmiające jej wzbierającą żądzę sprawiło, że się opamiętał i natychmiast przywołał manieri godne angielskiego dżentelmena. Gwałtownie chwycił jej wąskie ramiona i odepchnął od siebie.

Cassie patrzyła na niego w zdziwieniu. Czuła jakąś dziwną palącą niemoc.

Z gardła Edwarda wydobył się niski śmiech, który po chwili przeszedł w pomruk.

- Na Boga, Cass - wyszeptał.

Próbowała znowu go objąć, ale wysiłkiem woli zdołał zrobić krok w tył i chwycić jej dłonie.

- Tak się cieszę, że cię widzę, Cassie - powiedział z udawaną niedbało-

ścią w głosie.

Zmarszczyła czoło, speszona tym nagłym oficjalnym tonem. Rozchmu-rzyła się jednak, kiedy zaczęła się mu przyglądać i studiować każdy rys jego twarzy.

- Prawdziwy z ciebie mężczyzna, Edwardzie - powiedziała wreszcie, choć w jej głosie wciąż lekko pobrzmiwało pragnienie. - Ale za bardzo się nie zmieniłeś.

Uśmiechnął się nieznacznie i mimowolnie omiół spojrzeniem jej ciało.

- A ty, kochana, owszem.

Roześmiała się niewinnie, ukazując śliczne dołeczki.

- Mam nadzieję, panie, że pochwalasz te zmiany. - Wlepiała wzrok w jego biały żabot i dodała nieśmiało: - Tak dzisiaj ciepło. Byłam popływać.

- Tak, wiem. Przyglądałem ci się. Nie sądziłem, że młode damy oddają się takim męskim zajęciom.

- Edwardzie, chyba nazbyt przywykłeś do towarzystwa cudzoziemskich pań, które, jeśli się nie mylę, są lekko rozleniwione.

- To, że nie pływają w morzu, Cassie, nie znaczy wcale, że są leniwe.

- Mam nadzieję, że nie stał się pan przeciwnikiem rekreacji, kapitanie Lyndhurst. - Zadrżała z zimna, kiedy słońce schowało się za chmurę.

Edward ściągnął jeździecki płaszcz i zarzucił jej na ramiona.

- Cass, ubierz się, zanim się zaziębisz.

- Teraz, kiedy wróciłeś, ziab już mi nie grozi. Och, Edwardzie, jakże te trzy lata się dłużyły. Tak za tobą tęskniłam. - Wsunęła mu rękę pod ramię i przyłgnęła do jego boku. - Okrutnie sobie ze mną igrałeś, mój panie. Czekałam na ciebie i czekałam, od kiedy dwa miesiące temu dostałam twój list. Nie wiedziałam nawet, gdzie się zatrzymałeś w Londynie. Gdy zapytałam o to twoją *R S*

matkę, wydała tylko to swoje bezsilne westchnienie.

Edward zamilkł na chwilę, a następnie powiedział tylko:

- Nie zrywa się owocu z drzewa, póki nie dojrzeje.

Zbyła jego słowa machnięciem ręki.

- Będę wielce zobowiązana, panie, jeśli przestaniesz przyrównywać mnie do jabłka lub gruszki. A jeśli się nie postarasz, to może się okazać, że komuś innemu wpadnę do koszyka.

Chociaż jej żarty lekko go zaniepokoiły, udało mu się przybrać beztroski ton:

- Okazało się, że miałem sprawy do załatwienia, a Londyn był najlepszym po temu miejscem. - Przerwał na chwilę, by objąć spojrzeniem spokojne morze i odwieczne klify. - Tutaj życie jest inne. Wydaje się, że jedyną oznaką upływu czasu są zmiany w stylu ubioru. Gdzie indziej tak nie jest, uwierz mi.

- Czy błogie życie w rajskich ogrodach jest ci aż tak niemiłe?

Skrzywił usta w uśmiechu.

- Zawsze umiałaś trafić w samo sedno i rozbroić przeciwnika. - Na moment zapatrzył się w miękkie kosmyki włosów, które morską bryza przyciskała jej do policzka. - A gdzie twoja przyzwoitka, Cass? Nie przyszedłaś przecież nad morze bez towarzystwa.

- Wydaje mi się, lordzie Edwardzie, że nie byłbyś zbyt zadowolony, gdyby panna Petersham miała być świadkiem twojego wylewnego powitania.

- Co takiego? Becky ciągle jest u was? - Ta mała pulchna kobieta o niespożytej energii opiekowała się Cassie, od kiedy tylko pamiętał. Mimo iż zawsze była uprzejma, miał nieodparte wrażenie, że nigdy mu nie sprzyjała. -

Lwica ciągle chroni swoje młode - powiedział na głos.

Cassie się roześmiała. Edward dostrzegł, że jej miękki język przemknął

bo linii białych zębów.

R S

- Lwica Becky! Co za udana metafora. Jest dla mnie jak matka, Edwardzie, i to bardzo czujna matka. Becky ceni sobie poobiednią drzemkę, więc udało mi się przyjść tu samej. Tak czy inaczej, nie przekonasz mnie, panie, że wolałbyś zobaczyć mnie po raz pierwszy od trzech lat stojącą na drugim końcu salonu!

- Byłoby z pożytkiem dla nas obojga, gdybym zobaczył cię w pełni ubraną, a nie ociekającą wodą niczym półnaga nimfa.

Cassie zatrzymała się i powiedziała miękko:

- Ale skąd miałabym wtedy pewność, że nadal ci na mnie zależy? Byłbyś wówczas sztywny i wygłaszał uprzejme frazesy.

- Byłbym bliższy ideału opanowanego dżentelmena.

Cassie poczuła ukłucie strachu.

- Edwardzie, nie znalazłeś sobie chyba innej? Czy to dlatego tyle czasu spędziłeś z dala ode mnie, w Londynie?

- A niech mnie, Cass, przecież ty jesteś zaledwie osiemnastolatką!

- Tak - powiedziała cicho - a przy tym dojrzałą kobietą.

- Zechciej zauważyć, że miałaś się za kobietę prawie dojrzałą już w wieku lat ośmiu.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła. - Zupełnie o tym zapomniałam. Wtedy też, jeśli dobrze pamiętam, po raz pierwszy ci się oświadczyłam. Ale ty, jeśli mnie pamięć nie myli, byłeś pełnym powagi i ambicji młodzieńcem i nie traktowałeś tego poważnie.

Edward popchnął ją delikatnie w kierunku wielkiej skały, na której zostawiła schludnie poskładane ubranie.

- Ubierz się - powiedział szorstko. - Chyba masz coś suchego.

- Oczywiście, że mam. Byłbyś tak dobry i pomógł mi się przebrać? - zapytała figlarnie, starając się wyrwać go z nastroju, którego nie rozumiała.

R S

- Nie. Ale zadbam, by inny mężczyzna się tu nie zjawił, żeby zobaczyć cię naga.

- Ale, Edwardzie - odpowiedziała skromnie - jesteśmy na ziemi Broughamów. Ty jesteś jedynym mężczyzną, który kiedykolwiek zszedł na plażę i zobaczył mnie w wodzie. Co nasuwa pytanie, czy masz w zwyczaju szpiegować młode damy? Nie uwierzę, że rozpoznałeś mnie już w pierwszej chwili.

Edward mimowolnie się zarumienił. Gdyby była wiejską dziewczyną, a do tego chętną, to nie miał pewności, jak by się zachował.

- Ach, Edwardzie, widzę, że stałeś się rozpustnikiem. Czy to dlatego tak bardzo cię obchodzą rozpieszczone cudzoziemskie kobiety?

- Cassie, jaka z ciebie mądrała! A skąd ty wiesz o takich sprawach? Przecież Eliott nie rozprawia z tobą na takie tematy.

- Jak ci wiadomo, Eliott skończył dwadzieścia dwa lata i nie jest już chłopcem. Bez ustanku go pytam, co go tak zajmuje w Colchester i w Londynie, ale za żadne skarby nie chce mi powiedzieć. Mamrocze coś o ważnych sprawunkach, ale ja dobrze wiem, że to wierutne bzdury!

Cassie zdjęła jego płaszcz, a Edward się odwrócił.

- Odnoszę wrażenie, że po śmierci twojego ojca dopuszczono, byś wyrosła na rozpuszczoną pannę.

Cassie zakpiła, przybierając przesadnie smutny ton:

- Niestety, to prawda, ale cóż miałam poradzić, skoro jedyną pociechą w chłodne wieczory były dla mnie twoje krótkie listy. A sądząc po tym, jaki Eliott wraca rozanielony ze swoich eskapad, listy nie są zadowalającym sub-stytutem.

Uśmiechnął się, ale nie dał się wciągnąć w dyskusję.

- Wiadomość o śmierci twojego ojca nappełniła mnie smutkiem, Cass.

- Prawdopodobnie lepiej, że tak się stało - odpowiedziała rzeczowym tonem. - Bardzo się zmienił, wiesz, zwłaszcza w ciągu ostatnich dwóch lat. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że mnie unikał. Eliott jest zdania, że za bardzo przypominam matkę i mój widok sprawiał mu ból. Ja myślę, że zawsze miał mi za złe, że ją zabiłam.

- Nie bądź niemądra, Cassie - powiedział ostro, odwracając się do niej.

- Ale umarła, kiedy ja się rodziłam, Edwardzie. Miała tylko dwadzieścia dwa lata. Czuję rozpacz, kiedy tylko o tym pomyślę.

Edward nie odpowiedział od razu, wpatrując się w nią w milczeniu. Mia-

ła na sobie jasnoniebieską muślinową suknię, przewiązaną ciasno w talii. Siedziała na skale, zapinając pasek sandała. Zdążył rzucić okiem na kształtną okrytą białą pończochą nogę, zanim suknia opadła, zakrywając nawet kostki.

Wstała i podała mu dłoń.

- Czy teraz bardziej ci odpowiada mój wygląd, lordzie Edwardzie?

- Jesteś prawie tak piękna, jak ta piętnastoletnia dziewczyna, którą żegna-
łem trzy lata temu.

Uraczyła go promiennym uśmiechem.

- A ty, panie, wciąż jesteś najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego mia-

łam okazję poznać. - Udawiała, że lustruje go od stóp do głów. - Aż trudno mi zdecydować, mój panie, czy bardziej podziwiam jego rozmiar, czy...

- Co takiego?

Przekrzywiła głowę i uniosła brwi w niewinnym zdziwieniu.

- Pański wzrost - powiedziała.

Uśmiechnął się łobuzersko. Jaki z niego głupiec, żeby przypuszczać, że przy całej swojej niewinności mogłaby pomyśleć, a co dopiero napomknąć, o tym widocznym dowodzie uznania dla jej kobiecych wdzięków. Pospiesznie *R S*

dodał:

- Wzrost, czy...?

- Pana wzrost czy jego piękne oczy - dokończyła. Musnęła koniuszkami palców jego policzek. - Głęboki brąz, ze złotymi iskierkami, zupełnie jak pań-

skie włosy. Domyślam się, że wiele kobiet już to panu mówiło.

- Może jedna czy dwie, ale to nic dla mnie nie znaczyło. - Złagodniał, patrząc na jej twarz. - Liczyły się dla mnie tylko twoje listy. Choć twoja ortografia jest okropna, Cass. Nieraz mi się wydawało, że odcyfrowuję wojskowy szyfr.

- A twoje listy wyglądały jak zapiski z kampanii wojennych. Z czasem nabrałam wprawy w sporządzaniu map z soli i mąki, żeby śledzić, gdzie jesteś.

Biedna Becky nie mogła zrozumieć, skąd u mnie ta nagła miłość do geografii. -

Przystanąła i czubkiem buta zaczęła rozgarniać piasek. - Wielokroć miałam poczucie, że nie jesteś ze mną do końca szczerzy, Edwardzie. Nigdy nie udało mi się dojść, jak naprawdę wyglądało twoje życie.

Edward powiedział z zamierzonym chłodem w głosie:

- Wystarczy rzec, że wojna i żołnierskie życie niewiele mają wspólnego z bohaterskimi przygodami, o których marzyłem jako chłopiec. Posyłanie bliź-

nich do Stwórcy nigdy nie przynosi prawdziwej radości. A teraz, Cass, opowiedz coś o sobie. Czy bardzo dawałaś się we znaki pannie Petersham?

Przyjęła do wiadomości jego wymijającą odpowiedź, choć wciąż ją bola-

ło, że prawdopodobnie nigdy nie opowie jej więcej o swoich latach w wojsku.

Odpowiedziała swobodnie:

- Nie, w ogóle. Przez większość czasu zachowywałam się tak powścią-

gliwie, że nawet ty, Edwardzie, nie miałbyś zastrzeżeń. Nie przestałam tylko żeglować i pływać. Obawiam się, że opisy naszych przyjęć i kolacji nie stanowiły zbyt wciągającej lektury.

R S

- Tutaj się mylisz. Twoje listy zawsze przypominały mi o tym, co dla mnie najważniejsze. Jak panna Petersham odnosiła się do naszej korespondencji?

Słuchała jego słów w pełnym skupieniu, ale gdy usłyszała wzmiankę o swojej damie do towarzystwa, oczy jej się roześmiały.

- Biedna Becky! Jesteśmy ze sobą bardzo blisko, wiesz. Tylko na twój temat nigdy nie rozmawiamy. Eliott i ja dobrze to przemyśleliśmy i postanowiliśmy, że najlepiej będzie, jeśli w sprawie listów

popelnimy grzech zaniechania. Nigdy się nie dowiedziała.

- W takim razie rozumiem, że nie przyjmie mnie z otwartymi ramionami.

- Być może. Ale to Eliott jest moim opiekunem i ona nie ma tu wiele do powiedzenia. Pogodzi się z tym, zobaczysz. Chociaż obawiam się, że będzie straszliwie rozczarowana, że nie pojedziemy do Londynu. Chyba oczekiwała, że złapię samego księcia.

- Ty w parze z jednym z tych grubych niemieckich książąt! Dobry Boże!

- Ścisnął jej dłoń. - Chodź, Cass, weźmy klacz i odprowadzę cię do dworu.

Poczuł, że jej palce zaciskają się kurczowo i zobaczył, że patrzy na niego z niepokojącym uśmiechem.

- Zaczekaj, Edwardzie. Proszę, abys mnie raz jeszcze pocałował, zanim ruszymy w drogę. Nikt mnie wcześniej nie całował i muszę wyznać, że bardzo mi to przypadło do gustu.

Pochylił się i cmoknął ją lekko w usta. Wpatrywała się w niego uporczywym wzrokiem.

- Za pierwszym razem pocałowałeś mnie zupełnie inaczej. - I po chwili wahania dodała: - Te inne rzeczy też mi się podobały... wiesz, to co robiłeś z rękami.

R S

Stał przed nią sztywno, starając się stłumić rozsadzające mu lędźwie pożądanie.

- Cass, to nie przystoi - zaczął.

- Ale dlaczego, Edwardzie? Czy nie po to wróciłeś, żeby zostać moim mężem?

- Nie... tak! Psiakrew! Nie rozmawiałem jeszcze z Eliottem. Poza tym, czy ci się to podoba, czy nie, jest jeszcze sprawa twojego pierwszego sezonu towarzyskiego.

Jedna z gęstych, ładnie zarysowanych brwi wystrzeliła do góry.

- Sezon towarzyski? Ależ, Edwardzie, ja się tylko z tobą droczyłam. Teraz po twoim powrocie wszystko się zmienia. Nie jest mi pisany książkę, choćby nawet sam następca tronu.

- To jest ważne, Cassie - powiedział, ciężko wzdychając. - Dorastałaś z dala od wielkiego świata. Byłoby to nieuczciwe, gdybym nie pozwolił ci poznać innych dżentelmenów. Nie rozumiesz? Możesz spotkać kogoś, kogo wołałabyś na męża.

Cassie zadarła podbródek i przybrała dumną, upartą pozę, którą dobrze znał.

- Przyznaję, że jestem młoda i niezbyt doświadczona. Ale głupia, Edwardzie, nie jestem. Nie jestem

też naiwnym romantycznym dziewczęciem, z głową pełną ckliwych bredni. Od dawna wiem, że jesteś mężczyzną, który mi odpowiada. Proszę, byś nie kwestionował moich uczuć ani motywów.

- Sama nazwałaś to miejsce rajskim ogrodem, Cass. Nie wiesz nawet, co się znajduje za Ipswich.

- Edwardzie, mówisz tak, jakbym była wychowana w zakonie! Wiesz, że *R S*

kiedy ukończyłam siedemnaście lat, Becky namówiła Eliotta, żeby pozwolił mi upinać włosy i rzucić się w wir przyjęć i zabaw. Zapewniam cię, że byłam adorowana przez wielu dżentelmenów, także pochodzących z tego twojego wspaniałego Londynu. W większości przypadków stwierdzałam, że pod pudrowanymi perukami nie mają nic więcej, jak tylko próżną głowę. A zatem życzyłam sobie, byś położył kres tym nonsensownym dywagacjom.

- Niech tak będzie. Cass, wróćmy do tego przy najbliższej sposobności.

- Edwardzie, jeśli mi nie wierzysz, to znaczy, że muszę cię po prostu uwieść i zmusić, żebyś mnie poślubił.

- A co ty wiesz o uwodzeniu, panienko?

- Jeśli znów mnie pocałujesz, to myślę, że przyjdzie mi to zupełnie naturalnie.

Miała na twarzy tak kuszący kobiecy uśmiech, że honorowe zamiary Edwarda stopniały w jednej chwili. Przyciągnął ją gwałtownie do siebie i uca-

łował jej skronie, czubek prostego nosa, zagłębienie na szyi. Musnął jej usta w lekkim pocałunku i szepnął:

- Rozchyl wargi, kochana.

Z chęcią go posłuchała. Położył dłonie na jej biodrach, penetrując językiem usta, i podniósł ją lekko, by jej brzuch ciasno przywierał do jego ciała.

Przez suknię i halki Cassie wyczuwała ognistą twardość. Widziała już parzące się zwierzęta i wiedziała, że kiedy ludzie łączą się w pary, mężczyzna znajduje się w ciele kobiety. Poczuła niemal bolesne pragnienie narastające między udami i o niczym w tej chwili tak nie marzyła, jak o tym, by Edward był nagi, pieścił ją i stawał się jej częścią. Wbiła palce w jego plecy i przywarła do niego tak mocno, że przez pierś czuła bicie jego serca.

Kiedy nagle odepchnął ją od siebie, z piersi wyrwał jej się rozpaczliwy *R S*

jęk rozczarowania.

- Wystarczy, Cass - rzucił nieswoim głosem. - Nie, żadnych sporów, kochana. Nie pozwolę się uwieść dziewczątka, które rzekomo wcale się nie zna na uwodzeniu. Chodźmy, Cass, odprowadzę cię do Hemphill Hall.

Rozdział 2

Cassie ciągnęła Edwarda za rękę po szerokich frontowych schodach Hemphill Hall i z rozmachem otworzyła drzwi, o mało co nie zwalając z nóg Menklego, lokaja rezydencji Broughamów.

- Menkle, zobacz, kto nareszcie wrócił do domu! I to na dobre!

Zapominając o urażonej miłości własnej, Menkle uraczył wicehrabiego szerokim bezzębnym uśmiechem.

- Witaj w domu, panie.

- Dziękuję, Menkle.

- Gdzie jest Eliott, Menkle?

- W bibliotece, panienko Cassie. Sprawdza księgi majątkowe, jak sądzę.

Cassie wybuchła śmiechem.

- Biedny Eliott. Idę o zakład, że mamrocze przekleństwa i rwie włosy z głowy. Guilder spędził tu cały poranek - wiesz, nasz zarządca - i zostawił

R S

Eliotta z tysiącem słupków do zsumowania. Będzie wdzięczny, że ktoś go od tego odrywa.

Eliott Brougham, czwarty baron Tinnsdale, siedział w bibliotece, ale jego myśli zaprzętały nie tyle rachunki, co pewna urocza młoda dama. Patrzył niewidzącymi oczami na strony cyferek, by zaraz przenieść wzrok na wschodnie trawniki rozpościerające się za oknem. Wtedy właśnie do gabinetu bezceremonialnie wpadła Cassie.

- Zamknij te księgi, mój drogi. Mam dla ciebie niespodziankę!

- Cóż takiego, Cassie? Czyżbyś w końcu złapała mi wielką rybę na obiad?

- To nie ryba, Eliocie, ale ufam, że w końcu go złapałam.

- Edward! Na Boga, człowieku, kopę lat! - Eliott przyglądał kosmyk krę-

conych jasnych włosów na czole i energicznie podniósł się, by uściskać wycią-

gniętą dłoń Edwarda Lyndhursta.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy, Eliocie. Ta twoja szalona siostra przyciągnęła mnie tu, nawet nie pytając o zgodę. - Jest już mężczyzną, po-myślał Edward, przyglądając się bratu Cassie. Miał tę samą uśmiechniętą i przyjazną twarz, ale trzy lata wyostrzyły zarys szczęki, a w błękitnych oczach

kryło się teraz życiowe doświadczenie, a może nawet mądrość.

- Przywykłem, że wpada bez ostrzeżenia - zaśmiał się Eliott. - Tylko w wannie jestem bezpieczny.

- Edward wrócił do domu i już tu zostaje - powiedziała Cass, ciągnąc brata za rękaw - na zawsze.

- Ach tak? - ostrożnie zareagował Eliott, lustrując twarz Edwarda.

- Jak już zdążyła oznajmić, Eliocie, w końcu mnie złapała.

- Eliocie, on mnie pocałował. Czy nie uważasz, że nieodwracalnie mnie tym skompromitował? Nie pozostaje mu nic innego jak honorowe rozwiązanie.

R S

- Uważam, że najpierw powinien z nami wypić szklaneczkę sherry. Chociaż pisałeś do nas, kapitanie Lyndhurst, śmiem przypuszczać, że wciąż masz dużo do opowiedzenia.

- Twoje listy miały tak strasznie wojskowy ton, Edwardzie - dodała Cassie tytułem wyjaśnienia - że nie widziałam powodu, żeby Eliott nie miał ich czytać. Tylko jeden schowałam, bo gdyby go przeczytał, to byłby zmuszony cię posłać do ołtarza.

- Za twój szczęśliwy powrót do domu, Edwardzie - powiedział Eliott, stukając się szklanką z Edwardem i z siostrą.

- Za nowy początek! - dodała Cassie.

- Za dalszy ciąg tego, co miało początek dawno temu - uzupełnił Edward.

- Usiądźmy - powiedział Eliott, czując nagle, że jego obecność jest zbędna. Często zastanawiał się, czy uwielbienie, jakie Cassie całe życie żywiła dla Edwarda, przetrwa jej okres dorastania. Patrząc na nich, zdał sobie sprawę, że przetrwało. Chociaż nawet się nie dotykali, to tak na siebie patrzyli, jakby byli zespoleni w objęciu.

Eliott odchrząknął.

- Jak się miewa matka, Edwardzie?

- Cieszy się swoimi chorobami, jak zawsze. Śmierć wuja Edgara była dla niej dość dużym szokiem.

- Twój wuj był zacnym dżentelmenem - powiedział Eliott. - I majątek był

w dobrych rękach. A mówiąc o rękach, czy ta rana na ramieniu sprzed paru lat już się zagoiła?

- Jak najbardziej. Miałem szczęście, bo trafiłem na trzeźwego chirurga.

W Indiach to nie lada rzadkość.

- Chcę obejrzeć bliźnię. Nalegam - powiedziała zuchwale Cassie.

Eliott skarcił siostrę wzrokiem. *R S*

- Ależ, Cassie... Edward gotów pomyśleć, że jesteś źle wychowana. Trzeba było widzieć, co wyprawiała po tym, jak ostatecznie napisałaś o ranie. Była jak rozjuszona tygrysica i gdyby nie mój rozsądek i opanowanie, to śmiem przypuszczać, że w pojedynkę pozęgłowałyby swoim słupem do Indii.

- Bardzo się troskałam - przyznała pojednawczo Cassie. - A jeśli chodzi o Eliotta i jego rzekomy rozsądek, to należy traktować to z przymrużeniem oka.

Ale od kiedy został baronem Timnsdale, tak się stara dobrze wypaść, że bez ustanku przypisuje sobie różne niesamowite cechy.

- Przynajmniej w jego pojęciu rozsądku nie mieści się pływanie niczym jakaś nimfa wodna w oceanie, ani ryzykowne wyprawy chybotliwą łódką.

- Moja łódka wcale nie jest chybotliwa, mój panie. Natomiast co do mojego występu w roli nimfy, to zwątpię w twoją szczerłość, jeśli powiesz, że był

ci on niemiły.

- Cass, mam nadzieję, że nie zdjęłaś całego ubrania przed wejściem do wody.

- Była jak Wenus wychodząca z morza. Uroczy widok, muszę przyznać.

- Miałam na sobie hałeczkę na ramiączkach - sprecyzowała Cassie, przenosząc wzrok z uniesionych brwi brata na twarz Edwarda. Podniosła się z gracją i strzepnęła spódnice. - Skoro już zostałeś powiadomiony o bezwstydnym zachowaniu Edwarda, zostawiam was samych, byś mógł go z tego rozliczyć.

Tylko nie pozwól mu się wymknąć, bracie, bo przez wzgląd na moją nadszarp-niętą cnotę będę musiała pójść do klasztoru.

Kiedy Cassie wyszła, Eliott z zakłopotaniem zwrócił się do Edwarda.

- Ona nie owija w bawełnę, zresztą sam dobrze o tym wiesz. - Eliott nerwowo poprawił kołnierz. - Ty jej nie, to znaczy Cassie nie...

Edward zamrugał ze zdziwienia i lekko rozbawionym głosem odpowiedział: *R S*

dział:

- Miała na sobie hałkę, Eliocie, mokrą, niemniej jednak przyzwoitą hałkę.

Moje zamiary są honorowe, więc nie ma potrzeby mnie do niczego zobowiązywać. Chcę ją poślubić,

choć muszę wyznać, że dręczy mnie sprawa jej londyńskiego sezonu towarzyskiego. Ona teraz nawet nie chce o tym słyszeć.

Jest nie tylko szczerą, ale i nieustępliwą.

- Uparta jak osioł, kiedy sobie coś postanowi.

- To prawda. Aczkolwiek, jeśli uznasz, że powinna zaprezentować się w tym sezonie w Londynie, to tak między nami, myślę, że uda nam się ją utrzymać na wodzy.

- Cassie zawsze była stała w uczuciach do ciebie, Edwardzie, mimo iż przez jakiś czas wydawało mi się, że to nic innego, jak podziw dla mężnego żołnierza, który znajduje się daleko stąd. Jeśli zechcesz poślubić ją teraz, nie będę stawał ci na drodze.

- Cassie pewnie odwdzięczy ci się za takie poparcie, nazywając naszego pierworodnego na twoją cześć.

- Cassie matką! - Eliott, zdeorientowany, pokręcił głową. - A wydaje się, jakby zaledwie wczoraj sama była dzieckiem, które troszczyło się tylko o to, jak dobrze założyć przynętę na haczyk. Z drugiej strony, gdy spadłem z konia i złamałem nogę, w Cassie obudziły się matczyne instynkty. Zajmowała się mną i wlewała mi do gardła różne obrzydliwe mikstury.

- Dobrze, że nie wróciłem do Anglii, kiedy byłem ranny - Edward lekko się uśmiechnął do Eliotta, który wciąż wyglądał na zmieszanego. - Jak myślisz, Eliocie, czy dałoby się urządzić wesele za jakieś dwa miesiące?

- Widzę, że kapitan Lyndhurst nie zwleka, kiedy jest w ofensywie! Nie widzę przeszkód. Becky się tym zajmie i dopilnuje, żeby wszystko się udało. A R S

właśnie, panną Petersham najlepiej sam się zajmę.

- Jak sobie życzysz, Eliocie. No więc, przyjacielu, chciałbym z tobą po-mówić jeszcze o innych rzeczach. Jak Eliott Brougham radzi sobie w roli czwartego barona Tinnsdale?

Rozdział 3

Eliott Brougham uśmiechał się dobrodusznie do podenerwowanej panny Petersham.

- Daj spokój, Becky. Edward Lyndhurst jest moim starym przyjacielem, a do tego człowiekiem honoru. Jeśli Cassie go chce, to dlaczego ja miałbym podnosić larum?

- Ona ledwo skończyła osiemnaście lat, Eliocie! Jest tylko młodziutką dziewczyną i nie może wiedzieć, czego chce. Jej oszałamiający wicehrabia galopem zajeżdża pod dom i bez wątpienia sypie jak z rękawa opowieściami o swoich czynach. Cassie nie może zrobić nic innego, jak tylko paść mu w ramiona.

- Tutaj nie do końca masz rację, Becky. O ile znam Cassie, to raczej ona nie dała mu innego wyboru,

jak tylko wpaść jej w ramiona. Poza tym Edward wcale nie jest obcy, przecież pisywali do siebie przez te trzy lata.

R S

- Co robili? - Panna Petersham zachłysnęła się powietrzem.

Eliott miał na tyle przyzwoitości, by przybrać skruszony wyraz twarzy.

- No więc, Becky, Cassie i ja postanowiliśmy nic ci nie mówić, żebyś nie wpadła w furję.

- Chcesz powiedzieć, że Cassie postanowiła mi nie mówić, a ty, przeklęty młodzieńcze, musiałeś jej posłuchać. Jesteś od niej cztery lata starszy i od śmierci jego lordowskiej mości masz być jej opiekunem. - Panna Petersham jęknęła i zaczęła nerwowo przechadzać się po pokoju. - Obiecuj mi chociaż, Eliocie, że nie wydasz Cassie za mąż przed jej sezonem w Londynie.

Eliott pokręcił głową.

- Nie mogę pojąć, dlaczego nie cieszysz się, że Cassie wychodzi za mąż z miłości. Bóg świadkiem, że nieczęsto się to dzisiaj zdarza. I musisz przyznać, że Cassie nie zdradzała najmniejszego zainteresowania tymi podrostkami, któ-

rzy lgnęli do niej jak pszczoły do miodu. W Londynie czeka ją, moim zdaniem, to samo, tylko w większych ilościach. Dałem im moją zgodę i chcą się pobrać za dwa miesiące.

- Dwa miesiące!

Eliott próbował ją udobruchać.

- Mówisz, jakbyśmy mieli ją utracić na rzecz jakiegoś galanta, który wy-wiezie ją na koniec świata. A przecież dwór Delford jest tylko dwie mile stąd i ufam, że życie nas wszystkich będzie toczyć się podobnie jak do tej pory.

Panna Petersham wzięła głęboki wdech, by się uspokoić.

- No co się stało, to się nie odstanie. Żałuję tylko, że nie wiedziałam o tym wcześniej.

Eliott z czułością poklepał ją po pulchnym ramieniu.

- Wiesz, że jak Cassie się na coś zawezmie, to nic jej nie powstrzyma.

R S

Znając twój geniusz organizacyjny, jestem pewien, że przez dwa miesiące przygotujemy takie wesele, jakiego inni by i przez pół roku nie urządzili, prawda? - Eliott posłał jej promienny uśmiech i stłumił westchnienie ulgi, że od teraz wszystko jest w jej kompetentnych rękach.

Panna Petersham uśmiechnęła się słabo. Ile to już razy stwierdzała, że Eliott powinien być dziewczyną, a Cassie chłopcem. Ona była silna, bystra i zawsze zdolna dopiąć swego, natomiast on - prostolinijny, uległy i dawał siostrze sobą kierować.

- Popuść dzieciom cugli, a już ich nie upilnujesz - powiedziała wymijająco.

Poprawiła koronkowy czepek i wyszła z salonu, szeleszcząc czarnymi spódnicami.

Eliott z ulgą wypuścił powietrze i popatrzył na wystającą zza drzwi głowę siostry.

- Już po wszystkim? Powiedziałeś jej?

- Powiedziałem, ty mała kokietko, i wierz mi, że niezbyt jej to przypadło do gustu.

- Wiem. Słyszałam furkot jej spódnic i czekałam schowana za wazonem, aż zniknie z pola widzenia. - Cassie podeszła do brata i uściskała go. - Dziękuję ci, braciszku, że wzięłeś byka za rogi. Nie myślisz, że naprawdę chciała, żebym wyszła za

jakiegoś brzuchatego niemieckiego księcia?

- Bóg jeden wie. Może chciała tego londyńskiego sezonu dla samej siebie. - Wbił pełne winy spojrzenie w swoje kształtne białe dłonie. - Niestety wymknęło mi się, że ty i Edward pisywaliście do siebie przez całe trzy lata.

Cassie chwyciła za długi gruby lok, który zazwyczaj opadał jej na ramię.

- No cóż, będzie się na mnie dąsać przez jakiś czas. Potem pošlemy kapitaną Lyndhursta, żeby ją oczarował i wprowadził w lepszy humor.

- Tylko nie nazywaj go kapitanem w jej obecności. Becky myśli, że *R S*

Edward zasypał cię historiami o swoich wojennych czynach.

- To będę musiała jej powiedzieć, że zamiast mnie nimi zasypać, milczy jak zaklęty. Nie chce mówić o swoich przeżyciach i wcale mi się to nie podoba.

Trzymając język za zębami, Eliott przywołał w myśli kilka bardziej ma-kabrycznych opowieści Edwarda. Zobaczył, że Cassie przygryza dolną wargę, co było jej nawykiem z dzieciństwa.

- Powinnam mieć dość czasu, by go przekonać, że nasi synowie są stworzeni do służby w marynarce, a nie w kawalerii. To mi wygląda na znacznie bardziej interesujące powołanie. Czy w ogóle możesz sobie wyobrazić, żeby ktoś przy zdrowych zmysłach wolał ląd od morza?

Eliott roześmiał się i dał siostrze lekkiego kuksańca w ramię.

- Uważaj, Cass, bo Edward jest człowiekiem o żelaznych zasadach i wyrobionych poglądach na to, co przystoi angielskim damom. Może się okazać, że wyciągnie twoją łódkę na brzeg i przytnie ci ten

syreni ogon.

Cassie pokręciła głową.

- To nonsens, Eliocie. Edward wie, jak bardzo kocham morze i trudno mi sobie wyobrazić, żeby po ślubie zaczął mi rozkazywać.

Eliott tylko się uśmiechnął i to bardziej do siebie niż do siostry.

- Domyślam się, że Becky będzie mieszkać z tobą w dworze Delford.

- Jeśli pozwolisz, Eliocie. Dla nas obojga była jak matka. Nie potrafiłabym pogodzić się z myślą, że już nigdy nie siądzie ze mną do śniadania, nie da mi lekcji cerowania prześcieradeł ani nie sprawdzi, czy w spiżarni jest wystarczający zapas wędlin.

Eliott popatrzył na nią przygnębiony.

- Stracę i ciebie, i Becky. Hemphill Hall nie będzie już taki sam.

- Ja również będę boleć nad tą stratą. To, że będę mieszkać w Delford *R S*

Manor, nie znaczy jednak, że nie będę cię tu odwiedzać! - Uściskała go lekko.

- Och, Eliocie, taka jestem szczęśliwa. I to nie tylko ze względu na Edwarda.

Wszyscy będziemy razem... nawet nasze dzieci będą się razem wychowywać.

- Wicehrabia Delford, mój panie.

Rodzeństwo odwróciło się, słysząc anons Menklego.

Edward Lyndhurst wszedł do salonu i przystanął, ze wzrokiem wlepionym w Cassie. Jego uwagę przykuwała nie tyle jej buzia czy figura, co ta radość bijąca z jej oczu, gdy na niego patrzyła. Zerwała się w jego stronę, jakby nie mogła znieść najmniejszej rozłąki.

Eliott odchrząknął.

- Na Boga, Edwardzie, masz całe życie, żeby się na nią gapić.

- Drań! Nie słuchaj go, Edwardzie. Nie ma nic ciekawszego do powiedzenia, więc musi mi cały czas dokuczać.

- Wejdz śmiało, Edwardzie. Cassie i ja rozmawialiśmy właśnie o przeważce marynarki nad wojskiem lądowym. Domyślam się, że wolelibyście zostać sami, więc sobie pójdę.

- Na spotkanie z panną Penworthy, Eliocie?

- Do diabła, a dlaczegoż by nie? Skoro ty i Edward wpatrujecie się w siebie jakby was ktoś zdzielił

po głowach, to pozwól i mi popróbować.

- Panna Pennworthy ma takie wspaniałe brązowe oczy, że na pewno świetnie jej to pójdzie. Eliza już teraz spija każde słowo z jego ust, Edwardzie, jakby był greckim bogiem, niosącym nam śmiertelnikom dar mądrości.

Eliott posłał siostrze grymas i zasalutował do Edwarda, mówiąc:

- Rozpraw się z nią, dobrze ci radzę.

Gdy już byli sami, Edward wyciągnął do niej dłoń.

- Chodź do mnie, ukochana - powiedział miękko.

- Czy zamierzasz się ze mną rozprawić, panie?

R S

- Jest tyle spraw, które muszę z tobą załatwić, zanim to zrobię.

Nieśmiało przyjęła wyciągniętą dłoń.

- Liczę, że zawsze będziemy tacy zgodni. Chyba od zeszłego wieczora nie wspomniałam nic, mój panie, jak bardzo cię kocham.

- A zatem dzisiaj także mnie kochasz? - zapytał, muskając palcami jej rozchylone wargi.

- Chyba nie mam wyjścia - powiedziała, przyciskając delikatnie policzek do jego dłoni. - W przeciwnym razie uznałbyś mnie za kobietę upadłą, wiedząc że w twojej obecności przychodzą mi na myśl różne takie rzeczy raczej bardzo... fizyczne.

Ucałowała dłoń Edwarda i znalazłszy się w pierścieniu jego objęcia, przytuliła policzek do jego ramienia.

- Jestem chyba najszczęśliwszym z mężczyzn - powiedział i przyciągnął

ją mocniej do siebie. Poczuł, że błyskawica przesywa jej ciało przy najbliższym pocałunku i pomyślał, że jej namiętność będzie mogła się równać z jego własną. Pocałował jej drobne białe ucho i z westchnieniem odsunął ją od siebie.

- Chodźmy, Cass, Stary Winslow wystawił na sprzedaż konia i obieca-

łem, że go dzisiaj obejrzę. Czy będziesz łaskawa mi towarzyszyć?

- Będę łaskawa, mój panie. Jeśli trzeba nam spędzić popołudnie na oglądaniu konia, to lepiej teraz niż po ślubie.

Rozdział 4

A niech cię, panienko Cassie! Jak nie będzie panienka stać spokojnie, to będzie mieć wszystkie guziki krzywo.

- Och, pospiesz się, Dolly, goście zjawią się lada chwila.

Kręcąc pobłaźliwie głową na swoją wiercącą się panią, Dolly Mintlow chwyciła guziczki w powykręcane reumatyzmem palce i zaczęła przyszywać je do satynowej sukni w kolorze kości słoniowej.

- Już, panienko, gotowe. Ale co z fryzurą! Już jeden lok uciekł panience na twarz.

Cassie westchnęła i czekała spokojnie, aż Dolly poprawi jej kok. Popatrzyła w lustro i się skrzywiła.

- Czy wszystkie te nonsensowne zabiegi są naprawdę konieczne? Czy nie mogę po prostu być sobą? Przez cały ten puder czuję się jak stara kobieta.

- Nie jesteś już dziewczynką, panienko Cassie, a młode damy pudrują R S

włosy. Jaka szkoda, że nie ma panienka ani krzty próżności. Założę się, że nie ustoi panienka spokojnie i cały puder znajdzie się na sukni.

- Dobrze chociaż, że suknia jest biała.

- Dolly ma rację, Cassandro. Odrobina dekorum wcale by ci nie zaszkodziła. Mamy dziś wieczór wielu ważnych gości i nie chciałabym, żeby uznali cię za nieokrzesaną chłopczycę.

Cassie przybrała potulną minkę, pochyliła głowę i zaczęła kręcić młynka kciukami.

- Czy teraz lepiej, Becky?

Panna Petersham tylko jęknęła i energicznym ruchem wsunęła kilka nieposłusznych szpakowatych kosmyków pod koronkowy czepiec.

- Nie interesują mnie twoje gierki, Cassie. Teraz wstań, żebym mogła zobaczyć, czy suknia dobrze leży.

Cassie wstała i posłusznie wykonała powolny obrót przed panną Petersham.

- W porządku. Teraz chodź, będziesz witać gości z Eliottem i wicehrabią.

- Och, Becky, dlaczego zawsze mówisz o Edwardzie „wicehrabia”? To okropnie bezosobowe, a do tego brzmi, jakby był prześladowcą małych dzieci, albo coś w tym rodzaju.

- Cassandro, zechciej powściągać język.

- Proszę bardzo, moja droga smoczyco, będę świeciła przykładem przynajmniej przez następny tydzień. Ale gdy już się pobierzemy z Edwardem, to przysięgam, że stanę się okrutnie grzeszna.

- Wygląda panienka jak anioł, panienko Cassie - powiedziała Dolly, zupełnie nieświadoma, że przerwała w bardzo fortunnym momencie.

- Z całym tym białym pudrem to nawet czuję się jak anioł. Pomożesz mi to później wyszczotkować z włosów, Dolly?

R S

- Oczywiście, panienko Cassie. Będę tu na panienkę czekać.

Cassie uścisnęła pokojówkę i wyszła za panną Petersham z sypialni.

Kiedy schodziła za swoją opiekunką po szerokich kręconych schodach, przebiegł ją rozkoszny dreszcz. Jeszcze tydzień i będzie wicehrabiną Delford.

Uśmiechnęła się do wyprostowanych pleców panny Petersham, wyobrażając sobie, jaki ta wydałaby zszokowany okrzyk, gdyby mogła poznać jej myśli.

Tego samego popołudnia Becky zawołała Cassie do swojego pokoju, by po dłuższym wstępie zapytać, czy wie, jakie obowiązki czekają ją w noc poślubną.

Cassie zdusiła śmiech i próbowała zareagować, jak na wystraszone dziewczę przystało.

- Myślę, że posiadam dość ogólne pojęcie, Becky - przyznała.

Z ust panny Petersham wydobyło się słyszalne westchnienie ulgi.

- Ogólne pojęcie w zupełności wystarczy. Twój mąż zajmie się szczegółami.

- Wierzę, że Edward jest na tyle doświadczony, że wszystko pójdzie gładko. - Zaraz pożałowała tej nieprzemyślanej uwagi i popatrzyła na Becky w oczekiwaniu reakcji. Opiekunka przyglądała się jej z dziwnie poważną miną i zmrużonymi brązowymi oczami.

- Przepraszam Becky, że tak cię drażnię - pospieszyła dodać Cassie, kładąc dłoń na jej ramieniu.

- Nie, dziecko, wcale mnie nie drażnisz. - Wydawało się, że zamierzała powiedzieć coś jeszcze. Nie minęła chwila, a zachowywała się już normalnie, napominając Cassie, żeby nie ssała kciuka jak byle wiejskie dziecko.

- Wyglądasz przepięknie.

Cassie podniosła wzrok i ujrzała Edwarda, który stał u stóp schodów. Był

ubrany z elegancją a bez egzaltacji, w czerń i srebro, a jego kasztanowe włosy również były upudrowane i związane czarną wstążką na karku.

R S

- I bardzo dorośle.

- To wszystko przez ten przeklęty biały proszek - wyznała, uśmiechając się do narzeczonego i chwytając go pod rękę.

- Co słyszę? Moja pani nie chce być modna?

- Zechce, jeśli taka jest twoja wola - powiedziała skromnie. - Wiesz jednak, że to wszystko trzeba usunąć wieczorem, przed udaniem się na spoczynek.

- Słuszna uwaga. A oto Eliott oraz panna Pennworthy.

Jasne loki Eliotta były pokryte pudrem i ufryzowane na artystyczny nie-

ład. Edward podejrzewał, że mocno nakrochmalony kołnierz nie pozwala Eliottowi swobodnie poruszać głową. Ujął drobną dłoń panny Pennworthy, stwierdzając, że jej owalna twarz z zadartym noskiem, okolona czarnymi lokami jak sprężynki doskonale kontrastuje z jasną urodą i blond włosami Eliotta.

- Nie minie tydzień, stary druhu, a będzie tylko twoja. - Eliott przyjrzał

się kreacji Cassie i puścił do niej oko.

- Pilnuj się Eliocie, bo Eliza gotowa pomyśleć, że nie dbasz o swoją biedną siostrę. - Cass odwróciła się i uśmiechnęła do filigranowej panny Pennworthy. - Jestem taka pokrzywdzona, moja droga. Eliott pozbywa się mnie, oddając pierwszemu mężczyźnie, który zaproponował małżeństwo.

- Ależ co ty mówisz, Cassandro! - zupełnie poważnie odpowiedziała panna Pennworthy. - Przypomnij sobie tylko, co Eliott mówił o twoich adora-torach, którzy prześladowali go przez ostatnie pół roku. No i przecież był

wśród nich Oliver Claybourne, trochę ślamazarny, przyznaję, ale przy tym...

Eliott jęknął i zdecydowanym ruchem chwycił dłoń panny Pennworthy.

- Ona sobie z ciebie żartuje, Elizo. Nie bierz poważnie ani jednego jej słowa.

- Cóż, Eliocie. Ja o tym wiem, ale wiem też, że ciebie bawi, gdy pozwa-

R S
lam z siebie żartować. Chodź, mój drogi, muszę wracać do mamy.

- Czyli utrzymujesz, że to ja zaproponowałem to małżeństwo? - zapytał

zbulwersowany Edward, gdy tylko panna Pennworthy odeszła z Eliottem.

- Jeśli chcesz moich pieniędzy, panie, to musisz najpierw założyć mi na palec ślubną obrączkę.

- Skoro jestem łowcą posagów, jak twierdzi panna Petersham, to nie pozostaje mi nic innego jak brać plewy razem z ziarnem.

Cassie nagle poczuła, że spoczywają na nich zbolące oczy matki Edwarda. Wyciągnęła ręce do tej niskiej, wątłej kobiety.

- Jak cudownie, że mogła pani przyjść. Zadbamy o to, żeby się pani nie przemęczyła.

- Drogie dziecko - westchnęła lady Delford. - Mimo iż nie czuję się dobrze, uważam za swój obowiązek być z wami dziś wieczorem. Razem tworzymy teraz rodzinę. Ależ biało wyglądasz, Cassandro! Wcale bym cię nie pozna-

ła. I patrzcie tylko na pannę Petersham. Ileż ona ma energii! Mówiła mi, że nigdy nie była chora, ani przez jeden dzień. - Lady Delford znowu westchnęła i spojrzała smętnie na syna.

- Musisz być dzisiaj dzielna, mamó, w przeciwnym razie ludzie gotowi pomyśleć, że twoja choroba wcale nie jest prawdziwą chorobą, tylko nie chcesz przyjąć Cassie do naszej rodziny.

- Ci, którzy mnie znają, drogi Edwardzie, dobrze wiedzą, że moje choro-by nigdy nie są udawane. Tymczasem, kochani, muszę porozmawiać z lady Halfax. Jakież straszliwe przeziębienie ją dopadło! A wszystko przez to, że nie słuchała moich rad. Kto to widział, żeby jeździć konno w deszczu za psami gończymi! Liczę na to, że ty, Cassie, będziesz lepiej wiedziała, jak należy chronić kruche kobiece zdrowie.

- Naturalnie, proszę pani, oczywiście - odpowiedziała Cassie bez zająk-R S

nięcia.

Edward wyszczerzył zęby, gdy tylko matka odwróciła się plecami, by odejść. Następnie, zakrywając usta dłonią, szepnął:

- Nie martw się, Cass. Wybiera się do Bath. Będzie mieszkać ze swoją siostrą.

- Och, Edwardzie, to okropne - powiedziała Cassie ze szczerym żalem. -

Jestem przekonana, że możemy żyć zgodnie pod jednym dachem. Zapewniam cię, że nie jestem typem władczej kobiety.

- To nie chodzi o ciebie, Cass. Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, powiedziałem jej, że panna Petersham z nami zamieszka. Słyszając to, podjęła decyzję o wyjeździe.

- Jesteś niegodziwy, Edwardzie Lyndhurst.

- Skądże znowu. Próbuję tylko zabezpieczać flanki. Kochana, chodźmy powitać naszych gości.

Razem z Eliottem i panną Petersham stali pod wielkim kamiennym łukiem, który prowadził do sali balowej - części Hemphill Hall dobudowanej przed około dwudziestu laty przez trzeciego barona Tinnsdale - i przyjmowali gratulacje z rąk barwnie odzianej okolicznej szlachty. Właśnie przywitał się z nimi sir John Winslow, nazywany przez Edwarda starym Winslowem - bezceremonialny, wielkoduszny człowiek, chory na podagrę.

- Zawsze czuć od niego zapach stajni - szepnęła Cassie Edwardowi do ucha. - Myślę, że mogłabym go zabrać w jeden z moich rejsów.

- Lord i lady Dawes - zaintonował Menkle.

Biedna lady Dawes, pomyślała Cassie, witając się z nimi. Musi znosić rozpustnego męża, który traktuje ją jak kłodę drewna, ślepa i głucha na jego wybryki.

Pół godziny później, gdy Cassie zaczęła już przenosić ciężar z nogi na *R S*

nogę i przeklinać w duchu wysokie obcasy, podszedł do nich niespiesznym krokiem lord Anthony Welles, hrabia Clare. Jego upudrowane włosy odcinały się wyraźnie od ogorzałej twarzy.

- Lordzie Anthony, jak to miło, że pan przyszedł - powiedziała Cassie, uśmiechając się szeroko do eleganckiego hrabiego, którego znała od dzieciństwa.

Hrabia delikatnie ucałował jej dłoń i skłonił się lekko Edwardowi i Eliottowi.

- Widzę, że udało się wam zgromadzić czcigodne towarzystwo - powiedział, zajrzawszy do sali balowej. - Są i muzycy z Colchester. Osobiście uwa-

żam, że świetnie grają menueta. Cassandro, liczę, że zarezerwujesz dla mnie taniec. Eliocie, lordzie Edwardzie, panno Petersham, kłaniam się nisko.

- On zazwyczaj zjawia się na przyjęciach jako ostatni.

- Biedny Menkle, zupełnie ochrypnie, jeśli przyjedzie jeszcze więcej go-

ści. Mnie natomiast bardzo bolą stopy. - Cassie nie skończyła wypowiadać tych słów, gdy pojawili się Websterowie, domagając się powitań i serdeczno-

ści.

- Będę musiał schować brandy - powiedział Eliott.

- On w istocie ma czerwony nos - zgodziła się Cassie, nie przestając szeroko się uśmiechać.

- Pan Webster i wasz ojciec byli blisko zaprzyjaźnieni - surowo napomniała ich panna Petersham. Padający z nóg Menkle dał jej sygnał, że to już koniec gości. - Możesz dać stopom odpocząć, Cassie, choć oczywiście najpierw musisz zatańczyć z wicehrabią.

- Widzisz, jak muszę się dla ciebie poświęcać, panie - powiedziała Cassie, ujmując ramię Edwarda.

R S

Kiedy odchodzili, usłyszała jeszcze stanowczy głos panny Petersham:

- Eliocie, postaraj się nie spędzić całego wieczoru uczeplony panny Pennworthy. W przeciwnym razie ani się obejrzysz, jak jej kochana mamusia pośle cię do ołtarza.

Rozdział 5

Edward bezwiednie okręcał wokół palca długi kosmyk złocistych włosów, spoglądając w dal na widoczne między gałęziami drzew spokojne morze.

W trakcie pięciu lat w armii, spędzonych na spalonych słońcem równinach na północ od Kalkuty i pośród surowych, lecz pięknych krajobrazów Port of Pondicherry, prawie zapomniał, jak spokojne potrafi być życie na angielskiej wsi.

Burzliwa sytuacja międzynarodowa, okropieństwa wojny, a nawet polityczny nieład narastający wokół osoby króla Jerzego III i jego nieudolnych ministrów

- tutaj to wszystko wydawało się tak odległe, jak angielskie kolonie za Atlantykiem.

Nigdy nie będzie żałował lat spędzonych w wojsku, choć wiedział też, że do końca życia nie pogodzi się z tym ogromem zniszczeń i pogardą dla ludzkiego istnienia, które musiał oglądać. Mimo to nie był pewien, czy tak łatwo porzuciłby ten rygorystyczny tryb życia, do którego zdążył przywyknąć, gdyby *R S*

nie chodziło o Cassie. Teraz, pomyślał, czeka go mało spektakularna kariera angielskiego dżentelmena osiadłego na wsi. Nawet jeśli, obiektywnie rzecz biorąc, takie życie zapowiadało się dość nudno, był przekonany, że nie sposób się nudzić, mając Cassie u boku. Cassie oraz w przyszłości synów i córki.

Wypuścił z ręki pukiel i skręcony przez niego lok odskoczył do góry.

Ujął ponownie złote loki i musnął je ustami, rozkoszując się ich miękkością.

Cassie przebudziła się z lekkiej drzemki i podniosła głowę z ramienia Edwarda. Spojrzała na jego twarz, a malujące się na niej nastroje zdążyła się nauczyć rozpoznawać w ciągu dwóch miesięcy, jakie minęły od powrotu narzeczonego.

- Skąd to zamyślenie, kochany? - zapytała, dotykając jego warg opuszkami palców. - Chyba nie żałujesz teraz, że mnie bierzesz za żonę?

Edward delikatnie poskubał wargami jej palce i przysunął ją do siebie.

- Właściwie to zastanawiałem się, czy wolałbym, żeby nasze pierwsze dziecko było dziewczynką czy chłopcem.

- Na Boga, Edwardzie, czy nie mogę choć przez jakiś czas pozostać chuda?

Jej wielkie oczy przekornie patrzyły na jego usta.

- Pozwolę ci pozostać szczupłą, kochana, jeśli obiecasz nie zasypiać w mojej obecności, przynajmniej do ślubu. Jeśli już teraz się ze mną nudzisz, to boję się pomyśleć, co będzie za rok.

- Za rok, mój panie, nie będą cię już ograniczać te idiotyczne zakazy i konwenanse i wierzę, że odkryjemy jakieś atrakcyjniejsze rozrywki. - Jej głos przeszedł w ponętny, chrypliwy szept, a kiedy zaczęła błędzić palcem po jego piersi, w przypływie niewinnej ciekawości, przesuwając się niżej na brzuch, Edward nie od razu zareagował.

R S

Zaraz jednak zerwał się na nogi i pociągnął Cassie do góry. Nabrzmiały członek napierał boleśnie na przód bryczesów i Edward musiał się odwrócić, żeby odzyskać panowanie. Nie przypuszczał, by w swej naiwności zdawała sobie sprawę, jaki wpływ ma na niego jej dotyk.

- A ty, Edwardzie - zza pleców dobiegł go głos Cassie - skoro już teraz nie możesz znieść mojego widoku, to czy za rok każesz mi nosić na głowie worek?

- O ile obiecasz, że nie założysz nic oprócz worka, to nie będę się spierał.

Zaśmiała się z zachwytem, a Edward wyobraził sobie dołeczki pojawiają-

ce się po obu stronach ust. Odwrócił się do niej, chwilowo uspokoiwszy pożą-

danie, by się przekonać, że Cassie stoi tuż przed nim z niepokojącym błyskiem w oku.

Miała na sobie cienką muślinową suknię w bladozielonym kolorze. Dzię-

ki Bogu, stanik sukni był zapięty na małe guziczki pod samą szyję.

- Spójrz, Edwardzie - krzyknęła nagle, osłaniając oczy od słońca i patrząc w morze - tam daleko, po twojej lewej. Jaki cudowny jacht! Patrz, jak żagle łopocą na wietrze. Wydaje mi się, że widzę podstawy dźwiał na lewej burcie.

Piękny statek, pomyślał Edward, patrząc we wskazanym przez palec Cassie kierunku, i wystarczająco duży na rejsy oceaniczne.

- A niech mnie! - Cassie odwróciła się do Edwarda. - Płynie tak szybko, że nie mogę zobaczyć, czy jest z Anglii. - I dodała: - Tak bym chciała na nim popływać.

- Pewnie płynie do Londynu. W każdym razie, moja droga, będziesz za bardzo zajęta, żeby zajmować się jachtami. Pamiętaj o naszej podróży po-

ślubnej do Szkocji.

- Jestem pewna, że w Szkocji żeglarstwo kwitnie, mój panie, i jeśli zdeR S

cydujesz się wypłynąć ze mną choć raz, to ręczę, że zmienisz zdanie o żeglowaniu.

- Ja nie wątpię w twoją odwagę, Cass. Rzecz w tym, że mam bardzo zdrowy szacunek dla morza i jego potęgi. Chodź, przejdźmy się na plażę. Wi-dzę przecież, że aż cię świerzbi, żeby zdjąć pończochy i sandały i wejść do wody.

- Jest tak ciepło, mój panie - powiedziała potulnie. - Może dałbyś się na-mówić na pół godzinki wspólnego pływania?

- Domyślam się, że przyniosłaś zapasową koszulkę na tę okazję.

- Ależ nie - odpowiedziała z rozbrajającą szczerością. - Myślę, że bez ubrania będzie znacznie ciekawiej.

Zaśmiała się tylko na widok jego piorunującego spojrzenia, zakasała spódnicę i zerwała się w kierunku prowadzącej na plażę ścieżki.

- Nie skręć karku, ty mała chłopczyco! - dobiegł ją krzyk Edwarda.

Cassie zatrzymała się dopiero na plaży i odwróciła się zdyszana, by ujrzeć sylwetkę zbiegającego po kamienistej ścieżce Edwarda. Gdy zbliżał się do niej, dostrzegła pracujące rytmicznie mięśnie ud i brzucha i zapragnęła ich dotknąć, by poczuć smukłość i twardość jego ciała.

Edward złapał ją za ramiona i lekko nią potrząsnął, choć w jego oczach czaił się śmiech. Cassie nie odpowiedziała mu tym samym, a tylko stała i patrzyła na niego z rozchylonymi leciutko wargami.

Przemknęło jej przez myśl, że stoją bez ruchu na otwartej przestrzeni -

nie mogła raczej liczyć na to, że zechce ją tutaj pocałować. Przypomniała sobie, że ledwie dwadzieścia metrów dalej znajduje się mała jaskinia, wydrążona niegdyś przez uderzające w skałę morze, która zapewniłaby im osłonę i pry-watność. Wyrwała się Edwardowi i puściła się pędem przez plażę, w nadziei, że uda jej się dotrzeć do jaskini, zanim ją złapie.

R S

Edward patrzył za nią w osłupieniu.

- Cassie, do diabła! - krzyknął, ale się nie zatrzymała.

Pokręcił głową i popędził za nią. Plaża nagle ostro zakręcała, a kiedy już znalazł się za zakrętem,

nigdzie nie było jej widać.

- Cassie, jak tu zaraz nie przyjdiesz, dostaniesz w tyłek!

Kątem oka zarejestrował błysk zieleni i się odwrócił. Stała w wejściu do jaskini.

- Najpierw musisz mnie złapać, mój panie! - krzyknęła i znikła w środku.

Oczy Edwarda szybko przywykły do mroku jaskini i po chwili dojrzał

Cassie, stojącą cicho ledwie metr od niego.

- Niestety - powiedziała zziębnięta. - Wygląda na to, że złapałeś mnie w pułapkę, panie.

- Zaslugujesz na porządne lanie, moja panno.

- Tak, Edwardzie - odpowiedziała potulnie i zwiesiła głowę.

Momentalnie poczuła uścisk jego dłoni na ramionach i ciepły oddech na czole. Podniosła głowę i rozchyliła wargi w niemej zachęce.

Niejasno zdawał sobie sprawę, że go tu zwabiła, ale stała tuż przy nim, na palcach, podając mu usta do pocałunku. Poczul, że skrupuły opuszczają go jeden po drugim. Ostatecznie już za dwa dni będą małżeństwem.

- Tak bardzo cię kocham, Edwardzie - wyszeptała pełnym napięcia głosem. Poczul, jak jej piersi unoszą się i opadają i splótł dłonie na jej plecach.

- A ja ciebie, Cass. - Pochylił głowę i dotknął jej warg.

Wsuwając język do jej zachęcających ust, wdychał słodki zapach. Stawał

się coraz bardziej pożądlivy, wplątując władczo dłonie w masę złotych jedwabistych włosów opadających gęstymi falami aż do pasa. Zadrżał na całym ciele, gdy ona wbiła mu palce w plecy i z nagłą, a zarazem niepewną namiętno-

ścią poruszała językiem w jego ustach.

- Proszę cię, Edwardzie, dotknij mnie tak, jak wtedy na plaży, kiedy mnie po raz pierwszy zobaczyłeś.

Wyplątał dłonie z jej włosów i zaczął masować jej miękkie biodra.

Chwycił ją za pośladki i podniósł nieznacznie, by przycisnąć ją brzuchem mocno do siebie.

- Niech diabli porwą te idiotyczne spódnice i halki! - Odskoczył od niej, by szybkim ruchem zrzucić z siebie płaszcz.

Rozłożył go na piasku i wygodnie się ułożył.

- Chodź do mnie, Cass - powiedział, wyciągając do niej rękę.

Cassie uklękła tuż przy nim i pozwoliła, by wziął ją w ramiona. Opadła na jego klatkę piersiową, tak że jej włosy falowały wokół jego twarzy. Edward zatoczył palcem koło na jej podbródku i przysunął głowę do siebie, by móc jej spojrzeć w oczy. Były wielkie i ciemne w bladym świetle, wypełnione

ścią i pożądaniem.

- Połóż się na plecach, Cass - powiedział miękko.

Sam podparł się na łokciu i odgarnął jej włosy z twarzy, układając je w złotą aureolę wokół głowy.

- Boże, ależ jesteś piękna - wyszeptał. Końcami palców prześledził prostą linię jej nosa i delikatnie obrysował policzki.

- Czuję się taka... rozpalona, Edwardzie - mówiła nieśmiało, gdy on palcami lekko dotykał jej ust. - Serce tak mi bije i ledwie oddycham.

Zobaczył, że otworzyła szerzej oczy, kiedy ujął jej pierś w dłoń. Zadrżała na całym ciele.

- To jeszcze nie wszystko, nie wszystko.

- Proszę, Edwardzie, naucz mnie. Uczyń mnie kobietą.

R S

Mimo iż posiadał duże doświadczenie w tej materii, Edward nie mógł

powstrzymać drżenia palców, kiedy próbował rozpiąć guziczki jej sukni. Pragnął jej tak, jak jeszcze nigdy nie pożądał żadnej kobiety. Leżała bez ruchu, patrząc to na niego, to na rozchyłający się materiał, aż wreszcie pociągnął za niebieskie wstążki, które utrzymywały jej piersi w staniku gorsetu. W chwili gdy chłodne powietrze dotknęło jej skóry, zastygła. Żaden mężczyzna nie widział jej jeszcze nagiej.

- Nie obawiaj się, Cass - powiedział łagodnie. Rozchylił stanik, obnażając jej piersi. Ułożyły się pięknie: jędrne i kształtne, delikatnie białe i gładkie, z ciemniejszym punktem kremoworóżowawych sutków.

- Czy podobam ci się, Edwardzie?

Z jego gardła wydostał się tylko tłumiony pomruk. Przywarł ustami do jej piersi. Zaskoczona wstrzymała oddech, podczas gdy on lizał i ssał ją z rosnącą pożądliwością, aż sutek urósł i stwardniał mu w ustach. Ugniatając i całując jej biust, czuł, że jej podniecenie wybucha cudownym strzelistym płomieniem, a ciało wygina się instynktownie, by jeszcze ciałniej do niego przywierać.

Edward podniósł się na kolana i rozchełstał białą batystową koszulę.

Cassie uniosła rękę i wsunęła palce w jasnobrązowy zarost na jego torsie.

Delikatnie przesunęła po przecinającej ramię białej bliźnie.

- Daj mi poczuć ciężar twego ciała - szepnęła.

Powoli położył się na niej, chłonąc jej ciepłe i hojne ciało wszystkimi zmysłami, i całował ją mocno i dziko, a ona, pozbawiona tchu, poddawała się mu z cichym jękiem. Gorączkowym ruchem wsunął rękę pod nią, szukając guzików spódnicy.

Palce Cassie wplotły się w jego palce, gdy gwałtownie rozwiązał kokardę szarfy i pociągnął za sznurki halki.

Edward zatrząsł się ze śmiechu, niezdarnie pomagając jej wstać, by mo-R S

gła uwolnić się od ciężaru ubrań. Gdy ostatnia haleczka opadła miękko na le-

żącą na ziemi spódnicę, Cassie zawahała się i szybko zakryła skrzyżowanymi rękami uda.

Przypomniała jej się wyraźnie rozmowa dwóch panien, którą podsłuchiwała, kiedy miała zaledwie dwanaście lat. Molly powiedziała wtedy chrypliwym głosem:

- On ci go wsadzi i najpierw zakwiczysz z bólu i krew ci pocieknie, a potem zacnie ci się podobać.

Cassie miała niejasne poczucie, że boi się mu oddać i stracić tę subtelną tajemnicę i niewinność zapewniającą więź z własnym „ja”, tym „ja”, które jest jej znane i bliskie. Stała zeszywniała z niepewności, splatając ciasno palce.

- Nie musisz się mnie bać, Cassie. No spójrz na mnie, ukochana.

Z trudem skierowała na niego wzrok i dostrzegła w nim zrozumienie.

- Chyba zachowuję się nedorzecznie - powiedziała niskim nerwowym tonem.

- Nie, jesteś po prostu sobą. Zaufaj mi, Cass. Niczego ci nie odbiorę i nigdy cię nie skrzywdzę. Chcę dać ci wszystko, co mam, a więc także moją namiętność i ciało. - Mówiąc to, wodził palcami po jej smukłej szyi, a potem po piersiach. Czuł, że drży pod jego dotykiem, więc przytulił ją i delikatnie otoczył ustami jej usta.

Palcami odnalazł miękkie źródło jej pożądania i pieścił ją wprawnymi ruchami, aż ręce opadły jej bezwładnie po bokach i ciężko oparła się o niego.

- Czy pragniesz mnie teraz? - zapytał szeptem.

- Tak. - Zacisnęła dłoń na jego delikatnych palcach.

Opadł przed nią na kolana i czuła jego wzrok, kiedy w zachwycie patrzył

na jej kobiecość. Rozchylił palcami miękkie kręcone włoski, by ją pogłaskać, a jej zakłopotanie stopniało pod tym czułym dotykiem. Obezwładniające doznanie przenikało jej ciało, rozpływało się w podbrzuszu i udach. Drugą ręką ści-

skął jej pośladki, przyciskając mocniej do siebie. Jego palce gładziły ją bez końca, przekornie, aż wreszcie rozchylił jej wargi. Cassie zaczęła cichutko dyszeć. Nogi drżały jej tak mocno, że byłaby upadła, gdyby Edward jej nie podtrzymał.

- Och, proszę, Edwardzie - jęknęła, kładąc mu dłonie na ramiona.

Podniósł ją i delikatnie ułożył na plecach na pościeli z płaszcza. Pociągnął za guziki bryczesów, tak opętany pożądaniem, że nie usłyszał zbliżającego się wołania.

A Cassie owszem. Pobladła ze zmieszania i zerwała się na równe nogi.

Jej podniecenie przeszło w uczucie zawstydzienia.

Edward odsunął dłoń od spodni i zwrócił się w stronę wyjścia z jaskini.

- Cassie! Edward! Gdzie jesteście?

- To Becky. - Cassie zazgrzytała zaciśniętymi zębami, gorączkowo wciągając na siebie pomięty gorset, halkę i spódnicę.

- Niech diabli porwą tę kobietę! - zagrział Edward pod nosem, ale również sięgnął po koszulę.

- Cassie! Edward! - Głos panny Petersham, teraz bardziej zaniepokojony, przybliżał się nieuchronnie.

- Jak ona tak może - wyrzuciła z siebie zmartwiona Cassie. - Nie jesteśmy już dziećmi i zaraz mamy się pobrać!

Becky Petersham właśnie miała zawołać ich imiona po raz kolejny, kiedy dostrzegła lekko potarganą parę wyłaniającą się z wąskiej szczeliny w ścianie klifu, jakieś dwadzieścia kroków od niej. Gniewnie wessała powietrze, wyrzucając sobie, że wierzyła w skrupuły wicehrabiego.

Wicehrabia był tak blady, jak Cassie była pąsowa. Panna Petersham maszerowała ku nim z zaciśniętymi w wąską kreskę wargami.

- Panno Petersham, cóż za miła niespodzianka - powiedział Edward z

nieukrywany sarkazmem. - Czy życzy sobie pani zbadać tę unikatową jaskinię z Cassie i ze mną?

- Myślę, że miało już miejsce wystarczająco dużo badania, mój panie -

warknęła panna Petersham.

Zwężone w szparki oczy utkwiała w rozpiętym guziku stanika sukni Cassie.

- Wielkie nieba, Becky! - krzyknęła Cassie

- Edward i ja pobieramy się za dwa dni! A ty traktujesz nas, jakbyśmy mieli po dziesięć lat! Będę wdzięczna, jeśli na przyszłość zechcesz pilnować własnych spraw.

- Ty jesteś moją sprawą, panienko, do chwili twojego ślubu.

- Sądzę, że każdy wyraził się dość jasno - wtrącił się Edward. - Cass, panno Petersham, czy pozwolą panie, że odprowadzę je do dworu?

Rozdział 6

Eliott spożywał właśnie późny lunch, kiedy zobaczył siostrę w starej mu-

ślinowej sukni, która po wielu praniach przybrała bliżej niezidentyfikowaną szarawą barwę.

- Dokąd to, Cass?

- Idę na połów, przecież widzisz. Obiecałam kucharzowi świeżego strzępiela na kolację.

Eliott odłożył nóż i widelec i oparł się wygodnie.

- Wyprawa rybacka w przeddzień ślubu. Co na to narzeczony?

- Edward spędza dzień w Little Wimmering ze swoim zarządcą i wraca *R S* dopiero wieczorem.

- A więc panna młoda wybiera się na ostatnią wyprawę przed nastaniem rządów mężowskiego bata?

Cassie zmarszczyła nos.

- Proszę, nie bądź niedorzeczny, Eliocie. Wiesz, jaka byłam w ostatnich tygodniach pochłonięta przygotowaniami do ślubu i do balu. Nawet Becky uznała, że trochę świeżego powietrza dobrze mi zrobi.

- No to idź, Cass, tylko nie zapomnij kapelusza. Nie chcę, żebyś się nabawiła poparzeń słonecznych dzień przed weselem.

Cassie uściskała lekko brata i wyszła na jasne popołudniowe słońce. Na splecione w koronę wokół

głowy włosy nałożyła słomkowy kapelusz z szerokim rondem i ruszyła zwawo przez wschodni trawnik w kierunku linii przygiętych lekko do ziemi buków, które chroniły Hemphill od morskich wiatrów.

Wąska ścieżka wiała się między drzewami i w dół klifu, aż do małej osłoniętej zatoczki. Drewniany pomost wychodził z niej jakieś dziesięć metrów w morze.

Cassie chwyciła pewnie wiadro małych rybek na przynętę. Wiedziała z doświadczenia, że za ich pomocą złapie tyle strzępieli, ile tylko zdoła unieść.

Ostrożnie zeszła po kołyszących się lekko deskach do końca przystani, gdzie zakotwiczony czekał jej sześciometrowy słup.

Łódź przechyliła się, gdy Cassie weszła na pokład. Dziewczyna musiała się chwycić grubego masztu, żeby odzyskać równowagę. Podeszła do steru, wstawiła wiadro z przynętą pod półkę przy burcie i rozwinęła złożone płótno grotu. Wygładziła zmarszczki i umocowała żagiel do bomu. Zadowolona powiodła jeszcze wzrokiem wzdłuż liku, żeby upewnić się, że żagiel nigdzie się nie zawija.

Nauczona długim doświadczeniem omiotła spojrzeniem morze u wylotu zatoczki i zauważyła wzbijane przez wiatr grzywy fal. Podwójnie zrefowała grot i luźno zawiązała szoty. Odłożyła konopne liny, wyciągnęła długie wiosło *R S*

i głębokimi, pewnymi uderzeniami zaczęła wyprowadzać żaglówkę z zatoczki.

W uszach rozbrzmiewał jej znajomy skrzek ptaków i łopot luźnego żagla.

Wciągnęła cierpki słony zapach i rozkoszowała się smagającym ją lekko po policzkach wiatrem, aż wypłynęła na pełne morze i musiała poluzować żagle, żeby złapać wiatr. Popatrzyła na łopoczący dziko wimpel, by sprawdzić siłę i kierunek wiatru. Uśmiechnęła się rzewnie, bo wiedziała, że przy odpływie i silnym północno-wschodnim wietrze więcej czasu spędzi za rumplem i pracując żaglami, niż siedząc spokojnie z wędką przewieszoną przez burtę.

Płynęła cały czas prawym halsem, z wydętym wiatrem grotem. Roze-

śmiała się głośno, gdy dziób wbił się w dolinę fali i mgielka słonej wody zrosi-

ła jej twarz. Zeszła z linii wiatru, żeby trochę stracić na prędkości i poluzowała uchwyt na rumplu, pozwalając łodzi przez chwilę sunąć kursem równoległym do brzegu. Założyła przynętę na haczyk, przerzuciła konopną linę przez burtę i włożyła wędzisko między kolana.

Rozsiadła się na obitej miękko drewnianej ławeczce i kołysana ruchem fal odpłynęła myślami do ubiegłego popołudnia i tych cudownych chwil z Edwardem przed nieszczęsnym wtargnięciem Becky. Obraz szczupłego umię-

śnionego torsu i ramion Edwarda oraz żywe wspomnienie pieszczot jego dłoni i ust ciągle wprawiały jej ciało w drżenie. Wydęła wargi, z rozczarowaniem myśląc, że nie zobaczyła go nago. Czowała jego

nabrzmiałą i twardą męskość, kiedy przyciskał ją do siebie, ale nie miała śmiałości go dotknąć.

Wpatrzona w bezchmurne błękitne niebo Cassie pomyślała, jak cudownie byłoby kochać się z Edwardem na środku oceanu. Żagiel nagle załopotał dziko i Cassie złapała za rumpel, wyrzucając sobie moment nieuwagi. Po chwili wró-

ciła do fantazjowania.

Wyrwały ją z zadumy rozbijające się o dziób fale i kiedy się podniosła, zobaczyła w oddali duży okręt. Wciągnęła pustą linkę, rzuciła wędkę na pokład *R S*

i osłoniła oczy, starając się rozpoznać olinowanie statku.

Wydała z siebie okrzyk zachwyty, bo był to ten sam wspaniały jacht, któ-

ry widzieli z Edwardem dzień wcześniej. Teraz widziała wyraźnie, że miał re-jowe ożaglowanie i że wszystkie żagle były mocno napięte, gdyż statek płynął

ostro na wiatr na północny wschód. Dostrzegła też podstawy dział na sterburcie i kilku marynarzy zajętych rozwijaniem żagli wysoko na maszcie.

Cassie chciała przyrzeć się statkowi z bliska, zanim ją wyminie i pocią-

gnęła za rumpel, ustawiając się pod wiatr. Popuściła szot i grot chwycił wiatr.

Kiedy podpłynęła bliżej, była w stanie rozróżnić sylwetki marynarzy stojących na rufie. Wydawało jej się też, że widzi kapitana wydającego komendy pracującym przy takielunku marynarzom i sternikowi, który przeprowadzał

statek obok niebezpiecznych płytkich zatoczek. W pewnej chwili udało jej się odczytać wypisaną jasnożółtymi literami po prawej stronie dziobu nazwę statku. Patrzyła na „Cassandre” z rosnącym zmieszaniem.

Jacht zaczynał ją wyprzedzać i zdziwiło ją bardzo, że bierze kurs trochę bardziej na północ. Oznaczało to, że jeśli szybko nie zadziała, za kilka minut może znaleźć się na jego linii. Posępna wizja statku taranującego jej małą łódź

kazała jej działać szybko. Szarpnęła rumpel, by płynąć prawym halsem, ale przy całym tym pośpiechu straciła na moment wiatr i przez kilka długich sekund jej słup stał nieruchomo, podnosząc się tylko i opadając na falach, które szły od dziobu zbliżającego się jachtu. Cassie puściła szot i uchyliła się przed bomem, który zadudnił głucho, uderzając w prawą burtę. Pociągnęła za rumpel, żeby ustawić się tyłem do wiatru, ale mały żagiel nabierał wiatru okropnie wolno. Próbując opanować rosnącą panikę, Cassie odwróciła się, i przytrzymując rumpel udami, złapała za wiosło i zaczęła rozpaczliwie wiosłować w stronę brzegu.

Usłyszała krzyk mężczyzny i na moment obróciła głowę. Jacht sunął pro-R S

sto na nią, tnąc wodę pełnym majestatycznym dziobem.

Cień ogromnego statku przesłonił słońce i Cassie jęknęła przeciągle, czując zbliżające się widmo śmierci.

Ten sam męski głos wydał rozkaz:

- Poluzować! Zamocować liny i wciągać ją!

Cassie patrzyła z niedowierzaniem na marynarzy zwisających ryzykownie na spuszczonej za burtę drabinkach linowych. Każdy z nich trzymał w ręku grubą linę zakończoną pętlą. Na Boga, pomyślała, to piraci, handlarze bia-

łych niewolników! Wyobraziła sobie, że skuta w kajdany trafia do niewoli na wybrzeżu Afryki i zaczęła wiosłować ze zdwojoną siłą.

Usłyszała nad głową świst. Gdy zapętlone liny zacisnęły się na maszcie i wystającej części dziobu, Cassie straciła równowagę i odrzuciło ją do tyłu.

Próbując nie myśleć o bólu pleców od uderzenia w ostry rumpel, rzuciła się do żagla. Pociągnęła za grubą konopną linę zarzuconą na maszt, ale ta trzymała się mocno.

Spojrzała w górę i usłyszała, że jeden z żeglarzy krzyczy:

- Liny zamocowane, kapitanie!

- Wciągnąć ją! Tylko ostrożnie!

Coś znajomego brzmiało w głosie wydającego rozkazy, ale Cassie była tak przerażona, że nie zwróciła na to uwagi. Widząc, że szarpanie za linę nic jej nie pomoże, dziewczyna przemierzyła chwiejnie pokład rozkołysanej łodzi.

Stała na rufie i oceniła odległość od brzegu. Jęknęła załamana, gdyż w swoich ciężkich halkach i spódnicy poszłyby na dno, na długo zanim zdążyłyby dopłynąć do płytczny.

Nagły przechył rzucił ją na kolana - załoga jachtu przyciągnęła jej łódkę jeszcze bliżej. Zrezygnowana patrzyła, jak kapitan ostrożnie przekłada nogi za *R S*

burtę i zaczyna schodzić po drabince. Był bardzo mocno zbudowanym męż-

czyną, ubranym w białą koszulę z długimi rękawami, czarne wysokie buty i obcisłe bryczesy z mocnej wełny, pod którymi rysowały się wyraźnie potężne mięśnie ud.

To pirat, pomyślała, ich herszt! Złapała długie drewniane wiosło, gotowa bronić się do upadłego.

Gdy postawił on stopę w kokpicie, łódź tak się przechyliła, że musiał

przytrzymać się masztu.

Na widok jego gęstych czarnych włosów i ogorzałej twarzy Cassie wyda-

ła niekontrolowany okrzyk zdziwienia. Następnie zawołała:

- Lord Anthony! Och, dzięki Bogu, że to pan! Myślałam, że to piraci i że zostanę porwana lub zginę! - Przerwała ten potok słów, gdyż Anthony Welles tylko przyglądał się jej w milczeniu.

Cassie wciągnęła powietrze, próbując opanować drżenie, i opuściła wiosło.

- Przestraszyłeś mnie, milordzie - powiedziała ze spokojem. - Muszę powiedzieć, że pański żart nie przypadł mi do gustu: niewiele brakowało, a roztrzaskałby pan moją łódź. Zechcesz wyjaśnić, milordzie, dlaczego to zrobiłeś?

- Nie było moim zamiarem roztrzaskanie łodzi, tylko schwywanie jej - odpowiedział niskim urywanym głosem. - Zafundowałaś mi nie lada pościg, zanim straciłaś na moment wiatr.

Zacisnęła palce na drewnianym wiosle.

- Co ja słyszę, milordzie? Chciałeś schwytać moją łódź?

- Doceniam twoje męstwo, Cassandro. Niemniej jednak, muszę cię prosić, byś porzuciła tę śmiertelną broń i zechciała mi towarzyszyć na pokład twojej imienniczki.

R S

- Lordzie Anthony, co to wszystko ma znaczyć? - wrzasnęła Cassie. - Za-dałam pytanie, dlaczego, do diabła, zatrzymałeś moją łódkę! Żądam odpowiedzi! - Zrobiła gniewny krok w jego stronę.

- Cassandro, dosyć tych głupstw. Czas ucieka. Wszystko zrozumiesz w odpowiednim czasie. - Wyciągnął do niej rękę. - Rzuć wiosło i chodź tutaj.

- Idź do diabła, mój panie! - Cofnęła się i straciła równowagę.

Spuściła go z oka, próbując się wyprostować, aż silna dłoń złapała ją za ramię i pociągnęła do przodu. Cassie próbowała podnieść wiosło, żeby go uderzyć, ale bez trudu wytrącił je z jej ręki i przyciągnął dziewczynę do siebie.

- Niech cię szlag trafi, puszczaj! Poczekaj aż mój brat się o tym dowie, i lord Edward!

Nie bacząc na wrzaski, przytrzymał jej ręce, podniósł ją bez trudu i zarzucił sobie na ramię.

- Nie opieraj się, Cassandro - powiedział stanowczo, rozpoczynając wspinaczkę po drabince.

Cassie nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Anthony'ego Wellea znała całe życie i zawsze miała go za wytwornego, a przy tym uprzejmego człowieka. Teraz z przerażeniem zdała sobie

sprawę, że w gruncie rzeczy był

kimś innym, obcym jej mężczyzną, którego nie potrafiła zrozumieć.

Zawyła głośno, podniosła się z jego ramienia i obróciła ciało, wymierzając mu cios pięścią w policzek.

Lord Anthony nie spodziewał się tak błyskawicznego ataku i mało brakowało, a byłby się puścił drabinki. Wśród dobiegających z góry krzyków marynarzy Cassie usiłowała mu się wyrwać. Jednak spojrzawszy w dół, zrozumia-

ła, że gdyby odpadli od statku, nie spadną do wody, lecz roztrzaskają się o jej łódź.

Zawisła nieruchomo na jego ramieniu.

R S

- Śmierć nigdy nie jest lepszym rozwiązaniem, prawda, Cassandro?

Zazgrzytała zębami i nic nie odpowiedziała.

Z gracją wskoczył na pokład, delikatnie poluzował chwyt i postawił ją na ziemi. Natychmiast odskoczyła jak najdalej od niego, ale zatrzymała ją czyjaś dłoń przyciśnięta do pleców.

- Zostaw ją, Scargill, ona nie jest głupia.

- Tak jest, panie.

Cassie obróciła się.

- Ty jesteś służącym lorda Anthony'ego. Poznaję cię. Powiesz mi, co to wszystko znaczy?

Zza pleców dobiegła ją zwięzła odpowiedź hrabiego:

- Wszystko w swoim czasie, Cassandro. Najpierw musimy zająć się twoją łodzią.

Odwróciła się powoli.

- Co przez to rozumiesz?

- Zaraz się przekonasz - powiedział, zbliżając się.

Cassie nakazała sobie pozostać w miejscu i zadrzeć wysoko podbródek.

Nie może mu pokazać, jak bardzo się boi.

Wyciągnął rękę i zerwał jej z głowy słomkowy kapelusz. Patrzyła tępo, jak niesiony bryzą opada lekko na wypolerowane deski pokładu.

- Nie będziesz więcej potrzebować kapelusza. Nigdy ich nie lubiłem, wiesz. Twoja twarz powinna być złocista od słońca. - Cassie zamrugła i nie zdążyła odpowiedzieć, bo odwrócił się od niej gwałtownie.

- Dilson, czy dziób jest dobrze zaczepiony?

- Tak jest, kapitanie.

Scargill odsunął się od niej, by stanąć u boku kapitana. Uchwycona brą-

zowego relingu patrzyła, jak jej mała łódź, ciągnięta przez statek, niezdarnie *R S*

przedziera się przez fale.

- Trzymaj mocno, Angelo - usłyszała, jak kapitan krzyczy do sternika. -

Nie za blisko, skały są zdradzieckie. Tak trzymaj. - Widziała, że odwrócił głowę i skinął głową Dilsonowi. Niski mężczyzna przeskoczył jak zwinna małpka przez burtę i zbiegł po drabince do jej łodzi. Wyciągnął miecz i kilka razy z ca-

łej siły ciął przez drewniany maszt. Ten zachwiał się i okryty całunem białego żagla runął do wody.

- Nie! - Cassie bez namysłu rzuciła się do burty, gotowa przechodzić na drugą stronę.

Poczuła silny uchwyt na ramieniu i odwróciwszy się z wściekłością, zaczęła walić pięściami w tors lorda Anthony'ego. Udało mu się chwycić oba jej nadgarstki jedną ręką.

- Naprawdę mi przykro, Cassandro. Wiem, że kochasz swoją żaglówkę, ale to konieczne.

Zasłaniając oczy przed słońcem, oceniał odległość do wystających złowieszczo z morza przybrzeżnych skał, aż nagle wydał rozkaz:

- Odcinaj, Dilson!

Dilson przeciął mieczem zarzuconą na dziób linę, po czym natychmiast wskoczył z powrotem na drabinkę i nogą odepchnął mocno łódkę Cassie.

- Proszę, nie rób tego - wyszeptała z łzami w oczach. - Przyływ rozbije ją o skały.

- Tak, wiem, ale ty już tego nie zobaczysz. - Zwrócił się do sternika. -

Wróć do kursu, Angelo. Pozwól ze mną, Cassandro.

R S

Rozdział 7

Cassie schodziła z nim po schodach, słysząc dochodzące z góry niskie głosy marynarzy, zmieszane z odgłosem trzepoczących żagli. Zatrzymał ją pod pokładem przed zamkniętymi drzwiami.

- Proszę, Cassandro - otworzył drzwi i odsunął się na bok, robiąc jej przejście.

Cassie weszła do pełnej cieni kabiny, w której unosił się ostry zapach cytrynowego płynu do pastowania i drzewa sandałowego. Beznamiętnie odnotowała bogatą mahoniową boazerię i wykwintne umeblowanie. Była to kabina godna kapitana i hrabiego. Odwróciła się gwałtownie na dźwięk przekręcane go klucza.

Hrabia ustawił się do niej twarzą, ogromny, barczysty mężczyzna, który przeistoczył się w niebezpiecznego nieznanego. Jego oczy wyglądały w łagodnym popołudniowym oświetleniu kabiny na czarne, ciemniejsze niż zapaR S

miętała, prawie tak czarne jak gęste łukowate brwi i kręcone włosy.

- Masz ochotę na filiżankę herbaty? - zapytał.

Wlepiała w niego wzrok i odruchowo pokręciła głową.

- Jak mogłem zapomnieć. Przecież nie pijasz herbaty, prawda? Ależ to nieangielskie z twojej strony, Cassandro.

Patrzyła nieufnie, jak bezgłośnie stąpając po grubym niebieskim dywanie, przemierza kabinę a następnie spoczywa na skórzanym krześle o wysokim oparciu, jednym z czterech stojących wokół eleganckiego okrągłego stołu.

- Nie usiądziesz?

Cassie zmusiła się do przejścia paru kroków w kierunku stołu i stanęła za krzesłem, nerwowo trzymając się rzeźbionego oparcia.

- Powinna była pamiętać - powiedziała po chwili milczenia, usiłując zachować opanowany ton. - Widziałam raz pański statek, dawno temu, w Clac-ton.

- Być może, choć nie nazywał się wtedy „Cassandra”. Jest przepiękny, prawda? Nawet Farmer George chciał go odkupić, ale, rzecz jasna, odmówi-

łem.

- Nie obchodziłoby mnie to, nawet gdyby król chciał cię mianować kardynałem, milordzie! Teraz, jeśli pozwolisz, życzę sobie poznać przyczyny pań-

skiego nonsensownego zachowania.

- Moje zachowanie nigdy nie jest nonsensowne, Cassandro. W tej konkretniej sytuacji byłem zmuszony użyć pewnych, przyznaję, raczej niewyszukanych środków, by zapewnić sobie twoje

towarzystwo.

- Do diabła, milordzie, wyjaśnij mi znaczenie tych słów! - Zrobiła głęboki wdech i choć zaschło jej w gardle i chciało jej się płakać, ciągnęła dalej: -

Jesteś członkiem Izby Lordów, hrabią. Nie sądziłam, że dżentelmen twojej pozycji i bogactwa może trudnić się białym niewolnictwem. Czy są na pokładzie *R S*

twojego jachtu inne angielskie panienki?

Anthony Welles zamrugał, po czym gwałtownie odchylił głowę i zaśmiał

się przeciągle, odsłaniając kontrastujące z opalenizną twarzy białe mocne zęby.

- Białe niewolnictwo! Dobry Boże, Cassandro, ty to masz wyobraźnię.

Statek handlarzy niewolników przy angielskim brzegu!

- W takim razie, milordzie, mam jeszcze dzisiaj dużo do załatwienia w Hemphill Hall. Jutro wychodzę za mąż, o czym doskonale wiesz, bo zostałeś zaproszony na ślub. Będziesz łaskaw natychmiast wysadzić mnie na brzegu.

Uśmiech znikł z jego twarzy. Usiadł na skraju krzesła, pochylając się w jej stronę.

- Ty nie wracasz do Hemphill Hall, Cassandro.

- Nie rozumiem cię, milordzie - powiedziała powoli. - Słyszałam, że twoja fortuna jest ogromna. Trudno mi więc przypuszczać, że chcesz przetrzymywać mnie dla okupu. Pytam po raz kolejny, milordzie, jakie są twoje zamiary?

- Moim zamiarem, Cassandro, jest uczynić cię moją żoną.

Cofnęła się, słysząc te łagodnie wypowiedziane słowa i wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

- Nie wierzę w to, milordzie! I mam dość tych niesmacznych żartów. Natychmiast odstaw mnie na brzeg, to rozkaz!

Nie odpowiadał dłuższą chwilę, która wydawała się trwać całą wieczność. Nie wytrzymała i zawołała gniewnie:

- Rodzina będzie się o mnie martwić! Jeśli nie wrócę, zaraz rozpoczną poszukiwania i... - Głos uwiązł jej w gardle i poczuła, że blednie.

- I, Cassandro - dokończył za nią - znajdą twoją łódź roztrzaskaną o ska-

ły. Sama wiesz, że prądy w tej okolicy są zdradliwe, nieprzewidywalne.

- Będą myśleć, że utonąłam, zginęłam. - Patrzyła na niego okrągłymi ze *R S*

zdziwienia oczami. - Ależ to bez sensu. Dlaczego mi to robisz? Zawsze miałam cię, milordzie, za przyjaciela.

- Zgadza się, jestem twoim przyjacielem, tylko że teraz będę dla ciebie kimś więcej.

Cassie ciągle wpatrywała się w jego twarz. Wiedziała, że wiele kobiet podziwia jego urodę, ona sama w ostatnich latach dostrzegła jej nieoszlifowane piękno. Teraz jednak, w sięgających kolan czarnych butach i rozchełstanej bia-

łej koszuli, z nieupudrowanymi, rozwianymi wiatrem włosami, wyglądał na śniadego pirata, a nie angielskiego lorda.

Cassandra próbowała uchwycić się tego znanego jej obrazu hrabiego i powiedziała niepewnie:

- Wydajesz się, milordzie, jakiś inny, odmieniony. Zawsze uważałam cię za dobrego wujaszka...

Wzdrygnął się, ale nic nie powiedział.

- Za dżentelmena, potężnego lorda, którego uznanie dodawało mi pewno-

ści siebie. Nigdy się nie zrymałeś, kiedy zrobiłam coś głupiego i nie zawracałam sobie głowy wystudiowaną kokieterią. Traktowałeś Eliotta jak młodszego brata i po śmierci ojca pomagałeś mu, ucząc go obowiązków barona.

Boże, jak on cię wychwalał jeszcze na zeszlotygodniowym balu.

- W istocie darzę sympatią twojego brata. Chociaż nigdy nie będzie miał

twojej siły charakteru, jest miłym chłopakiem. Jeszcze się z nim zobaczysz.

Z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Niech cię diabli wezmą, milordzie, przecież w twoim wieku mógłbyś być moim ojcem. To idiotyczne. Nie możesz tego zrobić. Jutro wychodzę za mąż!

- Nie do końca masz rację, mówiąc, że mógłbym być twoim ojcem, moja droga. Z drugiej strony domyślałam się, że dla osiemnastolatki moje trzydzieści *R S*

cztery lata to wiek starczy. - Uśmiechnął się do swoich myśli. - Choć właściwie muszę przyznać ci trochę racji. Tak, mogłabyś być moją córką, jeśli zało-

żyć, że wkroczyłem w wiek męski dość wcześnie. Ale nie jesteś. A co się tyczy Edwarda Lyndhursta - ciągnął chłodnym, rzeczowym tonem - to nigdy nie by-

łaś mu przeznaczona. Twoje gorące dziewczęce zauroczenie nie miało szans przetrwać, rozumiesz.

Znasz go od dzieciństwa, ale tak naprawdę jesteście ule-pieni z innej gliny.

- Nie wiesz, co mówisz, milordzie. Kochałam Edwarda całe życie i żadne twoje słowa ani czyny nie są w stanie tego zmienić.

- Ośmielę się zauważyć, że powiem i uczynię jeszcze wiele rzeczy, które pomogą ci w przemianie. - Pokręcił głową i z ironicznym wyrzutem powiedział: - No, no, nigdy bym się nie spodziewał po dobrze wychowanej angielskiej panience, że będzie potajemnie korespondować z żołnierzem. Trzy lata temu byłem zbyt naiwny. Wierzyłem wówczas, że Lyndhurst znikł już z twojego serca i myśli.

- Nigdy, milordzie - powiedziała lodowatym tonem. - Chciałabym usłyszeć, jak, do diaska, dowiedziałeś się o listach.

Zbył jej pytanie machnięciem ręki.

- To mało istotne. Powiedzmy tylko, że jego nagły powrót i natychmiastowe ogłoszenie zaręczyn wymogły na mnie drastyczną zmianę planu.

- O jakim planie mówisz, milordzie?

- Miałem w planie prawdziwe zaloty podczas twojego sezonu w Londynie, a potem ślub z wielką pompą na Hanover Square, jak przystało na hrabinę i hrabiego Clare.

Zmierzyła go zimnym wzrokiem.

- Oszukujesz się, milordzie. Nie wyszłabym za ciebie i nigdy nie wyjdę.

Ależ musiałam ułatwić ci życie, wypływając dziś na połów. Czy długo już na *R S* mnie czyhałeś?

- Przez ostatnie dwa tygodnie, jeśli koniecznie chcesz znać prawdę. Nie spodziewałem się, że Lyndhurst będzie miał cię tak... pod kontrolą. Czy zamierzał spalić twoją łódkę?

- On z czasem się przekona do mojego pływania. - Zauważyła, że patrzy na nią z ironicznym niedowierzaniem. - A zresztą to nie twoja sprawa.

- Powiedziałem ci już, moja droga, że to jest jak najbardziej moja sprawa.

Bądź łaskawa to przyjąć do wiadomości.

- Jak mogę słuchać takiego tchórza, jak ten, który wypowiada te słowa. A co byś zrobił, szlachetny hrabio, gdybym nie wybrała się dziś na żagle?

- Zadawałem sobie to pytanie kilka razy. Trafiałabyś na mój statek w koszuli nocnej, Cassandro. Bez wątpienia takie rozwiązanie byłoby bardziej dra-styczne i wzbudziłoby wiele niepotrzebnych pytań. Doceniam twoją współpracę.

Bardzo powoli pokręciła głową, a jej głos zdradzał rosnącą panikę.

- Nie możesz tego zrobić! Proszę, musisz mnie puścić do domu!

- Twój dom jest teraz tam, gdzie ja, Cassandro. Patrzyłem, jak z dziewczynki wyrastałaś na uroczą młodą kobietę, widziałem, kiedy zaczęłaś nosić długie suknie i przestałaś obdzierać kolana. Poświęciłem ci dużo czasu i energii, moja panno, i kiedy skończyłaś siedemnaście lat, zdecydowałem, że cię poślubię. Ubolewam nad tym, że będziesz cierpieć z powodu utraty wicehrabiego, ale wiem też, że to z czasem minie. Serca nie można złamać, moja droga, to tylko zadrapania, które się zagoją.

Cassie odpowiedziała mu z furją:

- Jesteś, milordzie, odrażający, i musiałeś postradać zmysły! Nienawidzę cię i jeśli myślisz, że kiedykolwiek zapomnę Edwarda Lyndhursta, to jesteś *R S*

głupcem! I prędzej sczeznę, niż cię poślubię!

Rzuciła się do drzwi kabiny i w szale zaczęła szarpać za klamkę. Uniosła ręce i waliła pięściami w drzwi, próbując za wszelką cenę znaleźć się jak najdalej od niego. Wbiła palce w szczelinę między drzwiami a framugą i tak cią-

gnęła, że połamała paznokcie i nabiła sobie pełno drzazg. Wreszcie pokonana załkała i powoli osunęła się na kolana, trąc policzkiem o drzwi.

Anthony Welles podniósł się cicho z krzesła i podszedł do jej skulonej postaci. Zmarszczył czoło na widok połamanych paznokci i poranionych do krwi palców. Przyklęknął przy niej i położył dłoń na jej ramieniu.

- Cassandro, zrobiłaś sobie krzywdę. - Gdy objął ją wpół, żeby ją podnieść, Cassie odwróciła się i z wściekłym wrzaskiem zaczęła uderzać pięściami w jego pierś. Stracił równowagę i upadł do tyłu, pociągając ją za sobą. Złapał

jej bijące na oślep ręce, przewrócił ją na plecy i przygwoździł jej ręce nad głowę. Zobaczył ślepa furję w jej oczach i kolanem przytrzymał nogi, żeby nie mogła go kopać. Leżała pod nim, ciężko dysząc. Jej piersi i brzuch poruszały się w rytmie przyspieszonego oddechu.

Nagle znieruchomiała.

- Puść mnie - powiedziała z absolutnym spokojem.

Wpatrywał się w jej bladą, pozbawioną wyrazu twarz.

- To ty zaatakowałaś, Cassandro - powiedział wreszcie. - Puszczę cię, je-

śli obiecasz trzymać kolana z dala od mojej męskości.

Lekki rumieniec wystąpił na jej policzki.

- Czy obiecasz też, że pozwolisz sobie opatrzyć ręce? Brzydko pozdziera-
łaś sobie paznokcie.

Zamknęła na moment oczy i zdławionym głosem odpowiedziała:

- Obiecuję.

Hrabia uwolnił ją i pomógł wstać.

R S

- Podejdz i usiądź.

Zauważyła smugi krwi na jego białej koszuli i wyczuła potworny pulsujący ból w palcach. Usiadła na krześle, które dla niej odsunął, i rozłożyła palce na blacie stołu.

Zwiesiła głowę i ani raz nie spojrzała w górę, podczas gdy on podnosił jej palce jeden po drugim i nasączoną ciepłą wodą tkaniną zmywał krew.

- Nie ruszaj się, Cassandro. Muszę przynieść bandaże, kilka palców trzeba opatrzyć.

Przeniósł na nią wzrok, gdy cichym opanowanym głosem powiedziała:

- Pamiętam, że pierwszy raz widziałam cię jako dziecko. Byłeś dla mnie, milordzie, bardzo miły i nawet przyniosłeś mi ciastko ze stoiska w Colchester.

- Pamiętam to.

- Ale potem wyjechałeś i minęło kilka lat, zanim ujrzałam cię ponownie.

Panna Petersham mówiła, że jesteś wielkim arystokratą w Anglii oraz we Włoszech i nie spędzasz całego czasu tutaj. Wiem też, że ledwo cię już pamiętałam, kiedy nagle wróciłeś w moje czternaste urodziny. Podarowałeś mi wtedy szachy z kości słoniowej. Zapytałam pannę Petersham, czy masz córkę w moim wieku i to dlatego poświęcasz mi tyle uwagi.

Hrabia delikatnie ujął jej podbródek i zmusił, by na niego spojrzała.

- Jesteś lustrzanym odbiciem swojej matki. To jej twarz nosiłem w sercu, dopóki nie zastąpiłaś jej ty.

- Mojej matki? - zapytała, unosząc brwi.

- Tak. Bo widzisz, kochałem Constance, mimo że byłem wtedy jeszcze bardzo młody. Niestety, ona już wyszła za twojego ojca. To, że była ode mnie starsza o jakieś pięć czy sześć lat, nie miało żadnego znaczenia. Kiedy widzia-

łem ją po raz ostatni, nosiła w łonie dziecko - ciebie.

- W takim razie powinieneś mnie, milordzie, nienawidzić, bo to ja ją za-R S

biłam.

- Może i tak było na początku. Podobnie nienawidziłem twojego ojca za to, że uczynił ją brzemienną. Wyjechałem z Anglii na dobre pięć lat. Kiedy wróciłem, poznałem ciebie, jej córkę, tak do niej podobną. Byłaś dzieckiem żywym, ciekawym świata, inteligentnym. Postanowiłem interesować się wy-chowaniem córki Constance, patrzeć, jak rośnie, i w jakiś sposób być częścią jej życia. Kiedy kończyłaś czternaście lat, miałaś wciąż jej twarz, ale już wła-sną osobowość. Zaczęłaś mnie interesować jako młoda dziewczyna, a kiedy ukończyłaś siedemnaście lat, pojąłem, że to ciebie pragnę, że Kocham cię dla ciebie samej.

- Okłamujesz się, mój panie. To moją matkę kochasz.

- Mylisz się - powiedział łagodnie.

- Ale ty mnie, milordzie, nawet nie znasz. Nie można kochać kogoś, kogo się nie zna.

- Znam cię dość dobrze, Cassandro, uwierz mi.

Oszołomiona odruchowo zacisnęła dłonie i aż skrzywiła się z bólu. Poczwała, jak jego długie palce otaczają jej nadgarstki, by nie mogła zrobić sobie krzywdy. Ten niewielki dowód uczucia przyprawił ją o rozpacz.

Podniosła na niego smętny wzrok.

- Jak możesz, milordzie, pragnąć kogoś, kto cię nie kocha?

- Mało jest na świecie rzeczy, których nie dałoby się zmienić.

Odsunęła się od niego.

- Idź do diabła, milordzie! Nie chcę więcej słuchać twoich gładkich słó-

wek. Ja się nigdy nie zmienię!

- Masz tylko osiemnaście lat, Cassandro - powiedział spokojnie i niespo-dziewanie puścił jej rękę.

Oparł się o siedzenie krzesła i przyglądał się jej w milczeniu. Jego ciem-R S

ne oczy patrzyły z taką czułością, że dziewczyna instynktownie się odsunęła.

Czyniła sobie wyrzuty, że ulega strachowi, ale nie była w stanie powstrzymać płynących z jej ust błagalnych słów:

- Proszę, milordzie, zabierz mnie do domu. Przysięgam, że nikomu o niczym nie powiem. Tylko zabierz mnie do domu... Błagam cię.

Jego odpowiedź była chłodna i nieodwołalna:

- Nie. I nigdy więcej się tak nie ponizaj, Cassandro. To nie pasuje do twojego charakteru.

- Jak śmiesz tak arogancko się wypowiadać na temat mojego charakteru!

Nie masz pojęcia o mnie ani moich myślach, co do mnie pasuje, a co nie. Jeśli uznam za stosowne błagać albo się ponizać nawet przed takim nikczemnikiem jak ty, to znak, że leży to w mojej naturze!

Ten potok gniewnych słów, wyrzucanych z wielką pasją, wywołał

uśmiech rozbawienia na jego twarzy.

- Pewnie zaraz się dowiem, że kobiece łzy i kobieca intuicja są także czę-

ścią twojej natury.

- Idź do diabła!

- No, to rozumiem! Młoda dama przemówiła. Idę o zakład, że inne panienki w twoim wieku wykazałyby się stosowną wrażliwością i zdążyłyby zemdleć przynajmniej dwa razy. Dziękuję Bogu za twój charakter, Cassandro, bo mdlejące niewiasty to prawdziwe utrapienie.

Odwróciła się od niego sztywno i po raz kolejny poczuła, że czarna rozpacz obleka jej umysł jak nienawistna szata. Nie umknęła jej uwagi prędkość statku - wiedziała, że każda minuta oddala ją od domu i od Edwarda.

- Dokąd zmierza twój jacht, milordzie? - zapytała, unikając jego wzroku.

Może przybije gdzieś w Anglii i uda jej się uciec.

R S

Jednym słowem zgasił ten tłący się płomyk nadziei.

- Do Włoch. A dokładnie do Genui. Mamy przed sobą długą podróż. Jak wiesz, mój ojciec był angielskim lordem, trzecim hrabią Clare. Matka zaś była Włoszką. W ostatnich latach spędzałem mniej więcej tyle samo czasu w obu krajach. Teraz jednak ojczyzna matki stanie się moim... naszym domem.

Cassie już dawno zastanawiała się, dlaczego uczono ją włoskiego, a nie francuskiego, jak inne znajome dziewczęta. To jednak niemożliwe, myślała coraz bardziej skonfundowana, żeby on o tym wiedział.

Powiedziała:

- Ale na maszcie powiewa Union Jack*.

- Oczywiście. „Cassandra” pływała pod angielską banderą przez ostatnich sześć miesięcy i tak pozostanie do wpłynięcia na francuskie wody.

* Flaga Wielkiej Brytanii - przyp. tłum.

- I co wtedy uczynisz, milordzie? Przebierzesz się za Francuza i ogłosisz *le Comte de Clare*?* Czy masz też francuską flagę, żeby nią zakryć swoje tchó-

rzostwo?

* Hrabia Clare (z fr.) - przyp. tłum.

- Taka maskarada mogłaby być zabawna, ale w żadnym razie nie jest konieczna. Genueńczycy są bankierami Francuzów. Nawet pokojowy Ludwik ma dość rozsądku, by chronić zaplecze francuskiego skarbu.

R S

- A jeśli Francuzi zaatakują... przez pomyłkę?

Jakby czytając jej w myślach, odpowiedział:

- Wierz mi, Cassandro, nawet gdyby schwytali nas francuscy korsarze al-bo flota, nie oznaczałoby to wcale twojego powrotu do Anglii. Tak czy inaczej, nie dojdzie do tego. Nie zauważyłaś, że mamy działa? To nie atrapy, zapewniam cię.

Cassie przygarbiła się na krześle, myśląc o Edwardzie i Eliocie i wyobra-

żając sobie ich cierpienie, kiedy znajdą wrak jej łodzi. Zresztą już teraz Eliott zaczynał się niepokoić, dlaczego nie wraca.

- Jesteś złym i okrutnym człowiekiem, milordzie - powiedziała szorstko.

- Być może bezlitosnym. Nie ma rzeczy, do której bym się nie posunął, byle uczynić cię moją żoną. - Dostrzegł jej szklisty wzrok i zamilkł. Spojrzał

na zegar stojący na biurku i wstał. - Robi się późno, Cassandro. Muszę na chwilę wyjść na pokład, żeby sprawdzić nasz kurs. Jeśli masz ochotę się umyć, znajdziesz świeżą wodę w przebieralni. Suknie, bielizna, pończochy, szczotki do włosów i inne przybory są w szafie i na toaletce. Kolację zjemy, kiedy wró-

cę.

Cassie tylko na niego patrzyła bez słowa. Dźwięk przekręcanego w zamku klucza dobiegł ją jakby z oddali.

- Panie, jak ta dziewczuszka, wszystko dobrze?

- Będzie dobrze - powiedział hrabia, oddając Angelowi ster i zwracając się do Scargilla, szczerego i dzielnego Szkota, który był jego służącym od prawie dziesięciu lat.

- Kiedyś, panie, spuścił jej łódkę na te skały, to prawie jakbyś kawałek jej samej uśmiercił.

- Tak, ale dostanie nową, jak tylko wrócimy do domu. - Anthony Welles *R S*

zapatrzył się na prawo, w kierunku angielskiego brzegu. - Ona jest bardzo młoda, Scargill.

Morski wiatr podwiewał rude włosy Scargilla, a ten z przyzwyczajenia przylizywał je palcem wskazującym na czole. Służący przyglądał się mocno zarysowanemu dumnemu profilowi hrabiego, który odcinał się wyraźnie na tle wieczornego pomarańczowożółtawego nieba. Wreszcie potrząsnął głową:

- Zrobiłeś, panie, okrutną rzecz.

- Słowa Cassandry, Scargill, ale nie ma sensu już tego roztrząsać. Ona jest teraz moja i możemy zapomnieć o całej sprawie.

- Ja już to dawno mówiłem, panie, że jeszcze nie spotkał człowieka, co sobie żonę od małego wychował. Już myślałem, że sobie z nią dałeś spokój wtedy, jak cię ta mała złośnica Giovanna złapała na haczyk.

- *Contessa* zaspokoiła część swoich pragnień, przyjacielu.

- Miała na ciebie chrapkę, panie, to jasne jak słońce. Ale poza tym, że ci grzała łożę, panie, to ostrzyła zęby na twój tytuł i majątek. Miła to ona dla twojej angielskiej dziewczuszki nie będzie.

Hrabia odwrócił się niespiesznie w jego stronę i z błyskiem rozbawienia w ciemnych oczach powiedział:

- Raczej w to wątpię. Ale w przypadku, gdyby Giovanna faktycznie pokazała pazury, ręczę, że Cassandra nie pozostanie jej dłużna. Ona jest jak żywe srebro, Scargill, arogancka i pełna dumy. Ma silny kręgosłup, którego nigdy nie miała jej matka. Bądź dla niej uprzejmy, ale zachowaj ostrożność, Scargill.

Niewiele brakowało, a kolaniem pozbawiłaby mnie klejnotów.

Scargill zarechotał.

- No proszę, proszę. Czyli mała *madonna* nie najlepiej znosi porwanie.

- Na razie nie najlepiej. Teraz nazywasz ją *madonna*, Scargill?

- Pańscy genueńscy żeglarze zawsze ją tak zwali, może przez te jej złote włosy. To ta zmieszana krew, mówią, czyni cię, panie, raz zimnym władczyim lordem, a raz nieobliczalnym mężczyzną, który słucha tylko swoich namiętno-

ści. Myślą, że to gorąca włoska krew każe ci przemierzać taki szmat drogi po kobietę.

Hrabia stał prosto i nieruchomo, jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Scargill wiedział, że jego lordowska mość zawsze tak wyglądał, kiedy był

zdenerwowany albo zagniewany. Szczególnie nie lubił aluzji do swojej gorącej włoskiej krwi.

- Czy moi ludzie chcą się buntować?

- Nie, panie, obaj wiemy, że by za tobą poszli do piekła, gdybyś ich o to poprosił.

- Nigdy bym nie prosił o coś tak nieodwracalnego. Dopilnuj, żeby dostali dodatkową rację grogu, Scargill. Tylko pamiętaj, nie więcej. Będę dziś wieczorem bardzo zajęty i nie chciałbym, żeby „Cassandra” osiadła na mieliźnie.

Scargill odchrząknął.

- Ludzie się do niej przyzwyczajają, panie. Angelo jest okrutnie przesądny, jak chodzi o kobietę na pokładzie, ale nawet on przyznał, że dziewczuszka przednio sobie radziła ze swoją małą łódką.

- Te słowa z ust mojego małomównego sternika to jak cała mowa po-chwalna. Niestety, nie sądzę, by Cassandra była teraz w odpowiednim nastroju, by docenić taki komplement.

- Myślisz, panie, że ona się zgodzi cię poślubić?

- Poślubi mnie - ze spokojem powiedział lord Anthony. - Teraz jednak, przyjacielu, czas przygotować się do obiadu. Dziś wyjątkowo chciałbym się wykapać i przebrać w twojej kabinie. Zadbaj o to, by Arturo przygotował an-R S

gielskie potrawy, które zamówiłem. Ty sam będziesz dziś wieczór grać rolę angielskiego lokaja.

- Tak jest, panie. - Scargill odprowadzał hrabiego wzrokiem po wyczyszczonym na połysk pokładzie aż do przejściówki. Jego krok był zwawy, a szerokie ramiona wyprostowane.

Jakiś czas potem hrabia poprawił czarną satynową kamizelkę i otworzył

drzwi swojej kabiny. W panującym tam mroku udało mu się dostrzec postać Cassandry na tym samym krześle, na którym siedziała, kiedy wychodził. Zafrasował się, że nie chciało jej się nawet zaświecić lamp.

Kiedy sam to zrobił, zalewając kabinę światłem, odwrócił się, by na nią spojrzeć. Miała na sobie tę samą starą muślinową suknię, a pukle zmierzwionych złotych włosów kłębiły się dziko wokół twarzy.

- Dobry wieczór, Cassandro - powiedział, siadając naprzeciwko.

- Widzę, że pirat przebiera się za dżentelmena - powiedziała, mierząc go wzrokiem z nieukrywaną pogardą.

- A ja widzę, że jesteś ciągle ubrana jak chłopka. Czy żaden ze strojów, które ci zapewniłem, nie przypadł ci do gustu?

- W życiu nie dotknę niczego, co należy do ciebie, milordzie.

- W takim razie - powiedział z niezmaconym spokojem - wkrótce się przekonasz, że jesteś naga. - Zobaczył, że jej zdradzające emocje oczy zwęziły się w niedowierzaniu, po czym rozszerzyły się, zdradzając strach. Oczywiście nie przypuszczała, żeby mógł rościć pretensje do jej ciała.

- Zaraz przyniosą nam obiad. Czy masz ochotę na kieliszek wina?

Cassie tępo przytaknęła, czując nagle, że zupełnie zaschło jej w gardle.

Podał jej kieliszek francuskiego burgunda i przyglądał się, jak niezdarnie *R S*

ujmuje go w zabandażowane palce. Opróżniła go jednym haustem, co spowodowało napad kaszlu.

- To mocny trunek Cassandro. Musisz nauczyć się kosztować wino, zamiast łykać je jak wodę.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie zaszklonych oczu i z brzękiem postawiła kruchy kielich na stół.

- Życzysz sobie jeszcze trochę?

Widział, że się waha, i zgadł bez trudu, że boi się, by jej nie upił. Mocno rozcieńczył wino wodą i postawił przed nią.

Rozległo się pukanie do drzwi kabiny.

- Oto nasz obiad. Wejdz!

W progu pojawił się Scargill w oficjalnym stroju angielskiego lokaja, niosąc srebrne tace. Hrabia zdusił śmiech, widząc wyraz bolesnej rezygnacji malujący się na jego twarzy.

Cassie odsunęła się od stołu i usiadła na niebieskiej aksamitnej kanapie.

Bez słowa patrzyła, jak hrabia podnosił pokrywki półmisek i wciągał zapachy potraw.

- Przekaż Arturowi, że dokonał cudów - powiedział do Scargilla, który z troską popatrywał na

dziewczynę.

Cassie nagle zwróciła się do niego:

- Czy i ty pragniesz skończyć na szubienicy, jak twój pan? Bo taki los czeka zbójców i piratów!

Scargill spojrzał na zarumienioną Cassie:

- Jeśli taka wola boża, panienko, niech i tak będzie.

Stała niepewnie na nogach i syknęła:

- Już ja dopilnuję, żeby się wola boża wypełniła! Jak możesz służyć człowiekowi, który z okrucieństwem porywa kobietę z domu i rozdziela od *R S*

najbliższych? To diabeł, bez serca i honoru!

Scargill powoli pokręcił głową, a jego orzechowe oczy przybrały łagodny wyraz:

- Mylisz się, panienko - powiedział miękko.

Cassie wzięła głęboki oddech i niepomna na konsekwencje, podeszła do hrabiego i chlusnęła mu winem w twarz.

- Dobry Boże - jęknął Scargill.

Anthony Welles bez słowa wyjął z kieszeni kamizelki białą batystową chustkę i starł nią wino z twarzy.

Scargill nie mógł jej nie podziwiać, bo chociaż momentalnie pobladła, wciąż trzymała podbródek dumnie uniesiony i łopatki idealnie złączone.

Hrabia odłożył chustkę i powiedział cicho:

- Możesz odejść. Cassandra i ja chcielibyśmy zasiąść do obiadu.

- Tak jest, panie - powoli odpowiedział Scargill, patrząc badawczo na swojego pana.

Hrabia zamknął za służącym drzwi i przekręcił klucz. Podeszedł do stoją-

cej na komodzie misy z wodą, by opłukać twarz i szyję. Wytarł się ręcznikiem i spokojnym głosem powiedział:

- Usiądź, Cassandro. Arturo niezwykle się starał, by przygotować dla ciebie angielskie potrawy.

Cassandra patrzyła na niego niepewnie, bowiem po swoim spontanicznym postępku spodziewała się odwetu. Usiadła przy stole, nie chcąc jeszcze bardziej go prowokować, przynajmniej w tej chwili.

Nagle poczuła, że jest równie głodna, jak była spragniona. Nie miała nic w ustach od śniadania.

Hrabia z przyjemnością patrzył, jak pałaszuje krwisty befsztyk i solidną porcję gotowanych ziemniaków z pietruszką. Gdy nasyciła pierwszy głód, *R S*

zwolniła tempo i oparła się wygodnie.

- Cieszę się, że aprobujesz choć jedną rzecz, jaką dla ciebie przygotowa-
łem.

Spojrzała na niego, zaciskając palce na nóżce kieliszka z winem.

- Nawet o tym nie myśl, Cassandro - powiedział czule. - Pozwoliłem ci na jeden dziecinny wybryk, ale na tym koniec.

Zagryzła zęby i podniosła kieliszek, ale ręka jej zadrżała.

- Jeśli to zrobisz, możesz być pewna, że nie pozostanę ci dłużny. - Dostrzegł w jej oczach nieme pytanie. - Jeśli chluśniesz we mnie winem, przełożę cię przez kolano i zleję cię po gołej pupie.

- Nie zrobisz tego!

- Przekonamy się?

Powoli odstawiła wino na stół i zdjęła rękę z kielicha.

- A zatem, skarbie, czy spróbujesz mojej włoskiej kawy?

- Nie jestem twoim skarbem!

- Kawy?

Kiwnęła głową, licząc na to, że kawa zneutralizuje działanie alkoholu.

Podeszła do kanapy i usiadła, bezgłośnie sącząc gęsty czarny napój. Gdy Scargill wrócił, żeby pozbierać ze stołu, hrabia rozmawiał z nim półgłosem, ale nie była w stanie dosłyszeć o czym.

Gdy znowu znaleźli się sami, patrzyła na tego ogromnego ciemnego mężczyznę z rosnącym przerażeniem.

- Chcę jeszcze kawy - wystrzeliła.

Anthony zawahał się przez ułamek sekundy, ale zaraz nalał jej pół fili-
żanki.

Ku swojemu wielkiemu zakłopotaniu Cassie zorientowała się, że ilości wypitego wina i kawy

zaczynają dawać o sobie znać w niezwykle niepokojący *R S*

sposób. Przez dłuższą chwilę wierciła się na kanapie, aż wreszcie nie wytrzymała:

- Muszę... to znaczy... chcę... zostać na chwilę sama!

Hrabia przekrzywił głowę na bok i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Z

wdziękiem wstał i skierował kroki do drzwi.

- Nocnik jest przy łóżku. Masz pięć minut, Cassandro.

Załatwiwszy pilną potrzebę, Cassandra rzuciła na zegar rozpaczliwe spojrzenie i zobaczyła, że zostały jej tylko dwie minuty. Dobrze wiedziała, że nie uda jej się go zatrzymać, mimo to przesunęła ciężką niebieską kanapę i zaba-rykadowała nią drzwi. Zrobiła się czerwona na twarzy, mocując się ze stołem, zanim się zorientowała, że jest przymocowany do podłogi. Wydała okrzyk frustracji na dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Zaszyła się w najdalszym kącie kabiny.

Usłyszała niski chichot i zobaczyła, że kanapa przesuwa się na bok, a hrabia lekkim krokiem wchodzi do środka.

- Wygląda na to, że dałem ci za dużo czasu. Może następnym razem wcale nie będę wychodził. - Nagle przybrał poważny ton. - Podejdź tutaj, Cassandro. Chcę z tobą pomówić.

Dławiona strachem, potrząsnęła tylko głową.

- Jeśli mnie nie posłuchasz - ciągnął cierpliwie - to po prostu przyjdę po ciebie i cię tu przyniosę.

Powłócząc nogami, zbliżyła się do niego. Nie spoczęła jednak na krześle, lecz stała za stołem naprzeciw niego.

Hrabia usiadł na krześle okrakiem i patrzył na nią bez słowa. Dostrzegł

malujący się na jej twarzy blady strach i bardzo żałował tego, co zamierzał zaraz zrobić. Lepiej mieć to jak najszybciej za sobą, pomyślał. Odchrząknął i spokojnie rzekł:

R S

- Jak już mówiłem dziś po południu, Cassandro, zamierzam uczynić cię moją żoną.

- No to myślę, że jesteś tępakiem, milordzie, bo nie dalej jak dziś po po-

łudniu powiedziałam ci, że twój zamiar jest absurdalny. Prędzej poślubię samego diabła!

- I aby łatwiej ci było zaakceptować mnie w roli męża, już dzisiaj roz-pocznijmy pożycie małżeńskie.

- Ty... ty się nie ośmielisz!

- Owszem, ośmielę się.

- Nie pozwolę ci! Niech cię cholera porwie, jeśli tylko spróbujesz mnie dotknąć!

- Cassandro, posłuchaj mnie. Pozwolić ci pozostać dziewicą to dopiero byłoby szaleństwo, ponieważ dłużej żywiłabyś daremne nadzieje i to nie pozwalałoby ci się do mnie zbliżyć.

- Nie jestem dziewicą - powiedziała zuchwale. Dostrzegła błysk zaskoczenia w jego ciemnych oczach i postanowiła iść za ciosem: - Nie tylko nie jestem dziewicą, panie hrabio, ale jestem też w ciąży. Od niespełna dwóch miesięcy noszę dziecko Edwarda Lyndhursta! Zbyt długo zwlekałeś z porwaniem, bo teraz już noszę dowód mojej miłości do Edwarda.

- To niemożliwe - wycedził Anthony, omiatając wzrokiem jej wąską talię.

- Nie okłamuj się, milordzie. To jest jak najbardziej możliwe. - Mówiła teraz szyderczo donośnym i wyraźnym głosem. - Pozwól, że ci o tym opowiem, milordzie. Krótco po powrocie Edward spotkał mnie na plaży, gdzie po-szłam popływać... To ustronny zakątek, poza zasięgiem twojego wścibskiego wzroku! Byłam prawie naga, więc nie mógł się opanować. A mnie dotyk jego rąk i ciężar jego ciała sprawiały ogromną przyjemność. - Wiedziała, że jest poruszony, bo chociaż jego twarz nawet nie drgnęła, oczy lekko mu się zwężyły. -

R S

Jestem wybrakowanym towarem, milordzie, a nie dziewicą, której pragnąłeś za żonę! Masz tu kobietę innego mężczyzny i jego dziecko!

Wytrzymała jego spojrzenie i prześmiewczym gestem skrzyżowała ręce na brzuchu.

Gdy wreszcie przemówił, jego głos był zaskakująco beznamiętny.

- Przykro mi to słyszeć, Cassandro, bo to oznacza, że trudniej ci będzie zapomnieć wicehrabiego. Nie skrzywdzę twojego dziecka. Wręcz je wycho-wam jako własne.

Cofnęła się, nie wierząc własnym uszom.

- Nie wiesz, co mówisz, milordzie! Czyżbyś mnie nie zrozumiał? Dobrowolnie oddałam się innemu mężczyźnie. Niech cię szlag, nie możesz mnie nadal pragnąć! Wyszedłeś na głupca, hrabio!

Powoli wstał z krzesła.

- Podejdź do mnie, kochana, pomogę ci się rozebrać.

Wyciągnął do niej rękę.

- Nie - wrzasnęła przejmująco i znowu się cofnęła. - Nie zrobisz mi tego, nie zrobisz!

- Skoro nie jesteś już dziewczyną, Cassandro, i poznałaś budowę mężczyzny, to wiesz, że nie zrobię ci krzywdy. Nauczysz się mojego dotyku i blisko-

ści mego ciała. - Mówiąc to, okrążał powoli stół.

Widziała poważny zamiar w jego oczach i wcisnęła się w róg kabiny, za plecami mając małe okna. Zbliżył się. Jego potężna ciemna postać górowała nad nią, tylko potęgując strach. Gdy złapał ją za ramiona, walczyła zaciekle, żeby mu się wykręcić. Wystrzeliła kolanem, ale natrafiła tylko na jego muskularne udo. Bez trudu unieruchomił jej ręce i przewiesił ją sobie przez ramię, *R S*

drugą ręką przyciskając wierzgające nogi do swojego torsu.

Położył ją na łóżku i usiadł przy niej, wciąż trzymając jej dłonie nad głową w żelaznym uchwycie.

- Nie opieraj mi się, Cassandro, to niczego nie zmieni. - Pocałował ją delikatnie, a ona krzyknęła, jakby przyłożył jej do warg rozżarzone węgle.

- Nie! - powtórzyła i odwróciła od niego głowę.

Wygięła się i zaczęła kopać go po plecach.

Zwinnym ruchem położył się przy niej, przygważdżając jej nogi, żeby ją uspokoić. Anthony poczuł rozkoszną miękkość jej ciała i instynktownie wślizgnął się na nią, przywierając do jej brzucha.

Zobaczył w jej oczach taką bojaźń, że postanowił powściągnąć swoje po-

żądanie. Przesunął palcem wokół jej ust i w dół po gładkiej białej szyi, lekko i czule.

- Nie rób mi tego - wyszeptała.

- Muszę, Cassandro - odpowiedział cicho.

Poczuła jego dłoń na piersi i ten nienawistny obcy dotyk wzbudził w niej jeszcze większe przerażenie. Zaczęła wierzgać i wrywać się, aż oswobodziła jedną dłoń i zabandażowanymi paznokciami próbowała podrapać go po twarzy.

Nagle stoczył się z niej i stanął przy łóżku. W lodowatym milczeniu obserwowała, jak zdejmuje kamizelkę i białą koszulę, obnażając tors. Nie był

mężczyzną smukłej budowy jak Edward. Mięśnie na jego ciele, widoczne pod kępkami czarnych kręconych włosów, naprężyły się przy najlżejszym poruszeniu. Powędrowała wzrokiem na jego umięśniony brzuch i jeszcze niżej, i w nagłym ataku paniki, rzuciła się w stronę drzwi. Z łatwością złapał ją jedną ręką-

ką i rzucił lekko z powrotem na łóżko.

- Cassandro, posłuchaj mnie - powiedział ostro. - Jeśli trzeba, żebym cię *R S*

zgwalił, to niech i tak będzie, ale nie pozwolę ci bić się ze mną jak jakiejś dzikusce. Tylko sobie zrobisz krzywdę, a tego bym nie chciał. Albo ulegniesz, albo cię zwiążę.

- Nigdy ci nie ulegnę! - zawołała wściekle. - Nigdy, rozumiesz?

- Skoro tak - powiedział beznamiętnie i odszedł od łóżka, znikając z jej pola widzenia.

Poczołgała się w najdalszy kąt łóżka, podniosła się na kolana i opierając się plecami o piękną mahoniową boazerię, nakryła rękami swoje drżące ciało.

Pojawił się nagle z powrotem, niosąc w rękach dwie jedwabne chustki do nosa. Pełna napięcia, wtuliła się jeszcze mocniej w ścianę.

Zwinnym ruchem wspiął się do niej i przyciągnął ją do siebie. Siadł na niej okrakiem i przytrzymując jedną jej rękę kolanem, drugą chwycił w nadgarstku i obwiązał chustką. Następnie podniósł jej ramię i przymocował koniec chustki do drewnianej kratownicy ozdabiającej wezłowie łóżka. Wiła się pod nim jak oszaląła, ale jeśli odczuwał ból od uderzeń jej nóg, to nie dawał nic po sobie poznać. Wziął jej drugą rękę i przywiązał mocno do wezłowia. Próbując się wyswobodzić, czuła, jak jedwab zaciska jej się na nadgarstkach. Kiedy się podniósł, oddychała ciężko, a z jej wielkich oczu biło przerażenie.

Próbowała powstrzymać dyszenie, żeby jej piersi nie unosiły się pod jego nienawistną ręką, kiedy odpinał guziki gorsetu sukni. Wydawało się, że rozbiera ją bez najmniejszego pośpiechu.

- Przysporzyłaś mi kłopotu - zagadnął. - Jak mam zdjąć z ciebie suknię, kiedy masz przywiązane ręce?

- Idź do diabła! - warknęła.

- Obawiam się, że musimy poświęcić twoją suknię - ciągnął, ignorując jej słowa.

R S

Rozpiął guziczki przy nadgarstkach i szybkim ruchem rozpruł rękawy aż do ramion, a następnie ozdobny ściąg pod szyją. Potem z zaskakującą delikatnością zdjął z niej gorset. Rozwiązał wstążki stanika i zsunął z niej bieliznę, pozostawiając ją do pasa nagą.

Zachłysł się powietrzem, patrząc na jej ciało.

- Wyobrażałem sobie, Cassandro, że twoje ciało będzie białoróżowe. Jesteś cudowna.

- Nie mogę się wiele różnić od twoich włoskich dziwek!

- Ależ, kochana, ty się wyróżniasz - powiedział miękko.

Czuła, jak wodzi palcami po jej sutkach, a one twardnieją pod jego dotykiem. Zduśła okrzyk bezsilnej złości i skupiła się na nienawiści, na jaką zasługiwał. Leżała sztywno, nawet kiedy wziął

jej pierś do ust i ssał z pożądaniem.

- Przestań! - wrzasnęła i wygięła ciało w łuk, by się mu wyrwać.

Hrabia przytrzymał ją w talii rękami, by pozwoliła mu wędrować ustami po piersiach i napawać się jej jedwabistą skórą. Poczuł, że jej ciało drży, ale nie z podniecenia, tylko ze strachu. Na moment się zawahał. Wiele razy wyobrażał sobie, że posiada jej ciało i uczy ją kobiecej rozkoszy i poczuł przyływ gniewu na Edwarda Lyndhursta za to, że jako pierwszy rozbudził jej po-

żądanie. Myśląc o dziecku wicehrabiego w jej łonie, wyrzucał sobie, że nie wziął jej rok wcześniej, kiedy miała siedemnaście lat. Zdjął dłoń z jej piersi i podniósł wzrok na jej twarz. Miała mocno zaciśnięte powieki i usta. Doprowadzi do tego, że będę musiał ją zgwałcić, pomyślał.

Wziął głęboki oddech i szybko zdjął z niej resztę ubrania. Kiedy była na-ga, wstał powoli, żeby na nią popatrzeć. Leżała nieruchomo, z odwróconą na bok głową i ściśniętymi udami. Wodził oczami po miękkich krągłych liniach *R S*

jej ciała, po jej wąskiej talii i płaskim białym brzuchu. Zatrzymał wzrok na trójkącie jasnych kręconych włosów pokrywających jej łagodnie zarysowany wzgórek. Był zdumiony subtelnością, a przy tym prowokującą zmysłowością.

Wezbrała w nim fala pożądania. Wyobraził sobie, że oplata go swoimi długimi smukłymi nogami i wciąga go głęboko w siebie. Pragnął ją rozchylić, pieścić, czuć i smakować jej wilgotne miejsca. Pulsująca męskość rozrywała mu spodnie, aż z gardłowym jękiem zrzucił z siebie resztę ubrania.

Cassie usłyszała, jak ciężkie buty uderzają o podłogę i mimowolnie od-wróciła do niego głowę. Stał przed nią, majestatyczny i nieporuszony swoją nagością. Jej wzrok nieuchronnie spoczął na czarnej kępie włosów na jego kroczu i krzyknęła na widok potężnego pulsującego fallusa.

Zaczęła się szamotać, próbując wyswobodzić się z jedwabnych pęt i odsuwając od niego biodra.

- Nie skrzywdzę cię, Cassandro. Przecież to wiesz. - Usiadł przy niej i pogłaskał ją po brzuchu.

Pieścił ją coraz niżej, aż dotknął istoty jej kobiecości. Starła się od niego odskoczyć, machając dziko nogami, ale na próżno, bo przytrzymał ją swoim ciałem. Wsunął palce między jej uda i głaskał ją tam delikatnie.

- Jesteś piękna. - Czując, jak muska palcami wewnątrz jej ud, Cassie nie mogła powstrzymać drżenia i przyspieszonego oddechu.

- Przestań, proszę - powiedziała cicho, złączając z całej siły nogi.

- Nie, ukochana. Rozluźnij się, Cassandro, oddaj mi się. - Siłą rozchylił

jej uda i przytrzymał ją tak obnażoną. Zniżył głowę i zakrył ją ustami. Jej szok stłumił budzące się powoli pożądanie i wpadła w szal, próbując uciec od jego ust.

- Nie! Niech cię diabli, nie!

Niechętnie odstąpił. Zmienił szybko pozycję, siadając na niej okrakiem i *R S*

podnosząc jej biodra na poduszce. Wiedziała, że rozchyła ją palcami i podniosła się, by zobaczyć, że przygotowuje się, by w nią wejść.

Krzyk zamarł jej w gardle, gdy nagle on zastygł, naciskając na nią lekko swoją męskością. Podniosła powieki i zorientowała się, że patrzy na nią z wyrazem zaskoczenia i rozbawienia.

- Ty mała kłamczucho - powiedział czule i z lekkim niedowierzaniem. -

Na Boga, minęłaś się z powołaniem, Cassandro. Powinnaś być aktorką. A więc jesteś w ciąży, kochana? To prawdziwe dokonanie, zważywszy że twoja błona dziewicza jest nietknięta. To tłumaczy twój szok na widok nagiego mężczyzny.

- Zsunął się z niej i wstał.

- Co zamierzasz zrobić? - wychrypiała, nieufnie wodząc za nim wzrokiem.

- To, co bym zrobił, gdybym myślał, że jesteś dziewicą.

Zwarła znowu nogi i bez większej nadziei pociągnęła za jedwabne więzy.

Kiedy poczuła, że usiadł, podniosła wzrok i przekonała się, że trzyma w ręku słoiček.

- Co to jest? - wyszeptała, podnosząc głowę z poduszki, żeby to lepiej widzieć.

Nie odpowiedział, tylko wsunął rękę między jej uda i rozwarł je. Cassie poczuła, że wsuwa w nią palec i doznając zimna oraz dziwnej ulgi, napięła mocniej mięśnie.

Hrabia poczuł na sobie jej uporczywy i błagalny wzrok i chociaż chciał ją pocieszyć, wiedział, że cokolwiek zrobi, tylko przedłuży jej strach.

Kiedy w nią wszedł, Cassie wyczuła, że rozciąga się, by go zmieścić.

Czuła, że on napiera na jej błonę i zeszywniała.

- Cassandro - powiedział i poczekał, aż na niego spojrzy. - Muszę teraz *R S*

zadać ci cierpienie, ale potrwa to tylko chwilę.

Krzyknęła raz, kiedy przeszył ją ostry ból i czuła, że coraz bardziej się w nią zagłębia. Popadła w odrętwienie i łzy bezsilności napłynęły jej do oczu.

Wielkie dłonie trzymały jej biodra - unosił je lekko w rytm swoich pchnięć.

Nagle wydał przeciągły jęk, dziwnie się naprężył i zalał ją swoim nasieniem.

Cassie usłyszała własne łkanie. Pałace łzy płynęły jej po policzkach, przynosząc rozgrzany słony smak na wargi.

Poczuła na twarzy ciepłą moką tkaninę, która chłoneła jej łzy i przynosi-

ła ukojenie. Otworzyła oczy. Pomyślała, że została zhańbiona i zapalała gniewem na siebie, na swoją bezbronność i słabą płęć.

- Nienawidzę cię - wyszeptała do pochylonej nad nią ciemnej twarzy.

- Tak, wiem - powiedział łagodnym głosem. - Tak mi przykro, że musia-

łem cię skrzywdzić, Cassandro. - Przerwał i odgarnął jej z oczu wilgotne loki. -

Jeśli chcesz znać prawdę, to pragnęłam mieć całą tę cholerną sprawę już za sobą. Następnym razem obiecuję ci, że nie będzie bolało. Chciałbym nawet, że-byś odczuwała przyjemność, bo na tym polega sztuka kochania.

Na samą myśl, że miałyby znowu ją do tego zmusić, pograżyła się w czarnej rozpacz. Moką tkaniną przetarł jej uda. Powoli złączyła zeszywniałe no-gi.

Kontynuował rozmowę tak, jakby była to uprzejma pogawędka w salonie.

- W Genui, podobnie jak w wielu regionach Włoch, jest taki chłopski zwyczaj, że po nocy poślubnej pan młody wywiesza prześcieradło w oknie. I wiesz co, muszą być na nim plamy krwi, żeby wszyscy wiedzieli, że przyszła do niego jako dziewica.

Odpowiedziała drżącym z wściekłości głosem:

- To może sobie to cholerne prześcieradło zawieszisz na maszcie?

R S

Spojrzał na nią i uśmiechnął się zachwycony jej charakterkiem.

- Dlaczego nie? - powiedział rzeczowo. - Chociażby po to, by uczcić twoje spektakularne kłamstwo.

- Wodząc palcami po jej brzuchu, powiedział: -

Będziesz trochę obolała, ale to szybko minie.

- A więc to tak podsumowujesz brutalny gwałt, milordzie? Twoja ofiara będzie tylko trochę obolała, nic więcej.

- Nie moja ofiara, Cassandro. Moja żona.

- Z tym swoim obłąkanym pomysłem to możesz iść do czorta!

- Jeśli tylko wybierzesz się tam ze mną. Teraz, jeśli obiecasz się na mnie nie wyzywać, przynajmniej fizycznie, rozwiążę ci ręce.

Popadła już w stan zubożenia, chociaż zanotowała rosnące odrętwienie rąk. Odwróciła od niego twarz.

Schylił się, rozsypał jedwabne więzy i przeniósł jej ręce w dół. Zobaczył, że ma ślady na nadgarstkach i zmartwił się. Rozmasował jej dłonie, żeby odzyskała w nich czucie.

- Już lepiej? - zapytał.

- Byłoby mi lepiej, gdybym ci wbiła nóż między żebra.

- To znaczy, że dużo lepiej. Rozumiem. Eliott nigdy nie mógł ci dorównać w trafnych ripostach. A jeśli teraz poślubi pannę Pennworthy, to jego wrodzona błyskotliwość po roku zupełnie zaniknie z braku używania. - Nie reagowała, więc ciągnął lekkim tonem. - Nie byłabyś też w stanie za długo dopasować się do Edwarda Lyndhursta. On ma bardzo zatwardziałe poglądy na temat tego, co przystoi, a co nie przystoi angielskiej żonie, i okazałby się odporny na twoje argumenty.

Cassie poczuła, że ogarnia ją smutek.

- Edward już pewnie myśli, że nie żyję.

R S

- Raczej jeszcze nie. Założę się, że będzie przeczesywał wybrzeże przez kolejnych kilka dni, zanim pogodzi się z tym faktem.

- Musisz mnie teraz posłuchać - poprosiła Cassie, podpierając się na łokciach. - Teraz, kiedy już mnie wykorzystałeś, czy nie czas skończyć tę okrutną zabawę i zabrać mnie do domu? Skoro nie jestem już dziewicą, nie dostarczę ci więcej rozrywki! - Miała świadomość, że nie patrzy wcale na jej twarz, więc zakryła się kawałkiem prześcieradła.

- Ależ moja pani skromna - zaśmiał się, wstając. - Ja też jestem nagi, kochana, i wcale się przed tobą nie chowam.

- Odpowiedz mi! - wrzasnęła.

- Jak pleciesz głupstwa, to cóż mogę ci na to odpowiedzieć - stwierdził

niedbale.

Przeciągnął się, eksponując swoje umięśnione ciało. Wzrok Cassie spoczął na kępie czarnych włosów między nogami. Jego męskość była teraz wiotka i zaskakująco miękka.

Żartobliwie się jej skłonił:

- Nie mogę nieustannie być w pełnej gotowości, nawet dla ciebie, moja pani. Twój uniżony sługa też musi czasem odpocząć.

Zamrugnęła, by powstrzymać napływające jej do oczu piekące łzy i odwracając się od niego, zdławiła szloch. Dotknął poluzowanych splotów jej włosów.

- Musisz wyszczotkować włosy, kochana, żeby jutro nie było kołtunów. -

Kiedy nie reagowała, westchnął i powiedział: - Dobrze zatem, pozwól, że zrobię to za ciebie. Będziesz siedzieć spokojnie, czy muszę znowu cię związać?

Zrezygnowana odwróciła się do niego.

- Daj mi tę przeklętą szczotkę. *R S*

Nie bacząc na ból w ramionach, rozplotła palcami warkocze i energicznie przeczesła szczotką gęste włosy.

- Jak cała reszta, Cassandro, twoje włosy są fenomenalne.

Patrzyła beznamiętnie przed siebie. Kątem oka zauważyła, że odwrócił

się i zerka na stojący na ozdobnym biurku zegar.

- Pora spać, Cassandro. To był długi i męczący dzień.

- Gdzie będziesz spał?

- Tutaj, przytulony do twojego ciepłego ciała.

- Chcę koszulę nocną.

- Wybacz mi, moja pani, ale koszula nocna to jedyna rzecz, jakiej w twojej szafie nie znajdziesz.

- Ja nigdy nie śpię bez koszuli.

- Czas zatem zmienić te pruderyjne zwyczaje.

Zdławiła łzy wściekłości i porażki i poddała się wszechogarniającemu zmęczeniu. Hrabia obszedł kabinę i pogasił lampy. Znowu rozciągnął mięśnie i z uśmiechem zadowolenia położył się obok niej. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy mógł sobie pozwolić na relaks.

Leżał na plecach z rękami pod głową, wsłuchując się w urywany gniewny oddech Cassie.

- Chodź do mnie, Cassandro - powiedział wreszcie, opuszczając ręce. -

Nie wezmę cię po raz drugi, obiecuję. - Mógł sobie łatwo wyobrazić, że leży skulona i wciśnięta w ścianę kabiny. - Jeśli mnie nie posłuchasz, to cofnę swoją obietnicę.

Wydała z siebie wściekły pomruk i z dużym ociąganiem przysunęła się do niego.

Wziął jej sztywne ciało w ramiona i przytulił.

- Dobranoc, kochana - szepnął, układając jej głowę na swoim ramieniu.

R S

Jej gęste rzęsy ocierały się o jego ciało, stąd wiedział, że leży w ciemno-

ści z otwartymi oczami. Szukał słów zdolnych ją pocieszyć, ale ponieważ obecnie to on tkął nić jej przeznaczenia, każde słowo z jego ust wzbudziłoby tylko jej gniew. Pomyślał o zrzędzeniach losu, które popchnęły go do popeł-

nienia, jak sam uważał, skandalicznego czynu, czynu, który zamknie mu drogę powrotu do angielskich brzegów na wiele lat. Na krótką chwilę popadł w nieznany mu do tej pory nastrój i ogarnęły go wątpliwości co do powodzenia ca-

łego planu.

Jej łzy kapnęły mu na ramię i podniósł rękę, by je otrzeć. Próbowwała mu się wyrwać, ale trzymał ją mocno.

- Śpij, Cassandro. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

- Niech cię piekło pochłonie, ty łajdaku bez serca - wycodziła ostro. -

Gdybym była mężczyzną, zatopiłabym ci nóż w gardle.

- Gdybyś ty była mężczyzną, kochana, ja występowałbym tu w roli pede-rasty. Już sama ta myśl wywołuje we mnie obrzydzenie. Będiesz miała nieskończenie dużo czasu, żeby mnie znieważać. Teraz śpij. Rano twój jęczyczek będzie jeszcze ostrzejszy.

Nieskończenie dużo czasu... te słowa rozbrzmiewały w jej głowie jak dzwon pogrzebowy. Niech cię piekło pochłonie, poprzysięgła bezgłośnie, ratując się przed bezdenną rozpaczą. Ucieknę ci.

Rozdział 8

Przez moment Cassie była z powrotem w Hemphill Hall, gdzie w swojej słonecznej sypialni nasłuchiwała szurania Dolly Mintlow, która przynosiła jej *R S*

rano gorącą czekoladę.

Jej łóżko przechyliło się dziko i obudziła się przerażona.

Uchwyciła się kratowanego wezgłowia, kiedy jacht z głośnym trzeszczeniem przechylił się na lewą burtę. Usiadła i w osłupieniu rozejrzała się po kabinie. Wpadające przez kwadratowe okienka

przymglone światło poranka sprawiało, że panowała w niej nienaturalna szarość. Ulewny deszcz walił w statek, a pioruny rozbrzmiewały jak przytłumione wystrzały armatnie. Oby tak było, pomyślała ze ściśniętym gardłem. Modliła się, by sztorm posłał hrabiego i jego kosztowny jacht na dno kanału La Manche. Byłby to przynajmniej koniec tego koszmaru i naprawdę wieczność oddzieliłaby ją od Edwarda i rodziny. Statek zaskrzypiał i mocno się przechylił, ale z czasem dzikie kołysanie ustało i „Cassandra”, jak się jej wydawało, płynęła wyznaczonym kursem.

- Dzięki ci, Panie, za tę burzę - wymamrotała.

To najprawdopodobniej jedyny powód, dla którego jest teraz sama. Na myśl o powrocie hrabiego, spuściła nogi z łóżka i przyjrzała się sobie. Była zupełnie naga. Powolutku wstała, wyczuwając nieznacznie bolesne podrażnienie między nogami. Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić i ostrożnie przeszła do przebieralni. Nalała wody z brzuchatego dzbanka do miski i zabrała się do mycia. To powinien być dzień mojego ślubu, pomyślała beznamiętnie, nie zwracając uwagi na to, że chłopie na dywan. Ze złością spryskała sobie wodą twarz, gdy łyzy gromadziły się jej w oczach.

Zakłęła cicho na widok rozprutej sukni porzuconej beładnie na podłodze w tym samym miejscu, gdzie upadła poprzedniej nocy. Ponieważ nie miała najmniejszego zamiaru powitać go w negliżu, otworzyła dębową szafę i przejrza-

ła rząd sukien w wyrazistych kolorach. Przypomniła sobie o bieliźnie i pocią-

gnęła za szufladę toaletki. Zagryzła wargi, myśląc o precyzji i rozmachu jego przygotowań. Nie tylko o niczym nie zapomniał, ale wszystkie ubrania były najlepszej jakości. Pospiesznie nałożyła zestaw wspaniałej koronkowo-R S

jedwabnej bielizny, a następnie wybrała najbardziej stonowaną suknię z gołę-

biego muślinu. Ku swojemu zmartwieniu odkryła jednak, że okazały dekolt psuł skromny charakter sukienki. Pasowała idealnie, podobnie jak bielizna.

Szczotką, która miała rączkę z kości słoniowej, przeciągnęła jednym szarpnięciem po zmierzwiionych włosach i związała je na karku czarną wstążką. Na koniec wygładziła muślinową spódnice.

Kiedy już była ubrana - i to tak elegancko, jakby spodziewała się porannej wizyty - poczuła się nieco pewniej. Podeszła do zamkniętych drzwi kabiny i energicznie poruszyła klamką. Drzwi były oczywiście zamknięte na klucz.

Wraz z pewnością siebie wzrósł także jej gniew, przez co prawie wzywała hrabiego, żeby ośmielił się wejść.

Przemierzyła kabinę, dając wyraz swojej frustracji. Z każdym krokiem lepiej wyczuwała rytm statku. Zaburczało jej w brzuchu i po raz kolejny przeklęła hrabiego. Czyżby próbował głodem zmusić ją do uległości?

Choć kołysanie fal nadal było silne, udawało się jej przewidywać kolejne wstrząsy. Poza tym

uderzenia deszczu nieznacznie straciły na sile. Odwróciła się do drzwi, słysząc zbliżające się do kabiny kroki. Wyprostowała się i przybrała buntowniczą pozę.

Klucz zazgrzytał w zamku i drzwi otworzyły się z rozmachem. Hrabia wszedł sprężystym krokiem, a jego rosła sylwetka idealnie zmieściła się w drzwiach. Biła od niego taka witalność i groźna samcza siła, że Cassie instynktownie się przed nim cofnęła. W zejściówce przed wejściem do kabiny zauważyła pozostawiony czarny płócienny kapok, który połyskiwał kroplami deszczu.

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie i zacisnęła mocno wargi.

- Dzień dobry. Jak nastrój o poranku, Cassandro? - pozdrowił ją obrzydliwie pogodnym głosem. Rękawem koszuli otarł mokre brwi. - A właściwie *R S*

wczesnym popołudniem.

Patrzyła na niego kamiennym wzrokiem i nie odpowiadała.

- Suknia świetnie leży - ciągnął wesoło, taksując wzrokiem jej nieruchomą postać. - Mam nadzieję, że inne rzeczy, które dla ciebie kupiłem, będą równie dobrze pasować.

Pomyślała o jedwabnej bieliźnie, która pieszczotliwie okrywała jej ciało, i nieświadomie zrobiła kolejny krok w tył, zasłaniając ręką podbrzusze.

Udając, że nie dostrzega jej zmieszania, hrabia podszedł do stołu, nalał

sobie szklanek wody i wypił ją duszkiem.

- Scargill będzie tu zaraz z naszym lunchem. Wybacz, że nie przyniósł ci śniadania, ale był potwornie zajęty. Jak wiesz, sztormy w kanale potrafią być niebezpieczne. Gdyby nie to, w życiu bym nie opuścił naszego ciepłego łóżka. -

Przypomniawszy sobie, jak wyglądała we śnie, ze spokojną twarzą oraz wachlarzem złotych włosów rozścielających się wokół głowy i piersi niczym jedwabny koc. Kiedy rano odsunął się od niej, westchnęła przez sen i skuliła się w kłębek.

- Moja pani jest dziś niezwykle milcząca - zauważył lekkim tonem, opadając na krzesło. - Żadnych jadowitych słów? Jak nie przestaniesz się tak kulić, to gotów jestem pomyśleć, że się mnie boisz.

Sprowokowana jego słowami wysyczała:

- Byłam, milordzie, głodna, ale twoja przebrzydła obecność zupełnie pozbawiła mnie apetytu.

- Mam nadzieję, że wkrótce go odzyskasz, kochana. Szkoda byłoby twojej urody.

Dało się słyszeć lekkie pukanie i na komendę hrabiego wszedł do kabiny Scargill z zakrytymi talerzami.

Krzążając się przy stole, służący spoglądał ukradkiem na Cassie. Mimo iż *R S*

starła się zachować dumę i nie zwracać na niego uwagi, czuła, że rumieńce wykwitły jej na policzkach. Chciała rzucić się do lustra na toaletce i sprawdzić, czy wygląda jakoś inaczej, czy wyraz jej twarzy, a może oczy, zdradzają, że utraciła cnotę. Nagle zorientowała się, że hrabia coś do niej mówi i nieufnie podniosła na niego wzrok.

- To był mój pomysł - mówił skromnie. - Na pokładzie może szaleć burza, a talerz zawsze pozostanie na swoim miejscu.

Popatrzyła bez większego zainteresowania na ciężkie cynowe naczynia.

- Magnetyty - rzeczowo uzupełnił Scargill, pokazując jej spód naczynia -

Widać tu takie paski? Jak się tylko położy talerz na tym pasku, to potem trzeba silnego chłopca, żeby go podnieść. Jakby *madonna* zechciała usiąść, to ja mam dla niej smaczny gulasz jagnięcy na lunch.

Cała ta rozmowa o magnetytach wypadła jej z głowy, bo na widok jagnięciny ślinka napłynęła jej do ust. Usiadła, tak jak prosił, zastanawiając się jeszcze, dlaczego nazwał ją *madonną*. Zjadła swoją porcję ze wzrokiem wbitym w talerz.

Hrabia popatrywał na nią, ale się nie odzywał, świadom, że jakakolwiek próba rozmowy z jego strony mogłaby jej popsuć apetyt. Żałował, że przez tę burzę musiał ją zostawić samą na tak długo. Wiedział, że jej emocje są teraz wzburzone i chciał być przy niej, choćby po to, by mogła się na nim wyżyć.

Przeklął zmienną pogodę.

Na koniec tego cichego posiłku Anthony rzucił serwetkę na stół i podniósł się z miejsca.

- Wybacz, że tak szybko cię opuszczam, moja droga, ale pan Donnetti ma grypę, a Angelo nie czuje się zbyt pewnie za sterem w taką pogodę. Moja silna ręka jest bardzo potrzebna gdzie indziej.

R S

Cassie z namysłem sączyła wino.

- Będę się modlić, żebyś wpadł do morza, milordzie, chociaż sądzę, że twojego ścierwa nawet ryby by nie tknęły.

- Brawo! Już się obawiałem, że dowcip ci się stępił pod moją nieobecność.

Skłonił się, nie bacząc na jej wściekły pomruk, i wyszedł z kabiny.

Cassie skuliła się krótko po jego wyjściu. Gulasz nie ułożył się jej najlepiej w brzuchu i wiedziała, że nudności jeszcze się nasilą, jeśli pozostanie w zamkniętej przestrzeni. Podeszła do okna i przycisnęła policzek do szyby, w nadziei, że ukoji ją widok wzburzonego morza. Jej żołądek trochę

się uspokoił i podjęła na nowo nerwowy spacer po kabinie. Szukała w myślach jakiegoś sposobu ucieczki, ale nie przychodził jej do głowy żaden możliwy do wykonania plan. Sfrustrowana skupiła myśli na czymś innym. Uznała, że zważywszy na postępek hrabiego, nie można wykluczyć, że postradał on zmysły. On i jego motywy mało ją obchodziły - liczyło się tylko to, że zrujnował jej życie. Miał

czelność powiedzieć, że ją kocha i pragnie poślubić, po czym najzwyczajniej ją zgwałcił. Choć fizycznie nie zrobił jej jakiejś strasznej krzywdy, czuła się potwornie upokorzona, że jakkolwiek mężczyzna mógł tak ją potraktować.

Przypomniało jej się, jak ją przypierał do łóżka, pieścił jej ciało i wbijał się w nią. Nudności wróciły i skulona podeszła znowu do okna. To nie może dziać się naprawdę, pomyślała.

Mimowolnie skierowała myśli na Edwarda i planowany ślub. W wyobraźni czule pogładziła palcami kunsztowne brukselskie koronki, które ozdabiają gorset sukni ślubnej. Stała jej przed oczami jego twarz, jego brązowe oczy pałające pożądaniem, i chciała sobie wyobrazić, jak wyglądałaby noc po-

ślubna z nim. Teraz te oczy nie błyszczały pożądaniem, lecz były zamglone smutkiem. Samotna łza zakręciła się jej w oku.

R S

Zacisnęła pięść i wygrażając nią w stronę pokładu rufowego, krzyknęła:

- Obyś się smażył w piekle!

Nagle zastygła i zdeorientowana odwróciła się do drzwi. Czyżby usłyszała chichot?

Drzwi otworzyły się gwałtownie i ukazał się w nich roześmiany hrabia.

- Moja biedna Cassandro, powiedz tylko, która z moich rzeczy tak cię wyprowadziła z równowagi, a natychmiast przebiję ją mieczem.

- To przebij swoje czarne serce!

Wyszczерzył do niej zęby i rzucił jej zawiniątko ubrań.

- Masz tutaj, kochana, przebierz się w to i możesz wyjść ze mną na pokład. Bryczesy to datek od najmniejszego członka mojej załogi.

Chciała wykrzyknąć, żeby zabrał sobie te ubrania i poszedł do diabła, ale przecież potrzebowała się wyrwać z tej przeklętej kabiny i uspokoić żołądek.

Wyobraziła sobie, że słona woda pryska jej na twarz, a morski wiatr smaga jej ciało, i kiwnęła potakująco głową. Schyliła się, podniosła bryczesy i koszulę i trzymała je przy piersi.

- W szafie znajdziesz buty. Przyjdę po ciebie za pięć minut.

Kiedy hrabia wrócił, Cassie siedziała na kanapie i wciągała buty.

- Czy mogę ci pomóc, Cassandro?

Pokręciła głową i dalej go ignorowała. Kiedy wstała - świadoma, że buty jeździeckie z miękkiej skóry ciasno otulają jej łydki - zmierzył ją wzrokiem z góry na dół.

- Widok męskich spodni nie może być dla ciebie taką nowością - warknę-

ła i ruszyła do drzwi, starając się trzymać sztywno i nie kręcić biodrami.

- Jak miło, że mi o tym przypominasz - odpowiedział.

Opatulona w wielką płócienną pelerynę i w wełnianej czapce naciągniętej głęboko na głowę, Cassie wyszła na pokład. Hrabia trzymał ją mocno za ramię, *R S*

jakby miał ją za bezmyślne dziecko gotowe zaraz zrobić sobie krzywdę. Nie zwracając na niego uwagi, wystawiła twarz na strugi deszczu i z zamkniętymi oczami głęboko wciągnęła rześkie morskie powietrze.

Miała nadzieję ujrzeć ląd, ale jak okiem sięgnąć, statek otaczały nisko zawieszane ciemne kłębiaste chmury. Żagle były ciasno pozwijane, bo szaleją-

ce zmienne wiatry mogłyby je podrzeć na strzępy, i potężne maszty sterczały jak ogołoczone z liści zimowe drzewa. Flaga wciąż trzepotała na maszcie i Cassie przemknęło przez myśl pytanie, dlaczego hrabia jej nie zabezpieczył. Jacht nagle pod dziwnym kątem wpadł w dolinę fali i Cassie rzuciło wprost na hrabiego. Mocniej jeszcze ujął jej ramię i się uśmiechnął.

- Straszliwy widok i piękny zarazem, nie uważasz? Zawsze mnie pocią-

gała myśl, że ludzie ośmielają się stawać do walki z morskim żywiołem uzbrojeni jedynie w siłę woli i ramion. Po raz kolejny zwyciężyliśmy, bo wiatr trochę już się uspokoił. Może nawet ujrzymy promyk słońca przed zapadnięciem zmroku.

Cassie nie słuchała go. Z zainteresowaniem przyglądała się marynarzom w płóciennych kapotach, którzy, kuląc się przed mocnym wiatrem, uwijali się przy takielunku.

- Płyniemy za ostro pod wiatr - powiedziała, przytrzymując się olinowa-nia.

Hrabia spojrzał na nią zaintrygowany.

- Myślę, że *milady* ma rację.

W jego głosie pobrzmiwała zarówno duma, jak i rozbawienie i Cassie miała sobie za złe, że w ogóle się do niego odezwała.

- Czy miałabyś ochotę chwycić za ster, Cassandro? - zapytał, kiedy znaleźli się na pokładzie

rufowym.

R S

- Ja? - Starła z twarzy krople deszczu i patrzyła na niego z niedowierzaniem, podejrzewając, że z niej kpi.

- Oczywiście - odrzekł swobodnie. - Tylko jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym nie wtajemniczać w to moich ludzi. Padłby na nich blady strach, gdyby wiedzieli, że ich życie znajduje się w rękach osiemnastoletniej dziewczyny. Chodź, zmienimy Angela.

Złapał mocno jej dłoń i prowadził ją po śliskim pokładzie do kokpitu.

Poklepał po plecach niskiego marynarza w czarnym płaszczu i nienagannym włoskim powiedział mu, żeby się udał pod pokład. Oddając hrabiemu ster, Angelo przeszył Cassie spojrzeniem swoich świdrujących ciemnych oczu. Zsalutował, dotykając przemoczonej wełnianej czapki, odwrócił się i przeszedł po rozkołysanym pokładzie krokiem tak żwawym i pewnym, jakby to była podłoga salonu.

- Podejdź, Cassandro.

Hrabia ustawił ją przed sobą, za szerokim kołem steru i uniósł nad nią złączone ręce, tak by jego wielka powiewająca na wietrze peleryna zasłoniła ją przed wzrokiem załogi.

- Ster należy do ciebie.

Chciała wrzasnąć mu w twarz, że nie chce mieć do czynienia ani z nim, ani z jego żalostną łajbą, ale pokusa uchwycenia steru tak znakomitego statku zwyciężyła i Cassie powściągnęła język. Nie patrząc na niego, chwyciła gładkie spiczaste uchwyty steru i natychmiast poczuła potęgę morza. Ogarnęła ją ogromna radość, że może podjąć takie wyzwanie. Spiętrzona fala rozbiła się o dziób i statek zszedł z kursu, szarpiąc w prawo. Ramiona Cassie przeszył ostry ból, kiedy mocowała się z kołem, usiłując je przekręcić w lewo.

Hrabia dobrze wiedział, jak trudno jej to przychodzi, ale powstrzymał odruch, by ją wyręczyć. Położył lekko ręce na jej ramionach i przekonał się, jak *R S*

mocno napina mięśnie, siłując się ze sterem.

- Nie mówiłaś czasem, że płyniemy za ostro pod wiatr? - zapytał chłodno, choć statek wślizgnął się właśnie lekko na fale.

- Tak jest - burknęła.

Złapała mocniej za uchwyty steru i przechyliła się mocno w lewo, z ca-

łych sił ciągnąc za ster. Przekręciła za dużo i o mało co nie wpadła w panikę, kiedy statek gwałtownie się przechylił. Ścięło ją z nóg, ale nie wypuściła steru.

Hrabia objął ją w talii i pomógł stanąć na nogi, ale nic nie wskazywało na to, żeby miał ją zaraz odsunąć od steru. Musiała szeroko rozewrzeć ramiona, żeby chwycić ster po obu stronach - w tej pozycji nie miała jednak dość siły, żeby go odpowiednio obrócić. Przygryzła dolną wargę, ale po chwili zaśmiała się wicherze w twarz i umieściła obie dłonie po jednej stronie koła. Powoli, dysząc z wysiłku, ugięła kolana, żeby zyskać potrzebną siłę nacisku i pociągnęła do góry. Wydała okrzyk triumfu, kiedy statek odchylił się z powrotem.

- Brawo, Cassandro! Genialne rozwiązanie. Przy odrobinie praktyki i, rzecz jasna, mojej pomocy zostaniesz doskonałym sternikiem.

- Nie chcę od ciebie, milordzie, żadnej pomocy!

Tylko się uśmiechnął, słysząc jej oburzenie.

- Tak myślisz, Cassandro? Cóż, będziemy się o tym musieli przekonać.

Nie podobał jej się jego aksamitny ton, ale zachowała spokój i skupiła się na kierowaniu jachtem. Gdy po mniej więcej kwadransie przejął od niej ster, wcale nie protestowała, ponieważ ręce aż jej drżały z wysiłku. Z niezadowoleniem odnotowała, że hrabia narzuca jachtowi swoją wolę zupełnie bez trudu.

- Patrz na sterburtę, Cassandro.

Odwróciła głowę i zobaczyła na horyzoncie nieostry kontur tęczy, którą jak najpiękniejszy witraż rozświetlały nieśmiałe promienie popołudniowego słońca, przebijające się przez ciemne chmury. Chłonęła czar tego obrazu, ale *R S*

zachowała milczenie. Nie ma zamiaru dzielić z tym człowiekiem niczego.

- Angelo wraca, żeby nas zmienić. Cassandro, jesteś przemoczona. Czas na gorącą kąpiel.

Potrząsnęła głową tak energicznie, że mokre pukle włosów uderzyły ją po policzkach. Anthony oddał ster Angelowi i zwrócił się do niej. Zaciśnął palce na jej ramionach, a ona zatrzęsała się nie z zimna, lecz z trwogi.

Przybrał surowy ton:

- Nie zapominaj, Cassandro, że ja tu jestem kapitanem. Będziesz robić, co mówię, podobnie jak każdy na tym statku.

Wytrzymała jego spojrzenie.

- A co mi zrobisz, jeśli nie posłucham twoich rozkazów, kapitanie? Rzucisz mnie rybom na pożarcie? Czy mnie uwięzisz w tej przebrzydłej kabinie? -

odcięła się.

Hrabia spojrział na jej uniesioną, zarumienioną i mokrą od deszczu twarz, którą okalała wełniana czapka naciągnięta aż do brwi. Wyczuwał, że się go lę-

ka, ale wiedział, że jeśli jej pozwoli, to pozostanie na pokładzie dotąd, aż padnie z zimna i przemęczenia.

Na jego ustach zamajaczył uśmiech.

- Mógłbym się z tobą bić, jak sądzę. Tylko że twoje ręce są pewnie tak obolałe, że nie byłabyś w stanie stanąć do walki. Teraz chodźmy. Nie każ mi wziąć cię na ramię przy wszystkich.

Cassie wpatrywała się badawczo w Angela, żywiąc nadzieję, że sternik nie rozumie angielskiego. Czowała się taka upokorzona i bezsilna, że nie może o sobie decydować.

Hrabia uniósł pytająco brew, po czym odwrócił się do sternika.

- Ster należy do ciebie, Angelo. Przejaśnia się, więc wieczorna zmiana *R S*

nie powinna być szczególnie nieprzyjemna. - Odwrócił się z powrotem do niej:

- Chodź, Cassandro.

Ten krótki rozkaz nie napotkał sprzeciwu. Cassie przygryzła dolną wargę i niechętnie ujęła hrabiego pod ramię. Kiedy schodzili z pokładu, myślała wciąż o Angelu i zastanawiała się, czy mogłaby liczyć na jego wsparcie. Nie wydawało się to zbyt prawdopodobne. Był jeszcze ten drugi mężczyzna, pierwszy oficer na statku. Może on nie będzie takim lojalnym sługą hrabiego, na jakiego wyglądał Angelo. Zapytała, jak gdyby nigdy nic:

- A kim jest pan Donnetti, ten pierwszy oficer, który jest chory?

Nawet jeśli hrabia rozważał motywy jej ciekawości, nie dał tego po sobie poznać.

- To człowiek, któremu powierzyłbym moje i twoje życie. Podobnie jak ja ma mieszane pochodzenie. Jego matka była Francuzką. Donnetti został na-jemnikiem we francuskiej armii. Gdy nakazano mu szpiegować w Genui, nie przyjął rozkazu. Udało mi się uratować go przed mordercami. Niestety, nie by-

łem w stanie ochronić jego żony i dziecka.

Cassie zadygotała. Przemoc w niemal każdej postaci była jej obca. Poza tym dano jej właśnie do zrozumienia, że, jeśli tylko wierzyć opowieści hrabiego, pan Donnetti nie będzie skłonny jej pomóc.

- On będzie niedługo zdrow, przynajmniej tak donosił mi Scargill. Gdy dotrzemy do Genui i zatrzymamy się w mojej willi, pan Donnetti zajmie moje miejsce jako kapitan „Cassandry”.

Cassie nie potrafiła sobie wyobrazić, że kiedykolwiek znajdzie się w Genui, gdyż miejsce to było dla niej równie obce jak dalekie Chiny. Poza tym nie mieszka się w willi. Można mieszkać w dworze,

rezydencji, ewentualnie w zamku. Łzy napłynęły jej do oczu i potknęła się. Hrabia natychmiast ją podtrzymał, nie pozwalając upaść. W owej chwili nienawidziła samej siebie, swo-R S

jej fizycznej słabości, którą wykorzystywał, by nad nią panować. Wyrwała mu się i pospieszyła na dół do kabiny.

Usłyszała, jak zagaduje ją z tyłu:

- Zdażyłem się przekonać, że dni po burzy bywają przewspaniałe. Jeśli mam rację tym razem, to zobaczysz jutro wybrzeże Francji. - Chwytała już za klamkę, kiedy powiedział: - Zdejmij, proszę, pelerynę. Nie chciałbym, żeby dywan zamókł.

Zrzuciła ciężkie okrycie i zdjęła czapkę. Kaskada mokrych loków opadła jej na plecy. Dotknął dłonią jej ramienia i Cassie się odwróciła.

- Zdejmij mokre ubrania. Ja tylko zamówię dla nas gorącą wodę na kąpiel oraz obiad, i zaraz do ciebie wrócę.

Otworzył drzwi kabiny i lekko pchnął ją do środka.

- Nie tarasuj już drzwi meblami, proszę cię. To mogłoby mnie wyprowadzić z równowagi.

Cassie zamknęła mu drzwi przed nosem. Ściągnęła mokre rzeczy tak szybko, jak pozwalały jej na to zziębnięte palce. W obawie, że on lada chwila wróci, porwała z szafy granatowy aksamitny szlafrok i włożyła go, obwiązując się ciasno w talii. Włosy zawinęła w gruby ręcznik i zrobiła sobie na głowie turban.

Stała na środku kabiny i czekała. Zauważyła, że ktoś, najpewniej Scargill, uporządkował rzeczy, zapalił lampy i poprawił jasnoniebieską narzutę na łóżku, wygładzając wszystkie zmarszczki. Znikła też jej podarta suknia.

Zerknęła na zegar nad biurkiem hrabiego. Dochodziła piąta. Mimowolnie przywołała w pamięci obraz jadalni w Hemphill Hall, udekorowanej na weselny obiad. Nie będzie dzisiaj girland ani białych serpentyn, lecz czarna żałoba.

Edwardzie, nie wiem, jak ja to zniosę! Wiedziała, że będzie musiała przecierpieć jeszcze o wiele więcej. Nie miała wątpliwości, że ponownie ją zgwałci.

R S

Na tę myśl osunęła się bezwładnie na podłogę.

Drzwi kabiny otworzyły się i pojawił się w nich hrabia, za którym szło dwóch masywnych marynarzy niosących wiadra z parującą wodą. Cassie podniosła się i zeszała im z drogi. Przyglądała się potem, jak napełniają miedzianą wannę. Usłyszała, że hrabia kazał przynieść więcej wody i zostawić ją przed drzwiami. Następnie skoncentrował swoją uwagę na niej.

- Kąpiel gotowa, moja pani. Ponieważ jestem dżentelmenem, ustępuję ci pierwszeństwa. Przy wannie znajdziesz swoje ulubione lawendowe mydło do umycia włosów.

Nie przyszło jej do głowy zastanawiać się, skąd zna jej ulubione zapachy, gdyż gorączkowo rozglądała się w poszukiwaniu parawanu, który ochroniłby ją przed jego wzrokiem. W domu Dolly zawsze ustawiała parawan przed jej wanną.

- Cassandro, chodź, zanim woda wystygnie. Ja mam się kąpać po tobie, a nie mam ochoty się zanurzyć w zimnej wodzie. - Widział, jak bardzo się krę-

puje przed nim rozebrać i znowu przeklął gwałtowną burzę, która oderwała go od niej wcześniej rano. Miała cały dzień, żeby się od niego odgradzić.

- Prosiłabym o parawan.

- Nie mam parawanu - powiedział krótko. - Odwróć się plecami. - Przynajmniej na chwilę, dodał już w myślach.

Cassie podeszła powoli do wanny i odwinęła ręcznik. Nie dotknęła nawet paska szlafroka, dopóki on się nie odwrócił, żeby sobie nalać kieliszek wina.

Hrabia usłyszał lekki plusk i skrzyknął głowę, by ujrzeć ją zanurzoną po brodę, otoczoną złotą chmurą włosów.

Wychylił resztę wina, głośno się przeciągnął i zrzucił z siebie mokre ubranie. Opuściła wzrok, kiedy szedł nago do szafy, by włożyć czarny aksamitny szlafrok. Wino pomogło mu się rozluźnić. Usiadł ciężko przy biurku, *R S*

myśląc, że był to piekielnie długi i męczący dzień, dzień stracony. Spod pół-

przymkniętych powiek obserwował Cassie i jej niezdarne wysiłki, żeby namydląć włosy.

To najprawdopodobniej, pomyślał z lekkim uśmiechem, jedna z tych rzeczy, których nigdy nie robiła sama. Prawdopodobnie boją ją też ręce od dzisiaj-szych zmagania ze sterem. Może tej nocy, wybiegł trochę myślami w przyszłość, uda mi się ją trochę rozbudzić. Poczł napięcie lędźwi, wyobrażając ją sobie nagą w swoich ramionach. Wstał i podszedł do niej.

- Skoro pozbawiłem cię pokojówki, pozwolisz, że zaoferuję własne usługi. - Schwycił ciężki pukiel mokrych włosów.

Chciała mu się wyrwać, ale nie puścił jej włosów. Poczł, że truchleje ze strachu.

- Czy nie potrafisz dotrzymać nawet prostej obietnicy, milordzie? Mówi-

łeś, że się odwrócisz!

- Na Boga, Cassandro, ja tylko chcę ci pomóc. Nie musisz się mnie obawiać. Zapewniam cię, że

kiedy będę chciał się z tobą kochać, będziesz wiedziała o tym pierwsza.

- Nie życzę sobie twojej pomocy i wcale się ciebie nie boję!

Wyszczерzył do niej zęby.

- Ale z ciebie kłamczucha, moja droga. Cóż za grzywa włosów... mój rumak Cicero takiej nie ma.

- Nic mnie nie obchodzi twój szkaradny koń!

- Nie mam zamiaru się z tobą spierać. Uspokój się, kochana, i przyjmij moją bezinteresowną pomoc.

Zazgrzytała zębami, ale schyliła głowę. Kiedy on energicznie mydlił jej włosy, Cassie pospiesznie zakryła rękami piersi.

R S

- Czy życzysz sobie, żebym umył ci również plecy?

Powiedział to miękko, z lekką nutką ironii.

Cassie łypnęła na niego ze złością:

- Nie! I zabierz się stąd, żebym mogła splukać włosy.

Zależało mu, żeby jak najszybciej wyszła z wanny, więc wycofał się bez dyskusji.

Wrócił do swojego krzesła, usiadł i zamknął oczy, oddając się lekkiemu kołysaniu statku. Gdy je otworzył, siedziała już w szlafroku na skraju łóżka i wycierała włosy. Wstał i przeciągnął się z samczym wdziękiem.

- Pruderyjna skromność naprawdę do ciebie nie pasuje, Cassandro -

stwierdził i zrzucił z siebie szlafrok.

Chciało mu się śmiać, gdy jej wzrok mimowolnie powędrował w dół, a jego męskość natychmiast zareagowała.

- Nic tak człowieka nie stawia na nogi, jak gorąca kąpiel i czuły wzrok damy - zauważył i wszedł do wanny.

Cassie bardzo się starała nie zwracać na niego uwagi, ale jego tubalny ba-ryton wypełnił całą kabinę. Śpiewał sobie lubieżną marynarską piosenkę. Cassie aż policzki płonęły, kiedy przysłuchiwała się opowieści o służącej, która zadzierała spódnice dla kochliwego kapitana.

- Bardzo proszę, żebyś przestał - warknęła.

Zaśmiał się i wyszedł z wanny: ogromny, ciemny, ociekający wodą.

- Zechciałabyś podać mi ręcznik?

- Sam sobie go weź!

* * *

- Napijesz się jeszcze wina, Cassandro?

Włosy dotknęły miękko jej policzków, kiedy pokręciła głową.

R S

- A obrać ci pomarańczę?

- Nie, jestem już najedzona, milordzie.

- Doskonale. Cieszę się, że mój kucharz po raz kolejny cię zadowolił. -

Przerwał na moment, po czym miękko dodał: - Teraz na mnie pora, by ci pokazać, że ja także to potrafię.

- Nie zrobisz tego, ty przebrzydły draniu! - Naprężyła się i wcisnęła plecy w oparcie krzesła.

- Ależ owszem, kochana - odrzekł i wstał, żeby pociągnąć za dzwonek.

Nagle rześka Cassie poderwała się z krzesła. Nie czuła już lęku, lecz paraliżujący gniew.

- Niech cię szlag, nie możesz być takim okrutnikiem!

Rozległo się ciche pukanie i Scargill wszedł do środka.

- Wszystko było przygotowane należycie, panie? - zapytał ostrożnie.

Zdawał sobie doskonale sprawę z obecności dziewczyny, która stała skulona w kącie. Bardzo się jednak starał nie zwracać na nią uwagi.

- Wyśmienicie. Jestem pełen uznania, zwłaszcza że sztorm poważnie ograniczał swobodę ruchów w kambuzie. Tobie potrzeba odpoczynku, Scargill.

Zabierz naczynia i idź spać.

- Tak jest, panie. Czy coś jeszcze? - Głupie pytanie, pomyślał, podążając za wzrokiem hrabiego.

Cassandra wyglądała jak przestraszona młoda narowista klacz, gotowa uciec przy najbliższej okazji. Scargill miał ogromną nadzieję, że jego pan wie, co robi. Sprzątnął ze stołu, skłonił się i wyszedł z kabiny, uginając się pod cięż-

żarem cynowych naczyń.

Hrabia oparł się wygodnie o wysokie skórzane oparcie i z namysłem złączył palce.

- Chociaż tyle, że nie masz dzisiaj na sobie tej okropnej sukni.

- Nawet mnie nie tkniesz, milordzie!

R S

- Obawiam się, że zaczynasz się powtarzać, Cassandro. Jak masz się nauczyć kobiecej rozkoszy, jeśli nie dasz mi się dotknąć?

- Zawsze będę do ciebie czuła tylko nienawiść, przysięgam! Niech cię diabli, zabierz mnie do domu!

Zignorował jej krzyki i podniósł się z krzesła.

- Nie! - Zakryła się rękami, ale przyciągnął ją do siebie, przyciskając jej ręce do boków.

Odchyliła głowę, ale zdołał dosięgnąć jej ust. Poczowała na twarzy żar jego oddechu, kiedy ustami zmusił ją do rozwarcia warg. Jego siła była porażająca, opasujące ją w talii stalowe ramiona przyciskały ją tak mocno, że ich ciała sta-piały się w jedno. Próbowwała się opierać, kiedy położył dłoń na jej pośladkach i pieścił ją palcami przez cienką tkaninę szlafroka.

- Nie! - wrzasnęła. Przerwał pocałunek, ale zaraz przywarł ustami do jej szyi, wypalając znamię na gładkiej białej skórze i odkrywając językiem jej oszalałe tętno.

Chociaż próbowała mu się wyrwać, zdołał pociągnąć za pasek szlafroka i jej okrycie zsunęło się na podłogę. Dotyk aksamitu wokół kostek sprawił jej niemal ból.

Chłód na plecach i żar bijący od ciała hrabiego przyprawiły ją o drżenie.

Nie zdążyła nawet złapać oddechu, kiedy on zrzucił swoje okrycie. Ku przerażeniu Cassie podniósł ją i przycisnął jej podbrzusze do swego.

- Nie! Nie będzie kolejnego gwałtu! - Nie wypowiedziała tych słów do końca, gdyż zamknął jej usta pocałunkiem.

Jego język zgłębiał jej usta i miała wrażenie, że spada i że nie minie chwila, a znajdzie się w mocy jego namiętności. Jej umysł przestał reagować, a jej ciało stało się rozluźnione, prawie bezwładne. W dolnej części brzucha po-R S

czuła drżenie. Jęknęła cicho, przerażona tym doznaniem.

- Też myślę, że nie będzie, Cassandro - powiedział niskim, schrypniętym głosem.

Spojrzał jej w oczy i dostrzegł zmieszanie oraz skrywane pragnienie.

Chciał, by wydyszała swoje pożądanie i przygarnęła go do siebie.

- Proszę, nie - szepnęła, ale on nie baczył na to i zaniósł ją do łóżka.

Plecami dotknęła chłodnej gładkiej pościeli, z przodu zaś czuła rozgrzane ciało hrabiego. Jego gęsty zarost drażnił jej piersi, a między udami niecierpliwiał się jego wielki, przerażający członek. Z całych sił skupiała swe myśli na Edwardzie, na jego miłości i namiętności - aż z jej ust wydobył się przejmujący jęk. Czy była to rozpacz po stracie Edwarda, czy rozkosz gorejąca w jej ciele coraz większym płomieniem - tego nie mogła wiedzieć. Z trudem uświadomiła sobie, co się z nią dzieje i podejmowała desperackie próby, by położyć temu kres.

Tymczasem on pieścił ustami jej pierś, drażniąc i trącąc językiem sutek.

Jej zimne postanowienie oporu zaczynało topnieć. Przeklinała swoją uległość i usiłowała wskrziesić w sobie wolę walki, ale jej ręce spoczywały nad głową, dłonie luźno splecione z jego dłońmi.

Odsunął się od niej i jej ciało natychmiast upomniało się o jego dotyk.

Cassie złapała drżący oddech i ścisnęła uwolnione dłonie w piastki, by go uderzyć. Przeszkodził jej jednak, wracając do całowania piersi i schodząc ustami niżej na brzuch, podbrzusze i jeszcze niżej, jakby chciał językiem sprawdzić, jak bardzo jest rozgrzana. Z jej gardła uwolnił się jęk w chwili, gdy dotarł do centrum jej podniecenia.

- Nie - jęknęła, wbrew sobie samej.

Lecz on przyssał się do niej delikatnie i teraz już wiedziała, że nie zniosłaby tego, gdyby ją tak zostawił. Spozrzegła, że jej ciało się na niego otwiera, *R S*

a biodra nieznacznie się unoszą ku jego ustom. Zacisnęła dłonie na jego ramionach i ugniatając napięte mięśnie, przyciągała go bliżej siebie.

Nagle przeszył ją nieznany dotąd dreszcz rozkoszy, rozkoszy tak obezwładniającej, że z największym trudem łapała oddech. Oderwał od niej usta, ale jej palące pragnienie pozostało, czyniąc ją zakładniczką własnej namiętno-

ści. Nie do końca rozumiejąc, co robi, wydała z siebie jęk zawodu.

Kiedy w nią wszedł, jej ciało wyszło mu na spotkanie. Czuła, że trze o nią podbrzuszem w kolistym tańcu, wbija się w nią głębiej i głębiej, roznieca, a potem gasi jej pragnienie i ciałem rozumiała jego rytm. Położyła mu ręce na plecach, ponagłając go i przyciągając jeszcze bliżej. Jakby z oddali dochodził

do niej jego rozpędzony oddech. Z jej gardła uwolnił się urywany jęk i niekontrolowany krzyk: „Tak, och, tak!”. Biodra zaczęły unosić się w rytm jego pchnięć, a nogi samowolnie oplótły go w pasie.

W jednej chwili nogi jej znieruchomiały, a nieopisany spazm rozkoszy wziął w posiadanie jej ciało. Dobrowolnie oddawała się tej niewoli. Nie potrafiła opanować głośnego krzyku. Czuła na policzku

jego gorący oddech, potem jego usta na swoich, aż wreszcie jego ciało obezwładnił ekstatyczny dreszcz. Nie przestając jej całować, wydyszał swoje spełnienie.

Cassie leżała pod nim bez słowa, bez jednej myśli, bez żadnych pragnień.

Ciężko oddychała przez półotwarte usta. Jej serce stopniowo zwalniało szaleńczy pęd.

- Nie chcę cię zgnieść, Cassandro - powiedział hrabia łagodnie i wsunął jej ręce pod plecy.

Przewrócił się na bok, zabierając ją ze sobą i przytulił mocno. Gdy tak le-

żała bez czucia, delikatnie gładził jej potargane włosy, uspokajał ją i pocieszał.

Lekko ucałował jej skronie i głaskał. Odetchnął głęboko, a w kącikach ust za-znaczył mu się lekki uśmiech. Chciał jej powiedzieć, że doprowadziła go do *R S*

prawdziwej ekstazy. Milczał jednak, żeby jej nie spłoszyć. Jego uśmiech wyra-

żał też smutek. Spodziewał się, że nazajutrz odsądzi go od czci i wiary - sprawi to jej urażona duma. Uzna, że namiętność jest oznaką uległości i nie będzie sobie tego w stanie wybaczyć. Nie martwiło go to jednak przesadnie, bo teraz już był pewien, że uda mu się wymazać wicehrabiego z jej pamięci. Zaciśnął palce na jej pośladkach i zaczął je lekko masować. Usłyszał, że z głębi jej gardła wydobywa się cichy szloch. Odsunął się trochę, by zobaczyć jej twarz.

Oczy miała wypełnione łzami, które spływały jej po policzkach.

- Zdradziłam go. Boże, ja go zdradziłam - załkała.

Przyciągnął ją do siebie i tuląc jej policzek do swojego, otarł jej łzy.

- Nie, Cassandro - szepnął uspokajająco, zbliżając usta do jej twarzy - nie masz o co płakać. Musisz zrozumieć, że ty nikogo nie zdradziłaś.

Nie przestawała łkać, więc hrabia ucałował jej ucho, policzek i delikatnie odchylił jej głowę, by mogły spotkać się ich usta. Czuł na jej wargach słony smak łez. Radowało go, że nie próbowała go odepchnąć. Chociaż zaciskała wargi, wiedział, że puls jej przyspiesza. Znowu stwardniał i zaraz znalazł się w niej. Wodził palcami po jej ciele, jakby się z nią droczył, czym doprowadził ją do drżenia. Przycisnął wargi mocniej, jakby prosił, by go wpuściła.

- Proszę, nie - powiedziała słabym głosem, ale on spętał jej język namiętym pocałunkiem.

Poruszał się w niej wolno, koncentrując się na dogłębnych uderzeniach i trzymając ręce na jej biodrach, uczył ją tego nowego rytmu. Cassie wciągnęła powietrze i stało się to, co nieuniknione.

Zaczęła poruszać się wraz z nim.

Delikatnie wysunął członek, by wzmóc jej pożądanie pieszczotą palców.

Wyrzuciła w przód biodra i dyszała, opierając czoło na jego klatce piersiowej.

Kiedy z jej ruchów wyczytał, że łaknie dotyku głębiej, niż mógł dosięgnąć, *R S* wszedł w nią ponownie.

Chwycił ją mocno i przewrócił się na plecy, pociągając ją za sobą.

- Chciałbym na ciebie patrzeć, Cassandro. - Uśmiechnął się, widząc jej zawstydzenie.

Przez moment próbowała mu uciec, ale otoczył jej smukłą talię rękoma i podniósł ją do siadu. Wówczas poczuła go tak głęboko, że zadygotała. Wciąż unikała jego wzroku.

Jego ręce przesunęły się w górę i ujęły jej nabrzmiąte piersi.

Zajęczała cichutko i rozłożyła dłonie na jego torsie, by zyskać podparcie.

Hrabia prowadził ją powoli. Podnosił ją lekko, by wsunąć palce pod jej pośladki i zaciskał je miarowo, unosząc ją i opuszczając w zmysłowym tańcu.

Przyciskał dłoń do jej podbrzusza i rozczapierzał palce, aby ją pieścić w naj-czulszych miejscach. Spinała się, gdy ją tak dotykał i ścisnął go udami z ca-

łych sił. Wygięła plecy w łuk, by wciągnąć go jeszcze głębiej. Jej reakcja na tę pozycję była tak ognista, że on stracił panowanie.

- Teraz, kochana - wyrzucił.

Opętana pożądaniem, Cassie poczuła jego rozedrgane szczytowanie i gorące nasienie tryskające we wnętrzu jej ciała i sama oddała się nadchodzącej rozkoszy.

Nie miała siły, by się utrzymać i spadła na niego, zakrywając jego twarz i ramiona burzą włosów i kładąc policzek w zagłębieniu jego szyi. Delikatnie wyprostował jej nogi i poczuł na sobie miękkość jej ciała.

- Kocham cię, Cassandro.

Usłyszała te słowa, ale nie odcisnęły się one w jej oszołomionym umyśle.

Wyczerpana zapadła w sen, kołysana falowaniem statku i wtulona w jego ciepłe silne ciało.

R S

Rozdział 9

Cassie obudziła się z uczuciem gorąca i ciasnoty. W dodatku coś ją łaskotało w usta. Otworzyła oczy i osłupiała. Leżała w ramionach hrabiego, z policzkiem na jego ramieniu. Podniosła głowę, próbując zebrać myśli.

Oddałam się temu człowiekowi! Z niedowierzaniem potrząsała głową, kiedy przypominało jej się, że poddała się wielkiej, nieposkromionej sile, która zniewoliła jej umysł, i że dyszała z pożądania i trzymała go tak mocno, jakby się miała rozpaść na drobne kawałeczki, gdyby ją puścił. Była teraz kobietą.

Ale oddała się okrutnemu mężczyźnie, porywaczowi, którego nie kocha!

Chciało jej się wyć ze złości na siebie i na niego, że tak ją rozbudził. Jak mogła doświadczać takiej namiętności, skoro minęła ledwo jedna noc, od kiedy ją zgwałcił? Odpowiedź na to pytanie była jak policzek.

Ale ja jestem damą, angielską damą! Nie, nie jest wcale damą, tylko dziwką, która nie więcej ma zasad moralnych niż byle prostytutka. Do tego zdradziła Edwarda. Pamiętała, że wypowiedziała te słowa poprzedniej nocy.

Hrabia był wtedy czuły i ją pocieszał, byle tylko stłumić jej poczucie winy.

A potem dałam mu się uwieść po raz drugi i wcale nie chciałam, żeby przestał.

Musisz z tym skończyć, Cassie!

Wstrzymała oddech, gdyż on się poruszył. Jak mogłaby popatrzeć mu w oczy teraz, kiedy nie byłaby nawet w stanie spojrzeć w lustro? Nie budząc się, przesunął rękę na jej biodra. Chciała się od niego odsunąć, ale wiedziała, że jeśli się poruszy, obudzi go. Popatrzyła na niego. Na szerokie czoło opadał mu niesforny kruczoczarny lok. We śnie wyglądał zaskakująco bezbrinnie, nawet krucho. Akurat, prychnęła. Może rzęsy miał długie i gęste, jak u dziewczyny, *R S*

ale poza tym nie było w nim nic kobiecego. Powiodła wzrokiem po jego prostym rzymskim nosie, pięknie wyrzeźbionych kościach policzkowych, szerokich zmysłowych ustach, kwadratowej szczęce. Przypomniała sobie, że znajome damy zwykły o nim mawiać, że jest niesamowicie przystojny, szatańsko przystojny. Cassie uznała, że określenie „szatański” lepiej do niego pasuje.

Czuła pod udem jego muskularny brzuch i niżej, łaskoczące ją lekko włoski.

Wydał przez sen głębokie westchnienie, po czym przewrócił się na plecy.

Powolutku Cassie wyplątała się z uścisku i wyskoczyła z łóżka. Z ulgą stwierdziła, że się nie obudził. Woda w misie była zimna, ale nie zwracała na to uwagi. Zależało jej, żeby się umyć i ubrać, zanim on wstanie. Opierając się o komodę, szorowała się zapamiętale, kiedy nagle usłyszała jego głos, leniwy, z nutą ironii.

- Z przyjemnością bym cię wyręczył, Cassandro.

Natychmiast się odwróciła, upuszczając na podłogę szmatkę do mycia.

Rozglądała się nerwowo za jakimś okryciem, ale nic nie znalazła. Jej szlafrok leżał po drugiej stronie kabiny - w miejscu, gdzie rozebrał ją poprzedniego wieczora.

- Już nie śpisz - stwierdziła niezbyt błyskotliwie, podnosząc szmatkę i zasłaniając nią dół brzucha.

- Tak, brakowało mi ciebie. Wróć do łóżka, Cassandro. Nawet mewy jeszcze śpią.

- Nie jestem śpiąca.

- W takim razie możemy... porozmawiać. Nie przeszkadza ci, że jestem nieogolony, prawda?

- Jesteś bardzo ciemny.

- Naprawdę nie chciałbym wstawać i cię tu przynosić. - Pokazał ręką na *R S*

jej miejsce w łóżku.

Już miała mu powiedzieć, żeby poszedł do diabła, ale jej uwagę przykuło jego ciało. Poczula lekkie mrowienie w dole brzucha i zadrżała.

- Będziemy rozmawiać? - szepnęła. - Obiecujesz?

- Oczywiście. Będziemy robić to, na co ty masz ochotę.

Ale skąd mogę wiedzieć, na co poczuję ochotę, kiedy się do ciebie zbliżę!

Odłożyła mokrą szmatkę na komodę i niespiesznym krokiem udała się do łóżka. Patrzyła w bok. Odchylił kołdrę i wsunęła się pod nią, po czym zakryła się pod samą brodę.

Leżała na plecach i wpatrywała się w sufit kabiny.

On ułożył się na boku, wsparty na łokciu, i patrzył na nią.

- Dobrze spałaś?

Zaczynała oddychać spokojniej, bo przekonała się, że nie będzie na nią nastawał. Bez zastanowienia dała mu szczerą odpowiedź:

- Tak, bardzo dobrze.

- Doskonale. Nie będę ci przypominał dlaczego. - Porzucił zaczepny ton i dodał: - Nie bój się mnie, Cassandro. Dotrzymam słowa.

- Ja się ciebie nie boję!

- Wiem. Teraz obawiasz się już tylko samej siebie.

Głos uwiązał jej w gardle. Nienawidziła go za to, że tak łatwo odgadł jej myśli. Zaciśnęła wargi i odwróciła głowę.

- Powiedziałem ci wczoraj, że nikogo nie zdradziłaś. Wiesz, że to prawda.

- To kłamstwo - odwróciła głowę, by spojrzeć mu w twarz. Była dziwnie opanowana. Wzięła jeszcze jeden głęboki uspokajający oddech i oświadczyła: -

Ale to się już nie powtórzy. Nie pozwolę sobie na... takie odczucia nigdy więcej.

R S

- Nie można kontrolować namiętności, Cassandro. To potężna siła, której nie wolno tłumić. To po prostu zdarza się między pewnymi ludźmi.

Ale ja pożądałam Edwarda! Choć nawet kiedy to pomyślała, nie miała całkowitej pewności. Czowała ciekawość, to na pewno. Nigdy też nie wątpiła, że jej miłość sprawi, iż razem doświadczą także fizycznej przyjemności.

Widział jej zmieszanie i ból i szukał słów, które ją pocieszą. Dlatego zaskoczyło go jej pytanie, wypowiedziane absolutnie opanowanym głosem:

- A do mojej matki... Czy i do niej czułeś pożądanie?

- Nigdy nie kochałem się z twoją matką. Jak już ci powiedziałem, byłem wówczas młodym chłopakiem. Choć, oczywiście, z właściwą temu wiekowi fantazją wiele razy wyobrażałem sobie, że tego doświadczam.

- A czy ona cię pragnęła?

Constance. Tyle czasu minęło, od kiedy ostatni raz myślał o niej w ten sposób. Tyle lat. Gdyby Cassandra nie była do niej tak podobna, jej rysy dawno już zatarłyby się mu w pamięci.

- Nie wiem tego na pewno. Wspomnienia z czasem stają się takie zamglone. - Urwał i patrzył na córkę Constance. Uważał, że ich podobieństwo kończy się na wyglądzie zewnętrznym. Widział, że Cassandra czeka na jego odpowiedź, przewiercając go bez mała oskarżycielskim wzrokiem.

Zaczął mówić z namysłem:

- Chociaż byłem wtedy młody, sądziłem, że twoja matka lękała się wszystkiego, czego nie rozumiała. To dlatego, moim zdaniem, poślubiła twojego ojca, człowieka, którego nie obchodzili inni ludzie. Nic go nie cieszyło tak, jak kontemplowanie swojego stanu posiadania. Ona wzbogaciła ten stan, bo choć z pewnością cenna i ceniona, była tylko kolejnym nabytkiem Zaoponowała przez zaciśnięte zęby:

- Z taką pewnością mówisz o mojej rodzinie. Myślisz, że znałeś charakter *R S*

mojego ojca lepiej niż ja?

- Ty postrzegałaś go oczami dziecka, Cassandro. Wiem, że cierpiałaś, bo wyczuwałaś jego obojętność, ale to samo odczuwał Eliott. Przynajmniej nie traktował cię gorzej dlatego, że jesteś kobietą.

Milczała. To, co powiedział, było prawdą, ale przyznanie mu racji byłoby zbyt bolesne.

- Mówiliśmy o mojej matce i... twojej miłości do niej.

- Nie - poprawił ją łagodnie. - Zapytałaś, czy mnie pożądała. Przywołujesz dawne wspomnienia. Jeśli mam być zupełnie szczery, to myślę, że nie.

Zawsze się bała. Nie siebie, ale otoczenia i tego, co jej znajomi powiedzą, jeśli będą podejrzewać, że pozwala sobie na taki związek.

- Czy gdyby była twoją... kochanką i gdyby lękała się samej siebie i martwiła się, że zdradza ojca, i powiedziała ci, że cię nienawidzi, czy puściłbyś ją wolno?

Uśmiechnął się melancholijnie.

- Jesteś jak zwinna pajęczycza tkająca sieć. Byłem wtedy młodszy niż ty teraz, Cassandro. Przez wiele lat myślałem, że wszystkie kobiety, to znaczy kobiety o oszałamiającej urodzie, są jak Constance: próżne i uległe. Nie okazują charakteru, może z wyjątkiem sytuacji, w których chodzi o ich własny interes. A ona, ponieważ zrobiła, jak jej kazano, i poślubiła twojego ojca, przypięczętowała swój los. Wykorzystała mnie, chłopca, który ją adorował, by czuć się kobietą godną pożądania. Twój ojciec, jak mi raz wyznała, nie należał do mężczyzn namiętnych. - Przerwał, wyczuwając jej zdumienie.

- Zawsze będę cię nienawidzić.

- Za to mojej miłości wystarczy dla nas obojga.

Odwróciła się do niego, podnosząc się na łokciu.

Nie zauważyła, że kołdra spadła, odsłaniając jej piersi.

R S

- To niedorzeczne! Nie możesz mnie kochać! Jeśli mam twarz matki, to nie jest to moja zasługa... Jak można kochać kogoś tylko dlatego, że przypomina wyglądem inną osobę!

Patrzył na nią stanowczym wzrokiem.

- Rozumiem, że pierwszego dnia nie słuchałaś mnie z pełną uwagą. Powiedziałem ci wtedy i teraz to

powtórzę, że cieszy mnie twoje podobieństwo do matki, ponieważ była ona piękną kobietą. Ale to ty jesteś wyjątkowa. To ciebie kocham, Cassandro, nikogo innego tylko ciebie. Kiedy zobaczyłem cię, gdy miałaś siedemnaście lat, byłem pewien tego uczucia bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. - Nagle nostalgiczny uśmiech rozświetlił jego twarz. - Szczerze mówiąc, myślałem, że wyrosłem już na zawsze z romantycznych uniesień i to, co mnie spotkało, było dla mnie prawdziwym szokiem. Pamiętam, niecały rok temu, ten obiad i bal w Belford House. Miałaś siedemna-

ście lat i był to twój towarzyski debiut. Tak się różniłaś od swoich rówieśniczek. Czy nie przypominasz sobie, jak ze mną tańczyłaś i jak z absolutną naturalnością oświadczyłaś, że doskonale się bawisz, ale trochę cię cisną pantofle?

Przytaknęła z namysłem.

- Tak. A ty zaproponowałaś, że będziesz mnie nosił w ramionach, żebym nie musiała chodzić.

- I pamiętam, że zaśmiałaś się uroczo i uznałaś to za wyborny pomysł.

Napomniałaś mnie jednak, że wcale nie mieścisz się w wadze piórkowej i wyraziłaś nadzieję, że okażę się dość silny, by wyświadczyć ci tę przysługę.

Wierz mi, Cassandro, że wymagało to ogromnego opanowania, żeby tego nie zrobić.

Mimowolnie się uśmiechnęła, pokazując dołeczki po obu stronach ust.

- Nie wiem dokładnie, jak do tego doszło, ale to ty towarzyszyłeś mi przy obiedzie. Nakładałeś mi potrawy na talerz i zakrztusiłam się homarem, bo tak *R S*

się śmiałam z twoich opowieści. Powiedziałeś, że to nieelegancko, kiedy klepałeś mnie dłonią po plecach. Uważałam, że jesteś bardzo... miły i strasznie zabawny.

- A przypominasz sobie, co jeszcze ci powiedziałem?

Odwróciła od niego wzrok i lekko odmienionym głosem powiedziała:

- Dodałeś, że z chęcią pomożesz mi się wszystkiego nauczyć, bo nie wąż-pisz, że czeka mnie pozycja o dużym znaczeniu.

- Niedokładnie tymi słowami, ale generalnie pamięć cię nie zawodzi. A ten dzień, kiedy zaproponowałem, że posadzę cię na arabską klacz, której raczej nie uda ci się okiełznać? Z błyskiem w oku poinformowałaś mnie wówczas rzeczowo, że jesteś w siodle urodzona i poradzisz sobie z każdym okazem z mojej stajni. I coś mi się zdaje, że zaliczyłybyś paskudny upadek, gdybym cię w ostatniej chwili nie ściągnął z grzbietu tamtej klaczy.

Zakrztusiła się ze złości:

- Wszystko musisz zapamiętywać!

- Tak, przynajmniej wszystko, co dotyczy ciebie. Myślę, że podobało ci się wtedy, jak cię trzymałem w ramionach, choć się nie domyślałaś, co do ciebie czuję. Bez odrobiny egzaltacji podsumowałaś, że owszem, okazałem się aż nader silny, by cię nosić.

Jej umysł zaląła fala wspomnień, które teraz nabierały nowych znaczeń.

Najbardziej bolało ją to, że wszystkie one były przyjemne i wskazywały na je-go inteligencję, poczucie humoru i uprzejmość. Co ciekawe, przypomniawszy sobie też, że niektóre damy traktowały ją podejrzliwie i oschle - wtedy tłumaczyła takie odczucia swoim młodym wiekiem i brakiem doświadczenia. Teraz rozumiała, że były zazdrosne, zazdrosne o jej stosunki z hrabią.

- O czym myślisz, Cassandro?

Odpowiedziała pośpiesznie, próbując zatuszować zakłopotanie: *R S*

- O niczym! Nie chcę więcej rozmawiać o przeszłości!

- Ale trzeba ci wiedzieć, że moje uczucie do ciebie się nie zmieni.

- Moje do ciebie też nie! - Spostrzegła, że jego oczy wędrują w dół na jej obnażony biust i momentalnie złapała za kołdrę.

Powstrzymał ją jednak, chwytając dłoń.

- Daj mi spokój! Nie chcę cię!

Z niedowierzaniem podniósł w górę brew i zbliżył usta do jej twarzy.

Błagam, nie chcę nic czuć! Nie chcę czuć namiętności!

Wbiła paznokcie w jego ramiona i zarzuciła biodrami, żeby go od siebie odepchnąć. Jej umysł cały czas nastawiony był na walkę - nawet kiedy on rozpalał jej ciało do białości, wciskając je w puchową pościel. Jego usta wzięły w posiadanie jej piersi, pieszcząc je gorącym językiem. Cieleśne doznania nie pozwalały jej jasno myśleć i tym razem szybciej niż poprzednio kazały ustąpić, poddać się grze zmysłów, ulec jego pieszczotom. Wplątała palce w jego gęste włosy i przyciągnęła go, by ją pocałował. Rozchyliła dla niego wargi i odpowiadała na jego pocałunki, gorączkowo i natarczywie.

Gdy się na nią wspiał, napięła mięśnie nóg i uniosła biodra, spragniona jego olbrzymiej siły. Wbił się w nią głęboko, posiadał ją bez reszty, aż załkała głośno, ściskając uwypuklone mięśnie jego pleców. Gdy wreszcie spłynęła na nią kaskada rozkoszy, jakaś siła kazała jej przylgnąć do niego i gorejącym od-dechem ogrzewać jego szyję.

- Och, Cassandro - wyszeptał, szukając jej ust.

Przewrócił ją na bok i nie mogąc już się dłużej hamować, przywołał swoją chwilę rozkoszy.

* * *

Dochodziła dziesiąta wieczorem. Hrabia wstał od biurka, zamknął księgę *R S*

pokładową i mocno się przeciągnął. Spojrzał na Cassandrę, która siedziała skulona na kanapie z powieścią w ręku i, wydawałoby się, tonęła w lekturze.

W kącikach ust hrabiego pojawił się uśmiech. Dwa smukłe palce zajęte były nawijaniem i odwijaniem kosmyka włosów, który opadał jej na ramię. Był

to jej stary nawyk, który pamiętał jeszcze z dawniejszych lat. Błękitna jedwab-na suknia, w którą była ubrana, miała mocno wycięty dekolt i żadnej koronki, by zakryć górę jej kształtnego biustu. Zobaczył w wyobraźni jej różane sutki i poczuł je pod palcami, wyobrażając sobie, że je drażni i pieści, aż robią się twarde.

Uśmiechnął się do swoich myśli. W ciągu kilku ostatnich dni jej walka ograniczała się do symbolicznego oporu, który zupełnie zniknął z chwilą, gdy znalazła się w jego objęciach. Chociaż, poprawił się, to nie dotyczyło dni, tylko nocy. W ciągu dnia wyżywała się na nim, smagając słowami tym dotkliwiej, im chętniej oddawała mu się w nocy.

Podszedł do niej i wyciągnął dłoń.

- Pora do łóżka, Cassandro. - Jego głos był kusząco ochrypły.

Skuliła się mocniej na brokatowych poduszkach i nie odpowiedziała.

- Cassandro - powtórzył miękko, zaciskając palce na jej nagim ramieniu.

Wyrwała się.

- Nie jestem ani odrobinę śpiąca, milordzie, i nie wybieram się jeszcze do łóżka!

Było coś takiego w jej szeroko otwartych i lekko rozbieganych oczach, co na chwilę zamknęło mu usta.

- Czy tak bardzo wciągnęła cię ta powieść, moja droga?

- O, tak - odrzekła szybko, nawet za szybko, tuląc cienką książkę do piersi. - Jest tak fascynująca, że nie jestem w stanie jej odłożyć, dopóki nie do-czytam do końca.

- Może powinienem zapewnić ci tutora.

R S

Wpatrywała się w niego, nie mając zielonego pojęcia, o czym mówi.

- Czytałaś cały wieczór, kochana, a zdołałaś dojść zaledwie do trzeciej strony. Cóż, *cara*, znając twoją inteligencję, spodziewałbym się po tobie lepszego fortelu.

Z trzaskiem zamknęła książkę.

- Bardzo proszę, milordzie, kawa na ławę. Nie dam ci się dziś w nocy spętać! Będę spać tu, na kanapie.

- Spętać? Na Boga, dziewczyno, od naszej drugiej nocy nie było mowy o żadnym pętaniu. Właściwie czasem mam wrażenie, że to ja ci ulegam. A może lękasz się, że cię nie poślubię, skoro już tyle razy, że tak to ujmę, zerwałem z drzewka dojrzały owoc?

- Ty uparty nudziarzu! Po raz kolejny ci powtarzam, że nigdy za ciebie nie wyjdę. Jeśli masz choć krztynę honoru, zostaw mnie w spokoju!

- Wybacz, Cassandro, ale nie sądzę, żeby honor miał cokolwiek wspólnego z naszą fizyczną przyjemnością. Chodź, ukochana, chciałbym znowu usłyszeć, jak jęczysz z rozkoszy.

Zrobiła się buraczkowa ze złości i wrzasnęła:

- To ty mnie do tego doprowadziłeś. Ja się boję, że mnie porzucisz? Wolne żarty! Ja sobie nie życzę, żebyś się do mnie zbliżał! Zostaw mnie w spokoju, rozkazuję ci!

- Masz na sobie taką piękną suknię - rozważał na głos. - Szkoda by jej by-

ło. Jeśli będziesz ze mną walczyć, to ona ucierpi. Cassandro, jesteś namiętą i ekscytującą kobietą. Głębię twoich uczuć pozostaje mi dopiero odkryć. Dość tych bzdur. Pragnę cię teraz, w moim łóżu i w moich ramionach.

Zsunęła się z kanapy i ustawiła się za nią. Hrabia podniósł pytająco brwi, a następnie wzruszył ramionami. Odwrócił się i zaczął zdejmować ubranie.

Usłyszał westchnienie ulgi i przez ramię powiedział: *R S*

- Chociaż to ja ustaliłem zasady, ty musisz się do nich stosować. Będziemy żyć jak mąż i żona, a to, moja droga, oznacza także intymność małżeń-

skiego łóża. Teraz ściągniesz tę suknię.

- Nie!

W tym gniewnym sprzeciwie dosłyszał żalosne błaganie i odwrócił się do niej, w samych tylko bryczesach.

- Dlaczego, Cassandro?

Palcami bezlitośnie mięła rąbek spódnicy.

- Proszę - zaczęła ledwie słyszalnym szeptem.

Podszedł do niej i ścisnął swoimi ogromnymi dłońmi jej nagie ramiona.

Stała spięta, chociaż palcami dotykał smukłej kolumny jej szyi. Niespiesznie dotknął jej miękkich policzków i obrysował palcami wyrazistą linię podbródka.

- Dlaczego, ukochana? Wiesz przecież, że mnie zapragniesz, wiesz, że w moich ramionach zapomnisz o wicehrabim. Nie spierajmy się.

Podniosła na niego wzrok i przekonał się, że w jej wielkich oczach nie było cienia trwogi.

Schylił się i złożył na jej ustach lekki pocałunek. Próbowwała go odepchnąć, ale trzymał ją mocno, zanurzając palce w gęstwinie jej opadających na plecy włosów. Krzyknęła cicho, lecz nie z pożądania.

Uwolnił jej usta i usłyszał nieśmiałą prośbę:

- Proszę, nie możesz... ja nie mogę...

- Jak to nie możesz? - Chwycił ją za podbródek i kazał patrzeć sobie w twarz.

Splonęła rumieńcem i przymknęła oczy.

- Proszę... Nie mógłbyś dzisiaj po prostu zostawić mnie samej?

R S

Nagle wszystko zrozumiał i zanim zdążył pomyśleć, jak się należy zachować, odchylił głowę i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Ty nieczuły gburze! Dlaczego ryczysz jak osioł?

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Jak mogłem zapomnieć, że jesteś kobietą w każdym calu? Mógłbym ci pokazać, Cassandro, że twoja kobieca przypadłość wcale nie stanowi prze-szkody w łóżku. - Zamilkł, widząc jej rosnące skrępowanie. - No, może które-goś dnia - dokończył i udał się w stronę toaletki.

Z dolnej szuflady wyjął białą skromną koszulę nocną i podał jej bez sło-wa.

- Wiem, nie musisz mi tego mówić: pomyślałem o wszystkim. Nie śmiał-

bym urazić twoich kobiecych uczuć. Możesz ją nosić kilka nocy w miesiącu.

Dotknął jej policzka, a następnie pogasił lampy i zdjął spodnie. Gdy układał się w łóżku, dobiegło go westchnienie ulgi. Kilka minut później Cassie wślizgnęła się do łóżka, a on i tym razem wziął ją w ramiona i delikatnie głaskał po włosach, aż zasnęła.

Rozdział 10

Jest trochę za luźny, *madonna* - zwrócił uwagę Angelo swoim śpiewnym włoskim. Przyklęknął i szybkimi, pewnymi ruchami poprawił napięcie wężła.

Wyszczерzył zęby i potrząsając głową, wręczył linę Cassie. - Kobieta na marynarza, kto to widział! Ale z ciebie, *madonna*, niezgorszy marynarz, niezgorszy!

- *Grazie*, Angelo. - Lekko się zarumieniła, słysząc rzadkie u niego słowa *R S* pochwały.

Kiwnął głową i odwrócił się, bo dobiegł go rozkaz pana Donnetiego.

Chwilę później wspinał się już zwinnie po olinowaniu grotu.

Cassie przyglądała się jego pełnym gracji ruchom. Skrzeczące mewy ko-

łowały nad nimi, wypatrując zapewne okruchów jedzenia. Podniosła się i otrzepała kolana, co nie było właściwie konieczne, bo genueńscy marynarze zawsze czyścili pokład na błysk. Popatrzyła za lewą burzę. W zamglonym po-południowym słońcu z trudem udawało się jej dostrzec zarys hiszpańskiego nabrzeża majaczący w odległości około trzydziestu kilometrów.

- Dużo stąd panienka nie zobaczy.

Odwróciła się do Scargilla, który przysłaniając ręką oczy, też patrzył w kierunku lądu.

- Zrobi się panienka czarna jak Murzyn, jak nie będzie panienka uważać.

Z pobłażaniem wskazał na rząddek jasnych piegów na jej nosie.

Puszczając te słowa mimo uszu, Cassie wystawiła do słońca opaloną twarz.

- Zawiniemy do portu, Scargill?

- Nie, *madonna*, nie spodziewam się.

Widząc jej zaciśnięte wargi, dodał lekkim tonem:

- Jak panienka zna się trochę na polityce, to panienka wie, że Hiszpanie Anglików nie darzą wielką miłością.

- Czyżby jego hrabiowska mość nie zaopatrzył się w hiszpańską flagę?

Scargill pokręcił tylko głową, słysząc jej nazbyt jawny sarkazm.

Tak czy inaczej nie spodziewała się, żeby hrabia postanowił zawinąć do portu. No chyba że,

pomyślała rozgoryczona, zamknąłby ją w kabinie na ten czas. Przynajmniej nie robił już tego, gdy byli na morzu. Hrabia pozwolił jej poruszać się po statku swobodnie, nie chciał tylko, żeby nosiła spodnie.

- Myślę, że nie należy - powiedział z łobuzerskim uśmiechem - wystar S

wiać moich ludzi na kolejne próby. Gdyby cię zobaczyli w bryczesach, zaraz miałbym bunt na pokładzie.

Popatrzyła na przykucniętego na wysokości połowy masztu Angela i westchnęła z zazdrością. Przytrzymała rękami powiewające na wietrze warstwy spódnicy i wpadła w jeszcze gorszy humor.

- Wiesz, że jego lordowska mość ma rację, *madonna* - powiedział

Scargill, zupełnie jakby czytał jej w myślach. - Na widok pięknej postaci panienki wspinającej się po linach ludzie ani chybi pozapominaliby o swoich obowiązkach. Nie chciałyby przecież panienka, żeby przez nią jakiś marynarz dostał takie baty, że skóra by mu na plecach popękała? A wie panienka, że to najmniejsza kara, jaką by jego lordowska mość wyznaczył.

- Przyznaję, że taki pokaz okrucieństwa pasowałby świetnie do jego charakteru.

Cassie przygryzła wargę, słysząc za plecami tubalny głos hrabiego.

- Być może, Cassandro. Ale nie powiedziałem jeszcze, jaka by ciebie czekała kara za takie nieposłuszeństwo.

Odwróciła się gwałtownie:

- Czy masz też w zwyczaju, milordzie, podsłuchiwać cudze rozmowy?

- Po co zaraz tak nerwowo, *madonna* - uspokajał ją Scargill, podnosząc pojednawczo dłoń. - Wiadomo, że jak jego lordowska mość jest kapitan, to musi wiedzieć, co się dzieje na pokładzie.

- Słucham więc, milordzie, cóż to by była za kara? - Nie bacząc na próby Scargilla, Cassie domagała się odpowiedzi.

- A jaką karę uważałabyś za sprawiedliwą?

- Uważam, milordzie, że to, co już z twoich rąk wycierpiałam, każdemu by wystarczyło, żeby odkupić wszystkie winy.

Hrabia dał Scargillowi znak, że może odejść, co też służący skwapliwie R S

uczynił. Anthony zrobił krok w stronę Cassie, a ona, zamiast się cofnąć, przybrała jeszcze bardziej hardą i nieprzystępną postawę. Głos mu złagodniał, przechodząc w pieszczotliwy pomruk.

- Przykro mi i nie jest to moją winą, Cassandro, że nasze cztery dni abs-tyncji traktujesz jako

osobistą karę.

- Jak śmiesz! - Jej policzki pociemniały z gniewu i zawstydenia.

- Jak śmiesz: co? Przypominać ci, że jesteś kobietą, a nie marynarzem, żeby się wspinać w bryczesach po linach? - Ponieważ jej wściekłość nie mala-

ła, dodał pojednawczo: - Przy następnym sztormie pozwolę na bryczesy.

- Jakiś ty łaskawy!

- Przypomnij mi, żebym schował twój nóż przy obiedzie, *cara*, bo jesteś w naprawdę paskudnym humorze. - Odwróciła się na pięcie i poszła. On nie ruszył się z miejsca, patrząc, jak szybkim krokiem zmierza w stronę dziobów-ki, gdzie pracowało kilku marynarzy.

- Zdaje się mnie, panie, że nie widać wielkich postępów - powiedział w zadumie Scargill, stając przed hrabią. Stałym gestem przyglądał na czole niesforny kosmyk rudych włosów.

- To dopiero dwa tygodnie - powiedział spokojnie hrabia, przenosząc wzrok na odległy brzeg Hiszpanii. - Jeśli ja nie rozpaczam nad sytuacją, dlaczego ty miałbyś się martwić?

Ośmielony bezpośrednim pytaniem, Scargill szybko powiedział:

- Masz, panie, zwyczaj ciągle karcieć tę dziewczuszkę i chociaż *madonna* jest bardziej wygadana niż większość kobiet, które znam, to z twoim doświadczeniem i wiekiem nie ma szans. Mało w tobie, panie, z prawdziwego amanta.

Hrabia wybuchnął gromkim śmiechem.

- Zostałem skarcony przez srogiego Szkota! Mimo młodego wieku *ma-R S*

donna, jak ją uparcie nazywacie, doskonale sobie radzi, krzyżując ze mną szable. Na słowa, oczywiście. A co się tyczy moich uchybień w roli amanta, to nie sądzę, żebyś ty ani ktokolwiek inny był zdolny to oceniać. A jeśli już skończy-

łeś analizę mojego zachowania, proszę, żebyś pomówił z Arturem. Życzę sobie na dzisiejszy obiad coś specjalnego dla mojej damy, coś angielskiego, żeby pobudzić jej słaby apetyt. To ma być mała uroczystość. Rzec można nawet, comiesięczna uroczystość. - Śmiejąc się do swoich myśli, odwrócił się i skierował kroki na rufę, do pana Donnetiego.

Przechodząc po lśniącym czystością pokładzie, kątem oka zerknął na Cassandrę, która siedziała ze skrzyżowanymi nogami i skromnie zawiniętą pod kostki spódnicą i przysłuchiwała się z wielką uwagą opowieściom - ani chybi szokującym opowieściom - Josepha, małego krąglego Korsykanina, który pływał kiedyś z piratami Maghrebu. Marynarze ją polubili, bez dwóch zdań. Da-ma w każdym calu, która się nad nimi nie wywyższa, a na dodatek zna się na żegludze nie gorzej niż niejeden z nich. Kiedy stało się powszechnie wiadome, że mówi po włosku, hrabia zauważył z uśmiechem, że brzydkie słowa, których jego ludzie nagminnie używali, błyskawicznie znikły z ich repertuaru.

Hrabia przystanął i zadął głowę, by przyjrzeć się wypełnionym wiatrem żaglom i ocenić prędkość statku. Od sztormu w kanale pogoda była piękna i słoneczna. Był to co prawda koniec czerwca, ale Atlantyk wcale nie służył z nieprzerwanych okresów dobrej aury. Jeśli pogoda się utrzyma, będą w Genui prawie tydzień przed czasem.

Cassandra już nie siedziała, tylko stała plecami do wiatru, który szarpał

jej suknię, ukazując zarys krągłych bioder i szczupłych nóg. Całe szczęście, że aura tak im sprzyja, bo ona pochłaniała teraz całą jego uwagę. Poczul w lędź-

wiach dotkliwy ból i odwrócił się. Dziś w nocy posiadzie jej ciało, a ona posią-

dzie jego. Nie przypuszczał, żeby stawiała mu opór, bo przecież obudził w niej *R S*

namiętną kochankę i ta czterodniowa przerwa musiała doskwierać jej tak samo jak jemu. Wydawało mu się, że mimo swoich dni go pożądała, ale nie naciskała.

Pragnął, by zaakceptowała go jako towarzysza, a nie tylko jako kochanka.

Spędzali wieczory na pokładzie, wypatrując gwiazdozbiorów, a on opowiadał

o przeszłości, która ich łączyła.

- Kapitanie.

Hrabia przybrał poważniejszą minę i skupił się na osobie swojego pierwszego oficera.

- Tak, panie Donnetti?

- Jakiś statek grozi nam od lewej burty. Prawdopodobnie hiszpański.

Podał hrabiemu lunetę.

- To hiszpańska fregata, dwa rzędy dział. Trzymaj kurs pod wiatr, panie Donnetti. Hiszpański kapitan jest głupcem, jeśli chce nas atakować.

- Tak jest, kapitanie. Fregata płynie na dużym zanurzeniu, jest mocno za-

ładowana i nie da rady podnieść dział.

Hrabia opuścił lunetę.

- Zwołaj ludzi na pozycje bojowe. Jeśli ich kapitan jest na tyle głupi, by na nas nacierać, oddamy salwę całą burtą i prześcigniemy ich. Nie muszę chyba dodawać, że nasz ładunek jest zbyt cenny, by ryzykować prawdziwą bitwę.

Cassie podniosła głowę zaskoczona biciem bębna.

- Na stanowiska!

- Idź pod pokład do kabiny kapitana, *madonna* - rzucił jej Joseph, wykonał błyskawiczny zwrot i pobiegł do pokładu z działami.

- Co się dzieje, Josephie? - usiłowała przekrzyczeć bębnienie.

Odwróciła się gwałtownie na dźwięk głosu hrabiego.

- To hiszpańska fregata, *Cassandro*, i nie znamy jeszcze jej intencji. Zrób, co mówił Joseph, i zejdź do kabiny. - Zawahała się, aż na nią ryknął: - Już!

R S

Przyjdę do ciebie, jak minie niebezpieczeństwo!

- Ale ja bym chciała zobaczyć...

Hrabia złapał ją w żelazny uchwyt.

- Do cholery, rób, co mówię! Nie potrzebuję się martwić o twoje bezpieczeństwo w momencie, kiedy dobro statku powinno być moim głównym celem!

- Nie musisz na mnie wrzeszczeć!

- To mnie słuchaj! To rozkaz! - Pchnął ją w stronę zejściówki i pobiegł na pokład rufowy, nie oglądając się za siebie.

Cassie poczuła przyływ podniecenia i szła w stronę kabiny, powłócząc nogami. Krótkie rozkazy cięły powietrze i skupieni marynarze przebiegali przez pokład, zapominając zupełnie o jej obecności. Hiszpańska fregata. Nigdy jeszcze nie widziała takiego statku. Ukradkiem podbiegła do głównego masztu, po czym schylona przecięła pokład i kucnęła przy relingu. Ujrzała zbliżający się trójmasztowiec - dziób nawet z tej odległości robił wrażenie olbrzyma.

Usłyszała tubalny głos hrabiego i poczuła, że dolny pokład nieznacznie się poruszył, gdy marynarze przeciągnęli żelazne działa do furt armatnich i skierowali ich wyloty na nadciągającą fregatę. Poczła gęsią skórę na ramionach. Do-myśliła się, że wróg jest już niewiele dalej niż kilometr.

- Cholera - zaklął pod nosem hrabia. - Wygląda na to, że ci durnie chcą wybadać naszą siłę. Zarządź pierwszy wystrzał ze wszystkich dział, panie Donneti. Może to im wystarczy.

Cassie przechyliło na pięty, gdy cztery armaty jednocześnie wypuły potężne żelazne kule. Zobaczyła wybuchy białego dymu, a potem fontanny wody.

Dym szybko się rozwiął i ku wielkiemu rozczarowaniu Cassie fregata ukazała się w nienaruszonym stanie. Patrzyła z bijącym sercem, jak statek obraca się rufą do wiatru.

R S

Pan Donnetti zachichotał:

- Tchórze, niech ich kule biją. Jeden wystrzał z naszych dział, a ci czmy-chają z podkulonym ogonem.

- Nie doceniasz ich - zaproponował hrabia. - Mnie się wydaje, że czekają na większego zwierza i nie chcą ryzykować niepotrzebnych zniszczeń. Płyniemy pod wiatr, cała naprzód. Wolałbym nie kusić losu, jeśli tamten kapitan zechce zmienić zdanie.

- Tak jest, kapitanie - powiedział pan Donnetti. Hrabia pozostał na pokładzie do czasu, aż fregata stanowiła już tylko biały punkt na horyzoncie. Myśląc z zadowoleniem, że nie czeka ich już więcej niebezpieczeństw z tej strony, skierował się do kabiny. Kątem oka zobaczył jednak plamkę soczystego błęki-tu u podstawy masztu. Zamrugał z niedowierzaniem i przystanął. Zobaczył

Cassandrę, która żywo gestykulując, rozprawiała z Josephem.

Żołądek skręcił mu się ze strachu o nią, a potem z gniewu. Nie posłuchała go. Gdyby wywiązała się walka, mogła zostać ranna, a nawet zginąć.

- Cassandro!

Dokończyła zdanie, zanim z niechęcią postanowiła się do niego odwrócić.

- Podejdz tu!

Joseph wcisnął głowę w ramiona, rozpoznawszy śmiertelnie poważny ton kapitana, i nerwowym szeptem ponaglił Cassie:

- *Madonna*, idź prędko!

Cassie, która nigdy nie widziała hrabiego w stanie furii, wzruszyła obojętnie ramionami i podeszła niespiesznym krokiem.

- Cóż za marne starcie, milordzie - pożałowała się. - Przynajmniej widziałam hiszpańską fregatę. Czy oni zawsze są tacy tchórzliwi?

Hrabia złapał ją za ramię i bez słowa poprowadził pod pokład. Wepchnął

R S

ją do kabiny i zatrzasnął za sobą drzwi.

Gdy ją puścił, Cassie roztarta obolałe ramię i zmarszczyła nos.

- Nie musisz zachowywać się tak gruboskórnie, milordzie. Czy i ty bardzo ubolewasz nad tym, że nie doszło do bitwy?

- Nie posłuchałaś mnie, pani.

Zamrugła zdumiona wyczuwalną w jego głosie zimną furią.

- Wydaje mi się, milordzie, że niepotrzebnie robisz aferę. Niebezpieczeństwa nie było.

Hrabia stał idealnie wyprostowany, ręce trzymał napięte po bokach. Jej drwiny tylko podsycaly jego złość.

- Powiem raz jeszcze, pani. Nie posłuchałaś mnie. Teraz mi wytłumaczysz dlaczego.

Nie dała się zastraszyć. Uniosła podbródek i powiedziała:

- Twój rozkaz, milordzie, nie wydawał mi się uzasadniony. Fregata w chwili wystrzału stała dobry kilometr od nas. Ponieważ była mocno załadowana, nie dałaby rady szybko podnieść dział, byłibyśmy więc w stanie znaleźć się poza jej zasięgiem, nawet gdyby się zdecydowała na atak. Jacht jest o wiele szybszy i gdyby zaszła taka potrzeba, zdołalibyśmy bez trudu jej umknąć.

Hrabia był zdumiony.

- Skąd, do diaska, masz taką wiedzę? - Przeanalizowała sytuację z dużą wnikliwością, co wcale nie poprawiło jego nastroju.

- Nie rozumiem, dlaczego mężczyźni uparcie uważają kobiety za głupie i bezużyteczne istoty, którym w głowie tylko błahostki. Wiesz, że żegluję całe życie. Czy masz mnie za tak tępą, że nie zdołałabym poznać tej dziedziny?

- Wspaniale, Cassandro, uznanie dla twojej wiedzy. Ale faktem pozostaje, pani, że nie wykonałaś rozkazu. Z doświadczenia i z książek na pewno *R S*

wiesz, że bez żelaznej dyscypliny na statku kapitan nie jest w stanie skutecznie dowodzić. Do czego by doszło, gdyby moi ludzie postanowili robić, co im się podoba, zamiast słuchać moich rozkazów? To, Cassandro, jest niesubordynacja, która podlega surowej karze.

Zmarszczyła czoło i odwróciwszy wzrok od jego kamiennej twarzy, rozważyła słowa. Wzięła głęboki oddech i stwierdziła:

- Nie należę do twojej załogi i nie znalazłam się tu z własnej woli. Z drugiej strony, twój wywód był słuszny. Polecenie kapitana nie można lekceważyć.

Poddam się karze, jaką uznasz za stosowne mi wymierzyć.

- Najłżejsza kara, pani, to chłosta, po której mężczyzna ma na plecach krwawe bruzdy.

Pobladła mocno.

Postanowił dalej drążyć ten temat, żeby mieć pewność, że nigdy już nie zrobi niczego równie głupiego i niebezpiecznego.

- Gdyby któryś z moich ludzi zignorował rozkaz w obliczu nadchodzącej bitwy, poważnie rozważałbym karę stryczka.

Zapanowała między nimi długa cisza. Wreszcie Cassie powiedziała:

- Myślę, że byłoby marnotrawstwem z twojej strony, gdybyś mnie powie-sił.

W kącikach ust wykwitł mu lekki uśmiech, który natychmiast stłumił.

- Bez wątpienia masz rację. Staralem się nigdy nie marnotrawić ludzkich istnień. Jednak przewinienie pozostaje.

Hrabia poczuł, że jego gniew szybko ustępuje. Przedstawił jej dobitnie swój punkt widzenia, a ona najwyraźniej go przyjęła. Już miał ją uspokoić i odpędzić jej strach, gdy się wyprostowała i powiedziała spokojnym głosem:

- Proszę tylko, żebyś mnie nie poniżał, wykonując karę na oczach swoich ludzi. Nie musisz też mnie wiązać, bo sama poddam się twojej chłości.

R S

Patrzył na nią zdezorientowany. Choć podziwiał jej męstwo, chciał ją wziąć w ramiona i zapewnić, że żadnej kary nie będzie, że nie ma się czego bać. Ale odebrałaby to z pewnością jako obrazę, lekceważenie jej odwagi i traktowanie z pobłażliwością, jaką okazuje się słabej głupiej kobiecie. Byłaby zapewne oburzona, i to słusznie, pomyślał zaniepokojony, bo takim gestem za-dałby kłam wszystkiemu, czego wcześniej dowodził. Męczył się, szukając wyj-

ścia z tej idiotycznej sytuacji, gdy ona tym samym opanowanym głosem zapytała:

- Jakiego bicza użyjesz, milordzie? - Dodała jeszcze bez cienia wahania: -

Czy z twojego milczenia mam wnosić, że będziesz mnie jednak chłostał pu-blicznie? Przywiązana do masztu?

- Nie - powiedział wreszcie. - Nie będę cię bił przed moimi ludźmi, ani do niczego przywiązywał.

- Dziękuję - odrzekła.

Wargi miała zupełnie suche ze strachu. Zamknęła na moment oczy, mo-dląc się, żeby zdołała nie krzyknąć ani nie zemdleć. Na końcu języka miała przeprosiny i prośbę o litość, ale nie była w stanie

się przed nim ukorzyć.

- Czy zrobisz to teraz, milordzie?

- Nie, nie teraz - powiedział. - Zostawię cię samą, żebyś mogła pomyśleć o tym, co zrobiłaś. Załatwimy wszystko, jak wrócę. - Ponieważ nie miał poję-

cia, co, do diabła, ma z tym zrobić, potrzebował przemyśleć to na osobności i znaleźć jakieś sensowne rozwiązanie. Popatrzył jeszcze na jej bladą nieruchomą twarz i wyszedł.

Chodził po pokładzie, głuchy na śmiechy marynarzy, którzy machali do majaczącej w dali hiszpańskiej fregaty.

- Nie jesteś zbyt wesół, panie - powiedział Scargill, wchodząc w pole widzenia zafrasowanego hrabiego. - Załoga spisała się pierwszorzędnie, jakby *R S*

wszyscy byli po służbie w angielskiej marynarce.

Hrabia wziął głęboki oddech i popatrzył na służącego smutnymi oczami.

- Ależ to nie o nich chodzi, Scargill. Wpakowałem się w wielki kłopot i zastanawiam się, jak, do czorta, mam z tego wybrnąć.

- Dosyć to zagadkowe, panie.

Hrabia znowu głęboko odetchnął i przeczesał ręką rozczochrane włosy.

- Cassandra nie posłuchała rozkazu, Scargill, a ja... no ja zachowałem się jak ostatni despota. - Scargill wciąż wpatrywał się w niego, nie rozumiejąc, więc opowiedział mu pokrótce całe zajście. - I teraz - dokończył - ona czeka, aż wrócę, żeby ją wychłostać. Prosi tylko, żebym nie robił tego przy wszystkich.

Scargill aż zachłysnął się powietrzem.

- Jezu Chryste - wymamrotał.

Hrabia uderzył się pięścią w otwartą dłoń.

- Niech mnie piekło pochłonie, ta cała sytuacja jest idiotyczna! A ty, Scargill, tylko dolewasz oliwy do ognia.

- Wybacz, panie, ja się tylko zwracałem do Wszechmogącego, chociaż pomocy nie widać. - Nagle odchylił głowę i oświadczył: - Ja zajmę jej miejsce, panie. Każesz jej na to patrzeć i w ten sposób dostanie nauczkę na zawsze.

- Niedawno mnie nazwała osłem, a teraz ten zaszczytny tytuł przypadnie tobie. Nigdy bym nie zrobił czegoś równie odrażającego.

- Ty porwałś tę damę, panie, wbrew jej woli.

- Jak nie będziesz trzymał języka za zębami, to zaraz cię każę wychłostać za bezczelność! Jeśli nie widzisz, że te dwie sytuacje nie mają ze sobą nic wspólnego, to ja nie mam do ciebie siły.

- Teraz przemawia ognisty Liguryjczyk, a nie angielski lord.

Hrabia rzucił mu spojrzenie pełne takiego bezsilnego gniewu, że Scargill *R S*

wymamrotał przeprosiny i już się nie odzywał.

Hrabia powiedział wreszcie, unosząc czarną brew:

- Gdybyś ty, Scargill, nie posłuchał rozkazu, nawet gdybyś naraził tylko siebie, a nie statek, to możesz być pewien, że bez wahania kazałbym cię ukarać.

- Tak, panie, ale ja jestem mężczyzną.

- No tak.

- Co zamierzasz, panie?

- Diabli wiedzą - powiedział i odszedł.

Cassie usłyszała stukot butów przed drzwiami kabiny i szybko przyjęła wyprostowaną postawę. Poszczypała policzki, żeby nabrały koloru i ustawiła się przy stole, kładąc jedną rękę na oparciu krzesła, żeby podtrzymać drżące nogi.

Jak zawsze wypełnił pomieszczenie swoją obecnością. Cassie zacisnęła dłoń na krześle. Wygląda jak pirat, pomyślała, z potarganymi czarnymi włosami, których pasma opadały na grube czarne brwi, w białej koszuli z długim rękawem, rozpiętej pod szyją, i czarnej luźnej kamizelce. Jego czarne bryczesy obciskały muskularne uda.

Zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie, zakładając kciuki za szeroki skór-

rzany pasek spodni. Jego twarz nic nie wyrażała, choć Cassie miała wrażenie, że usta zaciskają się surowo i bezlitośnie.

- Czy to ma nastąpić... teraz, milordzie?

Spokojny głos kontrastował z widocznym w oczach strachem.

Odpowiedział powoli, wciąż licząc na natchnienie.

- Nie jestem pewien, czy chłosta jest konieczna. Myślę, że jest tak samo *R S*

zbyteczna jak powieszenie.

- Zbyteczna! To twoje okrucieństwo jest zbyteczne. Do diabła! Zrób to i niech już będzie po wszystkim!

Zrozumiał, że nie ma wyboru. Cholera jasna, zamruczał pod nosem. Na głos jednak powiedział:

- Dobrze.

Jego głos brzmiał obco i kiedy niespiesznie rozpiął szeroki skórzany pas, musiała zebrać całą odwagę, żeby się przed nim nie cofnąć. Zmienił zdanie i podszedł do toaletki. Z dolnej szuflady wyjął cienki pasek z miękkiej skórki.

- Rozbierz się do pasa, Cassandro.

Zamarł, widząc, jak drżącymi palcami próbuje się uporać z guziczkami sukni. Była bielsza niż jej satynowa koszulka, którą udało się jej po dłuższej chwili rozsznurować i która zsunęła się na talię. Co dziwne, zakryła piersi rękoma.

koma.

- Zepnij włosy, zakrywają całe plecy.

Gdy na oślep wpinała spinki w masę włosów, przypomniała jej się ich wcześniejsza potyczka słowna, na temat kary, jaka by ją spotkała za noszenie spodni bez pozwolenia. Jakież te ich sprzeczki były niedorzeczne i choć na swój sposób bolesne, to w gruncie rzeczy nieszkodliwe. Starła się wyobrazić sobie ból, ale właściwie nigdy go nie doświadczyła, jeśli nie liczyć złamanej ręki, którą skończył się niefortunny upadek z konia, kiedy miała dziesięć lat.

Musiała wtedy odczuwać cierpienie, ale wspomnienie było na tyle mgliste, że nie dawało jej teraz żadnego punktu oparcia. Pamiętała mikstury, które Becky Petersham wlewała jej wtedy do gardła, i gips, pod którym czuła swędzenie, ale nie mogła sobie przypomnieć prawdziwego bólu. Odetchnęła głęboko i nie przestając zakrywać piersi, odwróciła się twarzą do hrabiego. Wzdrygnęła się *R S*

na widok pasa, którego sprzączkę hrabia trzymał w dłoni, a końcówkę owinał

sobie wokół palców.

- Możesz się oprzeć o półkę z książkami.

Oszołomiona podeszła do wbudowanych mahoniowych regałów, które mieściły się w ścianie przy biurku hrabiego i wbiła tępy wzrok w grzbiet powieści, którą wcześniej czytała. Wyprostowała ręce nad głową, rozstawiła lekko nogi i mocno chwyciła się ścianek regału. Oparła czoło o jedną z półek i zacisnęła zęby. Proszę, nie pozwól mi zrobić z siebie idiotki, błagała samą siebie bardziej niż jakiegokolwiek bóstwo. Napięła mięśnie i czekała. Wiedziała, że stoi za nią, że uniósł już pewnie rękę i zaraz smagnie ją pasem przez plecy.

Ależ jesteś głupia, moja droga, skarciła samą siebie, naprężając mięśnie do granic wytrzymałości. Walczysz z nim z całych sił, ale ze starć nie wynosisz ran, lecz niewypowiedzianą rozkosz. Teraz jednak dobrowolnie pozwól mu się wychłostać.

Hrabia uniósł pas, ale zaraz go opuścił. Popatrzył na jej szczupłe plecy, gładkie i jedwabiste w dotyku. Niesforny lok, którego spinki nie zdołały utrzymać w ryzach, długim leniwym skrętem opadał do samej talii. Chwycił go w palce i odgarnął jej z pleców. Zadrżała. Uniósł pas, ale znowu opuścił drżącą dłoń.

- Niech cię diabli! - krzyknęła nagle. Strach nadał jej głosowi przejmują-

cy piskliwy tembr. - Czy tak jesteś bezduszny, że lubujesz się moim czekaniem na to, co i tak musi nadejść?

Hrabia podniósł pas i opuścił go na jej ramiona tak lekko, jak tylko się odważył.

Spięła się i mocniej zacisnęła palce na skraju półki. Reagowała bardziej na zaskoczenie niż na ból. Ale przy kolejnym trzaśnięciu poczuła już piecze

nie, które wzbudziło w niej panikę.

Sześć razy, tyle hrabia odmierzył, wiedząc, że nie mógł pozwolić sobie na mniej bez wzbudzania jej podejrzeń. Kontrolował siłę uderzenia, ale i tak nie zdołał jej oszczędzić.

Palily ją oczy, a ból narastał. Mimo to nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Wbiła palce w półkę i raz po raz przyrzekała sobie, że się nie zhańbi i nie upadnie. Stała sztywno jeszcze kilka chwil w oczekiwaniu na kolejne uderzenie. Odwróciła się powoli. Opierając się plecami o półkę, poczuła bolesne pulsowanie. Podniosła niewidzące spojrzenie na jego pobladłą twarz.

- Już po wszystkim?

- Tak.

- Cieszę się. Tak się bałam, że się ośmieszę.

Zamrugwała nerwowo i nienaturalnie wysokim głosem zapytała:

- Czy mogę się położyć?

- Tak, pomogę ci.

Złączył ręce pod jej biodrami i podniósł ją ostrożnie, nie dotykając jej pleców. Położył ją na brzuchu. Poczuła miękkość pościeli pod piersiami.

- Dziękuję ci za pomoc, milordzie - szepnęła i zamknęła oczy.

Hrabia wpatrywał się w jej nieruchomą sylwetkę. Tyle razy mógł wyczytać z jej oczu poczucie winy i nienawiść tuż przed tym, jak doprowadzał ją do rozkoszy. Teraz zaś zadał jej ból, a ona nie tylko dobrowolnie go przyjęła, ale jeszcze podziękowała mu za pomoc. W jej wspaniałych oczach nie było nienawiści, tylko wielka duma.

Pokręcił głową i zabrał się za przygotowanie mieszanki laudanum i wina.

- Ja nigdy nie mdleję, wiesz - rzekła, kiedy wręczał jej napełniony kieliszek.

- Nie sądziłem, żebyś miała zemdleć. Mądrze z twojej strony, że leżysz

bez ruchu. Poczujesz się lepiej.

- Co to było? - zapytała po wychyleniu kieliszka.

- Laudanum i francuski burgund. Za kilka minut poczujesz lekkie zawroty głowy.

Wziął do ręki balsam, który przynosi skórze ulgę, ale nie dotknął jej do-póty, dopóki głowa nie opadła jej na poduszkę, a miarowy oddech nie wskazywał na to, że zasnęła. Sześć pręg ciemniało na jej białej skórze. Choć były czerwone i brzydkie, żadna nie okazała się na tyle głęboka, żeby było się czym niepokoić. Delikatnie wmasował leczniczy balsam.

Zdjął z niej ubranie i przykrył ją do pasa kołdrą. Zorientował się, że od dłuższej chwili badawczo się jej przygląda. Jej uroda była zjawiskowa, ale wiedział, że kocha ją tak naprawdę za siłę charakteru. Radowała go myśl, że ją posiadał. Z drugiej strony, gdyby go zwymyślała, czy nawet uciekła się do łez, żeby uniknąć kary, jego miłość do niej nie ucierpiałaby ani trochę. Może, po-myślał niewesoło, gdyby wiedziała, że jej bezkompromisowe poczucie honoru każe mu jeszcze bardziej jej pożądać, zachowałaby się zupełnie inaczej. Ale na razie się tego nie dowie, bo on nie zamierza jej nic powiedzieć.

Przysporzył jej wiele cierpienia, dobrze o tym wiedział. Zacisnął jednak zęby w upartym postanowieniu. Pewnego dnia będą się kochać, a potem ona uśmiechnie się do niego z miłością w oczach. Do cholery, to musi nastąpić! Już on się o to postara.

* * *

Cassie się poruszyła. Zanim się ocknęła i zorientowała, gdzie jest, bredzi-

ła przez chwilę nieprzytomnie, co było efektem ubocznym laudanum. Otworzyła wreszcie oczy i natrafiła na wzrok hrabiego.

- Jaki dziś mamy dzień? - zapytała i zobaczyła, że zamrugał ze zdziwie-

nia.

- Spałaś niewiele ponad godzinę.

- To dziwne - wymamrotała i spróbowała się podnieść na łokciach.

Spostrzegła, że jest naga i opadła na łóżko.

- Nie ma już śladu hiszpańskiej fregaty?

- Nie.

- Czy będę mieć blizny?

Uśmiechnął się, słysząc ten spóźniony przejaw próżności.

- Nie, skądże. Choć na pewno będzie cię przez kilka dni bolało.

- Ale nie powiesz o tym załodze, prawda, milordzie?

- Nie sądzę, żeby to było konieczne - stwierdził sucho.

Prawdę mówiąc, pewnie miałby bunt na pokładzie, gdyby tylko jego ludzie się dowiedzieli, co właśnie uczynił.

Przysunął się do niej, jak tylko zobaczył płynącą po policzku łzę.

- Cassandro - zaczął niepewnie.

Podniosła rękę i otarła łzę.

- Przepraszam - wykrztusiła z siebie. - Laudanum doprowadza mnie do takiego stanu. Nic na to nie poradzę. Chciałabym, żebyś zostawił mnie samą.

- Nie, nie zostawię cię samej - powiedział, zły na samego siebie.

Skuliła się, widząc gniew w jego oczach.

- Nie gniewaj się. Przepraszam, że przynoszę ci wstyd.

Odsunął gwałtownie krzesło i wstał. Domyślał się, że ją boli, ale jest zbyt dumna, żeby to przyznać.

- Nic nie mów! To nie ty powinnaś się wstydić. Nie ruszaj się, przyniosę ci jeszcze laudanum.

Drżącymi rękami wlał jeszcze kilka kropel do dużej czary z winem. Było to więcej niż potrzebowała. Chciał jednak złagodzić nie tylko jej ból, ale rów-

nież swoje wyrzuty sumienia.

Przystawił jej czarę do ust.

- Wypij!

Dopiero po dłuższej chwili zdołała opróżnić kielich. Strużka wina ciekła jej po podbródku. Hrabia wytarł ją delikatnie palcem.

Zdał sobie sprawę, że naprawdę jest lekko otumaniona, kiedy niezgrabnie przekręciła się na bok, w jego stronę, nie bacząc na swoje obnażone piersi.

Powieki miała ciężkie, a policzki zarumienione.

- Strasznie to niewygodne, tak leżeć na brzuchu.

- Zgadzam się z tobą.

- Czuję się trochę dziwnie, jakbym unosiła się ponad ciałem. A słowa nie dają się łatwo wymówić.

Hrabia usiadł na krześle z założonymi rękami.

- To dlatego, że jesteś pijana, Cassandro - stwierdził umyślnie.

- Jeszcze nigdy nie byłam pijana, wiesz - zamyśliła się Cassie, starając się skupić wzrok na jego twarzy. - Nigdy też - dodała z namysłem - nie zostałam wychłostana.

- Nie chciałem cię zbić, ale nie pozostawiłaś mi wyboru.

Snuła w skupieniu swoje mgliste rozważania i jego łagodne słowa docierały do niej powoli.

- Nie, teraz nie było wyboru. Zrobiłeś, co nakazywała sprawiedliwość. -

Wzdychała i mówiła szeptem, tak że ledwo mógł rozróżnić słowa. - Ale robiłeś mi inne rzeczy i czułam to, czego nie chciałam czuć. Wtedy miałam wybór, myślę, że miałam wybór.

Zanim zdecydował, jak na to odpowiedzieć, wymamrotała:

- Twoje laudanum i wino zadziałały. Już mnie nie boli.

R S

- Cieszę się - powiedział miękko.

Zamknęła oczy i złożyła głowę na poduszce.

Pochylił się nad nią i odgarnął jej włosy z czoła. Oddychała miarowo.

Spała.

Hrabia wstał i poprawił jej kołdrę. Potem wrócił na krzesło.

Rozdział 11

Drzwi kabiny otwarły się gwałtownie. Cassie zrobiła krok w tył i przycisnęła satynową koszulkę na ramiączkach do piersi. Potężna sylwetka hrabiego wypełniła drzwi. Jak zwykle biły od niego siła i pewność siebie. Kabina wydaje się kurczyć, kiedy do niej wchodzi, pomyślała Cassie ze złością i warknęła:

- Mógłbyś przynajmniej pukać!

- *E una bellissima giornata, cara.*

- Piękna pogoda, czy nie, nic mnie to nie obchodzi! Nie masz prawa tu wpadać bez zapowiedzi!

Zignorował jej wybuch i przyjrzał się jej uważnie. Nie dostrzegwał śladów bólu ani dyskomfortu, jeśli

oczywiście nie liczyć stałego napięcia, które okazywała w jego towarzystwie. Ucieszył się z jej ciętego języka. Przez ostatnie półtora dnia zachowywała się zbyt powściągliwie. Lekkie otępienie i uległość były rzecz jasna spowodowane laudanum, którego dolewał jej do wina, wieR S

dząc, że sama przenigdy nie przyzna się do bólu i nie poprosi o żaden środek.

- Wydawałoby się - stwierdził swobodnie, zamykając za sobą drzwi - że twój temperament wrócił do normy. Przyszedłem pomóc ci się ubrać. Jeste-

śmy w Cieśninie Gibraltarskiej i mamy to szczęście, że wieje zachodni wiatr -
co w miesiącach letnich jest wielką rzadkością.

Na moment Cassie zapomniała o swoim gniewie, jak i o tym, że miała na sobie tylko halki.

- Słupy Heraklesa! - Wzięła głęboki oddech i patrzyła na niego roz-iskrzonymi oczami.

- Widzę, że odrabiałaś lekcje z historii. Cassandro, ależ ty masz wiedzę!

- Wystarczającą, żeby zdać sobie sprawę, że jesteś apodyktycznym aro-ganckim osłem, milordzie. A teraz będziesz łaskawy zakończyć te brednie i wyjść, żebym mogła się ubrać.

- Jak twoje plecy?

Nagle pytanie kompletnie ją zaskoczyło. Chociaż rzadko już odczuwała ból, właśnie szukała innej koszulki pod gorset, gdyż ta była wyszywana sztywną koronką, która przylegałaby do skóry. Odrzuciła dumnie głowę, zakłopotana jego troską.

- W porządku, milordzie.

Nie spodobała mu się zwiewna satynowo-koronkowa bielizna, którą wciąż zakrywała biust.

- Muślinowa koszulka z pewnością byłaby wygodniejsza. - Nie czekając na odpowiedź, przemierzył kabinę i wyrzucił z szuflad sztuki bielizny, aż natrafił na miękką, lekką muślinową koszulkę pod gorset, która zakrywała całe plecy. - Oto i ona - wykrzyknął, uśmiechając się szeroko. - Czyż to nie szczę-

śliwy zbieg okoliczności, że coś mnie podkusiło, by dodać tę niewyszukaną R S

sztukę do twojej garderoby?

- Widocznie dawno temu zaplanowałeś, że mnie wychłostasza.

- Ależ skądże - zaprzeczył wesoło. - Wierz mi, mało znam czynności gor-szych niż ta. Ale to kwestia kontroli, czyż nie? Myślę, Cassandro, że oboje dostaliśmy wtedy nauczkę.

- Nigdy nie będziesz miał nade mną kontroli, milordzie - oświadczyła śmiertelnie poważnym głosem.

- I musiałbyś być prawdziwym idiotą, żeby wierzyć w te swoje przechwałki. Przyjęłam karę z rąk kapitana statku. Nie ma rzeczy, którą bym dobrowolnie przyjęła od ciebie jako mężczyzny.

- Doprawdy podcinasz mi żagle, *cara* - powiedział z niezmaconym spokojem. - Zanim jednak znowu mi przyłożysz, pozwól, że wetrę ci w plecy trochę balsamu. I nie radzę się kłócić, bo jeśli zaczniemy, to najprawdopodobniej wypłyniemy z cieśniny i przegapisz swoje Słupy Heraklesa.

Zagryzła niepewnie wargi, ale знаła go na tyle, żeby wiedzieć, że i tak postawi na swoim.

- Niech i tak będzie - rzekła i stanęła do niego plecami.

Hrabia podniósł jej włosy, potargane po nocy i spojrział na miękką białą skórę, wciąż lekko poznaczoną blednącymi pręgami.

- Schyl się trochę i przytrzymaj włosy.

Zataczając palcami lekkie koliste ruchy, niespieszne i pieśczośliwe, rozcierał jej na plecach biały krem. Była tak szczupła, że rozłożonymi palcami obu dłoni zakrywał całe jej plecy.

- Czy sprawiam ci ból?

Cassie aż podskoczyła, słysząc tę zmysłową chrapliwość w jego głosie.

- Nie! Proszę, milordzie, kończ prędko. - Skarciła się za to, że jego dotyk sprawia jej przyjemność. Wreszcie opuścił ręce, a ona westchnęła z wdzięcznością i pozwoliła sobie na rozluźnienie.

R S

Bez słowa wręczył jej muślinową bieliznę. Nie odwróciła się do niego, dopóki nie skończyła sznurować koszulki na biuście. Na jej twarzy rysowały się upór i nieufność.

Uśmiechnął się lekko i oświadczył:

- Zaczekam na pokładzie.

Dziesięć minut później hrabia zobaczył, że idzie do niego pewnym krokiem osoby przyzwyczajonej do kołysania statku. Uśmiechnął się cierpko, widząc jej strój - tę popielatą muślinową suknię wybrała niewątpliwie dlatego, że zapina się ją z przodu, a nie z tyłu.

- Czy to Gibraltar? - spytała z zachwytem, spoglądając w lewo na olbrzymią wystającą skałę, nagą i oszałamiająco surową w obfitym świetle porannego słońca.

- Tak. Czyż nie robi wrażenia? Spójrz w prawo, Cassandro. To jest Jebel Musa w Maroku. - Cieszył się jej entuzjazmem i naturalnością.

Natychmiast podążyła wzrokiem za jego palcem.

Chroniąc oczy przed słońcem, które było tak jasne, że ląd wydawał się skąpany w migoczących odcieniach bieli, Cassie znów popatrzyła w lewo, a potem w prawo. Wyglądało to tak, jakby ktoś celowo wyrąbał cieśninę w łań-

cuchu postrzępionych wzgórz.

- Nie miałam pojęcia, że jest aż tak wąska - powiedziała po chwili. - I że muzułmanie są u naszych bram.

- W najwęższym punkcie mierzy zaledwie dziewięć mil. A co się tyczy muzułmanów, to w ciągu wieków niejednokrotnie przekraczali tę bramę i świetnie się czuli w salonie.

Cassie przytaknęła, taksując wzrokiem hiszpańskie wybrzeże. Następnie *R S*

przeniosła wzrok na poszarpany brzeg Afryki.

- Nie sądziłam nigdy, że zobaczę więcej świata poza Anglią. To miejsce bardzo się od Anglii różni.

Uśmiechnął się i wskazał na prawo.

- Tam, nad samym Morzem Śródziemnym, położone jest hiszpańskie miasto Ceuta; tam, na północ, wśród wzgórz leży miasteczko San Roque. Niestety jest za duża mgła, żebyś mogła zobaczyć Tanger. Spójrz na barwę wody.

Trudno ją opisać, prawda? Morze przypomina szafir.

Kiwnęła entuzjastycznie głową. Hrabia był rozbawiony i jednocześnie zadowolony, widząc jej dobry nastrój. Statek sunął przez cieśninę, gdyż zachodni wiatr nadymał żagle. Zamknął na moment oczy i wsłuchiwał się w skrzeczenie mew, dźwięk lin uderzających o drewniany maszt i głosy załogi wykonującej swoje poranne zadania. Otworzył oczy i zobaczył, że Cassandra z otwartymi ustami wpatruje się w niesamowitą urwistą skałę.

- Nazwa Gibraltar pochodzi od słów Gebel Tarik, które znaczą skałę Tarika lub wzgórze Tarika.

Cassie popatrzyła na niego nieprzekonana.

- Ale Gibraltar jest taką angielską nazwą. Na pewno się mylisz.

Pokręcił głową.

- Tarik był muzułmaninem, który zdobył Gibraltar dawno temu, zdaje się w ósmym wieku. Wybudował wtedy zamek, który wciąż jest w użyciu. Anglicy są tu stosunkowo nowi.

- Tak, to pokój w Utrechcie z 1713 zmusił Hiszpanię do oddania kontroli nad cieśniną. - Wyglądała na zadowoloną, że przypomniła sobie taki bezużyteczny fakt.

- Hiszpanie wcale jej jeszcze nie oddali. Tak naprawdę to sytuacja z roku na rok staje się coraz

bardziej napięta. Karol III nie pogodzi się łatwo z utratą *R S*

takiego strategicznego punktu. Spędza to sen z jego cesarskich powiek.

Cassie pogardliwie wzruszyła ramionami.

- Och, Hiszpanie nie mogą się z nami równać.

Hrabia cierpko się uśmiechnął.

- Niestety większość Anglików podziela twoje zdanie. Czas pokaże.

- Czy wciąż grasują tu piraci? Jesteśmy blisko wybrzeża Maghrebu, prawda? - Wyteżyła wzrok, ale poszarpany afrykański brzeg nie ukazał jej niczego oprócz urwistych czarnych skał i niewysokich nagich wzgórz. Nigdzie nie było śladu ruchu.

- Tak, to jest to osławione wybrzeże. Są tu niestety piraci, choć nie tylu, co sto lat temu. Widzisz te wcinające się w łód zatoczki? Wyglądają na opustoszałe, ale pozory mogą mylić. Piraci poruszają się bardzo prędko, bo ich powodzenie i zarobek zależą od elementu zaskoczenia. No a gdybyśmy żyli w szesnastym wieku, nie stalibyśmy tu tak spokojnie, rozkoszując się scenerią.

To były czasy Barbarossy i jego tureckich piratów.

- Barbarossa - powtórzyła powoli Cassie. - Jakie porywające imię. - Westchnęła. - Założę się, że nie jesteś ze mną szczery, milordzie. Nie ma tu dzisiaj żadnych piratów. Nasze czasy są takie nowoczesne i mało ekscytujące.

- Dam ci do przeczytania kilka relacji na temat Barbarossy - obiecał hrabia, przybierając oschły ton. - Żaden mężczyzna, kobieta ani dziecko nie byli bezpieczni. Uwielbiał płądrować, brać mężczyzn na galerników, a kobiety gwałcić. Nie nazwałbym tego romantyczną rozrywką.

Słyszając te słowa, Cassie odwróciła się powoli.

- A jak nazwałbyś gwałcenie kobiet, milordzie?

Odniosła wrażenie, że oblał się rumieńcem, choć przy jego ciemnej opaleniznie nie mogła mieć pewności.

Nie odwrócił wzroku, ale kiedy wreszcie przemówił, jego ton był zaskakująco

kująco łagodny.

- Mówi się, że Barbarossa raz wziął dwadzieścia cztery dziewice jednego dnia. Dziewczęta były w różnym wieku, najmłodsza miała podobno dwanaście lat. Ponieważ podjął się tego wyczynu z powodu zakładu z pewnym księciem, zappełnił długą salę swojego pałacu mężczyznami, którzy mieli być świadkami jego męstwa. Żadna z dziewcząt mu się nie sprzeciwiła, bo to oznaczałoby powolną i bolesną śmierć. Wszystkie były nagie, nie miały też na twarzach welo-nów, bo Barbarossa chciał,

żeby mężczyźni widzieli ich twarze w chwili, kiedy rozdzierał ich hymen. Nie interesowało go, co się z nimi stanie po tym, jak on wygra zakład. Podobno wiele z nich zostało potem ukamienowanych, bo jaki mężczyzna zechce dziewczynę pozbawioną dziewictwa, a zatem honoru? -

Przerwał i popatrzył na jej poblądłe policzki.

- Myślę więc, że różnic jest wiele, trzeba tylko chcieć je znaleźć.

Cassie zadrżała, mimo iż z nieba lał się żar. Patrzyła na stojącego obok niej człowieka i pomyślała, zupełnie bez znaczenia, że gdyby przysunęła się do niego, zasłoniłby jej słońce. Czuła się dziwnie osamotniona. Jej głos zabrzmiał

chłodno i bardzo oschle.

- Uważam, milordzie, że mężczyźni niewiele się zmienili od czasu tamtej okrutnej historii. Kobiety wciąż się zdobywa i posiada jak towar. Chroni się je albo wyrzuca, w zależności od męskiego kaprysu. Nie widzę tu większej różni-cy, milordzie. Niezależnie od tego, co czuję w twoim łóżu, zawsze będę cię nienawidzić za to, co mi zrobiłeś.

- Mylisz się, *cara*, i ja ci to udowodnię.

Odwróciła się na pięcie i odbiegła.

- Cassandro!

Poczuła strach, słysząc w jego głosie zimną wściekłość, ale nie zwolniła *R S*

kroku. O mało co nie potknęła się o zwój leżącej blisko grota liny.

Stalowe palce zacisnęły się na jej ramieniu. Szarpnął nią, żeby się do niego odwróciła.

- Jesteś gorszy niż Barbarossa! On przynajmniej nie krył swojego okrucieństwa pod płaszczykiem...

- Zamknij się!

Z drzeniem nabrała powietrza i dostrzegła kątem oka, że marynarze zaczynają się im przyglądać.

Przyciągnął ją do siebie. Wzdrygnęła się, gdyż jej plecy wciąż były wraz-

liwe.

- I co zamierzasz, milordzie? - syknęła mu w twarz. - Znowu mnie wy-chłostać, żebym kulila się ze strachu przed twoim gniewem? Po moim trupie!

- Chodź, Cassandro, nie każ mi cię nieść.

Zadarła podbródek, ale sztywnym krokiem poszła za nim.

Zwolniła przed drzwiami kabiny, ale wepchnął ją do środka i przekreślił

klucz. Dotknął palcami srebrnej sprzączki pasa.

- Nie poddam się tej chłości, milordzie! Będziesz musiał mnie związać!

Patrzył na nią oniemiały.

- Na Boga! Ty bezmyślna mała gąsko! Ty naprawdę myślisz, że ja...

- Ja bezmyślna, ja? - wrzasnęła. - A może jeszcze bezbronna? Zaraz się przekonasz! - Złapała dwa ciężkie tomy z półki i rzuciła w niego najmocniej, jak potrafiła. Podniósł tylko rękę i spadły na ziemię.

Ruszył w jej stronę, a Cassie z wściekłym jękiem złapała wielki świecznik z kości słoniowej i cisnęła nim w hrabiego. Uchylił się, a kiedy usłyszał, że jeden z cenniejszych przedmiotów z jego kolekcji z trzaskiem spada na podłogę, przemknęło mu przez myśl pytanie, czy kość słoniowa bardzo popękała.

R S

Dopadł ją za mahoniowym biurkiem. Zaczęła młócić ramionami, ale jej pięści napotkały twarde mięśnie brzucha.

- Już wystarczy, Cassandro - powiedział, unieruchamiając jej rękę.

Próbowała go kopnąć, ale przycisnął ją do siebie tak mocno, że nie mogła się poruszyć.

Serce biło jej jak oszalałe, a piersi falowały tuż przy jego torsie. Ona naprawdę myślała, i nadal myśli, że czeka ją chłosta.

- Cassandro, spójrz na mnie.

Lekko nią potrząsnął. Niechętnie podniosła głowę. Krew odpłynęła jej z twarzy, lecz oczy nie utraciły gniewnego błysku.

- Dlaczego pomyślałaś, że mógłbym cię zbić?

Chociaż przemawiał łagodnym tonem, Cassie poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Wiedziała, że jest w jego mocy, i to na wiele sposobów.

- Jesteś okrutnikiem.

- Jak Barbarossa?

Wyraz jej twarzy był nieprzenikniony. Niczego nie była już pewna.

- Dlaczego ze mnie drwisz?

- Nie drwię z ciebie, *cara*, wcale też nie miałem zamiaru cię bić.

- Nie kłam! Byłeś na mnie zły i ściągałeś pas!

- Tak, czułem złość na twój niewyparzony język. Ale zrozum, *Cassandro*.

Nigdy bym cię nie uderzył za to, że zachowujesz się jak rozkapryszone dziecko czy nieznośna złościca. Jeśli zaś chodzi o pas, to muszę go rozpiąć, żeby pozbyć się ubrania. To mojego ciała ci trzeba, a nie chłosty.

- Nie! - Skręciła się gwałtownie, żeby wyrwać się z jego objęć.

Poczuła na brzuchu jego twardniejącą męskość i kolor wystąpił jej na policzki.

- Ty jesteś gorszy niż *Barbarossa*!

R S

Skwitował to uśmiechem i oparł się o biurko.

Rozstawił nogi i przyciągnął ją między swoje uda. Jedną ręką trzymał jej dłonie z tyłu, a drugą swobodnie dotykał jej pośladków.

- Dlaczego jesteś taka spięta, kochana? - wyszeptał. Poczuła na skroni ciepło jego oddechu. - Pomyśl o tym, co nas wkrótce czeka. Za długo byliśmy rozdzieleni. - Nie przestawał pieścić jej leciutko z tyłu.

Wyczuwała też przez spódnicę i halki jego pulsujący, złakniony członek.

W jej uchu znowu zabrzmiał niski i zmysłowy głos:

- Wyobraź sobie, że moje usta błędzą po twoim ciele. Twoja skóra jest taka różowa i jedwabista, *cara*. Smakujesz tak słodko.

Cassie odrzuciła w tył głowę.

- Niech cię wszyscy diabli! Nie dam ci się uwieść pięknymi słówkami.

Nie chcę tego dłużej słuchać!

Zamknął jej usta pocałunkiem i delikatnie przesuwając językiem po wargach. Palcami masował teraz jej kark i górę pleców. Pociągnął za aksamitną wstążkę we włosach. Uwolnił jej usta, by całować jej szyję, a potem lekko gryźć płatek ucha. Poczuła nagły przypływ gorąca. Nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, że nie przytrzymała już jej rąk, ani że z nieprzymuszonej woli położyła je na jego ramionach, by przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Proszę - błagała urywanym szeptem - nie każ mi znówu tego czuć. - Ale mówiąc te słowa, dawała się ponieść fali pożądania i przyciskała swoje młode ciało do niego.

Gdy rozpinął guziki sukni i rozluźniał tasiemki zasznurowanego stanika, wyznawał jej swoje pragnienia:

- Chcę cię dotykać, chcę być przy tobie, chcę być głęboko w tobie.

Przylgnął ustami do jej piersi, a ona z przyjemności wygięła plecy w łuk.

Cierpliwie oplatał ją pajęczyną pożądania, drażnił długo i zapamiętale, aż *R S*

wreszcie drżącym z podniecenia głosem krzyknęła:

- Proszę, dłużej tego nie zniosę...

- Pragniesz mnie, Cassandro? Pragniesz mnie w sobie?

Jej oczy zasnuły się lekką mgiełką, kiedy czuła na stwardniałych sutkach musnięcia opuszek jego palców.

- Tak czy nie, Cassandro?

- Tak.

To krótkie słowo z trudem wydobyło się z jej gardła. Ponownie ją poca-

łował w usta. Poczuł, że sięga do sprzączki jego paska i niezdarnie próbuje go rozpiąć. Zachwyciło go to, że po raz pierwszy przejawia inicjatywę. Ale nie udało jej się i z pełnym frustracji jękiem uderzyła go pięścią w klatkę piersiową.

- Smakuj rosnącą pasję, kochana - powiedział, nie spuszczając wzroku z jej twarzy. - Niech narasta w tobie do czasu, kiedy będzie ci się wydawało, że umrzesz, jeśli nie znajdziesz dla niej ujścia.

Kiedy mówił te słowa, jego wprawne ręce rozbierały ją. Chciała mu po-móc jak najprędzej usunąć te niechciane ubrania, ale jej nie pozwolił. Minęła kolejna chwila, zanim bielizna i jedwabne pończochy opadły jej na kostki.

Niespiesznymi okrężnymi ruchami wodził palcami po jej brzuchu, aż za-plątał się w miękką kępkę złotych włosów. Czując jego pieścizotę, z zaskoczenia otworzyła szeroko oczy. Uśmiechnął się.

- Czy wiesz, jaką masz gładką skórę, *cara*? - Dotknął ustami jej policzka, czubka nosa, podbródka.

Delikatnie wsunął w nią palec. Wydała stłumiony krzyk i chwyciła się go, żeby złapać oparcie. Jej smukłe ciało naprężyło się, była o krok od spazmatycznego spełnienia. Zaprzestał jednak pieścizoty, szepcząc: *R S*

- Jeszcze nie czas, kochana.

Wziął ją za rękę i zaprowadził bliżej łóżka. Oswobodził się z ubrania tak sprawnie, jak wcześniej rozebrał ją.

Chłonęła jego ciało bez zażenowania, zaciskając dłonie na widok jego szerokich barów, umięśnionego torsu i muskularnego brzucha. Spojrzała na je-go olbrzymi członek i w tej chwili między udami pojawiło się ciepłe uporczywe doznanie. Kolana się pod nią ugięły.

- Jesteś zupełnie inny niż ja, taki... posągowy - wyszeptała, nie bardzo wiedząc, że oto na głos wypowiada swoje myśli.

Wybuchnął niskim dźwięcznym śmiechem.

- Mówisz o mnie całym, czy tylko o pewnej części?

- O tobie - poruszyła tylko wargami i usiadła.

- Robimy postępy... - Usiadł przy niej i położył rękę na jej smukłym udzie.

Gdyby tylko, pomyślał wpatrzony w jej miękkie otwarte usta, powiedział-

ła, że mnie kocha. Ale na to jeszcze za wcześnie, o wiele za wcześnie. Dobrze wiedział, że teraz przemawia przez nią wyłącznie namiętność. Zwróciła się w jego stronę, przycisnęła piersi do jego torsu i położyła mu wymownie ręce na ramionach. Przesunął rękę z jej uda wyżej, na brzuch.

Czuł, że jego samokontrola ma swoje granice. Położył ją na plecach i rozchylił uda.

- Pamiętasz, co mówiłem o twoim smaku, Cassandro? - Pochylił się i przycisnął usta do jej brzucha. Czowała, jak błądzi twarzą po jej podbrzuszu, przedziera się przez miękkie włoski i wreszcie całuje ją między nogami.

Pisnęła cichutko, wygięła plecy i uniosła biodra, by pozwolić jego ustom rozniecać pożar coraz głębiej. Czuł, jak jej ciało drży, coraz szybciej i podniósł

się, by w nią wejść. Ścisnęła go udami i wyrzuciła w górę biodra, jakby chciała *R S*

go w siebie wessać. Poczul jej dłonie na swoich pośladkach i wiedział, że już przepadł. Wbił się w nią i poruszał się w niej kolistym ruchem, aż z gardła wyrwał się jej rozdzierający krzyk. Gdy zastygła z rozkoszy, poczuł że sam eks-ploduje i zalewa ją nasieniem.

Wczołgał się na nią i położył głowę obok jej głowy na poduszce. Wiedział, że ją zgniata, ale kiedy chciał się przesunąć, jej ręce splotły się mocniej na jego plecach. Sprawilo mu to dużą przyjemność i uśmiechnął się z zadowoleniem. Pamiętał jednak, że wciąż miała wrażliwe plecy, więc stoczył się na bok, przytulając ją mocno do siebie. Falowanie piersi powoli ustawało i poczuł, że jej ciało staje się bezwładne. Nie minęło kilka minut, gdy zasnęła.

Cassie zadrżała i wyciągnęła ręce, by przyciągnąć do siebie jego ciepłe ciało. Jej palce zacisnęły się jednak na miękkiej poduszce z pierza i otworzyła oczy. Podniosła się i rozejrzała po kabinie. Musiał wyjść. Spojrzała na zegar na biurku i zerwała się zaskoczona. Spała bardzo krótko, bo zegar pokazywał zaledwie kilka minut po jedenastej.

Odgarnęła włosy z czoła i postawiła stopy na podłodze. Przez dłuższą chwilę patrzyła w dół na siebie, niezdolna zebrać myśli.

Zerknęła na potarganą pościel i oczyma wyobraźni zobaczyła siebie, jak wije się pod nim niecierpliwie, jak strzela w górę biodrami i ściska rękami mięśnie jego pleców i pośladków. Na to wspomnienie ciarki jej przeszły po plecach. Zobaczyła siebie taką, jak on musiał ją widzieć. Gniew przerodził się w dziką furję. Drżąca kobieta, która błaga o jego męskie ciało - oto, co z niej uczynił. Ależ musiał być zadowolony, kiedy zapadła w sen, jak nasycona sa-miczka, którą udało mu się zadowolić.

Cassie wstała i chwiejnym krokiem podeszła do komody. Szorowała się *R S*

zapamiętała, aż całe ciało zaczerwieniło się i zapiekło. Rzuciła wilgotną szmatkę i zadrżała.

- Mój Boże - jej szept zakłócił panującą w kabinie ciszę - co się ze mną dzieje?

Wspomnienie tego popołudnia z Edwardem w jaskini, na dwa dni przed planowanym ślubem, zjawilo się nieproszone w jej myślach, by podsycić wyrzuty sumienia. Gdyby nie interwencja Becky, Edward pozbawiłby ją wówczas cnoty. Czula wtedy namiętność, a przynajmniej niewinne, nieśmiałe pożądanie, choć to ona musiała go zachęcać.

Załkała głośno i zakryła dłońmi twarz. Czy dotyk obojętne jakiego męż-

czynny wystarczał, by jej ciało płonęło z pożądania? Czy była małą chętną dziwką, gotową rozłożyć nogi dla każdego, kto ją dotknie i pocałuje?

Wpatrywała się tępo w okienka wychodzące na lewą burtę i nagle jej usta wyszeptały słowo:

- Gibraltar. - Angielski posterunek wojskowy. Są tu żołnierze, którzy jej pomogą, wyślą wiadomość Eliottowi i Edwardowi.

Cassie podbiegła do okienek i przycisnęła policzek do szyby. Minęli już największą skałę, ale piaszczysta plaża wciąż majaczyła na horyzoncie. Bezzwłocznie przystąpiła do działania i w kilka minut przebrała się w bryczesy i białą koszulę, które hrabia pozwolił jej założyć w czasie burzy w kanale. Wsunęła buty, zebrała włosy w kucyk i związała wstążką.

Podbiegła do biurka hrabiego i otwierała szuflady jedną po drugiej. Pa-piery, mapy, księgi - mogła tam znaleźć wszystko, tylko nie pieniądze, których potrzebowała. Pociągnęła za uchwyt dolnej szuflady; okazało się, że jest zamknięta na klucz.

R S

Wzięła z komody spinkę i włożyła ją do małego zamka. Zakłęła pod nosem, czując, że jacht sunie na wschód. Po kilku próbach zasuwka zamka odskoczyła i szuflada się wysunęła. Cassie złapała szybko skórzaną sakiewkę, w której znalazła złote monety. Przyczepiła sobie woreczek do pasa i już miała wstawać, kiedy spostrzegła elegancki angielski pistolet, taki, jakiego używa się przy pojedynkach, zawinięty do połowy w aksamitną tkaninę. Niepewnie dotknęła lśniącej srebrnej broni, po czym zdecydowanym ruchem wyjęła ją z szuflady. Zaciśnęła zęby. Jeśli ktoś spróbuje ją powstrzymać, użyje go.

Cassie nie знаła się za dobrze na pistoletach, ale była w stanie się zorientować, że ten był nabity. Położyła go na biurku i schyliła się, żeby pozamykać szuflady.

Poczuła na twarzy lekki powiew powietrza i podniosła wzrok, by zobaczyć stojącego w drzwiach hrabiego. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Chłodnym głosem zapytał:

- Co ty, u diabła, wyprawiasz?

Cassie wyprostowała się, by spojrzeć mu w oczy. Jej palce zaciśnęły się na pistolecie. Odrzuciła głowę i szorstko oświadczyła:

- Odchodzę, milordzie.

- Nie wydaje mi się. - Oparł się o framugę drzwi i skrzyżował ramiona. -

Myślę, że zaraz zdejmiesz te idiotyczne bryczesy i włożysz jedną ze swoich sukni. Niedługo będziemy jeść lunch. - Łagodniej już dodał: - Jakie to szczę-

ście, że tak cicho otwarłem drzwi. Wiesz, myślałem, że jeszcze śpisz.

Oślupiała, słysząc pieszczotliwy, czuły ton jego głosu.

- Niech cię cholera, panie hrabio! Nie będę dłużej twoją dziwką! Teraz się odsuń, albo źle się to dla ciebie skończy!

- Moją dziwką, *cara*? Obawiam się, że brak ci doświadczenia, by zająć to stanowisko.

R S

Zatrzęsa się z gniewu, słysząc jego rozbawienie. Powoli, pewnie podniosła pistolet i wycelowała w niego.

- Nie mam zamiaru płynąć więcej niż półtora kilometra, milordzie. Teraz się odsuniesz, albo cię zastrzelę.

Leniwa zwierzęca gracja opuściła go. Nie dała się nabrać na jego swobodny ton, gdyż zauważyła, jak jego ciało się napręży.

- Ależ ty jesteś rozrywkowa, Cassandro. Ale i głupia, moja mała, bardzo głupia. Odłóż ten pistolet.

- Idź do diabła, milordzie!

- Odłóż go!

Szedł w jej stronę pewnym krokiem, nie spuszczając spojrzenia ciemnych oczu z jej twarzy.

- Bądź przeklęty! - krzyknęła i pociągnęła za spust.

Ogłuszający trzask wypełnił kabinę. Z lufy wydobyła się chmura szarego dymu, kiedy pistolet uderzył głucho w podłogę. Hrabia złapał się za ramię, a siła strzału odrzuciła go w tył.

Wyminęła go szybko i pobiegła w górę po schodach. Słyszała, że woła jej imię, ale nie zwolniła. Kiedy znalazła się na pokładzie, zmusiła się do chodu.

Marynarze patrzyli po sobie, zaskoczeni hukiem wystrzału. Na moment przystanęła przy relingu, oceniając odległość do brzegu. Głęboka błękitna woda by-

ła spokojna jak tafla jeziora. Zwinnym ruchem Cassie wdrapała się na barierkę, stanęła z rękami nad głową i wybiła się.

- *Madonna!* - Dobiegło ją, kiedy wstrzelała się w wodę.

Uderzenie stanowiło duży wstrząs, a wejście w lodowatą wodę na moment pozbawiło ją uczucia. Dopiero po chwili spięła się i biła rękami, by wydostać się na powierzchnię. Nabrała w usta upragniony łyk powietrza i obróciła *R S*

głowę w stronę statku. Słyszała krzyki marynarzy, którzy ustawili się przy burcie i dziko machali do niej rękami. Odwróciła głowę ponownie w stronę brzegu i poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Odległość była większa, niż my-

ślała, znacznie powyżej dwóch kilometrów. Wzięła głęboki wdech, wyrzuciła w tył obute nogi i pewnymi ruchami popłynęła w stronę lądu.

- Cassandro!

Przechyliła głowę i zobaczyła hrabiego na relingu. Sprężył się nagle i skoczył do wody. Wynurzył się o wiele bliżej, niżby sobie życzyła.

- Niech cię diabli wezmą! - wrzasnęła na niego i niechcący nabrała w usta wody. Charczała i kaszłała, tracąc cenny czas. Wreszcie, nie zwracając uwagi na ściśnięte gardło, skupiła się na tym, by płynąć w stronę brzegu.

Silne ramię złapało ją za biodra i pociągnęło w dół i do tyłu. Woda przykryła jej głowę i trwającą całą wieczność chwilę szamotała się z nim pod wodą.

Próbowała go kopać, żeby ją puścił, ale przycisnął ją do siebie i wypłynęli na powierzchnię.

- Jesteś szalony, milordzie! Puść mnie! - Walczyła z nim w dzikim szale, wałąc go pięściami i kopiąc obutymi stopami po udach.

Nagle jego ramię opadło bezwładnie i Cassie była wolna.

- Cassandro.

Wypowiedział jej imię ledwie słyszalnym szeptem. Odwróciła się do niego twarzą. Z przerażeniem stwierdziła, że woda między nimi ma kolor krwi.

Zdusiła krzyk. Jego głowa znikła pod powierzchnią. Choć morze było wyjątkowo spokojne, a on machał pod wodą rękami, nie miał dość sił, by utrzymać głowę nad wodą.

Spojrzała w stronę statku. Scargill, pan Donnetti wraz z kilkoma marynarzami spuszczała właśnie szalupę. Nie mieli szans dopłynąć na czas. On utonie.

- Ty idioto! - wrzasnęła na niego.

R S

Unosił się pod powierzchnią z twarzą w dół w rosnącej plamie krwi.

Podpłynęła do niego z powrotem i chwyciła go pod pachami, ale nie mia-

ła siły, żeby wynieść go nad powierzchnię. Wsadziła mu ramię pod podbródek i pchnęła go klatką piersiową, przechylając jego głowę w tył, a potem w górę.

Patrzyła z rosnącą paniką w kierunku łodzi ratunkowej. Nogi miała jak z ołowiu, ale zmuszała je do ciągłego ruchu. Bała się, że utonie razem z nim, je-

śli marynarze się nie pospieszą.

- Wiosłujcie mocniej! - krzyknął pan Donnetti, zdejmując płaszcz i buty.

Już miał skakać do wody, kiedy powstrzymał go Scargill.

- Nie, Francesco, bo ona może stracić chwyt. - Ledwie widoczny uśmiech pojawił się na jego zmartwionej twarzy, dobiegły go bowiem, przekleństwa, które Cassie miotała pod adresem hrabiego. Dysząc z wściekłości i wyczerpania wyrzucała mu głupotę i niedorzeczny upór.

- To bez sensu. Najpierw do niego strzela, a teraz ratuje mu życie - mruknął pod nosem Donnetti.

- Byłoby wbrew jej naturze, gdyby tego nie zrobiła - powiedział Scargill, ale Donnetti nie zwracał na niego uwagi.

Hrabia się poruszył.

- Nie róbcie fali, bo oboje zginiemy!

Donnetti wraz z kilkoma marynarzami zsunęli się do wody i uwolnili Cassie od jej ciężaru. Doholowanie go do łodzi zajęło im kilka chwil. Słyszała słabą, lecz nagłą komendę hrabiego.

- Ratuj ją, Francesco, prędko, zanim straci siły.

Pan Donnetti burknął coś i bez zbędnych ceregieli złapał Cassie w pasie.

Podniósł ją, a kilka par rąk wciągnęło ją na łódkę.

Cassie skuliła się na rufie, oplatając rękami drżące kolana. Jeden z marynarzy zarzucił jej na ramiona płaszcz, ale nie zrobiło jej się wcale cieplej.

R S

Ludzie skłębili się wokół hrabiego i wyglądało na to, że nikt nie zwraca na nią najmniejszej uwagi. Gdyby tylko miała siłę, mogłaby wyslizgnąć się z łodzi niezauważona. Próbowwała dostrzec hrabiego, ale Scargill i pan Donnetti nachylali się nad nim, zasłaniając jej widok. Usłyszała, jak Scargill napomina go, żeby się nie ruszał.

Czterech żeglarzy, po dwóch po każdej stronie długiej łodzi, wiosłowało pełną mocą i łódź sunęła w kierunku jachtu. Cassie spojrzała na „Cassandrę” i zdziwiła się, jak błyskawicznie zwinęto żagle. Gdy podpływali, usłyszała skrzypienie opuszczanego żelaznego łańcucha i domyśliła się, że rzucono kotwicę. Natężyła słuch, by usłyszeć głos hrabiego.

- Cholera, Scargill, żaden z was nie da rady wnieść mnie po drabince.

Sam muszę się wspinać. Francesco, trzymaj się tuż za mną.

Nie mogła uwierzyć, że zamierza sam wspinać się po boku statku. Chcia-

ła krzyknąć, żeby nie robił głupstwa, ale on już stawiał stopę na pierwszym szczeblu. Na jego twarzy malowała się niedopuszczająca sprzeciwu determinacja. Z zapartym tchem patrzyła, jak hrabia powoli i z trudem podciąga się coraz wyżej. Krzyknęła, kiedy w połowie drogi o mało co nie stracił chwytu.

Joseph odetchnął z ulgą, kiedy hrabiego w końcu przeciągnięto przez reling na pokład. Odwrócił się do niej i rzucił:

- Teraz twoja kolej, *madonna*.

Potrząsnęła tylko głową, bo jej ręce zwisały po bokach jak bezużyteczne deski. Źle ją zrozumiałwszy, warknął:

- Nie pozwolę ci uciec, *madonna*, a nie masz broni, żeby mnie postrzelić.

Zwilżyła wargi i powiedziała:

- Nie dam rady, Josephie.

Przyjrzał się jej zmęczonej twarzy, po czym bez słowa przewiesił ją sobie *R S*

przez ramię i wspiął się z nią do góry. Postawił ją na pokładzie. Kiedy nie wykonywała żadnego ruchu, powiedział ostro:

- Idź do kapitana, *madonna*. Nie zazna spokoju, dopóki się nie dowie, że jesteś bezpieczna.

Cassie cicho weszła do kabiny. Hrabia leżał wyciągnięty na łóżku, zaciskając z bólu zęby, a Scargill i pan Donnetti ściągali z niego mokre ubranie.

- Gdzie ona jest, Scargill?

W jego głosie pobrzmiwała panika. Szybko weszła w jego pole widzenia.

- Tutaj jestem, milordzie.

Patrzył na nią przez długi czas, po czym zamknął oczy.

Scargill wyprostował się i ponurym głosem oświadczył:

- Straciłeś dużo krwi, milordzie. Teraz trzeba wyciągnąć kulę.

- Niech tak będzie - powiedział hrabia, nie otwierając oczu. - Im szybciej, tym lepiej. - Strużka krwi płynęła po jego owłosionym torsie.

Cassie poczuła niespodziewane wyrzuty sumienia.

Nagle do kabiny wpadł Dilson.

- Kapitanie, ten pirat, Khar El-Din. Zauważyliśmy go, zanim pana wyciągnęliśmy. Teraz on domaga się wejścia na pokład.

- Ten cholerny drań! - wykrzyknął pan Donnetti i odwrócił się gwałtownie.

Hrabia przekręcił głowę na poduszce i spokojnie poinstruował Dilsona:

- Jeśli nasz przyjaciel chce złożyć nam wizytę, nie możemy odmówić.

Francesco, idź go powitać i przyprowadź go tutaj. Wiesz, że spodziewa się godnego przyjęcia.

- Ale, panie - zaczął Scargill.

- Dosyć, Scargill. Przykryj mnie, nie mogę witać gościa nago. I zawiń ra-R S

nę. Choć poczuje krew, to nie musi jej przecież oglądać.

Cassie zrobiła chwiejny krok w tył i popatrzyła przerażona na hrabiego.

Pirat! Hrabia mówił jej, że tacy ludzie ciągle istnieją, ale nie chciała mu wierzyć.

- Cassandro.

- Tak - wychrypiała.

Zlustrował jej przemoczony strój, uwypuklające kształt bioder i nóg spodnie. Nabrzmiące od zimna sutki przebijały przez białą koszulę. Choć jej bladą twarz okalały potargane włosy, ten nieład dodawał jej tylko powabu.

Hrabia się przeraził.

- Posłuchaj, *cara*, nie mamy za dużo czasu. Zakryj się cała peleryną, od stóp do głów. Będziesz siedzieć cicho ze spuszczonego wzrokiem. Nie będziesz się odzywać, rozumiesz mnie?

Skinęła głową na zgodę, choć nie rozumiała, o co mu chodzi.

- Szybko, Scargill, okryj ją. Cassandro, nie jesteśmy w Anglii. Proszę, zaufaj mi. - Ból odbierał mu siły. Wziął głęboki uspokajający oddech.

- Zrób tak, jak mówi jego lordowska mość, *madonna*.

Cassie naciągnęła na siebie satynową pelerynę, którą jej podał, i usiadła.

Na dźwięk ciężkich butów stukających nad kabiną podniosła wzrok.

Kroki się przybliżały, brzmiąc w jej uszach jak *staccato* maszerującego oddzia-

łu.

Niski tubalny głos dobiegł ich jeszcze z zejściówki, po czym do kabiny wszedł mężczyzna, którego twarzy Cassie nie zapomni nigdy. Na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały. Jego oczy przeszywały człowieka na wylot i były tak jaskrawoniebieskie, że trudno było uwierzyć, że należą do istoty ludzkiej. Jest jak byk, pomyślała, niski, ale gigantyczny w barach. Miał długie gę-

R S

ste blond włosy, gdzieniegdzie pojaśniałe do białości. Na obnażonych ramionach dostrzegła potężne bicepsy. Ubrany był w luźną kamizelkę z czerwonej skóry i obszerne bryczesy podtrzymywane w pasie szeroką szkarłatną taśmą.

Zaraz opuściła wzrok na podłogę.

- *Buon Giorno, Antonio! Godo di verderla!* - Mówił butnym głosem człowieka nawykłego do rozkazywania.

Hrabia odpowiedział szybko po włosku:

- I ja się cieszę, że cię widzę, przyjacielu. Czemu zawdzięczam ten honor?

Khar El-Din machnął tylko ręką, przyciągnął krzesło i siadł na nim okrakiem. Rzucił świdrujące spojrzenie w kierunku Cassie, która poczuła, jakby przeniknął wzrokiem pelerynę, a nawet jej mokre ubranie.

- Przecież nie trzeba szczególnych powodów, nie między przyjaciółmi, Antonio. Widzę, że nie czujesz się najlepiej. Czy miałeś... wypadek?

- Żyję, jak widzisz, więc nie ma się czym martwić. Scargill, przynieś naszemu gościowi kieliszek wina.

- Jak zawsze dworski, Antonio, jak zawsze. Widzę, że masz jeszcze jednego gościa.

Cassie zmusiła się, by trzymać głowę w dole i udawać, że nie rozumie.

- To nie gość, lecz moja żona. Jest Angielką i nie rozumie naszej mowy.

Khar El-Din wziął podany mu przez Scargilla kieliszek, przechylił swoją lwią głowę i wychylił całą zawartość. Wytarł usta wierzchem dłoni i uśmiechnął się szeroko.

- Czyli mój drogi hrabia w końcu daje się złapać jednej kobiecie. Jest urocza, przyjacielu, chociaż wygląda na to, że jest jej mokro i niewygodnie.

R S

Moje dziewczęta będą bardzo, ale to bardzo zawiedzione. Szczególnie Zabetta będzie tęsknić za swoim angielskim ogierem.

- Liczę, że jej przekażesz, jak bardzo mi przykro.

- Tak, postaram się je pocieszyć, Antonio, choć zajmie mi to wiele nocy.

Ale, przyjacielu, ty naprawdę wyglądasz mizernie. Moi ludzie opowiedzieli mi historię tak dziwną, że muszę sam się przekonać. Młoda dziewczyna miała zanurkować z twojego jachtu, a ty miałeś skoczyć za nią, z krwawą plamą na piersi. Trudno mi, przyjacielu, powstrzymać się przed wyciągnięciem nie-smacznego wniosku... Czyżby potężnego hrabiego powaliła jakaś dziewczyna?

Pomóż mi zrozumieć, przyjacielu, dlaczego żona miałaby strzelać do męża i skakać do morza, by przed nim uciec? - Urwał i wlepił wzrok w Cassie. - Gdybyś zostawił ją w morzu, z największą

przyjemnością bym ją wyłowić i dał do zrozumienia, że źle postąpiła.

Cassie wydawało się, że pirat musi słyszeć szalone kołatanie jej serca.

Ależ była idiotką! Nie byłoby dla niej ratunku. To hrabia ją ocalił, a nie ona jego.

- Twoja ofiarność, przyjacielu, zawsze głęboko mnie wzrusza. Ale żona pozostaje zmartwieniem męża. Sam z pewnością masz za dużo kobiet, żeby kłopotać się jeszcze moimi błahymi sprawami.

- Och, Antonio, ty i ten twój gładki język dyplomaty. Wszystko mówisz tak zgrabnie, ale mało z tego wynika. A może nie udało ci się zadowolić angielskiej żonki w małżeńskim łóżu? Słyszałem, że te wasze angielskie damy są oziębłe jak wiatry północy. Ty zaś masz w sobie krew liguryjskich przodków, namiętną i władczą. A może żonka się przestraszyła twojego wielkiego fiuta, co Antonio?

- Nie wierzę, by zacisze mojej sypialni mogło tak bardzo interesować ciebie, który co noc wybierasz spośród najpiękniejszych kobiet.

R S

Khar El-Din odchylił głowę i potrząsając grzywą gęstych włosów, za-

śmiał się gromko. Pokiwał hrabiemu grubym palcem.

- Robię się stary i zmęczony, dogadzając kobietom całe życie. No ale, Antonio, przez pięćdziesiąt lat życia nie dałem się żadnej z nich postrzelić. Po-zwól, że wypytam twoją żonkę, dlaczego tak cię nie cierpi.

Cassie poczuła, że spoczęły na niej jego niebieskie świdrujące oczy i trzymała głowę opuszczoną. Spojrzała na jego grubo ciosaną twarz dopiero, kiedy zwrócił się do niej powolną staranną angielszczyzną.

- Posłuchaj moich słów, dziewczyno. Twój mąż jest dżentelmenem i dlatego wymijająco odpowiada na moje pytania. Miałaś odwagę go postrzelić, więc muszę spytać, dlaczego to zrobiłaś. Jeśli życzeniem twoim jest go opu-

ścić, wystarczy mi o tym powiedzieć. Chętnie ci pomogę, moja śliczna. Naprawdę nie trzeba męża zabijać, wiesz.

Cassie zwilżyła suche wargi. Nie patrzyła na hrabiego, bo wiedziała, że teraz nie może jej pomóc. Spostrzegła, że ze strachu kiwa się do przodu i do tyłu. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Słabym, miękkim głosem powiedziała:

- Mój mąż próbuje mnie tylko chronić, panie.

Khar El-Din przysunął się do niej i z błyskiem w oku zapytał:

- Chronić cię, moja piękna?

- Nie przed tobą, panie, lecz przed... samą sobą.

Jej głos miał dziwne, śpiewne brzmienie, które zaniepokoiło pirata.

Cassie poczuła na policzku mokry kosmyk włosów. Wystawiła język i powoli, obsesyjnie lizała włosy, aż zrobiły się sztywne. Wtedy wzięła je do bu-zi i zaczęła żuć.

- Tak - powiedziała wreszcie, otwierając szerzej oczy i błędząc nimi bez celu po kabinie. - Nie chce, żeby inni wiedzieli o... moim szaleństwie. Wiele *R S*

lat temu obiecał, że mnie poślubi. Teraz ratuje mnie przed domem dla obłąkanych, panie, zabierając mnie z Anglii.

Khar El-Din obrócił się gniewnie i wykrzyknął do hrabiego:

- Co to za idiotyczny dowcip? Masz mnie za kretyna?

Hrabia tylko patrzył na niego znużonym wzrokiem.

Cassie objęła się w talii skrzyżowanymi ramionami i zaczęła kołysać się zamaszyście, nucąc pod nosem kołysankę, którą знаła z dzieciństwa.

Khar El-Din znowu obrócił się z krzesłem w jej stronę i dostrzegła, że z powątpiewaniem mruży oczy.

- Nie zawsze taka jestem, panie - zapewniła wysokim dziecięcym głosem. - Nazywali mnie wiedźmą... - Zmarszczyła nos i parsknęła. - Wiedźmą o szatańskiej mocy, ponieważ pewien mężczyzna umarł po tym, jak ośmielił

się mnie dotknąć. Nie wiem na pewno, czy ja to sprawiłam, ale wkrótce potem zakrztusił się winem i umarł.

Khar El-Din spojrzał na swój pusty kieliszek po winie i szybko wsadził

go w rękę Scargillowi. Odsunął się od Cassie, którą teraz uważał za czarownicę i wariatkę. Podniósł się gwałtownie i stanął nad hrabią.

- Jesteś głupcem, Antonio! - Przeszedł na włoski. - Ty i ten twój angielski honor! Pozwól mi ją utopić, najpewniej uratuję ci tym życie! Znałem raz taką kobietę, ogarniętą takim samym szaleństwem. Kazałem ją ukamienować, zanim zabrała się za pożeranie męskich dusz.

Wzmagający się ból nie pozwolił hrabiemu na uśmiech.

- Nie, przyjacielu. Dzięki ci, ale, jak już mówiłem, ona jest moim zmartwieniem. Zabiorę ją do Genui i dobrze ukryję. Nikt się nawet nie dowie.

Pirat spojrzał na nią raz jeszcze, a Cassie pozwoliła sobie na szeroki radosny uśmiech. Jak to

możliwe, żeby taka piękna, niewinna buzia kryła wiedźmę? Potrząsnął głową i skierował się do wyjścia.

R S

- Niech Allach ma cię w swojej opiece. Mam nadzieję, że prędko wyzdrowiejesz, przyjacielu.
Addio.

- *Arrivederci* - pożegnał go hrabia.

Żadne z nich nie poruszyło się do czasu, aż pan Donnetti stanął w drzwiach.

- Poszedł już, kapitanie. A wyglądał, jakby samego diabła zobaczył.

- Zawarł tylko znajomość z czarownicą, Francesco - powiedział hrabia.

Uśmiech na jego twarzy zamienił się w grymas bólu.

- Świetna robota, *madonna* - powiedział Scargill z uznaniem. Zaraz jednak odwrócił się do hrabiego.
- Możesz wyjaśnić wszystko później, panie. Teraz muszę wyciągnąć kulę.

* * *

- Nie dam rady zjeść więcej, Scargill - powiedziała Cassie z westchnieniem i odsunęła od siebie talerz. Już niewielka ilość jedzenia, którą przełknęła, zalegała jej w żołądku. Spojrzała w kierunku hrabiego, który leżał na plecach, przykryty do pasa lekką kołdrą. Białe bandaże na ramieniu odcinały się na tle jego mocnej opalenizny i czarnej gęstwiny włosów na torsie.

- Jak długo będzie spał?

- Jak wszystko dobrze pójdzie, to do rana. Kula nie była głęboko. Jeśli nie wda się zakażenie, szybko z tego wyjdzie. Dzięki Bogu. - Bo przecież nie dzięki tobie, zdawały się mówić jego oczy i Cassie szybko odwróciła wzrok.

Wstała, poprawiła spódnice i skierowała się do drzwi.

Ostry głos Scargilla kazał jej stanąć.

- Nie, *madonna*. Obiecałem jego lordowskiej mości, że nie wypuszczę cię z kabiny. Zostaniesz tutaj do czasu, aż on powie inaczej.

- Myślisz, że wskoczę do wody w sukni?

- Nie myślałem, że do niego strzelisz, *madonna*. Nie przypuszczałem też, *R S*

że on mimo rany zanurkuje za tobą.

Była wyczerpana fizycznie i emocjonalnie.

- Czy naprawdę to tylko moja wina, Scargill? A proszę, co ty byś zrobił, gdybyś był więziony i gdyby nadarzyła się sposobność ucieczki? Nie chciałam do niego strzelać, ale próbował mnie zatrzymać.

- Tak, na pewno próbował. Ale nie wciągaj mnie w takie spory, *madonna*,

bo to nic ci nie pomoże. - Zaczął zbierać naczynia ze stołu.

Cassie podeszła powoli do kanapy i usiadła. Zamknęła oczy i oparła głowę. Wydarzenia tego dnia, pomieszane i pourywane, zawirowały w jej umyśle.

Usłyszała ogłuszający wystrzał, poczuła drętwienie ramienia, kiedy jego ciężar i jej zmęczenie groziły posłaniem ich obojga na dno. Zobaczyła pirata, Khar El-Dina i jego świdrujące ślepia.

- Czy mogę go bezpiecznie z tobą zostawić, *madonna*?

Otrząsnęła się ze wspomnienia swojego udawanego szaleństwa i zobaczyła, że Scargill stoi niepewnie przy drzwiach.

- Teraz myślisz, że uduszę go poduszką?

Scargill puścił jej ironię mimo uszu i leciutko się uśmiechnął.

- Nie, to było głupie pytanie. Przecież mogłaś go zostawić, żeby utonął, ale tego nie zrobiłaś. Miejmy nadzieję, że załoga zapamięta cię za to, a nie za strzelanie do kapitana. Idź teraz spać, *madonna*, to był długi dzień. Przyjdę w nocy, żeby sprawdzić, co z jego lordowską mością. - Odwrócił się i wyszedł.

Po chwili usłyszała, jak przekręca klucz.

Tak, pomyślała, to był długi dzień, tylko że kończę go tak samo, jak zaczęłam. Jako więźniarka. Zdjęła buty i skuliła się na kanapie.

Cassie obudziła się nagle, słysząc cichy jęk. Otrząsnęła się ze snu, nacią-

gnęła na siebie szlafrok i pospieszyła do łóżka hrabiego. Szarawe snopy poran-

nego słońca wpadały do kabiny przez wąskie okienka i zalewały ją przymglo-nym światłem.

Położyła mu rękę na czole i westchnęła z ulgą. Nie miał gorączki. Zaskoczył ją, ściskając palce na jej nadgarstku.

- Cassandro - jego głos był cichy i niewyraźny po laudanum.

- Jestem tutaj, milordzie.

Przez długą chwilę błądził wzrokiem po jej twarzy. Cień uśmiechu pojawił się na ustach.

- Musisz zmyć sól morską z włosów.

- Twoja dziwka musi dla ciebie zawsze ładnie wyglądać?

- Dziwka to twoje słowo, *cara*. Czy nie ustaliliśmy, że jesteś wariatką, a ja mimo to cię poślubiłem? To pewnie przez mój angielski honor.

Zamknął oczy i zmarszczył czoło z bólu.

- Nie jesteś w odpowiedniej formie do prowadzenia sprzeczek, panie. Czy podać ci jeszcze laudanum?

- Ależ ty jesteś dziwna, Cassandro - mówił, nie otwierając oczu. - Angielskich panienek nie uczy się zabaw z bronią. Nie trafiają się też wśród nich mocne pływaczki. Chociaż twoje obycie z pistoletami nie wyszło mi na dobre, to z ulgą stwierdzam, że jesteś świetna w pływaniu. W pływaniu i w aktorstwie. Po twoim występie przed Khar El-Dinem skłonny jestem zapomnieć ci twoje pierwsze, jakże wiarygodne łgarstwo.

- Twój umysł musi być przytłumiony, milordzie - odcięła się. - Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Naprawdę, kochana? To była nasza pierwsza wspólna noc. Jeśli Khar El-Dina miałbym uznać za naiwnego głupca, który uwierzył w twoje szaleń-

stwo, to sam nie byłem mądrzejszy. Naprawdę mnie wtedy poruszyłaś, wiesz, *R S*

kiedy powiedziałaś mi, że nosisz dziecko Edwarda Lyndhursta.

Usłyszał, że oddycha nerwowo.

- Nie chciałem cię zgwałcić, Cassandro, ale nie widziałem innego sposobu.

- Nie chciałeś, ale to zrobiłeś! Ale miałaś rację, mówiąc, że potem to już nie była kwestia gwałtu. Nawet jeśli nie posiadałam jeszcze umiejętności, to z pewnością mam duszę dziwki!

Zaśmiał się cicho i gdyby nie to, że leżał ranny, Cassie uderzyłaby go w zęby.

- Nie mogę się nadziwić, że tak się oskarżasz. Nie powinienem zostawiać cię samej, kochana, bo przy twojej wyobraźni dochodzisz do najbardziej nie-uzasadnionych wniosków na swój temat. Prawda jest taka, że jestem mężczyzną godnym pożądania, a do tego wyśmienitym kochankiem, znającym potrzeby kobiety. To mnie, Cassandro, powinnaś przeklinać za obudzenie twej namiętności, a nie swój charakter.

- I potrzeby Zabetty też zaspokajałeś wyśmienicie? - Sama się przeraziła zjadliwością tej uwagi i chciała się cofnąć, ale zacisnęła palce na jej ręce.

- Tak - odpowiedział łagodnie. - Ale przy tak lojalnej i zazdrosnej żonie nie ma zmartwienia, że wrócę do starych nawyków.

- Nienawidzę cię! - wrzasnęła. - Nie jestem zazdrosna i nigdy nie będę twoją żoną. Jeśli myślisz inaczej, to obawiam się, że będziesz rozczarowany do końca swojego podłego życia.

Drzwi nagle się otworzyły i wszedł Scargill. Hrabia wypuścił jej rękę, a Cassie odskoczyła od łóżka.

Scargill zauważył jej gniewną i zaczerwienioną twarz i ostro stwierdził:

- Mam nadzieję, że masz na tyle pomysłu, żeby nie przyspieszać hrabiemu pulsu, *madonna*.

R S

- Próbowała, Scargill, ale niestety obawiam się, że nie stanę na wysokości zadania. Liczę, że przyniosłeś mi jakieś śniadanie. Gdyby jej na to pozwolić, to ta pielęgniarka zagłodziłaby mnie na śmierć.

- Myślę, że ci się poprawia, panie - Scargill kiwnął głową, przyjrzawszy się uważnie twarzy hrabiego. Widział, że cierpienie zasnuwa mu oczy mgłą, ale rozumiał, że tego mówić głośno nie należy.

- Najpierw, panie, muszę obejrzeć ranę. *Madonna*, możesz mi pomóc, jeśli chcesz.

Kiedy Scargill podniósł hrabiego, Cassie odwinęła bandaż. Zbladła na widok jego ramienia. Rana była otwarta i poszarpana, ciało postrzępione. Gdy Scargill delikatnie dotykał rany, poczuła, że hrabia tężeje.

- Za dzień lub dwa będziesz za sterem, panie - oświadczył Scargill, pro-stując się. - Ale nie wolno ci pić wina, bo to podnosi gorączkę. Tym razem mocniej zacisnę opatrunek, panie, żeby ciało się zrosło.

- Rób, co trzeba - zgodził się hrabia słabym głosem.

Kiedy laudanum wreszcie przyniosło hrabiemu sen, Cassie była cała zła-na potem. Hrabia nie wydawał żadnych dźwięków; zastanowiła się, czy sama byłaby taka opanowana.

Resztę poranka spędziła w miedzianej wannie, pozwalając, by gorąca woda koila jej nerwy. Zmyła z włosów słony osad - nie z powodu jego polecenia, tylko dlatego, że chciała być czysta. Przysunęła krzesło bliżej łóżka i w ciszy rozczesywała wilgotne włosy. Co kilka minut łapała się na tym, że na niego patrzy, szukając z niepokojem oznak gorączki. Ale on leżał spokojnie, oddychał miarowo, a jego klatka piersiowa unosiła się i opadała we śnie.

- Nie wiem, co mnie to wszystko obchodzi - zachnęła się. Ale obchodziło ją i ta świadomość była wielkim zaskoczeniem. - Proszę, Anthony, nie umieraj

- wyszeptwała cichutko.

R S

Westchnęła głęboko, kręcąc głową. Miękkie loki dotknęły jej policzków.

Pomyślała znowu o wczorajszej próbie ucieczki i kolana zadrżały jej ze strachu. Nawet gdyby jej się udało, nie dotarłaby do angielskiego posterunku. Trafiłaby w łapy Khar El-Dina, który zrobiłby z nią, co chciał.

Hrabia jęknął cicho i Cassie delikatnie położyła mu rękę na czole. Było chłodne. Przyglądała mu się, mistrzowsko wyrzeźbionym rysom twarzy, dumnemu prostemu nosowi, gęstym ciemnym łukom brwi i mocnej linii szczęki.

Nagle przekręcił się na bok i zaraz wrócił na plecy.

Przycisnęła go za ramiona.

- Nie, milordzie - poprosiła. - Nie możesz się ruszać.

Znowu się uciszył, a Cassie wróciła do czuwania. Przeniosła wzrok z twarzy na mocarny tors. Kiedy się ruszał, okrycie zsunęło się poniżej talii na umięśniony brzuch.

Patrzyła na niego, usiłując zrozumieć tę władzę, którą nad nią posiadał.

Kręcone czarne włoski porastające jego tors niżej zbiegały się w wąziutkie pa-smo prowadzące w dół brzucha, gdzie znowu gęstniały. Nawet we śnie wyglą-

dał wspaniale. Wyciągnęła rękę i musnęła jego brzuch, potem zagłębiła palce w gęstwinie włosów. Kołdra się zsunęła i zobaczyła jego miękki członek. Poczowała nieposkromioną ciekawość i zacisnęła na nim palce. Lekko go pieściła, nienawykła do tej przyjemnej miękkości, drugą ręką zaś pogładziła mięśnie ud.

Omal nie zachłysnęła się powietrzem, gdy zaczął rosnać jej w rękę. Pobieгла wzrokiem do jego twarzy. Obserwował ją. Spąsowiała, ale nie przestawała go trzymać.

- Wybacz, że cię obudziłam, milordzie - powiedziała dziwnie wysokim głosem. - Bo ja jeszcze nigdy... to znaczy, chciałam tylko...

- Podobam ci się, Cassandro? *R S*

- Nie! To znaczy... poruszyłeś się i kołdra się zsunęła. Byłam ciekawa.

Tak naprawdę, to nigdy nie oglądałam nagiego mężczyzny. - Ukradkiem zerknęła na jego powiększającą się męskość, napierającą teraz na jej palce.

- Widzisz, jak na mnie działasz. Nie, nie zabieraj ręki, twój dotyk sprawia mi wielką przyjemność. -

Uśmiechnął się do niej ciepło, a w jego oczach nie dostrzegła arogancji ani rozbawienia. - Naprawdę żałuję, że przerwałem ci te...

badania. Jestem na twojej łasce, moja pani, bo nie mam sił, żeby ci pokazać, jak bardzo mi przyjemnie.

- Ja... ja nie chcę ci dawać przyjemności. Chciałam tylko... popatrzeć.

Puściła go i jęknął.

- Czy cierpisz, milordzie?

- Tak, *cara*, ale nie z powodu ramienia.

- Ja zadałam ci ból?

- Dając mi tyle przyjemności, by zaraz przerwać.

- Ach. - Oparła lekko dłoń na jego brzuchu i poczuła napięcie mięśni. -

Dotknij mnie znowu, Cassandro. - Położył dłoń na jej ręce i delikatnie przesuwając ją w dół. Kiedy jej palce zacisnęły się na nim, wziął bardzo głęboki oddech.

- Chciałam cię dotknąć... żeby wreszcie pojąć, dlaczego sprawiaasz, że czuję się tak... jak się czuję! - wyrzuciła z siebie Cassie.

- A teraz pojmujesz?

Zamilkła na chwilę. Znowu uciekła wzrokiem na jego podbrzusze.

- Ledwo się mieści w dłoni. - Jakby nagle zorientowała się, co robi, cofnęła rękę i położyła ją na kolanach.

Pokręciła głową i słyszał w jej głosie zmieszanie.

- Nie, nie bardzo. Wiem tylko, że bardzo mnie cieszy twoje ciało.

Chciał się uśmiechnąć od ucha do ucha, ale ból w ramieniu zamienił

R S

uśmiech w grymas. Nachyliła się i dotknęła palcami jego czoła.

- Naprawdę mi przykro, że cierpisz. - Zawahała się. - I przykro mi, że cię postrzeliłam. Naprawdę nie chciałam... ale ty nie dałeś mi wyboru.

Ku jej zaskoczeniu kiwnął głową.

- Tak, masz rację. Zmusiłem cię do pociągnięcia za spust. Proszę tylko, *cara*, żebyś nie ćwiczyła się w celności.

Niecierpliwym machnięciem ręki zbyła jego żarty.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, że w pobliżu byli ci wredni piraci? Może bym ci uwierzyła. Zamiast tego zachowywałeś się jak arogancki drań.

- Do cholery! - warknął. Widząc jej zaskoczenie, zaraz dodał: - Dokończymy tę rozmowę, Cassandro.

Chwilę później do kabiny wszedł Scargill.

Hrabia doskonale zdawał sobie sprawę, że lekka kołdra podnosi się w pewnym miejscu i skoncentrował się na tym, by skruszyć swoje pożądanie.

- A cóż ty robisz, *madonna*? - Scargill popatrzył na nią pytająco.

- Sprawdzalam tylko, czy jego lordowska mość dobrze się czuje.

- Mówi prawdę, Scargill. Ona jest świetną pielęgniarką i twoja obecność właściwie wcale nie jest konieczna.

Scargill zmarszczył czoło. Przyjrzał się uśmiechniętej twarzy swojego pana i pokręcił głową:

- Potrzebujesz snu, panie, a nie rozmów z *madonną*. Poza tym wy dwoje nie możecie być razem, żeby się nie pokłócić. A tobie nie wolno się denerwować ani podniecać.

Uśmiech na twarzy hrabiego jeszcze się rozszerzył. Zobaczył, że Cassie wzdrygnęła się, a jej policzki bladły i pąsowiały na przemian.

- Dobrze, mój ty opiekunie, zrobię, jak każesz.

- Chcesz, panie, więcej laudanum?

R S

- Nie, tylko ciszy i spokoju.

Zdając sobie sprawę, że Cassie wierci się przy nim, Scargill miękko zapytał:

- Pozwolisz, panie, że wezmę *madonnę* na pokład. Świeże morskie powietrze na pewno się jej przyda.

- Tak, milordzie, proszę!

Kiedy hrabia nie dawał odpowiedzi, Scargill dodał:

- Nie musisz się frasować, że ucieknie, panie. Będę ją miał na oku.

- Tchórz z ciebie, *cara* - stwierdził z żalem hrabia i zamknął oczy.

Rozdział 12

Oto i ona, Cassandro, Genua. *La Superba*, Królowa Morza Śródziemnego. Czyż nie jest piękna? Cassie miała wrażenie, że miasto okrywał biały we-lon, nawet powietrze było białe. Gdy statek wpływał do portu, przechyliła się przez reling tuż przy dziobie i osłoniła oczy od słońca, żeby lepiej zobaczyć miasto, skąpane w blasku popołudniowego słońca.

- Tak, ale jest inna niż jakiegokolwiek miasto, które wcześniej widziałam lub sobie wyobrażałam. - Miała wrażenie, że wysokie, wąskie budynki, w większości białe jak blask słoneczny, były tak ściśnięte, że nie dało się odróż-

nić, gdzie jeden się kończył, a zaczynał drugi.

Hrabia uśmiechnął się, zgadując jej myśli. Sam kilkakrotnie odniósł podobne wrażenie.

- Jak widzisz, Genua nie miała wyboru, tylko dać się ścisnąć. Te wzgórza za miastem to Apeniny, a dalej leżą Alpy Nadmorskie. Genua jest jak dama w *R S*

ciasnym gorsecie, na którą góry naciskają od pleców, a morze od... - roześmiał

się. - Rozmarzyłem się. Ale widzę po twojej minie, że nie przypadło ci do gustu moje porównanie.

Wskazał palcem na zachód.

- Widzisz tę latarnię, tuż przy brzegu? To *La Lanterna*. Moja willa znajduje się trochę na północ, na wzgórzu. Widok na miasto i morze jest uderzają-

cy, zwłaszcza z ogrodów, które są tarasowe i tak porośnięte kwieciami, krzewami i drzewami, że poczujesz się, jakbyś wkroczyła w świat niezwyklej egzotycznej powieści. Za winnicą Parese, na wschód, kryje się małe jezioro, również nazywane Parese. Mam nadzieję, że będzie ci się tam dobrze żeglować.

Cassie pomyślała o swojej małej żagłowce, którą kazał porzucić na pastwę skał.

- Nie będzie - odpowiedziała chłodno.

- To się okaże - powiedział.

Odwrócił się i zobaczyła, że zabolęło go ramię. Nic jednak nie powiedział.

Minęły zaledwie trzy dni, od kiedy go postrzeliła. Mimo to, gdyby nie biały pas bandażu, przebiegający pod lewym ramieniem, przez tors i wiązany na szyi, nie dałoby się zauważyć żadnych oznak wypadku. Sam w ogóle o nim nie wspominał. Przypomniła sobie, jak go dotykała, jak

ciekawość jej pod-szeptnęła, by z bliska zbadać męskie ciało. Rumieniec oblał jej policzki i szybko odwróciła się do hrabiego plecami.

Zdezorientowana zastanawiała się, czy czasem nie stała się jego więź-

niarką we własnym umyśle i z własnej woli. Odskoczyła, kiedy delikatnie odgarnął pukle włosów z jej policzka.

- Chociaż jest bardzo ciepło, *cara*, musisz wziąć ze sobą szal. Po zachó-R S

dzie słońca temperatura bardzo spada. Nie chciałbym, żebyś się przeziębila, zwłaszcza że teraz nie byłbym w stanie cię pielęgnować. - Zamilkł na chwilę, a w jego ciemnych oczach pojawiła się wesołość. - Gdyby jednak doszło do takiego nieszczęścia, mam nadzieję zapewnić ci tak skuteczne leczenie, jak ty mnie.

- Proszę, nic już nie mów - zdenerwowała się. - Wiesz równie dobrze jak ja, że nie zamierzałam... to znaczy, wcale nie chciałam... - Rzuciła mu przelotne spojrzenie i stwierdziła, że wciąż miał na twarzy ten wredny uśmiezek. -

Uważam, że zachowujesz się jak ostatnia kanalia, przysparzając mi tyle wstydu! Życzyłabym sobie, żebyś wyrzucił z pamięci to... to, co zrobiłam.

Potrząsnął głową i posmutniałym głosem zapytał:

- Czy to znaczy, że nie podobało ci się to nazbyt powierzchowne... badanie?

Nie dała się sprowokować i pokazała mu swoje wyprostowane plecy. Patrzyła z uwagą na port i zacumowane tam niezliczone łodzie. Były tam słupy, kecze, statki rybackie najróżniejszych rozmiarów, jachty dorównujące klasą

„Cassandrze” i statki towarowe, wyładowane rzeczami, jak się Cassie wydawało, z całego świata.

- Nigdy jeszcze nie widziałam tylu statków - wyszeptała, gdyż nie była w stanie zachować tego zachwyty dla siebie.

- Znajdzie się nawet hiszpańska fregata lub dwie - powiedział hrabia. -

Tym razem pozwolę ci się napatrzeć do woli.

- Zdaje mi się, milordzie - wycedziła zimno - że cieszy cię niezmiernie przypominanie mi o incydentach, które powinny zostać jak najszybciej za-pomniane.

Nie czekając na odpowiedź, popatrzyła w górę. Zapewne na rozkaz pana Donnettiego marynarze zwijali ogromne białe żagle i zabezpieczali liny. Statek *R S*

kołysał się w górę i w dół, znajdując się tak blisko innych statków, że Cassie wstrzymała oddech.

- Nie martw się - powiedział hrabia - od lat nie zahaczyliśmy o żadną łódź. Widzisz ten dok po lewej? „Cassandra” tam przycumuje.

Cassie zmarszczyła nos, czując silny zapach ryb i potu. Robotnicy porto-wi, odziani w grube samodziałowe spodnie i nic więcej, podawali sobie z rąk do rąk wielkie skrzynie i bele materiału, tworząc ludzki łańcuch łączący trapy statków z nabrzeżem. Widziała na pokładach różnie umundurowanych męż-

czyn, którzy wydawali rozkazy i całe grupy ludzi natychmiast spieszyły w różne strony. Gwar różnojęzycznych głosów był tak duży, że Cassie zastanawiała się, jak w ogóle udaje im się nawzajem zrozumieć.

Hrabia wykonał zamaszysty gest i objaśnił:

- Myślę, że znajdziesz tu przedstawicieli wszystkich krajów. Zazwyczaj, jak już ci mówiłem, statek płaci haracz piratom albo płynie z siostrzaną łodzią, która chroni ładunek.

Cassie nie odpowiedziała, zaaferowana brytyjskim statkiem towarowym.

- Nasza bandera!

- Tak, Anglicy są wspaniałymi handlarzami i pełno tu ich łodzi. Z Genui pływają do amerykańskich kolonii, a nawet do tak egzotycznych miejsc, jak Indie Zachodnie czy Meksyk. - I z wyraźnym niesmakiem dodał: - Niestety często przewożą ludzki towar.

Spojrzała na niego, przechylając pytająco głowę.

- Transportują ludzi, Cassandro, czarne kobiety i mężczyzn złapanych na wybrzeżach Afryki, którzy są sprzedawani na targach niewolników.

- Jakie miałeś szczęście, milordzie - stwierdziła z jadowitym sarkazmem -

że za mnie nie musiałeś nic płacić.

Roześmiał się tylko.

R S

- Mylisz się, *cara*, będę płacił bez końca.

- Już ja o to zadbam - odcięła się, rzucając mu zagniewane spojrzenie.

Zaśmiał się znowu i dodał:

- Nie patrz z taką nadzieją na brytyjskie statki, Cassandro. Ich kapitano-wie to zazwyczaj prawdziwe rzezimieszki. Handlarze najczęściej są pozbawieni skrupułów. Gdybyś oddała się w ich ręce, to zamiast z powrotem do Anglii, trafiłabyś do haremu w Konstantynopolu.

- A ty, milordzie, reprezentujesz wyższą cywilizację - ucięła rozmowę.

Popatrzył na nią i wzruszył ramionami, krzywiąc się z bólu, kiedy rana dała o sobie znać. Weselszym tonem oświadczył:

- Przejedziemy przez miasto otwartym powozem. Pomyślałem, że chętnie obejrzysz Genuę. Scargill zabierze bagaże do mojego domu - Willi Parese.

Skinęła głową. Przyglądała się teraz śmieciom, które unosiły się na wodzie. Musiały to być odpadki z tak dużej liczby statków. Natrafiła wzrokiem na martwego ptaka i z trudem przełknęła ślinę.

- Wybacz, Cassandro, ale muszę porozmawiać z panem Donnettim.

Patrzyła za nim, jak podchodził do pierwszego oficera, który stał z szeroko rozstawionymi nogami jak smukły orzeł unoszący się w powietrzu i wydawał ludziom rozkazy.

Marynarze, którzy akurat nie byli zajęci zwijaniem i wiązaniem lin, stali przy relingu i dawali znaki ludziom na pokładzie. Zgodnie z zapowiedzią hrabiego „Cassandra” zgrabnie podpłynęła do przystani. Ustawiła się w rzędzie statków o wysokich masztach, które pyszniły się w słońcu.

Mężczyźni zwinnie zeszli po drabinkach linowych i stanęli na nabrzeżu, gotowi łapać rzucane im liny. Usłyszała, że spuszczana jest ciężka kotwica i zanotowała w myślach, że zapyta hrabiego o głębokość wody w porcie. Obni-R S

zono drewniany trap i Cassie szybko skierowała się w stronę brzegu. Obejrzała się, by zobaczyć zmierzającego w jej stronę hrabiego, który niósł dziergany szal.

- Moja pani, widzę, że zginiesz bez mojej opieki - zauważył rozluźnionym tonem.

Podał jej szal i z wielkimi honorami sprowadził po trapie. Teraz wkoło rozbrzmiewał tylko wioski i sądząc po wymownych spojrzeniach robotników portowych, to ona była tematem rozmów. Zmarszczyła czoło, gdyż wielu wyrażań nie była w stanie zrozumieć.

Hrabia przeprowadził ją między grupkami półnagich rybaków, którzy pokrzykiwali do siebie przyjacielsko, zajęci rozplątywaniem sieci. Dotarli do wysłużonego powozu zaprzęzonego w chudą gniadą kobyłkę, która wyglądała na równie wiekową jak sama karetka.

- Twoja, milordzie? - zapytała, z rozbawieniem przesuwając dłoń po po-pękanych siedzeniach z czarnej skóry.

- Nie bądź taka zarozumiała, Cassandro. Mam gwarancję, że koła nie odpadną.

Gdy rozklekotany powóz wytoczył się z portu na ulicy Gramsci, hrabia powiedział:

- Po Via Gramsci nie chadza się bez kilku rosnących zuchów do ochrony.

Roi się tu od złoczyńców i rzezimieszków, podobnie jak w okolicy portu w Londynie. - Skręcili w

Via San Lorenzo i Cassie wstrzymała oddech. Brukowa ulica była tak wąska, że aż niebezpieczna.

Po obu stronach tłoczyły się wysokie wąskie budynki i ogromne rezydencje, o tak zbytkownych fasadach, że Cassie wydawały się zupełnie nie pasować do otoczenia. Karetę pięła się cierpliwie w górę, omijając uliczki, w których trzy osoby, jedna obok drugiej, z trudem by się zmieściły. Gdy wjechali w *Via R S*

Balbi, hrabia zauważył: - Tę ulicę zaprojektował słynny genueński architekt Bartolomeo Bianco. Pałace są słynne na całą Europę, szczególnie numer 10, czyli Palazzo Reale. - Miał zamiar opowiadać dalej, ale spostrzegł, że zafascynowana widokami Cassie wcale go nie słucha. Uśmiechnął się zatem i oparł

wygodnie w skórzanym siedzeniu, szczęśliwy, że może patrzeć na nią i na miasto jej oczami.

Powietrze znacznie się ochłodziło do czasu, gdy powóz zjechał z wąskiej brukowanej uliczki tuż za zachodnią bramą miasta. *La Lanterna* - tak ją hrabia nazywał. Droga skręciła nagle na północ i szybko przemieniła się w ścieżkę, porytą tak głębokimi koleinami, że karetę bez przerwy przechylała się to w jedną, to w drugą stronę. Uwagę Cassie przykuły kolorowe kwiaty rosnące w wielkiej obfitości wśród przydrożnych krzaków. Wciągnęła głęboko powietrze, napawając się zapachem.

- Przyroda jest tu taka bujna - stwierdziła, wyciągając szyję, żeby dostrzec, co jest za kolejnym wzniesieniem.

- Tak się cieszę, że ci się podoba, *cara*.

- Nie powiedziałam, że mi się podoba, tylko że wszystko bujnie rośnie.

W Anglii jest podobnie.

- Z wielką radością będę się przyglądał, jak doroślejesz.

Jej niebieskie oczy zaszyły chmurą.

- Jeśli masz na myśli to, że będę zbliżać się do twojego już sędziwego wieku, to szczerze wątpię, żebyś tego doczekał.

Z błyskiem w oku odpowiedział:

- Ale nie masz w co wątpić. Gdy będę miał osiemdziesiąt lat, ty ciągle będziesz u mojego boku. Moja rodzina słynie z długowieczności oraz z tego, że mężczyźni są jurni do późnej starości. Mój dziadek spłodził syna, gdy był już mocno po siedemdziesiątce. Niczego nie będzie ci brakowało.

R S

Musnął palcami jej policzek. Odsunęła się gwałtownie, ale zaraz powóz wjechał w koleinę i głowa Cassie znalazła się na jego piersi.

Siedział zamyślony, podczas gdy Cassie próbowała odzyskać równowagę.

- Chyba że zostaniesz lepszym strzelcem i bezlitośnie skrócisz mój żywot

- dodał.

- Wierz mi, że strzelanie to teraz jedyna umiejętność, którą uważam za wartą doskonalenia.

Na jego chłopięcy szeroki uśmiech odpowiedziała odwróceniem głowy.

Widział ją teraz z profilu, jak przyglądała się z zainteresowaniem włoskiej wsi.

Angielska wieś zawsze przywodziła jej na myśl schludnie posłane łóżko -

uprawiane z dbałością soczystozielone poletka, otoczone pięknie przystrzyżonymi żywopłotami. Miała wrażenie, że tutaj przyroda mogła rozwijać się w sposób bardziej swobodny i nieskrępowany, bez ciągłego nadzoru ze strony człowieka. Otaczało ją tyle osobliwych drzew i kwiatów, których nigdy wcze-

śniej nie widziała, że gdyby towarzyszył jej ktoś inny, miałaby do zadania mnóstwo pytań.

Byli już dość wysoko pośród wzgórz, kiedy woźnica zatrzymał kobyłkę przed ozdobnie kutą żelazną bramą. Na łuku widniał napis „Willa Parese”.

Nagle tuż przy powozie wyrósł młody czarnowłosy chłopak o śniadej twarzy. Błyskawicznie zlustrował pasażerów, po czym zdjął czapkę i nisko się skłonił.

- *Buon giorno*, Sordello - przywitał go hrabia, pochylając się ku niemu. -

Ależ ty urosłeś. Jesteś już prawie mężczyzną.

- *Si, signore* - dumnie odpowiedział chłopak, uśmiechając się szeroko. -

Witaj w domu, panie. - Zaraz potem odwrócił się do Cassie i ukłonił się ponownie - Witaj, *signora*.

R S

Cassie już miała go poprawić. *Signora*, patrzcie go! Przecież jest jeszcze panienką. Ale chłopak pobiegł już otwierać bramę.

- Sordello jest synem mojego głównego ogrodnika. To bystry chłopak, który zdradza ciągoty do żeglugi. Za jakiś rok oddam go w ręce pana Donnetiego, który zrobi z niego chłopca kabinowego. Ma też doskonałe maniery.

Czyżby nie powitał mojej żony z należytą grzecznością?

- Niech ci język odpadnie - nieelegancko odpowiedziała Cassie.

- Ale mój język daje ci tyle przyjemności, *cara*.

Powóz wtoczył się przez bramę na zwirowy podjazd. Po obu stronach ro-sły żywopłoty i drzewa, a za nimi rozciągały się piękne zielone trawniki, które przypominały jej angielski styl. Nieświadomie pokiwała głową z aprobatą.

Prawie na samym środku trawnika stała fontanna wykonana z naj-prawdziwszego białego marmuru. Wokół jej okrągłej podstawy znajdowały się rzeźby morskich bogów, Neptuna i jego świty, jak przypuszczała Cassie. Podjazd lekko zakręcił, a kiedy karoca wyjechała ze szpaleru drzew i gęste listowie nie zasłaniało już widoku, Cassie ujrzała willę Parese, wielki biały kwadratowy budynek, wysoki na dwa piętra.

Przez chwilę docierał do niej tylko mocny kontrast bieli i otaczającej dom feerii barw. Krwistoczerwone róże pięły się po kratownicach do balkonów drugiego piętra, gdzie owijały się wokół czarnych żelaznych barierek. Kwitną-

ce hibiskusy, gerania i inne kwiaty, których nie potrafiła nazwać, pyszniły się żółcią, fioletem i różem w zamocowanych do barierek długich drewnianych donicach. Fasada budynku udekorowana była ciężkim gzymsem, który podtrzymywały solidne kroksztyny, nadając całości, przyznała niechętnie Cassie, charakter szlachtetnej prostoty. Od marmurowych schodów frontowych biegły dwie potężne kolumny, a jasny blask słońca odbijającego się w niezliczonych oknach sprawiał, że wyglądały jak roziskrzane pryzmaty. Wszystko to tak róż-

R S

niło się od szarego kamienia Hemphill Hall, który nosił ślady wichur i burz, gdzie zaledwie garstka kwiatów przetrwała nawałnice od kanału, a powietrze tak pachniało solą, że trzeba się było porządnie nachylić, żeby wyczuć zapach jakiegokolwiek rośliny.

- Podoba ci się willa, Cassandro? - Nie odpowiadała, więc z uśmiechem dodał: - Nie, nic nie mów. Wiem, że różni się bardzo od angielskiego stylu. Jak widzisz, dom stoi na zboczu wzgórza, a ogrody ukształtowane są tarasowo i znajdują się zarówno wyżej i niżej od domu. - Wciągnął powietrze w nozdrza.

- Zapach zaś jest taki słodki, jakiego nigdzie indziej nie spotkałem.

Cassie kiwnęła głową i z pomocą Scargilla wysiadła z powozu.

Mężczyzna i kobieta, oboje w dość skromnych czarnych strojach, zjawili się w zwieńczonych gotyckim łukiem drzwiach. Mężczyzna był dość niski i niewiele wyższy niż szerszy, kobieta natomiast wysoka i chuda. Miała pełne usta, które tworzyły wąską kreskę na jej śniadej twarzy. Przypominała pury-tankę, którą Cassie widziała raz na portrecie u sąsiadów w Essex. Podczas gdy hrabia z miękkim melodyjnym akcentem witał się z nimi po włosku, kobieta mierzyła Cassie wzrokiem od czubka butów po czubek głowy. Cassie przeniosła ciężar ciała na drugą nogę i próbowała unikać wścibskiego wzroku kobiety.

- Moja droga - hrabia nadal mówił po włosku, wciągając teraz Cassie do rozmowy. - Chciałbym, żebyś poznała Marrinę i Paola, którzy troszczą się o willę Parese niezależnie od tego, czy jestem na miejscu, czy nie. Signorina Brougham - dodał bez zajęcia, podkreślając jej paniński stan.

Cassie wymamrotała *buon giorno* z mocnym akcentem i poczuła, że się rumieni, widząc, jak kobieta szeroko otwiera oczy. Nasunęło się jej też zgoła nieoczekiwane pytanie, czy Marriny nie boli czaszka, kiedy jej włosy są tak mocno ściągnięte na szyi w czarny węzeł.

R S

- Witamy, *signorina* - powiedziała Marrina sztywno, spuszczać wzrok.

Cassie chciała wrzasnąć, że to ona jest zdecydowana pozostać niezamęż-

na i że ich pan sprowadził ją tu siłą. Jakie to niesprawiedliwe, że kobieta, będąc ofiarą, staje się zaraz oskarżoną. Przyjdzie mi jeszcze znosić pogardę jego służby, pomyślała Cassie. Uznała jednak, że oddani hrabiemu ludzie nie uwierzą w jej wyznania, więc zamiast tłumaczyć się przed nimi, będzie cierpliwie czekać na sposobność ucieczki.

Hrabia zaprowadził ją do imponującego holu na planie prostokąta, z pod-

łogą wykładaną białym i czarnym marmurem ułożonym w trójkątne wzory. Po drugiej jego stronie wznosiła się monumentalna klatka schodowa z wymyślnie rzeźbionego dębu, która dochodziła do wysokości drugiego piętra. W powietrzu unosił się ciężki zapach ciętych kwiatów z ozdobnych wazonów, które sta-

ły na połączonych stolikach poustawianych przy ścianie. Cassie przeniosła uwagę na hrabiego.

- To moje cenne brukselskie arrasowe przedstawiające historię Aleksandra Wielkiego - pokazał ręką na grube barwne tkaniny zakrywające całą boczną ścianę od sufitu do podłogi.

- A tam twoi włoscy przodkowie? - zapytała, wskazując na dziesiątki obrazów, wśród nich portrety naturalnych rozmiarów, które wisały na przeciwległej ścianie.

- Tak. Rodzina Parese ma wielowiekową historię. Podobizny członków rodu znajdziesz w całej rezydencji. Ale ten dżentelmen nie jest Włochem. To portret mojego ojca, trzeciego hrabiego Clare, namalowany, kiedy byłem bardzo młody.

W jego głosie dało się słyszeć czułość. Cassie przyjrzała się wizerunkowi dobrze zbudowanego mężczyzny, którego ciemne oczy patrzyły z dyskretnym rozbawieniem. Wyglądał na pewnego siebie człowieka, od którego biła ta sama *R S*

samcza witalność, co od jego syna. Ile razy widziała u niego to samo harde odchylenie głowy i władczy wyraz twarzy.

- Dostrzegam duże podobieństwo - stwierdziła. - A twoja matka?

- Tam jest - powiedział, niedbałym gestem wskazując portret kobiety przed trzydziestką. Surowa czarna suknia odsłaniała mlecznobiałe ramiona.

Kobieta była piękna, lecz sprawiała wrażenie zimnej i próżnej.

- Masz jej oczy - powiedziała Cassie, zaskoczona jego szorstkością.

- Mam nadzieję, że to jedyne, co po niej odziedziczyłem.

Cassie wyczekująco przechyliła głowę. Wzruszył ramionami i dodał tylko:

- Kochającą kobietą nie można jej nazwać. Nie obchodził jej za bardzo mój ojciec, ani ja, jego syn. Po śmierci ojca nie zwlekała z powtórny małżeń-

stwem. Właściwie to nie w smak jej było nawet czekać zwyczajowy rok. Jej syn, a mój przyrodni brat, przyjedzie pewnie wkrótce z wizytą. To miły człowiek, uroczy i dworny wobec dam, cierpi tylko na nieuleczalną słabość do eks-trawagancji i luksusów.

Cassie zdumiała się, gdyż nigdy nie wspominał, że ma brata.

Zanim jednak zdążyła wypytać go o tego nowo odkrytego krewniaka, hrabia powiedział:

- Chodźmy na górę. Pokażę ci nasz pokój.

Wzdrygnęła się na to przypomnienie o przymusowej bliskości. Szła za nim sztywno po szerokich schodach, podczas gdy on objaśniał jej klasyczne motywy z kolorowych fresków zdobiących białe zdobione sztukaterią ściany i pokazywał kolejnych członków rodu Parese, których portrety przypominały procesję postaci z dawnych wieków. Jasno wypolerowane dębowe schody nie wydawały najlżejszego dźwięku, kiedy po nich wchodzili. Uśmiechnęła się tę-

R S

sknie na myśl o schodach w Hemphill Hall, które skrzypiały przeraźliwie przy każdym nadeptnięciu.

Na szczycie schodów hrabia odwrócił się i zawołał do Scargilla, który stał w holu pogrążony w rozmowie z Marriną i Paolem:

- Wnieś na górę bagaże, jak tylko przyjadą.

- Tak jest, panie - krzyknął Scargill, po czym zwrócił się ponownie do kobiety. Cassie usłyszała ostry ton, ale nie mogła rozróżnić słów.

Hrabia zaśmiał się cicho.

- O ile się nie mylę, Scargill właśnie karci Marrinę za jawną dezaprobatę, jaką ci okazała. Zapewne jej tłumaczy, że masz być traktowana jak ważny gość, nie zaś jak kochanka sprowadzona tu tylko dla uciechy. - Poklepał ją po plecach. - Powiem tylko, *cara*, że gdybyś się zdecydowała mnie poślubić,

natychmiast by cię polubiła.

- Idź do diabła, milordzie!

Hrabia potrząsnął głową i zatroskanym głosem powiedział:

- Jak to dobrze, że Marrina nie mówi po angielsku. Twój niegodny damy język na pewno by ją oburzył.

Cassie rzuciła mu piorunujące spojrzenie, po czym odwróciła się od rzeź-

bionej dębowej balustrady i pomaszerowała szerokim korytarzem. Szła teraz po dywanie z grubej ciemnoniebieskiej wełny, przetykanej plamami bieli, które wyglądały jak naniesione pędzlem artysty. Minęli wiele zamkniętych drzwi, za którymi musiały znajdować się sypialnie. Cassie wolałaby każdą z nich niż wspólny pokój z hrabią. Zatrzymał się jednak przed masywnymi podwójnymi drzwiami, przekręcił klamkę z kości słoniowej i ceremonialnie oświadczył:

- Oto i nasza sypialnia, *cara*, a zarazem moja ulubiona komnata w całej willi.

Weszła do pokoju niespotykanych rozmiarów, uznając, że bardziej nadaR S

wałby się na salę balową niż na pokój mieszkalny. Białe ściany tylko gdzieniegdzie ozdobione były obrazami, co wzmagało wrażenie przestrzeni. Złote brokatowe zasłony wisiały na jednej ze ścian.

Po obu stronach pokoju znajdowały się białe marmurowe kominki udekorowane rzeźbami winorośli i skrzydlatych cherubinków. Dębową podłogę pokrywało kilka wzorzystych dywanów, każdy w innym kolorze. Na południowym końcu komnaty dostrzegła wykończone łukiem przejście i zbliżywszy się do niego, skonstatowała, że komnata ma kształt litery „L” i jest jeszcze większa, niż jej się wydawało.

Odwróciła się do hrabiego, który przyglądał się jej uważnie.

- Istotnie robi ogromne wrażenie, milordzie - przyznała.

Spojrzała pytająco w stronę ciężkich brokatowych zasłon.

- Zaraz zobaczysz, dlaczego jest to moja ulubiona komnata.

Patrzyła bez słowa, jak podchodzi do zasłon z prawej strony i pociąga za aksamitny sznurek. Złoty brokatowy materiał powoli się rozsunął, ukazując okna, które ciągnęły się od sufitu do podłogi i to na całej długości ściany. Raz spojrzała i już nie mogła oderwać wzroku od tarasowych ogrodów, gdzie rosły egzotyczne kwiaty i gęsty bluszcz, i wiele gatunków drzew. Na północy, za najwyższym z tarasów, widać było falujące zielone wzgórza, które stykały się z błękitem nieba. Zdusiła okrzyk zachwytu i przeszła pod ozdobnym łukiem.

Widok z tamtej strony także był oszałamiający. Na południu rozpościerała się przed nią Genua - z oddali wyglądała jeszcze bardziej spektakularnie. Morze Śródziemne połyskiwało w

popołudniowym słońcu. Mogła też zobaczyć maszty zacumowanych w porcie statków, które zabawnie unosiły się i opadały kołysane na falach.

Hrabia nagle przesunął zasuwkę i wysokie okno okazało się drzwiami prowadzącymi na długi wąski balkon. Biała kamienna balustrada przykryta by- R S

ła rosnącym w donicach kwieciem, które nadawało powietrzu wspaniałą woń.

Były tam biało-różowe stokrotki, białe kamelie, jaśmin, a nawet drzewka pomarańczy i oleandry zasadzone w większych doniczkach na obu końcach bal-konu. Przechyliła się za barierkę, by spojrzeć w kierunku tarasowych ogrodów i uwagę jej przykuły białe marmurowe posągi mężczyzn i kobiet w klasycznych pozach, przyozdobione gałązkami mirtu i pomarańczy. Dobiegł ją chłodny miarowy dźwięk wody i na niższym tarasie spostrzegła wdzięczną fontannę w kształcie ogromnego pucharu, porośniętą bluszczem. Na niej stał posąg chłopca wylewającego z dzbanka wodę do fontanny.

Cassie wypuściła powoli powietrze.

- Jest przepięknie. Chyba nie widziałam w życiu piękniejszej scenerii. I wszystko komponuje się ze sobą.

- Tak - zgodził się z nią łagodnie, kładąc łokcie na odkryty kawałek balustrady. - Gdyby nie te bardziej powściągliwe obyczaje, które tu panują, chyba nigdy nie zatęskniłbym za Anglią. - Spojrzała pytająco, więc kontynuował: -

Genueńczycy to bardzo skąpi ludzie. Wyobraź sobie, że wiele z sukni, które dla ciebie kupiłem, tutaj by uznano za zbyt strojne. Może cię zdziwić, że często noszę tu prostą czerń. Po to, by moi włoscy bracia i znajomi traktowali mnie jak swego, a nie jak zagranicznego szlachcica. - Zamilkł na moment, po czym z rezygnacją pokręcił głową. - Jest tylko jedna rzecz, której genueńczycy nie uważają za ekstrawagancką, mianowicie peruka.

- Ale ty nigdy nie nosisz peruk - powiedziała i mimowolnie się do niego uśmiechnęła.

- To prawda i nie zamierzam zacząć. Ale większość genueńczyków je ubóstwia, i to w najbardziej nieziemskich kształtach! Na początku tego wieku doża wydał nawet prawo zakazujące ich noszenia, ale jak obejrzyś portrety z R S

tego okresu, nie znajdziesz głowy bez peruki. Myślę, że na papierze to prawo wciąż obowiązuje, ale teraz tym bardziej nikt go nie przestrzega. Zobaczysz, że więcej w Genui perukarzy niż kawiarni.

- Mój ojciec zawsze nosił perukę - zamyśliła się Cassie. - Białą z małymi rulonikami nad uszami.

- Tak, pamiętam - powiedział hrabia z uśmiechem. Odwrócił się i Cassie poszła za nim do sypialni. - Garderoby są za tymi drzwiami. - Choć wskazał w tym kierunku, Cassie nie patrzyła na niego, lecz na ogromne stojące na pode-

ście łoże, którego cztery słupki zdobiły rzeźby pulchnych nagich cherubinów.

Roześmiał się.

- Robi wrażenie, nieprawdaz? Ojciec bardzo je lubił. Jak się człowiek przyzwyczai do jego rozmiarów, to łóżko na „Cassandrze” wydaje się ciasną koją.

Rzeczywiście, pomyślała Cassie, pięcioro ludzi mogłoby się wyciągnąć jeden koło drugiego i jeszcze nie byłoby tłoku. Podniosła na niego skupiony wzrok.

- W willi z pewnością jest dużo wolnych sypialni, milordzie. Chciałabym mieć osobny pokój, jeśli pozwolisz.

- Nie - odpowiedział po prostu. Nie przestawał się uśmiechać, ale jego głos nie dopuszczał dyskusji.
- Czy nie wyraziłem się jasno, że będziemy żyć jak mąż i żona?

- Ale twoi służący... goście - zamilkła zakłopotana.

- Może ich dezaprobata przyspieszy twoją decyzję, by z *signoriny* stać się *signorą* i *contessą*.

- Nie! Nic mnie nie obchodzi, co pomyślą ci... obcokrajowcy!

Czuł się w obowiązku wytknąć jej upór i przekorę, ale wybawiło go wej-

ście Scargilla z walizami i pakunkami. Służący ciężko dyszał z wysiłku i Cassie skorzystała z okazji, żeby jemu coś wytknąć:

- A gdzie reszta służby, o najszlachetniejszy lordzie? Czy biedny Scargill musi pracować za wszystkich?

- Paolo zajmuje się powozem. Jak już mówiłem, *cara*, genueńska szlachta jest skąpa. Paolo i Marrina doglądają domu i stajni. Scargill zajmuje się mną, a na twoją pokojówkę Marrina sprowadzi jedną ze swoich licznych krewnych.

Ogrody natomiast wymagają więcej opieki niż my, zwykli śmiertelnicy. Poznasz wkrótce ojca Sordella, Marca, i trzech jego pomocników.

- Wyglądasz na wykończonego, panie - stwierdził Scargill, przyglądając się twarzy hrabiego ze zmrużonymi oczami. - Musisz wypoczywać, jeśli chcesz, by ramię szybko się goiło.

Hrabia nie mógł się z nim nie zgodzić. Ramię bardzo go bolało. Odwrócił

się do Cassie, którą wciąż frapowało wielkie łóżko.

- Czy zechcesz odpocząć ze mną przed obiadem, Cassandro? W tym łożu na pewno uda ci się trzymać ode mnie tak daleko, jak tylko zapragniesz.

Scargill dostrzegł w jej oczach narastający gniew i szybko zaproponował

inne wyjście.

- Może *madonna* chciałaby zobaczyć resztę willi, panie. - Po czym dodał

zdecydowanie: - Co do obiadu, powiem Marrinie, żeby podała w sypialni.

Przebieranie się w wieczorowy strój to ostatnia rzecz, jakiej ci teraz trzeba, panie. *Madonna*, idź sobie na balkon, a ja pomogę jego lordowskiej mości przebrać się w szlafrok.

Gdy hrabia zwlekał z udzieleniem zezwolenia, Cassie dodała ze słodkim uśmiechem:

R S

- On ma rację, milordzie. W twoim wieku organizm potrzebuje więcej odpoczynku, bo przecież zapotrzebowanie na sen rośnie z upływem lat.

Hrabia odchylił głowę i głośno się roześmiał.

- Jak widzisz, Scargill, miałeś rację. Gdzieżby się tam ona mogła ze mną mierzyć na słowa. Dobrze, *cara*, zrób, jak ci Scargill powiedział. No chyba że życzysz sobie zobaczyć mnie nago.

Cassie mruknęła coś pod nosem i zgarbiła się lekko.

- Wolę zobaczyć ogrody - stwierdziła wreszcie i kiedy hrabia kiwnął głową, wyszła z sypialni.

Cassie znalazła inne szklane drzwi na tyłach willi i wyszła do ogrodu.

Odetchnęła z ulgą, gdyż nigdzie nie było widać Marriny o migdałowych, wiecznie przymrużonych oczach. Spacerowała bez celu po ogrodach, czasami tylko przystając, by powąchać jakiś bajecznie egzotyczny kwiat lub dotknąć aksamitnego płotka. Natknęła się na Marca, drobnego mężczyznę średniego wzrostu, który tak był opalony od pracy na słońcu, że wyglądał prawie jak Maur. Pracował, poinformował ją swoim niskim melodyjnym głosem, jako główny ogrodnik jego lordowskiej mości. Pamiętała, że Marco jest ojcem Sordella. Nie wykazując większego zainteresowania jej osobą, ogrodnik zasalutował rydlem i wrócił do swoich zajęć. Stała za nim przez chwilę, dotknięta takim traktowaniem.

Po chwili jednak uznała, że nie ma się co denerwować, bo przecież chcia-

ła pobyc sama. Kilka razy przystanąła, nie mogąc uwierzyć, że jest we Włoszech, zamknięta w willi hrabiego. Bez przerwy zadawała sobie pytanie, co zamierza z tym zrobić, ale żadne sensowne odpowiedzi nie przychodziły jej do głowy. Ilekroć przysięgała sobie, że tu nie zostanie, w jej myśli wkradała się dręcząca niepewność. Potrząsnęła głową, starając się wyrzucić jego obraz z myśli. Ale nie była w stanie. Paliło ją wspomnienie ciężaru jego silnego ciała, *R S*

pieszczot i pocałunków i wiedziała, że nie może wypierać się namiętności, któ-

ra w niej rozbudził.

Gdy wieczorne powietrze się ochłodziło, wróciła do willi, gdzie usłyszała od Scargilla, że hrabia jest teraz zajęty interesami i dołączy do niej po obiedzie.

Zjadła sama w sypialni - na obiad była miękka ryba, idealnie zapieczona i po-lana gęstym winnym sosem, a do tego kieliszek wina. Wkrótce potem do komnaty wszedł hrabia. Wyglądał na zmęczonego i Cassie poczuła lekkie ukłucie winy na myśl o jego zranionym ramieniu.

- Wybacz, *cara*, że zostawiłem cię samą naszego pierwszego wieczora.

Usiadł przy małym stole i nalał sobie kieliszek wina.

- Miło spędziłaś popołudnie?

- Spotkałam Marca, twojego ogrodnika. Nie był szczególnie rozmowny.

Hrabia uśmiechnął się, choć przyszło mu to z widocznym wysiłkiem.

- Nie powinieneś zajmować się interesami, kiedy nie czujesz się w pełni zdrowy. - Słyszac jej ostry ton, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Jutro skorzystam z twojej rady. - Wstał i przeciągnął się. - Mój Boże, czuję, że mógłbym przespać całą dobę.

Cassie też była śpiąca, ale nie przyznała się do tego. Przeprosiła go i po-szła do garderoby, żeby się rozebrać.

- Nie zapomnij o naszych zasadach, *cara*! - krzyknął za nią.

Zagryzła wargę, ale nie odpowiedziała. Spędziła w garderobie dużo czasu, żeby on już spał, kiedy wróci.

Ostatnia świeczka dopalała się w srebrnym świeczniku, gdy cicho wślizgnęła się do sypialni, ciasno owinięta szlafrokiem. Hrabia leżał na wznak po-

środku przepastnego łóża. Przykryty był do pasa i miał zamknięte oczy.

- Nie każ mi zdierać z ciebie tego szlafroka, Cassandro - powiedział miękko.

R S

Aż podskoczyła i mało brakowało, a byłaby zrzuciła świecę na podłogę.

- Jesteś potworem - stwierdziła, ale z ociąganiem zdjęła szlafrok.

- Jeszcze bielizna.

Popatrzyła na niego i dojrzała w półmroku, że obserwuje ją spod ciemnych rzęs.

- Jest zimno.

- To chodź tutaj. Ja cię ogrzeję.

- Wołałabym zamarznąć - rzuciła.

Zdmuchnęła świeczkę i w komnacie zapadła ciemność. Ze złością zsunę-

ła ramiączka halki i pozwoliła jej spaść na podłogę.

Kiedy wślizgnęła się do pościeli na skraju łóżka, usłyszała, że westchnął, jakby prześmiewczo.

- Może jutro zechcesz, żebym odnowił bliższą znajomość z twoim jakże ponętym znamieniem na lewym udzie. Dobranoc, *cara*, śpij dobrze. Jak zmarzniesz w nocy, to zawsze wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Ścisnęła mocno uda, zamykając między nimi to małe różowe znamię i zwinęła się w kłębek, odwrócona do niego plecami.

Trzęsa się i szczykała zębami ze złości.

- Niech cię cholera - przeklęła szeptem śpiącego hrabiego, czując, że jej nagie ciało drży z zimna.

Zegar na dole dawno wybił pierwszą, kiedy zziębnięta Cassie zapadła w płytki niespokojny sen.

R S

Rozdział 13

Hrabia przeciągnął się, ostrożnie poruszył ramieniem i skrzywił się z bó-

lu. Zaklął cicho i zdecydowanym ruchem położył rękę na temblaku.

- Minie jeszcze około tygodnia, panie, zanim w pełni odzyskasz siły.

- Myślę, że nie musisz mi o tym przypominać, Scargill.

Zdenerwował się jeszcze bardziej, kiedy Scargill zaśmiał się cicho i z rozbawieniem pokręcił głową, podnosząc z podłogi szlafrok hrabiego.

- Czy mogę spytać, skąd u ciebie ten doskonały humor? - zapytał kwaśno hrabia i usiadł, czekając, aż Scargill pomoże mu wciągnąć buty. Ból nie dokuczał mu tak bardzo, jak ta cholerna bezradność. Czuł się okropnie, gdy Scargill pomagał mu się kąpać, bez przerwy upominając, żeby nie zmoczył

bandaży, zupełnie jakby był niegrzecznym uczniakiem.

- Tak, panie, możesz. - Wzwał hrabiemu wysoki lśniący but, po czym odpowiedział: - Myślałem sobie, że gdyby cię postrzelił mężczyzna, tobyś mu *R S*

dopiero pokazał. Panie, czego to człowiek kobiecie nie wybaczy!

Hrabia rzucił chmurne spojrzenie spod ściągniętych czarnych brwi. Miał

w pamięci obraz poblądłej i spiętej twarzy Cassandry zaraz po strzale i jej przerażonych oczu, kiedy zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła.

- A z drugiej strony, bijesz ją, panie, za postępek, który ani tobie, ani nikomu innemu nawet drobnej szkody nie wyrządził.

- Wiele musi być wybaczone, przyjacielu, bo uratowała mnie przed utonięciem. No i jej przytomność umysłu podczas wizyty Khar El-Dina musiała zrobić wrażenie nawet na takim dzielnym Szkocie jak ty. Nie zapominaj też, Scargill, że jedynym jej motywem była ucieczka. Nie mogę jej winić za to, że próbowała. A tak przy okazji, nie spuszczałeś jej wczoraj z oczu, prawda?

- Nie, ani na chwilę. Przez większość czasu spacerowała po ogrodach al-bo siedziała i wpatrywała się w te bezecne rozebrane posągi, które, panie, wszędzie porozstawiałeś. Chyba wiedziała, że ktoś ją obserwuje.

Hrabia pokiwał głową i wstał.

- Joseph przyjedzie pojutrze. Myślę, że Cassandra darzyła go sympatią.

Kiedy ja nie będę miał czasu, on będzie jej towarzyszył. Jak się dowie, będzie wściekła, ale złość wyładuje na mnie, nie na nim.

- Ale ty, panie, będziesz się w najbliższych dniach oszczędzał, prawda?

- Tak. Jeśli interesy armatorskie i bankowe ucierpiały w czasie pięciu miesięcy mojej nieobecności, kilka dni więcej nie zrobi różnicy. Myślałem też, że powinniśmy urządzić przyjęcie, powiedzmy, za tydzień. Ja będę mógł

omówić niecierpiące zwłoki sprawy z obecnymi dżentelmenami, a Cassandra pozna genueńską śmietankę towarzyską.

- Czy dziewczuszka pozna ich jako *signora* czy *signorina*?

- Cassandra Brougham pozostanie Cassandra Brougham. Mogę ją zmusić do posłuszeństwa w pewnych kwestiach, ale przecież nie zaknebluję jej ust.

R S

- Znajdą się tacy, którzy będą dla niej nieprzyjemni, panie. Widziałeś już, jak traktuje ją pruderyjna Marrina. Możesz mieć pewność, że powiedziałem jej całą prawdę, ale mi nie uwierzyła. Tylko parsknęła pogardliwie w dość paskudny sposób. Zawsze, cokolwiek by się działo, to kobieta najbardziej ucierpi.

No więc ja się pytam, panie, dlaczego chcesz, żeby *madonna* się stykała z genueńską szlachtą. No i nie boisz się, że cię oskarży przed gośćmi?

Hrabia uśmiechnął się do niego rozbijając.

- Czy masz mnie za idiotę, Scargill? Wiele nad tym myślałem i jestem mocno przekonany, że do czasu przyjęcia nie będzie miała więcej powodów do narzekań.

Scargill miał wielką ochotę zapytać, skąd u hrabiego takie silne przekonanie, ale zdawał sobie sprawę, że byłoby to impertynencją.

- Mam nadzieję, że masz rację, panie.

- Zaufaj mi przyjacielu - powiedział spokojnie hrabia. - Przekaż, proszę, Marrinie, żeby przyniosła śniadanie, a ja obudzę Cassandrę.

Hrabia przeszedł cicho przez komnatę i stanął przy łóżku. Cassandra le-

żała na samym brzegu - miał wrażenie, że nieznaczny ruch wystarczyłby, żeby spadła na ziemię. Jej gęste włosy leżały rozrzucone na poduszce, a szczupłe ciało było zwinięte w kłębek, tak że kolana dotykały klatki piersiowej. Popatrzył na nią z czułością.

Już miał ją obudzić, kiedy jęknęła we śnie i obróciła się na plecy, przekładając jedną rękę nad głowę. Uśmiechnął się do swoich myśli i delikatnym ruchem pociągnął za kołdrę, odkrywając ją do pasa. Przyglądał się zgrabnym wypukłościom i wcięciom, różowym sutkom wieńczącym białe jedwabiste piersi. Jest bardzo szczupła, może nawet zbyt szczupła, pomyślał, przenosząc wzrok na odznaczające się żebra i wąską talię.

R S

Obniżył kołdrę jeszcze trochę. Uda miała lekko rozchylone, ale nie było widać tej różowej plamki, na temat której droczył się z nią poprzedniej nocy.

Położył delikatnie rękę na jej płaskim brzuchu. Była taka drobna, że prawie zakrywał ją dłonią.

Zadygotała i podniosła do góry nogi, na krótką chwilę chwytając jego rękę

w pułapkę. Powoli zszedł dłonią niżej, pogładził jej złociste włoski i sięgnął

palcami głębiej, by ją delikatnie popieścić. Usłyszał ciche jęczenie, a zaraz potem wściekle sapnięcie:

- Jak śmiesz! - Odskoczyła od jego ręki, przetoczyła się na środek łóżka i zakryła pościelą.

Uśmiechnął się do niej promiennie i usiadł wygodnie na łóżku.

- Chciałem ci się tylko odwdzięczyć, *cara*. I podobało ci się to, przynajmniej do czasu, kiedy uznałaś, że to nie przystoi.

Resztki snu ją opuściły i usiadła, otulając się kołdrą jak barykadą.

- To jest najzwyczajniejsze w świecie kłamstwo. Prosiłabym, żebyś przestał wygłaszać te zarozumiałe stwierdzenia i uważać je za prawdy objawione.

- Przynajmniej nie nazwałaś mnie skończonym osłem.

- Bo spałam!

- Wiem - pocieszył ją. - Ten, ogólnie rzecz biorąc, zachęcający jęk na pewno wyrwał ci się z erotycznego snu.

Cassie poczuła, że brak jej do niego sił. Zawsze potrafił przekreślić jej słowa i nadać im nowe znaczenie.

- Gapiłeś się na mnie! - rzuciła oskarżycielsko.

- To prawda i muszę powiedzieć, że stanowisz nader przyjemny widok, *cara*. Z wielkim żalem muszę przerwać tę interesującą rozmowę, ale zaraz podane zostanie śniadanie. Marrina chyba padłaby trupem, gdyby cię zastała taką rumianą i rozneglizowaną w moim łóżku. - Wstał i udał się po jej szlafrok.

R S

- Proszę, Cassandro. - Podał jej okrycie, odwrócił się i poszedł na drugi koniec komnaty, by usiąść przy niewielkim stole jadalnym.

W samą porę, pomyślał, przyglądając się kątem oka Cassandrze, która niezgrabnymi ruchami zakładała szlafrok.

- *Entri!* - zawołał w odpowiedzi na pukanie.

Marrina weszła powoli do komnaty, niosąc na talerzach zakryte potrawy.

Jej pełne usta były lekko zaciśnięte, a twarz niezmiennie wyrażała niezadowolenie. Mimochodem rzuciła spojrzenie w stronę łóżka. Ta młoda cudzoziemska dama - zresztą jaka tam dama - wcale nie wyglądała na pokrzywdzoną i nieszczęśliwą, pomyślała. Wręcz przeciwnie, na policzkach miała rumieńce. I słusznie - może ma jednak resztki wstydu.

- *Buon giorno, signore* - sucho wyrecytowała poranne pozdrowienie, skupiając uwagę na swoim panu. - Przyniosłam śniadanie.

- *Mille grazie*, Marrina - podziękował jej.

Il signore powiedział coś po angielsku do dziewczyny, a ta z niechęcią podeszła do stołu. Hrabia zwrócił się do służącej.

- *Grazie* - podziękował krótko i dał znak, że może odejść.

Dygnęła sztywno i wyszła z komnaty. Między jednym a drugim kęsem ciepłego tostu hrabia oświadczył:

- Przez następnych kilka dni jestem do twojej dyspozycji, Cassandro. Jest tu tyle miejsc, które powinnaś zobaczyć. Tuszę, że ci się spodobają. Dobrze, żebyś przywykła do włoskich krajobrazów, ludzi i obyczajów, zanim poznasz arystokrację Genui.

Cassie odpowiedziała chłodnym tonem, wciąż rozzłoszczona jego nieproszoną ręką i wymownym spojrzeniem Marriny:

- To znaczy, że po tych kilku dniach oszczędzisz mi swojego towarzystwa?

R S

- Ależ to ci nie grozi, *cara!* - odrzekł wesoło. - Nie myślisz chyba, że byłbym taki niewychowany. Będę jednak zmuszony spędzać trochę czasu w mieście, mimo iż większość interesów załatwiam stąd. Zamilkł na moment, po czym z naciskiem dodał: - Joseph zjawi się tu niedługo. On się tobą zajmie, kiedy mnie nie będzie.

- Chcesz powiedzieć, że uczynisz biednego Josepha moim strażnikiem!

- Być może, jeśli wolisz tak na to spojrzeć. Mam tylko nadzieję, że nie będziesz próbowała go zastrzelić. - Zmienił ton na bardziej łagodny: - Twoje miejsce jest teraz u mego boku, Cassandro. Bardzo bym chciał, żebyś się tu za-domowiła.

- Nic z tego - odpowiedziała spokojnie i wstała od stołu. - Jeśli pozwolisz, milordzie, chciałabym się umyć i ubrać.

- Jak sobie życzysz, kochana - powiedział, sięgając ręką po dzwonek. -

Każę Paolowi przynieść ci wodę do kąpieli.

Dzień ten minął Cassie dość przyjemnie, choć nigdy by się do tego przed hrabią nie przyznała. Zobaczyła palmy, których rozszczepione pnie i szerokie ząbkowane liście znaczyły obrzeża tarasowych ogrodów. Zaznajomiła się też z dziwnymi szarymi drzewkami oliwkowymi, które wydawały się zadowalać mniej żyzną a bardziej skalistą glebą i równymi rządami pięły się po zboczu.

Wszystkie marmurowe rzeźby miały tytuły i kryły fascynujące opowieści. Kiedy hrabia pokazywał jej posąg Jupitera ustawiony na środku różanej altanki w jednym z niżej położonych ogrodów, przypomniła mu się pewna historia:

- Za każdym razem, kiedy patrzę na tego starego Jupitera, myślę o innej statui tego zacnego boga, zbudowanej na grobie psa, którego cesarz Karol V

podarował Andrei Dorii, jednemu z moich znamienitych przodków. Jak głosi opowieść, za uhonorowanie psa takim wspaniałym grobowcem otrzymał on od R S

cesarza księstwo Melfi. W podzięcie Andrea Doria zaprosił Karola i setkę innych gości na wystawny bankiet. Zgromadzeni mieli wtedy okazję zobaczyć, jak trzy srebrne serwisy, na których podawano potrawy, zaraz po sprzątnięciu ze stołu lądowały w morzu. Andrea Doria wykazał się jednak prawdziwym genueskim skąpstwem, gdyż udało mu się odegrać ten wielkopański spektakl bez uszczuplenia kiesy - pod tarasem ustawił rybaków z sieciami, którzy mieli za zadanie wyławiać srebrne talerze i misy.

Cassie uśmieła się serdecznie i zasypała hrabiego różnymi pytaniami.

W pewnym momencie dotarło do niej, że traktuje go jak dobrego kompana i poczuła pretensje do samej siebie.

- Czy martwisz się czymś, *cara?*

- Zawsze musisz czytać mi w myślach? - Zdenerwowała się i usiadła na marmurowej ławeczce naprzeciwko innej fontanny.

- Ależ kochana, mówiłem ci, że staniemy się jednością. - Wbiła wzrok w odległy punkt i nie raczyła odpowiedzieć. Hrabia dodał pojednawczo: - Dzię-

kuje, że usiadłaś. Jak zechciałaś zauważyć, człowiekowi w moim wieku potrzeba dużo odpoczynku.

- Czy ramię ci dokuczają, milordzie? - pospieszyła spytać, nie zdając sobie sprawy, że jej oczy zdradzają nagłą troskę.

- Może trochę, ale przeżyję. Po lunchu, *cara*, poznasz święty włoski obyczaj.

- Jaki mianowicie? - zapytała zaniepokojona.

- Po angielsku nazywałoby się to drzemką. Tutaj mówimy *siesta*. Kiedy słońce jest w zenicie, Włosi udają się do domów, zamykają rolety i śpią. Oczywiście, to także wspaniała okazja, żeby oddać się innym zajęciom.

Ujął jej dłoń i zmysłowo gładził palce.

- Kiedy wreszcie uwierzysz, że nie oczekuję od ciebie takich poświęceń?

R S

- Próbowała cofnąć rękę, ale trzymał ją mocno.

- Uwierzę, jeśli przestaniesz znajdować rozkosz w moich ramionach. -

Wstał i pociągnął ją za sobą. - Zjedźmy teraz lunch, moja mała.

O dziwo, Cassie była odrobinę rozdrażniona, kiedy po lekkim lunchu okazało się, że wcale nie musi udaremniać jego miłosnych zakusów. Mimo to bardzo podobała jej się *siesta*. Story były zaciągnięte, żeby mocne południowe słońce nie zakłócało odpoczynku. Ubrana tylko w halkę na ramiączkach Cassie wyciągnęła się na łóżku i wkrótce zasnęła.

Obudził ją lekki dotyk ręki na ramieniu. Już miała skarcić ostro hrabiego, ale gdy otworzyła oczy, zobaczyła świeżą, okrągłą twarz młodej dziewczyny, która stała nad nią i przyglądała się jej z ciekawością.

- *Voglia scusarmi, signorina* - przeprosiła dziewczyna przyjemnym melodyjnym głosem.

Cassie zatrzymała cisnące się jej na usta angielskie słowa.

- Kim jesteś? - zapytała po włosku i podniosła się na łokciach.

Dziewczyna uśmiechnęła się, słysząc jej obcy akcent.

- Jestem Rosina, *signorina*, siostrzenica Marriny. Mam być panienki pokojówką. *Il signore* prosił, żebym pomogła się panience ubrać. Czeka na panienkę w bibliotece.

- Dobrze - powiedziała Cassie i usiadła na brzegu łóżka. Rosina ubrana była cała na czarno, a błyszczące czarne włosy miała ściągnięte na karku w taki sam surowy węzeł jak jej ciotka Marrina. Wyglądała bardzo młodo, mogła mieć szesnaście lat. Cassie zorientowała się, że dziewczyna się na nią gapi.

- O co chodzi? - zapytała ostro, spodziewając się, że Rosina jest do niej równie uprzedzona jak jej ciotka.

- O włosy panienki. Są jak złota przędza i takie gęste. Widywałam czasem jasne włosy, ale nie takie jak panienki. Podobno mam zdolność do czeR S

sania, więc jeśli panienka pozwoli, chętnie zajęłabym się jej fryzurą.

Cassie zawstydzila się swojego grubiaństwa i szybko odpowiedziała przyjaznym już tonem:

- Dziękuję ci za komplement, Rosino. Będzie mi bardzo miło.

Rosina kiwnęła głową i się uśmiechnęła. W jej pulchnych policzkach pojawiły się głębokie dołeczki.

- Przyniosę panience suknię.

Cassie wstała i udała się do garderoby, żeby opłukać twarz zimną wodą.

Potem wróciła do sypialni i stanęła na chwilę, by przyjrzeć się swojej nowej pokojówce. Wyglądała na osobę łagodną i prostolinijną. Cassie zastanawiała się, czy pogodny wyraz twarzy Rosiny zastąpią wkrótce zaciśnięte z dezaprobatą usta.

- Jesteś bardzo młoda, Rosino - zauważyła Cassie, kiedy pokojówka pomagała jej włożyć lekką muślinową suknię w błękitnym kolorze.

- *Si, signorina* - przytaknęła, gestem prosząc Cassie, żeby usiadła przy toalecie. - Zakonnice powiedziały matce, że jestem za dobrą służącą, żeby mnie tak od razu wydawać za mąż. - Filozoficznie wzruszyła ramionami. - Może kiedy skończę siedemnaście lat, to wtedy zachce mi się męża i dzieci. - Cze-sząc i układając włosy Cassie, Rosina ciągnęła: - To dla mnie zaszczyt, panienko, naprawdę, że mogę być w willi Parese. *Il signore* jest szanowanym i podziwianym szlachcicem, pomimo tego że...

Na jej pulchne policzki wystąpił rumieniec.

- Że jest w połowie Anglikiem - dokończyła Cassie z uśmiechem.

- *Si, signorina*. Chociaż mało kto teraz o tym myśli. Tylko ta jego ostatnia wyprawa do Anglii ludziom przypomina. - Przerwała, skupiając się na grubym warkoczu, który właśnie plotła.

R S

Cassie szczególnie lubiła warkocze, ale się nie odzywała, ciekawa rezultatów. Po kilku chwilach popatrzyła w lustro ze zdumieniem i musiała przyznać, że dzieło Rosiny przypadło jej do gustu. Pokojówka ułożyła jej włosy w stylu, który Cassie określiłaby mianem rzymskiego, z cienką koroną uplecioną wokół głowy i resztą włosów opadającą na plecy.

- Ślicznie, Rosino - powiedziała i potrząsnęła lekko głową, by poczuć, jak włosy swobodnie falują. - Sama nigdy bym tak nie potrafiła. - Cassie dostrzegła, że oczy dziewczyny rozbłysły z radości. Zaraz przekornie dodała: -

Muszę podziękować twojej ciotce, że cię tu sprowadziła.

W rzeczywistości jednak ciotka Rosiny była ostatnią osobą, którą Cassie miała ochotę oglądać. Ale Marrina stała u stóp schodów, mrużąc oczy, jakby już z przyzwyczajenia. W rękę trzymała szmatkę do kurzu.

- *Che cosa Le abbisogna, signorina?*

Cassie zagryzła zęby, słysząc to nieuprzejme pytanie. Czy czegoś chcę?

Zaraz jej powiem, czego chcę! Cassie uznała, że czas pokazać tej najeżonej kobiecie, kto tu rządzi. Cassie wyprostowała się i stanęła na pierwszym schod-ku, żeby móc patrzeć na służącą trochę z góry. Chłodnym tonem powiedziała:

- Tak, chciałabym, żebyś przyniosła mi szklanekę lemoniady, Marrino. Ma być zimna, pamiętaj, i nie za słodka. Będę w bibliotece z *il signore*.

Marrina miała drobne ściśnięte z przodu zęby, które, jak beznamiętnie zauważyła Cassie, z pewnością utrudniały jej prychnanie.

- Jestem bardzo spragniona, Marrino. Teraz wybaczysz... - Cassie obeszła milczącą uparcie służącą. - *Mille grazie!* - Przeszła jeszcze kilka kroków, kiedy coś ją podkusiło i odwróciła się, by uprzejmie zapytać: - Wybacz, Marrino, ty jesteś *signora* czy *signorina*?

R S

- *Signora!* - warknęła Marrina.

Odwróciła się na pięcie i znikła w drzwiach po drugiej stronie wielkiego holu.

Cassie wciąż się uśmiechała, myśląc o swoim drobnym triumfie, gdy stanęła przed dębowymi drzwiami biblioteki. Chwytała już za klamkę w kształcie gryfa, ale dobiegł ją ze środka głos hrabiego. Albo mówił do siebie, albo nie był sam. Przez kilka chwil stała pod drzwiami, aż zdołała przekonać się, że nie może być taką strachliwą idiotką. Gość hrabiego, kimkolwiek jest, nie może być gorszy od Marriny.

Potrząsnęła dumnie głową i weszła.

Bibliotekę zdążyła obejrzeć tylko przelotnie, gdyż rano spieszno jej było wrócić do odkrywania ogrodów. Ten obity ciemną boazerią pokój od razu wzbudził jej niechęć. Ciężkie skórzane krzesła i mahoniowe biurko onieśmielających rozmiarów były, jak na jej gust, zbyt ponure i poważne.

Hrabia stał przy biurku. Miał na sobie ten sam strój złożony z czarnych bryczesów, luźnej białej koszuli i czarnych butów. Prawą ręką dodatkowo podpierał lewą, która spoczywała na temblaku. Podniósł wzrok i powitalny uśmiech rozjaśnił mu twarz. Cassie spojrzała na młodzieńca, który opierał się swobodnie o czarno-biały marmurowy komin, ręce trzymając w kieszeniach kamizelki. Jego czarne włosy były upudrowane i związane starannie na karku granatową aksamitną wstążką. Był stosunkowo drobnej budowy, wzrostem niewiele przewyższał Cassie, ale jego ciało zachowywało idealne proporcje.

Czarne brwi, unoszące się w kierunku skroni, kreśliły zmysłowe łuki nad dziwnie znajomymi oczami. Ze swoją piękną oliwkową cerą w każdym calu pasował do wizerunku eleganckiego włoskiego dżentelmena.

Powoli rozchylił wargi i uśmiechnął się do niej, lekko zginając się w pa-R S

się na znak szacunku. Ma w sobie także dużo gracji, pomyślała Cassie, odwzajemniając uśmiech.

- Moja droga Cassandro - zwrócił się do niej hrabia. - Mam dla ciebie niespodziankę. To mój przyrodni brat, Cesare Bellini.

Zrobił on krok w przód i stanął koło hrabiego. Wówczas Cassie dostrzegła podobieństwo. Miał te same wysokie kości policzkowe i ten sam prosty rzymski nos. Zobaczyła w oczach młodego mężczyzny atrakcyjny błysk, kiedy ogarniał wzrokiem każdy szczegół jej wyglądu. Kiedy się do niej odezwał, mówił wolno i wyraźnie, jakby w obawie, że go nie zrozumie:

- Jestem zaszczycony, *signorina*. Willa Parese nigdy jeszcze nie oglądała takiej piękności.

Nie oglądała, powtórzyła w myślach Cassie. Mówi to tak, jakbym była jakimś rzadkim okazem, dziełem sztuki albo rasową klaczą. Mimo to skinęła głową i lekko dygnęła.

- Dopiero niedawno dowiedziałam się, że hrabia ma szczęście posiadać bliskich krewnych, *signore*.

- Nie jestem pewien, czy uważa to za szczęście. O to należałoby go dopiero zapytać, *signorina*. Brat mówi, że jesteś Angielką.

Ciekawa była, co jeszcze hrabia powiedział o niej swojemu przyrodniemu bratu.

- *Si, signore*, jestem Angielką. - Rzuciła hrabiemu wyzywające spojrzenie, po czym podjęła: - Chociaż uważam wasz kraj za bardzo interesujący, to muszę wyznać, że niezmiernie tęsknię za domem. - Miała zamiar powiedzieć więcej, ale w tym momencie do biblioteki weszła Marrina ze srebrną tacą. Nie spojrzawszy nawet na Cassie, podeszła do hrabiego.

- Lemoniada *signoriny, il signore*.

A więc wypowiedziałaś wojnę mojej gospodyni, *cara*, pomyślał hrabia.

R S

- Dziękuję ci bardzo, Marrino. Możesz postawić tacę na stole. *La signorina* bardzo lubi lemoniadę.

Gospodyni dygnęła głęboko i sztywnym krokiem wyszła z pokoju. Minę miała taką, jakby wcześniej najadła się cytryn.

Po jej wyjściu hrabia żartobliwym tonem powiedział do Caesarego:

- Jak widzisz, bracie, Marrina nie przyzwyczaiła się jeszcze do myśli, że ma teraz panią, której musi słuchać.

- To nie do końca prawda, *signore* - słodkim głosem wtrąciła się Cassie. -

Gdyby tą panią była hrabina, a nie kochanica, to zapewne nie miałyby nic przeciwko temu.

- Wystarczy jedno twoje słowo, *cara* - odpowiedział czule hrabia z irytującym błyskiem w oku.

Cassie już miała się odezwać, ale postanowiła najpierw więcej się dowiedzieć o Caesare, który słuchał ich rozmowy z rosnącym zdziwieniem.

Odwróciła się i podeszła do krzesła o grubym skórzanym obiciu. O lemoniadzie jakby zapomniała. Usiadła, po czym uprzejmie zwróciła się do młodzieńca.

- Hrabia niewiele mi o panu opowiadał, *signore*. Caesare rozłożył ręce.

- Oczywiście nie chciał o mnie opowiadać, bo sam nie wypadłby korzystnie na tym tle. Z niego jest niezgrabny olbrzym, taki niezgrabny, że wraca z Anglii poturbowany, z ręką na temblaku.

O ile wcześniej Cassie śmiała się z jego uszczypliwych żartów, w tym momencie uśmiech znikł z jej ust.

- To nie hrabia był niezgrabny - wypaliła.

Anthony cicho się zaśmiał.

- Powiedzmy tylko, że byłem nieostrożny, Caesare.

R S

- Wygląda na to, że natrafiłem na jakiś sekret - stwierdził wesoło Caesare, patrząc to na zarumienioną Cassie, to na szczerzącego zęby w uśmiechu hrabiego. Wyczuwając, że dalsze pytania wprowadziłyby Cassie w jeszcze większe zakłopotanie, postanowił zmienić temat. - Genua wydawała

się taka pusta bez twojej charyzmatycznej osoby, Antonio. Co się tyczy twoich interesów, to jak zwykle kwitną. Poza tym nie uwierzysz, ale stary Montalto uganiał się ostatnimi czasy za czarującą Giovanną.

Hrabia nie wykazywał szczególnego zainteresowania, natomiast Cassie, ku własnemu zdumieniu, z wielką ciekawością wyczekiwała jego reakcji.

- Obawiam się, że Giovanna szybko wpędziłaby biednego Montalta do grobu. - Uśmiechnął się melancholijnie i pokręcił głową. - Dziwi mnie, że człowiek tak rozsądny i życiowy dał się uwieść wdziękom kobiety o połowę od niego młodszej.

Cassie powiedziała do hrabiego po angielsku:

- A dlaczego tak cię to dziwi, milordzie? Przecież ja mam prawie o połowę mniej lat niż ty.

- Celny strzał, *cara*. Ale licz dalej, a przekonasz się, że kiedy mnie stuknie osiemdziesiątka, ty będziesz mieć znacznie więcej niż czterdzieści lat.

- To nie w porządku - poskarżył się żartobliwie Caesare, wymachując kształtnymi dłońmi w typowo włoski sposób, do którego Cassie szybko się miała przyzwycząć. - Wiesz, Antonio, że nie mówię tym waszym okropnym językiem. Naprawdę powinieneś być miłszy dla swojego biednego brata.

- Wybacz, *signore* - powiedziała Cassie z przepaszającym uśmiechem. -

To dlatego, że ja nie potrafię tak szybko wykazać hrabiemu błędu, kiedy mówię po włosku.

- Myślę, że doskonale sobie z tym radzisz w obu językach, moja droga.

Caesare, nie napiłbyś się z nami wina? Możemy wznieść toast za powodzenie *R S*

Montalta w zdobyciu względów pięknej Giovanny.

Cassie poczuła ukłucie rozczarowania, kiedy Caesare oznajmił z żalem, że musi ich opuścić. Dwornie podniósł jej dłoń do ust i ucałował.

- Musisz wpłynąć na Antonia, żeby częściej mnie zapraszał do willei Parese, *signorina*.

- Wiesz, że zawsze jesteś mile widziany, ty fircyku - powiedział hrabia i lekko klepnął brata w plecy.

Caesare odpowiedział mu ze złośliwym uśmiechem.

- Ale kiedy tylko ciebie mogłem tu zastać, nie miałem dostatecznej motywacji. Teraz to co innego.

- Cieszę się na nasze następne spotkanie, *signore* - powiedziała szczerze Cassie.

- Ja mogę powiedzieć to samo, *signorina*. - Złożył bratu przesadnie głę-

boki ukłon i uśmiechnął się porozumiewawczo do Cassie, kiedy Marrina we-szła do biblioteki, żeby go odprowadzić.

Wieczorem podczas obiadu, który spożywali na małej ustronnej weran-dzie z widokiem na ogrody, Cassie odłożyła na chwilę widelec i słodkim głosi-kiem zapytała:

- Bardzo jestem ciekawa, milordzie, co pomyślałby twój miły brat, gdybym mu powiedziała o twoim hańbiącym zachowaniu. Nie pochwaliliby chyba takiej bezduszności.

Hrabia uniósł lśniąca czarną brew i pociągnął łyk wina, po czym odpowiedział:

- Muszę wyznać, *cara*, że twoja dyskrecja w tej materii ucieszyła mnie.

Gdybyś postąpiła inaczej, obawiam się, że byłabyś oburzona. Chociaż Cesare lubi się przed kobietami zachowywać jak oddany obrońca płci pięknej, to jego *R S*

lojalność wobec mnie jest niewzruszona.

Cassie odwróciła wzrok, rozgniewana jego lekkim tonem.

- Czyli nic mu nie powiedziałaś.

Hrabia usiadł wygodnie i założył nogę na nogę.

- Tylko że jesteś Angielką oraz moim honorowym gościem.

- Honorowym gościem! Wiesz doskonale, że on teraz bierze mnie za twoją kochankę!

- Pewnie masz rację, Cassandro, ale nie kłóćmy się o to. Jeśli zaś zamierzasz rzucić się mojemu bratu w ramiona i prosić go o pomoc, to - hrabia zrobił

przepraszającą minę - licz się z tym, że robi na nim wrażenie moja brawura, a nie twoja krzywda.

Cassie zgarbiła się lekko. Hrabia popatrzył na nią czule i łagodniejszym już głosem powiedział:

- Mówiłem ci, że to mój jedyny żyjący krewny, prawda? To po naszej matce odziedziczyłem wille Parese, to znaczy po wianie, które wniosła mojemu ojcu.

Znęcona jego miłym głosem, Cassie podniosła głowę.

- Parese... Czy to było jej panięskie nazwisko?

- Tak. To jest bardzo stara rodzina, która zapisała się w genueńskiej historii. Ród wywodzi się od Andrei Dorii i ma swoje początki w dawnych wiekach, kiedy jeszcze Genua była panią mórz.

- Andrea Doria, ten sam, który wyrzucał srebrne talerze?

Hrabia przez chwilę zajęty był obieraniem pomarańczy długimi zręcznymi palcami.

- Ten sam. Był wielkim człowiekiem, admirałem, który ochronił Genuę na początku szesnastego wieku, głównie przed Francuzami, chociaż byli też inni wrogowie, tacy jak Hiszpanie i mediolańczycy. To on nadał miastu kon-

stytucję oligarchiczną i przywrócił pokój na Riwierze.

Hrabia pochylił się do przodu i podał Cassie soczysty kawałek pomarańczy.

- Ma dość słodki smak. Powinna ci smakować. - Jego palce musnęły wierzch dłoni Cassie.

Przyglądał się, jak gryzie owoc równymi białymi zębami. Uśmiechnął

się, widząc, że strużka soku spływa jej po podbródku. Oparł się wygodnie w wiklinowym fotelu i nieco nostalgicznym tonem ciągnął dalej:

- Niestety od czasu Andrei Dorii Genui brakowało bohaterów. Ale udaje nam się przetrwać, głównie jako bankierom Europy. To tym się zajmuję, Cassandro, kiedy nie prowadzę próżniaczego życia arystokraty ani nie podróżuję.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Ty bankierem? Angielscy hrabiowie nie trudnią się handlem - dodała lakonicznie.

- To tylko moja włoska połówka się w to angażuje. - Wyprostował nogi i wyciągnął je przed siebie. Na krótki moment wzrok Cassie przykuły jego muskularne uda widoczne pod obcisłymi spodniami. - To długa tradycja - mówił, podając jej kolejną cząstkę pomarańczy. - Jeszcze w piętnastym wieku, w jednym z mroczniejszych okresów geneńskiej historii, miejscowi kupcy po-

łączyli siły i kapitał i tak powstał Banco di San Giorgio. Na przestrzeni wielu lat patrycjusze doskonalili sztukę udzielania pożyczek. Gdy na przykład hiszpański król Filip II potrzebował pieniędzy na zagraniczne podboje, zwracał się właśnie do bankierów w Genui. Ale, rzecz jasna, czasy się zmieniają. Miasto musi bronić się przed obcymi wpływami. W naszym stuleciu miał przecież miejsce okrutny atak Francji i Austrii sprzymierzonej z Hiszpanią. Nie dalej jak osiem lat temu musieliśmy sprzedać Francji nieszczęsną Korsykę. - Znów się pochylił i białą serwetką delikatnie wytarł Cassie usta i podbródek. - Sok R S

jest lepki, ale mam nadzieję, że ci pomarańcza smakuje.

- Bardzo, milordzie. Nadzwyczaj słodka. - Jego czarujące i opiekuńcze gesty wprawiały ją w zakłopotanie i nie zdążyła się odsunąć, kiedy ją wycierał.

- Dość może o historii Włoch, *cara*. - Odłożył serwetkę i nawinał na palec grubego lok, który opadał jej na ramię. - Nie mówiłem ci chyba jeszcze, jak bardzo mi się podoba twoje nowe uczesanie. Jest

bardzo eleganckie.

- Proszę, żebyś przestał być taki... miły - powiedziała sztywno i uciekła przed jego wyciągniętą ręką.

Między lekko rozchylonymi ustami hrabiego ukazały się mocne białe zę-

by.

Śmiał się do niej z takim chłopięcym wdziękiem, że odwzajemniła uśmiech.

- Ale, *cara*, to przychodzi mi zupełnie naturalnie. Ja tak naprawdę wcale nie jestem zimnym draniem, wiesz, tylko musisz dać mi szansę. I moim celem zawsze jest twoje zadowolenie.

Spojrzał na piersi wychylające się z żółtego jedwabnego gorsetu. Splotła palce na dekolcie, choć nie mogła powstrzymać rozkosznego mrowienia, jakie poczuła na całym ciele.

Odsunęła krzesło i gwałtownie wstała.

- Ja... ja bardzo marznę.

- Myślę, kochana, że znam przyjemne lekarstwo na chłód. - Wstał i swobodnie do niej podszedł.

Jego ciemne oczy zdawały się ją pożerać, a usta były niebezpiecznie pół-

otwarte. Polizała ze zdenerwowania dolną wargę, ale nie cofnęła się. Przez kilka chwil nie próbował jej dotknąć, tylko stał przed nią. Gdy wreszcie wycią-

gnął rękę, Cassie sama zrobiła krok w jego stronę i znalazła się w jego ramio-R S

nach. Wygięła się lekko i bez słowa odchyliła głowę. Drażnił jej wargi ję-

zykiem, aż otworzyła usta i pozwoliła, by ich języki się splotły. Czuł, jak szybko oddycha i jak unosi się przy tym jej biust. Przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Nie mogę cię zanieść, *cara* - szepnął tak blisko, że czuła na twarzy ciepło jego oddechu. Naszła ją szalona myśl, że smakuje słodką pomarańczą.

- Wiem - westchnęła cicho i potarła policzkiem o jego podbródek.

Ucałował czubek jej nosa, a potem białą szyję. Rozchyliła wargi i jęknęła z rozkoszą, gdy wtargnął w nie namiętnie.

- Czy chcesz się ze mną kochać, Cassandro?

- Tak - wymamrotała głosem równie chrapliwym jak jego głos.

Jej pragnienie stawało się bolesne.

Nie padły już żadne słowa. Kiedy weszli do sypialni, Cassie pobiegła do garderoby, żeby się rozebrać. Uśmiechnął się do siebie, ale nie wytykał jej już pruderii.

Gdy sam się rozebrał, zostawiając stertę ubrań na podłodze, zapalił tylko jedną świecę i wszedł do łóża. Nie musiał długo czekać.

Cassie wyszła z garderoby w lekkiej jak pajęczyna halce i z roz-puszczonymi włosami.

Obdarzył ją czułym uśmiechem, odsunął kołdrę i wskazał jej miejsce obok siebie.

- To piękna bielizna, Cassandro, ale jeszcze lepiej by wyglądała obok moich ubrań na podłodze.

Wahała się przez dłuższą chwilę, po czym zsunęła ramiączka. Wyglądała na mocno poruszoną.

- Ja... ja naprawdę nie powinnam...

Niepewnie potrząsnęła głową, pozwoliła halce opaść na ziemię i wślizgnęła się do łóżka. Skuliła się po swojej stronie, z dala od niego. Leżał cicho, *R S*

wsluchując się w rytm jej oddechu.

- *Cara*, czego nie powinnaś? - Wyciągnął rękę i dotknął jej gładkiego cia-

ła. Biegł palcami w dół po linii kręgosłupa, zatrzymał dłoń w dole pleców, a potem rozłożył palce i objął jej krągłe pośladki. Dzięki masażowi jego zręcznych palców Cassie powoli się rozluźniła.

- Nie powinnam tak cię pragnąć - wyszeptała łamiącym się głosem.

Przetoczyła się w jego stronę i drżącym ciałem przylgnęła do jego boku.

Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go gwałtownie. Jej niewinna namięt-ność rozpałała go do białości. Był zgubiony. Wydyszał swoje podniecenie w jej otwarte usta i podjął grę z jej chętnym językiem.

Zdjął lewą rękę z temblaka, złapał ją za biodra i położył na sobie. Patrzy-

ła na niego szeroko otwartymi i zamglonymi oczami.

- Pomóż mi znaleźć się w tobie, *cara*. - Uniósł ją lekko i poczuł, jak jej drobna dłoń zaciska się wokół niego.

Jęknął głośno, kiedy wsuwał się w jej ciepłe ciało. Podniósł ją tak, by siedziała na nim okrakiem, i wbił się w nią.

Cassie rozłożyła ręce na jego brzuchu, zatapiając palce w ciemnych włoskach. Czowała, jak w niej pulsuje, poruszając się coraz szybciej.

Nagle wbił palce w jej pośladki, a z głębi jego gardła wyrwał się krzyk.

Było tak, jakby jej własne wzmagające się podniecenie zostało zawieszona w próżni. Czują jego drżenie i spojrzała mu w twarz. Nie rozumiała, co się dzieje.

Sama trwała sztywna, niepewna, jakby ich nagle rozdzielono. Jego ciało było napięte, a mięśnie brzucha drgały pod jej palcami.

- Anthony - szepnęła pytająco.

W odpowiedzi tylko jęknął i nagle eksplodował w niej z wielką mocą.

Hrabia powoli otworzył oczy, czując dotyk Cassie na klatce piersiowej.

R S

- Co ty robisz, *cara*?

Zaskoczona cofnęła dłoń.

- Sprawdzalam tylko bicie serce. Łomotanie powoli ustępuje.

- Mam nadzieję, bo w przeciwnym razie byłoby ze mną krucho. - Zamrugał kilka razy, by potem otworzyć oczy i chłonąć widok jej złotych włosów opadających swobodnie na ramiona i pełne piersi. Podniósł rękę i pogładził róż-

zowy sutek. Zadrżała, kiedy ją dotknął. W świetle świecy jej źrenice wydawały się czarne.

- Moja biedna - powiedział czule, zdejmując ją z siebie i kładąc na plecach.

- Nie rozumiem - zaczęła.

Wiedział, że Cassie potrzebuje spełnienia i kiedy przycisnął do niej usta, oddała się mu natychmiast. Tak jak ona słuchała wcześniej jego jęków rozkoszy, tak on teraz cieszył się urywanymi okrzykami dochodzącymi z jej gardła.

Poczuł, jak jej szczupłe ciało napina się i drży w momencie szczytowania. Zła-pała jego głowę w dłonie i przyłgnęła biodrami jeszcze bliżej ust.

- Proszę, Anthony - wydyszała - wejdź teraz we mnie.

Uśmiechnął się smutno, raz jeszcze ucałował ją lekko i położył się koło niej.

- Teraz moje serce wali jak oszalałe. Anthony, czy nie... - Urwała, kiedy pocałował ją w usta.

- Przykro mi, kochana, ale w tej chwili nie mogę spełniać twoich życzeń, jeszcze nie. Widzisz, to dlatego dżentelmen powinien najpierw zadbać o przyjemność swojej damy.

- Rozumiem - zamruczała, masując jego ramiona. - To znaczy, że nie powinienem był... mnie wyprzedzić?

- Nie, zdecydowanie nie powinienem był. Ale tak mnie rozpałałaś, *cara*. -

R S

Pogłaskał ją po piersi z czułością. - Dałaś mi wiele przyjemności, Cassandro.

Jeszcze żadna kobieta... - Zamilkł, widząc lekką zmarszczkę na jej czole.

Dziwnie nieprzeniknionym tonem powiedziała:

- A więc miałeś... to znaczy... było wiele innych kobiet?

Przewrócił się na plecy i przygarnął ją do siebie. Jej bezpośredniość i szczerość bawiły go. Przecież przy całej swojej niewinności musi zdawać sobie sprawę, że jako dorosły mężczyzna nie żył w celibacie. Uśmiechnął się do niej szeroko i odgarnął jej włosy z twarzy.

- To nie ma większego znaczenia - powiedział, a ona, co dziwne, westchnęła i przytuliła policzek do jego ramienia

Poczuł, że jej palce wędrują po jego torsie i niżej po brzuchu. Ustami dotyka jego ramienia i językiem delikatnie pieści skórę. Jego podniecenie wraca-

ło - był zachwycony, że go pragnie i nie wstydzi się tego okazać.

- Jesteś uwodzicielką, Cassandro - szepnął.

Wszedł w nią powoli, ale bez trudu, gdyż była już wilgotna i gotowa.

Przycisnął jej biodra do siebie, by mocniej się w nią wbić. Widział, jak jej oczy ciemnieją i zachodzą mgłą, i panował nad sobą do czasu, aż Cassie zaczęła bić go rytmicznie po plecach i jęczeć coraz głośniej.

Potem leżeli przytuleni tak blisko, że słyszeli bicie swoich serc. Delikatnie ucałował jej zamknięte powieki.

- Kocham cię, *cara* - powiedział cicho - pragnę cię i potrzebuję. Wiem, że trudno ci jest obdarzyć mnie teraz zaufaniem i oddać mi się. Wierz mi, nie chciałem cię skrzywdzić... ale nie mogłem pozwolić, żebyś wyszła za innego mężczyznę. Musiałem cię gdzieś zabrać, żebyś miała okazję poczuć do mnie to, co ja do ciebie. Tak bym chciał, żebyś przestała o mnie myśleć jak o bez-dusznym, okrutnym łotrze. Chcę twojego szczęścia, *cara*, i chcę cię za żonę, *R S*

partnerkę, kochankę.

Te ciepłe słowa, wypowiedziane bez cienia arogancji czy władczości, głęboko ją poruszyły. Po raz

pierwszy wyczuła, że odsłania swoje czułe miejsca. Przez moment chciała odpowiedzieć mu podobnym tonem. Ale czy to nie požądanie podpowiadało jej, żeby wybaczyła mu wszystko, co jej zrobił? Z zalem potrząsnęła głową.

- Jeśli naprawdę chcesz mego szczęścia, milordzie, musisz spełnić jedną prostą prośbę.

Zmrużył ciemne oczy, ale jego głos pozostał łagodny.

- Tak, kochana?

- Pozwól mi napisać do Eliotta i Becky.

- I do Edwarda Lyndhursta?

Po nagłej zmianie głosu poznała, że go to zabolalo.

- Tak.

- Odpowiedź brzmi: nie, Cassandro.

Odsunęła się od niego.

- Nie rozumiem, milordzie. Boisz się, że Edward tu przybędzie i odbierze ci mnie?

- Muszę przyznać, że to byłoby głupie z jego strony zjawiać się w Genui bez zaproszenia - powiedział głosem spokojnym, ale pozbawionym już łagodności.

- Przynajmniej pozwól mi napisać im, że żyję. Jeśli nalegasz, moje miejsce pobytu pozostanie tajemnicą.

Westchnął głęboko.

- Odpowiedź ciągle brzmi: nie. Napiszesz swoje listy dopiero wtedy, kiedy będziesz moją żoną i hrabiną Clare. Nie każę Edwardowi Lyndhurstowi przeczesywać Europy w poszukiwaniu ukochanej, której nigdy nie zdobędzie.

R S

To by było zbyt okrutne.

- Okrutne! Myślisz, że to mniej straszne, jeśli uważa mnie za zmarłą?

- Tak, ponieważ musi o tobie zapomnieć. Gdy kiedyś się dowie, że wyszłaś za mnie, rezultat będzie taki sam. Nie będziesz już częścią jego życia.

Cassie usiadła, podciągając kołdrę pod brodę.

- Jak śmiesz mówić, że ci na mnie zależy, jeśli nie dajesz mi wolności?

Jeśli naprawdę chcesz mojego szczęścia, to daj mi możliwość wyboru! Wypuść mnie! Nie mogę i nie zamierzam ci się poddać. - Pogroziła mu pięścią. - My-

ślisz, że to twoje prawo od Boga, żeby mnie posiąść, dodać do listy swoich dóbr, jak dom albo powóz! Coś ci powiem, milordzie: ja należę do siebie i nigdy, słyszysz, nigdy nie pozwolę zrobić z siebie towaru!

- Nic nie mówiłem o towarze, Cassandro - powiedział hrabia, a w jego spokojnym głosie dało się słyszeć pierwsze oznaki wzburzenia.

- To mnie wypuść! Dla świata jestem tylko twoją obecną kochanką, którą można bezkarnie pogardzać. Twój wspaniały przyrodni brat bez wątpienia ma mnie za kobietę lekkich obyczajów, ladacznicę, dziwkę! Może włoskie damy chowają się po kątach na widok twojej samczej arogancji i dają się uwieść, kiedy prawisz im słodkie słówka. Ale nie ja!

- Podajesz argument, który nie ma żadnego sensu. Nie chcę cię posiadać, tylko wielbić i kochać!

- Kochasz tylko siebie.

- Opowiadasz głupstwa, Cassandro.

Zacisnęła zęby. Była tak wściekła, że chciała go uderzyć. Powściągnęła jednak gniew i rzekła lodowatym tonem:

- Powiedziałeś mi raz, milordzie, że nie mam instynktów dziwki. W takim razie muszę założyć, że to twoje zdolności w sypialni tak na mnie działają.

Kiedy będę miała ochotę użyć twojego ciała, poinformuję cię o tym.

R S

- Ach, tak - powiedział głosem tak gładkim i miłym, że przez chwilę słuchała z powagą. - Chyba napiszę do Edwarda Lyndhursta i pogratuluję mu szczęścia. Gdyby dał się złapać w sidła takiej sekutnicy jak ty, to pewnie zaraz chciałby wracać do wojska. Jeśli tylko pozwoliłabyś mu czasem założyć spodnie, żeby miał w czym uciekać.

- Jesteś... żałosny! - wydyszała.

Odpowiedział spokojnie, wiedząc, że ponownie trzyma ster:

- Jestem taki i inny, *cara*. Tylko że ty chcesz widzieć wyłącznie moje gorsze cechy.

- Zabraniam ci nazywać mnie *cara*.

- Zakaz odrzucony, mała wiedźmo. Poza tym powtarzasz się, Cassandro.

Odwrocił się do niej plecami, zdmuchnął świecę i przykrył się kołdrą.

Zasypiał, myśląc, że będzie musiał pogodzić się z tym, iż - przynajmniej przez jakiś czas - będzie miał różę w nocy, a kolce za dnia.

Rozdział 14

Hrabia Cesare Bellini stał przy białym marmurowym kominku, z kciukami zahaczonymi o kieszenie bladożółtej kamizelki i pytającym wyrazem twarzy.

- Służący przekazał, że chciałaś się ze mną zobaczyć, Giovanni. Jestem uradowany, myślałem bowiem, że będziesz dziś po południu zajęta czymś innym.

Hrabina Giovanna Giusti lekko się uśmiechnęła, pokazując białe ząbki, i ze zniecierpliwieniem machnęła kształną ręką.

R S

- Wiesz dobrze, najdroższy Cesare, że wolę być z tobą niż z tym zdzie-cinniałym starcem, Montalto. Oświadczył dziś z właściwym sobie nadęciem, że ponieważ hrabia Clare powrócił, to on niezwłocznie musi złożyć mu wizytę w willi.

Podeszła do niego z gracją i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Masz ochotę na lampkę wina, Cesare?

- Jeśli nie mogę mieć twych ust... - powiedział.

Zaśmiała się dźwięcznie i oplotła go ramionami.

- Ty, *cara*, możesz mieć wszystko, czego zapragniesz. - Trąciła go nosem w szyję i podała usta do pocałunku. Złapał ją w ramiona i całował namiętnie, aż odepchnęła go, by złapać dech.

Pogroziła mu palcem:

- Tylko jeden dzień beze mnie, a już się zachowujesz jak rozbitek na wyspie. - Urwała i przypatrywała mu się spod gęstych rzęs. - Służby nie będzie całe popołudnie. Zostaję więc sama. Biedna, samotna wdowa.

Caesare zadygotał, kiedy jej drobna rączka przelotnie dotknęła jego nabrzmiałego członka. Spojrzał na jej rozchylone zachęcająco usta i wyobraził

sobie, jak pieści nimi jego ciało. Zaskakiwało go, że chociaż była jego kochanką od prawie pięciu miesięcy, nadal tak bardzo go fascynowała.

- Z przyjemnością zaopiekuję się samotną wdówką - powiedział, rozpinając haftki jej niebieskiej aksamitnej sukni.

Gdy znaleźli się już w sypialni i Giovanna z wdziękiem zaczęła się rozbierać, Cesare patrzył jak

zauroczony. Zafrasował się lekko, zastanawiając się, czy przyrodni brat był równie urzeczony białym ciałem Giovanni i czy tak samo zniewalał go dotyk jej ust i dłoni.

Nagi Caesare leżał na plecach na jej niewielkim łóżku i patrzył, jak szcnotkuje swe gęste kruczoczarne włosy.

- A więc Montalto powiedział ci o powrocie hrabiego.

R S

Odwróciła twarz. Po chwili swobodnym głosem odrzekła:

- Tak i zdaje się, że twój szacowny brat przyrodni nie wrócił z Anglii sam.

Caesare podparł się na łokciach. Żałował, że nie widzi jej twarzy.

- Żywiłem nadzieję, Giovanni, że nie obesłoby cię to, nawet gdyby wrócił z całym haremem.

Giovanna opuściła szcnotkę do włosów, powoli odwróciła się do niego i figlarnym, ponętym tonem powiedziała:

- Oczywiście, że mnie to nie obchodzi, *cara*. Wydaje mi się to tylko zabawne, że jego lordowska mość musi przemierzyć całą Europę, żeby znaleźć sobie kobietę. Czyż to nie kobietę sobie sprowadził?

- Twoje źródła są, jak zwykle, dobrze zorientowane. Choć to ledwie kobieta. - Na widok uniesionych brwi Giovanni, dodał: - Jest jeszcze prawie dziewczęciem, na pewno nie ma więcej niż osiemnaście lat.

- A więc ją poznałeś - mówiła obojętnym tonem, ale jej brązowe oczy obserwowały go uważnie.

- Tak - potrząsnął głową. Cassandra zachowywała się bardzo nietypowo jak na kochankę, jego brat zaś nigdy jeszcze nie zaprosił żadnej ze swoich kobiet na stałe do willi Parese. - Jest dosyć dziwna - podsumował.

- Jak to? - spytała miękko, siadając obok niego na łóżku.

Caesare wzruszył ramionami i objął ją ramieniem.

- Skończmy już te rozmowy.

Giovanna posłuchała. Znała dobrze jego potrzeby i pragnienia. Choć nie został obdarzony tak powalającą posturą jak hrabia, miał dość przyjemne ciało, szczupłe i gibkie. Pozwoliła mu na pocałunki i głaskanie piersi oraz wodzenie językiem wokół pępka. Ale odczuwała głównie zniecierpliwienie. Narastała w niej złość na tę młodą Angielkę i tę złość Caesare wziął za rosnące podniece

R S

nie. Już miał się na niej położyć, kiedy ona rzuciła go na plecy i przycisnęła palce do jego torsu.

- Nie, *cara* - szepnęła zmysłowym chrapliwym głosem.

Chciała zadowolić go jak najszybciej. Zsunęła się niżej i usadowiła między

jego udami. Kiedy zacisnęła na nim palce, poczuła jak bierze głęboki wdech i zastyga w oczekiwaniu. Uśmiechnęła się i wzięła go do ust.

- Boże, Giovanni - jęczał, dotykając dłońmi jej twarzy.

Szczytował szybko i intensywnie. Przez zamglone z rozkoszy oczy spojrzał na Giovannę, jak z wdziękiem wycierała wargi.

Podawała mu kieliszek wina i szybko wychyliła swój, żeby pozbyć się jego smaku.

Caesare się zaśmiał.

- Wiesz, powiedziałem bratu o zalotach Montalta. Boże, wpędziłabyś starucha do grobu, gdybyś mu dostarczyła tylu wrażeń.

- I jak hrabia zareagował na tę wiadomość? - Jej głos nie zdradzał większego zainteresowania. Caesare obojętnie wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Pamiętam, że się śmiał.

Giovanna ukryła zniecierpliwienie.

- Zgodzisz się ze mną, że hrabia nie powinien dowiedzieć się o naszym romansie, nieprawdaż? Na pewno zraniona duma kazałaby mu pozbawić cię jeszcze większej części twojego dziedzictwa.

Caesare się zjeżył.

- Mój genialny braciszek musi się jak najszybciej przekonać, że może mi powierzać swoje dochodowe interesy.

Zdecydowała, że w tej chwili powinna okazać mu trochę wsparcia.

- Ależ na pewno wkrótce to pojmie. Przecież masz dopiero dwadzieścia pięć lat, czyli wszystko przed tobą - czego nie może powiedzieć o sobie dwu-

dziesięcioletnia kobieta, pomyślała z goryczą. - A co z tą małą Angielką?

Jak ją hrabia traktował?

- Jej zachowanie bardzo mnie zaskoczyło, jeśli mam być szczery. Jest też piękna, jeśli ktoś gustuje w różowo-białawej angielskiej bladości.

- Różowo-biaława? To mi nic nie mówi, Cesare.

Dociekliwość Giovanny sprawiła, że rozebrał Cassandrę w myślach i z zimnym obiektywizmem stwierdził:

- Jest wyższa niż większość Włosek i smukła jak trzcina, oczywiście z wyjątkiem miejsc, gdzie kobieta powinna być krągła. Jej oczy mają barwę morza po burzy. A włosy są jak... złota przędza, Giovanni, takie gęste i długie, że chciałoby się zanurzyć w nich twarz. - Urwał i przyjrzał się buzi Giovanny, idealnie owalnej i jakby trochę bladej w przyćmionym popołudniowym świetle. - Zresztą na pewno będziesz miała okazję ją poznać. Brat wspominał o kolacji i przyjęciu. Niewątpliwie zostaniesz zaproszona.

Przez dłuższą chwilę nie odpowiadała.

- Zdumiewa mnie tylko, że taki dżentelmen o nieskazitelnym manierach pozwala jakiejś zdzirze zamieszkać w swojej willi. Czyżby chciał zakpić z genuńskiego towarzystwa?

- Jak już mówiłem, Giovanni, jej zachowanie było dość niezwykle. Wcale nie traktowała hrabiego z uwielbieniem, jakie utrzymanka zazwyczaj okazuje swojemu dobroczyńcy. Czasem nawet przechodziła na angielski, a jej głos stawał się bardzo ostry. - Zamyślił się. - Zdzira? Nie przypuszczam. Wygląda raczej na wysoko urodzoną angielską damę.

- Ale jest tylko jego kochanką! Żadna wysoko urodzona dama, jak ją nazwałeś, nie opuściłaby swojego kraju, żeby zostać szlachecką dziwką! To, co mówisz, nie ma większego sensu, Cesare.

- Pewnie masz rację, ale...

R S

Odwróciła się do niego gwałtownie, potrząsając grzywą włosów.

- Ale co? - warknęła.

Caesare pokręcił głową z wyrazem zmieszania na twarzy.

- Może jej zły humor, który miałeś okazję zaobserwować, był spowodowany zwykłą sprzeczką. Może postanowiła ukarać hrabiego przed tobą, jego bratem, bo odmówił jej jakichś szat, klejnotów czy nawet ślubu. - Zamilkła na moment, układając w myślach konkluzję, która jej odpowiadała. - Hrabia długo takich fochów znosił nie będzie. Jest przecież dumny, władczy i nienawykły do tego, żeby ktoś kwestionował jego zdanie, szczególnie jeśli tym kimś jest kobieta. Jeśli ta mała Angielka okaże się za głupia, żeby to zrozumieć i nie zacznie liczyć się ze słowami, to hrabia niedługo ją... odprawi. I wszystko będzie jak dawniej.

Caesare tylko przytaknął, wodząc wzrokiem po ciele Giovanny.

- Dość już o hrabim - oświadczył wymownym głosem i wyciągnął do niej rękę.

Cassie szybkim krokiem przemierzyła przestrzeń od cienistych alejek magnolii i akacji położonych po wschodniej stronie willi do wielkiej żelaznej bramy wjazdowej. Ten chłopak o imieniu Sordello, który zazwyczaj stróżował

przy bramie, był właśnie w ogrodzie, gdzie rozmawiał ze swoim ojcem, Mar-kiem. Chociaż nie spodziewała się, że uda jej się tak po prostu wyjść z willi i tym samym zniknąć z życia hrabiego, chciała sprawdzić, jak pilnie strzeżone jest jej więzienie oraz kto i jak uważnie ją obserwuje. W lekkich sandałach szła bezgłośnie po trawie wzdłuż żwirowej drogi i jej wyostrzone zmysły nie wychwytywały niczego oprócz mdlącego słodkiego zapachu kwitnących róż.

R S

Kiedy dostrzegła bramę, przyspieszyła kroku i odwróciła głowę w kierunku willi. Ani znaku pościgu. Być może, pomyślała ze złością, hrabia czuje się już tak pewnie, że nie bierze pod uwagę, żeby chciała próbować ucieczki.

Ponad godzinę temu zamknął się w bibliotece i zostawił ją samą sobie.

Położyła dłoń na zasuwie bramy i pociągnęła z całych sił. Na początku dobiegło ją tylko skrzypienie zawiasów. Spróbowała ponownie i z biciem serca stwierdziła, że zasuwą się ruszyła i może teraz otworzyć bramę. Dlaczego nie wpadła na to, żeby wziąć ze sobą jakieś pieniądze i pakunek z najpotrzebniejszych rzeczami? Omiotła wzrokiem suchą poraną koleinami drogę, zakurzoną i spękaną od żaru lejącego się z nieba bez ustanku. Właśnie zamierzała wyslizgnąć się z posiadłości hrabiego, kiedy usłyszała za sobą znajomy głos. Zastygła w bezruchu, po czym odwróciła się gwałtownie, przybierając wyraz twarzy tak pogardliwy, że aż komiczny.

- Powinnaś mi była powiedzieć, Cassandro, że życzysz sobie... pozwiedzać.

- Do wszystkich diabłów! - wykrzyknęła, rzucając mu zagniewane spojrzenie spod ściągniętych brwi. - Myślałam, że nie będę ci przeszkadzać, bo taki byłeś zajęty w bibliotece.

Podszedł do niej, uśmiechając się z dużą pewnością siebie. Zdławiła przekleństwo, odwróciła się i wyszła przez uchylone wrota.

Ledwo sandał wzbudził chmurę kurzu, który osiadł na spódnicy, a już poczuła na ramieniu uchwyt ręki.

- Uwierz mi, Cassandro, te buty nie nadają się na spacer w dół drogi.

Wróć lepiej ze mną do willi. Mam dla ciebie niespodziankę.

- To tylko kwestia czasu, milordzie - powiedziała złowieszczym głosem. -

I jesteś głupcem, jeśli myślisz, że jest inaczej.

Hrabia uśmiechnął się, patrząc na jej zarumienione policzki i poprowadził

R S

zaciśniętą na jej ramieniu dłoń niżej, aż ich dłonie splotły się palcami.

- Mam wiele różnych cech, *cara*, ale naprawdę nie sędzę, żeby głupota była jedną z nich.

Sztywnym krokiem szła u jego boku.

- Ponieważ jesteś, milordzie, kupcem - prychnęła pokazowo, dając upust wielowiekowej pogardzie, jaką angielska arystokracja darzyła handel - i musisz wypełniać swoje sklepikarskie obowiązki, będę miała niezliczone okazje, żeby ci uciec. No chyba że zaczniesz mnie trzymać pod kluczem.

Jej słowa wydawały się nie robić na nim najmniejszego wrażenia. Żało-wała, że nie widzi całej jego twarzy, tylko profil, podejrzewała bowiem, że je-go oczy zdradzają rozbawienie. Uznała to za absolutny brak taktu, że nie raczył

nawet odpowiadać na jej obraźliwe uwagi.

- Skoro trzymam cię w ramionach co noc, Cassandro, to mój kłopot polega na tym, co zrobić z tobą w ciągu dnia. Stąd, moja droga, ta niespodzianka, o której wspomniałem. Błagam cię tylko, żebyś nie reagowała zbyt emocjonalnie czy grubiańsko, bo biedny Joseph naprawdę nie miał żadnego wyboru. On bardzo cię lubi, jak pewnie zauważyłaś, i na pewno z własnej woli nie przysparzałby ci zmartwień.

- Joseph! - Zamilkła na dłuższą chwilę. Kiedy jednak spojrział na nią z pogodnym wyrazem twarzy, nie mogła się powstrzymać: - Ma być moim opiekunem! Moim strażnikiem!

Ponownie zamilkła, oddając się rozważaniom na temat jego czarnej duszy.

- Żadnych inwektyw, *cara*? Wolałbym, żebyś wylała całą truciznę na mnie, a Josephowi pokazała swoją pełną uroku twarz. Zgadza się, on będzie odpowiadał za ciebie i twoje... bezpieczeństwo, kiedy ja będę zajęty.

R S

Lekki wiatr zwiął złoty lok na jej twarz i hrabia bez zastanowienia wy-ciągnął rękę, by go odgarnąć. Cassie skrzywiła się z niesmakiem i szybkim krokiem poszła w stronę willi.

Korsykanin stał w holu, gdzie hrabia tak nagle go zostawił. Wełnianą czapkę nadal trzymał w rękach. Cassie pomyślała, że jego postać dość dziwnie komponuje się z marmurową podłogą i wykwintnym wnętrzem.

- Miło cię znowu zobaczyć, Josephie - powiedziała po włosku ze swoim silnym akcentem, który wywołał uśmiech na twarzy hrabiego. - Choć obawiam się, że możesz się tu trochę nudzić, gdyż, o ile się zdążyłam zorientować - te słowa kierowała do hrabiego - poza rolą mojego specjalnego

towarzysza, nie będziesz miał za wiele do roboty.

Hrabia natychmiast zripostował:

- Jeśli Joseph zapragnie wrócić na morze, kochana, to po prostu urządzimy małą, że się tak wyrażę, zmianę warty.

- *Madonna*, cieszę się, że mogę znów z tobą spędzać czas - powiedział

wreszcie Joseph dość niepewnym głosem.

Cassie mimowolnie się do niego uśmiechnęła. Byłoby nieelegancko z jej strony karać go za decyzje hrabiego.

- Mam nadzieję, że twój pobyt w willi będzie udany - zakończyła.

- Doskonale - rzucił hrabia, zacierając ręce. - Twoje pierwsze wyjście z Josephem, Cassandro, to będzie wycieczka nad jezioro. Mam nadzieję, że pozwolisz mi wam towarzyszyć, mam bowiem dla ciebie kolejną niespodziankę.

Joseph spostrzegł, że młoda panienska znieruchomiała i patrzyła na hrabiego z niepokojem. Powiedziała coś ostrym tonem, ale po angielsku, więc nie zrozumiał sensu.

- Kolejna niespodzianka powiadasz, milordzie? Czyżbyś zbudował piękny mur wokół jeziora, żebym ci nie odpłynęła? - dodała już po włosku.

R S

- Muszę cię rozczarować, *cara*, ale nie starczyło mi czasu, żeby wznieść tak imponującą konstrukcję. Czy jesteś gotowa, moja droga?

Ciekawość przeważyła i mimo marsowego czoła Cassie kiwnęła głową.

* * *

Jezioro Parese, wąski i kręty akwen, leżało wciśnięte w małą dolinkę między falującymi łagodnie wzgórzami. Otaczały je drzewa o rozłożystych ga-

łęziach, których gęste listowie rzucało ciekawe cienie na niebieską taflę jeziora. Cassie tylko raz miała okazję tu przyjść i nie dała się wówczas skusić myśli o kąpieli w zachęcającej chłodnej wodzie, ponieważ hrabia był tam z nią. Gdy tylko przecięli linię drzew i znaleźli się na brzegu, Cassie znowu ogarnęła przemożna ochota, by zrzucić ubranie - które w tym upale lepiło się nieprzyjemnie do ciała - zanurzyć się w błękitnej wodzie jeziora i popłynąć w stronę drugiego brzegu.

Zupełnie jakby zgadywał jej myśli, hrabia uśmiechnął się i przechodząc na angielski, żartobliwie ją upomniał:

- Nie teraz, Cassandro. Pomyśl tylko, jaki Joseph byłby zakłopotany, gdyby miał ujrzeć cię nagą jak nimfa wodna.

Puściła tę impertynencką uwagę mimo uszu, ponieważ na końcu wąskiego pomostu przycumowany był słup, którego sylwetka i olinowanie tak przypominały jej utraconą angielską łódkę, że z zaskoczenia nie mogła wydobyć z siebie słowa. Na burcie biegł napis „Nieustraszona”.

- Joseph przywiózł ją dziś rano z portu.

- *Si, madonna* - potwierdził Joseph, dumnie wskazując na łódkę. - Ludzie dzień i noc pracowali, żeby ją dla ciebie przyszykować.

W jego głosie pobrzmiwało zarazem pytanie i prośba. Cassie, otrzą-

snąwszy się z pierwszego szoku, zwróciła się do Josepha, nie zaś hrabiego i wykrzyknęła:

R S

- Ach, Josephie, jest przepiękna! Cudów dokonałeś! Jakie to miłe z twojej strony.

Cassie zadarła spódnicę i pobiegła po przystani do swojej nowej łodzi.

Joseph z zakłopotaniem zawołał za nią:

- Nie, *madonna*, to nie ja. To kapitan wyrysował projekt, ja tylko nadzorowałem budowę.

- To bez znaczenia, Josephie - powiedział półgłosem hrabia, który z ogromną radością patrzył na jej rozentuzjasmowaną reakcję. Obaj mężczyźni stali i przyglądali się Cassie, jak zaznajamia się z łodzią cał po calu, począwszy od zakrzywionego dzioba, na grubym drewnianym maszcie skończywszy.

- Ona tchnie życie w tę łajbę - pomyślał na głos Joseph.

- Tak - zgodził się hrabia z uśmiechem. - Prawdopodobnie będę też musiał co roku zarybiać jezioro. Wiesz, ona kocha wędkować.

Joseph milczał przez chwilę, nie odrywając od Cassie wzroku.

- A czy w Anglii spotkałeś, panie, inne dziewczęta podobne do *madonny*?

- Nie, przyjacielu, nie spotkałem.

Joseph przygryzł dolną wargę i pogрузzył się w zadumie. Znał odpowiedź

na to pytanie, jeszcze zanim ją usłyszał. Obserwował profil kapitana, przypominając sobie, jak on i reszta załogi uznali, że zwariował, kiedy postanowił porwać młodą kobietę z wybrzeży potężnej Anglii i siłą sprowadzić do Genui.

Kiedy jeszcze był piratem, nieraz widział, że mężczyźni porywali kobiety podczas napadów i używali ich, aż nasycili żądze. Nie dziwiło go to wtedy, bo w młodości apetyt na seksualne podboje dorównywał u niego żądzy krwi. Ale że-by kapitan, który mimo swej liguryjskiej krwi był przecież angielskim arystokratą, miał porywać kobietę na żonę - to nie mieściło się Josephowi w po-siwiałej głowie. Do tego ona była taka młoda, pełna życia, jak nieujeżdżone źrebię. Pomyślał o swojej młodej żonie, Marii, która zginęła z rąk górskich R S

bandytów przed ukończeniem dwudziestu wiosen. Nie czuł już cierpienia, bo minęło tak wiele lat. Z zadumy wyrwał go dziki śmiech Cassie.

- Cassandro, uważaj! - wrzasnął nagle hrabia i ruszył po pomoście.

Cassie, która kucała na rufie i wychylała się, by zobaczyć przepływającą rybę, słysząc wołanie hrabiego, wyprostowała się gwałtownie i straciła równowagę. Łapiąc rękami powietrze, poleciała do przodu i wpadła z pluskiem do wody.

Hrabia już miał za nią nurkować, kiedy jej głowa wynurzyła się z toni jeziora. Zauważył, że Cassie się śmieje.

Podparł się pod boki i z pretensją w głosie stwierdził:

- A niech cię, kobieto, musisz bardziej uważać. Kiedy widzę, jaka jesteś niezdarna, to zastanawiam się, czy nie bardziej potrzeba ci teraz niańki.

Hrabia nie dostrzegł chochlików w oczach Cassie, kiedy ta zwróciła się do niego pokornie:

- Pomożesz mi, milordzie?

Podpłynęła do przystani i wyciągnęła do niego dłoń. Zacisnął palce na jej nadgarstku, nie zdając sobie sprawy, że zaparła się nogami o pale pomostu.

A to mała jędza, pomyślał Joseph, który dobrze widział, co zamierza. Nie mógł powstrzymać śmiechu w momencie, gdy niewielkie mięśnie Cassie nagle się naprężyły i hrabia wpadł głową do wody.

Joseph widział płataninę rąk i nóg i słyszał jej triumfujący śmiech. Kiedy ciemna głowa hrabiego pojawiła się nad powierzchnią wody, Cassie położyła mu ręce na ramionach i wybiła się, żeby swoim ciężarem posłać go pod wodę.

Ciągle się śmiała, gdy hrabia złapał ją za nogę i wciągnął pod wodę. Pu-

ścił ją dopiero po chwili i natychmiast wypłynęła, połykając hausty powietrza.

Złote włosy unosiły się wokół jej głowy, a do czoła przykleił się kawałek wo-

R S
dorostu.

- I pomyśleć, że to mnie nazywasz niezgrabną, milordzie!

Podpłynął do niej i zdjął wodorosty z jej twarzy.

- Moją wadą jest tylko to, że ci ufam. - Zobaczył, jak jej oczy świecą po tym figlu i się uśmiechnął.

- Gotowa do powrotu na ląd, moja syreno?

- Tak, milordzie, skoro już dostałeś za swoje.

Joseph wyciągnął ociekającą wodą parę na pomost. Cassie ciągle miała na twarzy zadowolony uśmiezek. Zebrała mokre włosy i je wyżeła. Joseph przyglądał się jej z zaciekawieniem. Nie wydawała się teraz nienawidzić kapitana. Wyglądała raczej w jego towarzystwie na beztroskie, szczęśliwe dziecko.

- Dlaczego nazwałeś ją, milordzie, „Nieustraszona”?

- Pomyślałem, że to właściwe imię. - Po chwili swobodnym głosem zapytał: - Czy to znaczy, że nareszcie udało mi się zrobić coś, co ci się spodobało?

- Istotnie, milordzie, udało ci się - powiedziała radośnie, odgarniając z czoła masę ciężkich pukli.

- Jest piękna. Taka smukła.

- Czy w takim razie mogę zakładać, że mam u ciebie mały dług wdzięczności?

Przystanęła i popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Chcesz powiedzieć, że zrobiłeś coś dla mnie i teraz oczekujesz, że spełnię każde twoje życzenie?

- Chcę tylko małej obietnicy, Cassandro. - Na widok jej rosnącego niepokoju pospieszył wyjaśnić: - Nic nieodwołalnego, zapewniam cię. Zwyczajna umowa obowiązująca przez jeden wieczór.

Zagryzła wargę, bijąc się z myślami, by wreszcie kiwnąć głową na zgodę.

Hrabia odetchnął z ulgą.

R S

- Dobrze zatem - powiedziała z namysłem. - Rozumiem, że muszę cię od czasu do czasu posłuchać. Cóż takiego miałabym ci obiecać?

- Zamierzam urządzić przyjęcie w najbliższy czwartek, na które zaprosi-

łem genueską śmietankę. Ponieważ jesteś teraz moim gościem, cieszyłbym się, gdybyś zechciała wziąć w nim udział, poznać moich przyjaciół i zachowywać się odpowiednio.

Spojrzała na niego, pałając gniewem.

- A zatem muszę zarobić na moją łódkę! Sprytnie to sobie zaplanowałaś, milordzie. Mam nadzieję, że w tej sytuacji nie muszę ci już dziękować za twoją wyrachowaną hojność!

Uśmiechnął się do niej oschle.

- Nie proszę chyba o zbyt wiele, Cassandro.

- Jesteś piekielnym łotrem, milordzie! - Odwróciła się do niego plecami, chwyciła mokre spódnice i pomaszrowała spieszenie w kierunku ogrodów.

* * *

W ciągu kilku najbliższych dni Joseph zastanawiał się, czy przyjdzie mu resztę życia spędzić na pilnowaniu angielskiej damy kapitana, która wiecznie ostrzy sobie na hrabi język. Joseph wiedział, że prędzej czy później Cassandra poprosi go, żeby pomógł jej uciec. Stało się to pewnego leniwego popołudnia, kiedy wypłynęli łódką łowić na środku jeziora.

- Jesień w Anglii jest taka piękna - zaczęła głosem pełnym smutku.

- Jesień jest piękna prawie wszędzie, *madonna*, oczywiście oprócz pół-

nocnej Afryki. - Joseph zachował stoicki spokój, chociaż dobrze wiedział, na co się zanosi.

- Ale ja pochodzę z Anglii - rzuciła ostrzejszym już tonem - i dla mnie nie ma nic wspanialszego nad rześkie, chłodne powietrze i zmieniające się *R S*

kolory liści. - Jej szczupłe palce zacisnęły się mocniej na wędce i Joseph westchnął.

Położyła dłoń na jego wełnianym rękawie.

- Josephie, dobrze wiesz, że wcale nie chcę być tutaj, że jestem tu wię-

ziona przez hrabiego. Nie pomożesz mi? - Mylnie potraktowała jego milczenie jako oznakę niezdecydowania. - W porcie są statki, angielskie statki. Widzia-

łam je, kiedy wpływaliśmy do miasta. Mogę zdobyć pieniądze. Wiem, że to możliwe. Możemy to tak urządzić, że hrabia uwierzy, że uderzyłam cię i uciekłam. Zobaczysz, nie będzie mógł cię za to winić. Proszę, pomóż mi... musisz mi pomóc!

Joseph podniósł pomarszczoną dłoń.

- *Madonna*, dlaczego ty właściwie nie chcesz poślubić hrabiego? - Nie była przecież głupia i wiedziała, że hrabia jest wysoko urodzony, utytułowany i zamożny. Na dodatek wszystkie damy, które spotkał, uważały hrabiego za niezwykle atrakcyjnego, to znaczy wszystkie oprócz tej jednej.

- Nie życzę sobie, żeby moje imię kojarzone było z jego nazwiskiem.

Nigdy za niego nie wyjdę.

- Ale dlaczego, *madonna*?

- Twój pan, Josephie, porwał mnie w przeddzień mojego ślubu. Udawał przyjaźń nie tylko przed moim bratem, ale nawet przed moim narzeczonym.

A więc był inny, którego nosiła w sercu. Na pewno nie minęło jeszcze dość czasu, żeby mogła o tamtym zapomnieć.

- Rozumiem, że niejeden uznałby czyny kapitana za okrutne. Ale mnie się widzi, *madonna*, że cały ten jego trud to dowód uczucia.

- Nie pomożesz mi?

- Nie, *madonna*.

Cassie pokiwała tępo głową i nie poruszała więcej tego tematu. Z wiel-

kim zdumieniem zauważyła, że zdążyła się do Josepha mocno przywiązać. Był

niezmiernie cierpliwy i nigdy jej nie osądzał, nawet jeśli zdarzyły jej się wybuchy złego humoru. Nic nie mówił, tylko patrzył na nią jasno i łagodnie spod krzaczastych siwych brwi. Wyżyła się na nim poprzedniego dnia, gdyż nie pozwolił jej odwiedzić portu. Wiedziała, że wykonuje tylko rozkazy hrabiego, ale nie mogła się opanować. Żałowała, że w ogóle się do miasta wybrali, choć z drugiej strony bardzo jej podobały wystawy sklepowe, urzekły ją kwiaciarki, które wyczarowywały bukiety cudnej urody i smakowała jej mocna włoska kawa, którą pili pod parasolem na Via Balbi. Joseph pokazał jej też Palazzo Reale, wspaniałą budowlę, otoczoną innymi świetnymi pałacami postawionymi przy tej ulicy. Opowiadał jej o pełnych przepychu komnatach Palazzo, olśniewających barwach arrasów i pastelowej subtelności fresków.

Poczuła nagle pociągnięcie na końcu wędki i gwałtownie się od niego odwróciła.

- Bierze! - zawołała i wyciągnęła rybę.

Wrzucając trzepoczącego pstrąga do koszyka, kątem oka zerknęła na profil Josepha. Była wobec niego niesprawiedliwa.

- Josephie, wybac mi proszę. Zachowywałam się potwornie.

- Może raz czy dwa - odpowiedział spokojnie, chwytając za wiosło, by pomóc jej dopłynąć do brzegu. - Ale dość już o tym, *madonna*.

Przez kilka minut w milczeniu pracowali przy żaglu. Cassie wreszcie przerwała ciszę.

- Wiem, Josephie, że jesteś Korsykaninem. Hrabia opowiadał mi, że Korsyka i Genua walczyły ze sobą, aż genueńczycy przekazali wyspę Francuzom.

Jak to jest, że pracujesz dla wrogów swojej ojczyzny?

Jego pomarszczona twarz przybrała zamyślony wyraz.

R S

- Jestem lojalny wobec jego lordowskiej mości, *madonna*, nie zaś tych przeklętych genueńskich kupców, którzy od lat próbowali złamać dumę mojego narodu.

- Dlaczego wzbudza on taką lojalność?

- Ach, to długa historia i nie nadaje się, jak sędzę, dla niewinnych uszu.

- Jeśli ty mi nie powiesz, Josephie, to będę musiała zapytać hrabiego.

Jej lekkie rozdrażnienie wydało mu się zabawne.

- To twoje prawo, *madonna*. A jego lordowska mość - wzruszył ramionami - ma prawo zdecydować, czy ci o tym opowie.

Zmarszczyła czoło, ale nic nie odpowiedziała. Zaczumowali przy przystani i udali się do willi.

Zostawiła Josepha przy bramie z Sordellem, który wyraźnie uwielbiał starszego marynarza, i poszła do ogrodów.

Rozdział 15

Cassie siedziała na krześle przed toaletką w samych tylko halkach i szlafroku. Rosina stała za nią z pudernicą w ręku i zamierzała pokryć jej złociste włosy białym pudrem. Powstrzymał ją jednak głos hrabiego:

- Nie, Rosino - powiedział, podchodząc z leniwym wdziękiem. - Nie chcę, żebyś pudrowała włosy panienki. Klasyczne uczesanie tak, ale bez pudru, który by zakrył naturalny kolor włosów.

Cassie, choć sama bez entuzjazmu myślała o czekającym ją zabiegu, od-wróciła się gwałtownie i powiedziała ostro po angielsku: *R S*

- Czy ty chcesz kontrolować całe moje życie, milordzie? Musisz mi nawet wydawać rozkazy, kiedy się ubieram?

Czarna brew powędrowała w górę, a twarz hrabiego wyrażała kompletne zaskoczenie.

- Tak się składa, że wiem o twojej niechęci do pudrowania fryzur. Myśla-

łem, że kazałaś Rosinie to zrobić, gdyż sądziłaś, że sprawisz mi tym przyjemność.

Cassie nie pofatygowała się z odpowiedzią na tę prowokację, odwróciła się bowiem do niego i była pod wielkim wrażeniem tego widoku. Wyglądał

oszałamiająco w bogatym stroju wieczorowym z czarnego aksamitu. Kilka warstw puszystej śnieżnobiałej koronki pyszniło się na nadgarstkach i na szyi, a naturalnie czarne upudrowane włosy dorównywały bielą koronce. Leżały na karku związane czarną aksamitną tasiemką. Przy całym swoim rozgoryczeniu nie mogła nie zauważyć, że wyglądał królewsko.

- Tak się cieszę, że przychylnie oceniasz moją aparycję - stwierdził melodyjnym głosem.

- Rzeczywiście nie wyglądasz najgorzej - rzuciła i odwróciła się z powrotem do lustra.

Usiadł obok niej, elegancko zakładając nogę na nogę i przyglądał się, jak Rosina zaplata jej włosy w stylowy warkocz wokół głowy, spod którego spływają na plecy ciężkie pukle. Fryzura stanowiła doskonałe dopełnienie lawen-dowej sukni o dużym kwadratowym dekolcie. Kiedy toaleta dobiegła końca, hrabia wstał i wyciągnął z kieszeni kamizelki długą płaską kasetkę.

- To wszystko, Rosino - powiedział do pokojówki. - Pozwól, że ja dokoń-

czę ubierać twoją panią.

- Co to ma znaczyć, milordzie? - zapytała Cassie nieufnie, zaraz po tym, jak pokojówka wyszła. Odpowiedział jej, wyciągając z pudełka długi sznur lśniących i pięknie dobranych pereł. Zanim zdążyła zaprotestować, owinął go *R S*

dwa razy wokół jej szyi i zapiał.

Wpatrywała się przez chwilę w swoje odbicie, po czym westchnęła głę-

boko i próbując znaleźć palcami zapięcie, oświadczyła:

- Są przepiękne, milordzie, ale nie mogę ich przyjąć. Nie dam ci się ku-pić.

Odpowiedział lekko, kładąc rękę na jej palcach:

- Skąd, *cara*, nie musisz ich przyjmować, bo wcale ci ich nie ofiaruję. Nie próbuję cię kupić, a tylko uświetnić twoją toaletę. Oczywiście zwrócisz mi je po przyjęciu,

- To już wolę nie zakładać niczego!

- Obecni dziś wieczorem panowie bardzo by się ucieszyli, co do tego nie mam wątpliwości. Niemniej jednak wolałbym, żeby to, co skrywa twoja suknia, pozostawić ich wyobraźni.

- Ty draniu! Nie to miałam na myśli i dobrze o tym wiesz.

- Tu mnie masz - przyznał się z czarującym uśmiechem. - Przepraszam, że się z tobą drażnię, Cassandro. Czy uczynisz mi ten honor i zgodzisz się za-

łożyć perły na dzisiejszy wieczór?

Patrzyła na niego podejrzliwie przez kilka chwil. Ponieważ jednak przez cały czas zachowywał powagę i naprawdę wyglądał na skruszonego, ostatecznie kiwnęła głową.

- Zgoda, ale tylko dziś wieczór. - I ze źle ukrywaną goryczą dodała: - Rozumiem, że skoro mam być dzisiaj wystawiona na pokaz, to powinnam prezentować się jak przystało na ekskluzywną kochankę.

Ściągnął gęste brwi.

- Mówiłem ci już, że wcale nie jesteś wystawiana na pokaz, tylko to ty masz sobie obejrzeć moich znajomych. Nie organizowałbym tego przyjęcia, *R S*

gdybym się spodziewał, że możesz zostać źle potraktowana.

- Nie, tego nie pomyślałam - westchnęła. - To by już było zupełnie absurdalne. Musisz jednak przyznać, że moja pozycja w willi Parese jest nie do pozazdroszczenia.

- Ale dotrzymasz obietnicy?

Rzuciła mu sarkastyczny uśmiezek.

- To znaczy nie stanę na stole i nie zacznę wrzeszczeć, że trzymasz mnie w niewoli?

- Otóż to.

- Czy musimy zaraz schodzić, milordzie? - Kiedy nie odpowiadał, dodała przekornie: - A może zamierzasz wymusić na mnie jeszcze jakieś przysięgi?

Tylko nie przeholuj, w końcu ileż warta jest jedna żaglówka?

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie, moja mała, dosyć już obietnic. O jednej rzeczy chciałbym cię jednak uprzedzić. Jednym z moich gości dzisiejszego wieczora będzie hrabina Giovanna Giusti. Nie miałem szczególnej ochoty jej zapraszać, ale signore Montalto, mój bliski przyjaciel i partner w interesach, jest bardzo w niej zako-chany i wyraźnie życzył sobie przybyć w jej towarzystwie.

- I obawiasz się, że będę nieuprzejma dla hrabiny?

- O stosowność twojego zachowania się nie martwię. Jeśli chcesz znać prawdę, hrabina była kiedyś moją kochanką. Oczywiście przed wyjazdem do Anglii zakończyłem ten romans.

- Kochanką? - zapytała lekko zdenerwowanym głosem.

Hrabia uśmiechnął się, położył jej dłonie na ramionach i lekko ucałował

zamknięte usta.

R S

- Tak, ale nie musisz się nią martwić. Mówię to tylko, żeby uczciwie cię uprzedzić, że Giovanna może okazać się nieszczerólnie przyjemna.

- Dziękuję za ostrzeżenie, milordzie - powiedziała głosem tak wyzutym z emocji, że hrabia zastanawiał się, co też ona może myśleć. Wziął ją pod ramię i wyprowadził z sypialni. Żeby poprawić jej trochę humor powiedział:

- Caesare oczywiście też dziś będzie. Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawić w jego towarzystwie.

- Bez wątpienia, milordzie - odpowiedziała tym samym chłodnym tonem.

Łagodnym głosem dorzucił:

- Żebyś czuła się swobodniej oraz pamiętała o naszej umowie, pozwolę sobie spędzić ten wieczór u twego boku.

- Nazwałabym to roztroponą decyzją.

Wyczuł w jej głosie ironię i się rozluźnił. Gdy schodzili po szerokich schodach, jego wzrok spoczął na kremowych perłach zdobiących jej szyję. Naszyjnik ten należał najpierw do jego babki, a potem do matki. To były perły panny młodej, czyli jedyna biżuteria, jaką wolno było nosić młodej kobiecie tuż przed ślubem i w pierwszym roku małżeństwa.

Kiedy znaleźli się już na dole, hrabia z aprobatą kiwnął głową Scargillowi, który stał w liberii lokaja i wydawał polecenia trzem zatrudnionym na ten wieczór służącym.

- Co ma znaczyć ta zboląła mina, Scargill? - upomniał lokaja hrabia. -

Wszyscy musimy się czasem poświęcić. - Słyszac jego burknięcie, uśmiechnął

się szeroko i dodał: - Dopilnuj tylko, żeby wino lało się strumieniami. To ci zapewni pełen sukces.

Cassie z nieskrywaną przyjemnością rozglądała się po holu. Cięte kwiaty wysypywały się z ustawionych przy ścianach wazonów, a dzięki dodatkowym rzędom świec hol i cała willa były tak pięknie oświetlone, że można by wie

czór pomylić z dniem.

Kołatka zastukała głośno i Scargill pchnął jednego ze swoich pomocników w stronę drzwi.

- Wygląda na to, milordzie, że świętujesz dziś w wielkim stylu - pochwaliła Cassie półgłosem. W tym samym czasie drzwi otworzyły się szeroko i w holu pojawił się Caesare.

- Miałem nadzieję, że zyskam twoją aprobatę, *cara*. Ach, drogi bracie, jak zwykle jest na co popatrzeć. - Uścisnął serdecznie wyciągniętą dłoń brata.

- Bo jak zwykle, Antonio, to ja muszę w tej rodzinie kontynuować tradycję elegancji. Ale tak naprawdę to ty, Cassandro, stanowisz niezwykły widok -

zwrócił się do Cassie, zatrzymując wzrok na perłach. - Antonio, nie dziw się, kiedy wszyscy dżentelmeni będą dziś wieczór życzyć ci rychłego zgonu.

Hrabia się roześmiał.

- Liczę na to, że mnie obronisz, Caesare.

- Niestety, drogi bracie - śpiewnie odrzekł Caesare. - Ja będę im przewo-dził. - Zwrócił się do Cassie: - Wiadomo ci zapewne, że każde przyjęcie u hrabiego długo wcześniej staje się tematem rozmów i przewidywań.

Cassie podniosła wzrok znad jego galowego aksamitnego ubrania w kolorze jasnej śliwki, które wieńczyła zwiewna srebrzysta koronka przy szyi, i przekrzywiła pytająco głowę.

- Caesare, moja droga - wtrącił się hrabia - ma na myśli moje angielskie upodobanie do obficie zastawionego stołu.

- Ale co w tym takiego niezwykłego, milordzie? Przecież każdy stara się podać swoim gościom wyszukane potrawy.

Caesare zaśmiał się tęsknie i pokręcił głową.

- Hrabia wspominał pewnie słynne genueńskie skąpstwo? Przejawia się *R S*

ono także w oszczędnych poczęstunkach dla gości. Genueńska szlachta jest w stanie wybaczyć bratu angielskie pochodzenie ze względu na jego hojność, ta-ka przynajmniej jest moja teoria.

Kiedy hrabia skierował się ku wejściu, by powitać signora Montalto, pod-starzałego pulchnego jegomościa o podwójnym podbródku, Cassie towarzyszyła mu z wymuszonym uśmiechem.

- Marcello, oto signorina Brougham, ta młoda angielska dama, o której ci opowiadałem - powiedział hrabia bez zająknięcia.

- Jestem zaszczycony, *signorina* - signore Montalto skłonił się z wyraż-

nym trudem.

Cassie skłoniła głowę i pozdrowiła go. Pytająco popatrzył na hrabiego, ale ruch jego migdałowych oczu uszedł uwagi Cassie, którą zaabsorbowało wejście signora i signory Accorambonis.

- Miło *signorinę* poznać - miłym głosem przywitała się z Cassie signora Accorambonis. - Tak rzadko

widuje się w Genui nowe twarze. Mam nadzieję, że podoba ci się nasze miasto.

- Cała przyjemność po mojej stronie - wieloznacznie odpowiedziała Cassie, świadoma tego, że hrabia się im przysłuchuje. Zdała sobie też sprawę, że signora Accorambonis przypatruje się jej spod ciężkich powiek i na moment zastygła zdenerwowana. Nie mogła jej jednak winić, bo domyślała się, jak angielska arystokracja potraktowałaby cudzoziemkę, która mieszka z angielskim dżentelmenem bez ślubu.

Pomarszczony signore Accorambonis rozplątywał się w grzecznościach.

Kiedy powitali już wszystkich gości, Cassie, wciąż wsparta na ramieniu hrabiego, musiała przyznać, że zgromadzone towarzystwo było doskonale dobra-ne.

R S

Uśmiechnęła się krzywo do hrabiego, gdy Scargill wszedł do jasno oświetlonego salonu i najbardziej oficjalnym głosem, na jaki go było stać, oznajmił, że kolacja jest już gotowa.

Hrabia zaprowadził ją do szczytu stołu i osobiście pomógł usiąść. Ścisnął

lekko jej ramię, po czym skierował się na swoje miejsce na drugim końcu sto-

łu.

Cassie spojrzała na niego przelotnie i w odpowiedzi otrzymała uśmiech, który mówił jej, że doskonale daje sobie radę. Powiodła wzrokiem po siedzących po obu stronach czternaściorgu gościach i z rozbawieniem zauważyła, że suto zastawiony stół pochłania ich bez reszty. Po jej lewej stronie siedział

Caesare, po prawej zaś signora Bianca Piasi, młoda kobieta równie żywa, co śliczna.

- Widzę, że postanowiłaś z nami zostać, *signorina* - zagadnęła ją signora Piasi, która zdążyła już złapać widelec i przymierzała się do wielkiej porcji du-szonego bażanta.

Cassie nie miała pojęcia, skąd signora Piasi wyciągnęła takie daleko idą-

ce wnioski, ale postanowiła tylko się uśmiechnąć i odpowiedzieć:

- Wszyscy są nadzwyczaj uprzejmi, *signora*.

Kiedy signora Piasi skupiła uwagę na swoim talerzu, Cassie odwróciła się do Caesarego, który dziwnie się jej przyglądał.

- O co chodzi? - zapytała zaczepnie. - Czyżbym miała sos na podbródku albo plamy z wina na sukni?

Natychmiast zmienił wyraz twarzy. Przechylił głowę i wesoło odpowiedział:

- W twoim wizerunku nie ma najmniejszej skazy, Cassandro. Zauważy-

łem, że robisz dziś wieczorem furorę. *R S*

Cassie odpowiedziała smętnie:

- To pewnie przez mój koszmarny akcent. Ludzie uważają mnie za zabawne dziwadło.

- Nie sędzę.

Słowa Caesarego powoli przestawały do niej docierać, gdy przyglądała się gościom przy stole. Nie licząc tego, że wszyscy mówili po włosku, nie widziała większej różnicy między zachowaniem geneueńskiej i angielskiej szlachty. Może jeszcze, uzmysłowiła sobie szybko, ci tutaj swobodniej się śmieją i zdecydowanie więcej pomagają sobie rękami, kiedy coś mówią. Jej wzrok zatrzymał się na hrabinie Giovannie Giusti, która siedziała mniej więcej pośrodku, u boku signora Montalto. Była niezaprzeczalnie atrakcyjna i znajdowała się w centrum uwagi. Cassie miała okazję wypowiedzieć zaledwie kilka słów do pięknej hrabiny, gdyż ta zjawiła się jako ostatnia. Hrabina przyjrzała się jej wówczas uważnie i gwałtownie się odwróciła.

- Cassandro, ty mnie ani trochę nie słuchasz.

- Wybacz mi, Cesare. Tyle rzeczy jest tu dla mnie nowych.

Spojrzał na nią z udawanym wyrzutem.

- A ja tu rozprawiam o zaletach geneueńskiego aksamitu i o tym, że niektóre tutejsze damy tak sobie cenią ten materiał, że ich bielizna także musi być aksamitna.

- W życiu o czymś takim nie słyszałam!

Kilka minut później hrabia dał jej znak, żeby wstała, i razem poprowadzi-li gości do salonu, gdzie czekało na nich więcej wina i ciasta. Po chwili hrabia zawołał ją na stronę.

- Mam nadzieję, że zgodzisz się towarzyszyć mi podczas małej narady w interesach. Signore Montalto oczekuje mnie w bibliotece.

Cassie spojrzała na niego zdziwiona.

R S

- Nie wydaje mi się, żeby to było stosowne, milordzie. Signore Montalto na pewno się mnie nie spodziewa.

- Widzę, że nazbyt się przejmujesz konwenansami, *cara*. Czyż nie obiecałem, że nie odstąpię cię dzisiaj na krok?

- Zdaje się, że tak, milordzie - powiedziała nieprzekonana.

- Trochę więcej entuzjazmu poproszę - upomniał ją, otwierając ciężkie podwójne drzwi do biblioteki. Zrobił krok w tył i przepuścił Cassie przodem.

Signore Montalto, który siedział wygodnie w fotelu, podniósł wzrok i się zdumiał. Spojrzał na hrabiego, oczekując, że ten zaraz powie dziewczynie, by zostawiła ich samych. Hrabia jednak zignorował konsternację partnera i uraczył go promiennym uśmiechem.

- Mam nadzieję, że dobrze się bawisz, Marcello - powiedział swobodnie.

- Poznałeś już oczywiście signorinę Brougham.

Signore Montalto podniósł się niezgrabnie i sztywno skłonił się Cassie.

- Napijesz się z nami szklaneczkę sherry, *signore*? - dodał gładko hrabia, przez którego przemawiał już duch przekory. - Marcello jest tutaj, Cassandro, żeby omówić ze mną niełatwy problem. Może zechcesz nam powiedzieć, jakie jest twoje zdanie na ten temat. - Z zadowoleniem stwierdził, że w kącikach jej ust pojawił się lekki uśmieszek.

Schyliła wdzięcznie główkę i odpowiedziała:

- Jeśli tylko będę w stanie, to służę pomocą, milordzie.

Z gracją podziękowała za krzesło, które podsunął jej zdezorientowany Marcello, i usiadła, rozpościerając wokół siebie spódnice. Gdy już się usadowiła, zaczęła sączyć podane przez hrabiego sherry.

Hrabia zaczął:

- Chodzi o holenderską kompanię, która handluje z południowymi koloniami Ameryki. Poniosła ona ostatnio duże straty, co jest także moim zmar-

twieniem, gdyż to ja zapewniałem dużą część kapitału. Holenderski wysłannik przybył do Marcella z propozycją interesu, na którym możemy dużo zarobić.

Marcello, zechcesz przedstawić *signorinie* szczegóły - dokończył hrabia z sar-donicznym uśmiechem.

Cassie przeniosła wzrok na twarz signora Montalto. Ten korpulentny dżentelmen miał wyraźne trudności, żeby zacząć, i Cassie z wielkim trudem udało się stłumić uśmieszek.

- Jak zapewne wiesz, *signorina* - zaczął protekcyjnym tonem, który zdawał się mówić, że na pewno o niczym nie ma pojęcia - południowe kolonie Anglii z roku na rok eksportują więcej bawełny i tytoniu. Nawet ich drewno zaczyna się coraz bardziej liczyć, od kiedy Anglicy ogołocili swoje lasy.

Cassie drażnił jego napuszony ton, ale bardzo starała się ukryć zniecierpliwienie.

- Do czego zmierzasz, panie? - zapytała grzecznie.

Signore Montalto ze zdenerwowania chwycił się swojej czarnej kamizelki.

- Holendrzy handlowali wcześniej z Indiami Zachodnimi, ale z powodu piratów i karaibskich sztormów zaczęli oni, i jego lordowska mość, ponosić duże straty. Stąd zajęli się handlem z południowymi koloniami Ameryki.

- To zrozumiałe, *signore*.

- Ale to nie wszystko, Cassandro. - Hrabia dał Marcellowi znak, żeby kontynuował. Cassie czuła, że hrabia ją obserwuje i wyężyła uwagę.

- Każda przyczyna ma swój skutek - zaczął szumnie Marcello. - Koloni-zatorzy na południu ciągle potrzebują siły roboczej na plantacjach bawełny i tytoniu. Propozycja Holendrów, którą ja, jeśli wolno mi dodać, w pełni popie-ram, polega na tym, by łapać afrykańskich dzikusów i sprzedawać właścicie-lom plantacji. To od razu przyniesie duży zysk. Poza tym w drodze powrotnej *R S*

można by transportować bawełnę i tytoń do Anglii i Europy i tym sposobem podwoić profit.

- Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam, *signore* - powiedziała Cassie. - Uważa pan, że powinniśmy wspierać proceder porywania ludzi i sprze-dawania ich do niewoli?

- Ludzi! - sarknął Marcello. - To są tylko dzikusy, droga damo. Ich jedyną zaletą jest to, że rozmnażają się w zaskakującym tempie i wydajnie pracują w polu.

- A jak też przebiega łapanie tych... dzikusów, *signore*? Czy zastawia się na nich sidła?

- Ależ skąd - pospieszył poinformować ją Marcello. - Sidła mogłyby ich okaleczyć i w ten sposób zmniejszyć ich wartość na aukcji. Oni są jak dzieci, *signorina*. Dają się bez trudu zebrać w grupę i wystarczy wystrzał z muszkietu w powietrze, żeby zrobili, co się im każe.

- Jakie to dziwne, że nazywa ich pan dziećmi. Bo jeśli to prawda, że żyją w stanie pierwotnej niewinności, jak dzieci, to powinna należeć im się ochrona przed drapieżnikami.

- No może nie jest to szczególnie fortunna nazwa - zachnął się Marcello.

Popatrzył na hrabiego, oczekując pomocy z jego strony, ale otrzymał tylko ironiczny uśmiech.

- Przecież każdy kupuje i sprzedaje te czarne pokraki. Kościół nawet nie jest pewien, czy oni mają dusze.

- I oczywiście nie mówią cywilizowanym językiem, to znaczy po włosku, nieprawdaż, *signore*?

- No właśnie, nie mówią, tylko bełkoczą. Wcale się tego nie da zrozumieć.

Cassie powoli wstała z krzesła. Ponieważ *signore Montalto* nie był męż-

czynną wysokim, prawie dorównywała mu wzrostem. Patrząc mu w oczy, powiedziała:

- A więc proponuje pan, żebyśmy godzili się na porywanie i sprzedawa-nie niewinnych kobiet i mężczyzn po to, by zapełnić nasze kieszenie.

- Przecież mówiłem, *signorina*, że to zwierzęta, niecywilizowane dzikusy.

- To bardzo ciekawe, *signore* - rozważała dalej Cassie. - Kiedyś byłam bliska przekonania, że Włosi nie są cywilizowani, nie mówią bowiem po angielsku i wyczyniają tak barbarzyńskie rzeczy, jak zamykanie dziewcząt w klasztorach. Jakże się wtedy myliłam.

Czerwony na twarzy *signore Montalto* odwrócił się do hrabiego. Ten zabrał wreszcie głos:

- Zgoda, *Cassandro*, zgadzamy się, żeby zostawić ludność Afryki w spokoju, choć inni nie będą mieć tylu skrupułów. Nasz finansowy problem pozostaje jednak nierozwiązany.

Hrabia zdawał sobie sprawę, że stawia ją w sytuacji wymagającej do-

świadczenia, którego ona nie posiada, i już miał przyjść jej z pomocą, gdy Cassie zapytała:

- Czy nie jest prawdą, że w koloniach znaleźć można niezaludnione ziemie?

Signore Montalto, który w dość bolesny sposób zdążył się przekonać, że nie należy traktować jej protekcjonalnie, odpowiedział:

- Tak, *signorina*. Ameryka jest tak wielka, że cała Europa, razem z Anglią, zmieściłaby się na wschodnich wybrzeżach.

Przygryzając nerwowo dolną wargę, Cassie niepewnym głosem zwróciła się do hrabiego:

R S

- Wybacz moją niewiedzę, milordzie, ale skoro jest tam tyle ziemi, to czy wolne kobiety i mężczyźni nie nadawaliby się równie dobrze jak niewolnicy?

- Co masz na myśli, *cara*?

- Czy Holendrzy nie mogliby przewozić do kolonii Anglików i Europej-czyków? To znaczy ludzi, którzy chcieliby się tam osiedlić i rozpocząć nowe życie? Wydaje się, że tacy ludzie mogliby zasilić ludność kolonii i przyczynić się do wzrostu produkcji tych cennych towarów, o których wspominał *signore Montalto*, czy tak? Może jestem naiwna, milordzie, ale czy na takim przedsię-

wzięciu nie dałoby się dobrze zarobić?

Zapadła cisza. Cassie nerwowo przebierała nogami.

Signore Montalto przez chwilę gapił się na Cassie zaskoczony. Zaraz jednak przybrał mądry wyraz twarzy i zbył propozycję Cassie machnięciem ręki.

- Tak, *signorina*, rozważyłem tę możliwość. Niestety jednak, nie można tu liczyć na duże zyski.

Hrabia namyślał się, gładząc się po podbródku.

- Zarobek nie byłby oczywiście zbyt duży, gdyż ludzie, o których mówi Cassandra, nie mają zazwyczaj pieniędzy. Poza tym Holendrzy musieliby przystosować statki, gdyby mieli przewozić pasażerów, a nie niewolników. Ale można by spróbować, Marcello. Przedstaw ten pomysł holenderskiemu wy-słannikowi.

- Spróbować nie zaszkodzi, jeśli takie jest twoje zdanie - kompromisowo powiedział Marcello.

- Świetnie. Skoro zatem doszliśmy do porozumienia, to proponuję wrócić do naszych gości.

Gdy wychodzili z biblioteki, hrabia odwrócił się do Cassie, ujął jej dłoń i *R S*

ucałował palce.

- Dziękuję ci, *cara*.

Spojrzała na niego w zamyśleniu i pokręciła głową.

- Nie potrafię cię zrozumieć, milordzie. Co ja mam myśleć o człowieku, który mnie porywa, przywozi do obcego kraju, a potem zdaje się na mnie w interesach?

Wbił wzrok w sznur pereł.

- Nic nie musisz myśleć, Cassandro. Musisz jedynie zostać moją żoną.

Cassie zmarszczyła czoło, obróciła się na pięcie i pomaszerowała do salonu.

- Podoba ci się przyjęcie, Cassandro? - zapytał, kiedy tylko ją dogonił.

- Powiedzmy - stwierdziła - że jestem mile zaskoczona. Przekupiłeś gości, żeby okazywali mi sympatię?

- Jeśli dobre jedło i napitek uważasz za przekupstwo, to odpowiedź

brzmi: tak.

- A ciekawe na jakie pytanie?

Cassie odwróciła się gwałtownie, słysząc dźwięczny głos hrabiny Giovanny Giusti.

- Drogi Antonio - powiedziała miękko Giovanna, smukłą białą dłonią dotykając rękawa hrabiego -

zdążyłam zamienić zaledwie kilka słów z twoją czarującą... znajomą. Anglia niezmiernie mnie fascynuje, wiesz. Czy nie zechciał-

byś zostawić nas na chwilę z *signoriną*, żebyśmy mogły sobie uciąć przyjemną pogawędkę?

Hrabia zawahał się, widząc niebezpieczny uśmiech na wargach Giovanni. Już miał powiedzieć, że będzie się przysłuchiwał rozmowie, gdy Cassie swobodnie rzuciła:

- Tak, milordzie, zostaw nas na chwilę same. Tyle o hrabinie słyszałam, *R S*

że chętnie lepiej ją poznam.

Popatrzył na nią pytająco.

- Niech i tak będzie, moja droga. Ale nie za długo, bo przecież inni goście też chcieliby z tobą porozmawiać.

Hrabia patrzył za odchodzącymi kobietami, udając jednocześnie, że uważnie słucha przyjaciela, który właśnie go zagadnął. Jacopo Sandro był arystokratą w starszym wieku, którego jedyną radością w życiu było sprowadzanie cudaczných peruk z Paryża.

- A więc, *signorina* - zagaiła hrabina - jak oceniasz swój pobyt w Genui?

- Zwiedzanie obcych krajów zawsze jest interesujące, hrabino. - Choć Cassie nie miała okazji spotkać zbyt wielu drapieżnych kobiet, zdążyła się zorientować, że powinna mieć się na baczności.

Wzrok Giovanni spoczął na perłach, które zdobiły szyję Cassie.

- To piękne perły i dość wyjątkowe.

- *Grazie, signora* - odpowiedziała zwyczajnie Cassie, zastanawiając się jednak, do czego hrabina może zmierzać. Pomyślała, że może źle oceniła in-tencje tej kobiety i odwzajemniła komplement: - Pani klejnoty zaś są bardzo eleganckie.

Hrabina schyliła lekko swą długą szyję i z tym samym uśmiechem na pełnych ustach zapytała:

- Czy to hrabia nauczył cię włoskiego?

- Nie, to moja guwernantka. Choć obawiam się, że mój akcent jest okropny.

Czyli Caesare miał rację, pomyślała Giovanna, ta mała ladacznica jest wysoko urodzona. Spojrzała ponownie na perły i poczuła, że ścisła ją w gardle *R S*

ze złości.

- Widzę, że zamierzasz poślubić hrabiego.

Cassie popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

- Skąd takie przekonanie, hrabino?

- Perły, a cóżby innego? W rodzie hrabiego od pokoleń służą za biżuterię panny młodej.

Cassie wpatrywała się w nią tępo, aż wreszcie pojęła zagranie hrabiego i zatrzęsła się z gniewu.

Perły panny młodej! Ten perfidny drań ją namówił, żeby je włożyła. Czy to dlatego goście traktowali ją tak uprzejmie? Czy zaakceptowali ją, ponieważ perły oznajmiały wszem wobec, że ma zamiar ją poślubić? Suchym tonem powiedziała do Giovanny:

- To tylko naszyjnik, hrabino. Zapewniam cię, że nie ma żadnych ukrytych znaczeń.

Giovanna patrzyła na nią zmieszana. Po chwili poczuła wielką ulgę. Czy to możliwe, że hrabia wcale nie chciał wziąć ślubu z tą małą dziwką? Ale z niej kretynka, że otwarcie się do tego przyznała!

- Ale *signorina*, moja droga - słodko powiedziała Giovanna - masz tyle przekonujących wdzięków - popatrzyła wymownie na krągłe piersi Cassie, któ-

re sterczały pod obszytym koronką stanikiem sukni.

- Obawiam się, hrabino, że wdzięki nie mają tu nic do rzeczy, choć muszę przyznać, że za ich przyczyną niektórzy popełniają potworne czyny.

Ponieważ włoska intonacja Cassandry nie pozwoliła hrabinie wychwycić podwójnych znaczeń, Giovanna uznała, że ta mała Angielka jest raczej głupia i do niczego się nie nadaje. Hrabia przecież nie znosi głupich kobiet, przypomniała sobie z zadowoleniem, po czym poklepała Cassie po ramieniu i odeszła.

R S

Cassie patrzyła, jak podchodzi do Bianki Piasi i zdołała dosłyszeć, jak ze śmiechem zauważa:

- Hrabia chyba uważa, że genueńskie towarzystwo nie jest dość urozmaicone. Ale zobacz tylko, co zrobił dla naszej rozrywki: przywiózł nam angielską ladacznicę. Wyobraź sobie, że ta mała właśnie stwierdziła, że perły są bez znaczenia.

Cassie pokraśniała z gniewu i upokorzenia. Jak mogła być taka głupia?

Powędrowała ręką do nieszczęsnego naszyjnika. Och, gdyby tylko hrabia zostawił ją w spokoju!

Cassie postanowiła odreagować, wdając się w niezwykle wesołą rozmowę z Caesarem. Nagle poczuła, że dłużej już nie wytrzyma i urwała w pół zdania, skłoniła mu się przepaszająco i pobiegła na górę. Wpadła do komnaty i otworzyła szklane drzwi. Śródziemnomorska bryza ochłodziła jej rozpalone policzki. Zamknęła za sobą drzwi i zrezygnowana oparła się o balustradę. Zaciśnęła palce na naszyjniku i zerwała go jednym pociągnięciem. Perły rozsypa-

ły się z brzękiem po balkonie, a kilka uderzyło o marmurową statwę w położonym poniżej ogrodzie.

Zastygła na moment, przerażona tym, co zrobiła. Niepomna na kosztowną suknię, rzuciła się na kolana i zaczęła zbierać perły jedną po drugiej. Ale wtedy wróciły do niej strzępki rozmowy z Giovanną i rzuciła garścią zebra-nych klejnotów o posadzkę. Wygładziła suknię, uniosła wysoko głowę i zeszła na dół.

Nie minęła chwila, gdy hrabia znalazł się u jej boku i rzucił jej pytające spojrzenie. Cassie konsekwentnie go ignorowała, żegnając się grzecznie z go-

ściami, którzy powoli opuszczali już przyjęcie. Wiedziała, że brak pereł nie umknął niczyjej uwagi.

- Jakże ci do twarzy... z gołą szyją, moja droga *signorina* - zamruczała *R S*

Giovanna na odchodnym.

- Suka - powiedziała pod nosem Cassie. Mimo to nie przestawała się uśmiechać, z ulgą żegnając wychodzących gości.

Kiedy Scargill zamknął wielkie drzwi wejściowe za ostatnim z nich, hrabia zwrócił się do Cassie z błyszczącymi oczami:

- Chyba jesteś mi winna wyjaśnienie, *cara*.

Jeszcze bardziej zadarła głowę i patrzyła na niego, tkwiąc w upartym milczeniu.

- Dlaczego, Cassandro?

Słowa uwięzły jej w gardle i z niesmakiem zauważyła, że zaczyna łkać.

Otoczył ją ramionami i pogładził po jedwabistych włosach. Łagodnie powiedział:

- Wybacz mi, *cara*. Wydawało mi się, że przyjemnie spędziłaś wieczór.

- Tak - szlochała, odpychając go od siebie. - Tylko że hrabina, to jest twoja *amata* - urwała na moment, a oczy jej zapalały gniewem.

- Moja dawna kochanka - poprawił ją.

Cassie tylko sarknęła przez łzy i zgarbiła się.

- Ona mnie ośmieszyła! Byłam taka głupia!

Hrabia uniósł brwi ze zdziwienia.

- Jak to możliwe? Postawiłbym fortunę na to, że bez trudu rozprawisz się z jadowitym językiem tej kobiety.

- Tobyś przegrał, milordzie. Bo ona mnie zapytała o perły, a ja oświadczyłam, że nie mają one najmniejszego znaczenia. - Smętnym głosem Cassie dodała: - Użyła tego przeciwko mnie. Słyszałam potem, jak rozpowiada wszystkim o twojej angielskiej ladacznicy.

- Ach, tak. A czy mogę zapytać, co zrobiłaś z perłami?

R S

Uśmiechnęła się niechętnie.

- Trzeba je będzie nawlec na nowo. Jak już się wszystkie znajdą.

Cassie odesłała Rosinę spać i siedziała przed lustrem, próbując nie patrzeć na odbicie hrabiego, który właśnie zrzucił szlafrok. Jak zawsze, coś ją jednak podkusiło, żeby zerknąć. Przeciągał się teraz i mogła zobaczyć jego muskularne ciało w całej okazałości. Hrabia nie był szczególnie próżny, ale doskonałości swojego ciała był w pełni świadomy. Jej rzucane ukradkiem spojrzenia zawsze sprawiały mu wielką przyjemność. Podszedł do niej i delikatnie położył jej ręce na ramionach.

- Czy ty nie masz za grosz przyzwoitości? - warknęła, czując, że jej ciało jak zwykle reaguje na jego dotyk.

Schylił się i ucałował jej skroń.

- Za kilka chwil, *cara*, i ja będę mógł cię posądzać o bezwstydną. -

Wyjął szczotkę z jej słabnącej dłoni i przeczesał jej gęste włosy.

- Ramię się zagoiło - powiedziała, patrząc na jego odbicie w zwierciadle.

Nieświadomie napiął mięsień.

- Tak. Niezwykle się cieszę, że nie zrobiłaś ze mnie kaleki na całe życie. -

I z łobuzerskim uśmiechem dodał: - Wciąż jednak sprowadzasz na mnie pewną niemoc, choć na to nie śmiałybym narzekać.

Obląła się szkarłatem i spiesźnie odpowiedziała:

- Na pewno nie jest to gorsze niż niemoc, która mnie ogarnęła w trakcie twojego osławionego przyjęcia.

- Ależ, kochana, sama przyznałaś, że dobrze się bawiłaś tego wieczora, przynajmniej przez większą jego część.

- Joseph - powiedziała nagle oskarżycielskim tonem.

- Joseph, *cara*? - Odłożył szczotkę na stolik i wsunawszy dłonie pod szlafrok, zaczął masować jej

ramiona.

R S

Zamknęła na moment oczy, czując, jak jej ciało domaga się pieszczotliwych ruchów jego palców. Oparła głowę o jego brzuch i kilka długich złotych pukli zaplątało się w czarne włosy na jego kroczu.

- Joseph? - powtórzył miękko.

- Tak - powiedziała cicho i z ociąganiem odsunęła się od niego i wstała.

- Jesteś boska.

Spojrzała w dół i zorientowała się, że poły szlafroka rozsunęły się i widać jej było piersi. Poprawiła szybko szatę i odwróciła się do niego plecami. Nie mogła zapanować nad wzrokiem, który zdradziecko wędrował w dół.

Zaśmiał się cicho, podszedł do łóżka i wyciągnął się wygodnie. Wymownie dotknął miejsca obok siebie.

- Chodź do mnie, Cassandro. Nie mam nic przeciwko krótkiej rozmowie.

Oczekiwanie tylko zwiększa przyjemność.

Usiadła koło niego tylko dlatego, że w ten sposób pozostawał poza jej polem widzenia. Zaraz jej się przypomniało, o co chciała zapytać, i zmarszczyła brew.

- Joseph zachował się ostatnio trochę dziwnie. Zapytałam go, dlaczego Korsykanin służy w Genui, której Korsyka nienawidzi. Powiedział, że jest lojalny wyłącznie wobec ciebie. Kiedy zapytałam o powód, stwierdził, że ta historia nie nadaje się dla moich niewinnych uszu. Jak wiesz, wcale nie są takie niewinne. Dlatego pytam o to ciebie.

Z ciekawości otworzyła szeroko oczy. Hrabia milczał przez parę chwil, bawiąc się kilkoma lokami, które dotykały jego torsu.

- Cassandro - odezwał się wreszcie - jesteś na to zdecydowanie zbyt niewinna. Joseph miał słuszną rację, odmawiając odpowiedzi.

- Nie jestem niewinna - wycodziła, desperacko próbując pohamować wzbierający w niej gniew. - Czyż nie kochasz się ze mną?

R S

- To, że uczyniłem cię kobietą, maleńka, nie zmienia faktu, że jesteś niewinna jak dziecko.

Chociaż na usta cisnęły się jej obelgi, wiedziała, że lepiej na tym wyjdzie, jeśli będzie z nim pertraktować.

- To znaczy, że poprosiłeś dziecko o radę w interesach?

Spojrzał na nią poważnie spod półprzymkniętych powiek i potrząsnął głową.

- Hm. A czy od niewinnej istoty oczekiwałbyś, że zaproponuje sensowne rozwiązanie?

Stłumił wybuch śmiechu. Ponieważ sprytnie jej to szło, nie chciał jej zniechęcać.

- Zdecydowanie nie.

- W takim razie, milordzie - zakończyła triumfalnie - sam musisz przyznać, że nie jestem niewinna, skoro zgodziłeś się z każdym moim stwierdzeniem.

- Poddaję się! Dobrze, *cara*, przekonałaś mnie. Odpowiem na twoje pytanie. - Zobaczył, że mu nie dowierza i nie zwlekając, rozpoczął historię, którą zdążył już w myślach nieco ocenzurować.

- A więc ocaliłem Josepha przed kastracją na statku Khar El-Dina.

- Co to znaczy kastracja?

- Kastracja, moja droga, to pozbawienie mężczyzny męskości. Po tym czeka go śmierć wskutek utraty krwi albo życie eunucha.

Cassie patrzyła na niego z otwartymi ustami i z trudem przełykała ślinę.

Nie była już taka pewna, czy naprawdę chce znać szczegóły.

- Joseph popełnił tę straszną głupotę, że zapalał miłością do jednej z dziewcząt z haremu Khar El-Dina. Jak to się w ogóle stało, że zdołał ją zobaczyć, tego nie wiem. Chociaż pirat darzył go względami, odkrywszy liścik Jo-R S

sepha do dziewczyny, wpadł w taką wściekłość, że przywiązał go do masztu i miał zamiar własnoręcznie wykastrować. Tak się złożyło, że byłem w tym czasie gościem na jego statku i miałem okazję poznać trochę Josepha. Mimo iż je-go przewina była poważna, spróbowałem przekonać Khar El-Dina, żeby odstą-

pił od zamiaru. - Hrabia urwał, nie bardzo wiedząc, jak przejść do kolejnej części.

- I co? - ponagliła go Cassie.

W końcu stwierdził, że nie jest w stanie nic zataić i przybierając beznamiętny ton kontynuował:

- Khar El-Din zakupił wcześniej młodą dziewczę z Kaukazu, którą Turcy porwali i sprzedali na targu

za niebotyczną sumę. Pirat tak jej pożądał, że nie pozostawił jej czasu, by pogodziła się ze swoim upokorzeniem i uznała go za pana. Dlatego też walczyła z nim jak lwica. Mimo że każdej nocy musiał używać siły, by ją osiąść, zupełnie oszalał na jej punkcie. W czasie, kiedy byłem jego gościem, ta sytuacja trwała już trzy miesiące i Khar El-Din wyznał mi, że nie wie, co robić. Doprowadzenie kobiety do poddaństwa i rozkoszy to dla niego punkt honoru, był więc bliski tego, by kazać dziewczynie poderżnąć gardło.

Gdy ja miałem śmiałość wstawić się za Josephem, pirat wymyślił osobliwy zakład.

- Tak?

- Miałem spędzić z nią noc na oczach Khar El-Dina. Jeśli uda mi się doprowadzić ją do rozkoszy, Joseph będzie wolny. Jeśli nie, to ja będę musiał

chwycić za nóż.

Przyjrzał się Cassie, chcąc sprawdzić, jak zareaguje na to niedyskretne wyznanie. Z radością stwierdził, że zacisnęła wargi i wycedziła:

- Rozumiem, że ci się to znakomicie udało.

- Tak, udało się. Ku wielkiej uldze Josepha, jeśli wolno mi dodać.

R S

- Pewnie się mylę, sądząc - powiedziała Cassie, zaskoczona własną gniewną reakcją - że ta dziewczyna miała na imię Zabetta?

Wyszczrzył zęby, a Cassie ręka aż swędziała, żeby go spoliczkować.

- Co za doskonała pamięć, *cara*.

- A ciebie nazwała angielskim ogierem!

- Tak - potwierdził skromnie.

- Cóż, milordzie, ja nie uważam cię za ogiera. Co najwyżej za osła. Ale cieszę się, że uratowałeś Josepha. - Przypomniała sobie spotkanie z piratem na statku. - Khar El-Din nie wyglądał na twójgo dobrego przyjaciela, kiedy wszedł na pokład.

- Nasze stosunki znacznie się pogorszyły w ciągu tego roku.

- Dlaczego?

- Ponieważ żałował on tego zakładu, Cassandro. Z wielką radością by mi ciebie odebrał. Tak, gdybyś przytomnie nie wykorzystwała tego, że muzułmanie boją się szaleństwa jak ognia, Khar El-Din miałby swoją słodką zemstę.

Cassie pomyślała, że może naprawdę oszalała, bo nie mogła powstrzymać uczucia złości.

- Ależ musiałeś pęcznieć z dumy, kiedy udało ci się zmusić biedną dziewczynę, żeby poczuła przyjemność! - wysyczała.

- W gruncie rzeczy - powiedział z rozbijającą szczerością - to był to jeden z niewielu przypadków w moim życiu, kiedy żałowałem, że nie siedziałem cicho, pilnując swoich spraw. A w zakładzie chodziło o to, że miałem ją zmusić, żeby była uległa.

- Wredny drań! - Zaatakowała go pięściami.

- Widzę, że moja pani chce się bawić!

Jego niski męski śmiech rozbrzmiewał jej w uszach. Po krótkiej chwili - a przynajmniej tak się Cassie wydawało - zdjął z niej szlafrok i położył ją na plecach.

cy.

- To przyjęcie trwało za długo - powiedział ze śmiechem i zanim zdążyła się zorientować, co robi, podniósł jej nogi i zarzucił je sobie na ramiona.

- Co ty... - Nie zdołała dokończyć pytania, bo zbliżył twarz do jej kobiecego miejsca, mocno trzymając jej biodra w silnych dłoniach.

Poczuła, jak zanurza w niej język i omdlała z przyjemności. Objął wargami źródło jej kobiecej namiętności i tak ją pieścił i drażnił, że się poddała.

Wyprostował się, nie zdejmując jej nóg ze swoich ramion i powoli wszedł w nią cały. Krzyknęła głośno, a on szybko się wycofał, przeklinając się w duchu.

Była zbyt ciasna, żeby go przyjąć w tej pozycji.

- Nie, proszę... - wydyszała.

- Ale nie chcę sprawiać ci bólu, *cara*.

- Nie sprawiasz. Powiem ci, jeśli zaczniesz.

- A zatem, pani pozwoli.

Gdy znowu znalazł się głęboko w niej, obserwował bacznie jej reakcję.

Choć oczy zaszyły jej mgłą z bólu, mięśnie ud stężały z rozkoszy.

- Kocham cię, Cassandro - powiedział miękko.

Jej źrenice się rozszerzyły i wydawało mu się, że poruszyła wargami. Nie miał jednak pewności. Po

chwili wiała się pod nim miarowo, prowadząc ich oboje do kresu drogi.

Hrabia leżał na plecach, a Cassie przytulona do jego boku. Jej ciało było rozluźnione, a oddech stawał się coraz spokojniejszy, aż wreszcie zasnęła. On uśmiechał się szeroko w ciemności. Miłość fizyczna zdawała się działać lepiej niż duża dawka laudanum, gdyż po akcie miłosnym Cassandra zawsze kuliła się przy nim spokojna i ufna i niemal natychmiast zapadała w sen.

R S

Rozdział 16

Cassie podczas spaceru po ogrodzie owinęła się ciasno peleryną. Po śnia-daniu źle się poczuła i teraz wdychała chłodne czyste powietrze w nadziei, że uda jej się uspokoić żołądek. Zatrzymała się przy okrągłej marmurowej fontannie i zanurzyła palce w zimnej wodzie. Kiedy zmarszczki na wodzie wygładziły się, ujrzała w niej odbicie nie tylko swoje, ale również hrabiego.

- Chciałabyś może złowić pstrąga na obiad?

Na samą myśl o rybie zrobiło jej się znowu niedobrze. Skrzywiła się i odpowiedziała:

- Nie, milordzie, nie sądzę. - Wpatrywał się w nią uporczywie, więc do-dała jeszcze: - Jeśli chcesz wiedzieć, to bierze mnie jakaś choroba. Może to grypa. Pewnie przez tę zmianę pogody.

- Nie, *cara*, nie sądzę, żeby pogoda miała cokolwiek wspólnego z twoim stanem.

R S

- W takim razie - zareagowała ostro - to pewnie dlatego, że za dużo mu-szę przebywać w twoim towarzystwie.

- A to, moja droga, jest już bardziej prawdopodobne. - Dostrzegła błysk jego ciemnych oczu i zaniepokojona przekrzywiła głowę.

- Nie mam ochoty teraz się z tobą spierać, milordzie. Za pozwoleniem...

- Co za wyznanie, *cara*. Jeśli już nawet nie chcesz się ze mną kłócić, to gotów jestem uznać twój stan za poważny.

- Prosiłabym, żebyś przestał zachowywać się jak gbur, milordzie, i zostawił mnie w spokoju. - Odwróciła się, by odejść, ale poczuła na ramieniu silną dłoń. Pomyślała, że jeśli chce się z nią teraz kochać, to chyba po raz pierwszy nie da się skusić, bo tak marnie się czuje.

- Kiedy ostatni raz włożyłaś koszulę nocną, Cassandro?

- Koszulę nocną? - Zdumiało ją to dziwne pytanie, wypowiedziane nad wyraz czułym głosem.

- Właśnie, koszulę nocną - powtórzył stanowczo.

Wzruszyła ramionami.

- Proszę, byś przestał pleść głupstwa, milordzie. Co to ma do rzeczy?

- Droga Cassandro, czy ty zawsze musisz zapominać, że jesteś kobietą?

Nagle poczuła, że blednie. Nie zakładała tej koszuli nocnej od sześciu tygodni, czyli od kiedy byli na statku.

- Wszystko się zgadza, kochana - powiedział z radością. - Nie jesteś wcale chora, Cassandro. Od kiedy zawitaliśmy do Genui ani razu nie nosiłaś koszuli. Nie wiesz, co to oznacza?

Nagle zrobiło jej się sucho w ustach i zaczęła gwałtownie kręcić głową.

- Nie - wydusiła - to nie może być prawda! Nie! - Ale w głębi duszy wiedziała, że to była prawda.

- Nosisz moje dziecko, *cara*... nasze dziecko.

R S

Patrzyła na niego tępym wzrokiem. Była tak zszokowana, że zabrakło jej słów. Miała przecież urodzić dzieci Edwardowi, w Anglii, a nie hrabiemu.

Miała zostać żoną Edwarda.

Jej własny spokojny głos dobiegł ją jakby z oddali:

- Czy od dawna wiesz, że jestem... w ciąży?

- Od ponad tygodnia.

- I dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Miałem nadzieję, że sama to odkryjesz i mi powiesz.

- Zaplanowałeś to sobie, prawda?

- Nie mam kontroli nad siłami natury, Cassandro. Oczywiście, że nie mogłem czegoś takiego zaplanować.

- Drań! - Odwróciła się i pobiegła na oślep, byle jak najdalej od niego.

Potknęła się o rosnącą przy pniu drzewa wystającą kępę mchu i opadła na kolana. W gardle poczuła nadchodzące nudności. Hrabia stanął za nią i przytrzymał ją, odgarniając jej włosy z twarzy. Jej ciałem wstrząsały suche kon-wulsje. Kiedy ustały, była tak wyczerpana, że nie miała nawet siły protestować, gdy hrabia wziął ją na rękę i zaniósł do fontanny.

- Przemij usta, Cassandro. Od razu lepiej się poczujesz.

Mechanicznie zrobiła to, co jej poradził. Ale ledwo zdążyła wypluć wo-dę, te nieznośne nudności wróciły. Jęknęła cicho i złapała się za brzuch.

- Myślę, że powinnaś się położyć, maleńka, i może wypić kroplę brandy na uspokojenie. Za kilka tygodni to wszystko powinno minąć.

Jego praktyczne, niemal fachowe porady ją rozwścieczyły.

- Wyglądasz mi na prawdziwego znawcę, milordzie!

- Owszem - potwierdził spokojnie, ponownie biorąc ją na rękę.

- To znaczy? - zapytała przyciśnięta do jego ramienia.

- Bywałem świadkiem tak śmierci, jak i narodzin, Cassandro. Odebrałem *R S*

poród pokojówki, kiedy miałem niespełna dwadzieścia lat.

- To było twoje dziecko, milordzie, czy nie masz co do tego pewności?

Uśmiechnął się do niej, ale nie dał się sprowokować. W komnacie ułożył

ją delikatnie na łóżku, przykrył cienką kołdrą i się wyprostował.

- Leż spokojnie, moja pani. Przyniosę ci trochę... leczniczej brandy.

Bez słów patrzyła, jak wychodzi z sypialni. Nawet gdyby nie czuła się tak podle, to i tak by milczała, gdyż w głowie miała straszliwy chaos. Powędrowa-

ła dłonią do wciąż płaskiego brzucha i pogładziła go niepewnie. Nie była sobie w stanie wyobrazić, że może nosić w łonie maleńkie dziecko i nic o tym nie wiedzieć. Hrabia na pewno tylko czekał, aż zajdzie w ciążę i jej niepohamowana-namiętność jeszcze mu w tym pomogła. Nie chciała płakać, ale łzy same potoczyły się jej po policzkach. Ależ musi być teraz z siebie zadowolony, pewnie rośnie w dumę na myśl o swoim męskim dokonaniu. Przeklinała go i przeklinała swój los, aż w pewnej chwili musiała zerwać się na nogi i pędzić do stoją-

cego w garderobie nocnika.

Hrabia znalazł ją pobladłą i wyczerpaną w garderobie.

- Chodź, kochana. Pomogę ci.

- Myślę, milordzie - zdołała wysyczeć słabiutkim głosem - że dosyć mi już pomogłeś. Gdybym tylko była mężczyzną, słono byś za to zapłacił!

Zdała sobie zaraz sprawę, że ta uwaga była dość nielogiczna i chociaż miała ochotę zgasić roześmiane ogniki w jego oczach, nie odezwała się już więcej.

- Ja wiem - powiedział tylko i pomógł jej wrócić do łóżka.

Dolał do brandy kilka kropli laudanum i po kilku minutach jej głowa opadła na poduszkę. Bezgłośnie przysunął fotel do łóżka i usiadł, wypełniając swoim olbrzymim ciałem całe siedzenie. W zamyśleniu bębnił palcami po po-ręczy i patrzył na twarz śpiącej Cassie. *R S*

Lekko się uśmiechnął, przypominając sobie, jak poważnie oskarżyła go o to, że zaplanował jej ciążę. Pomyślał, że gdyby to w ogóle było możliwe, z pewnością by to rozważył. Teraz, kiedy w jej ciele i w jej życiu miała zajść ta-ka zmiana, liczył na to, że gdy już skończy się na niego wściekać, zrozumie,

że chce z nim być.

W jego oczach dało się dostrzec dumny błysk, tak wyraźny, że gdyby Cassie nie spała, na pewno by mu tego nie darowała. Pozwolił sobie na szeroki uśmiech.

Po jakimś czasie wstał, delikatnie pogłaskał ją po policzku i wyszedł z komnaty.

Na dole schodów spotkał Scargilla i z radosnym uśmiechem podzielił się z nim dobrą wiadomością.

- Czyli dopiąłeś swego, panie - powiedział powoli Szkot, ciągnąc za rudy kosmyk, który opadł mu na czoło.

- Tylko mnie nie oskarżaj, że zrobiłem to z premedytacją.

Scargill lekko się uśmiechnął.

- Założę się, że tak właśnie pomyślała *madonna*. Ona jest ciutkę niewinna. Właśnie ci o tym powiedziała, panie?

- Nie, przyjacielu. To ja jej obwieściłem tę radosną nowinę. Ona teraz śpi, bo źle się czuje.

- Aha.

- Co „aha”?

- Ta wstrętna baba Marrina jęczała mi za uszami, jaki to panie jesteś nie-przyzwoity. Unosiła się, że widziała, jak przed południem niosłeś *madonnę* do sypialni, żeby... uwaga: zacząć dzień od grzechu.

Hrabia się zasepił.

R S

- A myślałem, przyjacielu, że zdołałeś zamknąć tej kobiecie usta. Jeśli nie zmieni swojego zachowania po naszym ślubie, to każę ją zwięzać, zakne-blować i odstawić do klasztoru.

Scargill filozoficznie wzruszył ramionami.

- Przynajmniej nie musisz się martwić Rosiną ani resztą służby. Wszyscy *madonnę* lubią.

- To mnie cieszy. Scargill, idę powiedzieć Josephowi. Mam wielką nadzieję, że on zdoła wyperswadować jej teraz co bardziej szalone przedsię-

wzięcia. - Idąc w stronę wyjścia, rzucił jeszcze przez ramię: - Jeśli zaczniesz miotać na ciebie przekleństwa, to nie mów, że cię nie ostrzegałem.

- Moje gratulacje, panie - powiedział Joseph, którego hrabia znalazł w stajni przy koniach. W jego głosie pobrzmiwało jednak leciutkie rozczarowanie. Odłożył widły i odwrócił się, żeby pogłaskać

Cicero, hrabiowskiego ogiera. - Rozumiem zatem, że nie będziesz mnie już potrzebował przy *madonnie*.

- Wręcz przeciwnie. Ona na pewno będzie cię teraz bardziej potrzebować niż mój koń. Ufam, że zdołasz utrzymać ją w ryzach i dopilnować, żeby nie robiła żadnych głupstw.

Joseph kiwnął głową, a w jego niebieskich oczach ponownie zagościł

spokój. Nagle coś sobie przypomniał, zaśmiał się i pokręcił głową.

- Wiesz panie, przyszła mi powiedzieć, że streściłaś jej moją mrozącą krew w żyłach historię. Nazwała mnie głupcem, ale zapewniła też o swojej radości, że pozostałem mężczyzną. Była przekonana, że nie czułbym się szczę-

śliwy jako eunuch.

- Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe, Josephie. O ile dobrze pamiętam, nie miałem innego wyjścia, jak tylko jej ustąpić. Potrafi czasem być bardzo uparta.

R S

- A ona nie poczuła się urażona, kiedy się dowiedziała, jaką rolę ty, panie, odegrałeś w całej historii? - Joseph zagwizdał, bo ciągle nie mógł się nadziwić, że hrabia zdradził jej szczegóły.

- Zapewniam cię, że ją to dotknęło, co zresztą bardzo mnie cieszy. Będzie z niej niezwykle lojalna żona. Gdybym kiedykolwiek pomyślał o zdradzie, to pewnie powstrzymałby mnie strach przed karą nie mniej surową niż ta, którą Khar El-Din planował dla ciebie.

W ciągu kilku następnych dni hrabia pozostawił Cassie w spokoju, gdyż widział, że potrzebuje być sama. Często milczała, a ściągnięte brwi zdradzały, że dużo rozmyśla. Jedyne, co mógł dla niej zrobić, to rozsądnie planować posiłki. Dzięki temu mdłości powtórzyły się tylko raz.

Pewnego wieczora po cichej kolacji, w trakcie której jej głównym zaję-

ciem było dziobanie widelcem w jedzeniu, Cassie nagle zdecydowanym ruchem odłożyła sztućce i spojrzała hrabiemu w oczy.

- Prawie nic nie zjadłaś - zauważył zmartwiony, patrząc na jej prawie pełny talerz.

Zbyła jego słowa ruchem szczupłej dłoni.

- Chcę z tobą porozmawiać, milordzie.

Mocniej otuliła się szalem, po czym nerwowo zacisnęła palce na nóżce kieliszka z winem.

- O czym chciałaś powiedzieć, *cara*?

- Jestem w ciąży.

Jej stwierdzenie brzmiało dość pozytywnie, więc pozwolił sobie na uśmiech.

- Zaiste, to prawda.

- Wiele nad tym myślałam i postanowiłam, że nie mogę wrócić do Anglii... ani do Edwarda w moim obecnym stanie.

R S

Wziął głęboki oddech, świadom, że serce bije mu jak oszalałe. Czekał na to, co powie.

- Rozumiem, że nie mogłeś tego tak całkiem zaplanować. Niemniej jednak wychodzi na to samo. Nie mogę pozwolić, żeby moje dziecko urodziło się jako bękart.

Kiwnął głową i czekał dalej. Jego ciemne źrenice rozszerzyły się ze zdumienia, gdy usłyszał jej słowa:

- Zauważyłam, milordzie, że mnie unikasz, za dnia i w nocy. Czy to znaczy, że uważasz mnie teraz za... odrażającą?

- Odrażającą! Na Boga, kobieto! Wydawało mi się, że tego właśnie ode mnie oczekiwałaś. Zostawiłem cię w spokoju, żebyś się mogła uporać ze swoimi uczuciami. Zaraz ci, *cara*, pokażę, jaka jesteś odrażająca.

Wstał z krzesła, wziął ją na ręce i mimo jej słabych protestów, zaniósł na górę.

- Sama powiedz, kochana - zapytał, kiedy się kochali - czy wyglądam na mężczyznę, który czuje do ciebie odrazę?

Wszedł w nią jeszcze głębiej i poruszał się powoli, a Cassie jęczała cicho, nie bacząc na potargane włosy, które zachodziły jej na twarz.

- Czy tak?

- Nie - jęknęła miękko.

Poruszali się w jednym rytmie, jego silne ciało pokrywało ją, rozgrzewało swoim żarem, a ona przyciągała go do siebie, wtulając twarz w jego ramię.

Przez kilka nieskończenie długich chwil jej ciałem targały wybuchy rozkoszy i czuła wtedy, że są jednością, że jest w jego posiadaniu ciałem i duszą. Gdy ochłonęła trochę i to niesamowite uczucie minęło, z przerażenia zaniósł ją *R S*

szlochem.

Hrabia, który także wracał z krainy rozkoszy, spojrział na nią ze zdumieniem. Przyłgnęła do niego z całych sił i czuł na torsie jej łzy.

- Dobry Boże, kobieto, co to ma znaczyć?

- Nienawidzę cię - łkała, ale trzymała się go mocno.

- Ach, to zupełnie naturalne. - Zatrokszał się, że może ją zgniatać swoim ciężarem i zsunął się na bok, pociągając ją za sobą.

Pomyślał, że przez tę ciążę nachodzą ją niepoważne myśli i postanowił trochę się z nią podrażnić.

- To lepsze niż gdybyś mnie wykorzystała, a zaraz potem zasnęła i zaczęła chrapać.

Poczuł, jak jej miękkie piersi odrywają się od jego torsu. Podniosła się, żeby spiorunować go wzrokiem.

- Jak śmiesz, ty nędzny draniu! Ja nie chrapię!

- Nie, oczywiście, że nie - uspokoił ją i odgarnął jej włosy z zarumienionej twarzy. Łagodnym głosem zapytał: - Czy uczynisz mi ten honor i zostaniesz moją żoną?

Przez ułamek sekundy zobaczył w jej oczach rozdierający ból i po raz kolejny żałował, że Edward Lyndhurst w ogóle się narodził.

Ale nie do końca miał rację. Edward był dla Cassie tylko mglistą, odległą postacią. Jej ból rodził się ze strachu, strachu przed samą sobą i przed przyszłością, której nie potrafiła jeszcze ogarnąć. Spuściła wzrok i szepnęła:

- Tak, jeśli tego chcesz.

- Zawsze tego chciałem - powiedział stanowczo i lekko ucałował czubek jej nosa. Pomógł jej się ułożyć u swojego boku.

- Teraz śpij, ukochana. I nie musisz się martwić, że przez twoje chrapanie nie będę mógł zasnąć. Jest ciche i bardzo kobiece.

R S

Rozdział 17

Hrabina Giovanna Giusti była wściekła. Cisnęła o kominek bezcenną, genialnie wykonaną wazę z dynastii Ming, która była jednym z najcenniejszych eksponatów jej zmarłego męża, i patrzyła jak

porcelana roztrzaskuje się na ty-sięc drobnych kawałeczków.

- Co tak stoisz, ty niezdaro?! - wrzasnęła na skuloną ze strachu służącą. -

Rusz się i posprzątaj!

Ten wybuch uspokoił ją na tyle, że czuła się na siłach przygotować do spotkania z Caesarem.

Tego popołudnia leżała pod nim, krzywiąc się z niewygody. Wziął ją gwałtownie, nawet nie myśląc o jej przyjemności. Uniosła kąciki ust w lekkim uśmiechu. Słyszała plotki, że Caesare nie zawsze jest takim nienagannym dżentelmenem. Podobno zdarzyło mu się napastować niejedną kobietę. Delikatnie odsunęła się od niego.

R S

- Najdroższy Caesare - upomniała go łagodnie.

- Ależ mnie brutalnie potraktowałeś. Czy zrobiłam lub powiedziałam coś, co cię rozgniewało?

- Niech go diabli! - burknął cicho.

Zaraz się opamiętał i powoli odwrócił twarzą do Giovanny.

- Wybacz mi, pani - dodał, jakby mimochodem.

- Widzę, że słyszałeś najnowsze wieści - powiedziała ze współczuciem.

- Tak - odpowiedział, nie zastanawiając się, skąd ona wie o ciąży Cassandry. - Hrabia radośnie poinformował mnie wczoraj przy kolacji. Dodał jeszcze, że potrzebny jest teraz pośpiech. - Zamilkł na chwilę i podparł się na łokciach.

- Cholera! Załatwiła mnie ta angielska przybłęda. Teraz, kiedy świata poza nią nie widzi, nie będzie miał już dla mnie czasu. A przecież jestem jego dziedzicem.

Giovanna wybiegła naprzód myślami.

- Może spróbować ją przekupić?

- Pleciesz bzdury, Giovanni! Zapominasz, jak wielkie jest bogactwo mojego brata? Czym niby miałbym ją przekupić?

Giovanna opuściła głowę.

- Przepraszam cię, Caesare. Tylko serce mi się kraje, kiedy widzę, jak się tym gryziesz. Musiałeś przecież liczyć się z tym, że pewnego dnia hrabia się ożeni i spłodzi dzieci... Synów, którzy zostaną dziedzicami majątku?

- Ciągle jeszcze to ja jestem dziedzicem.

- Nie dłużej niż kilka miesięcy, jeśli dobrze rozumiem.

Popatrzył na nią ze złością, aż rozsądek wziął górę i Caesare, wzruszając ramionami, stwierdził:

- Nic się na to nie da poradzić.

Boże, ale słabeusz, pomyślała Giovanna.

R S

- Drogi Caesare - zaczęła przymilnie - nie chciałabym patrzeć na to, jak jakaś cudzoziemska dziwka kradnie to, co prawowicie należy do ciebie. Przecież to nie przystoi, żeby ziemie i majątek Parese przeszły na jej angielskie dzieci. Mam nieodparte wrażenie, że wbrew temu, jak to hrabia przedstawia, ona go wmanewrowała w to małżeństwo. Chce jego pieniędzy dla siebie i swoich bachorów. Myślę, Caesare, że to sprytna mała suka, która zamierza popsuć twoje stosunki z bratem.

Caesare powiedział z namysłem:

- Dziwne, że do samego powrotu z Anglii nie wspominał, że zamierza ją ze sobą przywieźć.

- To dlatego, że nawet nie wiedział o jej istnieniu. Czy ty tego nie widzisz, Caesare, że ona go omotała? Zdawała sobie sprawę, że nie przekona go do ślubu, jeśli nie zajdzie w ciążę. - Giovanna rozłożyła bezradnie ręce. - Zastanawiam się nawet, czy hrabia naprawdę jest ojcem jej dziecka.

- Mój przyrodni brat nie jest głupi.

- Może nie w tej sprawie, ale na pewno ciebie nie traktował tak, jak by należało. Ten głupi staruch, Montalto, wciąż cieszy się jego zaufaniem, podczas gdy ty... - Wzruszyła białymi ramionami.

- Podczas gdy ja co? - wycodził przez zęby.

- Wcale nie chcę powiedzieć, że hrabia nie darzy cię uczuciem. Ale czy kiedykolwiek dopuścił cię do swoich interesów?

- Przecież dobrze wiesz, że nie. Traktuje mnie po prostu jak sympatycz-nego chłoptasia, którego nie bierze się poważnie.

- Ale gdyby hrabia znowu był sam, to nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to właśnie ty jako najbliższy krewny zaskarbiłbyś sobie jego względy i zaufanie.

Caesare odsunął się od niej, wstał i spojrzał na nią z góry.

R S

- Co chcesz przez to powiedzieć, Giovanni?

- Mówię tylko, kochany, że nie powinieneś pozwolić, by pozbawiono cię tego, co do ciebie należy.

Caesare spojrzał głęboko w jej sarnie brązowe oczy i zdumiała go zuchwała myśl, którą w nich wyczytał. Być może powodowała nią zazdrość o hrabiego, ale odkrył, że nawet jeśli tak, niespecjalnie go to dotyka.

Pomyślał przez moment i zmarszczył brwi:

- Załóżmy, że masz rację. Ale co można na to poradzić?

- Hrabia nie może poślubić tej małej żolzy. - Patrzyła na niego spod łukowatych brwi. - A ty nie miałbyś na nią ochoty, Caesare, chociaż raz? Skoro utrzymuje przy sobie hrabiego, to musi używać w sypialni przemyślnych sztuczek.

Caesare przypomniał sobie, że na widok Cassie czuł już w lędźwiach wzbierające pożądanie. Ale odpowiedział Giovannie szorstko:

- Miałbym uwieść kobietę mojego brata? Bardzo mało prawdopodobne.

- Nie, uwieść byś jej nie zdołał.

- A myślę, że sposoby rodu Borgiów wyszły już z użycia.

- Ale są jeszcze inne metody, nieprawdaż? Metody, które nie rzuciłyby ani cienia podejrzeń na lojalnego brata hrabiego.

Wbrew sobie Caesare poczuł dreszcz podniecenia i zarazem strachu.

- Tak - powiedział bardzo powoli - są inne sposoby. Tylko że to niebezpieczne, Giovanni, bardzo niebezpieczne.

- Ale ty jesteś takim sprytnym mężczyzną, kochany.

Raz jeszcze popatrzył jej głęboko w oczy. Potem odwrócił się i podniósł swoje porzucone ubranie.

- To musi pozostać naszą tajemnicą, Giovanni - oświadczył, kiedy był

R S

już gotowy do wyjścia.

- Oczywiście, *cara*. Naszą małą tajemnicą.

Schylił się i lekko pocałował jej miękkie usta.

- Będę za tobą tęsknić, mój drogi - krzyknęła za wychodzącym Caesarem.

Cassie zasłoniła oczy przed słońcem, wchodząc po schodach na taras, z którego rozciągał się piękny widok na Genuę i połyskujące błękitem Morze Śródziemne. Czuła się dziwnie ospała, jakby była pod działaniem leków. Nie mogła uporządkować kłębiących się w głowie myśli. Przypuszczała, że to skutki porannych torsji. Przez całe osiemnaście lat życia nie zaznała tego typu dolegliwości, jeśli nie liczyć tego, pomyślała z tęsknotą, jak się pochorowała, kiedy w wieku siedmiu lat przejadła się słodyczami w święta.

Odwróciła się od spektakularnego widoku i uklękła, by powąchać rozkwitłą czerwoną różę. Upojne, słodkie zapachy otulające ogród wkrótce przeminą, gdyż lato ma się ku końcowi. Pomyślała, że najbardziej będzie jej brakowało świeżych ciętych kwiatów, które Rosina codziennie przynosiła jej do pokoju. Wyprostowała się powoli i dostrzegła Josepha, który rozmawiał z Paolem w położonym niżej ogrodzie. Uwielbiała przyglądać się Josephowi, kiedy z kimś rozmawiał, bo choć jego spokojna twarz rzadko zmieniała wyraz, dużo mogła wyczytać z jego ożywionej gestykulacji.

Ale tego popołudnia nawet to nie było w stanie przykuć jej uwagi. W

gruncie rzeczy nic jej nie interesowało. Zastanawiała się, czy zamienia się powoli w słabowitą damę podobną do lady Cumberland, która rodziła jedno dziecko na rok i większość czasu spędzała w łóżku, nie ruszając się nigdzie bez zapasu soli trzeźwiących.

Cassie odwróciła się i zaczęła maszerować w stronę winnic. Stała, kiedy

usłyszała krótki oddech Josepha za plecami.

Zacisnęła ze złości wargi i odwróciła się do niego:

- Do czorta, Josephie, zostaw mnie w spokoju!

Joseph stanął jak wryty. Po chwili złapał oddech i powiedział łagodnie:

- *Madonna*, nie wolno ci się ekscytować. Nie chcesz przecież zrobić krzywdy sobie ani temu dziecku, które nosisz.

Jego uspokajające słowa wywarły efekt zupełnie odwrotny i wrzasnęła na niego urywanym głosem:

- Czy hrabia nie zrobił już dosyć! Musi ciągle cię na mnie nasyłać, żeby śledzić każdy mój krok! Nie wystarczy mu to, że dopiął swego, że noszę jego przekłete dziecko? Niech was wszystkich diabli porwą!

Uniosła spódnicę, obróciła się na pięcie i poszła w stronę jeziora. Joseph stał przez chwilę przerażony jej niemal histerycznym tonem. Podjął szybką decyzję i pomaszerował w stronę willi.

Kiedy jego kroki ucichły w oddali, Cassie się zatrzymała. Próbowwała odpedzić od siebie straszne, splątane myśli, ale jej się to nie udawało. Triumf hrabiego był zupełny i nie mogła temu zaprzeczyć. Uległa mu w niecałe trzy miesiące. Ona, która raz po raz przysięgała, że nigdy, przenigdy go nie

poślubi.

Wszystko przez to przeklęte dziecko w jej łonie, dziecko poczęte z namiętności i nienawiści. Ale ona okazała się tak słaba, że w ciągu zaledwie kilku dni ugię-

ła się i oddała w jego ręce siebie i swoją przyszłość. Przyłożyła dłonie do czo-

ła, na próżno próbując odeprzeć natłok rozpaczliwych myśli.

- Cassandro!

Odwróciła głowę i zobaczyła, że hrabia spiesźnie idzie w jej stronę.

Na ten widok coś w niej pękło i rzuciła się przed siebie, byle jak najdalej od niego. Pędziła do jeziora, a w uszach dzwonił jej własny piskliwy śmiech.

Hrabia dosłyszał ten śmiech i ogarnął go zimny strach. Na jedną straszliwą *R S*

chwilę znikła mu z oczu w gęstwinie oleandrów. Przedzierał się przez lasek na oślep, nie zwracając uwagi na to, że wystająca gałąź rozdarła mu rękaw koszuli i rozcięła ramię. Widział ją teraz, jak gna na oślep do jeziora, z rozwianymi na wietrze włosami. Na Boga, co mogło się jej stać?

- Cassandro! - zawołał jeszcze raz.

Na ułamek sekundy stanęła, zastygła jak przerażone zwierzątko, by zaraz poderwać się na nowo do szaleńczego biegu.

Była zaledwie parę metrów od wody, kiedy wreszcie złapał ją wpół i od-ciągnął od jeziora. Młóciła na oślep ramionami i kopała go w napadzie lęku i furii, których przyczyn nie rozumiał. Natychmiast przygwoździł jej ręce do boków i przycisnął ją mocno do siebie.

- Przestań, Cassandro! Uspokój się. - Potrząsnął nią.

Popatrzyła na niego w milczeniu. Jej źrenice były pociemniałe i rozszerzone.

Naskoczyła na niego jak obłąkana:

- Niech cię cholera! Puszczaj mnie! Nie będę twoją własnością, słyszysz!

Nie zmusisz mnie do posłuszeństwa... ty i twoje przeklęte dziecko! Nie rozumiesz? W Anglii nie ma palm, winnic, gajów oliwnych... w Anglii nie ma wię-

zienia i strażników!

Zagryzł zęby i wymierzył jej policzek. Głowa jej odskoczyła od siły uderzenia. Wtedy uderzył ją po raz drugi. Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby jej nie przytrzymał.

- W Anglii nie ma gajów oliwnych - powtórzyła pełnym rozpaczy urywanym szeptem.

Hrabia wyczuł, że Cassie tkwi w szponach straszliwej trwogi. Była jak dziecko, przemocą wyrwane ze świata, który zna. A teraz jeszcze nosi w sobie dziecko, jego dziecko. Opierała się czołem o jego tors, a ręce zwisały jej bezR S

władnie po bokach.

- Nie, Cassie - powiedział łagodnie, głaszcząc ją po włosach - w Anglii nie ma gajów oliwnych. - Tulił ją do siebie i delikatnie gładził jej ramiona.

Przez kilka minut trwali w ciszy. Wreszcie Cassie wyprostowała się, zadarła głowę i popatrzyła na niego jasnym wzrokiem:

- Nigdy przedtem nie nazwałeś mnie Cassie.

Dotknął palcami jej policzka, jakby chciał zetrzeć czerwone ślady pozostałe po jego własnej dłoni.

- Masz rację. Tak jak w Anglii nie ma gajów oliwnych, tak do tej pory wydawało mi się, że we Włoszech nie ma Cassie, tylko Cassandra. - Umilkł i zapatrzył się w spokojną toń jeziora. Gdy wreszcie przemówił, jego głos był

opanowany, ale Cassie wyczuwała wielkie napięcie. - Dużo się ostatnio wydarzyło i to w niedługim czasie. Jeśli sobie tego życzysz, możemy poczekać ze ślubem kilka miesięcy.

Chciała się od niego odsunąć i zwolnił uchwyt.

- Dlaczego wciąż każesz Josephowi mnie pilnować?

- Ależ on cię już nie pilnuje, *cara*. Jest tylko twoim towarzyszem, opiekuje się tobą, żeby nie stała ci się żadna krzywda. Jeśli jego obecność cię męczy, to go odeślę.

Westchnęła i wierzchem dłoni dotknęła palących policzków.

- Nie, nie chcę, żeby odszedł.

- Cieszę się. Może ci się do czegoś przyda, na przykład uratuje ci życie na jeziorze, gdy zdarzy ci się pomylić dziób z rufą.

Jego żart wywołał leciutki uśmiech i hrabia zupełnie już rozluźnił uścisk.

- A co z naszym ślubem, Cassandro? Spojrzała na niego lekko zawstydzona.

- Chyba zachowałam się niepoważnie. - Zawahała się przez chwilę, ale R S

zaraz pewnym głosem powiedziała: - Sam wiesz, milordzie, że czekanie niczego nie zmieni, a ja nie chcę być grubą panną młodą.

Uśmiechnął się na myśl o Cassandrze z dużym brzuchem.

- To prawda, nic się nie zmieni. To przeklęte dziecko i tak będzie sobie rosnać w błogiej nieświadomości.

- Ono nie jest przeklęte! - Oplotła rękami brzuch w ochronnym geście.

Nagle oblała się rumieńcem, bo zdała sobie sprawę, że tylko powtórzył jej sło-wa. - Tego akurat nie mówiłam poważnie.

- Ale resztę tak.

- Tak - potwierdziła buntowniczo, odchylając do tyłu głowę.

Uśmiechnął się do niej zagadkowo i podał jej ramię.

- Jeśli dzidzius zamierza sprowadzać na mamę napady szaleństwa i sprawiać, że ojciec odchodzi od zmysłów ze strachu, to myślę, że będę musiał się z nim rozmówić jeszcze tego wieczora.

- Myślę, milordzie, że dzidzius już teraz uważa ojca za okrutnika, który zakłóca jego spokojną egzystencję.

- Potraktuję to jako komplement, moja droga. A teraz, jeśli zechcesz udać się ze mną do willi, to chciałbym, żebyś usłyszała od Marcella odpowiedź

przedstawiciela holenderskiej floty handlowej. Starła się okazać zainteresowanie.

- To już znasz odpowiedź, milordzie? Nie każ mi czekać. No dalej, jaka jest decyzja?

Potrząsnął głową, z ulgą myśląc, że odzyskała równowagę.

- Musisz nauczyć się cierpliwości, moja pani. Mogę tylko zdradzić, że w ciągu paru lat powinniśmy powetować straty.

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową. Gdy ruszyli w stronę willi, starała się stawiać większe kroki, by iść równo z nim.

R S

* * *

Hrabia wytarł się ręcznikiem i szybko włożył bieliznę i bryczesy, które podał mu Scargill.

- Niedługo pomyślę, że jesteśmy z powrotem w Szkocji - powiedział

Scargill, patrząc na gromadzące się na niebie deszczowe chmury i trzęsąc się z zimna. - A ty, panie, ciągle upierasz się przy swoich ćwiczeniach. Przecież przy takiej pogodzie nawet Szkot by kiltu nie

ściągnął. - Popatrzył na jezioro i pomyślał, że woda nie może być cieplejsza od jego zmarzniętych palców. Potrząsnął głową. Hrabia, jak to miał w zwyczaju, zanurkował z wąskiego drewnianego pomostu i przepłynął całe jezioro tam i z powrotem. Wydawał się przy tym radować orzeźwiająco chłodną wodą oraz, pomyślał Scargill, ruchami swoich muskularnych ramion i nóg.

- O czym tam mruczysz pod nosem, przyjacielu? - Ze słów Scargilla niewiele do hrabiego dotarło.

Ciągle trwał jeszcze w błogim stanie relaksu po ciężkim wysiłku. Myślał

też o Cassandrze. Już za tydzień miał się ożenić i choć przyjaciele hałaśliwie opłakiwali koniec jego kawalerskiego życia, on tylko się z tego śmiał i nie przestawał być z siebie zadowolony. Po tym, jak tyle energii włożył w zdobycie jedynej kobiety, której pragnął za żonę, nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby doświadczyć tych wszystkich rozczarowań, o których mówili mu żonaci przyjaciele.

Wczesnym rankiem tego dnia poprosił o śniadanie do sypialni. Cassandra posłusznie spożyła kawałek suchego tosta, po czym natychmiast pobladła i nie wkładając nawet szlafroka, pobiegła po nocnik. Gdy trzęsąc się z zimna, wróci-

ła do łóżka, popatrzyła ze złością na resztki krwistego befsztyka na jego talerzu i sarknęła:

R S

- To niesprawiedliwe, że ty się napychasz, a to ja dostaję mdłości. I żądam, żebyś przestał szczerzyć zęby jak skończony kretyń!

W odpowiedzi uśmiechnął się jeszcze szerzej. Dzięki Bogu, że nie musiał

już się martwić o jej nieobliczalne zachowanie i wybuchy hysterii. Wszystko wróciło do normy i nie posiadał się z radości, że odzyskał swoją lisicę o ciętym języku.

- Pozwól skończonemu kretynowi trochę cię ogrzać, *cara* - powiedział i wziął w ramiona jej drżące ciało.

* * *

- Zbiera się na deszcz, panie, i wcale mi się to nie podoba.

Mamrotanie Scargilla wyrwało hrabiego z zamyślenia. Kończąc nakładać kamizelkę, zapytał:

- Co ci się nie podoba tym razem?

- To, że *madonna* z Josephem pojechali konno, żeby urządzić sobie pik-nik na wzgórzach. Ona jest strasznie uparta, a ty, panie, nie robisz nic, żeby przywołać ją do rozsądku.

- Świeże powietrze dobrze jej zrobi. Joseph dopilnuje, żeby wrócili, jeśli tylko zaczną padać, więc nie frasuj się zbytnio. - Hrabia wolałby sam z nią pojechać, ale dzień wcześniej „Cassandra” wróciła

z rejsu do Wenecji i pan Donnetti oczekiwał na niego ze sprawozdaniem handlowym. Z niecierpliwością pomyślał, że wkrótce będzie mógł ocenić jakość weneckiego jedwabiu, który sprowadził dla Cassandry. Liczył, że zdoła obudzić w niej kobiecą próżność, jeśli ona coś takiego w ogóle w sobie ma.

Nie zawracał sobie głowy lunchem, lecz kazał Paolowi przyprowadzić swojego czarnego rumaka i natychmiast wyruszył do miasta.

R S

* * *

Sordello sam do końca nie wiedział, dlaczego na widok czterech zbliżających się jeźdźców schował się w rosnące przy zakurzonej drodze gęste krzaki.

Nawet z tej odległości dostrzegł, że to obcy, a obcym z zasady nie ufał. Szybko ukrył też wędkę i zastygł w bezruchu. Kiedy przejeżdżali koło jego kryjówek, poczuł, że serce podchodzi mu do gardła.

Ich niskie głosy dodatkowo tłumiły kołnierze ciężkich płaszczy. Tak naprawdę, to wcale nie miał zamiaru ich podsłuchać, chciał tylko się przed nimi ukryć. Mimo to dobiegły go wyraźnie słowa jednego z mężczyzn.

- Wiem, że to tędy. Giacomo widział Korsykanina i Angielkę, jak przejeżdżali tą drogą ponad godzinę temu.

Inny mężczyzna, który musiał mieć na imię Giacomo, chrząknął potakująco.

- *A il signore* wyruszył z willi w przeciwnym kierunku.

Ten, który przemówił jako pierwszy i który wyglądał Sordellowi na do-wódcę, gdyż górował nad pozostałymi wzrostem, posturą oraz siłą głosu, powiedział na to jeszcze donośniej:

- No to do roboty, chłopaki, żebyśmy zdążyli do chaty Vannonego przed zmrokiem.

Sordello słyszał jeszcze, jak jeden z nich klnie, bo właśnie zaczął padać lekki deszcz. Grupa ruszyła galopem i głosy ginęły pośród stukotu końskich kopyt. Sordello wyczołgał się z krzaków i popatrzył za jeźdźcami, który podą-

żali wijącą się między wzgórzami drogą. Chłopiec się wystraszył. Tą samą trasą jechali wcześniej Joseph i *madonna*. Otrzeptał spodnie i podniósł wędkę, go-rączkowo zastanawiając się, co robić. Nie wiedział, co dokładnie mogła znaczyć podsłuchana rozmowa, ale na samą myśl o tym, że mogliby skrzywdzić Josepha, puścił się biegiem do willi. Przeskoczył przez kamienny mur i pobiegł

R S

szukać Scargilla.

Jednym tchem powtórzył mu to, co zapamiętał i zobaczył, że zazwyczaj rumiana twarz Szkota robi się biała jak kreda.

- Nic więcej nie słyszałeś, chłopcze?

- Nie, *signore*. Ale wyglądali na złoczyńców.

Scargill nie wahał się ani chwili. Nawet jeśli chłopak opacznie coś zrozumiał, nie wolno mu ryzykować.

- Szybko, mały. Powiedz Paolowi i ojcu, żeby się gotowali do drogi, a ja sprowadzę z Genui hrabiego.

Scargill jechał całą drogę co koń wyskoczy, ale pod koniec ogarniały go coraz większe wątpliwości. Gdy już dotarł do portu i wchodził na pokład „Cassandry”, wcale nie był taki pewny, czy w ogóle powinien niepokoić hrabiego.

Mimo to wkroczył do kabiny kapitana, gdzie zastał hrabiego i pana Donnetiego siedzących przy stole naprzeciwko siebie. Hrabia miał w rękach belę nie-spotykanej piękności jedwabiu.

- Mój panie.

- Scargill! Co ty tu, u diabła, robisz? - Hrabia rzucił na bok materiał i zerwał się na nogi.

- Myślę, że szykują się kłopoty, panie. - Spostrzegł, że pan Donnetti kładzie rękę na rękojęści cienkiego sztyletu, który nosił u pasa.

- Rozumiem. Mów, co się dzieje. - Głos hrabiego był opanowany, lecz niecierpliwy. Dlatego też Scargill powtórzył relację Sordella jednym ciągiem.

- To wszystko?

- Chłopak powiedział, że było ich czterech i że wyglądali na rzezimieszków. - Scargill wykonał swój obowiązek i czekał, aż hrabia wyśmieje go i powie, żeby na przyszłość nie robił z siebie osła.

Hrabia jednak zwrócił się do pana Donnetiego:

R S

- Francesco, wynajmij konie, weź dwóch swoich najlepszych ludzi i przyjedźcie do willi. Stamtąd ktoś pokieruje was dalej. Scargill, oni wspomnieli chatę Vannonego?

- Tak, panie, tej nazwy chłopak był pewny. Znasz to miejsce?

- Tak, myślę, że tak. To opuszczona chałupa, rzekomo nawiedzana przed Vannonego, miejscowego złoczyńcę, który od lat nie żyje. Francesco, to jakieś siedem mil w kierunku wzgórz, na zachód od willi. Widać tę chatę z drogi.

Spiesz się, przyjacielu.

Hrabia odwrócił się i szybkim krokiem podszedł do biurka. Przez ułamek sekundy zatrzymał wzrok na jednym z pistoletów, po czym wsadził sobie oba za pas. To z tego pistoletu postrzeliła go kiedyś *madonna*.

* * *

Usadowiona wygodnie przy pniu drzewa Cassie zaczęła się z dużym ociąganiem podnosić z miejsca. Patrząc smutno na niebo, powiedziała:

- Obawiam się, że hrabia miał rację. Chyba właśnie spadła mi na nos kropla deszczu.

- *Si*, a ponieważ jesteś uparta, oboje przemokniemy do suchej nitki.

Cassie zmarszczyła w odpowiedzi nosek.

- Może powiesz mi jeszcze, że źle się bawiłeś, pałaszując zimnego kurczaka i ser? I widoki takie piękne. Przecież nie jesteśmy z cukru, Josephie.

Joseph powoli stanął na nogi.

- Wracamy teraz, *madonna*. Jeśli ty o siebie nie dbasz, to ja muszę.

- Niech i tak będzie. - Rozprostowała zeszywniałe nogi i otrzepała aksamitną spódnicę do jazdy konnej. - Masz rację, zrobiło się trochę chłodno.

Joseph miał już palce u nóg zdrętwiałe z zimna, ale powstrzymał się przed ostrą ripostą. Przekora Cassie stanowiła po części o jej uroku i Joseph, podobnie jak jego pan, nie był na nią całkiem uodporniony. Szybko spakował

R S

koszyk i posadził Cassandrę na konia.

- Pióro przy twoim kapeluszu zamieni się w mokry patyk do czasu, kiedy zajedziemy do willi - powiedział nie bez satysfakcji.

Cassie dotknęła już lekko zwilgotniałego pióra i zaśmiała się:

- Jeśli tylko ci to sprawi przyjemność, przyjacielu, to będę się modlić o prawdziwą ulewę.

Chciał ją skarcić, ale nie potrafił. Prawdziwe z niej ziółko, pomyślał. Sam siebie zaskoczył, kiedy po dwudziestu pięciu latach milczenia zdecydował się opowiedzieć komuś o swojej młodej żonie Marii i o tym krótkim okresie, który razem przeżyli na Korsyce. To było wieki temu, ale kiedy przebywał z *madonną*, szczęśliwe wspomnienia wracały.

Zaczął mocniej padać i Joseph powiedział Cassie, żeby przyspieszyła.

Wyobrażał sobie, jak hrabia zmyje mu głowę, jeśli *madonna* wróci do willi w przemoczonym ubraniu. Zaraz się jednak zreflektował, myśląc, że jego pan nie bywał niesprawiedliwy. To raczej uparta pani powinna spodziewać się reprzy-mendy.

Joseph zatrzymał konia w miejscu, gdzie porwana koleinami i coraz bardziej błotnista droga gwałtownie zakręcała, i popatrzył na niebo. Choć było dopiero popołudnie, wokół nich zapadała powoli szarość, a powietrze stawało się mgliste.

Nagle jego koń parsknął i wierzgnął niespokojnie. Joseph chwycił mocniej cugle. Spojrzał w dół na drogę, której odcinki to wylaniały się, to znikwały po drugiej stronie wzgórz. Kilkaset metrów niżej dostrzegł czterech konnych szczelnie otulonych płaszczami, którzy pewnie jechali pod górę. Poczł rosna-

cy niepokój, gdyż nie rozpoznał żadnego z mężczyzn ani koni. Nagle jeden z nich zatrzymał konia, stanął w siodle i zaczął lustrować wzrokiem najbliższe wzgórze. Joseph przeraził się na dobre, kiedy tamten wskazał ręką w ich kieR S

runku i krzyknął coś do pozostałych. Cała czwórka zerwała się galopem i Joseph słyszał zbliżający się stukot kopyt.

Cassie zatrzymała swoją klacz i zapytała go:

- Co się stało, Josephie?

Odwrócił się do niej w siodle i przemówił zmienionym niskim głosem:

- Słuchaj uważnie, *madonna*, i rób dokładnie, co każe. Jedzie na nas czterech mężczyzn i wiem, że nie mają dobrych zamiarów. - Mówiąc to, wyciągał

pistolet i ostrożnie go odbezpieczał.

- Dobry Boże, o czym ty mówisz?

Gestem nakazał jej milczenie.

- Wiesz, w którą stronę jechać do willi przez las?

- Myślę, że tak, ale...

- Ja ich tu zatrzymam. Ty, *madonna*, zjedziesz z traktu. Musisz jechać ostrożnie, bo chociaż spadek jest łagodny, trawa powoli zamienia się w morze błota. Jedź między drzewami przynajmniej przez kilometr. Potem dopiero wróć na drogę. Ja spróbuję cię dogonić.

- Na pewno coś ci się pomyliło! Josephie, ja cię nie mogę zostawić!

Joseph zaklął głośno i po raz pierwszy dostrzegła w jego twarzy dzikie zawzięte rysy pirata afrykańskich wybrzeży.

Jego strach zaczął się jej udzielać i zadrżała.

- Jedź, prędko. - Zamachnął się i kolbą pistoletu uderzył jej klacz w zad.

Cassie się obejrzała. Zakrywał broń płaszczem, żeby nie zamokła i spod zmrużonych oczu studiował teren. Cassie sprowadziła klacz z drogi i wjechała między drzewa. Krzewy jeżyn darły jej spódnicę i pelerynę, ale nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Wszystko działo się tak nagle, że jej strach był taki nie-rzeczywisty, jakby rzucono ją w środek osobliwego nocnego koszmaru.

Drzewa rosły gęsto, ale jej arabska klacz zwinnie znajdowała przesmyki, *R S*

omijając niebezpieczne cierniste poszycie. Klacz parła do przodu, aż dotarły do wąskiej, prawie zarośniętej ścieżki i Cassie wbiła jej w boki pięty, zmuszając do cwału. W tym samym momencie koń położył uszy na dźwięk wystrzału, po którym zaraz nastąpił drugi. Odgłosy te zlały się w jeden i ich echo jak śmiertelne *staccato* rozeszło się między wzgórzami.

- Joseph - zachrypiąca Cassie i obróciła głowę w kierunku, z którego do-szły strzały.

Zaraz potem usłyszała, jak konie przedzierają się przez gęste podszycie.

Ze strachu zaschło jej w gardle. Smagnęła klacz biczem i zwierzę przeszło w galop. Niskie gałęzie drzew podarły jej jeździecki kapelusz, a klacz wydawała gniewne parsknięcia, gdy kolczaste krzewy raniły jej nogi. Stukot kopyt za jej plecami niebezpiecznie się przybliżał. Nagle jej klacz wynurzyła się z lasu.

Cassie nie mogła uwierzyć oczom. Na drodze czekał na nią jeździec, któ-

rego twarz zasłaniała czarna maska. Domyślili się, co robi! Oceniała dzielącą ich odległość, schyliła głowę, chowając ją za szyją klaczy i z całej siły wbiła pięty w jej delikatne boki. Galopowała na oślep prosto na jeźdźca.

Giacomo patrzył na jadącą ku niemu dziewczynę z niejakim zdziwieniem. Miał jednak spore doświadczenie w swojej profesji. Uśmiechnął się nawet, myśląc, że ta mała wnosi trochę zabawy w zadanie, które zapowiadało się bardzo nudno. Dobrze wiedział, że będzie próbowała spłoszyć jego konia z drogi, i mocniej chwycił cugle. Zanim zdążyła dotrzeć do drogi, on sam rozpę-

dził konia do galopu. Kiedy klacz Cassie w ostatniej sekundzie odskoczyła, że-by uniknąć zderzenia, Giacomo wyciągnął ręce i ściągnął ją z siodła. Szamota-

ła się jak szalona, przez co nie zdążył zatrzymać jej konia, który popędził w dół

zbocza. Poczul na szyi paznokcie dziewczyny i w przyływie złości trzasnął ją pięścią w szczękę.

R S

W jej głowie eksplodowała fontanna bieli i Cassie osunęła się bez czucia.

- Dobra robota, Giacomo - powiedział Andrea, kiedy z resztą ludzi wjechał na drogę. - Ale chyba jej nie zabiłeś?

- Nie, ale to zadziorna dziewczka. - Niechlujnie owinął sobie wokół ręki trochę jej włosów, które złocistymi puklami opadały jej na plecy. - Do tego niezła z niej ślicznotka.

Andrea zaśmiał się wesoło.

- Będzie na to dość czasu, jak zajedziemy do chaty Vannonego. - Obrócił

konia i machnął na Giacoma. Jej mokry podarty kapelusz leżał porzucony na uboczu.

Cassie poczuła zapach mokrej, przepoconej wełny. Zakrztusiła się i pró-

bowwała szarpnąć głową, by uciec od tego smrodu, ale silna dłoń przytrzymała jej kark.

- Uspokój się, mała - usłyszała nad sobą męski głos. - To już niedaleko.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale rozdierający ból szczęki nie pozwolił jej wydobyć głosu. Zorientowała się, że leży na brzuchu przewieszona przez siodło jak worek zboża i twarzą dotyka uda jeźdźca. Raz jeszcze spró-

bowwała się szarpnąć, ale mężczyzna pociągnął ją za włosy tak mocno, że krzyknęła.

- Ani się rusz! - warknął.

Poczuła, że jego łapa przesuwana się w dół jej pleców i przez grubą pelerynę obmacuje jej pośladki. Struchlała i ze strachu zrobiło jej się niedobrze. Mój Boże, gdzie jest Joseph? Przypomniała sobie dwa wystrzały, które rozeszły się echem po okolicy i zacisnęła oczy, żeby odpędzić najgorsze myśli.

Próbowała opanować zbliżające się mdłości. Przewieszona przez grzbiet rozpędzonego konia czuła straszliwy ból brzucha przy każdym zetknięciu ko-

pyt z gruntem. Przestało padać, a szare popołudniowe cienie zrobiły się znacznie dłuższe, kiedy wreszcie usłyszała okrzyk jednego z mężczyzn i koń stanął.

- Wnieś ją do środka. Zapalę lampy - rozległ się donośny męski głos.

Strach sprawił, że nabrała sprytu i kiedy ktoś ściągał ją z siodła, rozluźni-

ła mięśnie, udając omdlenie. Mężczyzna musiał w to uwierzyć, bo trzymał ją tylko luźno jedną ręką w pasie. Wykorzystując element zaskoczenia, Cassie wierzgnęła nagle i przywalila mu pięścią w twarz. Bandyta zawył, a Cassie wyrwała się i co sił w nogach popędziła w mrok.

Nagle poczuła, że ogromny ciężar spada jej na plecy i przewraca ją na ziemię. Leżała bez tchu pod

wielkim ciężkim męskim ciałem. Przy samym uchu usłyszała niski gardłowy śmiech.

- Giacomo ma rację, zادیorna z ciebie panna. Tym przyjemniej dla nas, moja śliczna.

Postawił Cassie na nogi i wykręcił jej do tyłu ręce. Przygryzła wargę, że-by nie krzyknąć i nie dać im przyjemności napawania się jej bólem. Wciągnęli ją po przegniłych drewnianych schodach i przez

otwarte drzwi wrzucili do ma-

łej izby. Zatoczyła się i upadła na kolana.

- *Madonna!* - Rozpaczliwy głos Josepha sprowadził ją na ziemię.

Obróciła do niego głowę.

Stał w odległym kącie izby, przytrzymywany przez dwóch mężczyzn. Na koszuli rozlewała się szeroka czerwona plama.

- Na Boga, Josephie, jesteś ranny! - Próbowała się podnieść, ale ten wielki krępy mężczyzna pchnął ją z powrotem na ziemię.

- Zostawcie ją w spokoju, wy śmierdzące śwynie! - Pod gniewem w krzyku Josepha czaił się ból.

Cassie myślała, że musi mu pomóc... jeśli tylko zdoła.

Spojrzała na tego wielkiego mężczyznę, który w masce i kapturze wyglą-

R S

dał szczególnie nieludzko i upiornie.

- Czy wy nie wiecie, z kim macie do czynienia? - powiedziała chłodnym tonem. - Jestem narzeczoną lorda Anthony'ego Wellesa, pana Willi Parese. Jeśli chodzi wam o pieniądze, to je dostaniecie, ale pod warunkiem, że odstawicie nas całych i zdrowych. Żądam, żebyście nas natychmiast uwolnili.

Andrea przez chwilę wydawał się rozważać jej słowa. Poglądził się po brodzie i zwrócił do pozostałych:

- No, chłopaki, co myślicie o propozycji naszej damy?

- Zaraz ci pokażę, co myślę o tej suce! - Cassie nie zdążyła się zasłonić, bo Giacomo stał tuż nad nią.

Ciężki buciór trafił ją w zębra, tak że zgięła się wpół i o mało nie zemdla-

ła z bólu, który zdawał się rozdzierać jej klatkę piersiową. Usłyszała dosadne przekleństwo z ust Josepha, a potem dziwny miękki skowyt. Ten skowyt, jak się z trudem zorientowała, pochodził z jej gardła.

- To żeby ci się odechciało ze mną zaczynać!
- Zostaw ją, Giacomo. Przecież nie chcesz jej nieprzytomnej, co nie?
- Nawet się nie ważcie jej tknąć, wy parszywe świnię!
- Tak myślisz? To się zaraz przekonasz, dzielny Korsykaninie!

Przez zasłonę bólu Cassie zobaczyła, że ten wielki mężczyzna ściąga płaszcz i z dziwną pieczołowitością rozkłada go na zbutwiałej podłodze.

- Możemy, Andrea? - usłyszała ożywiony głos Giacomina.

Andrea wzruszył ramionami.

- Nic nie było mówione. Miałem tylko trzymać ją tutaj, razem z Korsykaninem, do jego przyjścia. No więc jak ty nie masz chętki na taki smaczny ką-

sek, to wezmę i twoją kolejkę.

Dziki okrzyk wydobył się z gardła Giacomina:

R S

- Nie! Nie możesz mieć jej tylko dla siebie! - Po czym z nowym przypływem entuzjazmu powiedział:
- Każemy Korsykaninowi patrzeć. Pewnie sam się ślinił na jej widok.

Dwaj mężczyźni trzymający Josepha sprzeciwili się i wybuchła wielka kłótnia.

Serce Cassie zamarło z trwogi. Zamierzają ją zgwałcić... wszyscy. Boże, kłócą się właśnie o kolejność. Próbowwała się opanować i coś wymyślić, cokolwiek, co może ją uratować. Pistolet. Może uda się jej złapać pistolet któregoś z nich. Powoli podniosła się na nogi, ale ból w klatce piersiowej był tak wielki, że jęknęła.

- Ooo - stwierdził Andrea - panienska nie może się doczekać. Patrzcie, jak sama do nas przychodzi.

Odpowiedział mu rozochocony chóralny śmiech. Za moment mężczyzna przyparł do niej, zdarł z niej pelerynę i rwał na strzępy suknię.

- Nie, do cholery, nie! - wrzasnęła Cassie.

Zapomniała o bólu w piersiach i broniła się ze wszystkich sił, kopiąc go dziko po nogach i próbując przedrzeć paznokciami maskę i wydrapać mu oczy.

- Przytrzymaj kocicę, Giacomo - warknął Andrea.

Andrea zdierał z niej ubranie, rozkoszując się, pomyślała z wściekłością, ściągnięciem po kolei

każdej warstwy. Szarpała się dziko, mimo że Giacomo wykręcał jej z tyłu ręce.

Andrea zrobił krok w tył. Popatrzył na nią błyszczącymi oczami i podniecony przejechał językiem po wargach.

Stała naga, dygocąc ze strachu i chłodu. Długie włosy opadały jej na plecy i biust.

Wyciągnął rękę i złapał ją za piersi. Z jej ust wydobył się przesywający *R S*

krzyk i instynktownie schyliła głowę, by zatopić zęby w jego dłoni.

Uderzył ją z całej siły w twarz i poleciała do tyłu na Giacomu. Jego ręce zaczęły gorączkowo błądzić po jej ciele, zmierzając w dół, na brzuch i uda.

Słyszała przy uchu jego oddech, głośny i charczący z pożądania. Cassie wyrwała ramię z jego uścisku i wbiła mu łokieć w brzuch.

Usłyszała, że zawył z gniewu i miała nadzieję, że jego cios pozbawi ją przytomności.

Ale atak nadszedł z przodu. Andrea wbił jej pięść w brzuch i opadła na kolana, obejmując się ramionami. Wtedy pchnęli ją na rozłożony płaszcz, Giacomo złapał jej ręce nad głowę i przygwoździł je kolanami. Poczowała, jak odgarnia jej włosy z twarzy i ramion. Potem jego łapy zakleszczyły się na jej wrażliwych przy cięży piersiach. Z okrucieństwem ścisnął jej sutki, aż skrzywiła się z bólu.

- Nie podobają jej się twoje pieszczoty, Giacomo - ryknął śmiechem Andrea. - Ciekawe, co powie na to.

Oczy Cassie mimowolnie się rozszerzyły. Andrea spuścił spodnie i obna-

żył ogromny wzwiedziony członek. Cassie pomyślała, że ten mężczyzna przypomina byka, bestię, rozjuszonego zwierza.

Próbowała kopnąć go w owłosiony brzuch, kiedy złapał ją za kostki. Za-charczał, rozłożył jej nogi i wlażł na nią.

Jakby z oddali dobiegły ją rzucane przez Josepha klątwy.

- Ogłuszcacie Korsykanina, Giulio. Potrzebuję was, żebyście mi ją przy-trzymywali.

- *Bastardo!* - przeklęła ich Cassie i wyciągnęła szyję, by zobaczyć, jak Joseph osuwa się na podłogę. Zaczęła szlochać i miotać na nich najgorsze angielskie przekleństwa, których i tak nie rozumieli.

Nagle poczuła na ciele wiele rąk, brutalnych paluchów, które wbijały się *R S*

w nią, ciągnąc jej nogi na boki. Przez moment w izbie nie było słyhać nic oprócz dyszenia trzymających ją mężczyzn. Potem jej ciało zamieniło się w jedną wielką ranę. Andrea wbił się w nią,

rozdzierając boleśnie. Wielkimi łap-skami ścisnął jej biodra i podniósł je trochę do góry, żeby sobie lepiej dogo-dzić.

Pierwszy raz w życiu Cassie modliła się o śmierć, o błogi niebyt, który uwolniłby ją od tego koszmaru. Ale ból tylko narastał, powoli pozbawiając ją przytomności. Była już ledwo świadoma, kiedy gwałciciele się zmienili. Żaden następny nie mógł zranić jej bardziej, niż to już zrobił Andrea. Aż do Giulia.

- Zaraza! - Dotarło do niej. - Coście narobili? Dziewka cała śliska.

Obrócili ją na brzuch i rozchylili jej pośladki. I wtedy zawyła. Wyła tak długo, aż jej wycie przeszło w chrypiący gardłowy pomruk.

- Wy zawszone gnoje!

To był nowy głos. Rozbrzmiewała w nim dzika furia.

Obrócono ją z powrotem na plecy i obrzydliwe lepkie dłonie znikły.

- Nic nie mówiłeś, że nie możemy się nią trochę pobawić - powiedział

Andrea z wyrzutem.

- Wynocha stąd, wszyscy! Banda głupków! W każdej chwili ktoś może tu przyjść, a wy latacie ze spuszczoneymi gaciami. Na Boga, wyłazić i trzymać wartę!

Umysł Cassie na chwilę odłączył się od jej sponiewieranego ciała i jej uwaga skupiła się na przybyłym mężczyźnie. Jak pozostali miał na twarzy czarną maskę. Ale było w nim coś, co go od nich odróżniało, coś więcej niż tylko bogaty strój, choć nie potrafiła tego uchwycić.

Spomiędzy jej opuchniętych warg wydobył się szept:

- Joseph - nawet nie pomyślała o tym, żeby błagać o litość dla siebie. Z

R S

okrutną pewnością wiedziała, że dla niej już nie ma litości.

- *Pazza fragitara nigli inferno* - powiedział niskim i nienaturalnie bełko-tliwym głosem.

Caesare stał nad nią i z obrzydzeniem patrzył, co jego *bravi* z nią zrobili.

Myślał wcześniej, że też się z nią raz zabawi, ale teraz chciał tylko wyjść i jak najszybciej wymazać z pamięci spojrzenie jej wielkich bezbronnych oczu, któ-

re patrzyły na niego z niemym przerażeniem i widok jej nagiego ciała pokryte-go sińcami i krwią. Odwrócił się nagle i skierował do wyjścia.

- Andrea! - krzyknął. - Zrób z nimi, co zechcesz. Tylko dopilnuj, jeśli ci życie mile, żeby nikt ich nigdy nie znalazł.

- Nie - szepnęła, próbując się podnieść, ale jego już nie było.

W drzwiach stanął Andrea.

- To już nie będzie nam dłużej potrzebne, chłopaki - powiedział, zdejmując maskę.

Cassie spojrzała na jego nieogoloną twarz, przeciętą pożądlawie rozchylonymi wargami.

- No pokaż jej swoją urodziwą twarz, Giacomo - dodał, znowu rozpinając guziki bryczesów.

Twarz Giacomina była pociągła i ostra, jego oczy miały dziwny złotawy kolor, jak lisie ślepia. Obliznął językiem szerniałe przednie zęby.

- Czekaj na swoją kolejkę, Andrea. Ona jest teraz moja.

Jęknęła cicho, bezradnie, kiedy się w nią wdarł. Giacomo czuł, że dziewczyna drży z bólu.

- Broń się, do cholery - warknął, bijąc ją otwartą dłonią po piersiach i brzuchu.

Ale w niej nie było już woli walki, a tylko przepastna pustka pod powłoką cierpienia. Jak przez mgłę wróciły do niej słowa tego mężczyzny, ich pana.

R S

„*Pazza fragitara nigli inferno*. Niechaj się smaży w piekle". Czekala ją śmierć, ją i Josepha. Jakoś ta świadomość za bardzo jej nie poruszyła. Podniosła mętny wzrok na Andree, który teraz opuszczał w dół bryczesy. Zapłakała cicho i jej umysł zapadł się w upragnioną pustkę.

Andrea usiadł po turecku na zabrudzonej podłodze i powiódł wzrokiem po swoich trzech towarzyszach.

- To co chłopaki? Zabijamy ich teraz, czy czekamy aż odzyska przytomność?

- Cholernie szkoda taką sztukę zarzynać - powiedział Giacomo, drapiąc się po zarośniętej brodzie. - Korsykanin, to co innego... - Czule pogładził wsadzony za pasek nóż.

Andrea skinął głową.

- Zadźgaj Korsykanina, Giulio.

Giulio wstał i wyciągnął sztylet ze skórzanej pochwy. Końcem kciuka delikatnie dotykał ostrza, kiedy ciszę rozdarł wystrzał z pistoletu i Giulio wrzasnął, chwytając się za brzuch.

Hrabia wpadł do izby, wyważając drzwi z zardzewiałych zawiasów.

- Odwrót! - wrzasnął Andrea i kopniakiem przewrócił zapaloną lampę, pogrążając izbę w ciemności. Hrabia słyszał, jak ciężkim butem ktoś otwiera tylne drzwi i wystrzelił z drugiego pistoletu w tamtym kierunku. Jeden z męż-

czyn zaskowytał z bólu. Hrabia zerwał się z miejsca i wybiegł z chaty. Zobaczył, jak trójka mężczyzn w pośpiechu dosiada koni.

Zawrócił, wciąż trzymając broń w gotowości. Szczęka drżała mu ze strachu. Wcześniej zdołał tylko dojrzeć Cassie nagą, leżącą na plecach, nieruchomą.

Padł na kolana, gorączkowo szukając przewróconej lampy. Postawił ją i zapalił, używając krzesiwa i hubki z pudełka przy lampie.

R S

Przeszedł po skrzypiącej podłodze i uklęknął obok Cassie.

- Och, Cassie, nie - wyszeptał.

Odwróciła od niego twarz. Miała otwarte oczy, ale pogrążona głęboko we własnym cierpieniu, nie reagowała na jego obecność.

Poczuła, że duża męska dłoń lekko głaszcze jej policzek i ramię. Koszmar powrócił.

- Nie, proszę... nie - zaskomlała i próbowała się odsunąć.

- Cassandro, nie bój się. Nie masz się już czego bać.

Palce hrabiego delikatnie gładziły jej policzek, odgarniały zmierzwione włosy z twarzy. Powoli odwróciła do niego głowę. Zobaczyła, że jej ból odbija się w jego oczach.

- Nie myślałam, że nas znajdziesz. - Mówienie bolało. Zwilżyła językiem opuchnięte wargi. - Joseph... proszę, musisz mu pomóc.

Hrabia kątem oka dostrzegł ruch i błyskawicznie się odwrócił. W

drzwiach stał Scargill z pistoletem w dłoni.

- Mój panie! - Zobaczył Cassie, leżącego na brzuchu Josepha i drugiego mężczyznę w kałuży krwi i powoli opuścił broń. - Paolo i Marco są na ze-wnątrz. Nie mogliśmy dotrzymać kroku twojemu rumakowi.

- Wiem, Scargill - powiedział stanowczym głosem hrabia, widząc, jak na rumianej twarzy służącego rysuje się niedowierzanie, a potem szok. - Nie zwracaj uwagi na to ścierwo. Zajmij się Josephem, szybko.

Po kilku chwilach Scargill podniósł głowę i z gniewem i bezsilnością w głosie powiedział:

- Złe z nim, panie.

Hrabia zamknął oczy, żeby opanować ogarniającą go wściekłość. Jego głos zabrzmiał mocno, szorstko i chłodno:

- Wyślij Paolo, żeby sprowadzić do willi doktora. Ty i ojciec Sordella -

R S

nie bardzo mógł sobie w tym momencie przypomnieć imię swojego głównego ogrodnika - zabierzecie Josepha. Ja się zajmę Cassandrą. Co do niego - kiwnął

głową w stronę martwego bandyty - przewieziemy go potem.

Kiedy hrabia odwrócił się z powrotem do Cassandry, oczy miała zamknięte.

- Cassie! - krzyknął.

Jej gęste rzęsy podniosły się i popatrzyła na niego z lekkim zdziwieniem.

- Muszę cię teraz zabrać do domu.

Delikatnie wsunął jej dłoń pod plecy.

Przy pierwszym poruszeniu jęknęła żałośnie. Jego ręka zastygła, kiedy zauważył ciemny siniec na żebrach tuż pod piersiami. Ostrożnie zabrał rękę.

Chociaż w izbie panowała wilgoć i chłód, na czoło wystąpiły mu krople potu.

- *Cara* - powiedział wyraźnie - wybacz, ale będzie trochę bolało. - Pomy-

ślał, że czeka ich wiele kilometrów jazdy po ciemnej, krętej drodze do willi i zrozpaczony potrząsnął głową.

- Bardziej boleć już nie może - szepnęła.

Myliła się. Nagle poczuła w brzuchu, że mięśnie naprężają się do granic wytrzymałości, po czym ogarnęły ją gwałtowne skurcze. Wrzeszczała, straciwszy jakąkolwiek kontrolę nad swoim ciałem. Nogi, jakby instynktownie, zgięły się w kolanach, a ręce natychmiast objęły brzuch. Wlepiała oczy, studnie bo-leści, w nieruchomą twarz hrabiego.

- Dziecko - wyszeptała i straciła czucie.

Hrabia wyczuwał pod palcami potężne skurcze, kiedy delikatnie wsunął

dłoń pod jej zaciśnięte piąstki, żeby zbadać jej podbrzusze. Jej krzyk wypalił

dziurę w jego mózgu i ogarnęła go rozpacz. Nie mógł nic zrobić, żeby pomóc *R S*

jej ani dziecku.

Cassie nawet nie czuła, kiedy jej ciało było przykrywane i kiedy ją niesiono. Docierało do niej jak przez mgłę, że się do niej mówi, ale słowa były tylko pozbawionymi znaczenia dźwiękami. Próbowwała przyciągnąć do siebie nogi, żeby w ten sposób zmniejszyć ból, ale nie była w stanie. Zaczęła bić ramiona, które ją niosły. Drapała, żeby się wyswobodzić. Doszedł do niej jęk, zduszony krzyk, po czym uznała, że te dźwięki wydobywają się z jej ust. To dziwne, pomyślała, zaskoczona nagłym zniknięciem bólu, żeby ona tak krzyczała. Przecież ona nigdy nie krzyczy... Poczowała smak krwi i soli. Potem nic już nie czuła.

Hrabia zauważył, że ciało Cassie przeszedł potężny dreszcz. Głowa jej opadła, spoczywając na jego przedramieniu. Chwycił ją mocniej. Popędził trochę konia i dziękował za lekką księżycową poświatę, która oświetlała drogę.

Poruszał ustami i z wielkim zdziwieniem zdał sobie sprawę, że się modli.

Rozdział 18

Drzwi wejściowe do willi Parese były otwarte na oścież. Światło tysiąca świec rozświetlało okna domu i spowijało blaskiem podjazd. Hrabia rzucił

Marcowi cugle swojego rumaka i ostrożnie zsiadł z konia, trzymając Cassie mocno w ramionach.

- Joseph? - zapytał krótko.

- Doktor właśnie przyjechał, panie.

Zobaczył Marrinę stojącą przy schodach.

R S

- Przyślij mi Rosinę. - Delikatnie zmienił ułożenie Cassie i zorientował

się, że płaszcz, w który ją zawinął jest mokry i lepki. Popatrzył na swoją rękę i przekonał się, że cała jest ubrudzona krwią. Krwią Cassandry.

Krzyknął przez ramię:

- Potrzebuję gorącej wody i bandaży. - Spiesząc na górę, pokonywał po dwa stopnie naraz.

Jasnoszkarłatna krew ciekła jej po udach. Przyłożył ręczniki, żeby zata-mować krwotok i podniósł jej biodra, żeby podłożyć więcej ręczników. Po chwili wszystkie nasiąkły jaskrawą czerwienią. Dłonie hrabiego zdrząły. Żeby się opanować, wziął głęboki wdech.

- Czy *la signorina* straciła dziecko?

- *Si* - powiedział tylko, odwracając się na moment do poblądłej Rosiny.

Pokazał ręką na leżący na podłodze zakrwawiony płaszcz: - Weź to i spal.

Rosina spojrzała na płaszcz i poczuła, że kolacja podchodzi jej do gardła.

Zamknęła oczy, niezgrabnie podniosła przesiąknięte krwią ubranie, zawinęła je w ręczniki i wybiegła z komnaty.

Cassie zamruczała cicho, jej dłonie znieruchomiały, a głowa przekręciła się na bok. Mruczenie ustało. Zastanawiał się, dlaczego traci przytomność, czy w ucieczce przed fizycznym bólem, czy przed okrucieństwem tego, co ją spotkało.

Drzwi otworzyły się i cicho zamknęły. Kątem oka zobaczył rozkołysaną czarną spódnicę Rosiny, która podbiegła do stóp łóżka.

Sążniste, gniewne przekleństwo wydobyło się z ust hrabiego, zmył bowiem większość krwi i zobaczył, że jej delikatna skóra jest poszarpana i rozcięta. Te plugawe świnię ją rozdarły. Dziękował Bogu, że ciągle jest nieprzytomna.

- Przynies mi igłę, Rosino, trzeba założyć szwy. I brandy - dodał ostro.

R S

Alkoholu potrzebował, żeby zdezynfekować igłę i żeby się napić.

- Musisz mi pomóc, Rosino - zawołał ją, gdy już wyczyścił i nawlókł

igłę. Pospiesz się, do cholery - warknął. - Trzeba jej przytrzymać nogi.

Ale Rosina się nie ruszyła. Na widok krwi i rozdartego ciała swojej pani zemdląła i osunęła się bezgłośnie na podłogę.

Hrabia zaklął i podszedł do drzwi. Stał przy schodach i zawołał:

- Scargill!

Następnie wrócił do komnaty, przekroczył leżącą nieruchomo Rosinę i z niepokojem przyjrzał się twarzy Cassie.

- Cassie - szepnął - teraz się nie budź.

Scargill stanął w drzwiach i natychmiast pojął, co się stało. Słabe ma dziewczyna nerwy, pomyślał, zerkając na Rosinę.

- Co mam robić, panie?

- Te zwierzęta ją rozszarpały. Szybko, Scargill, chciałbym oszczędzić jej tego upokorzenia.

Scargill trzymał jej uda, gdy hrabia sprawnie robił swoje. Kiedy już zało-

żył cztery szwy, odłożył igłę na nocną szafkę i powoli się wyprostował.

Scargill sam już w życiu zszył niejedną ranę - zdarzały się dziury po kuli i ziejące poszarpane rany od cięcia szablą - ale żadna tak go nie przygnębiła.

Madonna była taka drobna, a jej różowawe kobiece ciało tak delikatne. Zamknął oczy, ale nie przestawał prześladować go obraz mężczyzn bez twarzy, którzy gwałcili ją tak brutalnie, że aż ją rozdarli.

- Dziękuję ci - powiedział cicho hrabia.

Dostrzegł morderczy błysk w oczach Scargilla i głosem tak gardłowym, że służący ledwo mógł rozróżnić słowa, powiedział:

- Ja ich znajdę, możesz być tego pewien. Jeden już nie żyje i jestem przeR S

konany, że drugiego zraniłem.

Scargill tylko kiwnął głową. Zakładając opatrunek, hrabia zapytał:

- Czy Joseph z tego wyjdzie?

- Doktor wyciąga kulę z klatki piersiowej. Joseph nie jest już taki młody, panie, a do tego ma paskudnie rozciętą głowę. - Scargill przerwał na chwilę, żeby opanować drżenie głosu. - Jeśli odzyska przytomność, panie, to może nam powie, kto to zrobił.

Hrabia wyprostował się nad ciałem Cassie.

- Zejdę do niego, jak tylko uznam, że mogę bezpiecznie zostawić ją samą.

Poślij jednego z ludzi po ciało tamtego do chaty Vannonego, Scargill. Może uda nam się go jakoś zidentyfikować. - Potem spojrzał na leżącą bez ruchu Rosinę. - Proszę, zabierz ją stąd. Marrina ją ocuci.

Hrabia umył ręce z krwi i usiadł na łóżku obok Cassie. Niezwykle starannie zbadał palcami stan jej szczęki i delikatnie obmacał jej głowę. Metodycznie przykładając ręce do jej posiniaczonych i wciąż nabrzmiąłych od ciąży piersi, potem do siniaka na żebrach, który był teraz ciemniejszy i większy niż wcześniej w chacie.

Cassie z niechęcią otworzyła oczy i zobaczyła, że hrabia ogląda jej brzuch, przyciskając do niego lekko swoje duże dłonie. Czekwała, aż wróci rozdzierający ból w podbrzuszu, ale tak się nie stało. Przez moment czuła się znowu całością, zaraz jednak mózg odebrał sygnały dudniącego bólu między udami. Poczwała też taki nacisk na klatkę piersiową, jakby była ścisnana imadłem. Zacisnęła oczy i przyłożyła twarz do poduszki, żeby tylko nie krzyczeć.

Poczuła czyjąś dłoń na policzku.

- Cassandro.

Wzięła płytki oddech, próbując zachować panowanie nad swoim ciałem i *R S*

powoli otworzyła oczy. Ale wtedy znalazła się z powrotem w chacie, roz-krzyżowana na ziemi, a w całe jej ciało wbijały się nienawistne palce.

- Cassandro - jego głos przebił się przez koszmarny widzenie i zdołała utkwic wzrok w jego twarzy.

- Gdzie ja jestem? - szepnęła.

- Jesteś w domu, Cassie. Przy mnie jesteś bezpieczna. Wiem, że bardzo cierpisz, kochana. Dam ci laudanum.

Laudanum, chwyciła się kurczowo tego słowa. To pomoże jej zapomnieć, ukryć się przed ciałem, przed bólem. Lekko uniosł jej głowę i łapczywie wypię-

ła cały kieliszek.

Leżała cichutko, czekając, aż przyjdzie zapomnienie. Powoli cierpienie zaczęło się od niej oddzielać, jakby należało do świata zewnętrznego albo do innej osoby. Zanim zapadła w sen, przypatrywała mu się, zastanawiając się, jak to możliwe, żeby rysy jego ogorzałej twarzy pozostawały zupełnie nieruchome, kiedy w oczach palił się płomień gniewu.

Hrabia owinał jej klatkę piersiową bandażem i przykrył ją. Szybko się umył i zmienił poplamione krwią ubranie na czyste. Raz jeszcze się nad nią pochylił, myśląc z ulgą, że laudanum pozwoli jej spać przez wiele godzin. Potem wyprostował się i wyszedł.

W pokoju gościnnym, do którego przyniesiono Josepha, zgromadzeni wokół łóżka mężczyźni byli tak zaabsorbowani, że nawet nie zauważyli, kiedy wszedł. Doktor, signore Bissone, drobny, łysiejący mężczyzna, który miał

sześćdziesiątkę na karku, owijał grube białe bandaże wokół klatki piersiowej Josepha.

- No i?

Scargill błyskawicznie się obrócił, słysząc szorstki głos swojego pana.

R S

- Będzie żył, panie, sam nam to powiedział. - Ciężki uśmiech pojawił się na zmartwionej twarzy Scargilla.

Signore Bissone powoli się wyprostował i z wyrazem troski popatrzył na hrabiego.

- Usunąłem kulę z piersi, panie, ale muszę być z tobą szczerzy. Rana jest głęboka i boję się, że wystąpi gorączka. Jeśli chodzi o uraz głowy, to nie jest taki groźny. - Wzruszył ramionami. - Ten stary tak łatwo się nie da, co to to nie.

Joseph podniósł powieki, kiedy hrabia przy nim stanął.

- Cieszę się, że taki z ciebie silny stary pirat, przyjacielu - powiedział

hrabia i ścisnął mocno dłoń Josepha. Jego sękaty palce lekko się poruszyły.

- *Madonna?* - Zazwyczaj tubalny głos Josepha zabrzmiał bardzo słabo.

- To wszystko, co od was obojga można usłyszeć. Jak się ma to drugie?

Ona z tego wyjdzie, Josephie, mogę ci to obiecać.

- Tak strasznie ją skrzywdzili - mamrotał Joseph, koncentrując się ze wszystkich sił. - Wybacz mi, panie. Zawiodłem cię.

- Nie bądź głupcem, stary druhu! O mało co nie posłałeś swojej duszy do nieba, żeby ją ratować.

Zza pleców hrabiego doszedł głos Scargilla:

- Joseph mówi, że było ich czterech, panie, wszyscy zamaskowani.

- *Si.* Chociaż nie widziałem ich mord, to słyszałem trzy imiona. - Joseph poczuł, że palce hrabiego zaciskają się mocniej na jego dłoni. - Ich herszt, olbrzymi chłop, nazywa się Andrea. Giacomo i Giulio są mniejsi, ale tak samo brutalni jak ten byk, Andrea.

- Zabiłem jednego z nich - pocieszył Josepha hrabia - i drugiego raniłem.

Wkrótce się dowiemy, co to za jedni.

Joseph zdobył się na smutny uśmiech.

R S

- *Madonna* nic nie była w stanie powiedzieć?

- Jeszcze nie, Josephie.

Wtrącił się signore Bissone.

- Odpoczyнку mu teraz trzeba, panie. Czy *signorina* wymaga mojej opieki?

Zanim hrabia zdążył odpowiedzieć, Joseph wymamrotał cicho:

- Walczyła z nimi, panie, walczyła z całym sobą, ciałem i duchem. - Po czym dodał, nie zdając sobie

sprawy, że jego panu krwawi serce: - Chcieli, żebyśmy patrzył, ale nawet we dwójkę nie mogli jej utrzymać. Dlatego Andrea ka-zał mnie walnąć w głowę. Czy bardzo ją zranili, panie?

- *Si*. - Hrabia zacisnął zęby. Krew pulsowała mu w skroniach. Poczł, że Scargill ciągnie go lekko za rękaw. Udało mu się opanowanym głosem po-

żegnać: - Musisz teraz odpoczywać, Josephie, żebyś odzyskał siły.

* * *

Signore Bissone skończył badanie, wytarł ręce i zwrócił się do hrabiego.

- Masz świetne umiejętności, panie. Sam bym nie założył lepszych szwów. Co do żeber, to mogą być pęknięte, ale nie ma złamań.

- A poronienie?

- Jest bardzo młoda, panie, i ma silne zdrowe ciało. Będziecie mieli tyle dzieci, ile tylko zechcecie. - Spojrzał jeszcze raz na sińce na jej brzuchu i miednicy i potrząsnął głową. Pełno na świecie przemocy i nieraz już widział

zgwalczone kobiety, ale ten widok był wstrząsający.

- Zostaniesz w willi Parese jako mój gość, *signore*?

- *Si*, panie. Tak *signorina*, jak i Joseph będą potrzebować mojej opieki jeszcze przez jakiś czas. Pozwól tylko, że pošlę żonie wiadomość.

R S

Drzwi sypialni otworzyły się nagle z trzaskiem i do pokoju wpadł zdyszany Scargill. Oczy mu błyszczały.

Signore Bissone rzucił się, żeby przykryć panienkę.

- To Francesco, panie. Ze swoimi ludźmi złapał jednego z nich!

Signore Bissone poczuł ciarki na plecach, kiedy spojrzł na wyraz twarzy hrabiego. Jego usta, dotąd smutne, wykrzywiły się w szatańskim uśmiechu, a oczy rozjaśnił niepokojący błysk.

- Wiemy, który z tych zwyrodnialców wpadł nam w ręce?

- Jeszcze nie, panie. Ale to nie może być ten byk, Andrea. Ten jest szczupłej budowy. Aha, i jest ranny w udo.

- Zabierz go do biblioteki - powiedział hrabia z satysfakcją. - Zaraz do was dołączę.

Hrabia bezgłośnie wszedł przez uchylone drzwi. Przed nim stali Scargill, Francesco, dwóch jego ludzi i jeniec. Miał na sobie brudne ubranie, zamokłe od deszczu i ustawiony był plecami do drzwi.

Hrabia przystanął i po chwili krzyknął:

- Giacomo?

Mężczyzna gwałtownie się odwrócił. Rozdziawił nieogoloną gębę i popatrzył na hrabiego ze strachem. Mógł mieć ze trzydzieści lat, nie więcej. Za-schnięta krew oblepiała nogawkę bryczesów.

- Witaj w willi Parese, Giacomo - ciągnął hrabia, nie spuszczać oczu z twarzy mężczyzny.

- Nie wiem, dlaczego pańskie zbiry mnie tu przytargały - wycedził, ale nie przestawał czujnie się rozglądać.

Pan Donnetti ostro powiedział:

- Spadł z konia, panie, niedaleko od chaty Vannonego. I znaleźliśmy przy nim to. - Z kieszeni płaszcza wyciągnął czarną maskę.

- Ach tak. Jechałeś może na bal maskowy, przyjacielu? - Hrabia podszedł

R S

powoli do biurka, oparł się o nie i skrzyżował ramiona.

- *Si*, panie - szybko przytaknął Giacomo. - Wczoraj wieczorem siostra urządziła przyjęcie. Ciągle miałem przy sobie tę maskę.

- Siostra, Giacomo? Wybacz, że podaję w wątpliwość twoje słowa, ale ktoś taki jak ty nie ma siostry. Ktoś taki jak ty nawet nie wie, kim są jego rodzice.

Giacomo wessał powietrze i zrobił krok w tył. Hrabia skinął na Francesca. Jego ludzie chwycili Giacoma, wykręcając mu z tyłu ręce, że aż zawył z bólu.

- Delikatnie, nie rańcie naszego gościa. Nie widzicie, że cierpi już ból z powodu rany na nodze? Powinieneś bardziej o siebie dbać, Giacomo. No to opowiedz nam o tym, co robiłeś dzisiaj po południu i wieczorem - zagadnął go hrabia. - Umieramy z ciekawości.

- Nic! Jechałem do Genui, kiedy te typy mnie napadły. A co się tyczy rany, postrzeliłem się przypadkiem, jak czyściłem pistolet.

- Rozumiem. Tak ci niewinnie z oczu patrzy, Giacomo.

- Łże jak pies! - syknął pan Donnetti. Hrabia upomniał go wzrokiem i powstrzymał się od dalszych uwag.

Hrabia podniósł z biurka lśniący sztylet i z gracją przejechał palcami po ostrzu. Niespodziewanie znalazł się przy pojmanym i wykonał dwa ukośne cięcia od szyi do pasa.

Giacomo wrzasnął, bardziej ze strachu niż z bólu. Widział, jak koszula się rozchyła, ukazując krwawe X wycięte na torsie.

- Ja nic nie zrobiłem! - zapiszczał Giacomo. Przestał się szamotać, kiedy poczuł na plecach lufę pistoletu.

- Powiedz mi, Giacomo - zapytał z namysłem książę - ilu was było potrzeba, żeby ją przytrzymać?

R S

Giacomo oblizwał wargi. Ten człowiek to zimnokrwisty diabeł.

- No ilu? - łagodnie ponaglił go hrabia.

Giacomo wpatrywał się w sztylet, w zbroczony jego krwią szpic.

- Trzech - wystękał.

Poczuł smak nadchodzącej śmierci. Nie było dla niego nadziei.

- To znaczy trzech ją trzymało, kiedy czwarty ją gwałcił?

Przytaknął milcząco.

- Jak się nazywał ten, którego zabiłem?

- Giulio - wyszeptał.

- A Andrea, wasz herszt, to on rozdarł jej ciało?

Giacomo nie bardzo rozumiał. Pokręcił głową i wypalił:

- Rozdarł? A to pewnie Giulio. Zrobiła się za śliska i wziął ją z tyłu.

O mój Boże, myślał gorączkowo Scargill, kiedy jego pan pobladł. Zaraz wbije sztylet w serce tego nędznika. Wstrzymał oddech, czekając na cios. Hrabia jednak nie przestawał pieszczotliwie dotykać sztyletu.

- Rozbierzcie go.

Przez chwilę pan Donnetti patrzył na hrabiego, jakby nie rozumiał rozkazu.

- No już - powiedział hrabia nieco ostrzej. - Chcę zobaczyć ten cud natury.

Giacomo opierał się, ale po chwili stał nagi, z brudnymi bryczesami wo-kół kostek.

Hrabia zmierzył go wzrokiem z góry do dołu i Giacomo zadygotał.

- Jakie to dziwne - zauważył wreszcie hrabia. - Masz krew na członku.

Nie sądzisz, że to dziwne, Francesco?

- *Si*, panie - zachrypiał pan Donnetti, spoglądając na opadły penis Giacoma.

R S

- I tatuaż na ramieniu, Giacomo. Żmija owinięta wokół miecza. Twój przyjaciel, który gnije w mojej stodole, ma taki sam znak. Czy jako *bravi* mia-

łeś sukcesy?

Najemny morderca! Scargill był zszokowany tą wiadomością.

Giacomo nie odpowiedział.

- Zapytam tylko raz: kto zapłacił tobie i twoim trzem towarzyszom?

Giacomo był skończony, wiedział o tym. Od pięciu lat pracował jako za-bójca i zdawał sobie sprawę, że zginie w męczarniach z ręki innego *bravi*, jeśli złamie niepisane prawo. Zresztą tylko Andrea znał imię tego, który ich wynajął. Oblizwał suche usta i przygotował się na koniec. Miał umrzeć, bo zemdlał od utraty krwi i spadł z konia. Miał pecha i trudno mu się z tym było pogodzić.

- Nie wiem - powiedział.

Postanowił się wyprostować i złączyć łopatki.

- Imię tego czwartego?

Pokręcił głową.

- Naprawdę jesteś strasznie głupi, Giacomo. Mój przyjaciel Khar El-Din nie ma nic przeciwko głupim mężczyznom, pod warunkiem że mężczyznami już nie są.

Hrabia spojrzał wymownie na jego fallusa.

- Może piratowi przydałby się jeszcze jeden eunuch do haremu. Zrobiłbyś się tłusty i leniwy, Giacomo, ale za to mógłbyś do końca życia napawać się widokiem pięknych kobiet. Oczywiście cała przyjemność polegałaby na kontem-placji, bo nie miałbyś już nic między nogami. To znaczy, jeśli w ogóle przeżyjesz.

Zalśniło ostrze sztyletu i Giacomo wrzasnął. Cienka czerwona linia pojawiła się na jego brzuchu. Krew zaczęła powoli z niej kapać.

- Przygotuj się, przyjacielu. Nie chcę twojej śmierci. Chcę, żebyś żył i *R S*

zawsze pamiętał, jaka spotkała cię kara za zgwałcenie kobiety.

Sztylet powoli uniósł się w górę. W głowie Giacoma coś pękło. Wrzasnął

dziko i wyrwał się trzymającym go mężczyznom. Złapał za pistolet, który trzymał Francesco i wbił go sobie w pierś.

W komnacie rozległa się głośnie eksplozja, rozchodząc się echem w obitych dębem ścianach. Na twarzy Giacoma malowało się upiorne zdziwienie, kiedy opadł do przodu z rozszarpaną klatką piersiową.

Scargill ukląkł obok niego.

- Nie żyje, panie.

Hrabia powoli odłożył sztylet na biurko i stanął wyprostowany. Popatrzył

obojętnie na ziejącą ranę i przekroczył ciało Giacoma.

- A to szkoda - stwierdził. Wychodząc z pokoju, rzucił jeszcze przez ramię: - Usuńcie to ścierwo. Nawet martwy mnie brzydzi.

Rozdział 19

Wbijały się w nią palce, chropowate palce z zakrzywionymi pazurami, które rozdzierały jej ciało. Wrzasnęła i zaczęła wierzgać, żeby się im wyrwać.

Załkała żałośnie, kiedy rozłożyli jej nogi i mężczyzna brutalnie w nią wtargnął.

- Cassie! *Cara*, zbudź się!

Hrabia potrząsał nią, wrywając ją ze szponów koszmaru, ale nie była w stanie powstrzymać spazmatycznego szlochu. Była tak spocona, że koszula nocna do niej przylgnęła, a mimo to trzęsła się z zimna.

Silne ramiona przygarnęły ją i poczuła ciepło jego oddechu na policzku.

Przycisnęła twarz do torsu hrabiego, czekając, aż przerażenie ustąpi.

R S

- Znowu ten zły sen? - zapytał łagodnie.

Trzymał ją mocno i Cassie próbowała wziąć głęboki oddech.

- Tak.

Hrabia odgarnął jej włosy z czoła i położył ją na plecach, uważając na jej obolałe żebra. Patrzyła na niego wielkimi oczami, które w szarym świetle poranka przybierały ciemną barwę.

- Już po wszystkim, Cassandro, i jesteś bezpieczna. Przysięgam ci to. -

Podparł się na łokciu i przyjrzał się z bliska jej twarzy. - Boli cię?

- Proszę, spraw, żeby to już nie wracało - powiedziała urywanym szeptem. - Nie mogę tego znieść. To takie realne...

Pogłaskał ją po policzku.

- Wiem. Nie potrafię tego zatrzymać, Cassandro, ale myślę, że jak mi o tym opowiesz, to będzie ci łatwiej zapomnieć.

Patrzyła na niego niepewnie. Jego ciemne oczy wyrażały czułość, ale odwróciła spojrzenie.

- Nie możesz o tym mówić?

Potrząsnęła głową. Fizyczny ból w pewnym sensie przynosił ulgę, bo ka-zał się jej skupić na chwili obecnej.

Hrabia nie naciskał na nią. Od gwałtu minęły dwa dni, ale koszmar ciągle powracał.

- Chcesz trochę laudanum, *cara*? - Pomyślał, że przynajmniej o swoje ciało pozwala mu się zatroszczyć.

- Nie, nie chcę już być odurzona.

Skinął głową i lekko pocałował ją w czoło.

- Nie chcę twojej litości! - syknęła nagle, czując, że nienawidzi jego i siebie za to, co się stało. Nie mogła mu opowiedzieć, bo zacząłby się nią brzydzić, tak samo jak ona się sobą brzydziła. *R S*

- Litości? - powtórzył zaskoczony.

Ukryła twarz w rękach.

- Wiem, że mnie nienawidzisz... że się mną brzydzisz. Pięciu mężczyzn mnie zhańbiło!

Przez moment jego umysł nie mógł zaskoczyć. Pięciu mężczyzn! Nie, by-

ło ich tylko czterech, Joseph był tego pewny.

- Cassandro, powiedziałaś pięciu mężczyzn, a ich było czterech. - Zamilkła zupełnie. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co mówiła i nawet, kiedy pró-

bowwała sobie przypomnieć, to jej umysł się blokował. Tylko w koszmarach widziała ich wyraźnie.

- Niechaj się smaży w piekle - powiedziała.

- Kto? - podchwycił, siadając.

Cassie zamrugła i utkwiała wzrok w powietrzu za ramieniem hrabiego.

- To był ten piąty... ich zwierzchnik. Joseph był nieprzytomny, a ja my-

ślałam, że nie żyje. Kiedy prosiłam tego mężczyznę, żeby sprawdzić, co z Josephem, on powiedział: „Niech się smaży w piekle”.

- Czyli Joseph go nie widział?

- Nie, on przyszedł później. - Umysł buntował się, odsuwając od niej obraz tego człowieka. - On był jakiś inny i... nie dotknął mnie. Ale to on im kazał

nas zabić.

- W jakim sensie był inny, *cara*? - zapytał hrabia, z trudem panując nad głosem.

Bezradnie potrząsnęła głową, gdyż nie mogła dotrzeć do tego obrazu w pamięci.

- Nie wiem... Ja nie mogę sobie przypomnieć.

Uśmiechnął się do niej łagodnie.

- To nic, Cassandro.

R S

- Wiem od Josepha, że dwóch z nich zabiłeś, Giulia i Giacomina. - Przypomniała jej się twarz Josepha sina z bólu. Hrabia zaniósł ją wcześniej do niego i zostawił ich na chwilę samych.

- Co ci jeszcze Joseph powiedział?

- Że to byli *bravi*. Każdy z nich miał na ramieniu tatuaż: owiniętą wokół

miecza żmiję. - Podniosła na niego szerokie ze zdziwienia oczy. - Dlaczego ktoś miałby chcieć nas zabić?

- Nie wiem, Cassandro, ale obiecuję ci, że się dowiem. - Zdobył się na lekki uśmiech. - Wygląda na to, że Joseph okazał się źródłem cennych informacji.

- Czy on przeżyje?

- Nie wiem, Cassandro. Ma swoje lata i jest ciężko ranny.

Odwróciła od niego głowę, bo poczuła napływające do oczu łzy. Poglaskał ją po włosach.

- Możesz teraz zasnąć, *cara*?

Nagle poczuła, jak zalewa ją fala goryczy. Z trudem nabrała powietrza i wyszeptała:

- Dziecko. Straciłam dziecko.

Przełknął ślinę i milczał przez chwilę, gdyż bał się, że głos mu się załamie. Wreszcie się opanował.

- *Cassandro*, posłuchaj mnie. Przykro mi z powodu dziecka, ale ty jesteś ważniejsza niż ktokolwiek i cokolwiek na świecie. Proszę, uwierz mi i zrzuć ten całun winy, w który się oblekłaś. Żyjesz i ja cię kocham. Tylko to się liczy.

Samotna łza popłynęła jej po policzku. *Hrabia* delikatnie starł ją, zanim dotknęła ust.

- Zrób dla mnie chociaż jedno - zażartował - Musisz mnie znowu zacząć rugać, bo inaczej pewnie stanę się nieznośnym tyranem.

R S

Przełknęła łzy i zmusiła się do uśmiechu.

- Ależ ty zawsze będziesz tyranem - powiedziała, odwracając twarz i wtulając ją w jego dłoń.

* * *

Signore Bissone padał z nóg, kiedy następnego popołudnia wszedł do sypialni, gdzie czekali na niego *hrabia* i *Cassie*. Skończył właśnie badać *Josepha*.

Późnym wieczorem poprzedniego dnia musiał opuścić willę *Parese*, żeby odebrać poród *Cateriny Pisani*. Urodziła synka, ale dostała krwotoku i zmarła nad ranem. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że zaczął o tym mówić, sącząc lampkę wina.

- Tak się człowiek zastanawia - zadumał się *signore Bissone*, potrząsając głową - dlaczego Bóg w swojej nieskończonej dobroci postanawia tak okrutnie przerwać życie dziewiętnastoletniej dziewczyny.

- Co z *Josephem*? - zapytał szorstkim głosem *hrabia*.

Signore Bissone przeprosił za tę dygresję, po czym odpowiedział na pytanie:

- Mój panie, gdyby był młodszy, ta gorączka tak by mnie nie martwiła.

Oczywiście odsączyłem z rany ropę. - Urwał na chwilę, przenosząc zmęczony wzrok na *Cassie*. Od kiedy odzyskała przytomność, nie pozwoliła mu się ba-dać. Jej upór go rozżłościł, ale teraz zbyt był wycieńczony, żeby się tym przej-mować. Wzruszył ramionami. - *Korsykanin* nie zdążył jeszcze

odzyskać siłę po tym, jak został ranny. W jego wieku to nie jest łatwe, panie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - W głosie hrabiego wyraźnie pobrzmiwało zniecierpliwienie.

- Nie sądzę, żeby z tego wyszedł.

- Nie może pan mówić poważnie! - Cassie usiadła gwałtownie, zakrywa-

jąc się kołdrą, i nie przestawała potrząsać głową. - A ja panu mówię, że z tego wyjdzie! Sama się nim będę opiekować. Joseph ma żelazną wolę i nie da się powalić gorączce, kiedy nawet ci mordercy nie byli w stanie go zabić!

Zamilkła z braku powietrza. Signore Bissone dziwnie się jej przyglądał.

- Mówisz po angielsku, Cassandro.

- Ach - stwierdziła.

- *La signorina* mówiła, że przy dobrej opiece Joseph może jeszcze wyzdrowieć.

Signore Bissone powoli odstawił kryształowy kielich na stół i oficjalnie skłonił się hrabiemu.

- To nie jest wykluczone, panie - powiedział sztywno. - Poinstruowałem tę kobietę, Marrinę, żeby przygotowała pewne mikstury lecznicze. Jeśli jego stan się pogorszy, to oczywiście przybędę jak najszybciej. W przeciwnym razie wrócę, żeby go obejrzeć dziś wieczorem.

- Wieczorem!

Signore Bissone zmarszczył czoło i popatrzył na tę młodą Angielkę. Zastanawiał się, co dokładnie łączyło ją z hrabią, ale doszedł do wniosku, że tole-ruje on jej wybryki ze względu na stan zdrowia.

- To wszystko, co wiedza medyczna ma tutaj do zaoferowania, *signorina*.

- Zaoferowanie niczego trudno nazwać wiedzą, *signore!*

Hrabia zauważył, że obrażony doktor zaciska wargi i pojednawczo powiedział:

- Wiem, że robi pan wszystko, co w pańskiej mocy. Mój człowiek, Scargill, zna się trochę na leczeniu tego typu gorączki. Dziękuję za pańską pomoc, *signore*.

Po wyjściu lekarza hrabia odwrócił się do Cassie, żeby ją zbesztać, ale na

widok jej zbolącej twarzy zmienił zdanie.

- Proszę, zabierz mnie do pokoju Josepha.

- Dobrze, Cassandro. - Owinął ją w gruby koc i delikatnie wziął na ręce.

Kilka godzin później, kiedy Joseph w końcu zapadł w niespokojny sen, hrabia chciał zanieść Cassie z powrotem do sypialni.

- Ty też nie powinnaś się przemęczać, maleńka. Odpocznij. - I w odpowiedzi na jej niezadane pytanie: - Ja przy nim zostanę.

* * *

Hrabia wrócił do komnaty, gdzie leżał Joseph i popatrzył na wiszący nad łóżkiem zegar. Dochodziła czwarta nad ranem.

Spojrzał na Josepha, pogrążonego w niespokojnym śnie. Jego oddech był

płytki i charczący, a policzki zapadnięte i rozpalone gorączką. Po raz pierwszy uderzyło hrabiego, że Joseph naprawdę wyglądał staro. Policzki miał wklęsłe i zaognione, a jego zazwyczaj odważne i dumne oczy teraz zaciśnięte były w bó-

lu. I bez opinii doktora hrabia wiedział, że Joseph nie ma szans na przeżycie.

Ze ściśniętym gardłem patrzył na jego pergaminową skórę. Ujął bezwładną rę-

kę Josepha i czule przemówił do śpiącego:

- Boję się ciebie stracić, stary przyjacielu. Tyle razem przeszliśmy. Pa-miętasz, jak pan Donnetti, pijany jak bela, usłyszał przechwałki hiszpańskiego kapitana o męstwie Hiszpanów i o tchórzostwie genuęńczyków? A ty, drugi zuchwały wariat, ledwo wyratowałeś go przed piątką hiszpańskich żeglarzy, którzy postanowili roztrzaskać mu głowę i rozbryzgać mózg po całej tawernie?

Hrabia zamilkł, przypominając sobie, jak pan Donnetti, który zazwyczaj jest bardzo opanowanym i spokojnym człowiekiem, śmiał się i kłął, kiedy Joseph opowiedział wszystkim, że wtedy w Kadyksie musiał go znieczulić pię-

ścią i zaciągnąć na stojącą w porcie „Cassandrę”.

R S

- Pamiętam. - Hrabia ocknął się i spojrzał w pokryte mgłą oczy Josepha.

Dostrzegł w nich cień ożywienia i uśmiechu.

Joseph zaniósł się charczącym śmiechem.

- Biedny Francesco był tak pijany, że w ogóle nie zauważył niebezpieczeństwa. Później przez wiele dni wypominał mi, że trzeba być wielkim osłem, żeby wtrącać się w nie swoje sprawy.

- Francesco będzie tu jutro albo pojutrze. Wypłynął do Palermo.

Palce Josepha zacisnęły się na jego dłoni.

- To szkoda, że już go nie zobaczę. Przypomnisz mu, że to z niego był wtedy osioł, prawda?

- A mnie się wydaje, że sam mu o tym przypomnisz, przyjacielu.

Ciałem Josepha wstrząsnął przeciągły kaszel. Był tak słaby, że nie mógł złapać oddechu. Leżał i się dusił. Hrabia wziął go zaraz na ręce i trzymał go, aż atak ustał.

- Nie chcę cię stracić, Josephie. Cassandra ciągle wrzeszczy na signora Bissone, że ty masz żelazną wolę i się nie poddasz. - Hrabia schował twarz w jego siwych włosach, gdyż nie był już w stanie mówić.

Joseph westchnął i hrabia położył go z powrotem do łóżka.

- To *madonna* ma żelazną wolę, panie. Od jakiegoś czasu chciałem, żeby to stare ciało znalazło wiecznego odpoczynku, ale ona mi na to nie pozwala.

Próbowałem jej wytłumaczyć, że mam już swoje lata i że jestem zadowolony z tego, co mi życie dało, ale ona się złości i nie chce tego słuchać. - Cień uśmiechu zagościł na jego wyschniętych wargach.

- Ona bardzo cię kocha, Josephie, tak jak i ja.

- Ona nigdy nie doświadczyła śmierci bliskiej osoby. Nie, nie mów mi o jej ojcu. Ten to musiał być dopiero kawał drania, chociaż ona oczywiście nigdy by czegoś takiego nie powiedziała. *R S*

Hrabia widział, że każde słowo przychodzi mu z wielkim trudem.

- Musisz teraz odpocząć, Josephie. Porozmawiamy, jak odzyskasz siły.

- Nie mam już więcej sił, panie. Proszę, byś nie miał złudzeń co do mojego stanu. - Milczał przez kilka minut. Kiedy ponownie przemówił, w jego zmęczonych oczach rozbłyskiwała ogromna determinacja.

- Próbowałem z nią rozmawiać o tym, co się stało. Musisz ją uleczyć, panie. Ma wiele odwagi i udaje, że pragnienie zemsty zajęło miejsce strachu. Ale to nieprawda.

- Wiem.

- Gdyby Maria miała jej ducha, to może moje życie potoczyłoby się inaczej. Nie pozwól jej odejść, panie. Ona jeszcze tego nie rozumie, ale to przy tobie znajdzie wolność. I w sobie samej.

Hrabia skinął powoli głową.

- Josephie - zaczął, ale urwał, bo poczuł ścisk w gardle.

- Dziękuję ci, że zadowoliliś piękną Zabetę. Nie chciałbym być eunuchem w haremie Khar El-Dina.
Addio, mój panie.

- Nie! - ryknął hrabia w myślach, choć z jego ust wydobył się zaledwie szept. Spojrzał tępo na dłoń Josepha, która teraz tkwiła nieruchomo w jego własnej.

Jego przejrzyste, niewidzące oczy były wolne od cierpienia. Hrabia bardzo delikatnie je zamknął. Przez długi czas siedział przy nim i patrzył. Ciężyły mu wszystkie te słowa, których nie zdążył mu powiedzieć. Żałował, że nie zdążył. Wreszcie wstał i zakrył kołdrą jego twarz.

- Żegnaj, stary przyjacielu - szepnął i zgasił jedyną świecę.

Wyszedł do ogrodu, gdzie księżyc w pierwszej kwadrze oświetlał mu *R S*

drogę. Poszedł usiąść na marmurowej ławce w odległym kącie ogrodu. Świtało już, kiedy wstał i rozprostował zmęczone ciało. Spojrzał do góry na wysokie okna sypialni skąpane w szarym świetle poranka i głęboko odetchnął.

* * *

- Cassandro - chwycił ją za ramię i lekko potrząsnął.

Prawie natychmiast otwarła oczy i wpatrywała się w niego w półmroku komnaty, tak jakby się bała odezwać, bo wiedziała, dlaczego ją budzi.

- Już po wszystkim, *cara*. Chodź teraz ze mną i się pożegnaj.

- Kiedy?

- Około godziny temu. Umarł spokojnie, Cassandro. Jego ostatnie słowa były o tobie.

Pomógł jej wstać i włożyć szlafrok. Spodziewał się łez, ale jej twarz była nieruchoma i opanowana.

Zostawił ją samą z Josephem. Gdy wreszcie wyszła z pokoju, jej twarz nie wyrażała niczego.

- Pomożesz mi pójść na jego pogrzeb, prawda?

- Tak, Cassandro - potwierdził i zaniósł ją do sypialni.

* * *

Cassie okryła się mocniej aksamitnym płaszczem, ale wilgotny chłód przenikał ją do szpiku kości. Opierała się mocno na ramieniu hrabiego, bo było jej strasznie słabo. Wszyscy wyglądali jak czarne kruki, pomyślała, rozglądając się wkoło. Nawet ksiądz. Pan Donnetti i cała załoga „Cassandry” stali z opuszczonymi głowami wokół grobu Josepha. Może metr od niej, przestępując z nogi nogę, stał

Caesare. Domyślała się, że przyszedł przez szacunek dla przy-rodniego brata, bo przecież sam ledwo znał Josepha.

Hrabia stał u jej boku i patrzył w jeden punkt. Przeziębiony signore Mon-R S

talto nieustannie pociągał nosem i wyglądał mizernie. Byli też inni ludzie, któ-

rych nie znała. Słuchała monotonnego mamrotania księdza, ale łacińskie słowa nie niosły ze sobą żadnych znaczeń. Pod czarną woalką nie mogła swobodnie oddychać, więc odrzuciła ją do tyłu na czepiec. Nie miała pojęcia, że w oczach księdza gest ten oznaczał brak szacunku. Ostatnimi dniami mało jadła i kiedy zobaczyła, jak świeża ziemia pokrywa trumnę Josepha, ta ziemia zaczęła pęcznieć i przesuwać się w jej stronę. Zachwiała się i cofnęła. Hrabia ją podtrzymał

i odzyskała równowagę. Wbiła tępy wzrok w odległy punkt i pomyślała: Niech ten blady ksiądz już kończy z tą łaciną. Zawsze myślała, że księża to asceci, którzy za nic mają doczesne przyjemności. Ten jednak był gruby jak beczka.

Potrząsnęła głową i skarciła się za niemiłosierne myśli. Powinna myśleć o Josephie, ale jakoś nie mogła połączyć kopczyka ziemi pokrywającego dębową skrzynkę z tym człowiekiem, którego znała.

Wreszcie ksiądz zamknął welinową Biblię i zaintonował modlitwę. Cassie stała z zamkniętymi oczami. Kiedy otworzyła je chwilę po skończonej mo-dlitwie, czarno odziani ludzie kłębili się wokół nich i rozmawiali półgłosem.

Miała zamiar zwrócić się do hrabiego, który rozmawiał właśnie z księdzem, gdy nagle dobiegły ją cicho wypowiedziane słowa. Słowa, które otworzyły niezabliźnioną ranę.

- *Pazza fragitara nigli inferno.* - „Niechaj się smaży w piekle.”

Zaczęła się gorączkowo rozglądać, ale zobaczyła tylko poważne twarze, niektóre znajome, inne obce. Nie zauważyła niczego podejrzanego. Pociągnęła hrabiego za rękaw, nie zwracając uwagi na księdza, który przyglądał się jej z wyraźną dezaprobatą. Hrabia spojrział na nią, niezadowolony, że tak niegrzecz-nie im przerywa.

- On tu jest - wydusiła z siebie. - Słyszałam go... on tu jest! - Osłabienie i ten szok sprawiły, że Cassie zemdląła. *R S*

Hrabia złapał ją w ramiona i krzyknął do pana Donnetiego:

- Francesco! Szybko!

- Co się stało, panie?

Wyjaśnił mu zwięźle i rozkazał:

- Zgromadź swoich ludzi. Niech przyprowadzą do willi wszystkich, któ-

rzy nie są im znani. - Jednak już wydając to polecenie, wiedział, że to nie ma większego sensu. Większość żałobników opuściła już cmentarz.

- Nie wytrzymała szoku, Antonio?

Hrabia spojrział na Caesarego, który z troską pochylał się nad bladą twarzą Cassie.

- Możliwe. Słyszała jednego z mężczyzn, którzy ją porwali. Jeśli mogę cię prosić, Cesare, przejdź się po okolicy i sprawdź, czy nikt podejrzany się tu nie kręci. Sprawiliby mi to wielką radość, gdybym mógł zabić kolejną kanalię w dzień pogrzebu Josepha.

Kiedy się ocknęła, Cassie poczuła pod sobą kołysanie i próbowała usiąść.

- Nie ruszaj się, *cara*. - Silne ramiona hrabiego zacisnęły się wokół niej.

Zaraz uznała, że zachowuje się jak głupia gąska.

- Ach, to powóz.

- Tak, zaraz będziemy w domu. - Jego uspokajający ton przeszedł w bardziej żartobliwy: - Nie wiedziałem, że należysz do kobiet, które ulegają omdleniom.

- Jestem głodna i to nieładnie, że ze mnie kpisz.

Hrabia przytulił ją do piersi i odzyskał powagę.

- Co ten człowiek dokładnie powiedział, Cassandro?

Zadrżała.

- „Niechaj się smaży w piekle”. Te same słowa, które słyszałam tamtej *R S*

nocy. Ale nie wiedziałam, z czyich ust one padły, zresztą były wypowiedziane tak cicho... i z taką nienawiścią.

- Czyli to tego piątego mężczyznę słyszałaś.

Poruszyła potakująco głową, ocierając się o jego ramię.

- Francesco i jego ludzie przeszukują okolicę. Przesłucham tych, których mi przyprowadzą.

- Myślę, że nawet jeśli go znajdziesz, to jest za sprytny, żeby dać się rozpoznać.

- Zobaczymy.

Milczeli przez chwilę.

- Wiesz - stwierdziła Cassie - nie sądzę, żeby Josephowi szczególnie spodobał się ten książdz.

Strasznie był nadęty... i do tego gruby jak balon.

Hrabia zatrzęsł się ze śmiechu

- Tak - odpowiedział krótko - masz rację.

Rozdział 20

Cassie obrała pomarańczę i z namysłem żuła soczysty miąższ.

- Jakie to dziwne, milordzie - powiedziała - jeść świeże owoce jesienią.

- Wiem - zgodził się hrabia z uśmiechem. - W Anglii jesienią nie ma za wielu świeżych pomarańczy. I wiesz, że mam na imię Anthony - dodał jeszcze.

- Tak, wiem. Dla mnie jednak jesteś zazwyczaj milordem albo jego lordowską mością.

- Czy zatem wydaję się taki odległy? Nie jest to moim zamiarem.

R S

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Nie, nie jesteś ani trochę odległy.

Istotnie, pomyślała, przez ostatnie trzy tygodnie był dla niej niezwykle dobry i opiekuńczy. Nadal jej żartobliwie dokuczał i upominał ją, jeśli uważał, że się przemęcza, ale nie chciał od niej niczego poza towarzystwem. W ten sposób mogła się po prostu cieszyć wspólnie spędzonym czasem i pozwolić, by się o nią troszczył, nie dopuszczając do niej na razie świata zewnętrznego.

Wydawał się wyczuwać, że nie jest jeszcze zdolna stawić czoła ani wspomnieniom, ani przyszłości i że jedyne, czego teraz chce, to regenerować siły, żyjąc z dnia na dzień w tej bańce mydlanej, którą dla niej stworzył.

Hrabia oparł się wygodnie w wiklinowym fotelu i żując pieczonego kasztana, przyglądał się Cassie. Spędzili popołudnie na jej łódce i to ona złapała pstrąga, którym zajadali się na obiad. Bardzo ją uradowało, że on zdołał złowić tylko jedną małą rybę, niegodną stołu wielkiego hrabiego, jak nie omieszkała mu dokuczyć. Chociaż ciągle była za chuda, wycieczka dobrze jej zrobiła. Nabrała rumieńców i oczy jej błyszczały, kiedy na niego patrzyła. To zalęknione spojrzenie pojawiała się w nich coraz rzadziej, a koszmar nawiedził ją tylko raz w ubiegłym tygodniu i chociaż trzęsła się w jego ramionach, szybko wyrwała się ze szponów strachu. Patrzył, jak delektuje się ostatnią cząstką pomarańczy, po czym rozsiada się w fotelu z westchnieniem zadowolenia.

- Jeśli zechcesz wytrzeć ręce, Cassandro - powiedział - to pozwolę ci zmierzyć się ze mną na innym jeszcze polu.

Spojrzała na niego i uniosła brwi. Zmywając z palców lepki sok pomarańczy, zapytała:

- Kolejna rozgrywka, milordzie? Czy łowienie ryb czegoś cię nie nauczyło? Chyba że chcesz przegrać dwa razy jednego dnia.

- Dama zadziera nosa. Wkrótce się przekonamy, czy szczęście dalej ci dopisuje.

R S

- Szczęście, akurat! Powiedz, milordzie, co masz w zanadrzu?

Rzucił serwetkę na stół.

- Jeśli pozwolisz ze mną na górę, pani, zaraz się przekonasz. - Pomógł jej wstać, wciąż uważając na jej posiniaczone zębra, i zaprowadził ją do sypialni.

Mały ogień, który wcześniej rozпалиł, nadal płonął w kominku, rzucając na białe zdobione sztukaterią ściany przedziwne cienie. Hrabia pomógł jej usiąść w fotelu przy ogniu i podał miękki wełniany szal, nagrany już od biją-

cego z kominka ciepła.

- Czuję się przy tobie jak stara kaleka, niedołączna i bezużyteczna.

- Przynajmniej nie będziesz zmarzniętą kaleką - powiedział lekkim tonem. - Teraz, Cassandro, zamknij oczy i obiecaj, że nie będziesz podglądać.

- Obiecuję - powiedziała z podnieceniem w głosie.

Włożył jej w ręce długie drewniane pudełko. Zanim otworzyła oczy, przebiegła lekko palcami po misternych rzeźbieniach i pieszczotliwie dotknęła chłodnej marmurowej inkrustacji. Przypomniała mu się scena z jej dzieciństwa, kiedy drżącymi z ekscytacji palcami próbowała rozerwać opakowanie prezentu, który przywiózł jej z Turcji - były to wówczas małe dzwoneczki z brązu, zawieszane na złotym łańcuchu. Ze śmiechem ją wtedy upominał, żeby zdąży-

ła się nacieszyć prezentem, zanim go zepsuje.

- Och!

Z radością patrzył na jej zdziwioną minę.

Cassie ujęła skoczka z kości słoniowej i delikatnie wyciągnęła go z wy-moszczonej fioletowym aksamitem przegródki.

- Są identyczne - wyszeptła. Znajomy dotyk chłodnej kości słoniowej sprawił, że łamiącym się głosem powiedziała: - Są takie, jak szachy, które da-

łeś mi na czternaste urodziny.

- Tak, i wykonał je dla ciebie ten sam rękodzielnik. Byłem ciekawy, czy *R S*

zrobiłaś jakieś postępy w grze.

Pamiętała, jak dawno temu cierpliwie pokazywał jej ustawienie figur i tłumaczył dozwolone ruchy.

- To bardzo miłe z twojej strony, milordzie.

- Anthony.

- Tak... Anthony.

Musnął jej palce, wyjmując jej z ręki skoczka i ustawiając go na szachownicy.

- Dawno już nie miałem godnego przeciwnika. Zobaczymy, czy grasz w szachy równie dobrze, jak łowisz pstrągi.

Uraczyła go szerokim uśmiechem.

- Przygotuj się, milordzie, na porażkę.

Przesunęła biały królewski pionek o dwa pola, a on natychmiast wyszedł

mu na spotkanie czarnym pionkiem. Zerkał na nią w trakcie gry i z zadowoleniem zauważył, że w skupieniu zagryza wargi i że oczy jej błyszczą od wymyślania różnych strategii. Był też miłe zaskoczony poziomem jej gry.

Przez chwilę rozważał myśl, żeby dać jej wygrać, ale szybko ją odrzucił. Do-myśliłaby się i był pewien, że takie zwycięstwo nie sprawiłoby jej najmniejszej przyjemności.

- Strzeż się czarnego gońca, Cassandro.

Zmarszczyła czoło, kiedy zobaczyła, że jej królowa, która wciąż stoi przy królu, jest zagrożona. Szybko zabezpieczyła ją gońcem i oparła się w fotelu z zadowolonym uśmiechem.

- A ty, milordzie, powinieneś uważać na moją wieżę.

Kilka minut później palce hrabiego ujęły czarną królową. Hrabia niespiesznie przesunął ją na wybrane pole i podniósł głowę.

- Szach-mat, moja droga.

R S

- A niech to! - zachnęła się Cassie, patrząc na swojego zbitego króla. -

Nie sądzę, żebym mogła podsumować to stwierdzeniem, że miałeś farta?

- Mogłabyś, ale wówczas tylko bym się poczuł jeszcze bardziej wygrany.

- Mądrała! No cóż, muszę ci przyznać, że byłeś lepszy. - Spojrzała na niego zadziornie spod jedwabistych rzęs. - Ale kładę to na karb tego, że masz o wiele więcej lat praktyki.

- Nie wydaje ci się prawdopodobne, że jestem po prostu bardziej inteligentny?

Figlarny błysk jego ciemnych oczu sprawiał, że nie mogła odebrać tych słów jako zniewagi. Pozwoliła sobie na chichot.

- Zawsze musisz mieć ostatnie słowo, prawda, mój panie? To bardzo brzydko z twojej strony. - Podniosła wzrok, czując, że jego oczy mają ma-gnetyczną siłę. Patrzył na nią z taką czułością, że wzięła głęboki oddech.

- Kolejna partia, milordzie?

* * *

Cassie z niesmakiem przyglądała się poruszonym wiatrem palmom.

- Jest jesień - zamruczała ponuro. - Powinnyście stracić te swoje idiotyczne liście.

Hrabia stał cicho na balkonie sypialni i patrzył na spacerującą po ogrodach Cassie. Dopiero co wróciła z winnic Parese, gdzie, jak dobrze wiedział, interesowała ją nie tyle sztuka uprawy winorośli, co mistrz wyrobu wina Liepolo i gromadka jego dzieciaków. A zwłaszcza Alwise, niesforny trzylatek, któ-

rego psoty przyprawiały ją o wybuchy śmiechu i przydawały jej policzkom rumieńców. Hrabia w myślach podziękował Liepolowi za to, że spłodził tak dużo potomstwa.

R S

Opuścił balkon i udał się na dół do biblioteki. Czubkiem buta poruszył

dogasający żar w palenisku i w zamyśleniu wpatrywał się w pomarańczowe iskry, które wzbiły się w górę. Minał już miesiąc od gwałtu Cassie i śmierci Josepha, a on ani o cal nie zbliżył się do znalezienia Andrei albo tego czwartego. Bez nich nie miał większych szans na dorwanie człowieka, który to zlecił.

Chociaż tyle, że Cassandra odzyskała zdrowie, przynajmniej fizyczne.

Ponieważ nie zbliżał się do niej w łóżku, mógł się tylko domyślać, że siniaki znikły. Musiał kupić jej więcej nocnych koszul, bo wzdrygała się na myśl, że miałby zobaczyć ją nagą. Raz tylko pozwoliła mu się dotknąć, jakieś dziesięć dni po gwałcie. Ponieważ za nic nie chciała się zgodzić, żeby obejrzał ją signore Bissone, to hrabia usunął jej szwy.

Dzień, w którym mieli się pobrać, był już dawno za nimi, ale hrabia nie poruszał tego tematu. Nie

niał nic przeciwko temu, żeby poczekać.

Usiadł przy biurku i otworzył księgę rachunkową. Na kilka minut udało mu się skupić na kolumnach cyfr, ale zaraz zamknął księgę z trzaskiem, zły na siebie, że nie potrafi się skoncentrować. Wstał i wyszedł do ogrodów. Chciał

być z Cassandrą. Pomyślał, że może nawet uda mu się usłyszeć jej śmiech.

* * *

Hrabia podniósł się z miedzianej wanny i otrzepał - trochę tak, jak robią to mokre kundle. Owinął się ręcznikiem w tali i poszedł w stronę sypialni. Zatrzymał się jednak, słysząc zduszony okrzyk Rosiny. Pokojówka stała za Cassie ze szczotką do włosów w ręku. Miała szeroko otwarte usta i mocno zaczer-wienione policzki. Cassie zaś siedziała swobodnie przed lustrem, ze smakiem jedząc pomarańczę.

- Możesz już iść się położyć, Rosino - powiedziała z rozbawieniem w głosie.

R S

Kiedy hrabia usłyszał, że za dziewczyną drzwi się zamknęły, wszedł do komnaty i stanął za Cassie. Miała na sobie gruby szlafrok z niebieskiego aksamitu, a pod spodem, jak się spodziewał, koszulę nocną.

- Wiesz, *cara*, tak sobie myślałem.

- To szlachetna czynność i cieszę się, że wreszcie dostąpiłeś tego przywi-leju.

Uśmiechnął się szeroko, owinął sobie wokół palca pukiel jej włosów i pociągnął. Wrzasnęła na niego:

- Skoro jednak nie potrafisz używać rozumu, milordzie, to proponuję, że-byś... - Urwała w połowie zdania.

Hrabia spojrzał na nią pytająco i zorientował się, że wbiła wzrok w pewien punkt w lustrze. Węzeł się poluzował i jego ręcznik lekko się rozchylił.

- Wspominałaś coś o rozumie, moja pani?

Cassie spuściła wzrok, zdając sobie sprawę, że wzbierające w niej emocje odcisnęły się na policzkach purpurową barwą. Sama nie wiedziała, czy chce ignorować jego nagość, czy nie.

- A ty, milordzie, mówiłaś, że o czymś myślałaś? - powiedziała w końcu, starając się nie zwracać uwagi na nieskromną pozę, jaką przyjął, sadowiąc się w skórzanym fotelu.

- Tak... Właściwie to zastanawiałem się, kiedy mi powiesz, *cara*, że włoska jesień zupełnie nie jest podobna do angielskiej. Nie ma nabrzmiałych od deszczu chmur ani lodowatych wiatrów.

Zgarbiła się lekko, starając się skupić niesforny wzrok na swoich paznokciach.

- Założę się, że palisz w kominku tylko z nabytego w Anglii przyzwyczajenia.

- Pewnie masz rację. - Tak naprawdę, to zamierzał ją zapytać, czy miała-by ochotę na wycieczkę do Paryża, ale wypadło mu to z głowy, kiedy zobaczył

czył, jak zareagowała na widok jego ciała. Szybko poszedł do łóżka i przykrył

się prześcieradłem, bo poczuł, że jego członek nabrzmiał pożądaniem. Za nic nie chciał jej przestraszyć.

Patrzył, jak kończy szorstkować włosy i zastanawiał się, o czym teraz myśli. W końcu wstała, zdjęła szlafrok i wślizgnęła się do łóżka.

Smukły płomień świecy unosił się spiralną smuzką do sufitu. Łóżko ską-

pane było w lekkiej żółtawej poświacie. Długo na nią patrzył, zanim zdecydował się do niej przysunąć. Miała zamknięte oczy, a jej twarz ginęła w obramowaniu gęstych złotych włosów.

- Po co nam ta koszula nocna, Cassandro - odezwał się w końcu, delikatnie głaszcząc aureolę włosów. - Myślę, że oboje mamy jej dosyć.

Cassie powoli otworzyła oczy i popatrzyła na niego z niemym pytaniem.

- Nie jestem pewna, czy rozumiem, co masz na myśli, milordzie.

Podparł się na łokciu i palcami lekko obrysował jej twarz.

- Może udałoby się nam osiągnąć kompromis w sprawie koszuli.

- Kompromis? - Czują ciepło jego oddechu na policzku i lekki, nienaturalny pocałunek na ustach. Palcami gładził jej szyję, aż ujął w nie wstążki koszuli. Złapała go za palce, powstrzymując przed kolejnym ruchem.

- Zaufaj, że cię nie skrzywdzę, *cara*.

Patrzyła w górę, na niego. Jej oczy w słabym świetle wydawały się prawie czarne. Powoli odsunęła rękę, a on pociągnął za wstążki.

Cassie wstrzymała oddech, kiedy powoli obnażył jej biust. Zamknęła oczy, czując przyjemny dreszcz, kiedy dotknął ustami jej piersi.

- Ten kompromis, milordzie - szepnęła.

- Jak mam go z tobą uzgodnić, jeśli na mnie nie spojrzysz?

Otworzyła natychmiast oczy, z których przebijało wielkie zmieszanie.

Hrabia zabrał rękę z jej piersi w obawie, że posuwa się za szybko. Postarał się, *R S*

by jego głos zabrzmiał swobodnie i dał jej lekkiego pstryczka w nos.

- Moja propozycja, kochana, jest taka, żeby złożyć twoją koszulę nocną w honorowym miejscu u stóp łóżka.

Myśl, żeby znowu się do niego przytulić nagim ciałem, była rozkoszna i Cassie w milczeniu kiwnęła głową. Chciała, żeby natchnął ją swoją siłą i czu-

łością, żeby uczynił ją częścią siebie. Ze śmiechem zwinął jej koszulę i rzucił

przez pokój. Leżała przy nim naga i poczuła, że znowu pieści dłonią jej pierś.

- Tyle już czasu minęło, *cara*.

- Wiem - szepnęła.

Uśmiechnął się drapieźnie i powoli zsunął palce na jej brzuch. Jego wy-mowne ciemne oczy zaszyły mgłą i domyśliła się, o czym musiał pomyśleć.

Gdyby nie straciła dziecka, brzuch byłby teraz zaokrąglony. Ale była płaska, a jej ciało puste. Przypomniała sobie okropny ból tamtej nocy i mimowolnie za-drżała.

Zauważył jej drzenie i jego ręka znieruchomiała.

- Boisz się, Cassandro?

- Trochę. Kiedy przypomina mi się tamto, nie potrafię się opanować.

- Wiem, ja czuję to samo. Chociaż minęło już wiele tygodni, tamta noc ciągle do mnie wraca i bardzo się boję.

- Ty? Ty się boisz? - Popatrzyła na niego zdumiona. - Nigdy nie myśla-

łam, że ty mógłbyś bać się czegokolwiek.

- Byłbym wówczas głupcem, czyż nie? Chyba że takie właśnie masz o mnie zdanie, moja pani?

- Nie, nie. Tylko że kiedy już wydaje mi się, że cię znam, mówisz coś, co mnie zaskakuje.

Uśmiechnął się do niej i spostrzegł, że jej napięcie znika. Zaczął znów wodzić palcami po jej brzuchu i delikatnymi pocałunkami obsypał jej nos, *R S*

podbródek i usta. Przyciągnął ją łagodnie do siebie, napawając się jej blisko-

ścią.

- Tak bardzo za tobą tęskniłem, *cara*.

- A ja za tobą, milordzie. - Wsunęła rękę pod jego ramię i objęła go, przyciskając policzek do jego szyi. Poczwała, że jego męskość opiera się o jej brzuch i zacisnęła mocno palce na nabrzmiętym członku.

Kiedy nie mógł już dłużej znieść jej dotyku, położył ją na plecach i złapał

jej miękkie pośladki w swoje duże dłonie.

W niewyraźnym świetle świecy jego rysy wydawały się zamazane. Jej uszy napełniał odgłos jego przyspieszonego oddechu. Spojrzała na jego potężne ciało, rozciągnięte nad sobą i poczuła, że jego członek na nią naciska.

On zauważył, że jej ciało się napięło, i popatrzył jej w oczy.

Ale to nie hrabia na nią patrzył, tylko Andrea. Zaczęła bronić się ze wszystkich sił, tłukąc go pięściami po twarzy i klatce piersiowej, nie zdając sobie nawet sprawy, że wrzeszczy przy tym wniebogłosy. Gdy uwolniła się od niego, gdy nikt już jej nie trzymał, wykorzystała odzyskaną swobodę ruchu i uciekła z łóżka.

- Cassandro!

Zatrzymała się, kiedy dotarł do niej dźwięk jej imienia. Jej ciało wciąż było sprężone do skoku, a ona sama zdeorientowana, niepewna. Zobaczyła olbrzymiego mężczyznę, który szedł w jej kierunku, ale zaraz stanął. Tępo skonstatowała, że wyciąga do niej rękę.

- Wszystko dobrze, *cara* - dobiegł ją miękki, znajomy głos. - Nie masz się już czego bać.

- Nie zbliżaj się!

Hrabia wyczuwał jej przerażenie.

- Masz ochotę na lampkę wina, Cassandro? Wina?

R S

Popatrzyła na niego dzikim wzrokiem, ale on już się odwrócił i odszedł.

Kątem oka obserwowała jego ruchy. Wyjął korek z karafki i nalał do szklanki burgunda o intensywnej barwie. Stała zupełnie nieruchomo w tym samym miejscu, gdzie się zatrzymała. Rozpuszczone włosy okalały rysującą się na tle ciemnych cieni sylwetkę.

Podszedł do niej, starając się, by jego ruchy wyglądały na swobodne, i wyciągnął do niej kieliszek.

- Twoje wino, Cassandro.

- Dziękuję.

Gdyby tak się o nią nie martwił, to nawet by się uśmiechnął. Nawet w chwili największego przerażenia nie zapomniała o manierach angielskiej damy.

Wypiła duszkiem wino i bez słowa oddała mu kielich. Zrobił kilka nie-spiesznych kroków i odstawił go na stół.

- Nie jest ci zimno, *cara*?

Cassie odzyskała zmysły i z rozpaczą pomyślała o tym, jak się zachowa-

ła. Uniosła rękę, by zaraz ją opuścić.

- Tak cię przepraszam, Anthony. To było tak, jakbyś nagle ty przestał być sobą. Byłeś... - Zakrztusiła się, nie mogąc wymówić jego imienia.

- Andrea?

Przytaknęła tylko.

- To nie ma znaczenia - powiedział. - Wracaj do łóżka, Cassandro.

Patrzył, jak podnosi koszulę nocną i wsuwa ją przez głowę. Drżącymi rękami zawiązała wstążki przy samej szyi.

Kiedy leżeli znowu w łóżku, każde po swojej stronie, hrabia zaczął spokojnie:

- Musisz powiedzieć mi, jaki ten Andrea był.

Zatrzęsła się.

R S

- To może ci pomóc, jeśli zdołasz o nim mówić, *cara*.

- Nie potrafię. - Zacisnęła oczy, żeby nie dopuścić powracających obrazów. - Proszę, Anthony, wybacz mi.

- Nie ma tu czego wybaczać, *cara*. - Wyciągnął do niej rękę.

Dostrzegł jej wahanie, pozostałość po przeżytych strachu. Swobodnym głosem, żeby zająć czymś jej myśli, powiedział:

- Nie wspominałem chyba, ale kilka tygodni temu wynająłem takiego człowieka, detektywa, można

powiedzieć, żeby pomógł mi odnaleźć Andreę i tego drugiego mężczyznę. Musimy ich złapać, żeby dotrzeć do zleceniodawcy.

Daniele przeniósł teraz poszukiwania do Pizy.

Cassie znowu zadrżała, a hrabia pomyślał, że może powinien był trzymać buzię na kłódkę. Zdumiał się, kiedy płaskim, beznamiętnym głosem oświadczyła:

- Chętnie ci, milordzie, pomogę w odnalezieniu tego drugiego i... Andrei.

Milczał przez kilka minut. Jej słowa go niepokoiły, ale rozumiał, że postanowiła zmierzyć się z tym, co ją spotkało. Wreszcie odrzekł:

- Tak, możesz nam pomóc.

- Dziękuję ci, milordzie.

Leżał w ciemności, patrząc w sufit, dopóki się nie upewnił, że Cassie za-snęła.

Rozdział 21

Cassie jednak nie pojechała z hrabią do Genui, gdzie miał spotkanie z *R S*

Danielem Barbaro. Została z przeziębieniem w łóżku. Żegnała go, trzymając zwiniętą chustkę do nosa w jednej ręce, a otwartą książkę w drugiej.

- Tylko mi tu nie przysyłaj signora Bissone - krzyknęła za nim - bo na niego nakicham!

Spotkał się z Danielem Barbaro w małej kafejce na Piazza de Ferrari, w dzielnicy labiryntów wąskich uliczek i schodów oraz wysokich przeludnionych domów, z których okien wysypywały się kwitnące mimozy i goździki.

- Jakie wieści, Daniele? - zapytał, przyglądając się ciężkim powiekom młodszego od siebie mężczyzny. Jak zawsze widok Daniele cieszył oko. W

prostym czarnym stroju i z lekko zgarbionymi wąskimi ramionami bez trudu mógł uchodzić za genuńskiego kupca.

- Nie dalej jak wczoraj dostałem wiadomość od znajomego, Ludovica Rialto. Uważa on, że Andrea wykonuje swoją brudną robotę w Corgorno.

Corgorno znajdowało się nie więcej jak dwa dni drogi od Genui.

- To by znaczyło, że ten bydlak jest trochę głupi. Kiedy go znajdziesz, Daniele, poślij mi wiadomość. Pamiętaj, że chcę go żywego. Potrzebujesz wię-

cej ludzi?

- Nie, panie.

Hrabia zamówił wino u kręcącego się w pobliżu kelnera, po czym poczekał, aż mężczyzna dostatecznie się oddali.

- Zanim go pojdziesz, upewnij się, że ma taki sam tatuaż jak jego kompani: zmię owiniętą wokół miecza. Od mojego człowieka w Rzymie, Teodora Cozziego, dowiedziałem się, że to znak grupy płatnych morderców, która gra-sowała tam jakieś dziesięć lat temu. Mówi, że może uda mu się dowiedzieć, co się z nimi stało. Jeśli się okaże, że ten człowiek w Corgorno to nie Andrea, może uda nam się go znaleźć z pomocą Cozziego.

Daniele pogładził się po gęstych wąsach, ścierając z nich krople wina.

R S

- To zawsze coś - powiedział opanowanym głosem. - Będę cię, panie, informował na bieżąco o rozwoju wypadków.

Hrabia przeszedł drogę powrotną w gąszczu poplątanych uliczek i już miał zapłacić chłopcu, który pilnował jego konia, kiedy zatrzymał go wyzywający damski głos.

- Antonio, ależ miłe spotkanie!

Obrócił się, by zobaczyć Giovannę, ubraną w morelowe aksamity, która patrzyła na niego swoimi wspaniałymi szerokimi oczami i rozchyliła miękkie usta w kuszącym uśmiechu. Przy niej stała służąca, obładowana pakunkami.

- Witaj, hrabino. - Ukłonił się jej sztywno.

Podąła mu dłoń, którą podniósł do ust i lekko ucałował w palce.

Giovanna zaśmiała się perliście, po czym nieznacznym skinieniem głowy odprawiła służącą.

- Taka jestem zmęczona, Antonio. Czy zechciałbyś odprowadzić mnie do domu?

Hrabia popatrzył za odchodzącą pokojówką i zacisnął zęby. Zupełnie nie wypadało mu zostawić Giovanny samej na środku ulicy.

- Dobrze - powiedział tylko i podał jej ramię.

- Signore Montalto mówił mi, że często zajeżdżasz do Genui, Antonio.

- Tak. Mam nadzieję, że mój partner w interesach cieszy się dobrym zdrowiem.

- To stary człowiek. Czy stary człowiek może cieszyć się zdrowiem? -

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do hrabiego. - Ale opowiedz o sobie, Antonio. Od kilku

miesiący cię nie widziałam.

- Jak już zdążyłaś się dowiedzieć, Giovanni, często przyjeżdżam do Genui. Resztę czasu spędzam w willi Parese.

Miała ochotę jeszcze go wypytać, ale postanowiła poczekać, aż znajdą się *R S*

przy jej domu. Delikatnie gładząc palcami jego rękaw, szła przy nim w milczeniu.

- Wypijesz ze mną kieliszek wina? - zapytała, kiedy tylko znaleźli się w holu wejściowym.

- Nie, Giovanni, bardzo dziękuję. - Szybko się skłonił i odwrócił do wyj-

ścia. Zagroziła mu drogę, obejmując go mocno i wtulając głowę w jego ramię.

- *Dio*, tęskniłam za tobą.

Chwycił jej ręce i odsunął ją od siebie.

- Jestem pewien, hrabino - powiedział - że wielu dżentelmenów zabiega o twoje względy. Ale ja ci dawno powiedziałem, że już do nich nie należę.

- Nie możesz mówić tego poważnie. Wiem, że mnie pragniesz - odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

- A jednak mówię najzupełniej poważnie.

- Jak śmiesz! - syknęła, zastygając z gniewu, że odważył się ją odrzucić.

- Musisz się nauczyć panować nad swoimi manierami oraz nad żądzami.

Pozwoli pani, że ją przeproszę. - Odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę drzwi.

- Jak możesz wracać do tej małej dziwki? Czy kiedy ją bierzesz, Antonio, opowiada ci, jak to było, kiedy obdzielala swoimi wdziękami pospolitych *bravi*?

- Zachowaj swój jad dla siebie, Giovanni, bo inaczej gotów jestem zapomnieć, że nie mam w zwyczaju podnosić ręki na kobiety. - Kiedy otwierał

drzwi i wychodził, dochodziło go jej wściekłe sapanie.

- Niech cię szlag, panie hrabio! Zapłacisz za to!

* * *

R S

Hrabia podniósł się na łokciu i pocałował Cassie lekko w usta. Natychmiast otworzyła oczy i

patrzyła na niego rozszpanym wzrokiem.

- Wesołych Świąt, *cara* - powiedział miękko.

Ziewnęła i uśmiechnęła się do niego.

- Wesołych Świąt, milordzie. - Jej oczy pociemniały na moment, kiedy przypomniały jej się święta Bożego Narodzenia w Anglii.

Odwróciła jednak głowę, gdyż nie chciała go zasmucać, przynajmniej nie dzisiaj. Pomyślała o partii szachów poprzedniego wieczora i uśmiechnęła się z satysfakcją. Po raz pierwszy udało jej się z nim zremisować i bezlitośnie mu na ten temat dokuczała przez cały wieczór.

- Ojejku - powiedziała nagle i odrzuciła kołdrę. Zaraz tego pożałowała, bo odkryła też jego, a przecież on spał nagi.

- Ojejku co? - zapytał ciekawie, przewracając się na plecy i podkładając ręce pod głowę.

- Nie mogę ci powiedzieć, milordzie... Anthony. To święta, wiesz. - Dostrzegł w jej oczach niecodzienny błysk, kiedy wyslizgnęła się z łóżka i pobiegła do garderoby.

Poranek szybko im minął. Cassie stała u boku hrabiego, kiedy rozdawał

służbie prezenty w postaci pieniędzy i kolorowych pakunków dla ich dzieci. Po lekkim lunchu pojechali zamkniętym powozem do Genui, żeby pójść na mszę bożonarodzeniową do kościoła Zwiastowania Pańskiego na Piazza della Nunziata. Cassie nigdy jeszcze nie była na katolickiej mszy i ten uroczysty przepych, który zobaczyła, zrobił na niej wielkie wrażenie. Nie miało większego znaczenia to, że nie rozumiała Słowa Bożego ani pieśni intonowanych po łaci-nie. Naśladowała ruchy hrabiego, klękając wtedy co on i ruszając ustami, kiedy on wypowiadał łacińskie formułki. Uznała to za dziwne, że wszyscy byli ubrani na czarno, zwłaszcza w tak radosny dzień. Podczas kazania rozglądała się po starym kamiennym kościele, oświetlonym setkami świec, które rzucały

niesamowite cienie na wykonane w naturalnych rozmiarach rzeźby świętych, usta-wione wokół ścian. Anglikańskie nabożeństwo przypomniało jej się tylko raz, gdy zobaczyła szopkę i położony na sianku żłóbek, w którym spoczywało ma-leńkie Dzieciątko Jezus, a nad nim pochylały się namalowane postaci Maryi i Józefa. Poczuła się tak wyobcowana, jak ta figurka w żłobie, i przeraźliwie samotna. Nie mogę tak dalej żyć, pomyślała. Jestem odcięta od siebie samej, od świata, który znam i którego pewnie chcę z powrotem. W tym momencie ręka hrabiego zacisnęła się na jej dłoni.

Kiedy ksiądz intonował ostatnią modlitwę, obróciła dłoń i ujęła mocniej jego palce.

W drodze powrotnej w powozie była mocno zamyślona.

- Co sądzisz o genueńskiej mszy bożonarodzeniowej, Cassandro?

- Jest piękna - powiedziała, starając się oderwać od myśli, które prowadziły donikąd. - Żałuję tylko,

że nie rozumiałam, co mówią. Ale wiesz, bardzo się różniła od... - Urwała, uśmiechając się wymownie.

Poklepał jej okrytą ciepłą rękawicą dłoń.

- Od razu widać, że spędzamy ze sobą dużo czasu. Jestem w stanie kończyć za ciebie zdania.

Kiedy Cassie zdjęła ciężki czarny kapelusz z woalką, z salonu dobiegł ją głos hrabiego:

- Chodź, Cassandro, napij się ze mną grzanego wina.

Ale zamiast wręczyć jej kieliszek wina, podał wielkie pudło, obwiązane jasnoczerwoną aksamitną wstążką. Przez moment nie mogła wydobyć z siebie głosu, patrzyła tylko to na pudło, to na hrabiego.

- Wesołych Świąt, Cassandro.

Wzięła od niego pudło i położyła na inkrustowanym kością słoniową stole. Była bardzo podekscytowana, gdyż zawsze uwielbiała prezenty. Ostrożnie *R S*

otworzyła pakunek, odłożyła warstwy srebrzystego papieru i wyjęła najcudowniejszą suknię, jaką kiedykolwiek widziała. Była z ciemnoniebieskiego jedwabiu, tak delikatnego, że wydawał się oblepiać jej palce niczym babie lato.

Przód gorsetu wyszywany był złotą nicią, podobnie jak obfite falujące rękawy, wypuszczone od łokcia. Uszyte w całości z jedwabiu spódnice, opierające się na szerokim kole, opadały do ziemi obfitymi falbanami. Przytuliła na moment suknię do piersi, gdyż nie była jeszcze gotowa, by spotkać wzrok hrabiego.

- Jest niezwykle piękna - powiedziała wreszcie, patrząc na niego nieśmiało.

- To jedwab wenecki. Pan Donnetti przywiózł go z ostatniego rejsu.

- Czy mogę ją teraz przymierzyć, milordzie?

- Naturalnie. Zaczekam tutaj.

Kiedy wróciła do salonu niespełna trzydzieści minut później, patrzył na nią z zapartym tchem. Ciemny błękit pasował do jej oczu, a złota nitka komponowała się z kolorem włosów. Podeszła do niego tanecznym krokiem, zatrzymała się i wykonała piruet. Na koniec dygnęła z wielką gracją. Suknia miała głęboki dekolt, na modłę francuską, a wzniesienie jej białych piersi stanowiło wspaniały widok nad złotym obramowaniem gorsetu.

- Pasuje do ciebie - powiedział.

- Naprawdę tak myślisz?

- Absolutnie, *cara*.

Był zdumiony, kiedy nagle podeszła do niego, stanęła na palcach i ucałowała go lekko w usta.

- Teraz dopiero czuje się tę świąteczną atmosferę - powiedziała i zmieszana zrobiła kilka kroków w tył. - Eliott wiecznie dawał mi nieznośnie praktyczne podarunki: nowe wędki, naukowo opracowane i przetestowane spławiki i takie różne. - Blask na jej twarzy na chwilę przygasł i hrabia wiedział, że my-R S

śli teraz o swojej rodzinie, Edwardzie Lyndhurstie i niewątpliwie o ogromnym świerku zdobiącym salon Hemphill Hall w każde święta. Poczul bezsilną frustrację, ale zdobył się na swobodny ton:

- Czy zechcesz towarzyszyć mi przy obiedzie? Caesare nie będzie w stanie przybyć, bo wcześniej przyjął już inne zaproszenie.

- Z wielką przyjemnością, Anthony, ale jeszcze nie teraz.

Spojrzał na nią, unosząc ze zdziwienia czarną brew. Ostrożnie wyjęła małe pudełeczko z kieszeni spódnicy i nieśmiało mu je podała.

- Wesołych Świąt, milordzie.

Niezwykłe ucieszył się z niespodzianki. Powoli odwinął z papieru kwadratowe pudełko. Otworzył je i przez długą chwilę wpatrywał się w złoty pier-

ścień. W czarnym jadeicie na okrągłej podpórce wyrzeźbiona była mała figura szachowa: król.

- Mam nadzieję, że ci się podoba - zaczęła niepewnie, zaniepokojona przedłużającą się ciszą.

- Będę go sobie bardzo cenić - powiedział cicho i wsunął go na serdeczny palec.

Zaśmiała się nerwowo.

- Skoro ciągle mnie pokonujesz w szachy, to pomyślałam, że trzeba twoje zdolności jakoś uhonorować. Zaprojektowałam go, a Scargill zlecił wykonanie jubilerowi w Genui.

- Jesteś niezwykle utalentowana, *cara* - stwierdził. Podniosła na niego wzrok i nie opierała się, kiedy delikatnie przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta.

* * *

Kiedy hrabia przechadzał się samotnie po ogrodach, przyznał się przed R S

sobą, że zaczyna planować powrót Cassandry do swojego łóżka równie pieczo-

łowicie, jak swego czasu planował jej porwanie z Anglii. Jego ciało domagało się jej coraz bardziej i nie był w stanie nic na to poradzić.

Zmarszczył czoło, gdyż jego myśli utknęły w martwym punkcie. Udało mu się odrzucić pierwszy pomysł, żeby jej po prostu oznajmić, że dość czasu już minęło i ślub powinien odbyć się wkrótce, koniec kropka. W ciągu ostatnich miesięcy nabrała do niego zaufania i wiedział, że potrzebowała przyjaznego towarzystwa, które jej zapewniał. Wiedział jednak również, że ich zwią-

zek nie mógł w nieskończoność trwać w tym stanie zawieszenia, na który teraz się godził. Przez kilka ostatnich tygodni coraz trudniej mu przychodziło prze-bywanie z nią w jednym pokoju, gdyż jego pragnienie się nasilało i coraz trudniej było je utrzymać w ryzach.

Podniósł wzrok i zobaczył, że zbliża się do niego Liepolo, jego zarządca winnicy. Zmusił się do powitalnego uśmiechu.

- Wszystko w porządku, Liepolo?

- *Si*, panie. Marrina powiedziała, że mogę pana tutaj znaleźć. Pan wybaczy, ale chciałem poinformować, że winogrona, które sprowadził pan z Francji, dotarły bezpiecznie.

- To doskonale, Liepolo. - Chociaż w tym momencie mało go obchodziło, czy z tych przeklętych owoców będzie wino, czy ocet winny, udało mu się udać zainteresowanie i odpowiednio skomentować czynione przez Liepola plany.

- Wino!

- Tak, panie? - zapytał Liepolo, patrząc na hrabiego ze zdziwieniem.

Hrabia wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i poklepał Liepola po przygarbionym ramieniu.

- Wybacz, przyjacielu, ale muszę cię teraz opuścić.

Odwrócił się i odszedł szybkim krokiem, pozostawiając na miejscu zdez-R S

orientowanego zarządcę.

* * *

Hrabia zastał Cassie przed toaletką, gdzie przebrana już do obiadu w wieczorową suknię, zajęta była szczotkowaniem włosów.

- A może zjemy dziś obiad tutaj, na balkonie?

Przekrzywiła głowę i się uśmiechnęła.

- Jak sobie życzysz, milordzie. Caesare zdecydował, że jednak dziś z na-mi nie zje?

Hrabia pominął milczeniem liścik, który naprędce napisał do brata, prosząc o przełożenie wizyty.

- Musiał nagle zmienić plany, jak rozumiem.

Cassie odłożyła szczotkę.

- W takim razie, jeśli nie musimy dziś zabawiać gości, dam sobie spokój z tymi spinkami.

Hrabia, skinieniem głowy odesławszy Marrinę, która podała obiad, skupił

całą uwagę na Cassie. Prowadził z nią swobodną pogawędkę i pilnował, żeby jej kieliszek nie pozostawał pusty, dolewając lekkiego wina o owocowym aro-macie, prosto z winnic Parese.

- Czyż ten księżyc w pełni nie jest czarujący, Cassandro?

- Zaiste, milordzie - zgodziła się, zadzierając głowę. Noc była bezchmur-na i niezliczone gwiazdozbiory świeciły jasno na czarnym niebie.

- Przypomina mi to niektóre nasze wieczory na pokładzie „Cassandry”.

- Ale obiady tutaj są znacznie smaczniejsze - spojrzała na niego znacząco, jakby chciała zakończyć temat.

- A ja myślałem, że smakuje ci przyrządzana przez Artura ośmiornica -

kontynuował jak gdyby nigdy nic, ponownie napełniając jej kieliszek.

- Ośmiornica! - Z trudem przełknęła ślinę i podejrzliwie spojrzała na *R S*

owoce morza na talerzu. - Jesteś niepoprawnym żartownisiem, milordzie - powiedziała, zaciskając wargi.

- Napij się wina, Cassandro, żeby zatrzeć ten smak.

Gdy Marrina wróciła, żeby posprzątać ze stołu, Cassie siedziała obok hrabiego na kanapie z zarumienionymi policzkami i błyszczącymi oczami.

Czyniła mu wymówki roześmianym głosem:

- Doprawdy, milordzie, twoje odczytanie sonetów Szekspira pozostawia wiele do życzenia. Powinieneś być bardziej dramatyczny w swoich inter-pretacjach!

- Cierpliwości, moja pani, najpierw się trzeba oswoić z wyszukaną po-etycką frazą. Jeszcze wina?

Zachichotała i podstawiała mu pusty kieliszek.

- Zauważam, że twoje wino Parese z każdym łykiem smakuje mi coraz bardziej.

Nalał jej jeszcze jeden kieliszek, zanim odłożył oprawiony w czerwoną skórę tom i odwrócił się do niej twarzą.

Po raz pierwszy od dawna zobaczyła w jego oczach znajomy wyraz. Kiedy musnął palcami jej policzek, zorientowała się, że jego oczy wyrażają pożądanie.

- Myślę, milordzie - powiedziała powoli - że próbujesz mnie upić.

- Ależ ty już jesteś lekko podchmielona, Cassandro. - Wyjął z jej palców naczynie i spojrzał na nią znacząco. - Tak naprawdę, *cara*, to chciałem cię upić tylko na tyle, żebym mógł cię uwieść.

Wpatrywała się w niego, ale jej spojrzenie nie wyrażało żadnych uczuć.

- Ty chcesz... się ze mną kochać?

- Naturalnie. Czyż mój wybór miłosnych sonetów Szekspira nie dał ci do myślenia?

R S

Odwróciła wzrok i wyszeptała tak niewyraźnie, że jej słowa zlewały się ze sobą:

- Tyle czasu minęło. A ja się boję.

- Boisz się mnie?

Powoli potrząsnęła głową.

- Bardziej boję się siebie, tak sędzę. Tego, co bym do ciebie poczuła, gdybyśmy...

- Gdybyśmy zaczęli się znowu kochać?

- Tak.

- Wcale nie musisz lękać się swoich pragnień ani swoich uczuć do mnie, *cara*. Chyba nie obawiasz się już, że znowu zobaczysz we mnie Andreeę, prawda?

- Raczej nie. Ale obawiam się, że niczego nie poczuję, tylko obrzydzenie do siebie.

- Wcześniej mi o tym nie mówiłaś, Cassandro.

Bezradnie wzruszyła ramionami i spróbowała się do niego uśmiechnąć.

- Wcześniej nie byłam pijana.

Wziął ją w ramiona i mocno trzymał. Poczuł, że jej głowa opada mu na ramię i chwycił ją za brodę, podnosząc jej twarz w kierunku swojej. Zaciśnęła palce na jego dłoni i ku jego wielkiej radości pocałowała go w usta.

Rozpiął długi rząd guziczków stanika sukni i przelotnie dotknął jej pociemniałych sutków. Spięta się, kiedy poczuła jego ciepłe palce.

- Spójrz na swoje piersi, *cara*.

Bez namysłu schyliła głowę i tępo patrzyła na swoje ciało. Piersi były nabrzmiące i bolały ją, jakby po długiej pieszczocie.

R S

Nie przestawał do niej mówić, czułym i pieszczotliwym głosem i patrzeć jej prosto w oczy, postanowił jednak nie wykonywać żadnych ruchów. Cassie chwyciła palcami rozpięty stanik sukni i przytrzymała go pod biustem.

- Pragniesz mnie, Cassandro. Pora, żebyś się do tego przed sobą przyzna-

ła.

- Ja już sama nie wiem, czego pragnę - wyszeptła i przytuliła policzek do jego ramienia.

Znowu ujął w dłonie jej brodę, spojrzał jej głęboko w oczy, z których były niepewność i niepokój, i powiedział:

- Sama zobaczysz, *cara*.

Pocałował ją namiętnie, delektując się jej drżącymi, rozpalonymi ustami.

Cały czas całując, podniósł ją na nogi i pomógł jej zdjąć suknię i bieliznę. Czuł

na sobie uporczywe i pytające spojrzenie jej wielkich oczu, ale jej ciało lgnęło do niego, jakby kierowane niezależną wolą. Przycisnął je do siebie i napawał

się słodkawym zapachem włosów. Na moment wypuścił ją z ramion, żeby pozbyć się własnego ubrania, choć w duchu przeklinał każdą sekundę tej rozłąki.

Kiedy stanął przed nią nagi, to ona wyciągnęła do niego rękę. Od środka rozsadzało ją pulsujące oczekiwanie i nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że już wkrótce zazna niewypowiedzianej przyjemności. Jego ręka powędrowała do jej brzucha i niżej, a gdy znalazł ją palcami, musiał jej to powiedzieć:

- Jesteś doskonała, *cara*.

- Ty także - szepnęła.

Schylił swoją ciemną głowę i otoczył ustami jej nabrzmiały sutek.

- Tak cię pragnę - jęknęła, wstrzymując oddech. Podłożył jej ręce pod biodra i ją podniósł.

R S

- Obejmij mnie w pasie nogami.

Chwyliła go za szyję, żeby się podeprzeć i zrobiła, co kazał, chociaż nie bardzo rozumiała, do czego to zmierza.

Podniósł ją bez trudu i poczuła, że lekko głaszcze ją palcami, a potem ją rozchyła. Jego męskość wystrzeliła do góry i Cassie schowała głowę w za-głębieniu jego szyi i krzyknęła, niezdolna tłumić w sobie ogromu doznań, któ-

rych jej dostarczał. Rękami przycisnął jej biodra do siebie i zanurzył się w nią głębiej. Ścisnęła mocniej nogi na jego szczupłej talii, żeby wciągnąć go jeszcze mocniej i uniosła głowę w poszukiwaniu jego ust. Ale nie była w stanie do nich dosięgnąć i w akcie frustracji bezmyślnie wierzgnęła całym ciałem. Hrabia stracił równowagę i z donośnym śmiechem spadł do tyłu na łóżko, a Cassie upadła na niego.

- Czyżby moja pani woląла coś bardziej konwencjonalnego?

Podniósł ją tak, że siedziała mu okrakiem na klatce piersiowej.

- Nie rozumiem - zaprotestowała, drżąc na całym ciele z niezaspokojonej żądz.

- Cierpliwości, kochana - szepnął.

Przesuwał ją wyżej, aż jej uda stykały się z jego policzkami.

- O nie! - krzyknęła niezwykle zawstydzona. Ale trzymał ją mocno.

- To dla naszej wspólnej przyjemności - powiedział niskim, uwodziciel-skim głosem i zaczął ją całować.

Ciszę sypialni wypełniły teraz odgłosy jej nieposkromionej rozkoszy.

Doprowadził ją prawie do szczytu, by chwycić ją za biodra i posadzić na swoim spragnionym członku.

Sam nie mógł powstrzymać jęków namiętności, gdy poczuł, że w niej już puściły tamy i rozkosz zalewa ją gorącą falą. Wbił palce w jej biodra i nacisnął

R S

w dół, pragnąc pełnej bliskości. Był wielki i wbijał się w nią głęboko, ale cały ból tonął w morzu

przyjemności, które przepływało przez jej ciało.

- Ojejku - szepnęła wreszcie i runęła na niego.

Zaśmiał się cicho i przycisnął jej omdlewające ciało do siebie.

Rozdział 22

Cassie zaśmiała się i opryskała twarz hrabiego, kiedy brał ją na ręce i wyjmował z miedzianej wanny. Rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi garderoby i hrabia szybko owinał ją wielkim ręcznikiem.

- Zaraz do ciebie wracam, kochana - powiedział, wkładając szlafrok.

Wobec Scargilla, bo to on przechadzał się nerwowo po sypialni, był mniej uczuciowy.

- Tuszę, że masz arcyważny powód, żeby mnie teraz wzywać - zaczął szorstko, starannie zamykając za sobą drzwi.

- To Daniele, panie. Myśli, że odnalazł tego bydlaka, Andreę.

- Gdzie?

- W Riva Trigoso. Daniele posłał jednego ze swoich ludzi, żeby cię sprowadzić.

- Cholera, to ponad dwa dni nieprzerwanej jazdy - stwierdził hrabia, po-R S

cierając się po szczęce. - Dlaczego Daniele nie może go tu po prostu przywieźć?

- Jego człowiek mówi, że Andrea nie jest już sam i że będzie potrzeba jeszcze kilku twoich ludzi, panie, żeby go złapać. - Scargill spostrzegł, że jego pan z niepokojem spogląda w stronę garderoby i postanowił się poświęcić:

- Ja pojedę i przywiozę ci tego łotra.

- Nie, Scargill, to mój obowiązek i zrobię to z przyjemnością. Ilu ludzi nam potrzeba zdaniem Daniele?

- Jeśli ty pojedziesz, panie, to nie więcej jak jeszcze trzech.

Hrabia zaklął cicho, ale siarczyście. Pan Donnetti i załoga „Cassandry”

nie wrócą z Aleksandrii przez dobrych kilka dni. Chociaż bardzo tego nie chciał, będzie musiał wziąć trzech ludzi z willi Parese.

- Ty, Rapallo i Girolamo zostaniecie tutaj, Scargill, i będziecie strzec Cassandry. Nie możemy ryzykować, że jej się coś stanie. - Zwrócił głowę w kierunku garderoby. - Powiedz ludziom, żeby byli gotowi do drogi za godzinę.

Kiedy hrabia powiedział jej, co się stało, Cassie nagle zrobiła się milcząca.

- Wrócę nie dalej jak za pięć dni, obiecuję ci, Cassandro. I miejmy nadzieję, że z Andream.

- Pojadę z tobą, milordzie.

Odpowiedział jej krótko:

- Nie. Nie wystawię cię na takie niebezpieczeństwo.

- Czy nie mam do tego prawa?

- Jeśli będziesz tego chciała, to staniesz z nim twarzą w twarz, ale dopóki jest na wolności, nie mogę pozwolić sobie na to, żeby się dodatkowo martwić o *RS*

twoje bezpieczeństwo. A do tego by niewątpliwie doszło, gdybyś ze mną pojechała. Nie, Cassandro, nie kłóć się ze mną więcej.

Chciała mu powiedzieć, że zależało jej na tym, by być przy nim, bo boi się o niego, ale nie odezwała się wiedząc, że sam potrafi o siebie zadbać.

- Obiecujesz, że będziesz ostrożny, milordzie? - zapytała troskliwie.

- Masz moje słowo, Cassandro.

Stojąc na schodach obok Scargilla, bez słowa patrzyła, jak zawraca konia i dołącza do pozostałych mężczyzn. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w niktący tętent końskich kopyt do czasu, aż zapanowała głucha cisza.

- Nie, *madonna* - napomniął ją łagodnie Scargill - nie masz się czym martwić. On wróci bezpiecznie i przyprowadzi tego bydlaka na sznurze, o ile tylko Daniele naprawdę trafił na jego trop.

Przytaknęła i czując ogarniające ją przygnębienie i roztargnienie, wróciła do willi. Nie powiedziała Scargillovi, że nie tylko o hrabiego się martwi.

Ostatnich kilka dni upłynęło jak w pięknej baśni - z radością oddawała się od-krytej na nowo namiętności i znowu czuła jedność z własnym ciałem, no i z ciałem hrabiego. Jakby za obopólną milczącą zgodą, nie wspominali o przyszłości. Zastanawiała się, co by odpowiedziała, gdyby oświadczył się jej, kiedy leżała w jego ramionach, kiedy jej ciało oszołomione było pożądaniem, a umysł otumaniony pragnieniem bliskości. Spacerowała w skupieniu po domu, wiedząc, że musi uporać się z samą sobą. Pomyślała o przyszłości, o tych dniach i nocach, które nieuchronnie nadejdą,

i zaczęła przeklinać własną sła-bość. Złość na siebie szybko przeszła w smutek, i nie był to tylko smutek po jego odjeździe, ale też wynikający z obawy, że w samotności będzie zmuszona zajrzeć we własną duszę.

R S

Chociaż słońce prawie już stało w zenicie, lekka morska bryza przynosiła orzeźwienie, czyniąc jazdę do Genui względnie przyjemną. Cassie jechała na swojej klaczy, a po obu stronach miała uzbrojonych po zęby mężczyzn: Scargilla i Girolama. Wyruszyli przed południem, żeby zjeść lunch w przyjemnej scenerii. Scargill zaproponował pewne miejsce pod wysoką, surową fasadą Palazzo Ducale, na głównym placu Genui. Cały ten pomysł należał do Scargilla, który miał nadzieję, że rozweseli w ten sposób *madonnę*. Nie miała jeszcze okazji zwiedzić Palazzo Ducale ani słynnej Sala del Gran Consiglio. A nuż, myślał sobie Scargill z optymistycznym uśmiechem, a nuż sprawi jej przyjemność spacer po tych przepięknych wnętrzach.

Zostawili konie młodzieńcowi, którego Scargill dobrze znał, i wspinali się w labiryncie wąskich uliczek, aż dotarli do Via San Lorenzo. Widoki, zapachy i odgłosy miasta zawsze wydawały się Cassie fascynować, podobnie by-

ło i tego dnia. Tylko że w Genui, powiedziała Cassie do Scargilla, ciężko dy-sząc, chyba się nie da normalnie spacerować. Scargill, któremu także wystąpiły na czoło krople potu, gorliwie się z nią zgodził i zaproponował, żeby zatrzyma-li się w małej kawiarni na powietrzu. Po wypiciu szklanki zimnej lemoniady Scargill zostawił Cassie w towarzystwie Girolama, a sam udał się do Palazzo Ducale, gdzie miał nadzieję wystarać się dla niej o wejście.

Girolamo, niski, żyłasty mężczyzna w średnim wieku, ciągnąc się za lewe ucho, kaprawymi oczami lustrował każdego mężczyznę w promieniu dziesię-

ciu metrów. Damom tak uważnie się nie przyglądał, chyba że były młode i miały uśmiechnięte buzie i promienne spojrzenia. Przysiągł hrabiemu, że *madonna* zawsze będzie przy nim bezpieczna i nie miał najmniejszego zamiaru zawieść hrabiowskiego zaufania.

Cassie przyglądała się ciekawie skromnie odzianym dżentelmenom i da-R S

mom, którzy przechodzili obok ich stolika. Większość z nich wycierała zro-szone od wysiłku twarze. Świergot kobiecych głosów rozlegał się nad ich głowami, gdzie sąsiadki gawędziły ze sobą z balkonów.

- *Buon giorno, signorina* - zabrzmiało miękkie melodyjne powitanie.

Cassie obróciła głowę i zobaczyła, że nachyla się nad nią hrabina Giusti.

Przypomniało jej się każde jadowite słowo, które ta kobieta wypowiedziała tamtego wieczora w willi Parese, ale opanowała się i chłodno skinęła głową.

- Czyż nie ładna dziś pogoda, *signorina*? - ciągnęła Giovanna, niezrażona zimnym pozdrowieniem.

Podniecała ją myśl, że ta mała Angielka wreszcie znajduje się tu, w Genui, a nie zamknięta w willi Parese, gdzie hrabina nie miała wstępu.

- *Il tempo è bello* - zgodziła się z nią Cassie w kwestii pogody.

Obserwowała smukłe palce hrabiny, które muskały bogatą koronkę upiętą szykownie na wydekoltowanym gorsecie. Giovanna z nonszalancją odprawiła służącą i utkwiała wzrok w najeżonym Girolamie.

- Ależ, *signorina*, nie potrzebujesz chyba, żeby ten człowiek cię ochraniał przede mną.

Girolamo otworzył usta, żeby zaprotestować, bo doskonale wiedział, że nic dobrego z tego nie wyniknie, jeśli *madonna* wda się w rozmowę z dawną kochanką hrabiego, ale Cassie go uspokoiła. Jeśli nie chciała jej obrazić, nie miała za bardzo sposobu na pozbycie się hrabiny.

- Girolamo - powiedziała, siląc się na swobodny ton. - Obawiam się, że lemoniada szczególnie ci nie zasmakowała. Po drugiej stronie ulicy jest lokal, gdzie możesz dostać coś bardziej... ożywczego.

- *Si, madonna* - niechętnie zgodził się Girolamo.

Rozejrzał się jeszcze w poszukiwaniu Scargilla i rzucając uśmiechniętej hrabinie udęczone spojrzenie, oddalił się.

R S

- *Madonna* - powtórzyła z namysłem hrabina i z wdziękiem usadowiła się w krześle Girolamo. - Jakie to okropnie... osobliwe. Czy sama kazałaś się tak nazywać, *signorina*?

- Nie - krótko odpowiedziała Cassie.

- Nieczęsto zjawiasz się w Genui, *signorina*.

- Zbyt jestem zajęta różnymi rzeczami w willi Parese.

- Ach, tak. Natomiast hrabia, jak mniemam, spędza ostatnio w mieście większość swojego czasu, doglądając interesów i innych... spraw. Wygląda na to, że willa Parese nie stanowi już dla niego takiej atrakcji jak kiedyś.

Na dźwięk prowokacyjnych słów hrabiny Cassie zacisnęła palce na wy-sokiej szklance. Nieufnie popatrzyła na idealnie owalną twarz hrabiny, ale się nie odezwała.

- Jego lordowska mość nie podaje ci powodów swoich częstych nieobecności?

- Jestem pewna, *signora*, że możesz mówić prościej i konkretniej.

- Jest takie powiedzenie, *signorina*, że kiedy przychodzi *siesta*, w ruchu są tylko wściekłe psy i Anglicy. Teraz widzę, że Anglicy nie lubują się też w sztuce konwersacji i ze smutkiem muszę stwierdzić, że wolą prostackie kon-krety.

- Jeśli *signora* pozwoli, dodam tylko, że Anglicy nie znajdują przyjemno-

ści w małostkowych, zawoalowanych zniewagach. Jeśli na tym polega włoska koncepcja konwersacji, to chylę czoła przed pani maestrią.

Oczy Giovanni niebezpiecznie pociemniały.

- Jak śmiesz, ty mała ladacznico!

Cassie zdobyła się na uśmiech. *R S*

- No proszę, hrabino, szybko się uczysz angielskiej szczeroci. Chociaż śmiem zauważyć, że „ladacznica” nie bardzo tutaj pasuje. Chyba że ma pani na myśli własne... skłonności.

- Ale ja przynajmniej byłam już zamężna, kiedy ty... - Giovanna zawiesi-

ła głos.

- Kiedy ja co? - Chociaż poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła, głos nawet jej nie drgnął. Zaczęła się zbierać do odejścia, stwierdziwszy, że wcale nie musi wysłuchiwać tych obelg.

Giovanna Powachlowała się smukłymi dłońmi i uśmiechnęła szeroko, ukazując białe zęby.

- Czy tak bardzo boisz się usłyszeć prawdę, *signorina*, że uciekasz i cho-wasz się przed nią?

- Bardzo proszę, *signora*. - Cassie usiadła z powrotem. - Jeśli ty znasz tę

„prawdę”, to chętnie ją usłyszę.

Głos Giovanni był wyraźny i lekko drwiący.

- Nigdy nie będziesz hrabiną Clare, ty angielska przybłędo! Hrabia jest wybrednym mężczyzną i wreszcie się opamiętał. To ja dostąpię tego zaszczytu.

Od kilku miesięcy dzielę z nim łóżce i wkrótce będę nosić jego nazwisko. Do ciebie, maleńka, czuje on tylko litość i nie wie, jak ma się ciebie pozbyć.

Cassie nawet jej już nie słuchała.

- On... on się z tobą kocha? - wykrztusiła.

- Ależ oczywiście. Przecież już ci mówiłam: jak myślisz, gdzie spędza popołudnia?

- Nie wierzę ci! Jesteś podła i podstępna!

- Mam ci więc opisać bliźnię na jego lewym ramieniu? Chociaż jeszcze mi nie opowiedział, skąd ją ma, to jest dość świeża. - Giovanna uśmiechnęła się, *R S*

bardzo z siebie zadowolona.

Cassie poczuła nagłe otępienie. Niezgrabnie podniosła się z krzesła, podnosząc przy tym lekko stół i zrzucając szklankę na kolana Giovanny. Zebrała spódnice i puściła się biegiem w dół, przez płataninę ulic i uliczek.

Girolamo z brzękiem odstawił kufel piwa na stół, rzucił hrabinie mordercze spojrzenie i pobiegł za Cassie. Zza pleców dobiegł go dźwięczny śmiech Giovanny. Dogonił Cassie przy Palazzo Bianco, gdzie zostawili konie pod opieką młodego chłopaka.

- *Madonna!* Nie wolno ci słuchać jej złośliwych bredni!

Cassie podniosła pobladłą twarz. Czy Girolamo był wściekły, ponieważ wiedział, że hrabia jeździł do Giovanny? Opanowało ją zwątpienie, a potem jałowy gniew.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Mam nadzieję, Girolamo, że masz na zapłatę dla chłopca.

- Ale Scargill...

- Pieniądze, poproszę. Nie mam zamiaru pozostawać dłużej w Genui.

Chcesz wrócić ze mną do willi, czy nie?

Girolamo zdusił przekleństwo, wręczył chłopcu parę *scudi* i posadził

Cassie w siodle.

* * *

Scargill wracał na Via San Lorenzo zwawym krokiem. Humor natychmiast mu się popsuł, kiedy zaczął rozglądać się za Cassie i Girolamem, ale nigdzie nie mógł ich dostrzec.

- O Boże! - wykrzyknął i posiniał na twarzy. Zaraz jednak udało mu się *R S*

uspokoić. Przecież to niemożliwe, żeby *madonnie* stała się krzywda w biały dzień i to w samym centrum miasta.

Szybko poprosił właściciela kawiarni na słówko. Dowiedział się, że nie miało tu miejsca nic niezwykłego. Czyli *madonna* z jakiegoś powodu nie chciała zostać. Girolamo, oczywiście, pojechał z nią do willi.

Popędził krętymi uliczkami. Trzymający jego konia chłopiec miał trochę niewyraźną minę.

Powiedział mu, że dziewczyna i mężczyzna coś jakby się posprzecziali, ale potem wsiedli na konie i odjechali w kierunku zachodniej bramy miejskiej.

Wracając do willi, Scargill odkrył, że im mniej się martwił o jej bezpieczeństwo, tym bardziej go ten wybryk gniewał. Gdy zobaczył klacz Cassie, która pasła się leniwie na trawie przy wyłożonym kamieniami podjeździe, strach zupełnie zniknął i Scargill ze złością zacisnął dłonie na lejcach.

Znalazł Cassie w sypialni hrabiego, gdzie stała przy otwartych drzwiach balkonowych. Nic jej nie groziło.

- *Madonna*, dlaczego tak sobie odjechałaś, nic mi nie mówiąc?

Powoli się do niego odwróciła. Była blada jak kreda i bardzo zafrasowana.

- Dlaczego, *madonna*?

- Bo nie miałam ochoty tam dłużej zostać. Wiesz, hrabina Giusti raczyła mnie poinformować, że od kilku miesięcy jest kochanką hrabiego i że jedyne, co on teraz do mnie czuje, to litość.

Scargill gapił się na nią z otwartymi ustami. Cassie skrzyła ciało w bok i uderzyła pięścią w szklane drzwi.

- Jak on mógł mi to zrobić! Jak mógł mnie tak potraktować!

Scargill otrząsnął się już z szoku. Patrzył na nią i śmiejąc się w duszy, myślał sobie, że oto widzi, jak *madonna* szaleje z zazdrości. Gdyby jej na hrabi *R S*

nie zależało, toby teraz żądała, żeby ją odesłać do Anglii.

- Posłuchaj mnie teraz, *madonna*. Hrabina cię okłamała, najpewniej ze zwykłej zawiści. Jego lordowska mość za nic by nie wrócił do jej łóżka, ani jej, ani żadnej innej kobiety. On świata poza tobą nie widzi.

- A ty go tylko próbujesz kryć! - Zawahała się, bo nigdy jeszcze nie słyszała, żeby Scargill skłamał. Może, pomyślała szybko, Scargill po prostu nic o tym nie wie.

Jakby czytał jej w myślach, Scargill powiedział:

- Nie, *madonna*, wcale nie muszę go kryć. To człowiek honorowy, nie ja-kiś rozwiązły kobieciarz. Sama pomyśl, *madonna*. Czy naprawdę wierzysz, że on jest winny?

Cassie bezradnie przejechała dłonią po włosach.

- Ja... ja sama nie wiem. Ale często wyjeżdżał do Genui, bywało że na wiele godzin.

- Naturalnie. Spędził dużo czasu z Danielem, tak jak ci mówił. Na Boga, *madonna*, myślałem, że zdążyłaś lepiej poznać jego lordowską mość!

Cassie odetchnęła głęboko. Bardzo chciała mu wierzyć. Powoli kiwnęła głową.

- Rozumiem, Scargill. Chyba pochopnie rzecz osądziłam i być może nie-sprawiedliwie.

- Nie „być może”, tylko na pewno - powiedział dobitnie Scargill, nie spuszczać oczu z jej twarzy.

Uśmiechnęła się słabo.

- Chyba już mnie dość zawstydziłeś. Przemyślę wszystko, co mówiłeś.

Kiedy wyszedł, Cassie stanęła na balkonie i popatrzyła na Genuę. Trudno jej było w to uwierzyć, ale uzmysłowiła sobie, że jest z hrabią już prawie sześć miesięcy. Zmarszczyła czoło i wstrzymała oddech. Ponad pół roku temu pla

nowała wspólne życie z Edwardem. Choćby nie wiem jak bardzo się starała, nie była sobie w stanie przypomnieć dokładnie jego twarzy.

Spojrzała w dół na bujne ogrody, tak inne niż ogrody w Anglii. Dobiegly ją odgłosy śmiechu i urywki śpiewnej rozmowy i dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że to nie był angielski, lecz włoski. To ja się zmieniałam, powiedzia-

ła sobie cicho i poczuła, że ogarnia ją panika. Zmieniałam się dokładnie tak, jak on to przepowiedział.

- Edward - wypowiedziane głośno imię nie wywołało w niej żadnej reakcji, poza tym, że obudziło wspomnienia, które wydawały się należeć do innej Cassie. Do Cassie, którą ona już nie jest.

Zeszła na dół, przystając na chwilę, by móc rozkoszować się słodkim zapachem wazonu pełnego róż. Ta woń pobudziła jej zmysły. Wiedziała, że nawet teraz go pragnie. Dziko uderzyła pięścią w zamknięte drzwi biblioteki. To, co odczuwasz, to tylko żądza, zganiła samą siebie. Jak mogłabyś czuć coś wię-

cej do mężczyzny, który wyrządził ci tyle krzywd?

Z roztargnioną miną odwróciła się do Marriny, która coś do niej mówiła.

- Signore Montalto przyjechał zobaczyć się z hrabią.

- Ach, to wielka szkoda - stwierdził *signore*, kiedy Cassie go poinformowała, że hrabia wyjechał.

Patrzyła na niego nieobecny wzrokiem i widać było, że myślami jest gdzie indziej.

Signore Montalto plótł o jakichś papierach i Cassie, byle jak najszybciej się go pozbyć, zaprowadziła go do biblioteki. Razem przeglądali związane ta-siemkami dokumenty, aż wreszcie z triumfalnym okrzykiem mężczyzna podniósł w górę kartkę papieru, po którą przyszedł.

- Mam, *signorina*. Przekaż proszę hrabiemu, że wrócę, żeby to z nim R S

omówić.

Ale Cassie już tego nie słyszała. Z tyłu szuflady leżała uporządkowana sterta listów, wszystkie zaadresowane do hrabiego, tym samym charakterem pisma z zawijaszami.

- *Signorina?*

Cassie podniosła zdumione spojrzenie na signora Montalto.

- Znalazłem ten papier.

- *Si, signore* - powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

Miała ochotę na niego wrzasnąć, żeby zostawił ją w spokoju, ale udało jej się powstrzymać, odprowadzić go do wyjścia i spiesźnie się z nim pożegnać.

Cassie cicho zamknęła za sobą drzwi do biblioteki i podeszła do mahoniowego biurka hrabiego. Wyjęła z szuflady związane razem listy, cztery listy.

- To nie może być prawda - powiedziała do pustego pokoju. To ozdobne pismo znała równie dobrze jak własne niechlujne litery. Ileż to razy Becky Petersham upominała ją, każąc jej ćwiczyć kaligrafię.

Drżącymi rękoma wyjęła jedną stronę, datowaną na niecały miesiąc temu. Przeczytała o rosnącym uczuciu Eliotta do Elizy Pennworthy i że jej zdaniem to się skończy ślubem, kiedy tylko minie roczna żałoba. Przez chwilę nie rozumiała, o jaką żałobę chodzi, aż dopiero zorientowała się, że to jej śmierć oplakuje Eliott.

Pochłaniała wzrokiem kolejne strony, szukając wiadomości o Edwardzie, ale w żadnym z trzech listów nie było o nim ani wzmianki. W pierwszym liście natomiast, napisanym niespełna siedem miesięcy temu, przeczytała:

Boleść wicehrabiego wielokrotnie spędzała mi sen z powiek, chociaż wiem, że zrobiliśmy to, co było konieczne. O ile mi wiadomo, postanowił wró-

R S

cić do armii i powinien być teraz w drodze do Nowego Jorku, gdzie zamierza dołączyć do generała Howe'a. Mam wielką nadzieję, że nie ucierpi z rąk tego motłochu, który walczy przeciwko Anglii. W każdym bądź razie, tak musiało być. Moja Cassandra nigdy nie była mu przeznaczona.

Reszta listu, wypełniona pytaniami o jej zdrowie i samopoczucie w nowym miejscu, ledwo do Cassie dotarła. Rzuciła jej się w oczy ostatnia linijka:

Pamiętaj o swojej obietnicy, Anthony. Gdy Cassie będzie już twoją żoną, wróćcie do Anglii.

Twoja kochająca kuzynka, B. Petersham.

Nie zauważyła nawet, że list wypadł jej z rąk i sfrunął na podłogę. Ślepa niechęć Becky do Edwarda. I jej sytuacja rodzinna, której ani ona, ani Eliott do końca nie rozumieli. Te listy, które do niej przychodziły z zagranicy, i to, że nigdy nie zdradziła nazwiska nadawcy. W dodatku to Becky zachęcała ją, żeby wypłynęła na jezioro wtedy, dzień przed ślubem. Dobrze wiedziała o zamiarach hrabiego i pomogła mu uknuć porwanie.

Szurając nogami, Cassie przeszła do kanapy na drugim końcu biblioteki.

Ciężko opadła na aksamitne poduszki i schowała twarz w dłoniach. Becky, kuzynka hrabiego, zamieszkała z nimi, kiedy Cassie miała zaledwie pięć lat. Becky, którą kochała jak matkę, była szpiegiem hrabiego. Nagle przypomniała sobie o czymś, co ją kiedyś zastanowiło, ale ponieważ była to zwykła drobnostka, nie zastanawiała się już nad tym więcej. Na pokładzie „Cassandry” hrabia nie okazał najmniejszego zdziwienia, kiedy się okazało, że Cassie mówi po włosku. Zadrżała. Czyżby przy pomocy Becky Petersham kierował także jej wykształceniem? Jakże jeszcze jej cechy, sympatie i antypatie udało mu się w niej rozwinąć wedle własnego uznania?

R S

Popatrzyła przez okno na kwitnące drzewa magnolii i rosnące w donicach oleandry. Czyżby ją wyhodował niczym ogrodnik, żeby wyrosła na kobietę, jakiej obraz sobie stworzył? Poczowała, że łzy napływają jej do oczu. Jej matka umarła w połogu, a on zapragnął kolejnej lady Constance. Wybrał ją, żeby za-jęła miejsce matki.

Czuła się zdradzona i kompletnie zdruzgotana myślą, że świetnie mu się udało nią pokierować. Sprawił, że go pokochała. Zatrzęsła się z nienawiści do siebie. Robił z nią, co chciał, a ona, nie sprawiając mu większych kłopotów, spełniła jego życzenia. Gdyby nie utrata dziecka, byłaby w tej chwili jego żoną, a w dodatku najprawdopodobniej czułaby się całkiem zadowolona z życia.

- Nie będę cię kochać! - krzyknęła.

Pomyślała o hrabinie, która twierdziła, że hrabia był jej kochankiem.

Wiedziała już, że to nieprawda, ale jakoś przestało to mieć znaczenie. Ona się zmieniła, o tym też wiedziała, ale nie hrabia. On nadal nie pozwoli jej odejść.

Nadal nie da jej możliwości wyboru. Podeszła szybko do globusa i zakręciła nim, żeby znaleźć kontynent północnoamerykański. Edward był w amerykań-

skich koloniach - w Nowym Jorku. Zaraz dostrzegła to portowe miasto. Był

przy generale Howe. Chyba nietrudno będzie go znaleźć. Wyprostowała plecy i rozejrzała się ponurym wzrokiem po obitej ciemnym drewnem bibliotece. To jego biblioteka, jego dom, jego kraj. Nawet ona jest jego dziełem. Zdecydowanym krokiem wyszła z pokoju, nie oglądając się za siebie.

Nazajutrz o brzasku, wyposażona w tyle pieniędzy, ile hrabia trzymał w szufladzie biurka i w solidny kufer podróżny, Cassie wykradła się do stajni.

Wiedziała, że mężczyźni, którzy mieli ją chronić, byli jeszcze w łóżkach. Nie przyszło im przecież do głowy, że mogłaby chcieć uciec.

Kiedy zakładała siodło, nagle palce jej znieruchomiały na popręgu. Usłyszała szuranie Paola. Zaciśnęła zęby i zdeterminowana chwyciła za widły. W

R S

momencie, gdy Paolo wchodził do stajni, zdzieliła go nimi po głowie. Upadł na ziemię. Cassie pochyliła się i sprawdziła mu puls.

- Przykro mi, przyjacielu - powiedziała czule do nieprzytomnego mężczyzny - ale chyba będziesz miał dużego guza.

Zaciągnęła go do pustego boksu, szybko skończyła siodłać klacz i zaprowadziła ją do majestatycznych bram Willi Parese. Odjechała zakurzoną drogą, nie oglądając się za siebie.

* * *

- Pewna młoda dama chce się z panem widzieć, kapitanie.

Kapitan Jeremy Crowley podniósł wzrok znad śniadania i popatrzył pytająco na swojego pierwszego oficera, pana Thompsona.

- Czy to jakiś dowcip, *sir*?

- Nie, *sir*. To Angielka, i niewątpliwie *lady*.

- Co u diabła angielska dama robi w Genui i czemu, na Boga, chce się ze mną widzieć? - Kapitan Crowley wiedział, że to pytanie retoryczne. - Proszę ją wprowadzić do mojej kabiny, panie Thompson, i postarać się, żeby załoga jej nie widziała.

- Tak jest, kapitanie.

Cassie nie trzeba było przypominać, żeby okryła się peleryną i nie zdejmowała kaptura. Właściwie zdążyła już kilka razy pożałować, że nie wzięła jednego z pistoletów hrabiego, bo w porcie, niezależnie od pory dnia, samotna kobieta wzbudzała niepotrzebne zainteresowanie. Kiedy tylko zobaczyła brytyjską flagę na maszcie wielkiej fregaty, nie bacząc na obsceniczne uwagi pod jej adresem, których sensu zresztą do końca nie rozumiała, przywiązała klacz do barierki i przemaszerowała po trapie. Miała szczęście, że pan Thompson był

pierwszą osobą, która ją zatrzymała.

Teraz pan Thompson szarmancko wziął od niej kufer i poprowadził ją w *R S*

dół zejściówki, do kabiny kapitańskiej. Fregata była ponad dwa razy większa od „Cassandry” i

znacznie lepiej uzbrojona. W zejściówce było bardzo duszno i Cassie, której serce zaczęło bić bardzo szybko, westchnęła z ulgą, gdy jej przewodnik wreszcie się zatrzymał i otworzył przed nią drzwi kabiny.

Cassie weszła do niewielkiego pokoju, gdzie na obitych ciemnym mahoniem ścianach wisiały miecze, muszkiety i pomarszczone mapy. Kabina umeblowana była z prostotą i precyzją. Wciągnęła ciężki zapach fajkowego tytoniu.

- Kapitan Jeremy Crowley, proszę pani - oświadczył pan Thompson.

- Może nas pan zostawić.

Cassie przyglądała się wysokiemu dżentelmenowi z dużym brzuchem, który miał założoną perukę i czysty, ale trochę znoszony mundur marynarski w kolorze białym i granatowym. Kapitan miał duży nos, podwójny podbródek i najzimniejsze szare oczy, jakie kiedykolwiek widziała. Nerwowo przełknęła ślinę, czując, że on poddaje ją równie skrupulatnym oględzinom.

- Zechce pani usiąść.

Skinęła głową i usiadła na brzegu czarnego skórzanego krzesła. Powę-

drowała wzrokiem w stronę małego stolika, na którym znajdowały się resztki obfitego śniadania i mimowolnie oblizwała wargi.

- Może napije się pani herbaty?

- Chętnie, *sir* - powiedziała tylko.

Kapitan Crowley nie zaczynał rozmowy do czasu, aż Cassie przełknęła kilka łyżek wciąż jeszcze bardzo gorącej herbaty

- Pan Thompson mówi, że jest pani angielską damą.

Cassie wyczuła podejrzliwość w jego szorstkim głosie i pomyślała, że bynajmniej nie będzie łatwo go przekonać, żeby ją przyjął na pokład.

R S

- Tak, *sir*. Jestem wicehrabiną Delford, nazywam się Cassandra Lyndhurst.

Nagle kaptur przesunął się w tył. Kapitan spostrzegł, że ma przed sobą piękną młodą kobietę, i nie mógł oderwać od niej oczu.

Cassie poczuła, że mocno się rumieni i natychmiast zerknęła w stronę wyjścia. Wystraszyła się, że oto oddała się w ręce łotra.

- Nie musi się pani mnie obawiać, moja droga - ostro powiedział kapitan Crowley, gdyż jej panika

nie umknęła jego uwagi. Obciągnął marynarkę mun-duru i usiadł naprzeciwko niej. - A więc, moje dziecko, słucham, w czym mogę ci pomóc.

Przypominał jej teraz surowego dziadka, co pozwoliło się jej odprężyć.

Całą drogę do Genui powtarzała w myślach swoją historię, która brzmiała tak niesamowicie, że Cassie modliła się, by przyjął ją za prawdziwą. Chociaż, po-myślała ze smutkiem, istotnie było w niej dużo prawdy.

- Mój mąż, kapitan Lyndhurst, przebywa w koloniach, *sir*, w Nowym Jorku, gdzie służy pod generałem Howe'em. Ja płynęłam angielskim statkiem do Nowego Jorku, ale zostaliśmy napadnięci z powodu masztów i drzewców, które transportowaliśmy. Ja trafiłam w ręce genueńskiego szlachcica, który mnie tu przywiózł. - Zauważyła, że kapitan zmrużył oczy na znak niedowierzania i szybko dodała: - Jak pan wie, kapitanie, większość masztów dla angielskich statków jest przewożona w częściach, które potem trzeba scalać za pomocą żelaza. To oczywiście oznacza, że masztom brak elastyczności i często łamią się przy wicherze. My podobno wieźliśmy te maszty w tajemnicy. Były wykonane z najlepszego sezonowanego drewna znad Bałtyku. Osobiście jestem przekonana, że na pokładzie był zdrajca, który wyjawiał Francuzom sekret naszego ładunku.

R S

Całe szczęście, że przeczytałam kiedyś te wszystkie książki, myślała Cassie, widząc, że kapitan ze zrozumieniem kiwa głową.

- Gratuluję rozeznania w tych sprawach, młoda damo... wicehrabino. Z

tego samego powodu jesteśmy zresztą w Genui. Strasznie ciężko naprawić przegniły maszt.

Mówił to z nieskrywaną goryczą, więc Cassie, choć nic nie wiedziała o administracyjnej opieszłości Marynarki Królewskiej, postarała się okazać zrozumienie i współczująco kiwnęła głową.

Kapitan Crowley otrząsnął się z zamyślenia.

- A więc przywiózł tu panią genueński szlachcic?

Na wzmiankę o hrabi Cassie poczuła ścisk w gardle i przez chwilę nie była w stanie mówić. Wcale to nie zaszkodziło jej opowieści, gdyż kapitan dostrzegł ból w jej pięknych oczach i ogarnęła go fala niespodziewanych emocji.

- Tak, *sir*. Jestem tu już od kilku miesięcy. Na początku stawiałam opór, ale w końcu zrozumiałam, że nic w ten sposób nie zyskam. Stałam się posłuszna i uległa, aż wreszcie udało mi się go przekonać, że nie tylko pogodziłam się z losem, ale wręcz jestem zadowolona z obrotu spraw. - Nagle odchyliła głowę i spojrzała kapitanowi prosto w oczy. - Jeśli nie zabierze mnie pan ze sobą, kapitanie, on mnie odnajdzie i nigdy już nie zobaczę męża ani Anglii.

Chociaż wcale tego nie planowała, Cassie wybuchnęła płaczem. Ukryła twarz w dłoniach. Jej ciałem

wstrząsały spazmy. Kapitan Crowley nie mógł

wiedzieć, że szlochająca Cassie sama nie rozumie swojej reakcji.

- Moja droga wicehrabino - powiedział dziwnym głosem, niezręcznie po-klepując ją po plecach - nie ma potrzeby się denerwować. Moim obowiązkiem, jako angielskiego dżentelmena, jest przyjść pani z pomocą. Czy mam nasłać moich ludzi na tego barbarzyńcę, który przetrzymywał panią wbrew jej woli?

R S

Cassie podniosła zapłakaną twarz i powiedziała przez łzy:

- Proszę, *sir*, błagam, aby pan tego nie czynił. Genueńczycy są... nie-przewidywalni, a on jest potężnym człowiekiem. Obawiam się, że takie działania byłyby niebezpieczne, a na dodatek taki incydent mógłby samą Anglię narazić na straty. Zważywszy, że genueńczycy są wpływowymi bankierami...

Kapitan Crowley stwierdził, że to bardzo odcytana i świadoma młoda dama. Mądrze pokiwał głową:

- Nie ma obawy, żeby jeden genueński szubrawiec zaszkodził naszemu krajowi. Ale postąpię zgodnie z pani wolą. - Wstał z krzesła, włożył ręce do przepastnych kieszeni kremowych bryczesów i zaczął się na głos zastanawiać.

- Wypływamy do Bostonu jutro z porannym odpływem. To bardzo długa po-dróż i może nie być wolna od niebezpieczeństw.

- Zdaję sobie z tego sprawę, kapitanie.

- Tak, domyślam się.

- Ten Boston, kapitanie, to jest blisko Nowego Jorku?

- Niedaleko, moja pani. Nie widzę powodu, żebym sam nie miał odstawić pani do generała Howe'a i pani męża. Cokolwiek by o nich mówić, genueńczycy są świetnymi budowniczymi i naprawa masztu zakończyła się tydzień wcześniej, niż się spodziewaliśmy. - Poglądził się z namysłem po nika-

cym podbródku, a Cassie wstrzymała oddech, bojąc się, że gotów zmienić zdanie.

Odetchnęła z ulgą, kiedy okazało się, że martwi się tylko, gdzie ją ulokować. Za nic nie chciała się zgodzić, żeby odstąpił jej swoją kabinę, ale z radością przystała na kabinę pana Thompsona.

- Obawiam się, moja pani, że większość podróży przyjdzie jej spędzić pod pokładem. Marynarze Jego Królewskiej Mości bywają nieokrzesani, a ja *R S*

nie chciałbym mieć na swoim statku nieprzyjemnych incydentów w czasie tego rejsu. - Wskazując na uporządkowaną stertę zakurzonych woluminów na dolnej półce regału, dodał: - Moja biblioteczka

jest oczywiście do pani dyspozycji.

Spojrzał na nią błyszczącymi oczami, z których znikła lodowata rezerwa.

- Pani wybaczy. Pójdę dopilnować, żeby pan Thompson zadbał o pani wygodę.

- Dziękuję panu, kapitanie.

Kiedy wyszedł, Cassie powoli podniosła się z krzesła i podeszła do rzędu okienek.

Tam też zastał ją później pan Thompson, zapatrzoną w zielone wzgórza górujące nad miastem.

Rozdział 23

Brytyjska bandera zwisała z masztu, nieniekajona lekką chłodną bryzą wiejącą od zatoki w stronę ufortyfikowanego obozu Battery. Był to kolejny przyjemny marcowy dzień w Nowym Jorku. Królewscy marynarze nawoływali się radośnie, czyszcząc karabiny i polerując buty. Musieli przekrzyczeć dziesiątki półnagich Murzynów pracujących przy rozładunku statków towarowych.

Ich umięśnione ciała połyskiwały od potu. Pracowali rytmicznie, dźwigając i podając sobie bele wełnianej tkaniny, skrzynie świec, najrozmaitsze trunki, Bi-blie, przyrządy do nawigacji, baty i pudła szczoteczki do zębów. Towary te trafiały do doku, skąd czekające powozy zabierały je dalej na Broadway. Handel kwitł. Dla brytyjskich żołnierzy i dla lojalistów Nowy Jork stanowił oazę, gdzie taniego jedzenia mieli, ile dusza zapagnie, i mogli zaopatrzyć się we wszystko, czego Anglik potrzebuje do wygodnego życia.

Nawet podczas miesięcy zimowych, kiedy śnieg pokrywał zamarznąłą *R S*

ziemię i po ulicach hulały mroźne wiatry, w Nowym Jorku nie brakowało ba-lów, obiadów i sztuk teatralnych, które umilić miały Anglikom ponure wieczory. Z nadejściem pierwszych oznak wiosny lojaliści rzucili się w wir życia towarzyskiego ze zdwojoną ochotą, jakby chcieli udowodnić, że mimo rebelii miasto nie traci splendoru.

Edward pochylił się i poklepał swoją szarą klacz po lśniącej szyi. Wiedział, że nie przepadała za hałaśliwym portem i wołała spokój wsi albo porzą-

dek panujący w obozie. W porcie robiła się narowista i spięta, jakby tętniące życiem doki przypominały jej tumult bitwy.

Położył rękę na lewym udzie i pomasaował je. Podczas jednej z wielu po-tyczek z rebeliantami na Staten Island został raniony szablą i rana ciągle mu dokuczała. Znowu pogłaskał kark Delili, myśląc z wdzięcznością, że gdyby ona nie stanęła dęba, żeby go chronić, to szabla przeszłaby mu brzuch.

Z dzielnicy Battery skierował się na Broadway, gdzie pod numerem jeden mieściła się rezydencja generała Howe'a. Otrzymał wezwanie od generała, kiedy właśnie kończył przegląd swoich żołnierzy przed budynkiem City Hall. Po-kręcił głową, sfrustrowany perspektywą rozmowy z dowódcą. Kiedy przed pa-roma tygodniami generał spokojnym tonem ogłosił swój plan otwarcia linii komunikacyjnej

z maszerującymi z Kanady oddziałami Burgoyne'a, co wymagało przeniesienia bazy na południe do Chesapeake, Edward i inni oficerowie nie mogli uwierzyć własnym uszom. Chociaż Edward wiedział, że generał

Howe i generał Burgoyne nie lubili się nawzajem, uważał to za niebywałe, że-by takie błahe personalne antypatie były w stanie zaćmić militarny osąd dowódcy. Zostawiając Burgoyne'a na lodzie, wyświadczyliby przecież ogromną przysługę siłom rebelianckim. Był to idiotyczny plan i Edward wciąż miał nadzieję, że zdoła go udaremnić. Czas był po jego stronie, bo nie przypuszczał, żeby Howe zdecydował się ruszyć w drogę przed latem.

R S

Kennedy House, solidna dwupiętrowa georgiańska rezydencja przy Broadway 1, wsunięta była nieco w głąb ulicy, a od ruchliwej drogi oddzielał ją szpaler potężnych olch. Fakt, że wezwano go tutaj, a nie do bazy dowódcy na północ od miasta w Beecham House, niewątpliwie świadczył o tym, że przed wiosennymi działaniami generał chciał się zbliżyć do żołnierzy. Edward uśmiechnął się cynicznie, podając wodze młodemu szeregowemu i wchodząc po szerokich frontowych schodach rezydencji. Niespecjalnie mu się uśmiecha-

ło dołączyć do ekspedycji Howe'a na południu, ale z drugiej strony taki rozkaz uwolniłby go od osoby sir Henry'ego Clintona, który miał przejąć dowództwo w Nowym Jorku jako generał broni. Generał Clinton, zdaniem Edwarda, był

jeszcze mniej kompetentny niż sam Howe. Pomyślał wręcz, że nie zdarzyło mu się jeszcze spotkać człowieka głupszego, a do tego bardziej zarozumiałego i gburowatego niż Clinton. Generał Howe cieszył się przynajmniej popularno-

ścią w kręgu nowojorskich torysów, których potraktował sprawiedliwie, zwłaszcza po ubiegłorocznym wrześnieowym pożarze. Poza tym na spotkaniach towarzyskich potrafił się zachować, jak przystało na człowieka jego rangi. W

tej kwestii zgodził się z nim nawet adiutant generała Clintona, major Andre, który sam był wielką gwiazdą nowojorskich salonów. Ale obaj byli bezradni wobec zaskakującej decyzji generała Howe'a.

- Generał pana oczekuje.

- Dziękuję, Dobbs. - Nowy porucznik o młodzieńczym wyglądzie, który dopiero co przyjechał z Dorset, także miał rozkaz pozostać w Nowym Jorku, gdzie razem przyjdzie im znosić generała Clintona. Mijając Dobbsa, Edward zastanowił się jednak, skąd takie podniecenie w jego głosie. Może generał

Howe zmienił zdanie. Przyspieszył kroku, nie zważając na wzmagający się ból w udzie.

Młody szeregowy pospieszył otworzyć mu drzwi do salonu generała. *Wi-R S*

dać było, że ledwo co wyrósł z krótkich spodni, mimo to wykazywał się zaangażowaniem i do tego

był całkiem niegłupi. Niech tylko nastaną rządy generała Clintona - zaraz się biednemu chłopakowi wszystkiego odechce.

Edward zmrużył oczy, wchodząc do zalanego blaskiem słonecznym pokoju. Długie story rozsunęto i salon był przyjemnie nagrzanym od porannego słońca.

- Dzień dobry, *sir* - elegancko zsalutował generałowi Edward. - Otrzymałem pańską wiadomość.

Generał Howe wstał z krzesła i Edward skonstatował, że człowiek, przed którego zmiennymi humorami drżał niejedyn oficer, był tego dnia wyjątkowo wesoły. Jego obwisłe policzki nawet podniosły się w jowialnym uśmiechu.

- Mam dla ciebie niespodziankę, mój chłopcze. - Znowu ten promienny uśmiech.

- Zmienił pan plany tegorocznej kampanii?

To pytanie zmyło uśmiech z twarzy generała.

- Ta sprawa, majorze Lyndhurst, jest już zamknięta. Proszę przywyknąć do myśli o pozostaniu w Nowym Jorku, *sir*. Pan i major Andre będziecie mieli to niełatwe zadanie, by utrzymać generała Clintona w ryzach, że się tak wyra-

zę, do czasu zmiany dowództwa. Nie - ciągnął, znowu okazując dobry nastrój -

poprosiłem pana tutaj z zupełnie innego powodu. Kapitanie Crowley, pozwoli pan, że przedstawię majora Lyndhursta, jednego z moich najlepszych oficerów.

Edward odwrócił się i zobaczył, że z odległego kąta salonu wylania się mężczyzna w podobnym wieku i podobnej budowy co generał. Ubrany był natomiast w biało-granatowy mundur marynarki.

Nie kryjąc zaskoczenia, Edward wyciągnął do niego rękę.

- Bardzo mi miło, kapitanie Crowley. - Popatrzył znowu na generała, unosząc pytająco brwi.

R S

- Kapitan Crowley przyплыł właśnie z Bostonu, dzisiaj o świcie, fregatą królewską „York”.

Edward poczuł, że jest poddawany oglądowi, i znieruchomiał.

- Pan jest wicehrabią Delford?

Głęboki głos kapitana brzmiał tak, jakby za chwilę zamierzał wydać o nim osąd. Edward spojrzał na niego i nie mógł odwrócić wzroku od zimnych stalowych oczu.

- Owszem, mam ten honor.

O co mu do diabła chodzi, zastanawiał się Edward, przenosząc ciężar cia-

ła na zdrową nogę.

- Spodziewam się, panie - zaczął kapitan, zerkając na moment w stronę generała - że niespodzianka, o której wspomniał generał Howe, naprawdę pana zachwyci.

- Niespodzianka, *sir*?

- Tak jest, panie. Dowiozłem ją osobiście z Genui.

Edward pomyślał, że albo on zwariował, albo kapitan bredzi coś od rzeczy. Na drugim końcu salonu otwarły się drzwi.

- Pańska żona powróciła, cała i zdrowa.

- Kto taki?

Jego pytanie pozostało bez odpowiedzi.

- Nie - szepnął, blednąc na twarzy.

Ona musi być zjawą, jego umysł kpi z niego okrutnie. Stała w milczeniu i obserwowała go. Edward widział wyraźnie jej długie gęste złote włosy, wspaniałą szczupłą sylwetkę i intensywnie niebieskie oczy, wpatrzone w niego z łagodną czułością.

- Cassie? - Kręcił z niedowierzaniem głową, chociaż wypowiedział jej *R S*

imię.

- Tak, Edwardzie, to ja.

- Ale ty nie żyjesz... To niemożliwe. - Wystawił za siebie rękę, po omacku szukając krzesła. - Mój Boże... Cassie?

Generał Howe i kapitan Crowley przestali dla niego istnieć. Potykając się, postąpił do przodu, nie spuszczając z niej oczu, jakby się bał, że zaraz zniknie. Oszołomiony wyciągnął do niej dłoń.

Cassie patrzyła na Edwarda bez słowa. Wyglądał bardzo elegancko i przystojnie w szkarłatno-kremowym mundurze, z włosami upudrowanymi na biało i białym fularem na szyi. Jego mocno opalona twarz wydawała się starsza, niż kiedy go ostatnio widziała. W orzechowobrazowych oczach kryło się niedowierzanie. Kiedy wyciągnął do niej dłoń, ścisnęło ją w gardle i jej ciałem wstrząsnął spazm. Zerwała się z miejsca i rzuciła mu się w ramiona.

- Edwardzie, mój drogi Edwardzie.

- Cassie, o Boże... już myślałem, że cię straciłem. - Wymówił jej imię jeszcze raz i potem znowu

przycisnął ją z całych sił do siebie. Później odsunął

ją na odległość ramienia i wpatrując się w nią, wciąż powtarzał jej imię.

Jak przez mgłę dobiegł Cassie głęboki, ironiczny głos kapitana Crowleya.

- Cóż, generale, wygląda na to, że wykonałem najprzyjemniejszą misję w całej tej przeklętej wojnie. Jestem też spokojny, widząc, że wicehrabia dobrze zaopiekuje się moim ładunkiem.

Cassie delikatnie oswobodziła się z objęć Edwarda.

- Na mnie już pora, wicehrabino. Cieszę się, że chociaż podczas naszej podróży nie zabrakło interesujących momentów, udało mi się dostarczyć cię mężowi zdrową jak ryba.

Edward nie zdziwił się wcale, że kapitan nazywał go mężem Cassie.

Właściwie nawet się nad tym nie zastanowił. Ujął wielką dłoń kapitana i moc-

no ją uścisnął.

- Moje najszczerze podziękowania, kapitanie. Nigdy nie zdołam się odwdzińczyć za to, co pan dla nas zrobił.

- Ja także dziękuję, kapitanie - włączył się generał Howe. - Jestem pewien, mój chłopcze, że jakoś damy sobie bez ciebie radę przez, powiedzmy, tydzień.

Edward przytaknął, tak oszołomiony, że generał zarechotał.

Zimne szare oczy kapitana Crowleya spoczęły na moment na Cassie i je-go wzrok się ocieplił.

- Do widzenia, kapitanie, i dziękuję.

- Miej się dobrze, wicehrabino, i postaraj się więcej nie tracić męża z oczu. Nie zawsze można mnie znaleźć w różnych dziwnych częściach świata, wiesz.

- Dobrze, kapitanie. - Cassie wspięła się na palce i ucałowała go w policzek. - Proszę jeszcze raz przekazać moje podziękowania panu Thompsonowi.

Obaj panowie byliście dla mnie niezwykle dobrzy.

Kapitan Crowley, jakby zawstydzony jej uczuciowym pożegnaniem, przytaknął sucho, zasalutował generałowi i wyszedł. Zapadła cisza, przerywana tylko cichnącym odgłosem kroków, które okazały się zaskakująco, zważywszy na tuszę kapitana, żwawe i lekkie. Edward ścisnął rękę Cassie tak mocno, że aż zamrugnęła.

- Mam nadzieję, że twoje lokum jest godne damy, mój chłopcze?

- Tak, panie.

- No to zbierajcie się do drogi. Myślę, że będziecie mieli dosyć zajęć w wolnym czasie. - Zamilkł na chwilę, a kiedy znowu się odezwał, w jego słowach krył się smutek. Wiedział bowiem, że Edward nie pozostanie na długo w *R S*

Nowym Jorku.

- Przynajmniej ty dobrze wyszedłeś na tej choliernej rebelii, Edwardzie.

W ostatecznym rozrachunku może się okazać, że buntownicy postawią na swoim. Z radością zobaczę ciebie i twoją uroczą żonę w Anglii, w przyszłości. Oby niezbyt dalekiej.

- Tak, panie - powiedział tylko Edward. W przeciwieństwie do generała on się jeszcze nie zorientował, że wkrótce od walk w koloniach będzie go dzielić cały ocean.

- No to ruszaj, chłopcze, mam dużo pracy. Do widzenia, moja damo. Pilnuj, żeby ten twój mąż trzymał się od Staten Island z daleka. Nie chcę, żeby znowu się nadział na rebeliancki miecz.

Cassie lekko dygnęła i chwyciła ramię Edwarda, a on wyprowadził ją z pokoju. Szli potem przez kolejne pokoje aż do holu wejściowego i przez całą drogę, dotykając jego ręki, czuła, jaki jest spięty.

- A więc to jest twoja żona, Edwardzie.

- A niech cię, John! Wygląda na to, że ja dowiedziałem się jako ostatni.

Cassie, to major Andre, adiutant generała Clintona.

- Jestem zaszczycony, moja pani. - Major Andre ujął dłoń Cassie i lekko ucałował nadgarstek. Spojrzała na tego smukłego oficera i od razu wiedziała, że lubi flirtować z kobietami. Spojrzenie jego jasnoblękitnych oczu było ser-deczne i ożywione, a na szczery uśmiech aż miło było popatrzeć.

- Dziękuję, majorze Andre.

- No a ty, Edwardzie, nie unosz się tak. Sam stary Howe kazał, żeby ci nie mówić. - Po czym mniej wesołym tonem dodał: - Mam nadzieję, że będę miał

okazję nadal cię widywać, stary druhu.

- Oczywiście, że będziesz. - Lekki uśmiech zagościł na ustach Edwarda. -

No może nie przez najbliższych kilka dni.

R S

- Tak jest, tak być powinno. Może poproszę kapitana, żeby mi także znalazł żonę podczas kolejnego rejsu. Bo muszę przyznać, że z twoją się sprawił

wyśmienicie. - Patrzył na Cassie, nie kryjąc uznania. Cóż za piękna dziewczyna o wspaniałych kształtach, których żółta muślinowa suknia nie była w stanie zupełnie ukryć. I te olśniewające włosy. Kiedy się dowiedział, że Edward jest żonaty, zdumiał się niepomiernie. Z drugiej strony Edward nie gustował za bardzo w życiu towarzyskim. Może żałoba po takiej kobiecie sprawiła, że się trzymał na uboczu. Ciekawe, czy piękna wicehrabina zmieni pastelnicze upodobania swojego męża.

Edward bez trudu zgadywał, co dzieje się w głowie majora Andre, gdyż ten zazwyczaj na głos wypowiadał swoje sądy o kobietach. Dlatego łagodnie przyciągnął Cassie do siebie i miękko powiedział:

- Pewnie gdzieś się spieszysz, John.

- Tak, właściwie to masz rację. - Major Andre zwrócił się do Cassie: -

Witaj w Nowym Jorku, pani. Nie sądzę, by ludzie z towarzystwa pozwolili, żeby Edward trzymał cię tylko dla siebie. *Adieu*, Edwardzie, na kilka dni! -

Major sprężyście zasalutował i odszedł.

- Mój kufer, Edwardzie.

Patrzył na nią, nie rozumiejąc.

- To wszystko, co posiadam, i nie mogę go tu zostawić.

- Ależ tak - powiedział i podniósł go.

Cassie zasłoniła oczy przed oślepiającym słońcem, kiedy wyszli na ze-wnątrz.

- Ależ pogoda tutaj jest zmienna, Edwardzie.

- A w Genui nie?

R S

Popatrzyła na niego ze ściśniętym gardłem.

- Kapitan Crowley wspomniał, że przywiózł cię z Genui? - wyjaśnił łagodnie. Dotknął palcami jej policzka. - Nie chciałem cię zmartwić, Cass. Mo-

zemy porozmawiać o tym, kiedy znajdziemy się w moim mieszkaniu.

Przytaknęła.

Nagle zatrzymał się i zmarszczył czoło.

- Mam tu tylko swoją klacz, Delilę. Jeśli jesteś zmęczona, Cass, możesz jechać.

- Nie, Edwardzie, nie jestem wcale zmęczona. Czy twoje mieszkanie jest daleko?

- Nie, raczej nie. Mieszkam w Gospodzie Króla Jerzego przy William Street, niecały kilometr stąd.

Przyglądała się w milczeniu, jak przymocowuje jej kufer do końskiego grzbietu. Poprowadził ich na Broadway, gdzie roіło się od żołnierzy w szkar-

łatnych płaszczach. Wielu z nich miało przy sobie broń i całe wyposażenie. I kobiety. Mnóstwo kobiet, w większości szykownie odzianych. Przy tym jednak rozmawiały z żołnierzami bardzo swobodnie.

- To najczęściej prostytutki. Cassie - powiedział, zgadując jej myśli. -

Tam, gdzie są żołnierze i marynarze, zawsze znajdą się kobiety, które pomogą im rozstać się z pieniędzmi. - Edward urwał i pomasaował się po szczęce. Co to za idiotyczna rozmowa. Wróciła do mnie z krainy umarłych, a ja jej tu prawię o żołnierzach i prostytutkach.

- Cass.

Wypowiedział jej imię tak subtelnie, że nie była pewna, czy jej się zdawało. Obróciła głowę i popatrzyła na niego.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. - Nagle puścił wodze, radośnie za-R S

krzyknął, objął ją wpół i podniósł.

Kiedy wreszcie postawił ją na ziemi, ciągle czuła żar jego ust, a jej policzki były zaróżowione. Starła się zakryć zmieszanie i niepewność beztróską paplaniną. Edward uśmiechnął się do niej - przypomniał sobie, jak go to kiedyś drażniło, że zasypywała go pytaniami i mówiła, co jej tylko przyszło do głowy.

Ale rozdrażnienie szybko przeszło w dobroduszne rozbawienie.

Odpowiedział na jej pytania normalnym tonem, jakby wcale się nie roz-stawali.

- To są Szkoci, co do jednego, z 42. Dywizji Szkockiej. Znani są jako Czarna Straż i stanowią postrach dla rebeliantów.

Cassie przyjrzała się ich kraciastym czapkom i gołym, kościstym kolanom.

- To strasznie zajmujące. Nie widziałam jeszcze takich mundurów.

- Ta grupka po prawej to hescy grenadierzy. Można ich poznać po niebieskich płaszczach i wysokich czapkach z mosiężnym ornamentem. Mówi się, że ich wąsy są takie czarne, bo smarują je tą samą pastą, której używają do butów.

Tak jak 42. Szkoci są bardzo skutecznymi, karnymi żołnierzami, ale to barbarzyńcy.

- Barbarzyńcy, Edwardzie?

- Tak. Opowieści o ich okrucieństwach, zresztą całkiem niedawnych, z New Jersey, zmroziły mi krew w żyłach. Niestety, nawet tutaj, w Nowym Jorku, często są jak psy spuszczone ze smyczy. Jeden z tych bydlaków próbował

nawet nastawać na Jen... - Urwał, przeklinając swoje gadulstwo.

Cassie uniosła brew.

- Jen, Edwardzie? Kto to taki?

Wzruszył ramionami.

R S

- Jennifer Lacy. Ona i jej ojciec to lojaliści, z którymi się przyjaźnię.

- Musisz mi kiedyś o niej opowiedzieć.

Edward spojrzał na jej dumny klasyczny profil.

Nie był w stanie z nią rozmawiać, choćby nawet o codziennych błahych sprawach, jakby nic się nie wydarzyło. Istotne kwestie, bolesne kwestie wkradały się do rozmowy, czy tego chcieli, czy nie. Mój Boże, pomyślał, nawet nie wiem, co się z nią działo! Zupełnie jakby jego zmieszanie się jej udzieliło, Cassie powiedziała:

- Tyle rzeczy muszę ci powiedzieć.

- Tak, wiem. - Wciągnął głęboko powietrze i przyspieszył kroku.

Nie zamierzała mu jednak wspominać, że znalazłszy się w tej ogromnej niecywilizowanej krainie, ma wrażenie, jakby przeniesiono ją na koniec świata.

Spojrzała w górę i uśmiechnęła się. Znała Edwarda całe swoje życie, w głębi duszy zawsze mu ufała i darzyła miłością. A mimo to w chwili, gdy powinna osiągnąć pełnię szczęścia, nękał ją strach i niepewność. Czułabym teraz pełnię szczęścia, pomyślała ze złością, gdyby nie on.

- Wkrótce będziemy w moim mieszkaniu.

Zdziwił ją beznamiętny ton, którym to powiedział - mógłby równie dobrze zwracać się do niższego rangą żołnierza, od którego oczekuje raportu.

Wiedziała jednak, że on taki już jest. Właściwie spodziewała się, że będzie starał się ją chronić przed własnym szokiem i zmieszaniem.

Była zdenerwowana, więc wypowiedziała na głos pierwsze, co przemknęło jej przez myśl:

- Wszystko tutaj wygląda na takie... nowe, takie niedokończone.

- Tak, niedługo po tym, jak odbiliśmy Nowy Jork generałowi Waszyng-tonowi, był tu wielki pożar. Całkiem prawdopodobne, że to buntownicy go *R S*

rozniecili. Ta hołota ukradła wszystkie dzwony kościelne, więc nie mieliśmy jak podnieść alarmu. Ogień wybuchł w domu uciechy dla żeglarzy, niedaleko Battery, w Whitehall Slip. Rozprzestrzenił się bardzo szybko, bo było mało wody i sprzętu, żeby go gasić.

- I ty tutaj byłeś... w czasie pożaru?

- Byłem, ale niewiele dało się zrobić. Spłonęło więcej niż jedna trzecia miasta. Mam nadzieję, że nie będziesz chciała obejrzeć dzielnicy, gdzie całe rodziny wciąż są zmuszone mieszkać w nadwęglonych ruinach domów, z gnijącymi płótnami zamiast dachów. Nawet przepiękny kościół Świętej Trójcy się spalił. - Urwał i machnął ręką. - Te dzielnice miały więcej szczęścia. Tutaj wszystko jest już, dzięki Bogu, odbudowane. Nowojorczycy to krzepcy i uparci ludzie i odbudowa ciągle trwa. Myślę, że wielki pożar w Londynie w ubiegłym stuleciu nie poczynił więcej zniszczeń niż ten tutaj.

- Nie martwiłam się za bardzo o twoje bezpieczeństwo, Edwardzie. A teraz się okazuje, że cały czas byłeś tutaj, w trakcie pożaru i wszystkich tych walk.

Zaskoczyło ją, że Edward roześmiał się ponuro.

- Owszem, byłem. I mogę powiedzieć, że zobaczyłem żaloszny pokaz strategii wojskowej po obu stronach. Gdyby tylko generał Howe wydał rozkaz podczas bitwy o Nowy Jork, mogliśmy zetrzeć na proch główną część armii generała Waszyngtona. Ale on nic nie zrobił. On tylko się zastanawia, rozważa każde wyjście, sensowne czy nie, gładzi się po tym tłustym podbródku i w końcu nie robi nic. Tą rebelią dowodzą amatorzy, Cass, ale zaczynam myśleć, że w angielskim dowództwie jest jeszcze więcej głupców niż w szeregach Amerykanów. - Edward zatrzymał się, zadowolony, że wreszcie może przerwać swoją tyradę. - To tutaj mieszkam, Cassie. Obawiam się, że nie jest to Hemphill Hall ani Delford Manor, ale warunki są stosunkowo dobre.

R S

Gospody Króla Jerzego przy William Street nie okalały wysokie olchy, które mogłyby dodać uroku kanciastej budowli. Jak wiele mijanych po drodze budynków gospoda była zupełnie nowa, ale sprawiała wrażenie tak niegościnnej i surowej jak naga ziemia, na której stała. Zima nie pozwoliła nawet odro-śnąć trawie, nie mówiąc już o listowiu czy bluszczu, które mogłyby upiększyć toporną fasadę, czy o kwiatach. O kwiatach... Na Boga, Cassie, tamto to inny świat, jak ze złego snu. Nigdy tego nie chciałaś, nigdy nie pragnęłaś jego.

- Wszystko w porządku, Cass?

Cassie podniosła zamglone oczy i utkwiała je w twarzy Edwarda.

- Tak, jak najbardziej. Jestem zmęczona, to wszystko. - Muszę o nim zapomnieć, w przeciwnym razie nigdy nie zaznam spokoju. Wiedziała jednak, zrozumiała to już jakiś czas temu, że nigdy nie będzie w

stanie zupełnie wyrzucić go ze swoich myśli.

Zakasała spódnice i dziarskim krokiem weszła po niemalowanych schodach gospody. Edward podał wodze chłopcu stajennemu i podążył za nią z ku-ferkiem w ręku.

- O, major Lyndhurst. Nie spodziewałem się pana przed wieczorem.

Cassie zobaczyła niskiego i przeraźliwie grubego mężczyznę, z twarzą jak księżyc w pełni i małymi błyszczącym oczkami w jasnobrązowym kolorze.

Opasany był wielkim białym fartuchem, który wyglądał na mocno wysłużony.

Jego dziwny, nosowy akcent bardzo Cassie rozbawił. Czy wszyscy ludzie w koloniach tak mówią?

- Chciałbym przedstawić moją... żonę, panie Beatty. Przybyła dziś rano, żeby mi towarzyszyć.

Jasnobrązowe oczy powędrowały do jej twarzy i zwięzły się na moment.

Zaraz jednak w policzkach pana Beatty'ego ukazały się wesołe dołeczki.

Pan Beatty nic nie wiedział o żonie majora, choć z drugiej strony rozu-R S

miał, że jak każdy angielski dżentelmen, Edward Lyndhurst nie mówił wiele o swoim życiu osobistym.

- Bardzo żałuję, majorze Lyndhurst, że nie mam lepszego lokum, które mógłbym zaproponować panu i pańskiej żonie.

- Dobrze wiem, że w mieście brakuje miejsca, panie Beatty. Proszę przynieść kufer damy na górę. I tacę z herbatą.

Ja nie lubię herbaty. Dlaczego Edward o tym nie pamięta?

- Tak majorze, już się robi.

Cassie zdarzyło się przebywać w gospodzie zaledwie raz czy dwa w życiu. Wspięła się po solidnych dębowych schodach, pozbawionych dywanów i ozdób. Jej nos podrażnił zapach surowego drewna, piwa *ale* i potu. Jak cały Nowy Jork zapach ten intrygował ją i jednocześnie niepokoił. Wszystko wydaje się takie niewykończone... nawet ludzie.

- Mam mały salon i sypialnię. To pokój na rogu, z przyjemnym widokiem na rzekę.

- A twój lokaj? Grumman?

- Ordynans - mechanicznie poprawił ją Edward. Mój Boże, pomyślał, otwierając drzwi, wprowadzam ją do swojego pokoju jako żonę. Poczul doj-mujące napięcie w lędźwiach i aż stanął, zaskoczony siłą swojego pożądania.

- Właśnie, twój ordynans.

- Grumman zajmuje mały pokój na trzecim piętrze. Czy chciałabyś pokojówkę, Cassie?

Przypomniało jej się, że przez ponad dwa miesiące na pokładzie „Yorku”

musiała radzić sobie sama i się uśmiechnęła.

- Nie, nie będzie to konieczne. Wystarczy, jeśli ktoś zajmie się moimi sukniami.

Weszła do salonu i znowu na jej ustach zagościł uśmiech. Nie, to nie był

R S

Delford Manor ani Hemphill Hall... ani willa Parese. W oknach wisiały czyste zasłony z dymki, a drewnianą podłogę zakrywało kilka małych dywaników.

Meble, których nie było tam za wiele, wyglądały na zwyczajne, by nie rzec zgrzebne. Widocznie tworzone były z myślą o ich użyteczności. Mimo to po-kój był duży, jasny i dobrze wywietrzony, odpowiedni dla żołnierza. Po tylu dniach w małej kabinie na „Yorku” bardzo cieszyła się tą przestrzenią.

- Jest całkiem odpowiedni, Edwardzie.

W otwartych drzwiach pojawił się młody chłopak, najwyżej czternastoletni. Pod pachą trzymał kufer Cassie.

- Bagaż *milady*, majorze.

Edward wydawał się nie zauważać wyrazu uwielbienia, który malował

się w oczach chłopca.

- Dziękuję, Will. Zanieś go proszę do mojej... sypialni.

- Mama zaraz przyniesie herbatę, majorze, w swoim najlepszym srebrnym serwisie. - Pani Beatty okazała się tak tykowata, jak jej mąż był szeroki.

Patrzyła na Cassie z nieskrywaną ciekawością, a kiedy dziewczyna dość naturalnie skinęła jej głową, natychmiast położyła srebrną tacę na okrągłym drewnianym stoliku i trochę niezdarnie nisko dygnęła. Cassie wydawała się nie przywiązywać większej wagi do ceremoniału, przez co w oczach pani Beatty urosła na jeszcze większą damę.

Gdy zostali sami, Edward odpiął szablę i położył ją na stoliku obok tacy z herbatą.

Dopiero teraz Cassie dostrzegła, że lekko utyka, i przypomniała sobie, co generał Howe powiedział o jego ranie.

- Czy rana na twojej nodze jest bardzo poważna, Edwardzie?

Usiadła na niezbyt wygodnym krześle i napiła się znienawidzonej herba-R S

ty.

- Nie. Ja i moi ludzie byliśmy na Staten Island - to niedaleko południowego krańca Manhattan Island - kiedy pojawiła się banda rebeliantów. Jeden z nich zdołał ugodzić mnie w udo, ale to już prawie zupełnie zaleczone.

- Musisz bardziej na siebie uważać, Edwardzie. Uraczył ją nieco ironicznym uśmiechem.

- Jestem żołnierzem, Cass.

Stał nad nią przez chwilę i widać było, że nie bardzo wie, co powiedzieć.

- Elliott i ja szukaliśmy cię... ponad tydzień.

On mówił, że tak będzie.

- Dziękuję ci, Edwardzie.

Zaczął nerwowo przechadzać się przed nią po pokoju.

- To powiedz, co, na Boga, się z tobą działo?

Cassie postawiła filiżankę herbaty koło jego szabli, położyła dłonie na kolanach i mocno splotła palce.

- Wybacz, że podawałam się za twoją żonę. Nie sądzę jednak, żeby kapitan Crowley przyjął mnie na pokład, gdybym tego nie zrobiła.

- To nie ma znaczenia.

Słyszała, że się niecierpliwi, i odwróciła wzrok. Oczywiście nie miało to znaczenia, bo wiedziała, że postąpi jak na dżentelmena przystało i będzie nalegał, żeby jak najszybciej rzeczywiście wzięli ślub. No chyba że...

- Nie jestem już dziewicą, Edwardzie.

Dostrzegła, że zacisnął wargi, ale zaraz się opanował.

- Minęło dużo czasu, Cassie. Żyjesz i to jest teraz najważniejsze. - Podparł się jednak pod boki i wyraźnie zacisnął pięści. Przymknęła na chwilę oczy, myśląc, że za nic by jej nie zdradził, jak wiele dla niego znaczyło to, co wła-

śnie niezdarnie mu wyznała. Nie pozwoliłby mu na to honor ani dbałość o jej R S

uczucia.

- Proszę, usiądź - powiedziała wreszcie. - To długa historia.

Posłuchał.

- Tamtego popołudnia przed naszym ślubem poszłam na ryby, zresztą za zgodą i namową Becky.

- A co, do diabła, ma do tego wszystkiego Becky Petersham?

- Przekonasz się już za chwilę. Przypominasz sobie ten piękny jacht, któ-

ry razem widzieliśmy z zatoczki dzień wcześniej? - Przytaknął. - On znowu się pojawił. Podpłynął bardzo blisko i zobaczyłam, że nazywa się „Cassandra”.

Krótko mówiąc, Edwardzie, żeglarze zarzucili linę na mój maszt. Właścicielem i kapitanem „Cassandry” okazał się hrabia Clare. On mnie porwał.

- Anthony Welles! - Edwardowi stanął przed oczami obraz hrabiego, potężnego i podziwianego arystokraty, i ścisnęło go w żołądku. - Ale dlaczego?

- Poinformował mnie, że zamierza uczynić mnie swoją żoną. Spodziewał

się, że spędzę sezon w Londynie i wtedy zamierzał się do mnie zalecać. Twój powrót do Anglii pokrzyżował jego plany. Zamiast pozwolić na nasz ślub, wołał mnie pojmać, a moją łódkę roztrzaskać o skały, żeby wszyscy myśleli, że zginęłam.

Przez pewien czas Edward był tak zszokowany, że nie mógł mówić.

- Nie rozumiem, Cass. Anthony Welles znał cię od dziecka. O ile mi wiadomo, nigdy nie spotkał się z zachętą z twojej strony.

- Nie, oczywiście, że nie. On kochał moją matkę, Edwardzie, zanim się urodziłam. Być może ciągle widzi we mnie jej odbicie. - Wypowiadając te słowa, wiedziała, że w to nie wierzy.

- Ten niegodziwy łajdak! - Edward trzepnął się pięścią w udo i zmrużył

oczy. - On cię... zmusił?

- Tak. Powiedziałam mu, że postradał zmysły i że nigdy go nie poślubię.

R S

Ale mnie nie słuchał. - Zobaczyła wściekłe pulsowanie naprężonej żyły na jego skroni. - Tak mi przykro, Edwardzie, że cię zasmucam, ale musisz poznać prawdę.

- Naturalnie, że muszę, Cass. On zabrał cię do Genui?

- Próbowałam mu uciec raz, niedaleko Gibraltaru, ale mi się nie udało. -

Nie było sensu mówić mu o piracie Khar El-Dinie ani o postrzeleniu hrabiego.

- Jak wiesz, matka lorda Wellesa pochodziła z Italii. Zawiózł mnie do swojej willi pod Genuą. To tam przebywałam, aż dwa miesiące temu zdołałam uciec. -

O utracie dziecka też mu nigdy nie powie. Cóż to za żalosna krótką historyjka, jakby z odzianego człowieka zostawał tylko szkielet.

- Jak mu uciekłaś?

Uciekłam, bo nie przypuszczałam, że będę chciała odejść.

- Wyjechał z miasta i udało mi się wymknąć. Gdyby nie to, że „York” i kapitan Crowley byli akurat w porcie, prawdopodobnie zostałabym złapana.

Edwarda uderzył nagle pewien zbieg okoliczności.

- Przecież ty mówisz po włosku, Cass.

- Otóż to, Edwardzie. I to zasługa, jak wiesz, Becky Petersham. Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego jest wobec ciebie taka nieprzychylna. Ona jest je-go krewną, Edwardzie. W jej przekonaniu byłam przeznaczona hrabiemu i nikomu innemu.

Edward wrócił myślami do tego popołudnia na plaży na dwa dni przed planowanym ślubem. To jemu Cassie oddałaby swoją cnotę, gdyby nie przerwała im wtedy Becky Petersham.

- Wydawała się zrozpaczona po twojej rzekomej... śmierci. To było kłamstwem, wszystko to było kłamstwem.

- Korespondowała z hrabią. Zupełnie przypadkiem znalazłam jej listy. W

ten sposób dowiedziałam się, gdzie jesteście.

R S

- Eliott wciąż myśli, że nie żyjesz?

- Tak. Napisałam do niego, ale list nie dotrze do Anglii wcześniej jak za dwa miesiące.

- Opisałaś mu, co cię spotkało?

Cassie pomyślała o zwrotach użytych w liście do brata, krzepiących zda-niach, które wcale nie wyrażały jej uczuć ani jej wahania. List zawierał znacznie mniej szczegółów niż ta opowieść.

- Tylko trochę. Powiedziałam, że zmierzam tu do ciebie i że mam się dobrze. Nie wspomniałam o

udziale Becky. To musi poczekać do mojego powrotu.

Edward pokiwał głową, ale Cassie wyczuła, że nie słucha jej zbyt uważnie. Nagle się odwrócił. Głos drżał mu z gniewu.

- Jak ten drań śmiał cię zmuszać, żebyś przez tyle czasu z nim mieszkała!

- On cały czas wierzył, że ja się zmienię. - Cieszyła się, że nie zapytał, czy hrabia gwałcił ją przez wszystkie te miesiące. Nie wiedziała, czy potrafiła-by skłamać.

Ręka Edwarda powędrowała do boku, na darmo jednak, bo szabla leżała na stole, a hrabia był w Genui. Spojrzał znowu na twarz Cassie i zobaczył

cieknącą po jej policzku łzę.

Ogarnęły go wyrzuty sumienia, że tak go poniosło. Potrzebowała go teraz bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Chwycił ją w ramiona i podniósł z krzesła.

- Boże, Cass, nie płacz, tak cię proszę. - Pocierał policzkiem o jej policzek i gładził ją dłońmi po plecach. - Już wszystko dobrze, kochana. Pomogę ci o tym zapomnieć, obiecuję. Wszystko to minie jak zły sen, zobaczysz.

Łkała cicho, ale jego czułe słowa działały na nią uspokajająco. Wiedziała jednak, że to nie minie jak sen.

R S

Przemawiał do niej łagodnie, wyczuwając jej ból.

- Wynagrodzę ci to, Cass. Pobierzemy się i razem wrócimy do Anglii.

Teraz już wcale nie chcę tutaj zostawać, uwierz mi. - Pomyślał o Jenny i opadło go takie poczucie winy, że znieruchomiał.

- O mój Boże... - szepnął.

Opuścił wzrok na tę przepiękną dziewczynę, którą wielbił całe swoje życie. Ona została mu cudownie wrócona.

- Wszystko może być jak dawniej, Cass - powiedział.

- Tak - zgodziła się powoli, przetykając łzy.

- Wszystko musi być tak jak kiedyś. - Odsunęła się od niego, próbując wziąć się w garść. Uśmiechnęła się lekko przez łzy. - A teraz, Edwardzie, musisz opowiedzieć mi o sobie. Wiele o tobie myślałam, wiesz. Zastanawiałam się, co robisz i... czujesz.

Jego oczy pociemniały na wspomnienie przeżytej rozpacz.

- Nie mogłem zostać, kiedy już myślałem, że umarłaś. Dostałem list z ministerstwa w Londynie, z pytaniem, czy byłbym zainteresowany powrotem do służby. Nie miało dla mnie większego znaczenia, że miałem walczyć pod generałem Howe'em tu, w koloniach. - Zatrzymał się, myśląc o krwawych bitwach, w których przeciwnik był słabo wytrenowany i uzbrojony, ale opętany wizją zwycięstwa. On sam był straszliwym wrogiem, gdyż nie dbał o to, czy padnie od rebelianckiej kuli, czy nie. Ludzie szli za nim jak w dym, nie wiedząc, że nie zależy mu na własnym życiu. Miał szczęście, że jeszcze żył. Ale nie zamierzał opowiadać o tym Cassie, tak jak nie powie jej o Jennifer Lacy.

- Dostawałem listy od Eliotta, niezbyt regularnie, oczywiście, ale przynajmniej wiem, że wszystko u niego w porządku.

- W jednym z listów Becky do hrabiego przeczytałam, że Eliott zamierza ożenić się z Elizą Pennworthy.

R S

Edward uśmiechnął się lekko.

- O tym Eliott nic nie pisał. - Zamilkł na chwilę.

Nagle poczuł, że bolesne wspomnienia rozpaczliwie szukają ujścia i z jego ust popłynęły słowa:

- Boże, Cassie, nie masz pojęcia, jakie to było okropne... długie dni poszukiwań... samotne noce, kiedy przeklinałem okrutne morze. I wiedziałem, że nic, ale to nic nie mogę na to poradzić. - Spostrzegł, że się unosi i zamilkł. Nagle odwrócił się od niej i zaczął gniewnie przechadzać się po pokoju. - Przysięgam, że go dla ciebie zabiję, Cass. Nie zasługuje, żeby żyć, nie po tym, co ci zrobił.

- Najprawdopodobniej nigdy już nie zobaczymy hrabiego Clare. Ale jeśli zdarzy się, że kiedyś w przyszłości wróci do Anglii, to musisz mi obiecać, że nie zrobisz niczego zbyt pochopnie. - Opuściła wzrok, gdyż jej twarz mogłaby zdradzić, że myśli, iż może już nigdy nie spotkać hrabiego, doprowadza ją do szaleństwa. Przypomniała sobie hrabinę Giusti i mimowolnie zacisnęła spoczywające na kolanach dłonie.

- Potrafię o siebie zadbać, Cass - oświadczył sztywno Edward. - Ty także, jak widzę.

Edward, jej obrońca... jej rycerz przez wszystkie lata młodości.

Uśmiechnęła się na myśl, ile drobnych rzeczy ich łączyło.

- Czym więc się zajmowałaś, kiedy akurat nie nabawiałaś się obrażeń na tej wyspie... Staten Island?

Wzruszył ramionami i dostrzegła cyniczny błysk w jego oczach.

- Niczym szczególnym, tak naprawdę. Nieistotne starcia z rebeliantami.

Były też, rzecz jasna, obiady i bale urządzone przez nowojorskich torysów. -

Urwał na chwilę, tak żywy był obraz Jenny w jego pamięci. Popatrzył w stronę R S

okna. - Czas uciekał, Cassie, jak zawsze.

Jego sprawozdanie z tych długich miesięcy zabrzmiało równie krótko i zdawkowo jak jej historia. Patrząc na wyprostowaną, szczupłą postać Edwarda, Cassie zastanawiała się, czy on także sporo przemilczał.

Rozdział 24

Cassie połknęła ostatni kęs szarlotki pani Beatty i oparła się wygodnie, wydając z siebie zadowolone westchnienie. Gospodyni pojawiła się w drzwiach jakąś godzinę temu, trzymając w chudych rękach ciężką tacę pełną przykrytych serwetkami dań. Domyśliła się, że będą woleli spędzić pierwszy wspólny wieczór sam na sam w pokoju, zamiast schodzić do wspólnego salonu. Cassie nawet pomyślała, że gdyby pani Beatty zapobiegliwie nie przyniosła im kolacji na górę, byłiby w ogóle zapomnieli o jedzeniu.

Przyglądała się Edwardowi znad filiżanki kawy. Podczas posiłku stał się trochę nerwowy i bez trudu mogła zgadnąć dlaczego. Zapadł już wieczór, a oni znajdowali się sami zaledwie kilka kroków od jego spowitej mrokiem sypialni, jako mąż i żona.

Na szczęście wiele razem przeżyli - to pozwalało im przyjemnie spędzać czas na wspominaniu przeszłości. Tego popołudnia próbowali wyrzucić z pa-R S

mięci kilka ostatnich miesięcy, które ich rozdzieliły. Edward przypominał jej, jak kiedyś stłukł Edmonda Danversa za to, że nazwał Cassie małą nieznośną dziewczuchą i powiedział, że na jej głowie jest więcej kołtunów niż gniazd pta-sich na drzewie. Jej niepohamowany śmiech ciągle rozbrzmiewał w salonie.

Powoli jednak nadszedł wieczór i nie mogli już udawać, że dalej są beztroski-mi dziećmi. Podczas ostatnich tygodni na pokładzie „Yorku” Cassie wielokrotnie biła się z myślami, czasami przez kilka godzin z rzędu, jak powinna wygłą-

dać ta chwila z Edwardem. Wiedziała, że troska o jej uczucia była dla niego tak naturalna jak poczucie honoru. I zważywszy na to, co mu powiedziała o minio-nych miesiącach, nie wątpiła, że Edward sam teraz nie wie, jak ma rozwiązać kwestię ewentualnego spania z nią. To wiara, że on bardzo ją kocha, podnosiła ją na duchu. A ponieważ on ją kocha, to ona chce dać mu siebie. Był przecież jej przyjacielem od zawsze i mężczyzną, którego miała poślubić... mężczyzną, którego wkrótce poślubi.

- Miałabym teraz ochotę na kąpiel, Edwardzie.

Zamrugął.

- Kąpiel? Nie ma problemu, Cass. Zaraz się tym zajmę. - Z wyraźną ulgą wstał z krzesła i zważym krokiem poszedł do wyjścia.

Wrócił jakieś piętnaście minut później. Za nim szedł chłopiec, Will, i obaj nieśli wiadra z parującą gorącą wodą.

- W sypialni jest wanna - powiedział, unikając jej wzroku.

Gdyby nie to, że sama denerwowała się przed pierwszą wspólną nocą, je-go widoczne zakłopotanie wywołałoby uśmiech na jej twarzy. Wstała i poszła za nim. Sypialnia była mała i kwadratowa, umeblowana - podobnie jak salon -

bardzo praktycznie. Zauważyła, że Edward zerka w stronę łóżka.

Podeszła do wanny, w której można było tylko usiąść.

- Wydaje mi się, że ty, Edwardzie, jesteś za duży, żeby się tu zmieścić.

R S

- Wanna jest wystarczająco duża - odpowiedział sztywno. - Zostawię cię teraz, Cass. Gdybyś czegoś potrzebowała, to zawołaj, proszę.

- Dziękuję, chyba mam wszystko.

Edward odprowadził Willa do drzwi, po czym usadowił się na swoim ulubionym mahoniowym krześle z wysokim oparciem i solidnymi krótkimi podłokietnikami. Odchylił głowę i zamknął oczy. Ilekroć próbował racjonalnie rozważyć, jakie konsekwencje będą mieć dla niego niezwykle wydarzenia tego dnia, napięcie w lędźwiach przeszkadzało mu jasno myśleć. Cassie była w jego sypialni, pewnie naga, w jego wannie.

Zmarszczył czoło, patrząc na swój nad wyraz entuzjastycznie reagujący członek, który wyraźnie rysował się pod obcisłymi kremowymi bryczesami.

Szybko przeniósł wzrok na kanciastą cienko wyściełaną kanapę w rogu i po-myślał, że to będzie jego łóżko, dopóki się nie pobiorą. To musi być mała pry-watna ceremonia, jeśli Cassie już uchodzi za jego żonę. Raz jeszcze powtórzył

w myślach prośbę, którą przedstawi jedynemu anglikańskiemu pastorowi, jakiego zna, i pokręcił głową. Rumiany pan Danvers na pewno nie powstrzyma się od plotkowania.

Miejsce namiętności zajęła dzika i nieposkromiona furia, kiedy tylko po-myślał o hrabi Clare.

- Ty cholerny łotrze - wycodził. Zabiłby tego człowieka bez najmniejszego wahania, gdyby ten okrutnie zbeczczył jakąkolwiek angielską szlach-ciankę. A hrabia wziął siłą Cassie, brał ją bez

przerwy wbrew jej woli przez te długie miesiące, kiedy on uważał ją za zmarłą.

Edward wstał i powoli zdjął buty i płaszcz. Rozmawiali z Cassie tego dnia o wszystkim oprócz miesięcy rozłąki. Uśmiechnął się na myśl, jak swobodnie rozbrzmiewał jej śmiech. Ale uderzyło go, jak mało wciąż wiedział o jej życiu w tamtym czasie. O hrabi nie mówiła wcale, a on nie chciał zadawać

jej bólu pytaniami.

- Edwardzie.

Odwrócił się, słysząc, jak łagodnie wypowiada jego imię. Cassie stała w drzwiach sypialni, ubrana w cienką muślinową halkę. Wstrzymał oddech na jej widok. Była tak doskonale piękna jak ten wyidealizowany obraz, który piele-

gnował w myślach podczas długich samotnych jesiennych i zimowych wieczorów. Miał ochotę zmiażdżyć ją w ramionach, ale się powstrzymał.

- Udana kąpiel, Cass?

Uśmiechnęła się, słysząc wymuszony spokój w jego głosie. Z zakłopotaniem stwierdził, że reakcji swojego ciała nie jest w stanie ukryć.

- Woda jest jeszcze ciepła, Edwardzie. Jeśli chcesz, to mogę ci wyszorować plecy.

- Cassie, na Boga!

Zbulwersowany ton Edwarda sprawił, że ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała. Jego obcasy nie wydały prawie żadnego dźwięku w zetknięciu z dę-

bową podłogą. Delikatnie przyciągnął ją do siebie, chociaż nadal przyciskała ręce do twarzy.

- Nie płacz, kochana, proszę. - Wtulił policzek w jej jedwabiste włosy, napawając się słodkim zapachem drzewa sandałowego. Czuł, że jest napięta i mu się opiera, więc żeby ją uspokoić, zaczął szeptać jej czułe słowa pocieszenia.

- Nikt cię już nie skrzywdzi, Cass. Przysięgam ci to. Jesteś już bezpieczna i ja zawsze będę cię chronił.

Cassie opuściła ręce i bez słowa podniosła na niego wzrok. Nikt już nie mógł jej ochronić.

Nie możesz chronić mnie przed samą sobą, Edwardzie.

R S

- Nawet płakać potrafisz prześlicznie - powiedział zachrypniętym głosem.

Opuszkami palców dotknął jej policzka i delikatnie otarł jej łzy.

- Przepraszam, Edwardzie. Zazwyczaj nie zachowuję się jak beksa. - Jej dłonie powędrowały po jego ramionach w górę, aż zwarła palce na jego szyi.

- Proszę, zostań ze mną na noc.

Spojrzał w jej przejrzyste niebieskie oczy i wiedział, że jest stracony.

- Jeśli jesteś pewna, że tego właśnie chcesz, Cassie.

Tego właśnie powinnam chcieć.

- Tak.

- To znaczy, że wyprzedzimy pastora o kilka dni. - Wziął ją w ramiona i położył delikatnie na środku łóżka. Cassie zapadła się w miękkim materacu z pierza.

- O Boże, obawiam się, że będziemy spać ściśnięci jak dwie łyżeczki -

zaśmiała się.

Edward tylko przelotnie się uśmiechnął w odpowiedzi. Zdejmował z siebie ubranie z taką prędkością, że jego służący Grumman byłby wielce zaskoczony.

Cassie przyglądała się mu. Był smuklejszej budowy niż hrabia, jego ciało wyglądało na sprężyste i gibkie dzięki wieloletniej służbie w siodle. Odwróciła wzrok od jego naprężonego organu. Zamiast pożądania czuła rosnącą panikę.

Przez moment był dla niej jak ktoś obcy, przerażający i nieznajomy. Wzięła głęboki oddech, próbując się uspokoić.

Nie bądź głupia, Cassie. Twoje życie układa się teraz tak, jak powinno.

Jesteś przecież z Edwardem. To on ma być twoim mężem.

Utkwiła oczy w jego twarzy i wyciągnęła do niego ręce.

R S

- Pozwól, że ci pomogę to zdjąć, Cass.

Na chwilę zamknęła mocno oczy i pociągnęła za wiązanie stanika. Czuła, że ręce Edwarda odwijają miękki materiał, odkrywając jej ciało. Usłyszała, że wstrzymuje oddech.

- Boże, jesteś taka piękna.

- Widziałeś już moje ciało, Edwardzie, nie pamiętasz?

- Tak - powiedział powoli, kładąc się koło niej. - Ale starałem się zapomnieć, Cass. - Gdyby cały czas o niej marzył, tak jak kiedyś na początku, nie-chybnie by zwariował. Wpatrywał się w jej piersi, w jedwabiste różane sutki, i głośno przełknął ślinę. Sama myśl, że hrabia Clare jej dotykał, że rzucał się na nią, doprowadzała go do wściekłego szału.

Spojrzał na nią zwilgotniałymi oczami. Czuł na ramionach nieśmiały dotyk jej palców i powoli nachylił się, żeby ją pocałować.

Chociaż nie była dziewicą, wiedział, że powinien obchodzić się z nią tak delikatnie, jak tamtego popołudnia w jaskini. Przycisnął lekko usta do jej ust, aż poczuł, że rozchyliła je dla niego. Gładząc ręką jej gładkie ciało, znowu pomyślał o mężczyźnie, który zabrał jej niewinność, mężczyźnie, który pieścił

jej ciało tak samo jak on teraz. Chociaż wcale tego nie chciał, wróciły do niego miesiące bólu i noce bezsilnego gniewu na okrutny los. Znowu ogarnęło go poczucie beznadziejnej samotności. Cassie go opuściła, pozbawiając jego życie sensu.

Wcisnął jej do ust język i wdrapał się na nią. Pod sobą czuł jej miękkie białe ciało.

Cassie zastygła w oniemieniu i zmieszaniu. Ilekroć myślała o tym momencie z Edwardem, pamiętała tylko, jak jest delikatny i czuły. Teraz jej ciało spięło się na znak sprzeciwu. Przecież mnie kochasz, miała ochotę wrzasnąć.

Dlaczego mi to robisz? Zostawił jej usta i nakrył wargami sutek. Słyszała jego *R S*

głośny i urywany oddech i wiedziała, że jej pragnie, pragnie tak bardzo, że jej uczucia przestały już się liczyć. W duchu modliła się, żeby udało jej się coś poczuć, choćby cień pożądania. Wplotła palce w jego kasztanowe włosy i ka-zała rękami gładzić go po plecach.

- O Boże, Cass. - Zszedł niżej i rozsunął jej uda.

Znieruchomiała, kiedy dotknął jej swoim członkiem. Ale ja nie jestem na ciebie gotowa, chciała do niego zawołać. Nie była wilgotna i stłumiła okrzyk bólu, kiedy wdarł się w jej niegościnnie ciało.

Cassie jęczała cicho, bo każdy jego ruch sprawiał jej ból. Ale te przytłumione dźwięki sprawiły, że Edward zupełnie stracił panowanie. Wbijał się w nią dziko, aż jego ciało naprężyło się nad nią i wstrząsnęły nim niekontrolowane drgawki. Miał poczucie, że się rozpada, z każdym spazmem oddalając się bardziej od siebie i od wszelkiego posługiwania się rozumem. Z jego gardła wydobyły się urywane jęki. Nagle ogarnęła go wielka ulga i opadł na Cassie, kładąc twarz na poduszce koło jej głowy.

Wraz z chwilą ulgi zniknęły te potężne emocje, które nim targały. Zorientował się, że Cassie leży pod nim bez ruchu.

- Przepraszam cię, Edwardzie.

Uniósł głowę, słysząc jej miękkie, smutne słowa i zobaczył, że łzy płyną jej po policzkach.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Cholera! Poczul się jak skoń-

czony idiota. Po tym wszystkim, co ją spotkało, on sam - ni mniej, ni więcej -

wziął ją siłą. Ale ona go chciała, gładziła go po plecach i oplotła wokół niego nogi, żeby się przed nim otworzyć i głębiej go przyjąć. Ciemna, przystojna twarz hrabiego stanęła mu przed oczami i Edward wyobraził sobie, jak hrabia się nad nią nachyla, rozsuwa jej białe uda i bawi się jej kobiecym ciałem.

Otrząsnął się, wyrzucając ten obraz z umysłu.

- To ja cię przepraszam, Cassie. Następnym razem będzie lepiej, obiecuję-R S

ję.

Ale ja nie chcę, żeby był następny raz!

- Wiem, że będzie, Edwardzie - szepnęła.

Zsunął się z niej i wyciągnął się na plecach.

Próbował znaleźć słowa zdolne ją pocieszyć, ale te gwałtowne emocje i teraz wyrzuty sumienia sprawiły, że jego umysł ział pustką. Oboje potrzebowali czasu. Powiedział tylko:

- To był długi dzień, Cass. Powinnaś teraz spać.

Ułożyła policzek na jego ramieniu. Sen nie przychodził, nawet kiedy oddech Edwarda już się wyrównał. Co jest z nią nie tak? Chociaż nie chciała tego pamiętać, myślała o tej namiętności, która rozpalala ją przy najlżejszym dotyku hrabiego. A przecież kiedyś, dawno temu, pragnęła Edwarda. Co się zmieniło?

Może Edward miał rację. Może była zdenerwowana, a może to przez to, że był

dla niej nowy, tak jak ona dla niego. Ale jej ciało sprężyło się, zadając kłam jej myślom. Westchnęła ciężko i spróbowała odsunąć od siebie wszystkie rozterki.

* * *

Cassie spojrzała na rzadką jajecznicę i ścisnęła ją w żołądku.

- Czy *milady* ma jeszcze jakieś życzenia?

- Nie, pani Beatty. Śniadanie jest świetne, dziękuję.

- Przyślę później Willa po naczynia, *milady*.

Cassie skinęła głową i zobaczyła, że pani Beatty dyga przed nią nisko.

- Major jest nad wyraz rozradowany przyjazdem *milady*.

- Na to wygląda. - Zza zamkniętych drzwi sypialni dochodziło pogwizdywanie Edwarda.

Kiedy pani Beatty wyszła, Cassie odsunęła na bok kopiasty talerz jajecznicy i wypła trochę kawy. Wiedziała, że musi mu teraz powiedzieć. Zrobiłaby *R S*

to poprzedniego wieczora, ale słowa jakoś nie chciały jej przejść przez gardło.

Tyle się wydarzyło i tyle rzeczy było nowych dla nich obojga. Przeklęła własne tchórzostwo.

Jeśli się spodziewała, że Edward nie zauważy jej braku apetytu, była w błędzie.

- Jeśli mam ci pokazać Nowy Jork, to musisz najpierw coś zjeść.

- Mam niespożytą energię, Edwardzie, wiesz o tym. Po prostu dziś nie jestem szczególnie głodna.

- Ja nie chcę chudej żony, Cass.

Jego opiekuńcze spojrzenie przyprawiło ją o rumieniec.

Edward bardzo starannie dobrał miejsca, w które ją zabierał. Były w Nowym Jorku nieprzyjemne okolice, były też dzielnice, gdzie panowała nieopisana bieda, podobnie zresztą jak w Londynie. Dzień okazał się nieco chłodniejszy, niż się

Edward spodziewał, i po Broad Street hulał wiatr od zatoki.

- Co za osobliwa zbieranina budynków.

- Tak, stare pomieszane z nowym. Pożar był dziwnie kapryśny. Widzisz ten dom z dwuspadowym dachem po twojej lewej? Został zbudowany w 1698

roku przez Holendra, a teraz zajmują go James Bryson i Moses Smith. Ta wie-

ża na lewo od starego Federal Hall to kaplica Świętego Pawła na Broadwayu.

Przejdziemy się Wall Street i pokażę ci, co zostało z kościoła Świętej Trójcy.

Niestety drewniana wieża spłonęła i zawaliła się do wnętrza budynku.

Dotarli do wejścia na Broadway i Edward zaprowadził ją do Bowling Green.

- A tam stał kiedyś pomnik Jerzego III. Buntownicy obalili go i przetopili na broń i kule.

- Ale każdy wydaje się stawać po stronie Anglii, Edwardzie. Gdzie są wszyscy ci rebelianci?

R S

- Oni są w mniejszości. Tutaj w Nowym Jorku byli wyjątkowo aktywni i narobili dużo szkód. Zanim general Howe zajął miasto, grupa, która nazwała się Liberty Boys, dokonała wielu zniszczeń, zwłaszcza domów, biur i sklepów torysów. Wiele lojalnych angielskich rodzin uciekło z Nowego Jorku i wrócili dopiero, kiedy zdobyliśmy miasto. Ta rebelia to nic więcej, jak tylko seria po-tyczek z obszarpaną hołotą, odbywających się w różnych miejscach na tej nie-zmierzonej ziemi. - Edward wzruszył ramionami. - Co z tego wyniknie, trudno powiedzieć.

Cassie zamyśliła się na chwilę.

- Jak sam powiedziałaś, Edwardzie, to niezmierna kraina. Jak sobie to Anglia wyobraża, że mimo oddalenia o tysiące mil będzie decydować o jej lo-sie?

Uśmiechnął się melancholijnie.

- Zaczynasz mówić jak Jen... jak moi znajomi torysi. - Wyglądał dość nieswojo i odwrócił wzrok.

- Czasami mi się wydaje - ciągnęła Cassie, patrząc na niego z uwagą - że ludzie powinni zostawić innych ludzi w spokoju. Wojna to takie marno-trawstwo.

- To prawda. Ale gdyby do tego doszło, co by się stało ze wszystkimi lo-jalistami? Spotkałby ich los nie do pozazdroszczenia.

- Wydaje się, że nie ma rozwiązań idealnych, prawda?

- Prawda. - Podobnie jak Cassie, Edward myślał o tym w kontekście własnego życia. Nie, zdecydowanie nie ma rozwiązań idealnych.

- Jakaś młoda dama na ciebie patrzy. Chyba cię zna.

Edward oderwał się od swoich rozważań i podniósł wzrok. Nie dalej jak *R S*

pięć metrów od nich stała Jenny. Trzymała się tak sztywno, jakby była wykuta w kamieniu.

- Jenny - zawołał, siląc się na spokój. - Panno Lacy. Chodź, Cass, chciał-

bym ci przedstawić... moją znajomą.

Jenny niczego bardziej nie pragnęła, jak tylko odwrócić się na pięcie i odejść. Nie mogła jednak tego zrobić. Stała więc i w bolesnym milczeniu czekała, aż Edward i ta zjawiskowo piękna dziewczyna u jego boku znajdą się przy niej. Ta młoda kobieta nie mogła być jedną z czarujących dziewcząt Madam Harper, które zapewniały towarzystwo oficerom. Bez wątpienia była da-mą. Poczula, że robi jej się słabo i ściska ją w żołądku.

Aż nagle, w jednej chwili, Jenny wiedziała. Ta elegancka dziewczyna z błyszczącymi złotymi włosami to Cassandra. Bezradne „nie” rozległo się w jej myślach, wiedziała bowiem, że oto zagubiona narzeczona Edwarda, która rzekomo miała utonąć, została mu tutaj, w Nowym Jorku, zwrócona.

Jenny wzięła się w garść, przywołując na pomoc swoją niezłomną dumę.

Ze zdziwieniem skonstatowała, że język działa jej bez zarzutu i usłyszała, że opanowanym głosem mówi:

- Dzień dobry, majorze Lyndhurst.

- Jenny... Panno Lacy, chciałbym przedstawić Cassandrę Brougham.

Cass, panna Lacy.

Cassie skinęła przyjaźnie głową, zastanawiając się, dlaczego głos Edwarda brzmi tak sztucznie.

- Bardzo mi miło, panno Lacy.

Nawet jej głos jest uroczy, pomyślała Jenny i starała się powiedzieć coś konwencjonalnego:

- Od niedawna w Nowym Jorku? *R S*

- Tak, od wczoraj. Edward pokazuje mi właśnie miasto.

Jenny miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Brukowany chodnik wydawał się wznosić i zakółsała się w miejscu.

- Jenny, wszystko w porządku?

W głosie Edwarda znowu słyhać było napięcie. Cassie przyjrzała się uważniej pannie Lacy. Była niezwykle wysoka i nosiła się z wielką gracją.

Miała kształtną figurę i duży biust. Gęsta masa ciemnokasztanowych włosów upięta była na czubku głowy, a miękkie loki opadały po bokach, okalając jej twarz o klasycznych rysach. Szerokie zielone oczy patrzyły błagalnie na Edwarda.

- Tak, w porządku. To tylko... ten zapach śmierci, niesiony z południowym wiatrem. Robi mi się od niego słabo.

Edward wyciągnął do niej dłoń, ale zaraz opuścił ją bezradnie. Stał bardzo sztywno.

- Chętnie odprowadzimy cię do domu, Jenny.

Cassie miała poczucie, że weszła na scenę, gdzie rozgrywał się właśnie pełen napięcia akt jakiejś tragicznej sztuki i że ona sama była zaledwie przypadkowym widzem.

- Nie, dziękuję, Edwardzie. Zapewniam cię, że czuję się już dobrze. Panno Brougham. - Skinęła lekko głową, uniosła zieloną aksamitną spódnicę i odeszła w pośpiechu z uniesioną wysoko głową.

- Kim jest panna Lacy, Edwardzie? - zapytała Cassie, starając się, by jej pytanie zabrzmiało zupełnie

obojętnie.

Edward odpowiedział lekko spiętym głosem.

- Jak już mówiłem wcześniej, Jenny i jej ojciec, Benjamin Lacy, są moimi dobrymi przyjaciółmi. Jej ojciec jest pisarzem i współpracownikiem Am-R S

brosego Searle'a, który wydaje „New York Mercury”, zajadłe torysowską gazetę. Jenny nie wyglądała najlepiej - dodał, jakby się zapomniał.

- Może powinienes nalegać, żeby nie szła do domu sama. Może powinienes z nią porozmawiać.

Zapadła długa cisza.

- Nie, wszystko w porządku - powiedział stanowczo.

Cassie nie była ślepa ani głucha. Wyraźnie Jennifer Lacy jest zakochana w Edwardzie. Zobaczyła jego zaciśnięte wargi i postanowiła o nic więcej nie pytać. Skoro sama nie powiedziała mu wszystkiego, nie miała prawa żądać wyjaśnień.

Żeby nie wprawiać go w jeszcze większe zakłopotanie, swobodnym głosem zapytała:

- O jakim zapachu mówiła panna Lacy?

- To smród z więzień. Po całym Nowym Jorku rozsiane są miejsca, gdzie jeńcy wojenni przetrzymywani są w straszliwych warunkach - w kościołach i magazynach bez okien, w których można się ugotować w lecie i zamarznąć zimą. Słyszałem, że wielu z nich leży martwych przez wiele dni między współwięźniami, zanim ktoś zabierze ciała.

- Ależ to okropne!

- Więzienie dla rebeliantów na pokładzie brytyjskiego statku więzienia

„Jersey”, zacumowanego w Wallabout Bay, wcale nie jest lepsze. Są zamknięci pod pokładem w takich warunkach, że szczury by nie przeżyły, co dopiero ludzie. - Westchnął. - Nasze najwyższe dowództwo pozostaje, jak się można domyślić, głuche na te sprawy... - Zobaczył, że Cassie zrobiła się zupełnie biała na twarzy. - Wybacz mi, Cass. To nie jest przyjemny obrazek.

- Czy ty nic nie możesz na to poradzić, Edwardzie?

R S

- Nie. Po pożarze brakuje budynków na więzienia, a przecież jeńców trzeba gdzieś trzymać. Gdyby ich wypuścić, wróciliby tylko do oddziałów rebelianckich, żeby potem znowu walczyć przeciw nam. Oburza mnie tylko, jak są traktowani. Ludzie, niezależnie od tego, po której stronie walczą, wciąż są ludźmi, a nie zwierzętami. Generał Howe nie dopuszcza żadnych rozmów na ten temat.

Cassie wciągała do nosa powietrze, gdy szli, ale jeśli nawet unosił się w mieście jakiś zapach, to jej nos go jeszcze nie wyczuł. Nie mogła przestać wracać myślami do panny Lacy. Tyle było cierpienia w jej żywych zielonych oczach.

Kiedy wrócili do gospody, Edward ujął dłoń Cassie i lekko ją ścisnął.

- Muszę iść poszukać pastora, Cass. Proszę, nie wychodź sama na miasto.

Obawiałbym się o twoje bezpieczeństwo.

- Edwardzie, muszę z tobą porozmawiać. Ponieważ myślami był gdzie indziej, nie dosłyszał błagania w jej głosie.

- Gdy wrócę, Cass. To długo nie potrwa. - Ucałował ją w policzek i wyszedł.

Bezradnie patrzyła na drzwi, w których zniknął. Dziś wieczorem musi mu powiedzieć. Gdyby zmienił zdanie, zawsze może powiedzieć pastorowi, że to pomyłka.

* * *

Edward wrócił z dobrymi wieściami. Znalazł wielebnego Johna Morriso-na, prezbiteriańskiego pastora o haczykowatym nosie, który, na ile Edward zdołał się zorientować, był tak dyskretny, jak by sobie życzyli.

- Da nam ślub, kiedy tylko zechcesz, Cass. Myślę, że ci się spodoba, mi-mo ogromnego nosa. Nie podałem mu zbyt wielu szczegółów twojego odnalezienia i coś mi się zdaje, że wyobraża sobie różne cuda.

Kiedy tylko zechcę.

Kiedy tylko zechcę.

- Myślę, że wkrótce, Edwardzie.

- W przyszłym tygodniu wypływa statek do Anglii. Niestety nie sądzę, żebym został zwolniony ze służby w tak krótkim czasie. Jutro porozmawiam z generałem Howe'em. Może uda nam się wrócić w przyszłym miesiącu. Chcia-

łabyś napisać do Eliotta? Przynajmniej będzie wiedział, że mamy się pobrać.

Pewnie będziesz w domu witana po królewsku. - Przerwał na chwilę i popatrzył na nią w skupieniu.

- Musisz postanowić coś w sprawie Becky Petersham.

Trudno mi sobie wyobrazić, żebyś chciała ją zastać w domu po powrocie.

- Masz rację, Edwardzie. Nie sądzę, żebym była w stanie znieść spotkanie z Becky. Ani teraz, ani później.

Nagle zapytał ją:

- Czy lord Anthony był wobec ciebie okrutny, Cassie?

Poczuła taki ścisk w gardle, że przez dłuższą chwilę nie była w stanie mówić.

- Nie, Edwardzie, nie był, raczej nie.

Patrzył na nią, zachęcając, by mówiła dalej, ale ona się odwróciła. Wiedziała, że Edward chciał, żeby mu powiedziała, co dokładnie się z nią działo, ale był zbyt szarmancki, żeby naciskać.

A ja jestem na to zbyt tchórzliwa.

Wieczorny posiłek zjedli na dole, w niewielkiej prywatnej jadalni, gdzie cały czas obsługiwał ich gospodarz, pan Beatty. Po skonsumowaniu solidnego posiłku, składającego się z pieczonej jagnięciny, gotowanych ziemniaków, chrupiącej zielonej fasolki i gęstego puddingu ryżowego, Cassie uznała, że pa-ni Beatty spędziła cały dzień w kuchni.

- Obiad był przepyszny, panie Beatty - powiedziała, kiedy gospodarz pospieszył dolać jej wina. Widać było, że nie ma szczególnej ochoty wychodzić, *R S*

więc Cassie, zachęcona mrugnięciem Edwarda, zwróciła się do niego:

- Nie zechciałby pan do nas dołączyć, panie Beatty?

- A dlaczego by nie, *milady* - powiedział wesoło i odsunął sobie krzesło przy ich stole. Cassie zamrużyła zdziwiona, że gospodarz chce siadać do stołu ze swoimi gośćmi. Edward jednak wyglądał na rozbawionego.

- Milordzie - zaczął pan Beatty, poprawiając się w krześle z wysokim oparciem i kołysząc kieliszkiem z winem - ja mówię, że ten jegomość, Paine, ciągle ma ogromny wpływ na Amerykanów. Czy pan wie, że ten jego cholerny pamflet - za przeproszeniem, *milady* - sprzedał się w tysiącach egzemplarzy?

Cassie miała wrażenie, jakby weszła do pokoju w połowie rozmowy, której temat był jej niestety równie obcy co to surowe, niemalowane miasto.

Utkwiła zafascynowany wzrok w panu Beattym.

- Tak, *sir* - odpowiedział lekko Edward. - Tylko że w zeszłym tygodniu, o ile dobrze pamiętam, wcale go pan tak nie przeklinał.

- Dałem panu egzemplarz *Zdrowego Rozsądku*, milordzie - ciągnął pan Beatty, niezniechęcony żartobliwym tonem Edwarda. - Rozumiem, że pan przeczytał, tak jak obiecał.

- Tak, przeczytałem część. Trudno to doprawdy nazwać pospolitym*. A co do sensu, to muszę

przysiąc, że Paine opanował porywający styl. Na nie-jednej stronie można znaleźć popis retorycznego kunsztu.

* Tytuł oryginalnego pamfletu Thomasa Paine'a z 1776 roku brzmi *Common Sense*, co oznacza „zdrowy rozsądek”. Samo słowo *common* ma również znaczenie „zwykły”, „pospolity”, „nieszlachecki”, *sense* natomiast tłumaczy się też jako „sens” (przyp. tłum.). *R S*

- „O! Przyjmij uciekiniera i przygotuj zawczasu azyl dla ludzkości!” -

Pan Beatty zatarł pulchne dłonie. - Coś w tym jest. I obawiam się, że on ma rację. W przeciwieństwie do naszej nędznej wysepki brytyjskiej, ta kraina kryje nieskończone możliwości dla ludzi z każdego narodu.

- Nie określiłabym raczej Anglii mianem nędznej - wtrąciła się Cassie, przez którą przemawiał zraniony patriotyzm.

- Ja też nie, *sir* - dodał łagodnie Edward. - Ale ma pan rację, mówiąc, że życie tutaj jest zupełnie inne, takie nieustabilizowane. Wydaje mi się, że Anglia po prostu nie jest w stanie utrzymać w garści tylu nacji i tylu różnych przekonań.

- Przynajmniej Nowy Jork jest teraz bezpieczny, od kiedy znowu znalazł

się pod angielskim panowaniem - zauważyła Cassie.

- Tak - zgodził się pan Beatty. - Miasto znów jest bezpieczne, dzięki takim ludziom jak pan i pański generał Howe.

- Generał Howe wypowiadał się raz na temat Paine'a - powiedział

Edward, odwracając oczy od Cassie i zwracając się do pana Beatty'ego. - Jest oczywiście zdania, że pod wpływem ognistych słów Paine'a rebelianci szybciej uderzą i poniosą zupełną klęskę. Słyszałem, że ten człowiek, Paine, przyjechał

do Filadelfii w samej tylko koszuli na grzbiecie i z listem od Benjaminu Franklina w kieszeni.

Pan Beatty głośno zarechotał.

- Tak, toż to prawda! Widzę, że rozmawiał pan z Benjaminem Lacy. Tak właśnie było, panie. Poszedł z tym listem do pana Benjaminu Rusha, wybitnego doktora i starego przyjaciela rodziny Lacy. To doktor Rush zachęcił

Paine'a, żeby przelał swoje radykalne poglądy na papier. „Wy, którzy ośmielacie się sprzeciwiać nie tylko tyranii, ale i tyranowi, wystąpcie naprzód!”. Tak, *R S*

ten to ma dar do pisania.

Kiedy Cassie mrugała zdziwiona, że właściciel gospody tak się zachwyca elokwencją pisarza, pan

Beatty wstał z krzesła i poklepał Edwarda po ramieniu.

- Zostawię już państwa. Domyślam się, że pan i pańska małżonka mają sobie dużo do powiedzenia.

- Tak, *sir*. Myślę, że sporo - powiedział Edward, patrząc na Cassie. Pan Beatty skłonił się jej nisko. Zatrzymał się jeszcze przy drzwiach, chwytając klamkę palcami, które przypominały kształtem serdelki.

- A wie pan, że zanim zaczął pisać, Thomas Paine był strasznym nie-udacznikiem? Czego by się ten chłop - za przeproszeniem, *milady* - nie chwycił, to spartaczył. Był już żeglarzem, sprzedawcą warzyw, poborcą podatków i handlował tytoniem. Nawet żona miała go dosyć! - Nagła wesołość roz-

świetliła okrągłą twarz pana Beatty'ego i kręcąc głową, dodał: - Nie uwierzą państwo, ale on nawet próbował zarobić na życie, szyjąc damskie staniki! Za przeproszeniem, *milady*.

Cassie zakryła usta dłonią, ale i tak parsknęła śmiechem.

- Nie śmieję się z tutejszych, Cass - upomniał ją żartobliwie Edward, kiedy gospodarz wreszcie wyszedł. - Przekonasz się, że wszyscy mieszkańcy kolonii mają wyraziste poglądy, chociaż co się tyczy pana Beatty'ego, to wydaje mi się, że w jego torysowskie przekonania zaczyna się wkradać rebeliancka nuta.

- Ale żeby szyć staniki, Edwardzie!

Dobry humor nie opuszczał Cassie do czasu, kiedy znaleźli się w mieszkaniu Edwarda. Wiedziała, że musi mu w końcu powiedzieć. Ponieważ nie przychodziły jej do głowy żadne stosowne słowa wstępu, zapytała po prostu:

- Edwardzie, czy możemy przez chwilę porozmawiać?

- Oczywiście. - Spostrzegł, że dziwnie pobladła. - Usiądź - powiedział ła-R S

godnie i posadził ją na kanapie. - O co chodzi, Cass?

- Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. Obawiam się, że zachowałam się jak tchórz, bo nie potrafiłam się zebrać na odwagę, żeby powiedzieć ci wcze-

śniej. Ale teraz muszę to zrobić.

Patrzył na nią w skupieniu. Rzuciła mu rozpaczliwe spojrzenie.

- Edwardzie, będę miała dziecko.

- Co?

- Jestem w ciąży.

- Nie, to nie może być prawda! - Nieświadomie zerknął na jej brzuch.

Nie mogła udawać przed sobą, że nie widzi, jak bardzo jest wstrząśnięty.

Zwiesiła głowę, gdyż nie była w stanie znieść spojrzenia jego oburzonych i zaszklonych oczu.

- To dziecko hrabiego.

Aż drgnęła, słysząc jego ostry ton.

- Tak - szepnęła.

Edward zerwał się z krzesła, które zaskrzypiało nieprzyjemnie na nagiej podłodze.

- Ten cholerny drań! O mój Boże, Cassie! Jesteś tego pewna?

Bez słowa kiwnęła głową. Jaka była głupia, myśląc, że Edward zareaguje inaczej. Chwytała się myśli, że może postąpi tak jak hrabia, kiedy w pierwszą wspólną noc powiedziała mu, że nosi pod sercem dziecko Edwarda.

- Wezwę doktora. Może jednak się mylisz?

- Nie, nie myślę się. Przykro mi Edwardzie, ale nic na to nie mogę poradzić.

Jego syn, jego dziedzic będzie bękartem! Hrabiowskie nasienie! Morder-R S

cze myśli kłębiły mu się w głowie.

- Boże, nie - zachrypiał, starając się na nią nie patrzeć.

Kiedy wreszcie się przemógł, zobaczył, że jest śmiertelnie blada, ma za-ciśnięte mocno wargi i wyprostowane ramiona.

- Zrobię, co tylko postanowisz, Edwardzie.

- Niech tego łotra szlag trafi!

Cassie odwróciła twarz, słysząc jego niepohamowany gniew.

Edward spróbował się uspokoić. To nie była jej wina. Na Boga, nie może winić Cassie. Zdołał przybrać wyraźny, choć niepozbowiony napięcia ton:

- W piątek się pobierzemy i wrócimy do Anglii, gdy tylko otrzymam zwolnienie ze służby.

- Niech tak będzie, Edwardzie. - Słowa te spadły z jej warg niczym po-pioły. Hrabia nigdy się nie dowie, że urodzi jego dziecko. - Nikt nie może się o tym dowiedzieć, Edwardzie.

- Nie - powiedział, powoli kręcąc głową. Zrobił nieoczekiwany krok w jej stronę i niezgrabnie

poklepał ją po ramieniu. - Wszystko będzie dobrze, Cass. -

Wyprostował się. - Ja... chciałbym na chwilę zostać sam. Potrzebuję trochę czasu, żeby to wszystko przemyśleć. A ty musisz odpocząć. Niedługo przyjdę.

- Tak - powtórzyła. - Niedługo.

Patrzyła, jak wychodzi. Tak bardzo się starał nad sobą panować, że zrobi-

ło jej się go żal.

* * *

Cassie leżała po ciemku z otwartymi oczami, kiedy usłyszała kroki Edwarda w salonie. Zauważyła, że się zawahał, zanim wszedł do sypialni. Nareszcie, pomyślała, nie mieli już przed sobą sekretów. Jej ciało się naprężyło.

Nie mieli już sekretów, oprócz tych, z których za żadne skarby nie mogli się *R S*

sobie zwierzyć, poprawiła się.

- Cassie, śpisz?

- Nie, Edwardzie.

Usiadł przy niej, delikatnie przyciągnął ją do siebie i zaczął powoli kołysać w ramionach.

- Wybacz, że cię zostawiłem, ale ja...

Położyła mu palec na wargach.

- Nie zadręczaj się, Edwardzie. - Ani mnie, dodała w myślach. - Postanowiłeś już, co zamierzasz?

- Powiedziałem ci, jaka jest moja decyzja, zanim wyszedłem, Cassie.

Chcę, byś została moją żoną.

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu, i przytuliła twarz do jego ramienia.

- Byłam tak bardzo nieszczęśliwa, ukrywając to przed tobą. Proszę, wybacz mi to tchórzostwo.

- To ja zachowałem się jak tchórz, zostawiając cię samą.

- Och, nie, nie mów tak! Mój Boże, ja w ogóle nie powinnam była do ciebie przyjeżdżać!

Pogłaskał ją po włosach.

- Cichutko, Cassie - zamruczał czule. - Nie pozwolę ci się już obwiniać.

Dostrzegł, jak jej miękkie piersi falują i pochylił się, by ją pocałować w usta. Dostrzegł jej desperację, gdy chętnie odwzajemniła jego pocałunek i objęła go mocniej za szyję. Zdał sobie sprawę, że nie wie nawet, kiedy dziecko ma się urodzić. Widział jednak, że ona go potrzebuje i uznał, że takie pytania muszą poczekać.

- Chciałabyś się ze mną kochać, Cassie? - Odsunął się, by widzieć jej twarz w przyćmionym świetle.

Poczuł, że odetchnęła z ulgą.

- Tak, Edwardzie, bardzo bym chciała.

R S

Edward był dla niej czuły i nie szczędził starań, by ją podniecić. Kiedy objął ją wargami i uniósł jej biodra, wiedziała, że będzie delikatny i pozwoliła mu się pocieszyć. Nie bolało jej, kiedy w nią wszedł, bo wcześniej jego język sprawił, że była wilgotna. Przyjęła go w siebie i wcisnęła dłonie w jego plecy, prowadząc do szybkiego spełnienia.

- Mamy przed sobą dużo czasu, Cass - powiedział później łagodnym tonem. - Sprawię, że zapomnisz o wszystkim, co cię spotkało. Twoja kobieca namiętność się obudzi, zobaczysz.

Nie mógł przestać o tym myśleć, choć Cassie ułożyła się już do snu na jego ramieniu. Znał reputację hrabiego Clare, mimo że osobiście spotkał go w ciągu ostatnich lat zaledwie kilka razy. Był mężczyzną, do którego łoża pchały się kobiety z różnych warstw społecznych. To się nie wydawało logiczne, żeby hrabia, który przecież chciał ją poślubić, krzywdził ją wielokrotnie, nie zdo-

ławszy rozbudzić jej namiętności. Zaczął się zastanawiać, co ona czuła do hrabiego Clare, i wątpliwości, które po raz pierwszy ogarnęły go podczas samotnej przechadzki, wróciły, żeby go nękać. Objął ją mocniej, chwytając się myśli, że Cassie jest teraz z nim i że wkrótce zostanie jego żoną.

Rozdział 25

Cassie zawzięcie szcztokowała świeżo umyte włosy, aż bez jednego koł-

tuna opadały ciężkimi i mokrymi falami na plecy. Chętnie by otworzyła okna, żeby szybciej wyschły, ale marcowe powietrze znowu się ochłodziło. Ubierała się powoli i zapinając haftki stanika sukni, zerknęła na stojący na toalecie zegar.

Dochodziło południe, a Edward wyszedł przed dziesiątą. Zdołała go przekonać, *R S*

żeby nie przywoził doktora, kiedy rano znowu miała nudności. Ogólnie nie życzyła sobie żadnego doktora, tym bardziej, że dwumiesięczna ciąża mogłaby wydać się lekarzowi dość osobliwa, zważywszy że przyjechała do męża nie dalej jak przed tygodniem. Edward skrzywił się, kiedy zwróciła mu na to uwagę, ale dał się przekonać. W końcu wyszedł, a ona została w łóżku ze śniadaniem na tacy, składającym się z suchego tosta. Miał zobaczyć się z generałem Ho-we'em, żeby omówić sprawę powrotu do Anglii.

Przeszła do salonu i wmusiła w siebie kawałek zimnego gotowanego dro-biu i świeżego chleba, które pani Beatty przysłała na górę na lunch. Dzisiaj w brzuchu najwyraźniej nie miał nic przeciwko skrzydełku kurczaka i Cassie wycierała właśnie palce, kiedy do salonu wszedł Edward, rozcierając zziębnięte dłonie.

- A niech to! - powiedział. - Masz rację, Cass. Pogoda tutaj jest nieprze-widywalna. Nie zdziwiłbym się, gdyby zaczął padać śnieg.

Schylił się i delikatnie ucałował jej nadstawiony policzek.

- Twoje włosy ładnie pachną. Przepraszam za te prymitywne warunki.

Przy takiej masie włosów do umycia i tak małej wanience, musiało ci to zająć pół dnia.

- Nie było aż tak źle - powiedziała, uśmiechając się do niego.

Odczepił szablę i położył ją na stole.

- Lunch, Edwardzie? Zostawiłam dla ciebie skrzydełko i nóżkę z kurczaka.

- Twoja hojność nie zna granic - powiedział lekkim tonem i usiadł naprzeciw niej.

- I co zdecydował generał Howe?

- Kto?

Przekrzywiła głowę w bok i powtórzyła pytanie.

- A... generał Howe. - Zamilkł na dłuższą chwilę. Cassie zauważyła, że *R S*

wpatruje się uparcie w nóżkę kurczaka, którą ma w ręku. - Właściwie nie zdo-
łałem się z nim spotkać. Może później.

- Wygląda pan na rozkojarzonego, majorze Lyndhurst. Czy mogę zapytać, gdzie spędził pan ostatnie dwie godziny?

Cassie ze zdziwieniem stwierdziła, że cały zeszywniał, słysząc jej żartobliwy przytyk.

- Nic specjalnego - stwierdził wreszcie. - Miałem kilka spraw. Ciągle jestem żołnierzem, Cass.

- Nie zamierzałam cię przesłuchiwać - powiedziała swobodnie, popijając kawę.

- Oczywiście, że nie. Dobrze się czujesz, Cass?

- Jak najbardziej. Jestem okazem zdrowia. - Zachichotała nagle, zakrywając usta serwetką.

Uniósł pytająco brew.

- Przypomniała mi się właśnie twoja matka. Myślę, że prędzej by mnie zaakceptowała, gdybym lubiła spędzać dni na kanapce z solami trzeźwiącymi pod ręką.

Lekko się uśmiechnął.

- Choroby to jedna z nielicznych rozrywek, jakie ma, niestety. Uważa mnie za złego syna, ponieważ więcej uwagi poświęcam wojsku niż jej. Dowiedziałem się z jej listów, że mój zarządca, pan Prudreck, okazał się gburowatym prostakiem, który nie zważa dostatecznie na jej słabe nerwy. Muszę pamiętać, żeby dać mu podwyżkę.

Cassie wyobraziła sobie spojrzenie lady Delford, kiedy zobaczy ją z brzuchem. Miała już na końcu języka pytanie, czy Edward napisał do swojej drogiej rodzicielki, gdy zauważyła, że siedzi on wpatrzony w przestrzeń gdzieś za jej plecami. Zamiast tego zapytała: *R S*

- Jakie masz plany na popołudnie, Edwardzie?

- Popołudnie? - Przycisnął serwetkę do warg. - Muszę znowu cię opuścić, Cass, ale nie na długo. Major Andre i ja mamy naradę z pozostałymi oficerami i z generałem Howe'em na temat ofensywy wiosennej.

- Może po twoim powrocie poszlibyśmy pojeździć konno? Bardzo bym chciała.

- Ale ty jesteś w ciąży!

Ta propozycja wyraźnie go przeraziła, więc Cassie natychmiast zaczęła go uspokajać.

- Nie jestem chora, Edwardzie, tylko czasami rano źle się czuję. Obiecuję, że nie będę cię namawiać na wyścigi.

Wstał i przypiął szablę. Dopiero wtedy, ze zmarszczonymi brwiami, odpowiedział:

- Zobaczymy. Ale zanosi się na deszcz, wiesz.

Cassie westchnęła, bo umiała rozpoznać grzeczną odmowę. Uznała, że ma czymś zajęte myśli, postanowiła więc się z nim nie drażnić.

- Edwardzie?

- Tak, Cass?

Wstała z krzesła i podeszła do niego.

- Ja... to znaczy, gdybyś ty wolał, żebyśmy się nie pobierali...

Przerwał jej ostro.

- Oczywiście, że chcę, byśmy się pobrali. Dostyc już głupstw, moja panno. - Delikatnie poklepał ją po

policzku. - Odpoczywaj, kiedy mnie nie będzie.

- Dobrze.

Po jego wyjściu Cassie powiodła po saloniku przygnębionym wzrokiem i poczuła się taka osaczona jak na pokładzie „Yorku”. Za chwilę rozległo się dudnienie deszczu o szyby i Cassie ostatecznie porzuciła przyjemne myśli o *R S*

przejażdżce.

Wzięła do ręki książkę, która leżała na stole. Zorientowała się, że to ten osławiony *Zdrowy Rozsądek*, którym pan Beatty tak się zachwycił, i z rozbawieniem pokręciła głową. Te górnolotne cytaty brzmiały dla niej dość śmiesznie. Podniosła wzrok znad książki, kiedy usłyszała lekkie pukanie do drzwi.

Powoli wstała, zastanawiając się, czy to pani Beatty przyszła po naczynia z lunchu.

- Proszę wejść.

Ku zaskoczeniu Cassie w progu stanęła Jennifer Lacy, ta młoda kobieta, którą dzień wcześniej spotkali z Edwardem.

- Czy możemy porozmawiać, panno Brougham?

- Oczywiście, panno Lacy, niech pani wejdzie.

- Pamięta pani, jak się nazywam.

- Tak, mam dobrą pamięć do nazwisk.

Cassie wskazała pannie Lacy krzesło i sama usiadła naprzeciwko na kanapie.

- Lepiej się dzisiaj pani czuje, panno Lacy?

Przez moment Jenny patrzyła na nią, wyraźnie nie rozumiejąc, o co chodzi. Jakże szybko zapomniała o swoim kłamstwie.

- Tak, zdecydowanie.

Jej wahanie nie umknęło uwagi Cassie.

- Napije się pani herbaty albo może kawy?

- Nie, dziękuję. - Jenny opuściła wzrok na kolana i zorientowała się, że nerwowo mnie w palcach ozdobną torebkę. - Czekałam, aż Edward wyjdzie -

powiedziała wreszcie, patrząc Cassie w twarz swoimi mocno zielonymi oczami.

R S

- Czy mogę zapytać dlaczego, panno Lacy?

Jenny zazgrzytała zębami, świadoma uważnego spojrzenia Cassandry i tego, że uniosła ona wyczekująco elegancką łukowatą brew.

- Gdyż chciałam z panią pomówić... pod jego nieobecność. Mam nadzieję, że nie uzna tego pani za przejaw impertynencji, choć obawiam się, że moja wizyta ma taki właśnie charakter.

Cassie zamrugła i uśmiechnęła się blado, słysząc szczerłość panny Lacy.

- Może pani być tak impertyncka, jak sobie pani życzy, panno Lacy.

Czy pani odpowiem, to już inna sprawa.

- Wyobrażałam sobie, że jest pani piękna, kiedy Edward mi wreszcie o pani opowiedział.

Cassie znieruchomiała.

- Proszę nie winić Edwarda. Jeśli chce pani znać prawdę, ja to z niego wyciągnęłam. Był chory, od tej rany na udzie, i mówił o pani w gorączce. Kiedy zapytałam, kim jest Cassandra, powiedział, że jego narzeczoną. Zapytałam, czy wyrządziła mu wielką krzywdę. Odpowiedział wtedy, że umarła. Proszę mi wybaczyć, panno Brougham, ale muszę się przyznać, że nie poświęciłam wtedy pani pamięci zbyt wiele uwagi.

- To doprawdy jest szczerłość, panno Lacy!

Jenny odpowiedziała tylko:

- Muszę mówić to, co czuję, bo walczę teraz o swoje szczęście i o szczę-

ście Edwarda. - Urwała na chwilę, a w kącikach ust pojawił się cień uśmiechu.

- Miałam nadzieję, że okaże się pani wstrętną jędzą. Wówczas nie miałabym przynajmniej wyrzutów sumienia, że tu w ten sposób przychodzę.

Cassie była dość oszołomiona i nie mogła się powstrzymać. Wybuchnęła śmiechem.

- Mam nadzieję, że jędzą nie jestem, chociaż hrabia... - Ugryzła się w ję-

R S

zyk i odwróciła wzrok od pytających oczu Jenny.

- Nikomu nie powiedziałam, że pani i Edward nie jesteście małżeństwem.

- Dziękuję. Obawiam się, że czułby się zawstydzony, gdyby to pani zrobiła. Bo wie pani, byłam

zmuszona przybyć tu jako lady Delford, a Edward ła-skawie podtrzymał tę fikcję. - Cassie zauważyła, że Jenny wpatruje się w otwarte drzwi sypialni i w łóżko z rozrzuconą pościelą. Jej żywe oczy zasłzy mgłą.

Jenny opanowała się i przemówiła, by przerwać kłopotliwą ciszę.

- Ma pani szczęście, panno Brougham. Edward jest doskonałym kochankiem. - Dostrzegła rumieniec na policzkach Cassie i pospieszyła dodać: - Proszę mi wybaczyć, że wprawiam panią w zakłopotanie. Jakoś nie potrafię powstrzymać słów, które domagają się, by je wypowiedzieć.

Cassie powoli powiedziała:

- Tę wadę mamy zatem wspólną. Czy Edward panią za to gani?

- Teraz tak, ale kiedyś, na początku, tego nie robił. Widzi pani, kiedy tu przyjechał, trzymał się od ludzi z daleka do tego stopnia, że uważany był za zimnego cynicznego człowieka bez odrobiny wrażliwości. Ale ja widziałam, że cierpi, choć nie znałam przyczyny. Opłakiwał panią i nie pozwolił nikomu się do siebie zbliżyć. Poznałam go pewnego wieczoru, kiedy uratował mnie przed chamskimi zalotami pewnego heskiego kapitana. Wiedziałam, że mężczyzna zdolny do takiego gniewu nie może być pozbawiony uczuć. Pokochałam go tamtej nocy, panno Brougham. Przeraziło mnie to, bo nie spotkałam wcześniej mężczyzny, który tak by na mnie działał jak on. I to uczucie z upływem tygodni stawało się tylko silniejsze. Wreszcie musiałam przyznać przed samą so-bą, że nic na to nie mogę poradzić, że jestem z nim związana.

- I przyszła tu pani, żeby o niego walczyć.

R S

- Tak.

Cassie nie mogła nie podziwiać odwagi, która kazała Jenny przyjść i tak z nią rozmawiać. Sama też by tak zrobiła. Opuściła głowę, przypominając sobie żałośnie krótkie spotkanie w Genui z hrabiną Giusti. Wtedy okazała się tcho-

rzem. Uciekła, zostawiając hrabinę roześmianą i triumfującą. A teraz staje twarzą w twarz z inną rywalką, o innego mężczyznę. Cóż to za obłąkana myśl.

- Czy Edward panią kocha, panno Lacy?

- Tak, kocha mnie. - Zamilkła na moment i utkwiała przejrzyste zielone oczy w twarzy Cassie - Może zastanawiała się pani, gdzie Edward był dziś ra-no. Jestem pewna, że pani nie powiedział, ale ja muszę to zrobić. Był ze mną.

Czekałam na niego, bo wiedziałam, że przyjdzie i wiedziałam, co mi powie.

Był taki oficjalny, jak ten dawny Edward. Zupełnie, jakby recytował słowa z pamięci. Poprosił o wybaczenie, ale nie mogłam mu go dać. Może nie jestem szczególnie wyrozumiała, ale zażądałam,

żeby powiedział, że mnie nie kocha.

Nie był w stanie tego zrobić, panno Brougham.

Cassie patrzyła na nią oniemiała. Roztargnienie Edwarda podczas lunchu... wszystko to nabierało sensu.

- Edward jest takim cholernym dżentelmenem!

- Tak - zgodziła się słabo Cassie - to prawda.

- Po raz pierwszy powiedział mi, że mnie kocha, dopiero po tym, jak go uwiodłam.

Cassie pomyślała o tym popołudniu w jaskini, dawno temu. Tak jak Jenny, to ona była wtedy uwodzicielką.

- Proszę mnie nie uważać za kobietę upadłą, panno Brougham. Ale ja tak bardzo go pragnęłam. Był chory i mieszkał w domu mojego ojca. Zachowywał

się jak dżentelmen w każdym calu. - Tęskny uśmiech rozjaśnił jej twarz. - Wie pani, że dosypałam mu czegoś do wina? Ale nawet zamroczony opium się

opierał. Ale kiedy mu powiedziałam, że stracę cnotę z pierwszym napotkanym heskim żołnierzem, jeśli on mnie nie weźmie, uraczył mnie tym swoim kpiar-skim uśmiechem i doprowadził do takiej rozkoszy, że nie mogłam sobie wybaczyć, że nie uwiodłam go kilka miesięcy wcześniej. - Jenny nagle zamilkła. -

Mam nadzieję, że nie jest pani zgorszona... To po prostu...

- Nie musi pani mi wyjaśniać, panno Lacy, ja rozumiem. - Pomyślała o rozkoszy, której zaznała z hrabią, i opuściła głowę, by Jenny nie widziała wyrazu jej oczu.

Jenny nagle wstała i zrobiła kilka kroków w stronę okna. Odwróciła się gwałtownie i zrozpaczonym głosem powiedziała:

- Ja tylko chcę tego, co dla niego najlepsze! Do diaska, przecież pani go zostawiła!

- Nie z własnej winy - zaoponowała cicho Cassie. - To bardzo długa i nu-

żąca historia, panno Lacy, i za nic nie chciałabym nią pani zanudzać.

Co za elegancki unik, pomyślała Jenny, choć wypowiedziany takim uprzejmym i szczerym głosem. Próbowwała utwierdzać się w przekonaniu, że Cassandra to dumna, zawzięta dziewczyna, a przy bliższym poznaniu wstrętna jędza. Teraz już sama nie wiedziała, czy bardziej by jej było przykro, gdyby miała rację, czy gdyby się myliła.

- Co za przekłete błędne koło! - zawołała Jenny. - Ten przeklęty honor Edwarda każe mu do pani

wrócić. On nie ma wyboru!

Wybór. Hrabia nigdy nie dał jej wyboru. Czy to możliwe, żeby Jenny miała słuszość? Czy Edward ją poślubi, bo nie ma innego wyjścia? Już miała zapytać Jenny, skąd ta piekielna pewność, że honor był jedynym powodem, dla którego Edward chciał ją za żonę. Coś ją jednak powstrzymało. Żadne z nich nie mówiło o miłości. Ona, ponieważ nie mogła. Czy Edward także nie mógł?

R S

Próbowała wyobrazić sobie przyszłość u jego boku, ale przed oczami miała tylko ciemną twarz hrabiego. A w łonie jego dziecko.

Wreszcie Cassie się odezwała:

- Chce pani zatem, żebym z niego zrezygnowała. Wróciła do domu do Anglii. - Przerwała na chwilę.

- Zna pani Edwarda zaledwie od kilku miesięcy, panno Lacy. Ja go znam całe moje życie. Razem dorastaliśmy. Dzień przed naszym ślubem zostałam porwana! Czy może sobie pani wyobrazić, co to oznacza? Jenny patrzyła na nią w milczeniu.

- Porwana przez człowieka, którego znałam od dziecka, który pragnął

mnie, ponieważ... - Nie mogła powtórzyć historii o swojej matce, którą przedstawiła Edwardowi. Wiedziała, że hrabia kochał ją dla niej samej. Przynajmniej tak było kiedyś... zanim mu uciekła.

- Coś się stało?

- Wszystko! - Te słowa zostały z niej wydarte siłą i zobaczyła nagą prawdę. Cassie drżała na całym ciele. Zakrywając rękami twarz, wyrzuciła z siebie urywane zdania: - O Boże, czy coś jeszcze da się zrobić? Jak mogłam być taka tchórzliwa, taka ślepa i głupia! - Krzyknęła z bólem: - Czy nigdy nie ma wyboru? Czy zawsze musimy postępować według głupich nieistotnych norm, zapominając o naszych uczuciach?

- Tak bym chciała, żeby pani była jędzą - wyszeptała Jenny. - Ale to ja nią jestem, samolubną i bezmyślną jędzą. Tylko że... ja tak pragnę Edwarda.

- Jest pani zupełnie inna niż on.

- Być może. Edward jest łagodny i bardzo uprzejmy. Ale ma w sobie żelazną wolę. Żadnego mężczyzny nie pokocham tak, jak kocham jego.

A ja nigdy nie pokocham nikogo tak, jak kocham hrabiego.

Cassie powoli podniosła się z kanapy.

R S

- Edward wkrótce wróci, panno Lacy. Musi mi pani dać czas do namysłu.

- O nic więcej nie proszę.

- Do widzenia, panno Lacy. - Cassie uścisnęła białą kształtną dłoń.

- A tak przy okazji - powiedziała Cassie, zatrzymując Jenny w progu - lu-bi pani żeglować?

Jenny wyglądała na zdziwioną.

- Żeglować? Nie, nie za bardzo. Jeśli mam być szczerą, zawsze wolałam być pasażerem, niż wykonywać całą tę pracę.

- To dobrze - powiedziała Cassie z roześmianymi oczami.

Wracając do salonu, Cassie zastanawiała się, co by powiedział Elliott, gdyby siostra stanęła w drzwiach bez obrączki i z dzieckiem w łonie.

Rozdział 26

Choć żółte zasłony z dymki były zaciągnięte, a okna zamknięte, w sypialni wciąż panował nieprzyjemny chłód. Wczesnopołudniowe słońce próbo-wało przebić się przez grube chmury, ale bez większych rezultatów.

Cassie leżała na boku z podkurczonymi kolanami. Miała na sobie tylko lekką muślinową halkę. Niewielka porcja, którą udało jej się zjeść na lunch, mocno jej zaszkodziła i po napadzie nudności była wyczerpana i odwodniona.

Przesunęła dłoń po ciągle jeszcze płaskim brzuchu, zastanawiając się, czy gwałtowne torsje mogą zaszkodzić maleństwu w jej łonie. Przypomniało jej się, jak zeszłej jesieni, kiedy była w podobnym stanie, wracała do łóżka blada i drżąca i hrabia brał ją w ramiona i gładził po włosach, aż jej żołądek się uspokajał. Mimo iż nie chciała płakać, łzy napłynęły jej do oczu, a z jej gardła wydobył się cichy smutny szloch. W całym życiu nie czuła się taka samotna i niepewna... i ciągle była tak daleko od domu. Raz po raz wracała myślami do te-R S

go, co czuje i czego się domyślała, nawet przed wizytą Jenny Lacy. Nie poślubi Edwarda, nawet ze względu na nienarodzone dziecko.

Pomyślała o mężczyźnie, którego kochała, a który był teraz na drugim końcu świata. To przez swój impulsywny gniew i głupią dumę zniszczyła więź, która się między nimi wytworzyła. Teraz widziała wyraźnie, że zeszłej jesieni, kiedy zgodziła się go poślubić, była w stanie go pokochać. Z wściekłością przyznała sama przed sobą, że odwzajemniłaby jego miłość. Gdyby tylko dał

jej wolność i pozwolił dokonać wyboru. Gdyby tylko powiedział jej o Becky Petersham.

Cassie tak była pogrążona we własnych myślach, że nie słyszała otwiera-nych drzwi. Poczula na ramieniu czyjąś dłoń.

- Cass.

Spróbowała przełknąć łzy. Obróciła się na plecy i spojrzała na Edwarda.

Z pełną siłą wróciły do niej wspomnienia miłości, którą kiedyś darzyła tę twarz, jak znała na pamięć każdy jej wycinek i kontur. Uśmiechnęła się blado i pociągnęła nosem.

- Wszystko w porządku?

- Tak, to tylko nudności. Lunch pani Beatty wyraźnie nie przypadł dziecku do gustu. - Spostrzegła, że jego orzechowe oczy spoczęły na moment na jej brzuchu, a twarz stała się obojętna. Pożałowała, że się odezwała.

- Wygląda pan zniewalająco, majorze Lyndhurst - powiedziała, by pokierować jego myśli na coś innego. - Widziałeś się z generałem Howe'em?

- Tak, rozmawiałem z nim i jeszcze z generałem Clintonem... dzięki pomocy Johna Andre.

Nie skojarzyła z początku nazwiska, ale po chwili uśmiechnęła się melancholijnie.

- Ach tak, major Andre. Wielki wielbiciel kobiet, o ile dobrze pamiętam.

R S

- Istotnie - sztywno odpowiedział Edward. - Podać ci szlafrok, Cassie?

Ile razy ja go zbulwersowałam lub zniesmaczyłam, pomyślała.

- Tak, Edwardzie, dziękuję. - Postawiła nogi na podłodze i wstała powoli, bo ostatnimi czasy kręciło się jej w głowie, jeśli gwałtownie się podniosła. Napotkała wzrok Edwarda i zarumieniła się zawstydzona. Jej nabrzmiałe piersi przebijały spod cienkiego muślinu, do tego halka się podwinęła, pokazując jej nogi. Opuściła wzrok, biorąc od niego szlafrok.

Oczy Edwarda spoczęły na jej bujnych włosach, które były rozpuszczone i zmysłowo opadały na szczupłe ramiona i plecy. Odwrócił się od niej, zły na siebie, że wzbiera w nim pożądanie. Dopiero co miała mdłości i ciągle była blada i osłabiona.

- Napijesz się herbaty, Cass?

- Ja nie lubię herbaty, Edwardzie. Nigdy jej nie lubiłam.

Usłyszał w jej słowach gorycz i odwrócił się do niej zaskoczony.

Cassie od razu poczuła skruchę i przepraszająco rozłożyła ręce.

- Wybacz mi mój niewyparzony język. Nie chciałabym, żebyś miał mnie za wstrętą złośnicę.

Łagodnie się do niej uśmiechnął.

- Nie jesteś złością, Cass. To ja powinienem być o tym pamiętać.

Edward poszedł za nią do salonu i dziwnie nieobecny wzrokiem patrzył, jak próbowała usadowić się na kanapie. Odpiął szablę.

- Generał Howe nie był szczególnie pomocny, Cass. Obawiam się, że małe są szanse, żebym dostał zwolnienie przed latem.

Cassie wstrzymała oddech, myśląc o odpływającym w przyszłym tygodniu statku do Anglii. Zdenerwowana przyglądała się, jak starannie kładzie szablę na stole.

- Rozumiem - powiedziała, przeklinając swoje tchórzostwo.

R S

- Poza tym - mówił dalej Edward, siadając naprzeciw niej - generał Clinton oczekuje mnie, i ciebie oczywiście, na balu w piątkowy wieczór. To grubiański i uparty człowiek, ale słucha rad Johna Andre. Stąd zresztą ten bal. Bę-

dzie się starał, jak przypuszczam, olśnić torysów swoją hojnością i ogładą towarzyską. Na pewno mu to pomoże, przynajmniej na krótki czas. Mam nadzieję, że zechcesz mi towarzyszyć.

- Jako lady Delford?

- Zapomniałaś, że do balu będziesz już lady Delford.

Boże, wspomóż mnie, pomyślała i powiedziała cicho:

- Przemyślałam tę kwestię bardzo dokładnie.

- Jaką znowu? Przecież o tym nieszczęsnym balu dopiero co się dowiedziałaś.

- Kwestię mojej przyszłości... oraz twojej. Nie, proszę, nie przerywaj mi, bo muszę to powiedzieć. Popełniłam wielki błąd, zakładając, że twoje uczucia, podobnie jak moje własne, mogą pozostać bez zmiany przez cały ten czas.

Żadne z nas nie tkwi już w tym samym miejscu, co kiedyś. Poza tym widzę, że nawet gdybyśmy nie zostali rozdzieleni, to my i tak do siebie nie pasujemy.

- Co to za brednie, Cassie?

Zamrugnęła, słysząc chłodne zniecierpliwienie w jego głosie. Rozpoznała ton angielskiego dżentelmena, który kieruje się honorem i obowiązkiem.

- Zwracam nam możliwość wyboru, Edwardzie. Postanowiłam, że nie mogę za ciebie wyjść. W przyszłym tygodniu wypłynę do Anglii. Wracam do domu.

Pochylił się do przodu i ścisnął szczupłe dłonie między udami.

- Jestem skłonny wybaczyć ci chwilowy brak rozumu, kładąc to na karb twojego... stanu. Ale jeśli naprawdę myślisz, że pozwolę ci wrócić do Hemphill *R S*

Hall bez opieki i z nieślubnym dzieckiem, to bardzo się mylisz co do mojej osoby. Gdybym na coś takiego pozwolił, oczekiwałbym od Eliotta kuli w łeb.

Uśmiechnęła się do niego smutno.

- Nie możesz całe życie kierować się wyłącznie nakazami honoru, Edwardzie.

- Zapomniałaś już, że gdyby nie ten porywacz o czarnym sercu, to bylibyśmy małżeństwem?

- Ale wtedy, Edwardzie, myślałeś, że mnie kochasz. I hrabia o swoich uczuciach też tak myślał.

- Jak możesz bronić tego skończonego łajdaka! Na Boga, Cassie, zaczynam myśleć, że postradałaś zmysły. Nie wystarczy ci, że nosisz jego bękarta?

Niepotrzebnie się teraz kłóćą i ranią nawzajem. Cassie bardzo chciała przedstawić mu swój punkt widzenia tak, żeby ją zrozumiał.

- Przekrzykujemy się tylko, Edwardzie, i do niczego to nie prowadzi. Czy jeśli zadam ci pytanie, odpowiesz na nie szczerze?

Zawahał się, a jego orzechowe oczy zwęziły się z frustracji.

- Jeśli nalegasz na taką idiotyczną zabawę, to zgoda.

- Jak radzisz sobie z myślą, że będziesz ojcem dziecka innego mężczyzny?

- Ponieważ nie mam tutaj żadnego wyboru, nauczę się z tym żyć. To tak-
że twoje dziecko, nie tylko jego.

Łagodnym głosem powiedziała:

- Prawdopodobnie zacząłbyś mnie za to nienawidzić... mnie i dziecko.

- A więc teraz oskarżasz mnie o okrucieństwo. - Zerwał się z krzesła i zrobił kilka kroków w stronę drzwi.

Nagle odwrócił się do niej z surowym wyrazem twarzy.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś zachowała swoje kobiece huśtawki nastroju *R S*

dla siebie. Zrobimy to, co należy, i na tym koniec dyskusji.

- To pewnie jeden z powodów, dla których nigdy byśmy się do siebie nie dopasowali, Edwardzie. Ja nie daję sobie rozkazywać. Zapewniam cię, że rwałbyś włosy z głowy - swojej lub mojej - nie mogąc znieść mojego uporu. A co do moich kobiecych emocji, to proszę, żebyś zajrzał we własne serce, po-zbywszy się wcześniej tego kamienia obowiązku, który ci ciąży. - Po zamglonym spojrzeniu poznała, że nareszcie pomyślał o Jenny.

- Miałaś okazję zobaczyć mnie, jaka jestem naprawdę. Ta wyidealizowana dziewczyna, którą straciłaś, już nie istnieje. Być może pewnego dnia, w nie-dalekiej przyszłości, podziękujesz mi Edwardzie, że uwolniłam cię od ducha.

I siebie również.

Przechadzał się nerwowo, napinając i rozluźniając szczękę. W końcu stanął przed nią z kamienną twarzą.

- Myślę, Cassandro...

Nie nazywaj mnie tak, tylko on używał mojego pełnego imienia.

- ... że nie dopuszczasz mężczyzn do swojego serca po tym, jak szkaradnie potraktował cię hrabia. Te noce, które razem spędziliśmy, były dla ciebie próbą. Nie jestem głupi ani obojętny na twoje uczucia. Dam ci tyle czasu, ile potrzebujesz. Nie będę oczekiwał od ciebie zbliżeń, chyba że sama tego zapragniesz.

Wpatrywała się w niego, wiedząc, ile wysiłku go to kosztowało, żeby ponownie odepchnąć od siebie myśl o Jenny. Oddałby wszystko, nawet własne życie, byle zachować swój święty honor.

Kiedy nie odpowiadała, rzucił ostro:

- Do diabła, Cassie, nie musisz się mnie bać. Ja nie pastwię się nad kobietami! Jeśli już zapomniałaś, sama zaprosiłaś mnie do swojego łóżka!

I nic nie poczułam, bo on zabrał całą moją namiętność. Nawet gdyby tego R S nie zrobił, i tak nic by to nie zmieniło.

- Ja się ciebie nie boję, Edwardzie, i oczywiście przyznaję ci rację. Chcia-

łam się z tobą kochać, bo myślałam, że mnie pragniesz i że jeszcze mnie kochasz. To był sposób, głupi sposób, przyznaję, by na nowo związać nas ze sobą.

- Co masz na myśli, mówiąc, że myślałaś, że jeszcze cię Kocham?

Słowo się rzekło. Wzięła głęboki oddech.

- Nigdy nie umiałeś kłamać, Edwardzie. Wiem, że mnie nie kochasz i je-

śli żywisz do mnie jakiegokolwiek ciepłe uczucia, nie próbuj temu zaprzeczać.

Twarz mu pobladła.

- To przez to przeklęte miejsce - powiedział niskim i napiętym głosem. -

Jak tylko wrócimy do Anglii, wszystko będzie, jak być powinno. Znam cię całe moje życie, Cassie, i zawsze byłaś mi bliska. Jak możesz myśleć, że to się kiedykolwiek zmieni?

- Nie myślę tak, bo wiem, że zawsze będziesz dla mnie... dobry. Ale zachowujesz się jak mąż stanu i próbujesz odsunąć od siebie prawdę, która w twoich oczach stanowi płamę na honorze.

- To przekracza wszelkie granice, Cass! Na Boga, czy wzajemny szacunek, podobne pochodzenie i gusta nic dla ciebie nie znaczą? Nawet jeśli nie ma między nami szalonej namiętności, to co z tego? Zapewniam cię, że żadne z nas nie umrze ze zgryzoty! - Przeczesał palcami starannie upudrowane włosy i skrzywił się z niesmakiem, widząc biały proszek na ręce.

Oślepił go gniew na Cassie, mimo że słowa „szalona namiętność” ledwo przeszły mu przez gardło. Niech ją diabli! Wróciła po niego z za grobu, a teraz, kiedy nalegał, by zrobili to, czego wyraźnie od niego oczekiwała, ona zaczyna roztrząsać, czy on ją kocha, czy nie. Nagle obraz Jenny, jej aksamitne zielone *R S*

oczy zamglone z rozkoszy, wyparł wszystkie inne myśli z jego głowy.

- Niech piekło pochłonie wszystkie kobiety!

Sięgnął po szablę i przypiął ją sobie do pasa.

- Wychodzę, Cassie. Może do mojego powrotu odzyskasz rozum.

- Edwardzie, ja go właśnie odzyskałam. - Wstała, by spojrzeć mu w oczy.

- W przyszłym tygodniu wypływam do Anglii. Wiem, że nie potrafisz przyjąć moich argumentów, ale ja już zdecydowałam. Mam nadzieję, że zdołasz mi wybaczyć, Edwardzie.

Przez moment trwał w zawieszeniu, gdyż dotarło do niego, że to jej ostatnie słowo. Odwrócił się i wyszedł z salonu.

* * *

- Będzie pani najpiękniejszą damą na całym balu - powiedziała pani Beatty piskliwym głosem pełnym entuzjazmu. Wyjmując dwa pukle z fryzury Cassie, żeby opadały na nagie ramiona, dodała: - Dobrze, że pani nie pokrywa włosów tym wstrętnym pudrem. To ostatni krzyk mody, ja to wiem, ale tyle się przy tym robi bałaganu. Przynajmniej przestało już padać... Marzec to taki kapryśny miesiąc. Nie to co lipiec. Wtedy trzeba zasuwać żaluzje, żeby się nie ugotować!

Cassie uśmiechnęła się z roztargnieniem i kiwnęła głową, pozwalając pa-ni Beatty paplać o tym i owym, jak to zwykła czynić przy pracy.

Pani Beatty pomogła Cassie włożyć suknię z jasnobłękitnego jedwabiu - jedyny strój, jaki przywiozła z Genui, który nadawał się na taką okazję.

- Ojej, trochę jest ciasna w biuście... a tej części ciała nie da się wciągnąć!

Cassie przyjrzała się swojemu odbiciu w podłużnym wąskim zwierciadle.

Jej piersi wystawały lekko ponad białej koronki, zebranej przy dekolcie. Próbo-wała podnieść trochę stanik sukni, ale gorset trzymał ją sztywno w miejscu.

R S

Westchnęła. Przynajmniej talia jej jeszcze nie zdradza.

Pani Beatty zachichotała, kiwając głową ze zrozumieniem.

- Major będzie musiał niejednego dżentelmena trzepnąć po rękach. Będą lgnąć jak pszczoły do miodu. - Kiedy Cassie podniosła na nią wzrok, przerażona taką perspektywą, pani Beatty pospieszyła dodać: - To tylko tak się mówi, pani. Proszę się nie frasować. - Przerwała swój monolog i zmarszczyła rudawe brwi. - Major powiedział panu Beatty'emu, że pani wypływa do Anglii w przyszłym tygodniu. To smutne, że tak szybko musicie się państwo rozstać.

Cassie starannie unikała wzroku gospodyni.

- Jest dość prawdopodobne, że major wróci do Anglii latem. Generał

Howe poprosił go, żeby na razie został w Nowym Jorku. - W gruncie rzeczy Cassie wcale nie miała pewności, jakie były plany Edwarda, ani czy w ogóle coś już zdecydował.

Od tamtej rozmowy przed trzema dniami próbował ją przekonywać, ale była niewzruszona. Wydawało jej się, że wreszcie Edward zaczynał sobie pozwalać na okazanie ulgi, przynajmniej czasami. Kiedy żartobliwie wytknęła mu, że niewiele brakowało, a poślubiłby kłótniwą babę, na chwilę porzucił

swoją powagę i krzywo się uśmiechnął. Ale widziała, że martwi się o nią i o to, jak będzie wyglądało jej życie w Hemphill Hall. Żeby odciągnąć go od ponu-rych myśli, sama starała się dużo śmiać i żartować w jego towarzystwie. Spę-

dzał z nią cały wolny czas w ciągu dnia, lecz w nocy zostawiał ją samą. Raz, kiedy jedli lunch w restauracji na barce zacumowanej niedaleko Brooklyn Heights, niemądrze poruszyła temat Jenny, zastanawiając się, jak będzie się do niej zalecał, skoro wszyscy myślą, że jest żonaty.

- Sądzę, Cass - odpowiedział chłodno - że to już będzie mój problem. Ja-koś sobie poradzę, jak

zawsze. - Wyczuła, że już o tym myślał. Była jednak pewna, że jeśli nie Edward, to Jenny wyjdzie z inicjatywą.

R S

Cassie odwróciła się, słysząc roześmiany głos majora Johna Andre w salonie. Nawet kiedy śmiał się z żartu, jego głos nie tracił tej zmysłowej chrypki, jakby na wypadek, gdyby w pobliżu znajdowała się jakaś dama. Pani Beatty zarzuciła Cassie na ramiona biały szal i poszła otworzyć drzwi sypialni.

- Teraz to rozumiem. Dopiero co mówiłem panu Beatty, że wygląda pani trochę mizernie, ale dziś muszę to odwołać.

- Pani Beatty, dziękuję za pomoc. - Uśmiechnęła się, patrząc w kierunku salonu. - Z dwójką takich zabawnych dżentelmenów na pewno będę się świetnie bawić.

Major Andre zagwizdał cicho pod nosem.

- Na Boga, Edwardzie, będziesz musiał mieć ją dzisiaj na oku. Widok pa-ni jest jak ucztą dla zgłodniałego mężczyzny, lady Delford.

- Też myślę, że ładnie wygląda - powiedział Edward, ujmując jej dłoń.

- Dziękuję, majorze Andre, Edwardzie. Mam nadzieję, że nie musieli panowie zbyt długo czekać.

- Ależ skądże, lady Delford. - Wyćwiczone oko majora Andre uchwyciło doskonałe kształty Cassie i ze zdziwieniem spojrział na Edwarda. Gdyby Cassie była jego żoną, nie spuszczałby jej z oka ani nie wypuszczał z łóżka, a co dopiero pozwalał samej płynąć do Anglii. Zapatrzył się w jej gęste złote włosy i aż go palce świerzbiły, żeby ich dotknąć.

Cassie domyśliła się, że major Andre towarzyszy im, ponieważ nie było wolnego powozu, który zawiózłby ich z gospody do Kennedy House. Wieczorem, w wielu częściach miasta, dama nie była dostatecznie bezpieczna, nawet jeśli towarzyszył jej jeden dżentelmen.

Marcowe powietrze było chłodne, a niebo pozbawione chmur. Od rzeki wiała lekka bryza i Cassie przypomniała się Genua. Nie było tu jednak pachną-

R S

cych kwiatów ani srebrzystego księżyca rzucającego blask na Morze Śródziemne. Zamknęła na moment oczy, ale zaraz skarciła się za to w myślach i wróciła do rozmowy z dżentelmenami.

Spacer do Kennedy House był bardzo przyjemny, gdyż major Andre okazał się zabawnym rozmówcą. Cassie nieraz śmiała się z jego uszczypliwych uwag, zwłaszcza tych bardziej sarkastycznych, które dotyczyły głównie generała Clintona.

- Generał lubi sobie wyobrażać, że jest na polowaniu na lisa - powiedział

pełnym ironii głosem. - Dziś rano uparł się, żebyśmy przegalopowali przez środek Broadwayu, udając, że to pogoń za zwierzyną. Gdybym tylko miał czas, tobym złapał jakiegoś nieszczęsnego lisa i postawił go na drodze generała. Stary głupiec pewnie by się wzruszył. Nowojorczycy zdziwieni są jego błazenadą, możecie mi wierzyć.

Cassie się roześmiała.

- Nie mogę się doczekać, kiedy poznam pańskiego dowódcę, majorze Andre.

- Wobec pani będzie się zachowywał jak szarmancki dżentelmen, lady Delford. Taką mam przynajmniej nadzieję. Oby się tylko nie gapił na panią bezwstydnie i żeby nie musiała pani z nim tańczyć. Jest równie pokraczny, co nudny.

Mimo dosyć wczesnej godziny sala balowa w Kennedy House była już wypełniona oficerami w szkarłatnych płaszczach, damami w znacznie strojniejszych niż Cassandra toaletach i nowojorskimi dżentelmenami w szykowanych strojach i upudrowanych fryzurach, którzy konkurowali z angielskimi oficerami. Choć w wielkim holu nie było zbyt wielu ozdób, Cassie mogła sobie przez chwilę wyobrazić, że jest w Anglii. Oddała szal w ręce czarnoskórej słu-

żącej, gdyż okna były pozamykane, a przy takim tłumie na sali było gorąco.

R S

Z Edwardem u boku dygnęła przed generałem Howe. Uśmiechała się w myślach, kiedy Edward przedstawił ją generałowi Clintonowi, przypominały jej się bowiem słowa majora Andre. Generał wcale nie był szarmancki. Nie ty-le się na nią gapił, pomyślała Cassie, zmuszając się do uprzejmego uśmiechu, co ślinił się na jej widok. Żałowała, że pozbyła się szala, bo wzrok generała nieustannie wędrował na jej biust.

- Major Lyndhurst mówi, że nas pani opuszcza w przyszłym tygodniu, lady Delford.

- To prawda, *sir*. Muszę wracać do Anglii. - Mimo iż Cassie nie była bardzo wysoką kobietą, dowódca był niski jak na mężczyznę i w rezultacie Cassie miała jego nochal na wysokości oczu.

Generał Clinton popatrzył współczująco na Edwarda. Jego wodniste oczy były dość szeroko rozstawione, przez co nie wiadomo było, do kogo mówi, je-

śli nie patrzył prosto na tę osobę.

- Lato, majorze, lato. Potrzebujemy pana tutaj, żeby pan posłał tych bun-towników z powrotem do dziczy, gdzie ich miejsce. - Westchnął, co spowodowało, że guziki jego szkarłatnej kamizelki o mało co nie odpadły. -

Wszyscy musimy się poświęcać. Czas szybko minie, majorze Lyndhurst, zobaczy pan. A teraz chciałbym prosić o pana pozwolenie, bo pragnę zarezerwować sobie taniec z pana piękną żoną, zanim inni ustawią się w kolejce. Uniżony sługa, pani - dodał i uklonił się, patrząc na jej piersi zamiast na twarz.

- Przy generale Clintonie czuję się, jakbym była naga - szepnęła Cassie do Edwarda, zakrywając usta dłonią.

- Powinnaś usłyszeć, co Jen...

- Myślę, że możesz już wymawiać jej imię w całości, Edwardzie. Co Jenny ma o nim do powiedzenia?

- Że to stary zbereźny głupiec i że z chęcią by go porządnie kopnęła w *R S* goleń.

Cassie zachichotała.

- To byłaby rozrywka, doprawdy. - Zamilkła na chwilę. - Czy Jenny przyjdzie na bal, Edwardzie?

- Tak. Jest ulubienicą obu generałów. Możesz być pewna, że będzie...

dyskretna.

Cassie widziała, że Edward czuł się nieswojo, rozmawiając o Jenny, i zaraz zmieniła temat:

- Rozumiem, że Kennedy House uratował się z pożaru.

- To prawda. Jak już mówiłem, w pożarze jedne budynki ucierpiały, a in-ne nie.

Cassie obróciła lekko głowę i zobaczyła, że zbliża się do nich kobieta w średnim wieku w przeraźliwie dużej peruce.

- Cass, to pani Winston - wymamrotał Edward. - Ona przepada za angielskimi oficerami. Muszę być dla niej miły. Jej mąż jest dość wpływowy.

Cassie przywitała się grzecznie, nie mogąc się nadziwić dekoltni tej damy, który więcej pokazywał niż zakrywał. Nie poświęcając Cassie zbyt wiele uwagi, pani Winston zwróciła się do Edwarda:

- Hm, ci muzycy naprawdę wiedzą, jak zagrać menueta, nie sądzi pan?

- W zupełności się zgadzam, pani - uprzejmie odpowiedział Edward. -

Właśnie miałem zapytać...

- Cudownie, majorze! Z przyjemnością z panem zatańczę.

Edward rzucił Cassie udręczone spojrzenie, zanim został odciągnięty przez panią Winston, która uczepiła się jego ramienia.

Cassie nagle została sama. Musiała wyglądać na zdezorientowaną, bo major Andre podszedł do niej i zapytał:

- Czy coś panią martwi, lady Delford?

R S

Uśmiechnęła się.

- Ta wasza pani Winston to niezwykle władcza osoba.

- Proszę mi wierzyć, lady Delford, że oficerowie są Edwardowi bardzo wdzięczni. Odkąd zaczęła pani niezrównanego męża darzyć szczególną sympatią, pozostali mogą cieszyć się spokojem.

Przez chwilę Cassie żałowała, że major nie zna prawdy. Źle się czuła, kiedy zwracał się do niej „lady Delford”.

Spoglądając zmrużonymi oczami na kobietę, która wybuchnęła sztucznym głośnym śmiechem, Cassie stwierdziła:

- Gdybym nie wiedziała, że to nieprawda, byłabym gotowa pomyśleć, że jesteśmy w Anglii.

- Proszę nie osądzać naszych miejscowych torysów zbyt surowo. Zaslужują na to, by zaznać trochę zabawy i luksusu, bo kto wie, co im przyszłość przyniesie?

- Oczywiście ma pan rację, majorze Andre. Obawiam się, że wydawanie pochopnych sądów to moja wada.

- Kobieta pani urody może sobie pozwolić na każdą wadę. Jeśli to jest najgorsza z nich, to major Lyndhurst jest prawdziwym szczęściarzem. - Major Andre omiół wzrokiem salę i z rozbawieniem stwierdził: - Tylko moja ranga adiutanta generała sprawia, że dżentelmeni trzymają się z daleka. Czy mam pa-nią zostawić jej losowi, tak jak uczynił to Edward?

- Byłabym bardzo zobowiązana, gdyby pan tego nie robił, majorze Andre.

- A, widzę Montresora... To mój typ na następcę naszego słynnego do-wódcy. To nudny człowiek, lady Delford, ale zręczny tancerz.

- Jest pan bardzo szczodry w swoich pochwałach.

Uśmiechnął się, słysząc ironię w jej głosie.

R S

- Nie dała mi pani dokończyć. Montresor jest też jednym z najświetniej-szych strategów, jakich przyszło mi spotkać. Myślę, że generał Clinton szczerze go za to nienawidzi.

Gdy major Andre poszedł przynieść jej szklanekę ponczu, którego skład-ników, jak ze śmiechem stwierdził, nie odważy się wymieni-ć, Cassie dostrzegła wesołe zielone oczy Jenny i skinęła jej głową. Jenny promieniała, z upiętymi wysoko kasztanowatymi włosami, ubrana w mocno wyciętą

aksamitną suknię o barwie lasu, która pięknie podkreślała atuty jej figury. Cassie dobiegł jej dźwięczny śmiech. Ze swoją powagą i godnością Edward nie będzie miał z nią łatwo, pomyślała Cassie z figlarnym uśmiechem. Chociaż i ze mną wcale łatwiej by nie miał.

- A więc, lady Delford, co pani myśli o atrakcjach Nowego Jorku?

- Zachwycające, generale Clinton. I wszyscy są tacy mili.

- Nawet kobiety? - zaśmiał się znacząco.

- Nawet kobiety - powtórzyła stanowczo.

Cassie bardzo uważała na palce, kiedy tańczyła menueta z generałem, który okazał się tak niezdarnym tancerzem, jak opowiadał major Andre.

Kiedy tylko generał Clinton ją wypuścił, położył jej dłoń na ramieniu generał Howe.

- Pewien dżentelmen bardzo chciał z panią zatańczyć. Milordzie, pozwoli pan, że przedstawię jedną z najpiękniejszych dam, które zaszczyliły Nowy Jork.

Cassie z chęcią by na chwilę usiadła, żeby złapać oddech. Ale dobre maniery kazały jej zostać na miejscu. Ponieważ przyzwyczała się do niezbyt imponującego wzrostu generała Clintona, kiedy się odwróciła, napotkała wzrokiem przepiękną kamizelkę z jasnoniebieskiego jedwabiu, misternie wyszywaną złotą nicią.

R S

- Lady Delford i ja jesteśmy starymi znajomymi.

- W takim razie zostawię was młodych, żebyście mogli odnowić znajomość - powiedział generał Howe i odszedł.

- Nie - wyszeptała Cassie. - To nie może być. - Podniosła głowę i jej roz-szerzone źrenice spotkały się z jego kpiącymi ciemnymi oczami. - Nie -

szeptnęła znowu słabym głosem.

Potknęła się, robiąc krok w tył i hrabia podtrzymał ją za ramię.

- Dobrze wyglądasz, Cassandro.

Zwilżyła językiem suche wargi.

- Ja... ja nie rozumiem.

- Nie rozumiesz, dlaczego dobrze wyglądasz? Sam się nad tym zastanawiałem. - Drwiący uśmiech pasował do jego tonu. - Obawiam się, że nasze niebieskie stroje trochę się różnią odcieniem. Ale nie

ma co narzekać... mimo to stanowimy olśniewającą parę.

Podał jej ramię.

- Zaczęli grać, moja droga.

Oderwała wzrok od jego twarzy i popatrzyła na bogatą koronkę opadają-

cą na jego dłoń. Nosił pierścień, który mu podarowała, na trzecim palcu. Z wahaniem położyła dłoń na wyciągniętej ręce.

Zajęli miejsce w długim rzędzie dam i dżentelmenów. Na szczęście Cassie świetnie знаła kroki, bo na niczym nie była w stanie się skupić. Przejechał

za nią przez pół świata. W głowie kołatała się jej jedna myśl: że on nadal jej pragnie. Nawet się nie zorientowała, kiedy delikatnie skierował ją na bok i opuścili rząd tańczących.

- Nie chciałbym, żebyś zemdląła na sali, *milady*. Pomyśl tylko, jakie by to spowodowało zamieszanie i ilu by było gapiów.

R S

Kiedy dotarły do niej te słowa, wypowiedziane łagodnie i przeciągle, potrząsnęła głową:

- Nie zemdlałabym.

Nie minęła chwila, a znaleźli się w holu przy wyjściu. Spojrzała na niego z niemym pytaniem.

- Uznałem, że dobrze ci zrobi, jeśli odetchniesz świeżym wieczornym powietrzem. - Przytaknęła, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy. Minęli kolorowo odzianych żołnierzy i weszli na frontową werandę.

Byli sami na szerokim tarasie. Hrabia odwrócił się do niej i chwycił ją za ramiona. Zaczął mówić, jakby z namysłem:

- Kiedy wypływałem, Cassandro, przyrzekłem sobie, że jeśli tylko znajdę cię całą i zdrową, zapomnę o całym gniewie. Ze smutkiem jednak odkryłem, że niczego bardziej nie pragnę, jak sprawić ci porządne lanie.

Słowa pociechy, słowa miłości zamarły jej na wargach.

- Ponieważ nie jestem już twoim więźniem, milordzie, nie muszę się wię-

cej obawiać twoich gróźb! A jeśli mówimy o gniewie, to może mi wyjaśnisz, dlaczego kłamałeś? Niech cię diabli, okłamałeś mnie!

Oparł się o pomalowany na biało filar i założył nonszalancko rękę.

- Okłamałem cię, Cassandro? Zrobiłem wiele rzeczy, ale ta na pewno do nich nie należy.

- W takim razie, mój panie, jak wyjaśnisz swoje zdumiewające powiązanie z Becky Petersham, kobietą, która mieszkała z Broughamami przez ponad dziesięć lat?

- Ach tak, Becky Petersham. Zakładam, że przeczytałaś jej listy, *cara*. Je-

śli tak, wiesz już, że to daleka kuzynka. Oddałem cię pod jej opiekę, bo ona poszukiwała pracy jako guwernantka w Anglii, a twój ojciec się tobą nie inteR S

resował... Mogłaś wyrosnąć na małą dzikuskę, gdybym nie podjął pewnych działań. A co się tyczy okłamywania cię... - Wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że oszukałem cię, nie mówiąc o pewnych rzeczach. Miałem zamiar ci powiedzieć później, po naszym ślubie. - Zamilkł na chwilę i strzepnął pyłek z rękawa surduta. - Żałuję, że tamtego popołudnia musiałem posłużyć się Becky, żeby mieć pewność, że się... spotkamy, ale to było konieczne.

Cassie wstrzymała oddech, wściekła, że tak lekko tłumaczy się z tego, co zrobił.

- Twoje wybiegi były perfidne, panie! A co do Becky Petersham, to ją własnoręcznie uduszę, jeśli tylko będzie miała kiedykolwiek nieszczęście stanąć na mojej drodze. - Nie skończyła jeszcze wypowiadać tych słów, kiedy się zorientowała, że przecież zobaczy Becky, gdy tylko wróci do Hemphill Hall.

Zignorowała tę myśl. - Dobrze, że się przekonałam, milordzie, że z taką łatwo-

ścią rozgrzeszasz się ze swoich niecnych postępów. Jesteś diabłem wcielonym i ja sobie na to nie pozwolę! - Przerwała, widząc, że patrzy na nią z ironicznym uśmiechem.

- Cóż, w stosunku do ciebie, Cassandro, nieraz zdarzyło mi się zachować... nietypowo.

- Jak mnie znalazłeś?

- Wściekłość po znalezieniu listów musiała zaćmić twój umysł, kochana.

Uznałem, że chyba życzysz sobie, żebym za tobą podążył, bo wcale nie stara-

łaś się ukryć śladów. Myślę, że skoro już się stało, co się stało, to pozostaje mi być wdzięcznym kapitanowi Crowleyowi za to, że był akurat wtedy w porcie.

Domyślałem się, że zadbał o ciebie w trakcie podróży.

Poczuła się, jakby był wszechwiedzącym kotem, a ona myszą, którą się bawi.

- Jak się dowiedziałaś o kapitanie Crawleyu? - Już zadając to pytanie, zo-R S

rientowała się, że sama potrafi sobie na nie odpowiedzieć.

Jakby czytał jej w myślach, zaśmiał się cicho:

- Jak to, *cara*? Czy to nie naturalne, że wiem o wszystkich większych statkach, które aktualnie cumują w porcie? Domyślam się, że ułożyłaś taką ba-jeczkę, że biedny kapitan wzruszył się do łez.

Przemawiał do niej jak do niemądrego dziecka. Cassie otuliła się reszt-kami dumy, jak podartym płaszczem.

- Powiedziałaś mi, że jestem lady Delford i że zostałam porwana przez włoskiego szlachcica. Błagałam, żeby zabrał mnie do Nowego Jorku... do męża.

Rozbawienie znikło z jego oczu na dźwięk jej ostatniego słowa. Zastąpił

je gniew. Cassie miała nieodparte wrażenie, że z chęcią tak by nią potrząsnął, że zadzwoniłyby jej wszystkie zęby. Co dziwne, ta perspektywa wcale jej nie przerażała ani nie martwiła.

Nie bez wysiłku hrabia odzyskał panowanie nad sobą. Ten leniwy zwierzęcy wdzięk na nowo pojawił się w jego ruchach i słowach. Przeciągając słowa, powiedział:

- Scargill od dwóch dni bacznie cię obserwował, Cassandro. Widział, jak wesoło rozprawiasz z Edwardem Lyndhurstem, nawet jak przechadzasz się po tym przeklętym mieście pod rękę z umundurowanym majorem Andre.

- Jak śmiesz mnie szpiegować!

- Scargill miał ogromne wyrzuty sumienia. Rozumiesz, zupełnie się nie spodziewał, że znikniesz. On, podobnie jak ja sam, myślał, że już nie chcesz odchodzić. Udało ci się zrobić z nas idiotów. A jeśli chodzi o tego bydlaka Andreę, to tutaj też poniosłem klęskę. Przyjechałem do Riva Trigoso, by się dowiedzieć, że Daniele jest ranny, a Andrea dawno się ulotnił.

R S

- Przestań! Do czorta, panie, ty wszystko przekręcasz! Chcesz, żebym się skręcała w poczuciu winy, że uciekłam od człowieka, który wcześniej mnie porwał? Uważam, że twoja urażona duma jest śmieszna! - Opuściła głowę, by nie widzieć cierpienia w jego czułych oczach. - Przykro mi, że nie złapałeś Andrei.

- Dlaczego to zrobiłaś, Cassandro?

Spojrzała na niego niepewnie. Smutek, który bił z jego słów, przyprawił

ją o drżenie na całym ciele.

- Poczułam, że mnie zdradziłeś... że mnie oszukałeś i nie ma we mnie nic, czego ty nie zamierzałeś stworzyć. Czuję, że muszę odejść, a los w osobie kapitana Crowleya mi to umożliwił.

- Nie o to mi chodziło.

Pokręciła głową, mrużąc oczy ze zdumienia.

- Byłem głupi, ale uwierzyłem, że zaczęło ci na mnie zależeć. Mimo to rzuciłaś się w ramiona Edwardowi Lyndhurstowi i poślubiłaś go zaraz po przyjeździe do tego nieszczęsnego miasta. - Jego głos stał się ostrzejszy. - I cieszysz się ze swojej decyzji, lady Delford? Jęczysz z rozkoszy w jego ramionach? Uszczęśliwiłaś tego biedaka, czy zdążył się już przekonać, że nie jesteś taką potulną i posłuszną dziewczyną, za jaką cię uważał?

- Bardzo się mylisz, milordzie.

- Gdzie się myłę, Cassandro?

Zrobiła niepewny krok w jego stronę.

- Spróbuj ją dotknąć, ty nędzny łajdaku, a twoja dusza zaraz trafi do piekła, gdzie jej miejsce.

Cassie zamarła, słysząc okrzyk Edwarda. Odwróciła się sztywno, by zobaczyć, że trzyma dłoń na rękojeści szabli i nienawistnym wzrokiem wpatruje się w hrabiego.

- Edwardzie, mylisz się! Proszę...

R S

- Milcz, Cassie. - Edward obrócił się do hrabiego i pogardliwie mu się uklonił. - No proszę, lordzie Anthony, co za niespodzianka. Lordowska duma nie mogła tego ścierpieć, że twoja branka uciekła?

Powietrze przeciął rozpaczliwy krzyk Jenny.

- Edwardzie, przestań... on cię zabije!

Hrabia zwrócił ciemne oczy na Jenny i uniósł czarną brew.

Skłonił się jej niedbale, po czym się wyprostował. Spojrzał na niższego od siebie Edwarda i oświadczył:

- Wróciłem odzyskać, co moje, Lyndhurst. Spędziłaś z nią trochę czasu, ale na tym koniec. Proponuję, żebyś zdecydował się na rozwód.

- A ty, drogi hrabio, nie możesz już o niczym decydować. Nie dalej jak jutro kruki będą dziobać twoje czarne serce.

Cassie wreszcie odzyskała zdolność myślenia. Ostrzegawczo pomachała Jenny, która wyglądała, jakby miała zaraz sama chwycić szablę Edwarda i przebić hrabiego na wylot.

- Natychmiast obaj skończcie opowiadać brednie! A dla pańskiej informacji, panie hrabio, ja nie

jestem lady Delford!

- Do cholery, Cassie - wybuchnął Edward. - Trzymaj język za zębami!

Zaskoczony uśmiech rozjaśnił ciemne oczy hrabiego.

- Kolejny fortel, Cassandro?

- To bez znaczenia! - Edward wkroczył między nich. - To sprawa honoru, panie. Chcesz, żebym cię przebił szablą, czy jak dżentelmen przyjmiesz moje wyzwanie?

- Jak sobie życzysz, Lyndhurst - powiedział miękko hrabia.

- Nie zrobisz tego Edwardzie! - krzyknęła Jenny.

Nagle zachwiała się w miejscu i zemdląła.

R S

- Zajmiesz się damą, Lyndhurst, czy ja mam to zrobić?

Edward zazgrzytał zębami, słysząc ten lekceważący ton, ale nie miał innego wyjścia, jak tylko przyklęknąć i wziąć Jenny na ręce. Kiedy wstał, powiedział ostro do Cassie:

- Ty pójdiesz ze mną. Mam nadzieję, że dosyć już ci dał powodów, żeby się nim brzydzić.

- Och, uspokój się Edwardzie - wycodziła Cassie. - Zajmij się Jenny. Zapewniam cię, że trafię do domu bez twojej pomocy.

Edward odwrócił się sztywno i mijając kilku zaaferowanych żołnierzy, zaniósł Jenny do środka.

Cassie obróciła się, słysząc lekko drwiący głos hrabiego.

- No proszę, *cara*, wygląda na to, że inna zdobyła serce wicehrabiego.

Cóż za wzruszająca scena, a do tego muszę dodać, że dama jest bardzo piękna.

Biedna Cassandra... czy twój wybranek nie chciał się z tobą ożenić? Czy zniszczył twoje dziewczęce romantyczne ułudy? Wygląda na to, że zjawiłem się w ostatniej chwili, żeby uratować twoją nadwątloną cnotę. No powiedz, *cara*, jakie to uczucie dzielić łóżko z mężczyzną, który cię nie kocha?

Takie okrucieństwo nie było do niego podobne, ale jego słowa zawierały tyle prawdy, że nie mogła mu tego wybaczyć. Sprawiał, że poczuła się jak dziwka.

- Interesuje cię, milordzie, jak to jest dzielić łóżko z mężczyzną? - zaczęła powoli, przeciągając słowa.
- To dopiero pierwsze moje doświadczenie tej natury, ale muszę przyznać, że bardzo przyjemne. Kiedy jednak wrócę do Anglii, powinnam znaleźć więcej mężczyzn gotowych dać mi rozkosz. W

dotadku nareszcie będą to prawdziwi Anglicy, a nie mieszkańcy zaślepieni męską pychą i cierpiący na przerost ambicji.

W jego oczach rozpełtała się taka burza, że ciało Cassie stężało. Było w *R S*

nich coś jeszcze, co tak ją zasmuciło, że poczuła się pusta w środku.

- Życzę ci dobrej nocy, Cassandro - powiedział beznamiętnie. - Kiedy dam satysfakcję Lyndhurstowi, przyjdę po ciebie.

- Nie! - wrzasnęła za odchodzącym hrabią, ale on się nawet nie obejrzał.

Patrzyła za nim, aż zniknął w mroku.

Cassie opadła na schody i zamknęła oczy, walcząc z napływającymi łza-mi. Poczowała na ramieniu delikatną dłoń i podniosła wzrok. Klęczał przy niej Scargill.

Potrząsnął smutno głową.

- Głęboko go zraniłaś, *madonna*. Był zbyt wściekły, żeby dostrzec twoje kłamstwo.

- Zasłużył sobie na to... na wszystko! - Głos jej się załamał. - O Boże, Scargill, co ja mam teraz zrobić?

- Żebym ja to wiedział, *madonna*, żebym ja to wiedział... - Wstał i przez moment patrzył na nią bez słowa. - Teraz to już kwestia dumy. - Przyglądził

kosmyk rudych włosów na czole i odszedł.

Rozdział 27

Strugi szarawego światła zalały sypialnię, kiedy Cassie usłyszała ciche pukanie do zewnętrznych drzwi. Dobiegł ją przyciszony głos Grummana i przytłumiona odpowiedź Edwarda. Odczekała zaledwie kilka sekund od dźwięku zamykanych drzwi i szybko odkryła kołdrę, wygładziła suknię i na-rzuciła pelerynę.

Zeszła na palcach po skrzypiących dębowych schodach, z ulgą stwierdza-*R S*

jąc, że nikt jeszcze nie wstał. Cicho pociągnęła za klamkę drzwi wejściowych i ostrożnie wyjrzała na podwórze. Szybko się schowała, dostrzegłszy majora Andre w siodle, który czekał, aż Edward dosiądzie Delili. Cassie zaczekała chwilę i gdy tylko zniknęli za zakrętem, wyslizgnęła się z gospody i podnosząc spódnice, pobiegła do stajni. Wyciągnęła z kieszeni kilka brzęczących monet i wcisnęła je w zaspaną dłoń Willa. Odsunęła się i niecierpliwie stukając obca-sami, czekała, aż założy uzdę klaczy, którą wybrała dzień wcześniej.

Powstrzymała go, gdy schylił się, żeby podnieść siodło.

- Nie, Will, nie przejmuj się tym. Nie ma czasu. Jesteś pewien, że jadą na pola Commons?

- Tak, *milady*. Major Andre powiedział wyraźnie. A poza tym to tam dżentelmeni się pojedynkują.

Cassie poczuła ucisk w żołądku, słysząc jego rzeczowe stwierdzenie.

Podniosła stopę, a Will podrzucił ją na grzbiet klaczy.

- Mam nadzieję, że niedługo wrócę. I dziękuję, Will.

Cassie chwyciła wodze i klacz niechętnie ruszyła kłusem przez podwórze i na drogę. Dziewczyna trzęsła się w porannym chłodzie i wolną rękę schowała do kieszeni płaszcza. Zaciśnęła zęby, starając się opanować przyływ porannych nudności.

Ciekawskie spojrzenia towarzyszyły jej po drodze przez opustoszałe uli-ce, ale nie zwracała na nie uwagi. Niebo było zachmurzone i Cassie modliła się o ulewę lub cokolwiek innego, co byłoby w stanie położyć kres temu szaleń-

stwu.

„To kwestia dumy”. Wypowiedziane cicho słowa Scargilla kołatały jej w głowie. Ona pozbyła się dumy, leżąc skulona przez całą noc i rozmyślając.

Pokierowała klacz w kierunku Commons, pasa ubitej ziemi otoczonej na-gimi drzewami jakieś dwadzieścia minut drogi od gospody. Spostrzegła ich na drugim końcu. Scargill i major Andre stali koło siebie, a hrabia i Edward po *R S*

przeciwległych stronach ścigali płaszcze. Dobiegło ją rzenie koni, które stały przywiązane do ogołconych z liści krzaków. Wstrzymała oddech, dostrzegł-

szy błysk srebrnego rapiera, który ze świstem przeciął powietrze. To Edward sprawdzał giętkość ostrza. Hrabia stał nieruchomo, pieszcząc palcami klingę.

- Głupcy! - wrzasnęła i zsunęła się z grzbietu konia.

Popędziła w ich stronę, ale pokryta rosą trawa tłumiała odgłos jej kroków.

Przeszedł ją dreszcz, kiedy usłyszała zimną komendę majora Andre:

„*En garde!*”

Hrabia i Edward, obaj rozebrani do białych koszul z falbanami i obcisłych czarnych wełnianych bryczesów, krążyli wokół siebie z wystawionymi rapierami. Cassie krzyknęła, kiedy w powietrzu dał się słyszeć brzęk krzyżowanej stali. Rzuciła się na plac, a peleryna powiewała za nią w powietrzu.

- Lady Delford! - Oburzony głos majora Andre zabrzmiał z pełną mocą pośród śmiertelnej ciszy przerywanej tylko świstem broni.

Cassie poczuła, że major złapał ją za ramię.

- Puść mnie, głupcze. Nie jestem lady Delford, a to szaleństwo trzeba przerwać!

- *Madonna*, już za późno.

Cassie odwróciła udręczoną twarz do Scargilla.

- Powiedziałaś, że to kwestia dumy, ale, do diabła, nie mogę na to pozwolić. Proszę mnie puścić, majorze, albo zrobię panu coś niegodnego damy!

- Ale... - wykrztusił z siebie major Andre, zaskoczony jej nieoczekiwanym wybuchem. Opuścił rękę.

Cassie wiedziała, że zarówno hrabia, jak i Edward byli świadomi jej obecności, ale żaden z nich nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Usłyszała, że Edward z głośnym wydechem natarł na hrabiego. Dostrzegła też zamazany *R S*

błysk jego rapiera. Hrabia sparował pchnięcie i zamachnął się, by zaatakować.

Cassie wyszarpnęła z kieszeni peleryny mały pistolet i rzuciła się do przodu. Stała na tyle blisko, że widziała krople potu na czole Edwarda i słysza-

ła jego świszczący oddech. Bronił się pełnymi gracji i zwinności unikami, ale hrabia wyraźnie miał więcej siły, a jego ciało poruszało się ze śmiertelną precyzją. Jego ostrze wydawało się naturalnym przedłużeniem silnej ręki.

- Przestańcie, obaj!

- Odejdź, Cassandro! - krzyknął hrabia, rzucając w jej stronę przelotne spojrzenie. - Jeśli tego nie zrobisz, to cię stłukę.

Powolnym ruchem Cassie podniosła pistolet i przycisnęła lufę do skroni.

- Jeśli nie skończycie tego szaleństwa, przysięgam, że pociągnę za spust.

- Cassie! - wychrypiał Edward.

Ostrze rapiera zawisło w powietrzu. Obaj mężczyźni patrzyli na nią. Hrabia odwrócił się do niej i opuścił broń.

- Odłóż ten pistolet, Cassandro - powiedział.

Słyszała w jego głosie strach.

Cassie zacisnęła palce na broni.

- Ja mówię poważnie, milordzie! Niech was szlag! Edwardzie, daj spokój! Zapomnij o swoim

przeklętym honorze! Ja go kocham, słyszysz? Nie zniosłabym, gdybyś go skrzywdził. A ty, milordzie, czy chcesz zrujnować nasze życie, stając się mordercą Edwarda?

Utkwiła błagalne spojrzenie w twarzy Edwarda, który patrzył na nią z wahaniem.

Hrabia zaczął iść w jej stronę. Odsunęła lufę od skroni i wymierzyła w jego pierś.

- Raz cię postrzeliłam, milordzie - oświadczyła śmiertelnie opanowanym tonem. - Bądź pewny, że zrobię to ponownie.

R S

Zatrzymał się, świdrując ją wzrokiem.

- Skończ tę dziecinadę, Cassandro. Wtrącasz się w coś, co ciebie nie dotyczy.

- Nie dotyczy! - wrzasnęła na niego. - Czy obaj zupełnie postradaliście rozum? Przysięgam, że do ciebie strzelę, jeśli nie obiecacie tego przerwać!

Wydawało jej się, że wygrała, bo Edward skinął głową. Kiedy spoglądała w jego stronę, jej ręka została nagle pchnięta w dół. Głośny wystrzał przeciął

poranną ciszę i stracona kula wbiła się w zziębniętą ziemię.

Hrabia złapał ją za ramiona i potrząsnął.

Cassie z niedowierzaniem patrzyła na zwisający z jej palców bezużyteczny już pistolet. Podniosła na niego wzrok i urywanym szeptem poprosiła:

- Nie, milordzie, błagam. Błagam, nie rób tego. Wczoraj wieczorem kłamałam. To ciebie kocham... musisz mi uwierzyć.

Wyjął broń z jej palców i odrzucił na bok.

- Czyli wszystko zrobisz, żeby uchronić ukochanego - wycedził lodowatym tonem. - Chociaż on ciebie nie chce, ty wciąż próbujesz ratować mu życie.

- Nie! Musisz mnie posłuchać, Anthony! Proszę... uwierz mi!

- Możemy kontynuować, panie? - zapytał Edward z kamienną twarzą.

- Naturalnie, Lyndhurst. Scargill, zabierz ją stąd.

Kiedy tylko palce Scargilla zakleszczyły się na jej ramieniu, w powietrzu rozległ się potężny grzmot, a z szarych ciężkich chmur lunął deszcz.

- *En garde!* - zabrzmiała powtórnie komenda majora Andre.

- Majorze, nie może pan na to pozwolić! Musimy ich powstrzymać! - Łzy bezsilności zakręciły się w oczach Cassie i popłynęły po policzkach, mieszając się z kroplami deszczu.

- To sprawa honoru - odrzekł ostro i unikając jej spojrzenia, śledził ruchy hrabiego i Edwarda.

R S

Cassie patrzyła na walczących mężczyzn przez grubą zasłonę deszczu.

Ubrania oblepiały ich ciała, a kroki stały się ostrożniejsze na śliskim gruncie.

Nagle Edward potknął się o bryłę błota i desperacko machał rękami, by odzyskać równowagę.

- A niech to, hrabia mógł go mieć - powiedział cicho major Andre.

Cassie z przerażeniem wstrzymała oddech. Hrabia nie zaatakował. Co on, u diabła, zamierza? Czy chce dać się zabić?

Cassie nagle osunęła się w ramionach Scargilla, jej głowa opadła bezwładnie do przodu.

- Na Boga! - usłyszała jego krzyk. - Pomocy, *sir*, ona zemdlą!

W chwili kiedy poluzował uchwyt na jej ramieniu, Cassie obróciła się z impetem i wbiła mu piętę w goleń. Scargill zachłysnął się powietrzem, bardziej z zaskoczenia niż z bólu, i się zachwiał.

- *Madonna...* nie rób tego!

Cassie rzuciła się do hrabiego i Edwarda, ściągając po drodze przemoczoną pelerynę. Postaci walczących były zamazane w strugach deszczu, a od-głosy ulewy tłumili nawet brzęk stali.

Hrabia spostrzegł, że Cassie do nich biegnie i szybko wycofał się ze starcia z Edwardem. W następnej sekundzie Cassie rzuciła między nich pelerynę i przywarła ciałem do hrabiego.

Edward nie widział, jak biegła - zauważył ją dopiero, gdy znalazła się przy hrabi. Jego ostrze natrafiło na spadającą na ziemię grubą pelerynę, ale impet pchnięcia poprowadził je dalej. Koniec rapiera przeciął materiał i wbił się w jej ciało jak w masło.

Natychmiast cofnął broń i z przerażeniem spojrzał na jasnoczerwoną krew pokrywającą ostrze.

R S

Cassie poczuła tylko ostre ukłucie w ramię.

- Proszę! - krzyknęła, z twarzą wtuloną w mokrą koszulę hrabiego. Zarzuciła mu ręce na szyję i zaszlochała: - Proszę, jeśli musicie walczyć, to niech to się skupi na mnie. Nie mogę cię stracić... Wolałabym umrzeć, niż cię stracić.

Poczuła ciepło jego oddechu na czole.

- Nigdy nie przestajesz mnie zaskakiwać, Cassandro - wyszeptał, rozdzierając zakrwawioną tkaninę sukni. Odetchnął z ulgą. Ostrze nie weszło głęboko.

- Proszę, zabierz mnie do domu, Anthony.

- To zależy głównie od Edwarda Lyndhursta, *cara*. A więc, majorze, czy jest pan usatysfakcjonowany?

- Cassie, ty jesteś ranna - powiedział Edward udreńczonym głosem. - Mój Boże, co ja uczyniłem?

Cassie obróciła do niego głowę.

- To nic takiego, Edwardzie. Liczy się tylko to, że wy jesteście cali. Proszę, Edwardzie, powiedz, że już nie chcesz jego krwi.

- Psiakrew, Cassie, pomyśl, co on ci zrobił! - krzyknął Edward. - Jak mo-

żesz pragnąć takiego człowieka?

- Nie wiem, Edwardzie, ale to nie zmienia faktu, że go pragnę. Mówię prawdę. Wiesz, że nie okłamywałabym cię.

Edward zamrugał, bo krople deszczu spłynęły mu do oczu. Patrzył beznamiętnie, jak hrabia bierze Cassie na ręce.

- Myślę, Lyndhurst - powiedział cicho hrabia - że wszystko zostało powiedziane. Ja na pewno nie mam ochoty nadziać się na twoje ostrze.

Edward powoli pokiwał głową.

- Twoje ramię, Cass - martwił się, patrząc na rozlewającą się na sukni plamę czerwieni.

R S

- Jeśli sobie życzysz, Lyndhurst, możesz udać się ze mną na „Cassandrę”.

Opatrzę ją na statku.

- Ale nie możesz... to ja muszę...

- Ona już wybrała. Wystarczy. Chodźmy stąd, zanim wszyscy nabawimy się zapalenia płuc od tego przeklętego deszczu.

Cassie uniosła głowę z ramienia hrabiego.

- Dziękuję ci, Edwardzie. Nie musisz się już o mnie martwić. Wracam do domu.

* * *

- To tylko draśnięcie, *cara*. Daję ci dwa dni, a potem przełożę cię przez kolano. - Hrabia wyprostował się i podciągnął jej kołdrę na plecy.

- Czy mam podać laudanum, panie? - zapytał Scargill, wręczając hrabiemu bandaż.

- Nie. Jeśli trochę pocierpi, dobrze jej to zrobi. Twoich dramatycznych numerów, Cassandro, wystarczy mi na całe życie.

- Jest okrutny, Scargill, ale nie martw się. Już ja się postaram, żeby za to zapłacił.

Jej uśmiech przeszedł w grymas, kiedy hrabia delikatnie owinął ranę cienkim bandażem. Odsunął wilgotną masę włosów z jej pleców i ciasniej okrył ją kołdrą.

- Damy jej kieliszek wina na śniadanie, Scargill.

- Tak, panie, już się robi. - Scargill wlał do wina szczodłą porcję laudanum.

Kiedy hrabia pomógł jej obrócić się na plecy i poprawił jej poduszki pod głową, Cassie spojrzała nieufnie na wino.

- Naprawdę nie chcę, panie.

- Nonsens. Wprawi cię w lepszy nastrój i mam nadzieję, że stępi trochę *R S*

twój nieznośny język.

Cassie podciągnęła kołdrę pod brodę, po raz pierwszy zdając sobie sprawę ze swojej nagości. Nie mogła sobie przypomnieć, czy Scargill był w kabinie, kiedy hrabia zdjął jej ubranie. Zarumieniła się, widząc rozbawioną minę hrabiego, i ciekawa była, czy odgadł jej myśli.

- No niech ci będzie - poskarżyła się i wychyliła kieliszek. - Teraz prosi-

łabym o koszulę nocną.

Zanim hrabia jej odpowiedział, zwrócił się do służącego, który pozwolił

sobie na promienny uśmiech.

- Dziękuję ci, Scargill. Myślę, że dam już sobie radę z pacjentką. Idź i zdejmij mokre ubranie. Nie chcę, żeby którekolwiek z nas dostało zapalenia płuc. - A co się tyczy tej koszuli nocnej, Cassandro - zaczął hrabia, jak tylko Scargill wyszedł z kabiny. Uśmiech zniknął z jego twarzy, kiedy zobaczył, że jest blada jak kreda. - Na Boga, co się stało?

- To przez to wino - wykrztusiła, rozglądając się gorączkowo za nocnikiem. - Proszę... mam mdłości!

Podał jej nocnik bez chwili zwłoki. Kiedy wreszcie mogła położyć się do łóżka, blada i wyczerpana, powiedział do niej łagodnie:

- Leż spokojnie, kochana. Tym razem spróbujemy wody... nie wina.

Pijąc wodę małymi łydkami, zorientowała się, że dziwnie się jej przygląda. Pomyślała o dziecku w łonie, ale uznała, że to nie najlepszy moment, żeby powiedzieć mu o ciąży. Odwzajemniła jego spojrzenie, zaciskając stanowczo zęby.

- Czy ty też nie powinieneś zdjąć mokrego ubrania, milordzie?

To dziwne badawcze spojrzenie znikło. Zamiast tego hrabia wyszczerzył zęby.

- A co z moją męską wstydlivością?

R S

- Zapewniam cię, milordzie, że cokolwiek byś zrobił, pozostanę niewzruszona.

Te cięte słowa niestety były prawdziwe, pomyślała. Zaczęło się jej kręcić w głowie i ból w ramieniu powoli ustępował. Słyszała, jak jego buty dotykają podłogi, ale nie była już w stanie na niczym się skupić.

* * *

Hrabia odłożył szczotkę do włosów i przyjrzał się wynikowi swojej pracy.

- Dobry Boże, ty naprawdę masz burzę włosów. Teraz wyglądasz reprezentacyjnie, Cassandro.

- Która godzina?

- Późne popołudnie, prawie czwarta. Długo spałaś, maleńka.

Westchnęła i poprawiła koszulę nocną, żeby lepiej zakrywała piersi. Koszulę, którą jej włożył, kiedy spała.

- Jesteś głodna?

Cassie skupiła się na swoim brzuchu i odkryła, że umiera z głodu.

- Arturo jest na pokładzie? Mogę zjeść trzy konie z kopytami.

Dało się słyszeć ciche pukanie do drzwi kabiny.

- Proszę.

W drzwiach ukazała się uśmiechnięta twarz Scargilla.

- Przyszedł wicehrabia i jakaś młoda dama, panie.

- Co ty na to, Cassandro? - Hrabia spojrzał na nią pytająco.

- Tak, Anthony. Myślę, że dobrze będzie należycie się pożegnać.

Edward wszedł do kabiny sztywnym krokiem, prowadząc ze sobą roz-promienioną Jenny.

- Panie - powiedział formalnym tonem, kłaniając się hrabi - chciałbym przedstawić Jennifer Lacy. Jenny, lord Anthony Welles, hrabia Clare.

R S

Hrabia zauważył zarumienione policzki Jenny oraz burzę kasztanowych włosów opadających malowniczo na ramiona. Zdawał sobie sprawę, że ona się mu bacznie przygląda. Uniósł jej odzianą w rękawiczkę dłoń do ust i delikatnie pocałował.

- Jestem zaszczycony, panno Lacy. Mam nadzieję, że już pani wyzdrowiała - dodał zuchwale.

- Nie jestem pewna, które wyzdrowienie ma pan na myśli - z szelmowskim uśmiechem odrzekła Jenny. - Było ich ostatnio kilka.

Hrabia uśmiechnął się do niej.

- Tak właściwie to myślałem o pani omdleniu, do którego doszło w bardzo stosownym momencie.

- Nieprawdaż? - zgodziła się z błyskiem w oku Jenny.

Edward, który wcześniej przyglądał się Cassie, odwrócił się do Jenny z marsem na czole i wyrazem niedowierzania w oczach.

- Jenny, ty mała komediantko! Czyżbyś chciała przez to powiedzieć, że odegrałaś to omdlenie?

- Właściwie to tak - przyznała, skromnie opuszczając zielone oczy. - Ale dość już o tym! - Posłała Cassie szeroki uśmiech. - Żałuję tylko, że nie miałam tyle odwagi, żeby położyć kres pojedynkowi. Ale czego jedna kobieta nie zdo-

ła, tym druga się zajmie! Gratuluję, panno Brougham!

- Dziękuję, panno Lacy - odpowiedziała Cassie, z trudem opanowując śmiech na widok zszokowanej miny Edwarda.

- Cóż, Lyndhurst - swobodnie włączył się hrabia. - Wygląda na to, że o naszych losach zdecydowały dwie smarkule, które dopiero co zaczęły nosić halki.

Błady uśmiech zajął miejsce zbulwersowanego grymasu.

- Myślę, Jenny, że zasługujesz na los, który ja dla ciebie wybiorę.

R S

Jenny opuściła wzrok, by ukryć śmiech. Jej głos zabrzmiał potulnie:

- Jeśli tylko nie będę już musiała mdleć dla efektu, Edwardzie, to na pewno przyjmę go z wdzięcznością.

- Ale z pani ziółko, panno Lacy - powiedział hrabia, kiedy Edward zwrócił się do Cassie.

- Wszystko w porządku, Cass?

- Oczywiście, Edwardzie. Chociaż niezdarzy z niego doktor, hrabia dobrze się mną zajął. To ledwie draśnięcie. Nie przejmuj się tym zupełnie.

- Niech trochę pocierpi, Lyndhurst - powiedział hrabia. - Po wszystkich tych sztuczkiach powinna wypić, co nawarzyła. Kiedy patrzę na ciebie, Cassandro, przypomina mi się kot, który połknął biednego kanarka. Czy ty też się czujesz oskubany, Lyndhurst?

Edward melancholijnie pokręcił głową.

- W sumie, milordzie, czuję tylko ulgę.

- Liczę, że napijecie się ze mną wina. Kieliszek dla wszystkich oprócz Cassandry.

- Co to ma znaczyć, Anthony?

Jenny spojrzała na hrabiego, przekrzywiając głowę.

- Po winie Cassandra albo jest obrzydliwie chora albo uroczo pijana. Nie chcę, żeby się z tym ujawniła w towarzystwie. Daj spokój, *cara*, nie podważaj mojego autorytetu.

- Wstrętny z ciebie człowiek. Wypiję trochę wina, naprawdę małą, żeby ci udowodnić, że potrafię zachować ogładę. Toast, Edwardzie?

Edward dosłyszał łagodną prośbę w jej głosie i przytaknął.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy? - zaproponowała Jenny.

- Poskromienie złoŃnicy* - powiedział hrabia.

R S

- Zechciej to zmienić na liczbę mnogą, hrabio - wtrącił się Edward, zerkając wymownie w kierunku Jenny.

- Pozwólmy im na ten mały żart, Jenny. Dżentelmeni tak się lubią wymądrzać, uważając się za panów wszelkiego stworzenia.

* Tytuł sztuki Szekspira.

Jenny powstrzymała się od śmiechu, bo wyczuwała, że Edward nie czuje się swobodnie, zwłaszcza w towarzystwie hrabiego. Po chwili podniosła wzrok na hrabiego i sprytnie zagadnęła:

- Piękny statek, panie.

Cassie o mało się nie zakrztusiła winem, ale hrabia tylko z wdziękiem skinął głową.

- Dziękuję, pani, w imieniu swoim i statku. Zechce go pani obejrzeć?

Lyndhurst może w tym czasie porozmawiać z moją pacjentką.

- Tak, Jenny - zgodził się Edward. - Zobaczymy się wkrótce na pokładzie.

Jenny podeszła do łóżka i uścisnęła dłoń Cassie.

- Wszystko układa się według pani życzeń, widzę to wyraźnie.

- Niczego więcej już nie pragnę. Może spotkamy się w Anglii.

- Ach tak, na pewno. Do widzenia, panno Brougham.

- Do widzenia, panno Lacy.

Hrabia podał Jenny ramię i wyprowadził ją z kabiny. Cassie usłyszała, że mówi ona do hrabiego:

- Niewiele wiem o łodziach, milordzie. Może zechce mnie pan oświecić.

Edward spojrzał na Cassie skupionym wzrokiem.

- Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz, Cass?

R S

- Ależ tak, Edwardzie. - Wzięła jego dłoń i uścisnęła lekko. - Nasze życie było pełne przygód. Jak dla mnie, było ich dość, żebym zapragnęła zestarzeć się w jednym miejscu. Albo może w dwóch - dodała, uśmiechając się do siebie.

- Wrócisz do Anglii, Cass?

- Nie zdążyliśmy jeszcze omówić naszych planów. Biednego Eliotta czeka nie lada szok.

Edward potrząsnął w zadumie głową.

- Pewnie stwierdzi, że wszyscy postradaliśmy rozum. - Przerwał, żeby odgarnąć jej z czoła kosmyk włosów. - Czy hrabia wie już o swoim dziecku?

- Nie i prosiłabym, żebyś mu nie mówił, Edwardzie. Ja to powinnam zrobić.

- Jak długo go już kochasz, Cass? - zapytał ostro.

- Nie pamiętam, kiedy to się dokładnie zaczęło... ale jestem pewna swoich uczuć.

- Pomimo wszystkich krzywd, które ci wyrządził?

- Tak.

- To, co zrobiłaś dzisiaj rano, było bardzo niecodzienne.

Uśmiechnęła się, słysząc zgrozę w jego głosie.

- Być może, ale myślę, że na moim miejscu zrobiłbyś to samo. Za dużo było do stracenia.

- Nigdy cię nie zrozumiem, Cass.

- Wszystko mi wybaczysz, Edwardzie?

- Tobie niczego nie muszę wybaczać - zapewnił ją szybko. - Chociaż z hrabią to już inna sprawa. - Schylił się i ją pocałował. - Do widzenia, Cass.

Może nasze dzieci będą się kiedyś razem bawić.

- I moje będą namawiać twoje na szalone przedsięwzięcia!

Patrzył na nią lekko speszony. Zaraz się jednak wyprostował i stwierdził: *R S*

- To się jeszcze okaże. - Popatrzył w stronę otwartych drzwi kabiny, skąd dobiegał perlisty śmiech Jenny.

- Do widzenia, Cass.

- Do zobaczenia w Anglii, Edwardzie.

Rozdział 28

Cassie westchnęła z zadowoleniem, wytarła palce w serwetkę i oparła się wygodnie. Kiedy jednak drewniane oparcie dotknęło jej ramienia, odskoczyła i wróciła do dawnej pozycji.

- A więc lubisz ostrygi według przepisu Artura?

- Jak widzisz pochłonęłam cały talerz, więc widocznie tak.

- Są świeże, prosto z zatoki. Chociaż Arturo nie kryje swojej pogardy dla Nowego Jorku, musiał przyznać, że bogactwo ryb jest niesamowite.

Cassie upiła łyk wina, podejrzewając, że hrabia dodał do niego laudanum.

Rozejrzała się po kabynie, nieco senna od alkoholu i kołysania jachtu.

- Dziwne - powiedziała na głos - że spojrzenie na coś może się tak radykalnie zmienić. Ta kabina jest wspaniała. Nie taką ją zapamiętałam.

- Zarówno kapitan, jak i kabina cieszą się z twojego nowego spojrzenia.

Jak ramię?

R S

Figlarne ogniki zamigotały w jej oczach.

- Obawiam się, że jesteś rozczarowany, milordzie. Bo widzisz, jestem zdrowa jak ryba, a ta rana to zwykle ukłucie. Mimo to musisz dotrzymać słowa... i poczekać dwa dni, zanim mi sprawisz lanie.

- Skoro nie muszę obchodzić się z tobą jak z inwalidką, *cara*, to myślę, że odkryję równie przyjemne rozrywki, które wypełnią okres czekania na moment, kiedy z czystym sumieniem będę mógł dać ci klapsa na gołą pupę.

Zadrżała z przyjemności i rumieńce wykwitły na jej policzkach. Popatrzyła na jego silne ręce, którymi sprawnie obierał pomarańczę.

- Dawno już nie jadłam pomarańczy - powiedziała.

Podał jej kawałek i oparł się w fotelu, by patrzeć, jak Cassie delectuje się owocem.

- Kiedy wypływamy z Nowego Jorku? - zapytała, próbując rozładować zmieszanie, które ją ogarniało, kiedy on był blisko.

Milczał przez dłuższą chwilę i bacznie się jej przyglądał.

- Czyżbym miała sok z pomarańczy na brodzie?

- Nie. Dziś rano, Cassandro, poprosiłaś, żebym cię zabrał do domu. Muszę zapytać, czy mówiłaś poważnie.

- Zważywszy na okoliczności, milordzie, nie wierzę, żebyś w to wątpił.

Znowu zapadła cisza. Cassie nagle poczuła się niepewnie.

- Już nie chcesz... mnie poślubić?

- Nigdy wcześniej nie dawałem ci wyboru, Cassandro. Teraz jednak wi-dzę, że powinienem. Czy ty, cudowna dziewczyno, najdoskonalsza istota w ca-

łej Anglii... i koloniach, wyświadczysz mi ten honor i zostaniesz moją żoną?

Cassie zagryzła wargi, tłumiąc rozbawienie jego kwiecistą przemową. To dziwne, ale wołała go, kiedy był władczy. Wtedy lepiej wiedziała, jak się z nim *R S*

obchodzić.

Odpowiedziała rzeczowo:

- Jeśli mnie nie poślubisz, to będę musiała cię zabić i nakarmić twoim nieszczęsnym ciałem ryby w zatoce.

- W takim razie - odpowiedział jakby od niechcenia, przeciągając słowa -

postanawiam ratować skórę i jutro poszukam dyskretnego kapłana. Czy to dostatecznie szybko?

- Będzie musiało wystarczyć - powiedziała, naśladowując jego sposób mó-

wienia. - Ale miej się na baczności, milordzie. Jutro w południe skuję cię łań-

cuchem, jeśli się nie spieszysz. - Nagle sobie uświadomiła, że wszystkie jej ubrania są wciąż w pokoju Edwarda.

- Ojej - jęknęła. - Nie mam, co włożyć. Ta koszula nocna nie bardzo się nadaje.

Powoli wstał i podszedł do szafy. Otworzył szeroko drzwi.

- Myślę, moja droga, że jest tu wszystko, czego ci trzeba.

- Widzę, milordzie, że ani przez chwilę nie miałeś wątpliwości, co odpowiem! - Chciała wstać i do niego podejść, ale zauważyła, że niestety zbyt kręci się jej w głowie.

- Znowu pijana - stwierdził z udawanym obrzydzeniem. - Myślę, że najlepszym dla ciebie miejscem, kochana, jest teraz łóżko. - Ziewnął potężnie. -

Pozwolisz, że do ciebie dołączę? To był długi i męczący dzień.

- Ale nie jesteśmy jeszcze małżeństwem, milordzie.

- To prawda.

- I ramię bardzo mnie boli.

- Będę na nie bardzo uważał.

- Teraz zamierzasz... na mnie uważać, milordzie?

- Między innymi.

R S

Cassie z zakłopotaniem zauważyła, że jej oczy powędrowały w dół, ku wielkiemu wybrzuszeniu w jego bryczesach.

Zaśmiał się cicho z zadowoleniem i wziął ją na ręce. Przytuliła się do niego, kiedy posadził ją na łóżku.

- Moja pani, nie możesz mnie uwieść, jeśli nie dasz mi chwili na ściągnięcie tych cholernych ubrań.

Położyła się na plecach i patrzyła, jak się rozbiera. Kiedy stał przed nią nagi, otuliła się mocniej koszulą nocną i usiadła.

- Nie mam jednak zamiaru kochać się dziś z tobą, milordzie. Zbyt pochopnie uraczyłam cię moimi względami i teraz nalegam, żebyś włożył mi na palec obrączkę, zanim wejdiesz do mojego łóżka.

Popatrzył na nią pytająco.

- Co to za nonsens, Cassandro?

- To nie żaden nonsens! Nie będę już twoją kochanicą!

Spojrzał w dół na swą uradowaną męskość, po czym popatrzył na Cassie w zadumie. Bez słowa wszedł do łóżka i odwrócił się do niej plecami. Chłodno oświadczył:

- Kiedy mnie zapragniesz, Cassandro, rozważę sprawienie ci przyjemności. Dobranoc.

Leżała na plecach, gapiąc się w kosztowny mahoniowy sufit. Tak naprawdę wcale się nie kłopotowała ślubną obrączką, ale coś ją powstrzymywało przed tym, by mu się oddać. Starła się zrozumieć samą siebie. Zdała sobie sprawę, że to wszystko przez to, że wcześniej dobrowolnie oddała się Edwardowi. Przypomniła sobie te noce, jej ciało sztywne i oziębłe, jej umysł pełen wątpliwości. A jednak pozwoliła sobie na to, by go przyjąć, by oddać się mu z chęcią... jak dziwka.

Odwróciła głowę na poduszce do jego szerokich masywnych pleców i je-R S

go ironiczne słowa odżyły jej w pamięci. Potrzebowała go, jego zrozumienia, a on się od niej odwracał i ją lekceważył.

Nagle poczuła gniew, że traktuje ją tak bezdusznie, zupełnie przy tym zapominając, że sama najpierw go zachęcała, a potem odtrąciła. Usiadła, nie zwracając uwagi na ból w ramieniu i wpatrywała się w niego. Jak śmie ją ignorować!

W jednej chwili zaczęła bić go pięściami po plecach.

- Ty wstrętny, nieczuły draniu! Jak śmiesz zasypiać! Odpowiadaj!

Obrócił się powoli i leniwie się przeciągnął, nie zwracając najmniejszej uwagi na grad ciosów spadających na jego tors. Podniósł wzrok na jej zarumienioną twarz i ironicznym głosem niespiesznie zapytał:

- Czy mam rozumieć, Cassandro, że masz teraz potrzebę mojego ciała? -

Przeniósł ręce nad głowę, wystawiając się na jej uderzenia.

- Jak śmiesz być taki... obojętny! - Uklękła nad nim i pałającym wzrokiem patrzyła mu w oczy.

- Obojętny, *cara*? Ja tylko chciałem zaznać trochę zasłużonego odpoczynku. Proszę, żebyś skończyła te dziecinne fochy i przestała mnie okładać.

Jej pięści zawisły w powietrzu. Poczowała się, jak skończona idiotka.

On się nie poruszył ani nic nie powiedział. Nie potrafił zgadnąć, co dzieje się w jej głowie, więc czekał.

Słowa zaczęły wylewać się z jej ust:

- To moja wina... to wszystko moja wina. Sprzedałam się, jak robią to dziwki. Pozwoliłam mu się wziąć, chociaż tego nie chciałam i nienawidziłam się za to. Nie miałam nic, żeby mu dać, bo ty zabrałeś już wszystko... moją mi-

łość, moją namiętność. Jak możesz mi wybaczyć? Jak możesz milczeć, kiedy wiesz, co zrobiłam?!

- Czyżbyś już skończyła?

R S

- Boję się, że nie mam już nic, co mogłabym ci dać, nie rozumiesz? Boję się, że nie potrafię już odczuwać namiętności... Nie po tym, co zrobiłam!

- Nigdy jeszcze nie słyszałem bardziej wyczerpującej samokrytyki. Przypomnij mi, kiedy już będziesz starą kobietą, a ja zgrzybiałym starcem, żebym nas rozśmieszał historią upadłej Cassandry. Może nawet opowiem ją naszym wnukom, jeśli twój niewyparzony język mnie do tego popchnie.

- Ale ty na pewno mnie nienawidzisz!

Złapał ją za ramiona i pociągnął ją na siebie.

- Czy jeśli na ciebie nawrzeszczę, poczujesz się lepiej? Czy może mam cię zbić do utraty przytomności... czy to uspokoi twoje bezsensowne poczucie winy? Przepraszam, że nie wniosłem jeszcze żadnego wkładu w twoje samobi-czowanie. To, co zrobiłaś, naprawdę wymagało nie lada odwagi i determinacji.

I co ważniejsze, Edward Lyndhurst nie gości już w twoim sercu.

Patrzyła na niego. Otworzyła usta i ponownie je zamknęła. Zaśmiał się i dotknął przelotnie jej policzka.

- No więc, Cassandro, co teraz? Chcesz spać czy kochać się z narzeczoną? A może dalej chcesz czekać na ślubną obrączkę?

- Przytłacza mnie twoja... szlachetność.

- Ależ skądże. Jestem diabłem wcielonym, nie pamiętasz? Zapewniam cię, że nie mam w sobie krzty szlachetności. Nie odpowiedziałaś na moje pytanie, *cara*. - Gładził dłonią jej plecy i pośladki.

- Przysięgasz, że nie starasz się być szlachetny... że jesteś ze mną szczery?

- Przysięgam.

- Ale co będzie, jeśli ja już nie umiem doświadczać podniecenia? - Czują, że ugniata palcami jej pośladki i przesuwa rękę głębiej, by pogłodzić jej miękkie miejsca.

R S

Powoli wsunął w nią palec i poczuła spięcie mięśni.

- Twoje ciało zdaje się nie wiedzieć, że jesteś teraz kobietą oziębłą, Cassandro. A twoje oczy zachodzą mgłą. To na pewno nie jest oznaka braku zainteresowania.

Jej umysł wciąż się sprzeciwiał, ale kiedy otworzyła usta, by coś powiedzieć, wydobył się z nich tylko cichy jęk.

- Twoja koszula, Cassandro.

Jego zmysłowy zachrypnięty głos rozпалиł ją i zaczęła gorączkowo ciągnąć za wstążkę w pasie.

- Spokojnie, maleńka.

Jego zwinne palce zaraz uporały się z paskiem i koszula rozsunęła się z przodu. Pomógł jej wyswobodzić się z długich rękawów. Położył ją na plecach i ułożył się obok, patrząc na jej ciało.

- Jesteś za szczupła - powiedział, nie dotykając jej. - Tylko twoje piersi są duże. - Pochylił się i wziął do ust różowawy sutek. Jej piersi były nabrzmiące i bolały, ale jego delikatna pieśczoła sprawiła, że wygięła plecy, prosząc o wię-

cej.

Po chwili znalazł się na niej i poczuła znajomą twardość, jego surową męską siłę. Zgniół jej piersi swoim torsem, jego czarne włoski łaskotały jej piersi.

Opanowała ją wielka radość, kiedy rozchylił jej wargi i zaprosił język do zabawy. Jego nabrzmiąca męskość naciskała na jej podbrzusze, a jej dłonie go-rączkowo masowały jego plecy. Rozchyliła uda. Ale on ciągle czekał.

Doprowadził ją do rozkoszy, jeszcze zanim w nią wszedł. Z zaskoczeniem zauważył, że kiedy wbił się w nią głęboko, jej szczupłe ciało powtórnie zadygotało z podniecenia. Wykrzyczała jego imię, przyciskając go do siebie, a *R S*

on pocałował ją i z radością się w niej zatracił.

Poniewczasie przypomniał sobie o jej ranie i delikatnie się z niej zsunął.

Odgarnął splątane loki z jej czoła i uroczyście ucałował nos.

- Jeśli znowu rozgorzejesz namiętnością, kochana, to ja padnę martwy.

Uśmiechnęła się lekko, spełniona, i nie minęła chwila, a spała mocno, przyciskając twarz do jego ramienia.

* * *

Ślub odbył się na pokładzie „Cassandry”, w kabinie kapitańskiej. Pan Donnetti i Scargill wspierali swoją obecnością młodą parę, na którą podejrzliwie spoglądał ojciec Donovan, kapłan - niestety - katolicki.

Kiedy już pomachali na pożegnanie ojcu Donovanowi, który odchodził

rażnym krokiem po wypiciu doskonałego szampana z zapasów hrabiego Clare, pośród łopotu żagli i wesołego pokrzykiwania pracujących przy olinowaniu mężczyzn „Cassandra” przygotowywała się do opuszczenia nowojorskiego portu.

- Jaki bierzemy kurs, milordzie? - Cassie, oparta o barierki z brązu, od-wróciła twarz do męża.

Anthony zawinął na palec kosmyk włosów, który popołudniowa bryza zwiwała na jej policzek. Przez kilka chwil po prostu na nią patrzył, napawając się jej bliskością i pewnością, że w końcu go

zechciała.

- Dawano mi do zrozumienia, żono, że Anglia jest piękna wiosną.

Oczy jej rozblęły z radości, bo spodziewała się, że powie: Genua. Za-

śmiała się melancholijnie:

- Mam nadzieję, że nie wyprzedzimy mojego listu. Spotkanie oko w oko z martwą siostrą mogłoby stanowić dla Edwarda nie lada szok. Oczywiście, trzeba też zdecydować co z Becky. *R S*

Hrabia opuścił dłoń na jej ramię.

- Becky cię kocha, cara... jak matka. Na pewno zdołasz jej przebaczyć, tak jak mnie. - Po czym dodał, wiedząc, że taki przejaw męskiej arogancji nie pozostawi jej bez reakcji: - Musisz przyznać, że wszystko poszło zgodnie z moim planem. Becky tylko wykonywała polecenia.

- Zarozumialec - zamruczała, ale bez zdenerwowania. - Jestem taka szczęśliwa, że chyba mogę okazać łaskawość w tej kwestii. Nagle odwróciła się do niego twarzą i położyła mu ręce na ramionach. Przytuliła się do niego i powiedziała: - Jakie to cudowne, że nie muszę więcej udawać, tylko mogę ci okazać moje uczucia.

- A co czujesz, Cassandro? - Obejmował ją lekko, domyślając się, że Scargill i pan Donnetti patrzą na nich z pełnymi samozadowolenia uśmiechami na twarzy.

Chciał, żeby mu teraz powiedziała, że go kocha. Podniosła ku niemu twarz, w jej oczach paliły się figlarne ogniki.

- Czuję, milordzie, że jeśli jeszcze przez chwilę postoję tak blisko ciebie, to wystawisz się na pośmiewisko przed swoimi ludźmi.

- Jak więc twoim zdaniem, *milady*, możemy zaradzić na moją męską przypadłość? - odpowiedział jej równie żartobliwym tonem. Dawno się już przy niej nauczył cierpliwości.

- Myślę - powiedziała z udawanym westchnieniem - że będę zmuszona poprosić cię na dół do mojej kabiny.

- Twojej kabiny?

- Mam nadzieję, że okażesz się sprawiedliwy, milordzie. Skoro wreszcie mnie przekonałeś, żebym za ciebie wyszła, to czy nie godzi się, żebyś obdarzył

mnie połową swoich doczesnych dóbr? - I przemyślnie dodała: - Jestem prze*R S*

konana, że to w mojej połowce kabiny znajduje się łóżko.

- Pomyślę o tym, *milady* - odrzekł poważnym tonem. Podał jej ramię.

Gdy już znaleźli się pod pokładem, oświadczył: - Jeśli wystarczająco mnie zadowolisz, to może okazać się szczodry.

- W takim razie będę udawać wielką namiętność.

Kiedy byli już w kabinie, hrabia uśmiechnął się do niej i odwrócił się, że-by przekręcić klucz w zamku.

- Nikt nie będzie nam przeszkadzał, *milady*.

Odwracając się powtórnie w jej stronę, czuł falę pożądania wzbierającą w kroczu. Cassie stała na środku kabiny, spiesznie pozbywając się ubrania. Przyglądał się jej lekko zarumienionej twarzy, gdy pochłonięta była rozpinaniem długiego rzędu guzików z przodu sukni. Podszedł do stołu i nalał dwa kieliszki wina, ciągle patrząc na nią kątem oka. Wydostała się z sukni i bezzwłocznie rozwiązała koronkowe ramiączka haleczki. W pewnym momencie uświadomi-

ła sobie jego wzrok i popatrzyła mu prosto w oczy. Haleczka na ułamek sekundy zatrzymała się na biodrach, po czym opadła na leżącą na ziemi suknię.

- Pragnę cię, mężu.

Uśmiechnął się do niej szelmowsko i odstawivszy kieliszek na stół, zapytał:

- Czyżbyśmy przyszli tutaj po coś więcej, niż tylko wyleczenie mojej przypadłości?

- Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, ty wstręciuchu, to tak! Bardzo mnie boli... tutaj. - Przelotnym gestem wskazała na trójkąt złotych włosów.

Jego wzrok zatańczył na jej ciele.

- Obym zawsze miał dla ciebie gotowe lekarstwo, *milady*.

- A ja dla ciebie, milordzie.

Gdy hrabia był już nagi, ujął jej dłoń i położyli się razem na łóżku. PieR S

ścili się niespiesznie, rozkoszując się swoim dotykiem, ciałem drugiej osoby pod palcami. Cassie bardzo chciała tak go obdarzyć, jak on zawsze ją obdarzał.

Wydostała się z jego ramion i powędrowała ustami po potężnej klatce piersiowej i niżej po napiętych mięśniach brzucha. Oparła twarz o jego udo i lekko go dotknęła. Pieściła jego nabrzmiąły członek, wdychając odurzającą woń męż-

czynny.

Zrozumiał, że Cassie czuje swobodę, by bez skrępowania okazać mu uczucia, tak jak on to zawsze czynił. Był napięty jak struna i członek aż go bo-lał, tak chciał, by go wzięła do ust. Pogładził ją

lekko po włosach. I czekał.

Czuł ciężar jej piersi i bicie serca.

Kiedy jej usta go musnęły, a potem zakryły, wydawało mu się, że straci panowanie nad własnym ciałem. Próbował się od niej odsunąć, ale ona go nie puszczała. Ssała go z chęcią i zapalem i myślała, że umrze z rozkoszy, słysząc jego jęki.

Gdy już nie mógł wytrzymać, ujął jej twarz w dłonie i pociągnął ją do gó-

ry. Spojrzała na niego, pytając, czego pragnie.

Zamruczał i posadził ją na sobie okrakiem. Zagubił się w niej, pieszcząc ją dziko dłońmi, aż dotarła do kresu i zapadła się w bezdenną rozkosz. Poczwała, że eksplodował w niej, pomrukując z przyjemności w jej usta. Pragnęła, by ta chwila trwała wiecznie.

- Kocham cię - powiedziała, odgarniając czarne włosy z jego czoła.

- A ja ciebie - odpowiedział. Przypomniała mu się długa podróż przez pół

cholernego świata i długie puste noce na oceanie, wypełnione tylko gniewem i wdzierającym się w jego serce lękiem. - Na zmianę cię biłem, brałem i błaga-

łem o powrót. Potem wyobrażałem sobie, że nie żyjesz... i to mnie jeszcze bardziej gniewało, bo to by znaczyło, że unikniesz mojego gniewu i jadu.

R S

Milczała przez kilka chwil, aż jej umysł ustalił znaczenie jego słów.

- Przynajmniej nie pałałeś nienawiścią do samego siebie. Wiesz, nawet nie marzyłam, że po mnie przypląniesz. Myślałam, że cię straciłam.

Ścisnął ją w ramionach tak mocno, że aż zabolęło.

- A wiesz, że starannie zaplanowałem nasze spotkanie w Kennedy House, że ćwiczyłem swoje przemowy, bo myślałem, że cię straciłem, że dobrowolnie poślubiłaś Edwarda Lyndhursta.

Wcisnęła podbródek w zagłębienie między jego szyją a ramieniem. Po-myślała o dziecku w swym łonie, ale zdecydowała się teraz mu nie mówić. To była ich noc poślubna i należała tylko do nich. Jutro, może jutro mu powie.

Podniosła na niego wzrok i pocałowała go lekko w usta.

- A wiesz, co ja pomyślałam, zaraz kiedy cię zobaczyłam?

- Diabeł po ciebie wrócił.

- Nie, nic tak dramatycznego. Jeśli chcesz wiedzieć, to uznałam, że jesteś oszalamiający, zabójczo przystojny. Jednak twój gniew sprawił, że wydałeś mi się zupełnie obcy. Myślę, że w tamtym momencie z chęcią bym zemdląa.

- Twoja duma jest tak wielka jak moja, *cara*, i odpłaciłaś mi pięknym za nadobne. - Wyszczrzył nagle zęby i poluzowawszy objęcie, zsunął dłonie na jej biodra. - Ani trochę się nie skarżyłaś na ból ramienia. Może dzisiaj już powinnaś dostać obiecane lanie.

- Ból jest ogromny, milordzie, tylko ja zachowuję stoicki spokój. Obieca-
łeś mi dwa dni i musisz słowa dotrzymać.

Przez chwilę jej wierzył i zmrużył z troski oczy.

Zachichotała i przywarła do niego, by zaraz podciągnąć się do góry i przytulić biust do jego twarzy.

- Jeśli miałbym umierać - powiedział, kiedy już go uwolniła - to na pewno wybrałbym śmierć przez uduszenie twoimi piersiami.

R S

Patrzył na nią bez słowa, po czym znowu wyszczrzył zęby.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- W co, milordzie?

- Że jeszcze nie śpisz, kochana. Czy dałem ci tak mało przyjemności, że nasza miłość nie zadziałała na ciebie jak środek nasenny?

- Nigdy nie okazałabym takiego lekceważenia mojemu mężowi - odrzekła. - Kochanek to co innego.

Rozdział 29

Rozmawiała z nim z wielkim entuzjazmem i na każdy temat. Nie było już w jej duszy sekretnych zakamarków, do których go nie dopuszczała. Jeśli nie liczyć dziecka.

Napad porannych mdłości zdarzył się jej tylko raz i była wtedy sama. Po opróżnieniu nocnika cicho przemykała się zejściówką, gdy natknęła się na Scargilla.

Spojrzał na jej bladą twarz i nocnik i potrząsnął głową.

- Musisz mu powiedzieć, dziewczusko.

Wyciągnął rękę i bez słowa wziął od niej naczynie.

- Niemądrze robisz... Przecież to by mu sprawiło wielką radość.

Westchnęła.

- Wiem, przynajmniej tak mi się wydaje. Ty i Joseph zawsze wiedzieli-

ście, co się dzieje w mojej głowie. - Poczwała drżenie warg, przełknęła ślinę i *R S*

wyprostowała ramiona. Wciąż była słaba po porannych mdłościach i przez to zachowywała się nierozsądnie.

- Nie mam pojęcia, skąd ci przyszło do głowy, że mógłby zareagować inaczej. Joseph to samo by ci powiedział. Idź się teraz położyć, żeby odzyskać energię. Zazwyczaj masz jej tak dużo. Marynarze na pewno obwinialiby kapitana, gdyby cię zobaczyli taką bladą i osowiałą.

- Jeszcze nie sprawił mi lania.

Scargill dostrzegł w jej oczach cień uśmiechu, ale nie zrozumiał, o czym mówi.

- Jego lordowska mość będzie tu lada chwila. On nigdy nie zostawia cię samej na długo. - Kiwnął zachęcająco głową i wyszedł z nocnikiem pod pachą.

Cassie czekała na hrabiego, przyglądając się białym grzebieniom fal i żaglom wydętym mocnym marcowym wiatrem. Znudziło się jej czekanie i osłaniając oczy od jasnego porannego słońca, pewnym krokiem udała się do pana Donnetiego, który jak zwykle wisiał nad sterem niczym chudy wygłodniały jastrząb.

- Gdzie jest jego lordowska mość, panie Donnetti? - zapytała skromnym głosem, gdyż nie czuła się z nim tak spoufalcona jak ze Scargillem.

Pan Donnetti uśmiechnął się i zmierzył ją wzrokiem, jakby ją osądzał, choć w rzeczywistości takie ułożenie ust i ruch oczu były dla niego naturalne.

- Kapitan rozwiązuje niewielki problem.

- Jaki problem? Nic mi o tym nie mówił. Co się stało, panie Donnetti?

- Nic, czym by się należało niepokoić, *madonna*. - Jego ton był dość obojętny. To są szczęśliwe chwile dla jego pana i pani, żałował więc, że w ogóle otworzył usta.

Ale Cassie nie dała się zbyć.

- Powtarzam, panie Donnetti, co to za problem?

R S

Wzruszył ramionami i zgarbił się mocniej nad ogromnym sterem.

- Chodzi o jednego z ludzi, *madonna*. To właściwie nowy marynarz, przyjęty w Genui przed samym

rejssem. Dość zdolny, moim zdaniem, i aż do wczoraj spokojny, by nie rzec ponury. Niestety wczoraj wieczorem dorwał

się do butelki dżinu. Wredny się po tym zrobił i wygrażał nożem, co dziwne, Arturowi. Wrzeszczał, że karmi załogę pomyjami dobrymi dla świń. - Pan Donnetti ponownie wzruszył ramionami. - Rozbroiłem go, rzecz jasna, ale trzeba było powiadomić kapitana.

- Co na to kapitan?

- Dwanaście batów. Ja to bym takiego wyrzucił za burtę.

Cassie mimowolnie obróciła się w kierunku masztu.

- Pod pokładem, *madonna* - powiedział Francesco, wędrując za jej wzrokiem. - Kapitan nie chciał, żebyś patrzyła na chłostę.

Przełknęła ślinę, przypominając sobie piekący ból od uderzeń hrabiowskiego pasa na własnych plecach.

- Jak nazywa się ten człowiek, panie Donnetti?

- Luigi. Nie byłem za tym, żeby go zatrudniać, ale miał doskonały list po-lecający od innego kapitana. Ogólnie rzecz biorąc, dobrze wykonuje swoją pracę i zazwyczaj zostawia innych w spokoju.

Kiedy Cassie zapytała hrabiego podczas lunchu o poranny incydent, ten także wzruszył ramionami.

- Wcale nie musiało do tego dojść. Ten człowiek po prostu nie powinien pić alkoholu. Wkrótce wydobrzeje, jak sądzę.

- Sam go wychłostałeś?

- Tak. - Potrząsnął głową, w zadumie kołysząc kieliszkiem wina. - Dziwny typ. Skamlał jak tchórz, ale odmówił zdjęcia koszuli. Zostawiłem go z zakrwawioną szmatą na grzbiecie.

R S

- A skąd Luigi wziął butelkę tego szlachetnego trunku?

- Nie nazwałbym tego szlachetnym trunkiem, prędzej butelką bimbru. Od Artura, wyobraź sobie. Kręcił się po kambuzie i odkrył jego zapasy.

Cassie się zaśmiała.

- Ciekawe, czy Arturo dodał tego paskudztwa do mojego puddingu.

- Gdybyś dzięki temu zaczęła więcej jeść, nie miałbym nic przeciwko. -

Zmierzył ją wzrokiem od twarzy do biustu, który wystawał z obszytego koronką dekoltu i powiedział:
- Choć z drugiej strony wydajesz się zaokrąglać, moja droga.

Cassie spuściła wzrok na kieliszek wina. To prawda, że suknia robiła się nieco ciasna.

Hrabia wychylił reszkę wina i odsunął krzesło od stołu. Oparł się wygodnie, założył ręce na piersi i wyciągnął nogi z nonszalancką gracją.

- Wydaje mi się, *cara*, że nie dotrzymałem obietnicy.

- Jakiej obietnicy, milordzie? - Popatrzyła na niego i zobaczyła szeroki sarkastyczny uśmiech.

- Chociaż zanim do tego przystąpię, obejrzę dokładnie twoją ranę.

- Chlusnę ci winem w twarz, jeśli nie przestaniesz pleść bzdur. - Podniosła kieliszek, jakby zaraz miała zamiar to zrobić.

- Tak jak tamtej pierwszej nocy, Cassandro? - zapytał, przywołując wiele wspomnień.

- Otóż to - powiedziała powoli, a w jej pamięci jak żywa stanęła tamta przerażona dziewczyna, której nie pozostawało nic innego jak tylko głupie akty brawury.

- Wolę myśleć o naszej drugiej nocy.

- Nie wątpię, milordzie. Opowiesz mi, jak twoja wspaniała hrabina Giusti, która na pewno nie potrzebowała zachęty, żeby rozłożyć dla ciebie nogi, *R S*

znajdowała twoje męskie talenty?

- Nie sędzę, żeby ci się spodobała ta opowieść. Chciałbym jednak, żebyś się nie robiła wulgarna.

- Nie rozumiem, milordzie, dlaczego mężczyźni mogą nosić dwa buty, a kobiety tylko jeden! Kobiety zawsze muszą skakać na jednej nodze, trzymając język za zębami, żeby nie wypaść niestosownie. A wy, przebrzydłe istoty, cho-dzicie w butach!

- Twoje metafory są niestety dość pomieszane, *cara*, ale skoro wiecznie brakuje ci równowagi, bo musisz skakać jednonóż, to postanawiam być wyrozumiały.

Popatrzyła na niego zuchwale i wyprostowała się w krześle.

- Zapamiętaj sobie, milordzie, że będę mówić i robić to, co mi się podoba, bez żadnej cenzury z twojej strony ani ze strony twoich butów.

- Przecież zawsze ci na to pozwalałem, nie uważasz?

- Ty miałbyś mi na coś pozwalać? Ja nie pozwolę, żebyś ty mi cokolwiek dyktował i na tym koniec dyskusji.

- Aha, dama wydała rozkazy. Dobrze, moja pani, niech i tak będzie.

Wyglądała na tak zbitą z tropu, patrząc na niego zwężonymi podejrzliwie granatowymi oczami, że nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Jak możesz się ze mnie śmiać!

- Znowu podrygujesz na jednej nodze, kochana. Śmieję się, bo cię kocham i uważam, że twoje humory są urocze.

- Nie jestem żadnym kociakiem, którego możesz głaskać, pieścić albo karcić wedle uznania i nie życzę sobie, żebyś moje uczucia nazywał humorami.

Spoważniał i nachylił się do niej.

- Większość kobiet, Cassandro, niczego bardziej nie pragnie, jak dać się prowadzić i pieścić silnej męskiej ręką. Czy ty sama nie spotkałaś się z tym, że *R S*

kobiety do znudzenia powtarzają opinie swoich mężów? Nawet jeśli ten mąż to zupełny osioł?

Nie miała ochoty przyznawać mu racji.

- Tak, widziałam to wielokrotnie. Ale...

Westchnął.

- Wiedziałem, że musi być jakieś „ale”.

- Ale - ciągnęła, wiedząc, że hrabia tylko udaje rozczarowanie - tylko mężczyźni mają prawo wybierać, a kobiety są tego prawa pozbawione i dlatego zachowują się tak, jak się zachowują.

- No to dlaczego ty tego nie robisz?

Spuściła wzrok.

- Bo ja nie jestem... dobrą kobietą.

Uniósł ręce w geście rozpaczy.

- No to czym ty jesteś, Cassandro? Nie jesteś dobrą kobietą, co przeraża mnie niepomiernie, ani nie jesteś bezbronnym kociakiem. To może chciałabyś być mężczyzną?

- Przynajmniej mężczyzny nie można zgwałcić - powiedziała.

- To prawda, ale to nie ma większego związku.

- Nie, nie chciałabym! Gdybym była mężczyzną, musiałabym ciągle chodzić dumna jak paw i upewniać się, czy inni mężczyźni widzą, jaka jestem ważna.

- To znaczy, że będziesz skłonna wybaczyć mi sporadyczne przejawy męskiego zarozumiałstwa?

- Jeśli ty zgadzasz się znosić moje, to musiałabym być małostkowa, żeby się o to spierać.

- Doskonale, wreszcie doszliśmy do porozumienia. Czy wspominałem już, Cassandro, że potrafisz być bardzo męcząca?

R S

- Podobnie jak i ty, Anthony.

- Skoro tak mówisz. - Uśmiechnął się i wstał.

- Mam nadzieję, że przynajmniej do końca dnia będziemy żyć w takiej doskonałej zgodzie. - Podeszedł do niej i delikatnym, ale stanowczym ruchem zsunął jej suknię z ramion.

Odsunął bandaż i zobaczył, że rana ładnie się goi.

- Boli cię, Cassandro?

- Nie, jak sam mówiłeś, to tylko draśnięcie.

Powoli przesunął rękę na jej piersi.

- W takim razie czas wypić piwo. Moja obietnica. Nie pamiętasz?

Ponieważ pamiętała aż za dobrze, oczy rozszerzyły się jej z oburzenia.

- Nie zrobisz tego! Nie pozwolę ci się zbić! - Dostrzegła pieszczotliwy śmiech w jego ciemnych oczach i uśmiechnęła się figlarnie. - Jeśli bezduszość to podstawowa cecha twojego charakteru, milordzie, to nie chciałabym zupeł-

nie pozbawiać cię własnej osobowości.

Chciała to zrobić i pozwolił, by go rozebrała. Kiedy mocowała się z jego bryczesami, zaśmiał się bezczelnie i przeciągając słowa, zapytał:

- Czy teraz uklęknieš i ściągniesz mi buty?

- Tak... ale tylko dlatego, że ja tego chcę.

Kiedy wreszcie był nagi, Cassie zaczerwieniła się z wysiłku. Ponieważ ciągle była na kolanach, nie musiała daleko szukać, żeby zobaczyć jego ciało w całej okazałości i zrobiła się jeszcze bardziej czerwona, choć z innego powodu.

- Gdybym mogła wyglądać tak jak ty, milordzie, to muszę powiedzieć, że nie miałabym nic przeciwko temu, żeby być mężczyzną.

Powiódł palcem po jej policzku.

- Dziękuję Bogu, że zostawił cię taką, jaka jesteś.

- Jesteś bardzo kuszący, milordzie - wyszeptała miękko.

R S

Nagle podniósł ją na nogi.

- Do diabła z tymi ubraniami, *cara*. Nie dam ci się tak uwieść, bo potem będę musiał przerywać, żeby cię doprowadzić do stanu, w jakim cię pan Bóg stworzył.

Rozebrał ją, wziął na ręce i zaniósł do łóżka. Zanim zdążyła się zorientować, co zamierza, usiadł i przełożył ją przez kolano twarzą w dół. Przycisnął

jej rękę do pleców, kiedy próbowała się podnieść.

- Jestem człowiekiem, który dotrzymuje słowa, *cara* - powiedział.

- Nie zrobisz tego! Nie chcę, żebyś mnie bił, tylko żebyś się ze mną kochał!

Protestowała takim płaczącym tonem, że nie mógł powstrzymać śmiechu. Próbowала się wyrwać, kiedy pogłaskał ją po krągłych pośladkach.

- Proszę - powiedziała wreszcie.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, moja pani - powiedział i poło-

żył ją na plecy.

- Myślę, że pożądanie i miłość idą ze sobą w parze - stwierdziła, kiedy już nasycona leżała na jego ramieniu.

Czuła zbliżający się ryk śmiechu, zanim jeszcze wydobył się z jego gardła.

- Spodziewam się usłyszeć to samo, kiedy już będziemy starzy i niedo-

łęźni.

- Ty osiągniesz stateczny wiek na długo przede mną, milordzie, ale mam nadzieję, że nie okażesz się zbyt niedołęźny, kiedy będę cię potrzebować.

- Jeśli ten dzień lub noc kiedykolwiek nadejdzie - odparował, lekko klepiąc ją po pośladku - to obiecuję, że pozwolę ci podciąć moje bezwartościowe gardło.

R S

Przez kilka minut panowała między nimi swobodna cisza. Czula jego miarowe bicie serca i zastanawiała się, czy zasnął. Podniosła wzrok i przekonała się, że patrzy na nią leniwie.

- Myślałam, że może już śpisz.

- W środku popołudnia? Proszę, pani, byś nie zarzucała mi zupełnego braku energii.

Odsunęła się od niego i obróciła się na bok.

- Chciałabym ci coś powiedzieć.

Uniósł lekko czarną brew i podniósł rękę, żeby odgarnąć jej włosy z twarzy.

- Nigdy bym nie poślubiła Edwarda, niezależnie od tego, co się stało.

- Wiem - powiedział tylko.

Odwrócił się na bok i podparł się na łokciu, kładąc głowę na ręce.

- Nie rozumiesz. - Jakoś nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. Palcami lekko gładził jej piersi, ale nie spuszczał skupionego wzroku z jej twarzy.

Nie ułatwia mi zadania, mruknęła w myślach. Słowa jakby jej się po-przyklejały do gardła w różnych dziwnych miejscach. Usłyszała ciche skamlenie i z przerażeniem skonstatowała, że wydobyło się z jej ust.

Jego palce zaprzestały delikatnych pieszczot.

- Przepraszam - szepnęła głosem mokrym od łez.

- Nie mam pojęcia dlaczego.

- Zachowuję się jak idiotka.

- To prawda.

Natychmiast odwróciła głowę i rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- Mnie to wolno stwierdzić, milordzie, nie tobie!

Tylko się uśmiechnął i pocałował ją lekko w zaciśnięte usta.

- A niech cię - załkała. - Jestem w ciąży!

R S

Wstrzymała oddech i czekała na jego reakcję. Nic nie powiedział. Przesunął rękę z jej piersi na brzuch i tam ją zostawił.

- Wiem, Cassandro.

Otworzyła szeroko usta i wpatrywała się w niego w absolutnym zdumieniu.

- Nie rozumiem... skąd...

- Kiedy cię tu przyniosłem po pojedynku, rozchorowałaś się po kieliszku wina.

- Ale każdy czasem ma mdłości.

Wyglądał na lekko rozbawionego.

- Tak, to prawda. Zapominasz jednak, że ja dobrze znam twoje ciało.

Twoje piersi, *cara*. W czasie ciąży stają się nabrzmiąle i ciężkie.

Naprawdę czuła się jak idiotka.

- W takim razie, milordzie, dlaczego nic nie powiedziałeś?

- Bo, mały głuptasie, to ty miałaś mi powiedzieć. Stwierdziłem, że skoro już wiesz, że dzieci nie przynosi bocian, to tym razem ty powinnaś ogłosić do-brą nowinę.

Patrzyła w górę, na jego twarz, nic nie mówiąc. Kiedy wreszcie przemówiła, jej głos brzmiał niepewnie.

- I ty we mnie nie wątpiłeś? Nie myślałeś, że jestem nieszczerą, nie-uczciwą? Że chcę do ciebie wrócić tylko ze względu na dziecko?

- Tylko do wczorajszej nocy.

Te słowa i jego pozbawiony emocji głos tak ją zaskoczyły, że zmrużyła oczy i patrzyła na niego podejrzliwie.

- Ale dlaczego do wczorajszej nocy? To nie ma sensu. Ten wieczór ani noc niczym się nie różniły od pozostałych.

R S

Wyglądał na zdziwionego.

- Rzeczywiście, Cassandro, masz rację. Wczorajsza noc niczym się nie wyróżniała. Więc może - ciągnął, gładząc ją delikatnie po brzuchu - to była ta noc przedwczoraj.

Popatrzyła na niego ze znużeniem.

- Żarty sobie ze mnie stroisz, milordzie. To jest poważna sprawa.

- Doprawdy, nie mogę się z tobą nie zgodzić, Cassandro. Jeśli moje obliczenia są słuszne, nasze dziecko urodzi się w połowie października, czyli będę miał grubą żonę po sezonie, ale przed rundą jesiennych wizyt, które moi znajomi składają w zamku Clare. - Westchnął z rezygnacją. - Myślę, że będę zmuszony zaprosić Eliotta i jego żonę, której już się zapewne dorobił, bo ty bę-

dziesz zbyt opasła, żeby podróżować do Hemphill Hall.

- Te uwagi mi uwłaczają, milordzie.

- Nie sądzę, żeby były szczególnie uwłaczające. Czy muszę ci także obiecać, że zachowam celibat, *cara*? Zazwyczaj zapraszam do Clare Castle po-każną gromadkę dam, żeby mogły zażywać świeżego powietrza. Crenolan, mój lokaj, słynie z przyrządzania wyśmienitego mocnego ponczu, po którym damy nachodzi nieprzeparte pragnienie, by znaleźć się w moim łóżku.

Wbiła mu zaciśniętą pięść w brzuch. Żeby zrobić jej przyjemność, jęknął

z bólu.

- Ty nicponiu! Ja będę w twoim łóżku! Utopię cię w tym ponczu, jeśli chociaż spojrzysz na inną damę! Jeśli będzie podawany poncz, milordzie, sama go przyrządzę i dosypię do niego środków nasennych!

Przewrócił się na plecy, szczerząc do niej zęby.

- Ale moja kochana, możesz nie zdołać ode mnie odgonić tych wszystkich dam, które zaproszę.

R S

- W takim wypadku - powiedziała skromnie, spuszczać oczy - powinnam zawrzeć znajomość z ich mężami, zanim jeszcze zrobię się duża i nie-zgrabna.

- Jest to pewien pomysł - powiedział, przeciągając słowa. Widział, że miała problemy z utrzymaniem swojej skromnej pozy. - Ale trzeba ci wiedzieć, *cara*, że ci dżentelmeni przez większość czasu noszą peruki. Dlatego gołą sobie głowy. Nie sądzę, żebyś chciała mieć w łóżku лыsego mężczyznę. - Ściszył

głos do szeptu. - Do tego, oczywiście, dochodzi kwestia wszy.

- Oczywiście - powiedziała. - Masz, milordzie, niespotykany talent spro-wadzania poważnych rozmów do absurdu.

- Gdybyś miała coś naprawdę poważnego do powiedzenia, kochana, przysięgam, że spotkałabyś się ze stosowną odpowiedzią.

- A zatem niepotrzebnie się zamartwiałam?

- Tak. Wygląda na to, że sprawiłem sobie niemądrą żonę, która nie ma wiary w swojego męża.

Na jej czole ciągle gościła pozioma zmarszczka.

- Ja planowałam powrót do Anglii, wiesz... sama.

- Tym bardziej jestem wdzięczny za pomyślne wiatry w drodze do Ameryki. Kolejne dwa miesiące poszukiwań zrobiłyby ze mnie jeszcze gorszego diabła, niż ten z Nowego Jorku.

- Dość już sekretów. - Westchnęła z ulgą i wtuliła się w jego bok.

Założyła mu nogę na brzuch i zarzuciła rękę na klatkę piersiową.

- A ty się godzisz na takie poświęcenie?

- Jakie poświęcenie?

- Poncz Crennolana.

- Cassandro, najpierw mnie wymęczyłaś, a teraz przemawiasz za pomocą *R S*

zagadek?

- Damy, milordzie, i twój celibat.

Z tego, jak jej wargi otarły się o jego ramię, hrabia wywnioskował, że Cassie mówi to z uśmiechem. Odpowiedział jej:

- Z damami, kochana, też się czasem pojawia kwestia wszy.

- Ach, tak - zakończyła rozmowę.

Rozdział 30

Wydęte żagle załopotwały, kiedy wiatr nagle zmienił kierunek.

- Popuść, *madonna*.

Cassie kiwnęła głową i przekreśliła ciężki ster w prawo. Przeszedł ją radosny dreszcz, kiedy statek w odpowiedzi zboczył z kursu.

- Nasza córka będzie kochać morze - powiedziała, zlizując z warg słone krople wody.

- Albo wasz syn.

Obróciła się przez ramię i zobaczyła niecodzienny widok, a mianowicie uśmiech na szczupłej ogorzalej twarzy pana Donnetiego.

- Wszyscy, synowie i córki - oświadczyła z wbitym w linię horyzontu wzrokiem. - Co będzie pan robił, kiedy dobijemy do Anglii?

- „Cassandra” nigdy za długo nie gnuśnieje w porcie. W miesiącach letnich popłyniemy do Indii

Zachodnich, a potem wrócimy do Genui przed wio-R S

sną. Z kapitana jest bardziej człowiek interesu i bankier niż angielski szlachcic.

Kiedy jest w Anglii, opłaca kurierów, których jedynym zadaniem jest dostarczać instrukcje do Genui, Paryża i Amsterdamu do jego placówek handlowych i do banków. To człowiek o wielkiej wizji i niespożytej energii.

Cassie zamrugła, słysząc taką długą przemowę z ust pana Donnetiego, który zazwyczaj bywał dość lakoniczny. Zastanawiała się, czy wynikało to z obawy, że jako żona hrabiego może próbować ograniczyć jego niearystokratyczne przedsięwzięcia. Spojrzała na jego poważną twarz i powiedziała miękko:

- Jestem młoda, panie Donneti, ale nie głupia. - Przynajmniej zazwyczaj, poprawiła się w myślach. - Dowiedziałam się trochę o interesach jego hrabiowskiej mości w Genui. Mam nadzieję, że nie okażą się dla niego zupełnie bezu-

żyteczna. - Nie mówiła już więcej, wiedząc, że pan Donneti musiał być przerażony samą myślą, że kobieta miałaby się mieszać w męskie sprawy.

Spojrzała w stronę lewej burty i zobaczyła tego mężczyznę, Luigiego, za-jętego wiązaniem liny.

- Zagoiły się mu rany na plecach?

- Tak, ale jest jeszcze bardziej gburowaty niż wcześniej. Dobrze będzie się go pozbyć, jak tylko dopłyniemy do Anglii.

Cassie przypomniały się te słowa dzień później, kiedy wychodziła z kabiny, żeby dołączyć do hrabiego na pokładzie rufowym. Luigi jakby wynurzył

się z cienia, a jego ciemne oczy wpatrywały się w nią.

- *Si?* - zapytała zdecydowanym tonem, przechodząc na włoski.

Patrzył na nią bezczelnie i nie odpowiadał.

- *Czego chcesz? Che cosa Le abbisogna?*

Nagle dały się słyszeć kroki.

- *Voglio, scusarmi, signora* - przeprosił tylko i zniknął w zejściówce.

R S

- Co się dzieje, *madonna?*

- Cieszę się, że się zjawiłeś, Scargill. Ten człowiek, Luigi, przez niego czuję się nieswojo.

- Ta kanalia była tutaj na dole?

- Tak. Na pewno się zgubił.

Scargill prychnął.

- Kapitan się o tym dowie.

Cassie pomyślała, że zachowuje się niedorzecznie i położyła mu rękę na ramieniu.

- Proszę, nie kłopotz hrabiego takimi głupstwami. On mnie po prostu zaskoczył, to wszystko. - Ponieważ Scargill ciągle był nieprzekonany, zaczęła mówić o Szkocji, bo wiedziała, że zamierzał spędzić kilka miesięcy u krewnych niedaleko Glasgow, kiedy ona i hrabia już się urządzią w zamku Clare.

- A tak, niedaleko Loch Lomond, oto gdzie mieszka mój brat. Cudna oko-lica, dziewczuszko, mamy tam dziką przyrodę i bogate tradycje. - Jego szkocki akcent stawał się ze zdania na zdanie coraz wyraźniejszy. - Pokochałabyś tę ziemię, dziewczuszko, tylko że teraz bieda aż piszczy i nieraz nie ma co do garn-ka wsadzić. Mnie tam nie powitają aż tak serdecznie, wiesz, dziewczuszko, bo jestem lojalny wobec Sassenacha... to znaczy Anglika. Mówię im, że ma liguryjską krew. To trochę pomaga.

* * *

- Niech to szlag! Niecały tydzień do Anglii i morze musi pokazywać fochy!

Cassie spojrzała na gromadzące się na wschodzie ciemne chmury i za-drżała.

- Mamy czas do wieczora, milordzie?

R S

- Być może, jeśli nam szczęście dopisze. To nie będzie przyjemne, Cassandro. Kolejny sztorm na Atlantyku to atrakcja, z której z chęcią bym zrezygnował.

Ale kiedy wiatr się wzmógł i zaczął chłostać ją po twarzy puklami wło-sów, Cassie poczuła, że wzbiera się w niej podniecenie. Próbując przekrzyczeć świst wiatru i łopot żagli, powiedziała:

- Włożę bryczesy i pomogę ci utrzymać ster!

- Akurat! - Złapał ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie. - Zejdiesz do kabiny i tam zostaniesz.

- Nie! - odkrzyknęła. - Chcę zostać tu z tobą!

Nagle ją puścił i podszedł do steru. Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, co mówi panu Donnettiemu. Biała błyskawica przecięła niebo i Cassie podskoczyła, a potem się uśmiechnęła. Nie pozwoli, żeby ją traktował jak słabowitą panienkę i zamknął pod pokładem, pozbawiając okazji przeżycia tylu wra-

żeń. Buntowniczo założyła ręce i stanęła w lekkim rozkroku.

Straciła jakoś tę pewność, kiedy zbliżył się do niej hrabia z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Chodźmy, kochana.

Ogarnęła go podejrzliwym wzrokiem.

- Po moje bryczesy?

- Jeśli chcesz.

Nie ufała jego uległości. To do niego zupełnie nie pasowało.

- W porządku - powiedziała wreszcie. - Ale pospieszmy się. Niebo jest już prawie czarne. Sztorm zacznie się w ciągu godziny.

Pobiegła przed nim, zadzierając spódnicę do kostek. Kiedy znaleźli się w kabinie, podeszła żwawo do szafy i ją otwierała.

- Gdzie są spodnie? Masz jakieś dla mnie czy musisz je dopiero przynieść?

R S

Stał plecami do zamkniętych drzwi kabiny.

- Nie ma żadnych spodni.

- To przynieś jakieś dla mnie.

- Nie, *cara*. Zostaniesz tutaj do czasu, aż burza się skończy.

- Nabrałeś mnie!

- To prawda, ale nie dałaś mi wyboru. Zostaniesz w kabinie i na tym koniec.

- Powiedziałam ci, milordzie - zaczęła, starając się utrzymać nerwy na wodzy - że będę robić, co mi się podoba i nie dam się traktować jak małe dziecko!

- To przestań się tak zachowywać, moja pani. - Statek nagle przechylił się na sterburtę i Cassie złapała się komody, żeby nie upaść. Hrabia w jednej chwili znalazł się u jej boku, żeby ją podtrzymać. - A co by było, gdybyś była teraz na pokładzie? Nie pozwolę ci narażać się na takie ryzyko.

- A ja nie pozwolę, żebyś mi rozkazywał, mój panie! Zechciej zabrać ręce.

Statek znowu się mocno przechylił. Hrabia chwycił ją mocno za ramiona.

- Nie mam teraz czasu, żeby sobie pozwolić na kłótnie, Cassandro. Posłuchasz mnie albo cię zwiążę. Na Boga, pomyśl o moim dziecku!

Wściekła riposta zamarła jej w gardle. Dziecko. W całym tym podnieceniu zupełnie zapomniała o jego istnieniu. Zgarbiła się lekko i nie patrząc na niego, powiedziała:

- Rozumiem.

- Obiecujesz?

- Tak, obiecuję.

Musnął ją palcami po policzku. *R S*

- Będą jeszcze inne sztormy. - Wypuścił ją i poszedł w stronę drzwi.

- Będziesz ostrożny? - zawołała za nim.

Popatrzył na nią z kwaśnym uśmiechem.

- Wiem, że twoim zdaniem nie znam się na żeglowaniu tak dobrze jak ty, ale mimo to podołam, o to możesz być spokojna.

Cassie przez minutę patrzyła uparcie w zamknięte drzwi, po czym westchnęła z rezygnacją. Tym razem nie mogła odmówić mu racji. Objęła rękami brzuch, który powoli się zaokrąglał, i podeszła do stołu.

- Skoro nie będzie dziś obiadu - zamruczała pod nosem - to mogę skosztować trochę wina. - Nalała sobie kieliszek, wychyliła połowę i zakrztusiła się.

Kieliszek wyslizgnął się jej z palców i roztrzaskał o podłogę, plamiąc przód sukni czerwonym winem.

- Niezdarna krowa - nie przestawała się ze sobą sprzeczać, kiedy rozpina-

ła niecierpliwie guziki sukni. Gdy już przebrała się w szlafrok, sztorm rozpętał

się na dobre.

Mogła poczuć wezbrane wściekle fale uderzające o burty i słyszała, jak wlewają się na pokład, zagłuszając nawet ulewny deszcz. Spróbowała dojść do małego kwadratowego okienka, opierając się o kant mahoniowego biurka i siedzenie krzesła hrabiego, żeby utrzymać równowagę. Nic jednak nie była w stanie zobaczyć przez gęstą zasłonę deszczu. Zadrżała i mocniej otuliła się szlafrokiem. Z oddali dobiegały ją okrzyki mężczyzn, ledwie słyszalne przez rozszalały wiatr.

- Gdyby nie ty, moje małe dzieciątko - powiedziała, klepiąc się lekko po brzuchu - byłabym teraz w samym środku burzy, czułabym na twarzy uderzenia deszczu i walczyłabym z naporem wyjącego wiatru.

Wyobraziła sobie hrabiego, który mocował się ze sterem, żeby utrzymać *R S*

jacht. Widziała jego czarne włosy przyklejone do czoła i słyszała w wyobraźni rozkazy wydawane załodze.

- To po prostu nie jest sprawiedliwe - zamruczała i nalała sobie kolejny kieliszek, ale zaraz zobaczyła, że gęsty czerwony napój przelewa się po ścianie naczynia, kiedy statek nagle przechylił się na bakburtę. Zakłęła pod nosem i wlała wino z powrotem do karafki.

Kabina skąpana była w niepokojącym szarym świetle i Cassie zapaliła jedną świeczkę w mosiężnym świeczniku, przymocowanym solidnie na biurku hrabiego. Z niecierpliwością czekała, aż rosnąca spirala płomienia oświetli ciemne kąty kabiny. Skarciła się na głos, bo jeszcze nigdy nie zdarzyło się jej zachowywać tak niedorzecznie, żeby bać się ciemności.

Podeszła do łóżka, ostrożnie mijając kawałki rozbitego kieliszka. Chciała uprzątnąć szkło, ale bała się, że przy takim szalonym kołysaniu statku łatwo może się skaleczyć.

Cassie wyciągnęła się na łóżku, nakryła grubym kocem z niebieskiego aksamitu i próbowała zasnąć. Rozważyła pomysł, żeby włożyć bryczesy i wymknąć się na pokład, gdzie schowałyby się przed hrabią, ale zrezygnowała z tego. Obiecała mu przecież, że zadba o jego dziecko. Jego dziecko, no właśnie, zazgrzytała zębami. Niech to on sobie nosi je w brzuchu, zwraca śniadanie i przemienia się w niezgrabną słonice. Przypomniła sobie wszystkie znajome damy, które w oczach innych zamieniały się w drepczące śmiesznie kaczkę z brzuchami jak melony.

- Teraz to ty zachowujesz się jak oślica - powiedziała do siebie ze śmiechem.

Drzemała lekko z głową przytuloną do poduszki, kiedy usłyszała hałas w pobliżu łóżka. Natychmiast usiadła i spuściła nogi na podłogę, żeby się rozejrzeć. Kabina oświetlona była słabym światłem świecy, która prawie się już *R S*

wypaliła. Utkwiła spojrzenie w drzwiach i zobaczyła, że klamka powoli się porusza. Zastygła, wiedząc, że hrabia wszedłby od razu, otwierając drzwi na oścież. Być może, pomyślała, karcąc się za bujną wyobraźnię, to po prostu Scargill z obiadem wchodzi cicho, żeby jej nie budzić.

Ale to nie był Scargill.

Drzwi otworzyły się na tyle tylko, żeby zmieścić się w nich szczupły mężczyzna, w którym rozpoznała tego nowego marynarza, który ostatnio wystraszył ją w zejściówce. Ich oczy spotkały się na jedną przerażającą chwilę.

Cassie zerwała się na nogi i wrzasnęła na niego:

- Jak śmiesz tu wchodzić! Czego chcesz? - Mężczyzna zmarszczył nos i Cassie przeszła szybko na

włoski: - *Che cosa Le abbisogna?*

Przyjrzała mu się uważniej. Nie przekraczał przeciętnego wzrostu, miał

oliwkową cerę, a jego oczy w słabym świetle były matowo czarne, niczym dwa węgielki. Marynarski strój miał przemoczony, a długie czarne włosy opadały mokrymi strąkami na porośnięte szczecinę policzki.

- *Che cosa Le abbisogna?* - powtórzyła, zasłaniając przód szlafroka zaciśniętą w pięść dłonią.

- Ależ *signora*, nie wiesz, czego ja chcę? Naprawdę mnie nie poznajesz? -

Jego czarne jak węgiel oczy zuchwale powędrowały w dół po jej ciele.

- Nie! - ryknęła, gdyż jej umysł odmawiał współpracy. - Wynos się albo czeka cię gorsza kara niż chłosta!

Zamknął cicho drzwi i oparł się o nie całym ciałem. Jego wąskie wargi rozciągnęły się w uśmiechu. Świdrujące spojrzenie czarnych oczu nie przestawało jej rozbierać.

- Czas ponieść karę, *signora*. Twój szacowny małżonek zaszlachtował dwóch moich kamratów i ciągle mu mało. Aha, teraz mnie poznajesz, prawda?

Cassie wydusiła z siebie prawie że szeptem:

R S

- Czwartym mężczyzną... ostatni z *bravi*. Ten, którego imienia nie znaliśmy.

Skłonił się jej lekceważąco. Bezmyślnie wyrecytowała imiona:

- Giulio, Giacomo, Andrea... i Luigi.

Klepnął się w udo i zaśmiał się zachwycony, a mokre strąki włosów pod-skakiwały mu przy policzkach.

- No proszę, takie wielkie wrażenie zrobiliśmy na szanownej hrabinie!

Czyli pamiętasz prawdziwych mężczyzn między nogami, *signora*. - Z jego gło-su znikła bezczelna kpina, którą teraz zastąpiła czarna wściekłość. - *Si*, dwóch moich przyjaciół nie żyje. Zginęli przez ciebie i przez tego psubrata twojego męża.

Statek przechylił się, wchodząc w dolinę potężnej fali i Cassie poleciała do tyłu. Złapała się słupka

przy łóżku, żeby utrzymać równowagę. Dyszała ciężko, każdy następny oddech stawał się płytszy i bardziej charczący. Nad nimi szalała bezlitosna burza. Nikt nie usłyszy jej krzyku. Nikt jej nie pomoże.

- Czy ty też masz piękny tatuaż na ciele, jak pozostali *bravi*? Dlaczego nie chciałeś pochwalić się takim dziełem, ściągnając koszulę do chłosty?

Bez większych emocji pomyślała, że on ją chce zabić, a ona mimo to się z niego naśmiewa. Zobaczyła, że jego palce zaciskają się na srebrnej rękojeści sztyletu, który miał przyczepiony do paska.

Luigi zignorował jej pytanie, wzruszając tylko ramionami. Powiedział natomiast:

- Miałem wiele tygodni, by zaplanować waszą śmierć, *signora*, twoją i twojego męża. Sztorm tylko mi w tym pomoże. Najpierw ty, a potem ten arogancki pies.

- Skoro i tak mnie zabijesz, to może wyjawisz imię tego, który cię wynajął? - Jej głos był taki spokojny, jakby prosiła o filiżankę porannej kawy.

R S

Umysł jednak pracował szybko i Cassie miała ogląd sytuacji wyraźny i ostry jak nóż przerażenia, który zimną stalą dotykał jej serca.

- Ty, moja wytworna angielska damo, nie masz pojęcia, co to znaczy być *bravi*! - syknął w odpowiedzi. - Nawet umierając, nie dowiesz się, kto zapłacił, żeby posłać twoją duszę do piekła.

- Ale dlaczego, Luigi? Dlaczego mam zginąć?

- To nie twoja sprawa, *signora*. Dość gadania. - Jego głos był teraz opanowany, prawie obojętny.

- To znaczy, że sam nie wiesz, Luigi, zgadza się? Twój pracodawca nie uznał za stosowne ci powiedzieć? Potraktował cię jak nędznego wieśniaka, jak zwierzę do zabijania?

Z głębi jego gardła dobyło się wściekłe charczenie.

Cassie zrobiła krok do tyłu, wciąż trzymając się łóżka.

- Niech cię zaraza, ty suko! Zamknij się! Moi kamraci nie zdradzili niczego... niczego, rozumiesz! Ochronili mnie... i jego! Nie będę narzekał, bo on uczyni mnie bogatym, a ty i twój mąż, *signora*, skończycie w oceanie, gdzie ryby obgryzą was do kości.

Luigi, dotychczas zgarbiony przy drzwiach, nagle się wyprostował. Czarnymi oczami omiół jej ciało.

- Nie sprawi mi takiej przyjemności wbicie ci ostrza między żebra, bo jesteś tylko kobietą. Za to krew z podciętego gardła twojego męża uczyni tę nieszczęsną podróż wartą mojego czasu.

Anthony! Będzie łatwą ofiarą, bo cała jego uwaga jest skupiona na burzy i na „Cassandrze”. Nawet nie będzie wiedział, kiedy otrzyma cios. Wezbrała w niej ślepa furia i nawet nie zauważyła, że ruszył w jej stronę. Jego oczy błyszczały nieskrywaną żądzą.

- Naprawdę nie nacieszyłem się twoim ciałem za pierwszym razem, moja R S

pani. Andrea cię popsuł. Tyle było krwi... tyle lepkiego nasienia rozmazanego na udach. Ale teraz będzie inaczej. Przed śmiercią posmakujesz mężczyzny.

Rozpinał guziki bryczesów, nie zamierzając nawet spuszczać spodni.

Struchlała ze strachu. Zaczęła wrzeszczeć bez ustanku, bez nadziei, aż wreszcie jej wrzask przeszedł w bezsilny jęk.

Zbliżał się do niej nieubłaganie, kiedy ona próbowała wykrzyczeć swoje przerażenie. Śmiał się przy tym dziko, aż podszedł tak blisko, że rozpryskiwał

kropelki śliny na jej twarz.

- Już jesteś na mnie napalona. Daj mi dużo przyjemności, a ja dam ci ła-twą śmierć.

Jestem tylko kobietą, myślała gorączkowo, więc on się mnie wcale nie obawia. Ta myśl utkwiała jej głęboko w głowie. Jej jedyną nadzieją była kobieca słabość, bezbronność. Popatrzyła na leżące koło stołu kawałki szkła.

Wyciągał już do niej ręce i mogła poczuć woń jego pożądania i zobaczyć jego wybrzuszony członek. Opadła na niego, a kiedy złapał ją w ramiona, podniosła kolano i z całych sił kopnęła go w obnażone krocze.

Zawył z bólu i złości i chwycił się za podbrzusze.

- Ty cholerna suko! Ty wstrętna mała dziwko! Boże, ale będziesz umierać! - Rzucił się na nią, choć jego ciało było zgięte z bólu.

Cassie uderzyła go pięścią w twarz i próbowała przedrzeć się koło niego, ale pchnął ją mocno i upadła na podłogę. Uderzyła plecami o deski i przed oczami rozbłysły jej białe światła. Wierzgała pod nim dziko, aż zobaczyła nad głową uniesioną pięść. Nieludzkim wysiłkiem zdołała odsunąć się na bok i zasłonić głowę ramieniem. Trafił ją w policzek, ale strach sprawił, że nic nie poczuła. Teraz to on wrzeszczał, klął na nią, bił ją po ciele i szarpał jej szlafrok.

Poczuła niewypowiedzianą radość. Jej palce sięgnęły poszarpanego trój-R S

kątnego kawałka szkła i chłodnym okiem obserwatora patrzyła, jak jej ramię wystrzeliwuje w przód z kawałkiem szkła przypominającym ostrze włóczni w dłoni. Kiedy podniósł głowę, rękami próbując rozchylić jej uda, nie widziała nic, tylko zamazaną twarz, nie czuła nic, tylko dziki triumf. Ostre szkło miękko weszło w ciało policzka, od oka do szczęki.

Odskoczył do tyłu, wyjąc z bólu i zakrywając rękami twarz. Wyszarpnęła sztylet zza jego pasa, odepchnęła się od niego i zerwała na nogi. Była już przy wyjściu i otwierała drzwi, kiedy on dopiero wstawał. Jacht zakołysał się nagle i oboje stracili równowagę, próbując się czegoś złapać, żeby nie upaść.

Cassie popędziła jak pijana w dół ciemnej zejściówki, zataczając się przy przechyłach statku. Zobaczyła już schody prowadzące na pokład i poczuła, że na usta ciśnie jej się szloch klęski. Kłapa luku była spuszczone i zamknięta.

Otworzenie metalowych zaczepów może zająć za dużo czasu. Słyszała za sobą przekleństwa i słyszała zbliżający się stukot jego ciężkich butów. Potykając się, zaczęła wbiegać po schodach. Jęknęła głośno, kiedy rąbek szlafroka zahaczył o stopień. Wsadziła sztylet między zęby i zaczęła szaleńczo szarpać za ciężkie zaczepy. Kiedy wreszcie puściły, słyszała już za sobą jego ciężki oddech.

Przywołując całą siłę, jaka jej pozostała, pchnęła kłapę do góry. Ciężkie drewniane deski podniosły się i Cassie oślepiła ściana ulewnego deszczu. Zobaczyła wznoszące się góry wody, które opadały z taką siłą, że mogłyby ją bez trudu zmyć ze statku. Wyczołgała się na pokład i rzuciła przed siebie w wirują-

cy żywioł. Próbowwała podczołgać się na brzuchu, zanim zdoła wstać. Nagle poczuła, że jest unieruchomiona. Jego ręka złapała za szlafrok i ciągnęła ją z powrotem. Kopała jego ramię z całych sił, ale trzymał mocno. Zobaczył widmo śmierci. Nie mógł pozwolić jej uciec.

Usiłowała wyciągnąć ręce z rękawów, ale utrudniał jej to smagający *R S*

wiatr i deszcz. Poczula, że wbija palce w jej nogi i używając jej jako podpory wyczołguje się z luku.

Dusił ją własny strach. Ostrze sztyletu przesunęło się i rozcięło jej kącik ust. Zapomniała o sztylicie.

Chwyciła za rękojeść i waząc broń w dłoni, obróciła się na plecy. Był tuż nad nią, jego zniekształcona twarz nie miała ludzkich rysów, wydawał się kre-aturą z najczarniejszych otchłani piekieł. Gwałtowny wiatr i deszcz uderzyły w jego zraniony policzek, z którego trysnęła krew, obryzgując twarz i piersi Cassie.

W jego oczach była tylko nienawiść. Wydobył z siebie dziwny bulgot, a jego ręce, zakrzywione niczym szpony, wystrzeliły do jej gardła. Kiedy na nią opadał, Cassie zwarła dłonie między piersiami, trzymając ostrze sztyletu skie-rowane w górę. Poczula, jak stal przedziera się przez ciało, wbijając mu się w szyję.

Na ułamek sekundy, który zdawał się trwać bez końca, zastygł nad nią z wybałuszonymi zdziwionymi oczami. Z jego ust i gardła trysnęła krew i krzyk Cassie przebił się przez wyjąca wichurę. Pchnęła jego bezwładne ciało, które przetoczyło się na bok na śliski pokład. W tym momencie zalała ich wielka fa-la, która przeniosła ciało jeszcze dalej od niej. Jego stopa zaplątała się w zwój liny i obróciło go na plecy jak wypchaną kukłę.

Znowu wrzasnęła i zamknęła oczy, żeby się odgrodzić od widoku jego zakrwawionego bezwładnego ciała, z pobłyskującą srebrną rękojeścią sztyletu, sterczącą z zalanej posoką szyi.

Jej krzyki ginęły w huku wichury, aż dopiero Dilson, który zwinnie przemieszczał się w kierunku rufy, podniósł głowę na dźwięk cienkiego pisku.

Rozejrzał się, podszedł do luku i przytrzymując się otwartej kłapy spojrział na zalaną deszczem twarz Cassie.

R S

Wciągnął powietrze, kiedy z zakłopotaniem odkrył, że jej szlafrok jest rozchełstany i nagie ciało odcina się idealną bielą od pokładu. Tylko po twarzy i piersiach spływały jej strumyczki krwi. Zdjął swoją płócienną pelerynę i ją przykrył.

- Dilson, przyprowadź kapitana.

Wydobyła z siebie zaledwie cichy szept, na więcej nie pozwalało jej wy-czerpanie i szok. Dilson dostrzegł Luigiego.

- Chryste Panie - wydusił i zerwał się w kierunku pokładu rufowego.

Zaczął wołać kapitana znacznie wcześniej, niż ten był w stanie go usłyszeć.

Wreszcie hrabia odwrócił się, słysząc jego krzyki. Przekazał ster panu Donnettiemu i utkwiał wzrok w bladej twarzy Dilsona.

- Na Boga, człowieku - hrabia przekrzykiwał burzę - co się takiego stało?

- *Madonna!* - zachrypiał Dilson. - Prędko, kapitanie, prędko!

Hrabia zeszywniał na sekundę, po czym rzucił się za Dilsonem.

Dilson krzyczał przez ramię:

- Ona go zabiła, panie! Wbiła mu sztylet w gardło!

- O czym ty gadasz, u diabła? - Dilson wskazał na Cassie, która leżała naga na plecach, gdy peleryna odfrunęła kawałek dalej przeniesiona przez wiatr. Nogi jej zwisały w otworze luku. Strużki krwi znaczyły białą skórę. Padł

na kolana i wziął ją na ręce.

- Cassandro!

Cassie wyrzuciła z myśli upiorną twarz Luigiego i zmusiła się do otwarcia oczu.

- On nie żyje... naprawdę nie żyje?

Hrabia nic nie pojmował, aż dopiero Dilson wskazał mu zwłoki ręką.

R S

Widok Luigiiego, z wystającym z gardła sztyletem przypominającym pał, wrył się w jego umyśle. Twarz marynarza była rozszarpana, kawałki ciała odchodziły od rany.

- Nie żyje, Cassandro.

Niezgrabnie wziął Cassie w ramiona, okrywając ją przemoczonym szlafrokiem i zniósł ją po drewnianych schodach.

- Dilson! - krzyknął za siebie. - Nie pozwól, żeby go zmyło z pokładu.

Znieś ciało na dół.

Kabina pogrążona była w ciemnościach. Hrabia po omacku znalazł drogę do łóżka, położył żonę i poszedł zapalić świece. Zobaczył kawałki szkła, jeden z nich nosił ślady krwi; krew była też na dywanie.

Odwracała od niego głowę i trzęsła się na całym ciele. Powstrzymał ci-snące się na usta pytania, zdjął jej mokry szlafrok i wytarł do sucha. Strużki krwi wsiąknęły w ręcznik. Hrabia obejrzał dokładnie każdy centymetr jej ciała.

Zauważył rozcięcie we wnętrzu dłoni, ale nic ponadto.

- On był tym czwartym... ostatnim *bravi*.

Pozwolił sobie na odpowiedź dopiero po tym, jak ulokował ją pod ciepłą kołdrą i kocem. Delikatnie zebrał jej mokre gęste włosy i rozłożył na poduszce.

Zorientował się, że sam ocieka wodą, kapiącą na łóżko, ale nie mógł

znieść myśli, że miałby się od niej teraz odsunąć. Ujął jej twarz w dłonie.

- Czy coś ci się stało, *cara*?

- Nie - powiedziała spokojnym głosem, zbyt spokojnym jak na jego ucho.

- Myślał, że skoro jestem kobietą, to nic mu nie mogę zrobić. Miał zamiar nas zabić. Nas oboje.

- On ci powiedział, że był jednym z *bravi*?

Cassandra nie była w stanie powstrzymać drżenia. Było jej zimno, bardzo zimno. Kiwnęła potakująco głową. *R S*

- Cassandro, dziecko... Czy dziecku nic się nie stało?

Dziecko. Próbowwała skoncentrować myśli na swoim ciele, na swoim brzuchu. Nie czuła niczego poza tym obrzydliwym drganiem zatapianego w gardle Luigiego sztyletu.

- Nie mogłam pozwolić, żeby cię zabił! - Mówiła jak w transie. Złapała go za ramiona i potrząsnęła mocno. - On by cię zabił!

Hrabia podniósł głowę, kiedy jacht nagle zatrzęsł się od uderzenia wiatru, aż drewno zaskrzypiało w bolesnym proteście.

Wziął ją w objęcia i kołysał łagodnie.

- Już dobrze, Cassie. Już po wszystkim. - Szeptał czule słowa, żeby ją uspokoić i wymazać chwile grozy z jej myśli.

- Wszystko w porządku, milordzie - powiedziała wreszcie, wiedząc, że musi ją teraz zostawić. Jeśli nie zajmie się statkiem, wszyscy mogą zginąć. -

Proszę, idź. Już nie mam czego się obawiać.

Wypuścił ją z objęć i okrył ciasno kołdrą.

- Teraz śpij, Cassandro. Wrócę najszybciej, jak się da.

Kiwnęła głową, zamknęła oczy i nie otwierała ich, dopóki nie usłyszała, że zatrzęsnał za sobą drzwi.

* * *

Czuła się dziwnie lekka i gibka, skupiając całą uwagę na podnoszeniu grota swojego słupa. Ale jakoś brakowało jej sił i łopoczący żagiel uderzył ją w twarz. Rozległ się wtedy męski głos, niski i władczy, który oznajmił, że nie ma dość rozumu, żeby wykonać najprostsze czynności. Jak można jej powierzyć własną łódź, skoro jest takim głupim dzieckiem. Nie jestem głupia, wrzasnęła, choć nie mogła dostrzec twarzy mężczyzny. To jest za ciężkie! Nie jestem głupia!

R S

Cassie podniosła się. „Nie jestem głupia, ojczy!”.

Zamrugnęła od jasnego światła i powoli sen odpłynął z jej pamięci. Rozejrzała się po skąpanej w słońcu kabinie. Statek kołysał się lekko na falach. Burza już przeszła. Obróciła się niespiesznie i zobaczyła koło siebie wyciągniętego na plecach hrabiego, który głośno chrapał. To był wspaniały dźwięk.

Wyślizgnęła się cicho z łóżka, wstała i się przeciągnęła. Spojrzała w dół

na lekko zaokrąglony brzuch, poklepała go i powiedziała:

- Tym razem oboje przeżyliśmy.

Umierała z głodu, ale postanowiła być cierpliwa, żeby nie przerywać snu hrabiemu. Umyła się, ubrała i wyszczotkowała zmierzwiłone włosy, które potem zebrała na karku i związała aksamitną wstążką. Już miała iść po śniadanie, kiedy Scargill cicho otworzył drzwi i ostrożnie zajrzał do kabiny.

Nic nie mówił, tylko patrzył na nią zatroskanym wzrokiem.

- Nic mi nie jest, Scargill - powiedziała miękko. - I myślę, że hrabiemu też nie. - Odwróciła się, bo chrapanie ucichło, i zobaczyła, że mąż się przecią-

ga, niebezpiecznie odkrywając tors i dół brzucha.

- Mam nadzieję, że jesteście gotowi na lunch - wesoło stwierdził Scargill.

- Lunch!

- Tak, *madonna*. Spałaś całą dobę. A ty, panie, dołączysz do swojej dzielnej żony?

- To na pewno - odrzekł hrabia.

Wyskoczył z łóżka, ziewnął przeciągle i znowu się przeciągnął.

- A jak się ma moja odważna żona? - Przyciągnął ją do siebie i potarł podbródkiem o czubek jej głowy.

- Miałaby się, milordzie, znacznie lepiej - stwierdziła sucho - gdybyś zechciał się odziać.

- Zapewne masz rację. - Zaśmiał się cicho i niechętnie się od niej odsunął.

R S

Scargill dobrodusznie się do niego uśmiechnął i zaraz stał za nim z gotowym szlafrokiem.

Kiedy Cassie jadła, bardzo się pilnując, żeby nie połknąć wszystkiego naraz, czuła na sobie zaniepokojony wzrok hrabiego.

- Wielkie nieba, milordzie - zauważyła poirytowana - nie zamierzam wcale popaść w histerię.

Odpowiedział jej uśmiechem, który jednak pojawił się na ustach, ale nie w oczach.

- Miałaś rację, *cara*, to był czwarty *bravi*. Miał na ramieniu tatuaż: zmiję owiniętą wokół miecza. - Hrabia potrząsnął głową i cicho zaklął. - Gdybym tylko kazał mu wtedy zdjąć koszulę! Wiedzielibyśmy i nie doszłoby do tego wszystkiego. Cassandro, czy jesteś w stanie o tym mówić? Opowiedzieć mi, co się wydarzyło?

Jakie to dziwne, że mogła dość spokojnie myśleć o poprzednim wieczorze. Załamała się tylko, kiedy mówiła o sztylcie, który trzymała w rękach. Za-drżała, gdy to wspomnienie odżyło w jej myślach.

- Przypomnij mi, *cara* - stwierdził na koniec - żebyśmy nie wdawali się z tobą w gwałtowne spory.

Uśmiechnęła się tak swobodnie, jakby zdołała oczyścić się z tamtych koszmarnych wspomnień.

- Ty nie masz się czego obawiać, milordzie, ponieważ ty, jak sądzę, żywisz do mnie i moich możliwości zdrowy szacunek. - Urwała i milczała przez chwilę, marszcząc brwi. - Wypytywałam go, wiesz, próbowałam go sprowokować, żeby zdradził, kto mu zapłacił za nasze głowy. Ale nic nie wyjawiał.

Nawet żadnej wskazówki poza tym, że był to mężczyzna. Mówił, że ten mężczyzna uczyni go bogatym.

Hrabia potarł się po nieogolonej szczęce.

R S

- Tajemnica w takim razie pozostaje nierozwikłana. Nie wspominałem o tym, Cassandro, ale przed wyjazdem z Genui ogłosiłem dużą nagrodę za nazwisko i... zlikwidowanie pracodawcy Luigiego. - Uśmiechnął się smętnie. -

To jeden z powodów, dla których uznałem, że powinniśmy udać się do Anglii.

Nie chciałem narażać cię na żadne niebezpieczeństwo, dopóki go nie dopadnę.

Ale nawet mi przez myśl nie przeszło, że moglibyśmy mieć jednego z *bravi* na statku.

- Myślisz, że kiedykolwiek się dowiemy?

- Zważywszy na to, ilu jest przedsiębiorczych łotrów, którzy będą chcieli napełnić swoje kiesy, to szedłbym o zakład, że owszem.

Cassie ujęła jedną z jego wielkich dłoni.

- Przynajmniej teraz jesteśmy bezpieczni, milordzie.

- Czasami, ukochana, zastanawiam się, czy na ciebie zasługuję. - Widząc, jak ją rozpira duma, dodał, leniwie przeciągając wyrazy: - Ale potem sobie przypominam, jaka jesteś słabowita i zupełnie bezsilna w pilnowaniu swoich interesów i wtedy myślę, że jednak jestem ci potrzebny.

- Ty szkaradny zarozumiałcze... - Urwała, by wstać z krzesła i stanęła przed nim podparta pod boki, bardziej przypominając kłótniwą żonę handlarza ryb niż hrabinę.

Kiedy przyciągnął ją do siebie i posadził na kolanach, wyczuwała, że w środku skręcał się ze

śmiechu. Oplotła go rękami i wyszeptła mu podstępnie do ucha:

- To prawda, milordzie, że ty nigdy nie jesteś zupełnie bezsilny.

Pociągnął za gruby pukiel, a Cassie usłużnie odchyliła w tył głowę.

- Jeśli zdejmiesz tę suknię, *milady*, to z chęcią ci to udowodnię. - Pocałował lekko pulsującą żyłę jej na szyi.

Westchnęła, starając się przybrać smutną, zrezygnowaną minę. Zdradzały *R S*

ją jednak dłonie, pracowicie masujące jego tors.

- Moje biedne dziecko. Po raz kolejny chcesz zakłócić jego spokojną egzystencję.

Z niezadowoleniem stwierdziła, że on naprawdę się zawahał.

- Nie bądź głupcem, milordzie - parsknęła śmiechem - dziecko ma się dobrze i bardzo chętnie bliżej pozna swojego tatę.

- Rozumiem - powiedział, zabierając się do rozpinania gorsetu sukni - że muszę się nasycić, zanim zrobisz się wielka i strasznie nieporęczna.

- Drań! - syknęła i przywarła do niego nagim biustem.

Rozdział 31

Hrabia delikatnie odsunął zabłąkany lok z czoła Cassie. Patrząc, jak śpi, nie sposób się było domyślić, że właśnie urodziła. Ale dziecko, śliczny chłopczyk, leżało spokojnie w kołysce obok łóżka Becky Petersham.

Był wyczerpany i zaczynał go morzyć sen, ale odczuwał zbyt wielką radość, by iść spać. Dotknął ustami jej policzka i przeszedł bezgłośnie po puszystym dywanie do wąskich zasłoniętych okien. Rozchylił ciężkie aksamitne story w burgundowym kolorze i zapatrzył się w trawniki oraz należący do posiadłości las. Białe światło księżycy tłumilo październikowe barwy drzew, któ-

rych liście nadal były mokre po krótkiej burzy. Hrabia opuścił zasłonę, zastanawiając się, czy doktor Milpas, mogący się poszczycić długą listą szczęśliwie odebranych porodów, odpoczywa już po całym popołudniu, które przyszło mu spędzić ze złamaną nogą w zabłoconym rowie i w deszczu.

Hrabia popatrzył na potężne łoże z czasów Tudorów, którego solidna dę-

R S

bowo rama i gruby burgundowy baldachim tak bardzo różniły się od subtelnego wystroju sypialni w Willi Parese. Uśmiechnął się do tej myśli, tak wła-

śnie zareagowała Cassie, która na początku wyglądała na zagubioną, kiedy znalazła się w tym zapadającym się miękko łożu i naciągnęła pod szyję grubą puchową kołdrę.

- Głupia gąska - powiedział cicho do siebie.

Mógł się domyślić, że nie będzie rodziła jak inne damy. Przypomniawszy sobie Eliotta, bladego jak kreda, kiedy ścisnął kurczowo kieliszek z winem i szeptał w kółko: „O mój Boże!”.

Kto by się spodziewał, że Cassie nie piśnie ani słowa podczas uroczysto-

ści dożynkowych. Siedziała cichutko pod białą-czerwoną pasiastą markizą na szerokim lekko nachylonym wschodnim trawniku, bo nie chciała psuć nikomu zabawy podczas tego dorocznego święta, które zresztą sama zorganizowała.

Przez cały poranek witała dzierżawców i innych gości i choć zdecydowanie nie brała udziału w tańcach, to siedziała u jego boku przy obiedzie, który wydali z tej okazji. Teraz sobie przypominał, że była dziwnie milcząca. Wtedy jednak nie zwrócił uwagi ani na to, ani na jej tężejącą od czasu do czasu twarz, ani na zupełny brak apetytu - tak był pochłonięty obowiązkami gospodarza zamku Clare.

Wszyscy byli tego dnia tacy weseli i radośni, szczególnie Eliott i Eliza, która od pięciu miesięcy była oficjalną narzeczoną, że nikt nie zauważył wymuszonych uśmiechów Cassandry. On sam nie domyślał się, że coś było nie w porządku, aż dopiero po tym długim posiłku Becky zawołała Cassie, żeby przyszła stanąć u jego boku pod powiewającą na wietrze markizą. Popatrzył na nią z pytającym uśmiechem, bo dziwnie ociągała się ze wstawaniem. Ale ona tylko odwróciła głowę.

- Cassandro! - Jego donośny głos uciszył gwar rozmów przy stole.

R S

Zobaczył, że po jej policzku spływa łza.

- Przykro mi, milordzie - powiedziała zduszonym głosem. - Dziecko nie będzie dłużej czekać.

- O mój Boże - zaczął Eliott.

Cassie załkała załamana:

- Ale nasi ludzie ciągle tutaj są!

- Od kiedy wiesz, że zaczynasz rodzić? - warknął na nią.

- Nie musisz na mnie krzyżeć, milordzie - powiedziała prawdziwie oburzoną tonem.

- Kiedy?

- Wczesnie rano.

- Ty uparta wariatko!

- Ależ, Anthony - zaprotestował słabo Eliott, który zupełnie stracił głowę.

A Cassie tylko się śmiała. Becky zaraz była na nogach i choć sama mocno poruszona, zaczęła wydawać rozkazy:

- Eliocie, poślij powóz po doktora Milpasa! Elizo, pomóż mi zaprowadzić Cassie do łóżka.

Hrabia powstrzymał ją gestem.

- Nie, Becky, skoro moja niemądra żona nie miała na tyle rozumu, żeby cokolwiek powiedzieć, teraz będzie musiała znosić moją opiekę.

Wyciągnął do niej rękę, ale w tej chwili nie mogła się ruszyć, bo skurcz rozsadzał jej brzuch.

- Nie mogę - wydyszała.

- Chociaż tyle, że nie jesteś za gruba, żebym mógł cię podnieść - zauwa-

żył lekko kpiącym głosem. Bez trudu wziął ją na ręce.

Zachłysnęła się powietrzem i objęła go ciasno za szyję, bo skurcz nie ustawał.

R S

- Ależ mi zapewniasz atrakcje na święto dożynek, *cara*. Spokojnie, kochana, zaraz ci będzie wygodniej.

- Nie sądzę - powiedziała przez ściśnięte zęby.

Wciąż zaciskała zęby, żeby nie krzyknąć, kiedy godzinę później hrabia został poinformowany o wypadku powozu.

Becky Petersham załamała ręce na znak cichego wzburzenia.

- I co teraz zrobimy?

- Przyrowadź Scargilla, Becky.

- Co?! - Niemal wrzasnęła na niego. - Nawet ciebie nie powinno tu być, a ty jeszcze chcesz drugiego mężczyznę! Och, moja biedna Cassie.

- Ona jest młoda i zdrowa, Becky - powiedział spokojnie. - Ja mam ochotę odebrać nasze pierwsze dziecko. Zresztą myślę, że Cassandra woli mnie od lekarza.

Pewność siebie zaczęła go opuszczać już wkrótce. Cassie ścisnęła jego dłoń przy każdym skurczu i starała się nie poddawać. Trwało to długie godziny.

- Dlaczego dziecko nie wychodzi! - zawołał w końcu zrozpaczony.

Cassie spojrzała na niego i nagle w jej oczach pojawiła się trwoga.

- Czy skończę jak moja matka? - szepnęła.

- Nie bądź głupia, Cassandro - skarcił ją. - W niczym nie przypominasz swojej matki.

Cierpienie zasnuło jej oczy i zaczęła cicho skamleć. Odwróciła głowę, puściła jego dłoń i jej ręka bezwładnie opadła na kołdrę.

- Cassandro! Psiakrew, nie poddasz się teraz! Patrz na mnie!

- Przepraszam, milordzie - wyszeptała.

- Nie chcę, żebyś mnie przeproszała, chcę żebyś wzięła się w garść! Do R S

diaska, Cassandro, daj mi moje dziecko!

Odkrył ją zupełnie.

- Teraz, przyj! Z całej siły, Cassandro, bo cię zbiję! Jeszcze raz!

Rozłożył dłonie na jej wielkim brzuchu i przycisnął.

Wrzasnęła. Ten piskliwy przejmujący wrzask przeszył ciszę sypialni.

- Dziecko wychodzi! - zawołał Scargill.

Dłonie hrabiego delikatnie chwyciły małą główkę niemowlęcia, pokrytą czarnymi kręconymi włoskami.

- Dalej, Cassandro! Przyj!

Ujął syna z okrzykiem triumfu i roześmiał się, kiedy małe usta otworzyły się i wydobył się z nich głośny gniewny płacz.

Hrabia podszedł do czarnego paleniska. Trącił czubkiem buta czerwone węgielki i patrzył, jak szkarłatne iskry tańczą wokół kominka. Znowu się uśmiechnął, widząc wyraz oburzenia na pomarszczonej twarzy synka. Napięcie powoli go opuszczało. Odetchnął głęboko i pozwolił sobie na odprężenie, przyznając się przed sobą, że czuje się wyczerpany.

Przeciągnął się i schylił po kamizelkę, którą wcześniej rzucił na dywan.

Poczuł pod palcami złożony na czworo kawałek papieru. Powoli wyjął go z kieszeni.

Wszystko musi mieć swój początek i koniec, pomyślał i rozłożył kartkę.

List był datowany na koniec sierpnia i napisany poprawnie i starannie, zapewne ręką uczonego sługi.

Nie powinno cię zaskoczyć, Antonio, że to na moją rzecz rozstaniesz się ze swoimi angielskimi gwineami. Wystarczyło tylko szepnąć słówko odpowiednim ludziom, by mieć u siebie dzielnego Andreego. Ten głab nie dostarczył mi żadnych wyzwania czy wrażeń, ani przed, ani po tym, kiedy miał zaszczyt mnie spoR S

tkać. Nawet padł przede mną na kolana, błagając o darowanie mu życia - mały żart, który zdołał rozbawić moich ludzi. Wysłałem go do piekła.

Jeśli chodzi o pracodawcę, Andrea gorliwie mnie przekonywał, że to Twój brat przyrodni, Bellini. Szkoda, że chciwość czasem przecina więzy krwi.

Zawsze byłem prostym człowiekiem, przyjacielu, a twoje zlecenie było jasne.

Dla signora Bellini i jego uroczej hrabiny stanowiło to nie lada szok, kiedy zostali powiązani jak kurczaki i dostarczeni do mojego pałacu uciech. On miał

łatwą śmierć, jeśli to stanowi jakiegokolwiek pocieszenie. Co do hrabiny, uzna-

łem ją za udany nabytek, chociaż jak na razie nie jest skora dawać mi dużo przyjemności. Moja piękna Zabetta życzy Ci szczęścia z Twoją obląkaną żoną.

Addio, drogi hrabio Khar El-Din

Hrabia powtórnie przeczytał list i spojrzał na Cassie. Powoli zwinął kartkę w kulkę i cisnął ją do paleniska. Patrzył, jak zajęła się żarem i buchnęła pomarańczowym płomieniem, by zaraz zamienić się w popiół.

Obrócił się, słysząc ciche westchnienie. Szybko podszedł do łóżka i usiadł obok Cassie. Uśmiechnął się, patrząc w jej przejrzyste niebieskie oczy i powiódł palcem po linii jej nosa.

- Myślałem, kochana, że nie obudzisz się aż do Nowego Roku.

Zlekceważyła jego przytyk.

- Nasz syn, milordzie, jest doskonały, prawda?

- Ponieważ w chwili obecnej bardzo przypomina ojca, powiedziałbym, że jest tak bliski ideału, jak to tylko możliwe.

Odpowiedziała słabym uśmiechem.

- Czuję się taka pusta.

Zobaczył, że przesuwając rękę w dół i dotyka płaskiego brzucha.

- To dobrze. No chyba że zamierzasz zaraz dać naszemu synkowi siostrę albo brata bliźniaka.

R S

- Dziękuję ci, Anthony.

Uniósł czarną brew.

- To ty, moja pani, wykonałaś całą pracę. Ja tylko parę razy na ciebie huknąłem.

- Pamiętam głos innego mężczyzny. To nie był ten wstrętny doktor, prawda?

- Nie, to był Scargill. Wstrętny doktor ma złamaną nogę po wypadku powozu.

Wyglądała na zadowoloną.

- Pomyślę, że jesteś wiedźmą, jeśli ten usatysfakcjonowany uśmiezek zaraz nie zniknie z twojej twarzy.

















































Oddechnęła głęboko i zauważył, jaka jest śpiąca.

- Kiedyś uważałam ciebie za samego diabła, milordzie. Jeśli ja jestem czarownicą, to dobrze do siebie pasujemy.

- Pasujemy do siebie doskonale - zgodził się i ucałował ją lekko z niewypowiedzianą czułością.

R S

Document Outline

-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
- 